

Lord Jim





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JOSEPH CONRAD

Lord Jim

TŁUM. ANIELA ZAGÓRSKA

Lord Jim

TOM PIERWSZY

PRZEDMOWA AUTORA

Gdy powieść ta po raz pierwszy ukazała się w druku, rozeszła się pogłoska, że jej temat mnie poniósł. Niektórzy z recenzentów utrzymywali, iż utwór, pomysły z początku jako nowela, rozrósł się wbrew intencjom autora. Paru krytyków odkryło i w treści książki stwierdzenie tego faktu, który wydał im się zabawny. Wskazywali na granice zakreślone formie narracyjnej. Dowodzili, iż nikt nie mógłby przez tak długi czas opowiadać ani też słuchać tak długo. Uważali, że to nie jest zbyt wiarygodne.

Myślałem nad tą sprawą przez jakieś szesnaście lat i nie zdaje mi się, aby owi krytycy mieli słuszność. Wiadomo, że — i pod zwrotnikami, i w klimacie umiarkowanym — ludzie siadają nieraz późno w noc, „snując opowieści”. Wprawdzie *Lord Jim* jest tylko jedną opowieścią, ale zachodzą w niej przerwy dające możliwość odpoczynku; a jeśli chodzi o wytrzymałość słuchaczy, trzeba przyjąć założenie, że opowieść *była* zajmująca. Jest to hipoteza zasadnicza i konieczna. Gdybym nie uważał tej historii za interesującą, nie mógłbym zacząć jej pisać. Co się zaś tyczy fizycznej możliwości jej opowiedzenia, wszyscy wiemy, że zdarzały się mowy w parlamencie trwające blisko sześć godzin; tymczasem całą część książki, która stanowi opowiadanie Marlowa, można przeczytać głośno — powiedzmy — w mniej niż trzy godziny. Przy tym omijałem starannie wszystkie błahy szczegóły w powieści, należy więc przypuszczać, że owego wieczoru podawano jakieś orzeźwiający napoje — na przykład szklankę wody mineralnej od czasu do czasu — co ułatwiało Marlowowi opowiadanie.

Ale — mówiąc poważnie — prawdą jest, że mym pierwotnym zamierzeniem była nowela mająca za temat tylko statek z pielgrzymami — i nic więcej. Był to pomysł zupełnie uzasadniony. Napisałem kilka stron, które mnie z jakiegoś powodu nie zadowolily, i na pewien czas odłożyłem pracę. Nie wyjmowałem tych kartek z szuflady, póki mi nieżyjący już William Blackwood nie przypomniał, iż powinienem dać coś znowu do jego przeglądu.

Dopiero wtedy sobie uświadomiłem, że epizod ze statkiem wiozącym pielgrzymów jest dobrym punktem wyjścia dla swobodnej, rozległej opowieści; że przy tym wypadek tego rodzaju mógłby z całym prawdopodobieństwem na całe życie zaważyć na „samopoczuciu” prostego i głęboko czującego człowieka. Ale z tych wszystkich przedwstępnych nastrojów i poruszeń ducha słabo zdawałem sobie wówczas sprawę, a i teraz nie wydaje mi się to jaśniejsze po upływie tylu lat.

Owych kilka kartek, które odłożyłem, nie były dla mnie bez znaczenia przy wyborze tematu. Lecz wszystko zostało z rozważą napisane na nowo. Gdy zasiadłem do pracy, wiedziałem, że będzie to długa książka, choć nie sądziłem, że się rozciągnie aż na trzydzieści numerów przeglądu.

Zapytywano mnie nieraz, czy *Lord Jim* jest najulubieńszą mą książką. Jestem wielkim wrogiem wszelkiego faworyzowania tak w życiu publicznym, jak i prywatnym, a nawet w delikatnej dziedzinie stosunku autora do własnych dzieł. Z zasady nie chcę mieć ulubieńców; nie posuwam się jednak tak daleko, aby mnie gryzło lub martwiło, gdy niektórzy dają pierwszeństwo *Lordowi Jimowi*. Nie powiedziałbym nawet, że „to jest dla mnie niezrozumiałe”... Nie! Jednakże raz usłyszałem coś, co zdumiało mnie i zaniepokoiło.

Jeden z moich przyjaciół, bawiąc we Włoszech, rozmawiał tam z pewną panią, której się *Lord Jim* nie podobał. Przykre to oczywiście, ale co mnie zaskoczyło, to przyczyna jej niechęci do książki. „Wie pan — powiedziała — tam wszystko jest takie chorobliwe”.

Orzeczenie to dało mi materiał do niespokojnych rozmyślań na jaką godzinę. Doszedłem ostatecznie do wniosku, że wzięwszy nawet pod uwagę okoliczności łagodzące — bo sam temat jest raczej obcy dla przeciętnej kobiecej wrażliwości — owa pani nie mogła być Włoszką. Ciekaw jestem, czy była w ogóle Europejką. W każdym razie łański temperament nie mógłby dostrzec nic chorobliwego w dotkliwym poczuciu utraconego honoru. Takie poczucie może być słuszne albo niesłuszne, można je też potępić jako sztuczne; możliwe, iż ludzi podobnych do mego Jima często się nie spotyka. Ale mogę z czystym sumieniem zapewnić swych czytelników, że Jim nie jest owocem chłodnych spekulacji myślowych. Nie jest również wytworem północnych mgieł. Ujrzałem raz słonecznym

rankiem, jak szedł wśród zwykłego otoczenia wschodniej przystani — wzruszający, wymowny, tajemniczy... i niemy.

Takim właśnie powinien był mi się wydać. A do mnie już należało — z całym współczuciem, do jakiego byłem zdolny — znaleźć odpowiednie słowa dla wyrażenia jego istoty. Był to „jeden z nas”.

J. C.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Brakował mu cal¹ — może dwa — do sześciu stóp² wzrostu, był potężnie zbudowany, a gdy szedł prosto na kogoś, patrząc nieruchomo spode łba, z pochylonymi nieco plecami i wysuniętą głową, przypominał nacierającego byka. Głos miał głęboki, donośny; z zachowania jego przebijała jakby uparta pewność siebie, w której nie było nic agresywnego. Zdawało się, że ta pewność siebie jest nieunikniona, że się przejawia nie tylko w stosunku do innych, ale i do niego samego. Był nieskazitelnie czysty, ubrany w niepokalaną biel od trzewików aż do kapelusza, i w przeróżnych wschodnich portach, gdzie zarabiał na życie jako agent okrętowego dostawcy, bardzo był popularny.

Agent nie potrzebuje zdawać egzaminów z żadnego przedmiotu, ale musi posiadać zdolność kombinowania i wykazywać ją w czynie. Praca jego polega na ściganiu się łódką — żaglową, parową lub poruszaną za pomocą wiosł — z innymi agentami; chodzi o to, aby wyprzedzić wszystkich, dopaść okrętu, nim go zakotwiczą, przywitać się wesoło z kapitanem, wetknąć mu kartę — anons³ dostawcy okrętowego — gdy zaś kapitan wysiadzie na brzeg, zaprowadzić go niepostrzeżenie, lecz stanowczo do obszernego sklepu, przypominającego jaskinię pełną produktów, które się jada i pija na okręcie; można się tam zaopatrzyć we wszystko, co czyni statek pięknym i zdolnym do podróży: zarówno w komplet haków linowych, jak i książeczkę z pozłotą do rzeźbionych ozdób steru; a w sklepie tym dostawca okrętowy wita po bratersku szypra⁴, choć go nigdy przedtem nie widział. Czeka tam na gościa chłodny gabinet, fotele, napoje, cygara, przybory do pisania, egzemplarz przepisów portowych i ciepłe powitanie, które roztopia sól nagromadzoną w sercu marynarza podczas trzymiesięcznej podróży. Póki okręt przebywa w porcie, agent podtrzymuje przez codzienne odwiedziny nawiązane w ten sposób stosunki. Wierny jest kapitanowi jak przyjaciel, pełen synowskiej atencji⁵, a odznacza się przy tym cierpliwością Hioba, altruistycznym oddaniem kobiety i wesołością dobrego kompana. Później posyła się dowódcy statku rachunek. Piękne to i humanitarne zajęcie. Toteż dobrzy pracownicy w tym fachu trafiają się rzadko. Gdy agent posiadający zdolność kombinowania ma w dodatku tę wyższość, że się zna z morzem, wówczas przynosi swemu chlebowdawcy moc pieniędzy i zasługuje na względy. Jim zawsze miał dobrą pensję, a okazywano mu tyle względów, że można było za nie kupić wierność skończonego wroga. Tymczasem z czarną niewdzięcznością rzucił nagle swoje zajęcie i wyjeżdżał. Przyczyny, które podawał chlebowdawcom, były oczywiście niedostateczne. Mówili o nim: „Dureń, psiakrew”, z chwilą gdy się odwrócił do nich plecami. Takie było ich zdanie o niezmiernej wrażliwości tego człowieka.

Dla białych ludzi pracujących w porcie i dla kapitanów różnych statków był po prostu Jimem — i niczym więcej. Miał naturalnie i nazwisko, ale chodziło mu o to, aby tego nazwiska nie wymieniało. Incognito Jima — dziurawe jak rzeszoto — miało ukrywać nie człowieka, lecz fakt. Kiedy ów fakt wychodził na jaw, Jim opuszczał nagle morski port, gdzie się wówczas znajdował, i udawał się do innego — zwykle dalej na wschód. Trzymał się portów, ponieważ był marynarzem wygnanym z morza i posiadał zdolność kombinowania nadającą się wyłącznie do zajęcia morskiego agenta. Cofał się w porządku ku wschodzącemu słońcu, a ów fakt doganiał go nieodwołalnie, wcześniej lub później.

Tajemnica

¹cal — jednostka miary długości równa ok. 2,5 cm. [przypis edytorski]

²stopa — dawna miara długości; stopa brytyjska liczyła 12 cali, tj. 30,48 cm; sześć stóp bez jednego lub dwóch cali to ok. 178–180 cm. [przypis edytorski]

³anons — ogłoszenie. [przypis edytorski]

⁴szyper — dowódca mniejszego statku lub dużej łodzi. [przypis edytorski]

⁵atencja (przestarz., z łac.) — poważanie, szacunek, względy. [przypis edytorski]

I tak w ciągu lat znano Jima kolejno w Bombaju, Kalkucie, Rangunie, Penangu, Batawii — i na każdym z tych postojów był tylko Jimem, agentem dostawcy okrętowego. Później, gdy zdał sobie jasno sprawę, że dłużej tego nie wytrzyma, opuścił na zawsze porty i białych ludzi, usuwając się aż w głąb dziewiczego lasu, i wówczas to Malaje ze wsi leżącej wśród dżungli — gdzie postanowił ukryć swe niefortunne zdolności — przyłączyli drugie słowo do jego jednozgłoskowego incognito. Nazwali go: Tuan Jim, co znaczy mniej więcej: Lord Jim.

Urodził się na probostwie. Wielu dowódców pięknych statków handlowych pochodzi z tych przybytków spokoju i pobożności. Ojciec Jima posiadał ową wiedzę o Niewiadomym, stworzoną dla bogobojnych mieszkańców chat i niemającą spokoju ducha tym, którym nieomylna Opatrzność pozwala mieszkać w pałacach. Mały kościółek na wzgórzu przypominał w swej omszałej szarości skalę za postrzępioną zasłoną z gałęzi. Stał na tym miejscu już od stuleci, a drzewa wokół niego pamiętały zapewne chwilę, gdy kładziono kamień węgielny. Poniżej jaśniał ciepłą barwą czerwony front probostwa wśród trawników, klombów i jodeł, z sadem od tyłu, brukowanym podwórzem na lewo i pochyłymi szybami oranżerii, wspierającymi się o ścianę z cegieł. Probostwo należało do rodziny już od pokoleń; Jim był jednym z pięciu synów, a gdy przy końcu wakacji — w czasie których nazywał się lekkiej literatury — ujawniło się jego powołanie do służby na morzu, wysłano go od razu na „statek szkolny dla oficerów marynarki handlowej”.

Nauczył się tam brasowania⁶ górnych rei i trochę trygonometrii. Lubiano go ogólnie. Był trzecim w nawigacji i nadawał tempo, wiosłując w pierwszym kutrze. Nie podlegał zawrotom głowy, a że miał przy tym bardzo silny organizm, wykazał dużo zręczności w pracy na masztach. Miał stanowisko manewrowe na marsie⁷ przedniego masztu. Patrzył stamtąd często w dół z pogardą człowieka, który ma błysnąć odwagą wśród niebezpieczeństw; ogarniał wzrokiem spokojne skupisko dachów, przecięte na dwoje brunatnym nurtem rzeki, i kominy fabryczne rozsiane po skraju okolicznej równiny, wznoszące się prostopadle na tle brudnego nieba; każdy z nich był smukły jak ołówek i zionął dymem jak wulkan. Jim mógł także oglądać odjazd wielkich okrętów, promy o szerokich belkach, sunące bez przerwy, małe czółenka hen, nisko pod stopami — a w oddali mglistą wspaniałość morza i nadzieję bujnego życia w świecie przygód.

Na niższym pokładzie wśród rozgwaru dwóchset głosów zapamiętywał się często, zawczasu przeżywając myślą życie marynarza na modłę lekkich powieści. Wyobrażał sobie, że ratuje ludzi z tonących okrętów, rąbie maszty wśród huraganu, że płynie u końca liny przez wzburzone fale; to znów zdawało mu się, iż jest samotnym rozbitkiem, półnagim i bosym, i chodzi po gołych skalach, szukając skorupiaków, aby odpędzić śmierć głodową. Stawiał czoło dzikim na podzwrotnikowych wybrzeżach, uśmierzał bunty na pełnym morzu i w drobnym czółenku wśród oceanu budził ducha w zrozpaczonych ludziach — będąc zawsze wzorem obowiązkowości — niezłomny jak bohater z książki.

— Coś się tam stało. Chodźcie no!

Skoczył na równe nogi. Chłopcy wspinali się po drabinach. Na górnym pokładzie słychać było gwałtowną bieżaninę i krzyki, a gdy Jim wy dostał się przez luk⁸, stanął jak wryty w oszołomieniu.

Był zmierzch zimowego dnia. Wicher wzmagął się już od południa, zatrzymując ruch na rzece, i dął teraz z siłą huraganu; jego wybuchy grzmiały jak salwy wielkich armat nad oceanem. Deszcz ciął ukośnymi pasmami, które to siekły, to znikły, a od czasu do czasu odsłaniał się na chwilę przed Jimem groźny widok kotłującego się nurtu, drobny stateczek podrzucany falami, miotający się wzdłuż brzegu, nieruchome budynki wśród pędzącej mgły, szerokie promy rozkołysane ciężko na kotwicy, obszerne pływające pomosty, które bujały się w górę i w dół, przesłonięte bryzgami. Każdy następny poryw wichru zdawał się zmiatać to wszystko. Powietrze było pełne leżącej wody. Czuło się jakąś dziką celowość

⁶brasować — obracać reje pod najkorzystniejszym kątem do wiatru za pomocą brasów (tj. olinowania ruchomego pozwalającego na obracanie rei w poziomie); brasowanie wymaga wykonania obrotu dla wszystkich rei danego masztu jednocześnie; *reja*: poziome drzewce umocowane do masztu, do rei przyczepiony jest górny brzeg żagla. [przypis edytorski]

⁷mars (żegl.) — bocianie gniazdo, platforma obserwacyjna umieszczona wysoko na maszcie statku, służąca również jako punkt oparcia podczas zmiany żagli i olinowania. [przypis edytorski]

⁸luk — zamykany pokrywą otwór w pokładzie statku, służący do załadowywania i wyładowywania towarów, przemieszczania się z jednego pokładu na drugi, do oświetlania wnętrza itp. [przypis edytorski]

Marzenie, Życie snem

Morze, Strach, Woda,
Wiatr, Niebezpieczeństwo

burzy, wściekłą zawziętość w huku wiatru, w brutalnym zgiełku ziemi i nieba; Jim miał wrażenie, iż to wszystko zwraca się przeciw niemu, i trwoga zaparła mu oddech. Stał bez ruchu. Zdawało mu się, że go wir jakiś porywa.

Potrącano go. „Kuter na wodę!” Chłopcy przebiegali koło niego. Przybrzeżny statek, chcąc się schronić u lądu, zderzył się z zakotwiczonym szkunerem⁹; jeden z instruktorów okrętu był świadkiem tego wypadku. Chłopcy włązili tłumnie na balustradę, czepiali się gromadnie żurawików szalupowych. „Zderzenie. Tuż przed nami. Pan Symons widział”. Ktoś pchnął Jima, który zatoczył się na trzeci maszt i chwycił jakiejś liny. Stary statek szkolny, przycumowany do beczki kotwicznej, dygotał cały, chyląc łagodnie dziób w stronę wiatru, a skąpy takielunek statku nucił głębokim, zdyszany basem pieśń o jego młodości na oceanie.

„Na dół kuter!” — Jim ujrzał łódź z ludźmi opadającą szybko, za burtę i rzucił się ku niej. Usłyszał plusk. „Puszczaj! Wyhaczyc kuter!” Wychylił się za barierę. Rzeka wzdłuż statku wrzała pienistymi smugami. Dostrzegł wśród zapadających ciemności, że kuter miota się na jednej linii z okrętem, jakby urzeczony przez prąd i wiatr, które przez chwilę osadziły go na miejscu. Jim usłyszał niewyraźnie głos wrzeszczący na kutrze: „Równno, szczeniaki, jeśli chcecie kogoś wyratować! Równno!” A łódź wzniosła nagle dziób wysoko i skoczyła na bałwan z podniesionymi wiosłami, wyłamując się spod czaru rzuconego przez wiatr i prąd.

Jim poczuł, że ktoś chwyta go mocno za ramię. „Za późno, chłopcze”. Kapitan statku położył hamującą dłoń na Jimie, który — zdawało się — już, już skoczy za burtę. Chłopiec spojrzał na kapitana z bólem świadomej porażki w oczach. Kapitan uśmiechnął się życzliwie. „Następnym razem będziesz miał więcej szczęścia. To cię nauczy szybkiej decyzji”.

Wesoły okrzyk powitał kuter, który wracał, tańcząc po falach, napełniony do połowy wodą, z dwoma wyczerpanymi ludźmi miotanymi po belkach dna. Groźny huk wichru i morza wydał się Jimowi godny pogardy, zwiększając jego żal, że się dał zastraszyć ich pogrożkom. Teraz już wiedział, co myśleć o tym wszystkim. Zdawało mu się, że burza nic a nic go nie obchodzi. Mógłby stawić czoło większym niebezpieczeństwom. I uczyni to — lepiej niż wszyscy inni. Nie czuł już ani odrobiny strachu. Jednak tego wieczoru trzymał się chmurnie na stronie, podczas gdy dziobowy kutra — chłopiec z dziewczęcą twarzą i wielkimi szarymi oczami — był bohaterem dolnego pokładu. Zapaleni słuchacze tłoczyli się wkoło niego, a on opowiadał:

— Widziałem tylko jego głowę wynurzającą się raz po raz i cisnąłem bosak do wody. Uwiąż w jego spodniach; myślałem, że wypadnę za burtę, i rzeczywiście ledwie nie wyleciałem, tylko że stary Simons puścił ster i złapał mnie za nogi — łódka o mało co nie poszła na dno. Stary Simons to byczy staruszek. Gderze na nas, ale niech go tam. Klął na mnie przez cały czas, co mnie trzymał za nogę, ale chciał tylko dać mi do zrozumienia, że nie wolno mi puścić bosaka. Stary Simons okropnie jest porywczy, prawda? Nie, to nie ten mały blondyn, tylko ten dryblas z brodą. Kiedyśmy go wciągali, jęczał: „Oj, noga, noga! Oj, moja noga!”, i przewracał oczami. Pomyślcie tylko, taki wielki drab i mdłał jak dziewczyna! Czyby który z was zemdłał, gdyby go dziabnął bosakiem? Ja bym tam nie zemdłał. Bosak wszedł mu w nogę — o tyle. — Pokazał bosak, który przyniósł na dół w tym celu, i wywarł szalone wrażenie. — Ależ nie, cóż za bzdura! Bosak trzymał go za spodnie, nie za ciało. Tylko że naturalnie krew się łała okropnie.

Jim uznał to za nędzny popis próżności. Burza wywołała bohaterstwo równie pozorne jak jej udana groza. Jim był zły na brutalny zgiełk ziemi i nieba, ponieważ zaskoczył go znienacka i chytrze przeszkodził szlachetnemu popędowi do ratowania ludzi z groźnego niebezpieczeństwa. Skądinąd cieszyło go raczej, że się nie dostał do kutra, skoro pośledniejszy czyn wystarczył w danym wypadku. Jim pogłębił swe doświadczenie bardziej niż ci, którzy wykonali to zadanie. Dopiero gdy się wszyscy cofną ze strachu, wówczas — czuł to niezbitcie — on jeden potrafi zachować się jak należy wobec czczych gróźb wiatru i morza. Wiedział, co ma o nich myśleć. Oglądane chłodnym okiem wydawały mu się godne wzgardy. Nie mógł już w sobie wykryć ani śladu wzburzenia i ostateczny skutek owego wstrząsającego wypadku był taki, że Jim — niezauważony przez nikogo i trzy-

⁹szkuner — żaglowiec mający dwa lub więcej masztów o ożaglowaniu skośnym. [przypis edytorski]

Okręt

Woda, Zwycięstwo

Czyn, Odwaga, Strach,
Tchórzostwo, Wiedza

mający się na uboczu od hałaśliwej rzeszy chłopaków — rozkoszował się wzmocnionym poczuciem swej wszechstronnej odwagi i żądy przygód.

ROZDZIAŁ DRUGI

Po dwóch latach szkolenia wyruszył na morze i dostawszy się w strefy tak dobrze znane swej wyobraźni, uznał, że są dziwnie z przygód wyjąłowane. Odbył wiele podróży. Poznał czarodziejską monotonię istnienia między niebem a wodą; musiał znosić ludzką krytykę, twarde wymagania morza i poziomą surowość codziennej roboty, która daje chleb — i której jedyną nagrodą jest doskonała miłość pracy. Ta nagroda go omijała. Ale cofnąć się nie mógł, gdyż nic tak nie nęci, nie rozczarowuje i nie przykuwa jak życie na morzu. Poza tym przyszłość Jima zapowiadała się korzystnie. Był dobrze wychowany, spokojny, zgodny, znał dokładnie swe obowiązki; i niebawem, jeszcze jako bardzo młody chłopiec, został pierwszym oficerem na pięknym statku, nie doświadczony nigdy tych wydarzeń na morzu, które dobywają na jaw wewnętrzną wartość człowieka, uwydatniają prawdziwe cechy jego usposobienia i rdzeń charakteru, które ukazują stopień jego odporności i tajną prawdę ukrytą pod pozorami — nie tylko innym, ale i jemu samemu.

Tylko raz jeden przez cały ten czas Jim dojrzał znów przebłysk zawziętości w gniewie morza. Ta prawda nie przejawia się tak często, jakby można było przypuszczać. Jest wiele odcieni w niebezpieczeństwie przygód i burz i tylko niekiedy oblicze faktów zdradza ponurą, gwałtowną celowość — to coś nieokreślonego, co narzuca umysłom i sercom przekonanie, że pewien splot wypadków lub furia żywiołu spada na człowieka ze złośliwą premedytacją, z nieogarnioną siłą, z rozpętanym okrucieństwem, które chce wydrzeć człowiekowi jego nadzieję i jego strach, ból jego zmęczenia i tęsknotę za wypoczynkiem; które chce zmiażdżyć, zniszczyć, unicestwić wszystko, co widział, znał, kochał, czym się cieszył, czego nienawidził, wszystko, co jest potrzebne i bezcenne — blask słońca, wspomnienia, przyszłość; które chce zmieść doszczętnie sprzed jego oczu cały drogocenny świat przez prosty i przerażający akt — przez zabranie mu życia.

Na samym początku tygodnia (o którym kapitan Jima, Szkot, zwykł był opowiadać: „Mówię wam, ludzie, to cud prawdziwy, że statek przeżył to wszystko!”) Jim został ugodzony spadającą reją; spędził wiele dni, leżąc na wznak, ogłuszony, poturbowany, pełen zwątpienia i udręki, jakby na dnie niespokojnej otchłani. Wszystko mu było jedno, jak się to skończy, a w chwilach przytomności przeceniał swą obojętność. Niebezpieczeństwo, kiedy go się nie widzi, ma mglistą nieokreśloność ludzkiej myśli. Trwoga staje się mętna; nie podsycana niczym wyobraźnia — wróg ludzi, źródło wszelkiej grozy — układa się do spoczynku w duszy stępiałej od nadmiaru wzruszeń. Jim widział tylko rozgardiasz w swej roztrzęsionej kabinie. Leżał tam, przykuty do miejsca wśród ciasnoty i spustoszenia, i czuł się w głębi ducha szczęśliwy, że nie potrzebuje wyjść na pokład. Ale od czasu do czasu nieposkromiony napad trwogi chwycił go za gardło, tak że brakowało mu tchu i wił się pod kocami; bezsensowna brutalność istnienia, poddająca ludzi takim katuszom, napełniała go rozpaczliwą żądzą, aby się za wszelką cenę ocalić. Potem wróciła piękna pogoda i więcej już o tym nie myślał.

Jednakże kulał wciąż jeszcze, a gdy okręt przybył do jednego ze wschodnich portów, musiał iść do szpitala. Wracał do zdrowia bardzo powoli, przeto pozostawiono go w porcie.

Poza Jimem było tylko dwóch pacjentów w oddziale dla białych: płatnik z kanonierki, który złamał nogę, spadłszy do luku, i jakiś niby dostawca kolejowy z sąsiedniej prowincji, dotknięty tajemniczą chorobą podzwrotnikową; uważał doktora za osła i oddawał się potajemnie leczeniu różnymi specyfikami, które jego służący, Tamil, przemycił z niezmordowanym poświęceniem. Pacjenci opowiadali sobie nawzajem historię swego życia, grali trochę w karty lub też, ubrani tylko w pidżamy, wylegiwali się całymi dniami na leżakach, ziewając i nie mówiąc do siebie ani słowa. Szpital stał na wzgórzu; lekki powiew, wchodzący przez okna otwarte zawsze na oścież, niósł do pustych pokoi łagodność nieba, omdlałość ziemi, czarowny oddech wschodnich wód. Były w nim jakieś aromaty, zapowiedź bezgranicznego spoczynku, dar snuty bez końca marzeń. Jim spoglądał co dzień ponad gąszcz ogrodów, ponad dachy miasta i kępy palm rosnących na brzegu, na tę przystań, która jest szlakiem na wschód, na przystań oświetloną radosnym słońcem — z wieńcem wysepek, z okrętami jak zabawki — wspaniałą i ruchliwą niby świąteczne wi-

Marzenie, Morze, Praca

Kondycja ludzka,
Niebezpieczeństwo,
Żywyoty

Marzenie, Strach, Wizja

Choroba

dowisko pod wiecznie pogodnym niebem, pośród uśmiechniętego spokoju wschodnich mórz ogarniających przestrzeń aż do horyzontu.

Z chwilą gdy Jim mógł już chodzić bez laski, zeszedł do miasta i zaczął szukać jakiejś okazji, aby wrócić do kraju. Nic mu się wówczas nie nastroczyło, czekał więc, obcując, naturalnie, w porcie z ludźmi swego zawodu. Dzielili się oni na dwa rodzaje. Jedni, bardzo nieliczni i rzadko tam widywani, wiedli tajemniczy żywot, odznaczali się nieposkromioną energią, temperamentem korsarzy i mieli marzycielskie oczy. Żyli jak gdyby w obłąkanym labiryncie planów, nadziei, niebezpieczeństw przedsięwzięć, w awangardzie cywilizacji, wśród mało znanych zakątków morza; śmierć była w ich fantastycznych egzystencjach jedynym wydarzeniem, które się wydawało dorzeczne i pewne. Przeważnie byli to ludzie rzućeni tam przez przypadek — jak Jim — którzy pozostali na miejscu w charakterze oficerów na statkach krajowych. Mieli wstręt do służby na okrętach europejskich, w trudniejszych warunkach, służby nacechowanej surowszym pojęciem obowiązku, grożącej ryzykiem burzliwych przepraw przez oceany. Zestroili się z wiecznym spokojem wschodniego nieba i mórz. Lubowali się w krótkich podróżach, wygodnych leżakach na pokładzie, licznych załogach złożonych z krajowców i wyróżnieniu, które należy się białym. Myśl o ciężkiej pracy przejmowała ich dreszczem; wiedli wygodne życie z dnia na dzień, gotowi zawsze rzucić jeden statek i przenieść się na drugi, służąc Chińczykom, Arabom, Metysom — byliby służyli chętnie i diabłu, gdyby dał im dość wygodne warunki. Rozmawiali bez ustanku o przeróżnych szczęśliwych zdarzeniach; jak to taki a taki został kapitanem statku na chińskim wybrzeżu — świetna służba; temu znów trafiło się dogodne miejsce gdzieś w Japonii, a tamtemu powodzi się świetnie w syjamskiej¹⁰ marynarce; we wszystkim zaś, co mówili — w ich czynach, w ich wyglądzie, w ich osobach — można było wykryć jakieś słabe miejsce, znamię upadku, upartą chęć, aby przeprożnować życie w spokoju.

Ta plotkująca czereda, oglądana oczyma marynarza, wydała się zrazu bardziej nierealna od zbiorowiska cieni. Ale z czasem urzekł Jima widok tych ludzi, którym zdawało się tak dobrze powodzić, choć narażali się w bardzo małym stopniu na niebezpieczeństwo i ciężką pracę. Obok pierwotnej pogardy rozwinęło się z wolna w Jimie inne uczucie; i nagle, zaniechawszy powrotu do kraju, zaciągnął się jako główny oficer na statek „Patna”.

„Patna” był to miejscowy parowiec, stary jak świat, smukły jak chart i bardziej zżarty przez rdzę od wysłużonej kadzi żelaznej. Właścicielem „Patny” był Chińczyk, dzierżawcą Arab, a dowodził nią pewien Niemiec, renegat¹¹ z Nowej Południowej Walii¹², bardzo pochopny do publicznego wymyślenia na swój kraj rodzinny; miał fioletowy nos i rude wąsy, a wzorował się widać na zwycięskiej polityce Bismarcka¹³, gdyż obchodził się brutalnie ze wszystkimi, których się nie bał, przybierając krwiożercze miny. „Patna” została pomalowana z zewnątrz i wybielona od środka, po czym wtłoczono na jej pokład ośmiuset pielgrzymów, gdy stała pod parą u drewnianego mola.

Pielgrzymi sunęli na pokład trzema schodnikami, nagłeni wiarą i nadzieją rajy, wśród nieustannego tupotu i szmeru bosych nóg, bez słowa, bez szeptu, nie oglądając się za siebie; wydstawszy się spomiędzy barier, rozlewali się na wszystkie strony po pokładzie, ku przodowi i ku rufie, spływali w dół w ziejące luki, zapelniali wewnętrzne zakamarki statku — jak woda, która napelnia cysterne, sączy się w szpary, szczeliny i wzbiera cicho aż po brzegi. Ośmiuset mężczyzn i kobiet, żywiących wiarę i nadzieję, przywiązania i wspomnienia, zebrało się tam, przybywszy z północy, południa i krańców wschodu, wędrując ścieżkami przez dżunglę, płynąc z biegiem rzek, sunąc wzdłuż mielizn na krajowych statkach, przeprawiając się w drobnych czółenkach od wyspy do wyspy, przechodząc różne udreki, patrząc na dziwne rzeczy, pozostając we władzy dziwnych obaw — a wszystkich podtrzymywało jedno pragnienie. Przybyli z samotnych chat stojących wśród puszczy,

¹⁰Syjam — dawna nazwa Tajlandii, państwa w pld.-wsch Azji, używana w czasach kolonialnych. [przypis edytorski]

¹¹renegat (z łac.) — zdrajca, odszczepieniec. [przypis edytorski]

¹²Nowa Południowa Walia — pierwotnie kolonia brytyjska w pld.-wsch. części kontynentu Australia, od 1899 jeden ze stanów państwa Australia (Związku Australijskiego). [przypis edytorski]

¹³Bismarck, Otto von (1815–1898) — niemiecki polityk konserwatywny, jako premier Prus doprowadził do zjednoczenia państw niemieckich, w powstałej Drugiej Rzeszy pełnił funkcję kanclerza. Prowadził pozbawioną sentymentów politykę z pozycji siły, zyskując miano Żelaznego Kanclerza. [przypis edytorski]

z ludnych *kampungów*¹⁴, z nadbrzeżnych morskich wiosek. Na zew jednej idei opuścili swe lasy, polanki, opiekę swych władców, swój dobrobyt, swą biedę, krainę swej młodości i groby ojców. Przybyli okryci pyłem, potem, brudem, łachmanami — mężczyźni w si-le wieku na czele rodzin, wychudli starcy dążący naprzód bez nadziei powrotu; młodzi chłopcy o nieulekłych oczach, rozglądający się ciekawie, trwożliwe dziewczątka o dłu-gich, poplątanych włosach, nieśmiałe, zakwefione kobiety, które cisnęły do piersi uspio-ne niemowlęta, okutane w luźne końce zbrukanych zasłon — nieświadomi pielgrzymi, posłuszni surowym wymaganiom swej wiary.

— Popatrz pan na to bydło — rzekł Niemiec, szyper, do swego nowego oficera.

Arab, przywódca pobożnych podróżników, zjawił się na ostatku. Wkroczył z wolna na pokład, piękny i pełen powagi, w białej szacie i wielkim turbanie. Za nim postępował rząd sług obładowanych jego bagażem; „Patna” odcumowała i cofnęła się od wybrzeża.

Skierowawszy się między dwie małe wysepki, przecięła na ukos kotwowisko dla za-głowców, zakreśliła półkole w cieniu wzgórza i przesunęła się tuż koło raf otoczonych pianą. Arab powstał ze swego miejsca na rufie i począł odmawiać głośno modlitwę dla podróżujących po morzu. Wzywał łaski Najwyższego dla pielgrzymki, błagając Go, aby pobłogosławił znój ludzki i tajne zamysły serc; parowiec pruł w mroku spokojną wodę cieśniny — a hen w tyle za okrętem latarnia morska, umieszczona przez niewiernych na zdradliwej mieliźnie, zdawała się mrugać na „Patnę” płomiennym okiem, jakby szydząc z jej wyprawy, natchnionej wiary.

Statek przebył cieśninę, minął zatokę i płynął dalej w swą drogę przez przesmyk „One-degree”¹⁵. Sunął wprost na Morze Czerwone pod pogodnym niebem, pod niebem palą-cym i nieosłoniętym chmurami, obleczonym w słoneczny blask, który zabijał myśl wszelką, uciskał serce, wypalał wszystkie porywy siły i energii. A pod ponurą wspaniałością nieba morze błękitne i głębokie leżało spokojnie, bez ruchu, bez szmeru, bez zmarszczki — kleiste, bezwładne, martwe. „Patna” sunęła z lekkim sykiem tą świetlistą, gładką równiną i rozwijała po niebie czarną wstęgę dymu, zostawiając za sobą na wodzie białą wstęgę piany, która znikła natychmiast jak widmo szlaku kreślone na martwym morzu przez widmo parowca.

Każdego rana słońce, jakby dotrzymując w swych obrotach kroku sunącej naprzód pielgrzymce, wylaniało się z bezgłośnym wybuchem światła ściśle w tej samej odległości za rufą statku, dopędzało go o południu, lejąc skupiony żar promieni na pobożne ludzkie zamysły, mijało „Patnę” i tocząc się w dół, znikalo tajemniczo w morzu wieczór za wieczorem, zawsze w tej samej odległości od sunącego naprzód dziobu.

Pięciu białych znajdujących się na statku mieszkało na śródokręciu, z dala od ludzkiego ładunku. Płócienna zasłona okrywała pokład białym dachem od dziobu do rufy i tylko słaby szmer, stłumiony gwar smutnych głosów, zdradzał obecność tłumu ludzi na wielkiej jasności oceanu. Tak upływały dni ciche, upalne, ociążałe, zapadając jeden za drugim w przeszłość, niby w otchłań otwartą zawsze na szlaku okrętu; a „Patna”, samotna pod pasmem dymu, dążyła wytrwale w swą drogę, czarna i dymiąca wśród świetlistej nieskończoności, jakby spalona przez płomień sypiące się z bezlitosnego nieba.

Noce zstępowały na nią jak błogosławieństwo.

ROZDZIAŁ TRZECI

Cudowna cisza przenikała świat, a gwiazdy zdawały się słać na ziemię nie tylko pogodę swych promieni, ale i pewność wiecznego spokoju. Młody, wygięty księżyc, jaśniejący nisko na zachodzie, wyglądał jak cieniutki wiórek zheblowany ze złotej sztaby; Morze Arabskie, gładkie i chłodne dla oka, niby płyta lodu, słało się idealną równią aż po idealne koło ciemnego widnokregu. Śruba kręciła się gładko, jakby jej rytm był jednym ze składników bezpiecznego wszechświata; z obu stron „Patny” dwie głębokie fałdy wody, nieprzerwane i ciemne na gładkiej, lśniącej powierzchni, zamykały między prostymi, rozchodzącymi się grzbietami nieliczne białe wiry piany pękającej z cichym sykiem, drobne

¹⁴*kampung* (mal.) — wieś, osada. [przypis edytorski]

¹⁵*przesmyk „Onedegree”, właśc. One and a Half Degree Channel (Kanał Półtora Stopnia) — kanał morski na O. Indyjskim oddzielający atole północnych i środkowych Malediwów od południowych, położony półtora stopnia na północ od równika. [przypis edytorski]*

Modlitwa, Kondycja ludzka

Światło, Oko

Słońce, Niebo

Morze

Słońce

Noc

Bezpieczeństwo, Cisza,
Gwiazda

Księżyc

Morze

Bezpieczeństwo, Morze

falki i zmarszczki, które zostawały w tyle, wzburzając na chwilę powierzchnię morza po przejściu okrętu; po czym uspokajały się z łagodnym pluskiem, póki nie stopiły się wreszcie w cichość nieba i wody otaczającą w krąg czarną plamkę sunącego kadłuba, pozostającą wciąż w samym środku.

Jim, stojąc na mostku, pławił się w wielkiej pewności nieskończonego spokoju i bezpieczeństwa, które można było wyczytać ze spokojnego wyglądu natury, jak się czyta pewność opiekuńczej miłości na spokojnej, tkliwej matczynej twarzy. Pod płóciennym dachem spali pielgrzymi hołdujący surowej wierze, poddawszy się mądrości białych i ich odwadze, ufając potędze ich niewiary i żelaznej łupinie ognistego statku; spali na matach, na kocach, na gołych deskach, na wszystkich pomostach, we wszystkich ciemnych zakamarkach, zawinięci w barwione szmaty, okutani w brudne łachmany, z głowami wspartymi na małych zawiniątkach, z twarzami przyciśniętymi do zgiętych ramion: mężczyźni, kobiety, dzieci, starzy z młodymi, zgrzybiali z pełnymi sił i życia — wszyscy zrównani wobec snu, brata śmierci.

Lekki powiew ciągnący od przodu, wywołany biegiem parowca, niósł się spokojnie przez długą mroczną przestrzeń między wysokimi nadburciami i muskał rzędy wyciągniętych ciał; kilka przyćmionych płomieni w latarniach wisiało na krótkich linkach tu i tam u poprzeczek płóciennego dachu, a w mętnych kręgach światła, drgających z lekka w rytm nieustannej wibracji statku, ukazywały się czyjeś zamknięte powieki, zadarta broda, ciemna ręka z srebrnymi pierścieniami, chude członki owinięte w podarte nakrycie, głowa odchylona w tył, goła stopa, szyja naga i wyprężona, jakby podająca się pod nóż. Zamożni urządzili dla swych rodzin schronienia z ciężkich skrzyń i zakurzonych mat; ubodzy spoczywali rzędem obok siebie, wspierając głowę na całym swym ziemskim dobytku, zawiniętym w gałgany; samotni starcy spali, podciągnawszy nogi, na modlitewnych dywanach, z rękoma na uszach i łokciami po obu stronach twarzy; jakiś ojciec wsunął głowę w ramiona i zgnębiony, oparł czoło na kolanach, drzemiąc obok chłopca, który spał na wznak ze skołtunioną czupryną i ręką wyciągniętą nakazująco; kobieta, okryta od stóp do głów białym prześcieradłem — niby trup — trzymała po nagim dziecku w zgięciu każdego ramienia; pakunki Araba, spiętrzone po prawej stronie rufy, tworzyły przysadzisty kopiec o łamanych liniach; nad nimi wisiała latarnia, a w głębi majaczyły przeróżne niewyraźne kształty: połyskliwe brzuchy mosiężnych naczyń, podnózek od leżaka, ostrze włóczni, prosta pochwa starego miecza oparta o stos po duszek, dziób cynowego dzbanka do kawy. Log¹⁶ na tylnej barierze wydzwaniał miarowo jedno dźwięczne uderzenie za każdą milą¹⁷ przebytą w wędrówce nakazanej przez wiarę. Nad ciżbą śpiących przepływało niekiedy nagle i cierpliwe westchnienie wyzionięte wśród zmaconego snu; a krótkie metaliczne dźwięki, rozlegające się nagle w głębiach statku — ostry zgrzyt szufli, gwałtowne trzaśnięcie drzewiczkami od paleniska — wybuchały brutalnie, jakby ludzie obcuający z tajemniczymi przedmiotami tam w dole, żywili dziki gniew w piersi; zaś smukły, wysoki kadłub parowca sunął równo naprzód, bez najlżejszego kołysania się nagich masztów, prując nieustannie wielki spokój wód pod niedostępnym spokojem nieba.

Jim spacerował w poprzek mostka, a własne kroki rozbrzmiewały mu głośno w uszach wśród wielkiej ciszy, jakby odbite przez czujne gwiazdy; jego oczy błędzące po linii horyzontu zdawały się sięgać chciwie za czymś niedościgłym i nie dostrzegły cienia zbliżającego się wypadku. Jedyne cięń na morzu padał od czarnego dymu buchającego wciąż ciężko z komina olbrzymią chorągwią, której koniec rozplywał się ustawicznie w powietrzu. Dwaj Malaje, niemi i prawie nieruchomi, sterowali, stojąc z dwóch stron koła, którego mosiężny brzeg połyskiwał częściowo w owalu światła padającego od pokrywy kompasu. Niekiedy ręka o czarnych palcach, puszczając i chwytając kolejno obracające się szprychy, ukazywała się na oświetlonej części koła; ogniwa łańcucha zgrzytały głośno w rowkach rury sterowej. Jim rzucał wzrokiem na kompas, potem rozglądał się wkoło po niedościgłym widnokregu, przeciągał się, aż stawy trzeszczały, przeginając się leniwie od nadmiernego wprost poczucia błogości; i — jakby rozzuchwalony widokiem niewzruszonego spokoju — czuł, że nie dba o nic, co by go mogło spotkać aż do końca jego dni.

Bezpieczeństwo, Matka,
Natura
Sen, Tłum

Cisza, Gwiazda, Wzrok

Obraz świata, Okręt

¹⁶log — przyrząd nawigacyjny do pomiaru przebytej drogi i prędkości statku. [przypis edytorski]

¹⁷mila morska — jednostka miary długości (odległości), wynosząca ok. 1850 m. [przypis edytorski]

Od czasu do czasu spoglądał leniwie na mapę przymocowaną czterema pluskiewkami do niskiego stolika o trzech nogach, stojącego za osprzętem sterowym. Arkusz papieru, otwarzający morskie głębie, rozpościwał się jaśniejącą powierzchnią pod światłem ślepej latarki przywiązanej do stojaka — powierzchnią poziomą i równą jak połyskliwa gładź wód. Na mapie spoczywały linijki nawigacyjne i cyrkiel; położenie statku w południe było oznaczone małym czarnym krzyżykiem, a prosta linia, nakreślona pewną ręką aż do Perimu¹⁸, odtwarzała kurs — szlak dusz dążących ku świętemu miejscu, ku obietnicy zbawienia, nagrodzie wiecznego życia — ołówek zaś, oparty ostrym końcem o wybrzeże Somali, leżał okrągły i nieruchomy jak nagi maszt w basenie zamkniętego doku.

„Jak my spokojnie suniemy” — pomyślał Jim z podziwem, z czymś w rodzaju wdzięczności za ten wyniosły spokój morza i nieba. W takich chwilach myśli jego były przepełnione walecznymi czynami; kochał te swoje marzenia i sukcesy urojonych czynów. Były najlepszą częścią życia, jego tajną prawdą, jego ukrytą rzeczywistością. Cechowała je wspaniała męskość i urok czegoś nieokreślonego; sunęły przed nim bohaterskim krokiem, porywając za sobą jego duszę upojoną boskim napojem — bezgraniczną wiarą w siebie. Nie ma nic, czemu by nie potrafił stawić czoła. Tak się mu ta myśl podobała, że się uśmiechnął, patrząc machinalnie ku przodowi statku; a gdy mu się zdarzyło spojrzeć w tył, widział białą smugę szlaku, kreśloną równie prosto przez kil¹⁹ okrętu, jak prosta była czarna linia narysowana ołówkiem na mapie.

Wiadra do popiołu hałasowały, przesuwane tam i z powrotem przez wentylatory paralni, a ten metaliczny dźwięk ostrzegał Jima, iż koniec jego wachty²⁰ się zbliża. Westchnął z zadowoleniem, a zarazem z żalem, że będzie musiał się rozstać z tą pogodą, która sprzyjała awanturniczemu swobodzie jego myśli. Był przy tym trochę śpiący i czuł, jak przyjemna omdlałość ogarnia wszystkie jego członki; zdawało mu się, iż cała krew w jego ciele przemienia się w ciepłe mleko. Szyper zjawił się bezszelestnie na mostku w pidżamie rozchełstanej szeroko na piersiach. Był na wpół rozbudzony; twarz miał czerwoną, lewe oko częściowo zamknięte, prawe idiotycznie wybaluszone i szkliste; zwiesił wielką głowę nad mapą i drapał się ospale po żebrach. Było coś plugawego w widoku jego nagiego ciała. Obnażone, pulchne piersi połyskiwały tłustością, jakby we śnie wypocił z siebie całe siodło. Wypowiedział jakąś zawodową uwagę głosem chrapliwym i głuchym, podobnym do chrapiącego dźwięku piły trącej o krawędź deski; fałda podwójnego podbródka zwisała mu jak worek przywiązany tuż pod zawiasami szczęk. Jim drgnął, a jego odpowiedź pełna była szacunku, lecz wstrętą opasła postać — jakby ujrzana po raz pierwszy w chwili objawienia — wyryła się na zawsze w jego pamięci niby wcielenie wszelkiej nikczemności i podłoty, czających się w ukochanym przez nas świecie; bowiem w głębi ducha ufamy, że nasze zbawienie leży w ludziach, którzy nas otaczają, we wszystkim, na co patrzą nasze oczy, w dźwiękach, które napęlniają nam uszy, i w powietrzu wchłanianym przez nasze płuca.

Cienki, złoty wiórek księżycy sphywał powoli, aż się zatracił w ściemniającej powierzchni wód, a wieczność poza niebem zdawała się do ziemi przybliżać ze wzmocnionym lśnieniem gwiazd i mrokiem, który się pogłębił w połyskliwej, na wpół przejrzystej kopule okrywającej płaską tarczę matowego morza. Parowiec płynął tak gładko, że ludzkie zmysły nie mogły uchwycić jego ruchu, jakby był zaludnioną szczelnie planetą śpieszącą przez ciemną przestrzeń eteru za rojem słońc, wśród groźnych i spokojnych pustkowi oczekujących na tchnienie przyszłych aktów stworzenia.

— Strach, co tam za upał na dole — rzekł jakiś głos.

Jim uśmiechnął się, ale nie obejrzał. Rozłożyste plecy szypra ani drgnęły; należało to do sztuczek renegata, że ignorował ostentacyjnie czyjąś obecność, jeśli nie uznał za stosowne zwrócić się do tego kogoś, zmierzyć go wściekłym spojrzeniem i zalać spienionym potokiem obelżywego żargonu, który tryskał jak ze ścieku. Teraz szyper ograniczył się do kwaśnego mruknięcia; a pomocnik mechanika u szczytu schodów mostka, mięto-

¹⁸Perim — mała wyspa wulkaniczna w cieśninie Bab al-Mandab, łączącej M. Czerwone i Ocean Indyjski; w latach 1857–1936 w posiadaniu brytyjskim, stanowiła ważną bazę zaopatrującą statki w węgiel. [przypis edytorski]

¹⁹kil — stepka, najniższa belka statku ciągnąca się od dzioba do rufy. [przypis edytorski]

²⁰wachta — okres (zwykle 4 godz.), podczas którego pełni służbę jedna załoga statku; także: część załogi, która pełni służbę w określonym czasie. [przypis edytorski]

Marzenie

Sen

Ciało

Zbawienie

Księżyc

Obraz świata

Robotnik

sząc w wilgotnych dłoniach brudny gałgan do obcierania potu, wylewał w dalszym ciągu swoje żale, bynajmniej nie onieśmielony. Tu na górze dobrze się marynarzom powodzi i niech go kaczki zdepczą, jeśli wie, po co ci marynarze są w ogóle na świecie. Mechanicy, nieboraki, muszą tak czy owak statek w ruch wprawiać, a przecież mogliby sobie poradzić doskonale i z resztą roboty; „jeszcze i jak, do jasnej cholery”...

Piekło

— Stulić pysk — mruknął flegmatycznie Niemiec.

— Właśnie! Stulić pysk — a kiedy coś nie w porządku, to pędzicie do nas, prawda? — ciągnął tamten. I żalił się dalej, że jest na wpół ugotowany; ale za to teraz wszystko mu jedno, ile grzechów ma na sumieniu, bo przez te ostatnie trzy dni przeszedł porządny kurs wstępny do tego miejsca, dokąd źli ludzie idą po śmierci — porządny, bo porządny, żeby tak zdrow był — a w dodatku jeszcze ogłuchł jak pień od cholerycznego hałasu na dole. To podle, przekłete, zgniłe pudło, ten stary skraplacz, skrzypi tam i hałasuje jak stara winda pokładowa albo i jeszcze gorzej; a z jakiego powodu on, mechanik, naraża życie każdej nocy i każdego dnia — na gruchocie, który nadaje się tylko na złom i robi pięćdziesiąt siedem obrotów na minutę — tego wyjaśnić nie potrafi. Widać już się taki nieustraszony urodził, do jasnej cholery. Widać...

— Skądęś pan wódkę wytrzasnął? — spytał Niemiec, bardzo wściekły, lecz nieruchomy, w świetle padającym od szafki z busołą, jak niezgrabny wizerunek człowieka ulepiony z bryły tuszczu.

Alkohol, Pijaństwo

Jim wciąż się uśmiechał ku cofającemu się widnokręgowi; serce miał pełne szlachetnych porywów, a w myśli rozważał swą wyższość.

— Wódkę! — powtórzył mechanik z uprzejmą pogardą; jego ciemna postać, chwiejąca się na nogach, czepiała się oburącz bariery. — Nie od pana, panie kapitanie. Pan jest na to o wiele za skąpy, do jasnej cholery. Porządny człowiek skonałby u pańskich nóg, a nie dostałby ani kropli sznapsa. Wy, Niemcy, nazywacie to oszczędnością. Oszczędzacie pensy²¹, a wyrzucacie za okno tysiące. — Mechanik stał się sentymentalny. Szef dał mu wypić naparstek tak około dziesiątej — „jeden jedyny, żebym tak zdrow był!”. Pocziwy starowina; ale gdyby przyszło wyciągać z koi tego starego franta, nawet pięciotonowy żuraw nic by nie poradził. Nie ma gadania. A w każdym razie nie dzisiaj. Szef śpi słodko jak małe dzieciątko, z butelką wyborowej wódki pod poduszką.

Z grubego gardła kapitana wydarł się niski pomruk, w którym dźwięk słowa „*Schwein*”²² przebijał się to nisko, to wysoko, jak kapryśne piórko w nikłym powiewie. Kapitan i główny mechanik byli kamratami już od dobrych kilku lat; służyli u tego samego jowialnego, podstępного starego Chińczyka, noszącego okulary w rogowej oprawie i czerwone jedwabne tasiemki wplecione w czcigodne siwe włosy warkocza. Nadbrzeźna fama w ojczystym porcie „Patny” głosiła, że ci dwaj — w zakresie bezczelnych sprzeniewierzeń — „dokonali razem mniej więcej wszystkiego, co się tylko da pomyśleć”. Na oko źle byli dobrani; jeden miał tępe, złe oczy i opasłe ciało o miękkich liniach; drugi był chudy, cały we wklęsłościach — o głowie długiej i kościstej niby u starej szkapy, o zapadłych policzkach, zapadłych skroniach i obojętnym, szklistym spojrzeniu zapadłych oczu. Wyrzucono go gdzieś na wschodnim wybrzeżu — w Kantonie, Szanghaju, a może i Jokohamie; prawdopodobnie nie zależało mu na tym, aby pamiętać dokładnie ową miejscowość ani też powód swej katastrofy. Ze względu na jego młody wiek wylano go po prostu z okrętu dwadzieścia lat temu lub więcej, a mogło się to dla niego o tyle gorzej skończyć, że wspominając ów epizod, nie uważał go właściwie za nieszczęście. Potem, gdy żegluga parowa rozwinęła się na tych morzach i ludzie jego fachu z początku trafiali się rzadko, powiodło mu się w pewnym znaczeniu. Miał zwyczaj skwapliwie informować obcych ponurym szeptem, że „zna te strony jak własną kieszeń”. Przy każdym ruchu tego człowieka zdawało się, że kościotrup kołacze się w jego ubraniu; zamiast chodzić wałęsał się po prostu, a miał zwyczaj wałęsać się tak bez ustanku po maszynowni naokoło luku świetlnego. Palił przy tym bez przyjemności fałszowany tytoń w miedzianej czarce na końcu wiśniowego cybucha długości czterech stóp, z głupkowaną powagą myśliciela wywodzącego system filozoficzny z mglistych przebłysków jakiejś prawdy. Zazwyczaj daleki był od szafowania swym prywatnym zapasem alkoholu; ale owej nocy odstąpił od tej zasady,

Alkohol, Filozof

²¹*pens* — drobna moneta angielska. [przypis edytorski]

²²*Schwein* (niem.) — świnia. [przypis edytorski]

tak że jego pomocnik, głupkowany syn Wappingu²³, zaskoczony nieoczekiwanym początkiem i mocą alkoholu, stał się bardzo szczęśliwy, bezczelny i rozmowny. Wściekłość Niemca z Nowej Południowej Walii była niezmierna; sapał jak miech, a Jim, ubawiony nieco tą sceną, oczekiwał z niecierpliwością chwili, kiedy będzie się mógł znaleźć na dole; ostatnie dziesięć minut wachty były irytujące jak działo, które się ociąga z wystrzałem. Ci ludzie nie należeli do świata bohaterskich przygód, ale niezłe z nich były chłopcy. Nawet sam szyper... Obrzydzenie zdjęło Jima na widok tej bryły dyszącego ciała, z której wydobywały się gardłowe pomruki — mętny strumyczek niechlujnych wyrażeń: lecz błoga ospałość zanadto nim ovladnęła, aby się mógł zdobyć na czynną antypatię w stosunku do czegokolwiek. Poziom tych ludzi był mu obojętny; ocierał się o nich, ale nic go nie obchodziło; oddychali tym samym powietrzem, lecz on był zupełnie inny... Czy też szyper rzuci się na mechanika?... Życie jest łatwe, a Jim taki jest pewien siebie — zanadto pewien siebie, aby... Granica dzieląca jego rozmyślanie od potajemnej drzemki na stojąco była cieńsza od nitki pajęczej.

Pomocnik mechanika, zmieniając temat z łatwością, jął rozpatrywać swą materialną pozycję i swą odwagę.

— Kto jest pijany? Ja? Nie, nie, panie kapitanie! Nic podobnego. Powinien pan przecie już wiedzieć, że szef zanadto jest skąpy, aby spoić nawet wróbla, do jasnej cholery. Nigdy w życiu nie byłem wstawiony; nie wynaleziono jeszcze trunku, który by *mnie* spoił. Mogę pić płynny ogień, a pan będzie pił to wasze whisky — ja kieliszek, pan kieliszek — i pozostanę chłodny jak lód. Gdybym myślał, że jestem pijany, skoczyłbym za burtę i byłby koniec ze mną, do jasnej cholery. Tak! Od razu! A z mostka nie zejść. Gdzież pan chce, żebym odetchnął świeżym powietrzem w taką noc jak dzisiejsza, co? Na pokładzie, wśród tego robactwa? To akurat do mnie podobne! Nie boję się pana — co mi pan może zrobić!

Niemiec podniósł ku niebu dwie ciężkie pięści i potrząsnął nimi z lekka, bez słowa.

— Ja nie wiem, co to strach — ciągnął mechanik z zapalem i szczerym przekonaniem. — Nie boję się całej tej, psiamac, roboty na tym zgniłym pudle, do jasnej cholery! A jaka to dla was gratka, że są na świecie tacy ludzie jak my, co nie drżą o swoją skórę — bo gdyby nie to, ładnie byście wyglądali — i pan, i ten tu stary gruchot, co ma obicie jak z szarego papieru — zupełnie jak z szarego papieru, żebym tak zdrów był. Panu to dobrze — wyciąga pan ze statku moc pieniędzy na wszystkie sposoby; a ja — co ja dostaję? Parszywe sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc — i to bez utrzymania. Pytam ja się pana z całym szacunkiem, uważa pan, z szacunkiem — kto by nie kopnął takiej podłej roboty? Człowiek nadstawia karku, żebym tak zdrów był, oj, nadstawia! Tylko że ja to jestem chłop nieustraszony...

Puścił barierę i wykonywał szerokie gesty, jak gdyby demonstrując w powietrzu kształt i objętość swej odwagi; jego piskliwy głos sunął w przeciągłych skrzekach nad morzem. Chwilami robił krok naprzód lub się cofał dla lepszego uwydatnienia swych słów i nagle rymnął głową w dół, jakby go pałnął kto z tyłu. „Psiakrew!” — mruknął, padając; chwila ciszy nastąpiła po jego gadaninie; i Jim, i szyper potknęli się jednocześnie: odzyskawszy równowagę, stali bardzo sztywno, patrząc wciąż w zdumieniu na niezamąconą gładkość morza. Potem spojrzeli w górę na gwiazdy.

Co to się stało? Maszyny dudniły i sapały bez przerwy. Czy ziemia zatrzymała się w biegu? Nie mogli nic zrozumieć; i nagle spokojne morze, niebo bez jednej chmurki wydały im się straszliwie niepewne w swym bezruchu, jak gdyby się ważyły nad krawędzią ziejącej zratry. Maszynista zerwał się na równe nogi i opadł znów jak bezkształtna masa; dobiegło z niej stłumione pytanie pełne głębokiej troski: „Cóż to znowu?” Przebrzmiał z wolna słaby odgłos niby grzmotu, niezmiernie odległego grzmotu — czegoś, co było słabsze od dźwięku i zaledwie mocniejsze od drgnienia — a statek zadrżał w odpowiedzi, jakby ów grzmot zawarczał gdzieś w głębi wody. Oczy Malajów u koła błysnęły ku białym, lecz ciemne ich ręce pozostały zamknięte na szprychach. Zdawało się, że ścięły kadłub, sunący w swą drogę, podnosi się kolejno o parę cali przez całą długość — jakby się stał giętki — po czym osiadł znów sztywno, wracając do pracy, i w dalszym ciągu pruł gładką powierzchnię morza. Drżenie kadłuba uspokoiło się, a nikły odgłos grzmotu nagle ustał, jakby statek przebył wąski pas rozedrganaj wody i dudniącego powietrza.

²³Wapping — osiedle we wsch. części Londynu, dawniej dzielnica portowa. [przypis edytorski]

Sen

Odwaga, Pijaństwo,
Robotnik

Morze, Natura,
Niebezpieczeństwo, Okręt

Dźwięk

ROZDZIAŁ CZWARTY

Mniej więcej w miesiąc później, gdy Jim odpowiadał na rzeczowe pytania, usiłując powiedzieć uczciwie prawdę o tym, co wówczas przeżył, wyraził się, mówiąc o statku:

— Przesunął się przez to coś tak łatwo jak wąż pełznący przez kij.

Porównanie było dobre; pytania dotyczyły faktów, a działo się to podczas urzędowego dochodzenia w sądzie do spraw karnych pewnego wschodniego portu. Jim stał z rozpalonymi policzkami na podwyższeniu przeznaczonym dla świadków, w chłodnej, wysokiej sali; wielkie ramy do *punkab*²⁴ poruszały się łagodnie tam i z powrotem wysoko nad jego głową, a z dołu wiele oczu patrzyło na niego z ciemnych twarzy, z białych twarzy, z czerwonych twarzy, z twarzy uważnych, urzeczonych, jak gdyby wszyscy ci ludzie siedzący karnymi rzędami na wąskich ławkach byli spętani czarem jego głosu. A głos ten, bardzo donośny, brzmiał przerażająco w uszach Jima; był to jedyny głos słyszalny na świecie, bo okropnie wyraźne pytania, które wydzierały mu odpowiedzi, zdawały się kształtować same przez się w jego własnej piersi wśród udręki i bólu, a docierały do niego, dotkliwe i ciche, jak straszne pytania zadane przez sumienie. Na dworze jaśniało słońce — na sali sądowej był wiatr od wielkich *punkab*, który przejmował dreszczem, był wstyd, który palił ogniem, były uważne oczy, których wzrok przeszywał na wskroś. Wygolona twarz sędziego patrzyła niewzruszenie na Jima, śmiertelnie blada między czerwonymi twarzami dwóch asesorów. Światło padało z góry, od szerokiego okna pod sufitem, na głowy i plecy trzech ludzi, którzy rysowali się z okrutną wyrazistością w półcieniu wielkiej sali sądowej, publiczność zaś składała się jakby ze spokojnych, zapatrzonych cieni. Żądali faktów. Faktów! Domagali się od niego faktów, jakby fakty mogły cośkolwiek wytłumaczyć!

— Kiedy pan doszedł do wniosku, żeście się zderzyli z czymś pływającym po wodzie, powiedzmy z zalanym wodą wrakiem, dostał pan rozkaz od kapitana, aby pójść na dziób i upewnić się, czy statek nie został uszkodzony. Czy pan uważał to za możliwe, sądząc po sile zderzenia? — zapytał asesor²⁵ siedzący z lewej strony.

Miał rzadką brodę w kształcie podkowy i wystające kości policzków; oparłszy oba łokcie na biurku, splótł kosmate ręce przed twarzą, patrząc w zamyśleniu na Jima niebieskimi oczami; drugi zaś, tęgi mężczyzna o pogardliwym obliczu, oparty o tylną poręcz krzesła, wyciągnął lewą rękę i bębnił leciutko końcami palców po suszce²⁶. Pośrodku siedział w obszernym fotelu wyprostowany sędzia, przechyliwszy nieco głowę i skrzyżowawszy ramiona na piersiach; kilka kwiatów w szklanym wazonie stało obok jego kałamarza.

— Nie, nie spodziewałem się tego — rzekł Jim. — Powiedziano mi, abym nikogo nie wołał i nie robił hałasu, żeby nie wzniecić paniki. Uznałem te ostrożności za słuszne. Wziąłem jedną z lamp, które wisiały pod płóciennym dachem, i poszedłem naprzód. Kiedy otworzyłem luk dziobowego skrajnika²⁷, usłyszałem plusk tam w środku. Wówczas spuściłem lampę na całą długość liny i zobaczyłem, że w dziobowym skrajniku woda sięga wyżej niż do połowy. Wtedy już wiedziałem, że musi tam być wielka dziura pod linią wodną. — Umilkł na chwilę.

— Tak — powiedział olbrzymi asesor, uśmiechając się z rozmarzeniem do suszki; przebierał nieustannie palcami, dotykając bezgłośnie bibuły.

— Nie myślałem wówczas o niebezpieczeństwie. Może byłem trochę zaskoczony tym wszystkim; stało się to tak spokojnie i tak bardzo nagle. Wiedziałem, że nie ma innej grodzi²⁸ na statku prócz grodzi zderzeniowej, oddzielającej skrajnik dziobowy od wnętrza przedniego. Wróciłem, aby zawiadomić o tym kapitana. Natknąłem się na drugiego mechanika, który dźwigał się na nogi u stóp schodków mostkowych; wyglądał na ogłuszonego i powiedział mi, że złamał chyba lewą rękę; schodząc ze schodków, obsunął się z górnego stopnia, gdy ja byłem na dziobie. Wykrzyknął: „Wielki Boże! Zgniła gródź ustąpi lada chwila i ten parszywy gruchot pójdzie z nami na dno, jak kamień”.

²⁴*punkab* a. *pankbā* — duży wachlarz z rozpiętego na ramie liścia palmy, piór lub materiału, używany w pld. Azji do wentylacji pomieszczeń. [przypis edytorski]

²⁵*asesor* — urzędnik towarzyszący sędziemu. [przypis edytorski]

²⁶*suszka* — przedmiot do osuszania papieru z atramentu. [przypis edytorski]

²⁷*skrajnik dziobowy* — pomieszczenie lub część wnętrza kadłuba zajmujące dziobową część statku. [przypis edytorski]

²⁸*gródź* — pionowa przegroda wewnątrz kadłuba statku, usztywniająca konstrukcję i dzieląca wnętrze na przedziały, co zwiększa niezatapialność jednostki w przypadku uszkodzenia dna lub poszycia. [przypis edytorski]

Odepchnął mnie prawą ręką i krzyżąc, wbiegł przede mną po schodkach. Lewa ręka zwisała mu u boku. Szedłem tuż za nim i widziałem, jak kapitan rzucił się na niego i powalił go na plecy. Nie uderzył go jednak; stał nad nim pochylony i mówił coś z gniewem, lecz zupełnie cicho. Pewnie pytał go, czemu, u diabła, nie pójdzie i nie zatrzyma maszyn zamiast drzeć się na cały pokład. Słyszałem, jak powiedział: „Wstawaj pan! Biegnij! Leć!”. Klął przy tym. Mechanik zsunął się po prawostronnych schodkach i obiegł wkoło luku świetlnego ku zejściu do maszynowni, które znajdowało się po lewej stronie. Biegł i jęczał...

Jim mówił powoli; przypominał sobie wszystko w mig, z niezmierną wyrazistością; byłby mógł odtworzyć jak echo jęk mechanika dla lepszego poinformowania tych ludzi, którzy żądali faktów. Z początku bunt go ogarnął, ale potem doszedł do przekonania, że tylko drobiazgowa dokładność zeznań uwydatni prawdziwą grozę kryjącą się za okropnymi pozorami. Fakty, których ci ludzie tak pożąдали, były widoczne, dotykalne, dostępne dla zmysłów i zajmowały swoje miejsce w przestrzeni i czasie; wydarzyły się na tysiąc-czterystatonowym parowcu w ciągu dwudziestu siedmiu minut wachty; składały się na całość mającą pewien charakter, subtelną wyrazistość, wygląd skomplikowany, który oko mogło zapamiętać — ale było tam coś jeszcze poza tym, coś niewidzialnego, jakiś władczy duch zagłady tkwiący wewnątrz jak nieprzyjazna dusza w obmierzłym ciele. Jim starał się usilnie to wszystko wyjaśnić. Nie była to zwykła historia, każdy jej szczegół miał wagę pierwszorzędą, a Jim na szczęście pamiętał wszystko. Pragnął mówić o tym wszystkim ze względu na prawdę, a może też i ze względu na siebie samego; i podczas gdy cedził poważnie wyrazy, jego myśli po prostu latały i latały naokoło zacieśnionego kręgu faktów, co się wyłoniły, odcinając go od reszty ludzi; był jak stworzenie uwięzione w ogrodzeniu z wysokich pali, które obija się w krąg, oszalałe wśród nocy, usiłując znaleźć jakieś słabsze miejsce, szparę, nierówności, po których można by się wdrapać, jakiś otwór pozwalający się przecisnąć i uciec. Ta okropna ruchliwość umysłu sprawiała, że chwilami Jim ociągał się, mówiąc.

— Kapitan wciąż chodził po mostku tam i z powrotem; wydawał się dosyć spokojny, tylko potknął się kilkakrotnie; a raz, kiedy stał i mówił do niego, wszedł wprost na mnie, jakby był zupełnie ślepy. Nie odrzekł nic konkretnego na wszystko, co musiałem mu powiedzieć. Mruczał coś pod nosem; zrozumiałem z tego tylko parę słów; zdaje mi się, że powiedział: „ta, psiakrew, para!” i „przeklęta para!” — coś o parze. Przyszło mi na myśl...

Jim zaczął odbiegać od tematu; rzeczowe pytanie przecięło mu mowę jak skurcz bólu. Poczul się niezmiernie znużony i zniechęcony. Już, już miał to na końcu języka, a teraz, zatrzymany brutalnie, musiał odpowiedzieć: tak lub nie. Odrzekł szczerze i krótko: „Tak”. Stał wyprostowany na podwyższeniu — wysoki, okazały, o jasnej twarzy i młodzieńczych, posępnych oczach — a dusza wiła się w nim po prostu. Odpowiedział jeszcze na jedno pytanie, takie bardzo rzeczowe i takie zbyt ciche, po czym znów czekał. W ustach miał to suchość bez smaku, jak gdyby najadł się kurzu, to znowu słoność i gorycz, niiby po napiciu się morskiej wody. Obtarł wilgotne czoło, przesunął językiem po spiekłych wargach i poczuł dreszcz przebiegający mu po grzbiecie. Tęgi asesora opuścił powieki i bębnił bezgłośnie palcami, obojętny i ponury; oczy drugiego zdawały się jaśnieć życzliwością sponad splecionych rąk, spalonych przez słońce; sędzia pochylał się naprzód, jego blada twarz unosiła się nad kwiatami, wreszcie osunął się bokiem na poręcz fotela i oparł skroń na rękę. Wiatr sphywał od *punkab*, wirując na głowy, na ciemne twarze krajowców zawiniętych w obfite draperie, na Europejczyków w ubraniach z dymki²⁹ zdającej się przylegać jak skóra; biali siedzieli razem, bardzo zgrzani, trzymając na kolanach okrągłe hełmy korkowe; pod ścianami przemykali sadowi policjanci, krajowcy, opięci ciasno w długie białe kapoty; migali szybko tu i tam, biegając boso na palcach, przepasani czerwonymi szarfami, w czerwonych turbanach na głowie, bezszelestni jak cienie i czujni jak psy gończe.

Oczy Jima, błędzące po sali w przerwach między odpowiedziami, zatrzymały się na białym, który siedział oddzielnie; miał twarz zniszczoną i chmurną, a spokojne jego oczy patrzyły wprost na Jima, jasne i pełne zainteresowania. Jim odpowiadał właśnie na jakies

Prawda, Pamięć, Więzienie,
Słowo

Ciało, Duch, Dusza

Ciało, Dusza

Wzrok

²⁹dymka — rodzaj tkaniny z bawełny, lnu lub konopi. [przypis edytorski]

pytanie i miał ochotę krzyknąć: „Po co to wszystko! Po co!” Uderzał z lekka nogą o podium, przygryzał wargi i patrzył w dal ponad głowami. Napotkał oczy białego. Spojrzenie utkwione w nim różniło się od urzuczonego wzroku innych widzów. Był to akt światłej woli. Jim zapomniał się tak dalece między dwoma pytaniami, że znalazł czas, aby pomyśleć: „Ten człowiek patrzy na mnie, jakby widział kogoś czy coś za moimi plecami”. Jim spotkał go już kiedyś — może na ulicy. Był pewien, że nigdy z nim nie rozmawiał. Od dni, od wielu dni nie mówił do nikogo, lecz rozprawiał po cichu, bez ładu i bez końca, z samym sobą, jak samotny więzień w celi lub wędrowiec zagubiony wśród dzikiej głuszy. Teraz odpowiadał na pytania — które nie miały żadnego znaczenia, choć dążyły do określonego celu — ale wątpił o tym, czy się jeszcze kiedykolwiek w życiu wypowie. Dźwięk jego własnych, szczerych zeznań utwierdzał go w przekonaniu, powziętym po dłuższej rozwadze, że mowa jest już dlań zbyt cenna. Miał wrażenie, iż tamten człowiek zdaje sobie sprawę z jego beznadziejnych trudności. Jim popatrzył na niego, po czym odwrócił się stanowczo, jakby w chwili ostatecznej rozłąki.

Słowo

A później niejednokrotnie, w odległych częściach świata, Marlow przejawiał skłonność do wspomniania Jima, do szczegółowych i głośnych rozpamiętywań na jego temat.

Może zdarzyło się to po obiedzie, na werandzie udrapowanej w nieruchome listowie, uwieńczonej kwiatami, w głębokim mroku pocętkowanym ogieńkami cygar. Wydłużone kształty trzcinowych foteli gościły milczących słuchaczy. Niekiedy żarzący się, czerwony krążek poruszał się niespodziewanie, oświetlając palce leniwej ręki i część twarzy pogrążonej w głębokim spokoju, albo rzucał karmazynowe błyski w dwoje zadumanych oczu ukrytych w cieniu gładkiego czoła.

A z pierwszym słowem Marlowa jego postać, wyciągnięta spokojnie na leżaku, zapadała w zupełny bezruch. Wydawało się, że duch tego człowieka odlatuje wstecz, w minione czasy i przemawia jego wargami — z przeszłości.

ROZDZIAŁ PIĄTY

O tak. Byłem obecny na sprawie — mówił Marlow — i do dziś dnia nie przestaję się dziwić, po co tam chodziłem. Gotów jestem uwierzyć, że każdy z nas ma swego anioła stróża, jeśli zgodzicie się ze mną, że każdy z nas ma również swego własnego diabła. Chcę, abyście się do tego przyznali, ponieważ pod żadnym względem nie lubię się czuć wyjątkiem, a wiem, że go mam — mówię o swoim diable. Nie widziałem go oczywiście — ale opieram się na dowodach rzeczowych. Krąży koło mnie z pewnością, a że jest złośliwy, robi mi kawały tego rodzaju. Zapytacie, jakiego rodzaju? No więc takie jak ta cała sprawa sądowa, jak ta historia z żółtym psem. — Powiedźcie tylko, do czego to podobne, aby pozwalano parszywemu malajskiemu kundlowi plątać się ludziom między nogami na werandzie sali sądowej, co? — A te podstępne, nieoczekiwane, iście szatańskie podejścia, dzięki którym natykam się na ludzi o różnych słabościach, narowach, ukrytych skazach, na Boga! ludzi, którym mój widok rozwiązuje języki, pobudzając ich do piekielnych zwierzeń; jak gdybym doprawdy sam przed sobą nie miał się z czego zwierzać, jak gdybym — niestety — nie posiadał aż nadto poufnych wiadomości o samym sobie, wiadomości, które będą dręczyły moją duszę aż do końca wyznaczonych mi dni. I pragnąłbym wiedzieć, co uczyniłem, aby być wyróżniany w ten sposób. Oświadczam, że tyle mam własnych spraw na głowie co i wszyscy ludzie, a pamięć taką samą jak każdy przeciętny pielgrzym na tym padole; widzicie zatem, że nie nadaję się szczególnie na studnię zwierzeń. Więc dlaczego mnie to spotyka? Nie mam pojęcia — chyba dlatego, aby czas mijał prędko po obiedzie. Karolku, chłopcze kochany, twój obiad był znakomity i z tego powodu ci oto panowie uważają spokojnego robra³⁰ za zbyt burzliwe zajęcie. Wylegają się na twoich wygodnych fotelach i mówią sobie: „Ani myślę się fatygować. Niech tam ten Marlow gada”.

Anioł, Kondycja ludzka, Szatan

A więc będę mówić! Niech i tak będzie. A wcale łatwo jest mówić o Imć Panu Jimie po dobrej wyzerce, siedząc dwieście stóp nad poziomem morza, z pudełkiem porządnym cygar pod ręką, w rozkoszny wieczór pełen świeżości i gwiazdowego blasku, wieczór, który by i najlepszem z nas kazał zapomnieć, że znajdujemy się tu tylko na krótkim urlopie

Kondycja ludzka, Obraz świata

³⁰*rober* (z ang. *rubber*) — w grze w karty (brydżu, wincie, wiście) zamknięta faza gry, złożona z określonej liczby partii i zakończona podliczeniem punktów. [przypis edytorski]

i że nadal musimy wynajdywać na rozstajach naszą własną drogę, bacząc czujnie na każdą cenną minutę, każdy nieodwołalny krok, wierząc jednak, że w końcu zdołamy wybrnąć z tego przyzwoicie — choć niezbyt pewni siebie w gruncie rzeczy. I diablo mało możemy liczyć na pomoc tych, o których się ocieramy na prawo i na lewo. Naturalnie, że tu czy tam trafiają się ludzie, dla których całe życie jest jak poobiednia godzina spędzona z cygarem w ręku; łatwe, przyjemne, puste, może urozmaicone jakąś bajką o walce — bajką, o której się zapomina, nim się jej wysłuchało do końca — nim się jej wysłuchało — nawet jeśli się zdarza, że bajka ma jakiś koniec.

Nasze oczy spotkały się po raz pierwszy w czasie tego śledztwa. Trzeba wam wiedzieć, że każdy, kto miał jakikolwiek związek z morzem, był tam na sali, ponieważ sprawa stała się głośna od chwili, gdy ów tajemniczy telegram kablowy przyszedł z Adenu i rozpełtał nam wszystkim języki. Nazywam go tajemniczym, choć zawierał nagi fakt — tak dalece nagi i brzydki, jakim tylko fakt być może. Całe wybrzeże o niczym innym nie mówiło. Z samego rana słyszałem już przez gródź, ubierając się w kajucie, mego Persa, Dubosza, paplącego o „Patnie” ze stewardem, który został dopuszczony łaskawie do wypicia w kredensie filiżanki herbaty. Ledwie się znalazłem na brzegu, spotykałem kogoś znajomego, a ten pytał od razu: „Słyszał pan kiedyś o czymś podobnym?”, i — zależnie od swojej natury — uśmiechał się z cynizmem albo wyglądał pośepnie, albo rzucał parę przekleństw. Ludzie zupełnie obcy zaczepiali się poufale tylko po to, aby ulżyć sobie w duchu na ten temat; byle łazik z miasta znajdował okazję do porządnej wypitki, rozprawiając o tej historii; słyszało się o niej w urzędzie portowym, u każdego dostawcy okrętowego, u agentów; była na ustach białych, krajowców, Metysów, i — słowo daję — nawet półnagich wioślarzy siedzących w kucki na kamiennych schodach, którymi się szło w górę. Trochę się oburzano, żartów strojono co niemiara i rozprawiano bez końca na temat, co też się mogło stać z tymi ludźmi. Ciągnęło się to już parę tygodni lub więcej i zaczynała przeważać opinia, że to, co było tajemnicze w tej sprawie, okaże się w końcu tragiczne, aż pewnego pięknego poranku, gdy stałem w cieniu obok schodów prowadzących do urzędu portowego, spostrzegłem czterech ludzi idących ku mnie bulwarem. Dziwiłem się przez chwilę, skąd się wzięła ta dziwna kompania, i nagle, że tak powiem, krzyknąłem w duchu: „Oto oni!”

Byli to naturalnie oni — trzech o zwykłych wymiarach, a czwarty o tuszy przekraczającej znacznie objętość normalnego człowieka. Wsunąwszy porządne śniadanie, wysiedli właśnie przed chwilą z parowca linii Dale, dążącego na Wschód, który to parowiec przybył mniej więcej w godzinę po wschodzie słońca. Omyłka była niemożliwa; poznałem jowialnego szypra „Patny” od pierwszego spojrzenia: najtłuściejszy człowiek w całym przeklętym pasie podzwrotnikowym naokoluteńko naszej poczciwej starej ziemi. Z jakie dziewięć miesięcy przedtem zetknąłem się z nim w Semarangu. Parowiec jego brał ładunek w Roads, a on wymyślał na tyrańskie urządzenia cesarstwa niemieckiego i żłopał piwo od rana do wieczora, dzień po dniu, w pokoju za sklepem De Jongha; aż wreszcie De Jongh, który liczył mu guldena³¹ od flaszki bez zająknienia, wziął mnie na stronę i oświadczył poufnie, marszcząc swą małą, jakby skórzaną twarzyczkę: „Interes interesem, ale kiedy patrzę na tego człowieka, panie kapitanie, to aż mi się robi niedobrze. Tfu!” Stojąc w cieniu, patrzyłem na szypra „Patny”. Szedł spiesznie, wyprzedzając nieco tamtych, a promienie słońca biły w niego, uwydatniając jego objętość w sposób zastraszający. Przywodził na myśl tresowane słoniątko chodzące na tylnych nogach. A przy tym był cudacznie jaskrawy — miał na sobie wybrudzoną pidżamę w jasnozielone i ciemnopomarańczowe pionowe pasy; gołe jego nogi były obute w parę obszarpanych słomianych chodaków, a na wielkiej głowie tkwił wyrzucony przez kogoś korkowy hełm, bardzo brudny i o dwa numery za mały, przywiązany sznurkiem z manili na samym czubku. Zrozumiecie, że człowiek, który tak wygląda, nie może mieć ani krzty szczęścia, kiedy przyjdzie mu pożyczyć ubranie. No i dobrze. Zbliżał się z gorączkowym pośpiechem, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, przeszedł o trzy stopy ode mnie i w niewinności swego serca popędził w górę po schodach do portowego urzędu, aby złożyć zeznanie czy raport, czy jak wam się spodoba to nazwać.

Ciało, Strój

³¹*gulden* — dawna jednostka walutowa Holandii, zastąpiona w 2002 przez euro. [przypis edytorski]

Podobno zwrócił się przede wszystkim do głównego inspektora żeglugowego. Archie Ruthvel przyszedł właśnie do biura i — jak mi później opowiadał — zaczynał mozolny dzień od zmycia głowy głównemu swemu urzędnikowi. Może który z was znał Ruthvela — taki ugrzeczniomy, mały portugalski Metys, o nędznej, wychudłej szyi, czyhający stale na to, aby wyłudzić od szyprów jakieś wiktuały — kawał solonej wieprzowiny, worek sucharów, trochę kartofli i w ogóle, co się tylko dało. Pamiętam, że podczas jednej podróży darowałem mu żywą owcę z reszty mych morskich zapasów; wcale nie dlatego, abym czegoś od niego potrzebował — bo nie mógł nic dla mnie uczynić — ale jego dziecinna wiara w swoje święte prawo do ubocznych dochodów po prostu wzięła mnie za serce; była tak silna, że stawiała się niemal piękna. Jego rasa — a raczej obie rasy — i w dodatku klimat... No, ale mniejsza, o to. Wiem, gdzie znajdę przyjaciela na śmierć i życie.

Ruthvel mówił mi, że właśnie w trakcie dawania nauk swemu urzędnikowi — przypuszczam, że na temat etyki obowiązującej stan urzędniczy — posłyszał za sobą jakieś stłumione poruszenie; odwrócił głowę i ujrzał — wedle jego własnych słów — coś okrągłego i olbrzymiego, co przypominało beczkę z cukrem wagi tysiąca sześciuset funtów³², zawiniętą w pasiastą flanelę i ustawioną na środku rozległego biura. Tak go to zaskoczyło, iż przez dłuższy czas nie zdawał sobie sprawy, że to coś jest żywe, i siedział bez ruchu, rozmyślając, w jakim celu i jakim sposobem ten przedmiot znalazł się przed jego biurkiem. W sklepionych drzwiach prowadzących do przedpokoju tłoczyli się ludzie obsługujący *punkab*, zamiatacze, krajowi policjanci, bosman i załoga portowej szalupy parowej — a wszyscy wyciągali szyje i prawie wśliznęli jeden drugiemu na plecy. Zupełnie jak podczas jakichś rozruchów. Tymczasem ów osobnik z wysiłkiem zdarł z głowy kapełusz i sunął w lekkich ukłonach ku Ruthvelowi; według własnych słów Ruthvela było to tak niepokojące, iż przez pewien czas słuchał przemowy zjawiska, nie mogąc wyrozumieć, o co właściwie mu chodzi. Mówiło głosem ochrypłym, ponurym, lecz nieustraszonym i stopniowo Ruthvel zrozumiał, iż to jest dalszy ciąg wypadku „Patny”. Opowiadał mi, że w chwili gdy pojął, kto przed nim stoi, zrobiło mu się dosłownie słabo — Archie taki jest wrażliwy i tak łatwo się wzrusza — ale opanował się i krzyknął:

— Dość tego! To nie moja rzecz pana słuchać. Musi pan się zgłosić do kapitana portu. Ja stanowczo nie mogę pana wysłuchać, to kapitan Elliot jest od tego. Tędy, o, tędy.

Zerwał się z krzesła, obiegł długi kontuar, ciągnął szypra, popychał, a ów dał się prowadzić, zaskoczony, lecz posłuszny na razie, i dopiero u wejścia do prywatnego gabinetu kapitana, jakby pod wpływem zwierzęcego instynktu, zaczął się opierać i prychać jak przestraszony byk.

— No, no! Co to jest? Proszę mnie puścić! No, panie!

Archie otworzył gwałtownie drzwi bez pukania.

— Dowódca „Patny”, panie kapitanie! — krzyknął. — Proszę, niech pan wejdzie.

Widział, jak staruszek podniósł głowę znad papierów tak gwałtownie, że aż binokle spadły mu z nosa. Archie zatrzasnął drzwi i uciekł do biura, gdzie różne papiery czekały na jego podpis; ale — opowiadał mi — awantura, która wybuchła w tamtym pokoju, była tak straszna, że nie mógł się na tyle opanować, aby sobie przypomnieć litery własnego nazwiska. Archie jest najwrażliwszy ze wszystkich inspektorów żeglugowych na obu półkulach. Oświadczył mi, że miał wówczas wrażenie, jakby rzucił człowieka głodnemu lwu na pożarcie. Nie ma dwóch zdań, hałas był wielki. Słyszałem go z dołu i mam wszelkie dane po temu, że słyszano go wyraźnie poprzez całą Esplanadę³³ aż do pawilonu dla orkiestry. Stary dziadzio Elliot posiadał wielki zasób słów i umiał krzyczeć, a wszystko mu było jedno na kogo. Byłby krzyczał i na samego wicekróla. Mawiał do mnie nieraz w te słowa:

— Wyższego stanowiska już nie dostanę; emeryturę mam zapewnioną. Odłożyłem sobie tam z parę funtów³⁴ i jeśli się moje poglądy na obowiązek komu nie podobają, każdej chwili mogę wrócić do kraju. Jestem starym człowiekiem i zawsze mówiłem otwarcie, co myślę. Teraz chodzi mi tylko o to, żeby przed śmiercią wydać za mąż moje dziewczętą.

³²*funt* — tu: dawna angielska jednostka wagi równa ok. 0,45 kg. [przypis edytorski]

³³*esplanada* — pas niezabudowanej przestrzeni; dawniej wolna przestrzeń między miastem a twierdzą, z czasem esplanady zamieniano w tereny zielone, służące spacerom. [przypis edytorski]

³⁴*funt* — tu: brytyjska jednostka monetarna. [przypis edytorski]

Miał na tym punkcie lekkiego bzika. Jego trzy córki były strasznie miłe, choć zdumiewająco przypominały ojca, a w te ranki, kiedy stary Elliot budził się z ponurym przezcuciem co do ich matrymonialnych widoków, całe biuro wyczytywało to z jego oczu i trzęsło się, ponieważ, jak mówiono, kapitan z pewnością pożre kogoś na śniadanie. Jednak owego ranka nie pożarł renegata, ale — jeśli mi wolno doprowadzić metaforę do końca — zżuł go na miazgę, że tak powiem, i — ach! wypluł go.

Tedy³⁵ w bardzo krótkim czasie ujrzałem znów potworną postać szypra, który zbiegł po stopniach w pośpiechu i zatrzymał się u zewnętrznych schodów. Przystanął blisko mnie i zamyślił się głęboko; jego wielkie, purpurowe policzki drgały. Gryzł wielki palec, a po chwili zauważył mnie i zmierzył spode łba wściekłym spojrzeniem. Trzej inni, którzy z nim wylądowali, tworzyli małą gromadkę czekającą opodal. Był wśród nich wybladły, niepozorny człowieczek z ręką na temblaku i długi osobnik w granatowym flanelowym kaftanie, suchy jak wiór i nie grubszy niż kij od szczotki; miał obwisłe, siwe wąsy i rozglądał się z niefrasobliwą głupotą. Trzecim był prosto się trzymający, barczysty młodzieniec z rękami w kieszeniach, zwrócony tyłem do tamtych dwóch, którzy zdawali się prowadzić jakąś poważną rozmowę. Patrzył poprzez pustą Esplanadę. Zniszczony, okryty pyłem powozik z żaluzjami zatrzymał się naprzeciw tej grupy i woźnica, położywszy prawą nogę na kolanie, oddał się krytycznemu przeglądowi swych palców. Młody człowiek stał nieruchomo, nie poruszając nawet głową, i patrzył po prostu w blask słońca. Oto, jak po raz pierwszy ujrzałem Jima. Wyglądał tak obojętnie i nieprzystępnie, jak to się zdarza tylko u młodych. Stał, trzymając się mocno na nogach, harmonijnie zbudowany, z twarzą pełną szczerości i robił wrażenie najbardziej obiecującego chłopca pod słońcem; a gdy tak na niego patrzyłem, wiedząc o wszystkim, co on wiedział, i jeszcze o paru rzeczach poza tym, zdjął mnie gniew, jakbym go przyłapał na wyłudzeniu czegoś ode mnie pod fałszywym pozorem. Nie powinien był tak wyglądać. Pomyślałem sobie w duchu — no, jeśli człowiek tego rodzaju może zjechać na psy... i zdawało mi się, że ze zmartwienia cisnę na ziemię kapelusze i podepczę go — widziałem raz, jak to zrobił szyper włoskiego barku³⁶, ponieważ jego cymbał pomocnik poplątał coś z kotwicami, gdy w biegu cumował się do boi kotwicznej na redzie pełnej statków. Zapytywałem siebie, patrząc na pozorną swobodę tego chłopca — czy on jest taki ograniczony, czy też zatwardziały? Wydawało się, iż za chwilę zacznie pogwizdywać. A zważcie, że zachowanie tamtych dwóch nic a nic mnie nie obchodziło. Ich osoby pasowały jakoś do historii, która była na wszystkich językach i miała się stać przedmiotem urzędowego śledztwa.

— Ten stary bzik, ten łotr tam na górze nazwał mnie psem — rzekł kapitan „Patny”.

Nie zdaję sobie sprawy, czy mnie poznał — myślę, że raczej tak, ale w każdym razie nasze spojrzenia się spotkały. Wytrzeszczył na mnie oczy, a ja się uśmiechnąłem: pies był najłagodniejszym z epitetów, które dosięgły mnie przez otwarte okno.

— Doprawdy — rzekłem, bo dziwnie jakoś język mnie świerzbil.

Szyper kiwnął głową, przygryzł znów wielki palec, mruknął jakieś przekleństwo; wreszcie podniósł głowę i rzekł, patrząc na mnie z posępną i zażartą bezczelnością:

— Co mi tam! Pacyfik jest wielki, mój przyjacielu. Choćbyście pękli, nic mi nie zrobicie, przekłete Angliki; wiem dobrze, gdzie się znajdzie w bród miejsca dla takiego jak jak człowieka; mam dużo znajomych w Apia, w Honolulu, w...

Urwał i namyślał się, a ja mogłem sobie wyobrazić bez trudu „znajomych”, z którymi przestawał w owych miejscowościach. Nie będę tał, że i ja także przestawałem z wielu ludźmi tej kategorii. Bywają czasy, kiedy człowiek musi postępować tak, jakby życie było jednakowo słodkie w każdym towarzystwie, przeżywałem i takie czasy, i co więcej, nie myślę teraz stroić nad tym smętnych min, gdyż niejedyn człowiek z owego złego towarzystwa — wskutek braku moralnego... moralnego... jakby to powiedzieć? nastawienia lub wskutek innej, równie głębokiej przyczyny — był dwakroć ciekawszy i stokroć zabawniejszy niż zwykły szacowny kupiec-szachraj, którego zapraszacie do stołu bez żadnej istotnej potrzeby — z przyzwyczajenia, z tchórzostwa, z dobroduszości, z tysiąca przyczyn obłudnych i niewłaściwych.

³⁵tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

³⁶bark — trójmasztowy żaglowiec z ozagłowaniem rejomym na pierwszych dwóch masztach a gaflowym na ostatnim. [przypis edytorski]

— Wszycyście dranie, wy, Anglicy — ciągnął mój patriotyczny Australijczyk ze Szczecina czy Flensburga.

Nie pamiętam już teraz, który z porządných małych portów bałtyckich był gniazdem tego cennego ptaka.

— Jakim prawem pan na mnie krzyczy? Co? Odpowiadaj pan! Nie jesteś pan lepszy od innych, a ten stary, zbzikowany drań urządził mi wściekłą awanturę.

Opasłe cielsko szypra drżało na nogach podobnych do dwóch słupów; drżało od stóp aż do głowy.

— To u was, Anglików, jest w zwyczaju wyprawianie piekielnych awantur o lada głupstwo, dlatego że się człowiek nie urodził w waszym, psiakrew, kraju. Odbierze mi świadectwo. A odbieraj sobie! Nie potrzebuję żadnego świadectwa. Taki człowiek jak ja nie potrzebuje waszych *verfluchte*³⁷ świadectw. Pluję na nie. — Splunął. — Przyjmuję obywatelstwo amerykańskie — krzyczał, piniąc się z wściekłości i suwając nogami, jak-by je chciał wyswobodzić z jakiegoś niewidzialnego, tajemniczego uchwytu, który nie pozwalał mu ruszyć z miejsca.

Taki był rozgorączkowany, że z jego okrągłej głowy literalnie się dymilo. Przyczyna, która nie pozwalała mi odejść, nie była wcale tajemnicza: ciekawość jest najbardziej zrozumiałym z uczuć i ona to właśnie trzymała mnie na miejscu; pragnąłem się przekonać, jakie wrażenie wywrze wiadomość o wszystkim, co zaszło, na tym chłopcu, który z rękami w kieszeniach stał tyłem do trotuaru, spoglądając ponad trawniki Esplanady ku złotemu portykowi hotelu „Malabar”, i miał minę człowieka wybierającego się na spacer, z chwilą gdy jego kolega będzie gotów. Tak właśnie wyglądał i to było wstrętne. Czekałem, chcąc zobaczyć, jak go owa wiadomość przytłoczy, zmiesza, przebijie na wskroś; sądziłem, że będzie się wil jak chrząszcz nadziany na szpilkę — i bałem się to zobaczyć — nie wiem, czy mnie rozumiecie. Nic okropniejszego, jak śledzić człowieka, który został przyłapany nie na zbrodni, lecz na gorszej niż zbrodnia słabości. Przeciętna moralna dyscyplina nie pozwala nam popełniać zbrodni — w prawnym znaczeniu tego wyrazu; ale nikt z nas nie czuje się bezpieczny wobec jakiejś słabości nieznaney — choć może podejrzewanej, tak jak w niektórych częściach świata podejrzewamy, że każdy gąszcz kryje jadowitego węża; wobec słabości, która się może przyczaić w ukryciu, czy ją śledzimy, czy też nie — od której szukamy ucieczki w modlitwie albo gardzimy nią po męsku; którą tłumimy lub też nie wiemy, że istnieje przez więcej niż pół życia. Człowiek daje się zniecka wciągać w sprawy, za które mu wymyślają, albo w sprawy trącające szubienicą, a jednak duch jego może przetrwać to wszystko — przetrwać ogólne potępienie, a nawet i strzyk — zaiste! A zdarzają się czasem rzeczy — na pozór dość blahe — które zupełnie gubią pewnych ludzi. Obserwowałem tego młodego chłopca. Podobał mi się z powierzchowności; znałem ludzi tego typu; pochodził z dobrego gniazda — był jednym z nas. Przedstawiał tu cały pokrewny mu rodzaj, kobiet i mężczyzn ani szczególnie zdolnych, ani bardzo zajmujących — ludzi, których istnienie opiera się po prostu na uczciwej wierze i instynktownej odwadze. Nie chodzi mi o odwagę wojskową ani odwagę cywilną, ani żaden specjalny rodzaj odwagi. Mam na myśli tę wrodzoną zdolność do spojrzenia pokusie prosto w oczy — gotowość bynajmniej nie intelektualną, lecz pozbawioną pozy — odporność, być może, wyzbytą z wdzięku, ale bezcenną — instynktowną i błogosławioną, nieugiętość wobec zewnętrznych i wewnętrznych trwóg, wobec potęgi przyrody, wobec kuszącego ludzkiego zepsucia — nieugiętość popartą przez wiarę, która nie ulega sile faktów, niedostępna jest dla zarazy przykładu, dla ponęt idei. Precz z ideami! To są włóczęgi, łażiki, co się dobierają do tylnych drzwi duszy, aby cząstka po cząstce unosić naszą istotę; aby wykradać okruchy wiary — tej wiary w parę prostych pojęć, których człowiek musi się trzymać, jeśli chce żyć przyzwoicie i mieć lekką śmierć.

Wszystko to nie ma nic wspólnego z Jimem; ale jego wygląd był typowym wyglądem człowieka z tego zacnego, rzadkiego gatunku, który przyjemnie jest czuć wkoło siebie; gatunek niespaczony przez wybryki inteligencji i dziwactwa... dziwactwa, powiedzmy, nerwów. Był to rodzaj człowieka, któremu by się oddało — na podstawie jego wyglądu — statek w opiekę, mówiąc dosłownie i w przenośni. Twierdzę, że byłbym to zrobił, a powinienem się przecież znać na tym. Czyż swego czasu nie wychowałem sporo chłopców,

Czyn, Hańba, Zbrodnia,
Wąż

Pozycja społeczna,
Sumienie, Odwaga

³⁷*verfluchte* (niem.) — przeklęte. [przypis edytorski]

aby służyli brytyjskiej banderze, aby uprawiali ten zawód, którego cała tajemnica da się zawrzeć w jednym krótkim zdaniu — a jednak trzeba ją wbijać dzień po dniu w młode głowy, póki się nie stanie składową częścią każdej ich myśli na jawie — póki nie zawładnie każdym snem ich młodości! Morze było dla mnie łaskawe, ale kiedy sobie przypomnę wszystkich tych chłopców, co przeszli przez moje ręce — niektórzy z nich są już dorośli, inni utonęli w morzu, a wszyscy byli dobrym materiałem na marynarzy; kiedy ich sobie przypominam, nie sądzę wcale, aby moja praca była jałowa. Gdybym jutro miał się znaleźć w kraju, założę się, że przed upływem dwóch dni jakiś opalony młody pierwszy oficer przyłapałby mnie u wejścia do któregoś z doków i zapytałby czystym, głębokim głosem: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Przecież jestem mały ten a ten. Taki a taki okręt. To była moja pierwsza podróż”. A mnie by stanął w pamięci onieśmielony brzdąc, nie wyższy od poręczy tego krzesła, odprowadzany przez matkę, a często i dorosłą siostrę; widzę, jak stoją obie na bulwarze, bardzo spokojne, lecz zbyt wzruszone, by powiewać chustką ku statkowi, co sunie powoli między dwoma występami mola; lub może przypomniałbym sobie jakiego zacnego ojca w średnich latach, który przybył wcześniej, aby odprowadzić swego chłopca, i został na pokładzie przez cały ranek, okazując niezmiernie zainteresowanie wyciągiem kotwicznym; został za długo — i musi gramolić się na brzeg w ostatniej chwili, kiedy nie ma już czasu się żegnać. Pilot na rufie woła do mnie, przeciągając śpiewnie: „Panie pomocniku, niech no pan przytrzyma linę na chwilę. Tu jest jeszcze jeden pan, co chce wysiąść. No, dalej, panie! Mało brakowało, abyśmy powieźli pana do Talcahuano! Teraz niech pan wysiada; powoli... Dobrze. Puszczajcie tam linę na przodzie”. Holowniki, dymiące jak otchłań potępienia, pochwyciły nas i młocą starą rzekę, przyprowadzając ją o wściekłość; pan na brzegu otrzepuje sobie z kurzu kolana — dobrotliwy steward rzuca za nim jego parasol. Wszystko, jak się należy. Ów pan złożył swoją ofiarę morzu, a teraz pójdzie do domu, udając, że wcale o tym nie myśli — zaś ta dobrowolna ofiara w postaci jego syna bardzo będzie cierpiała na morską chorobę, nim ranek nadejdzie. Z czasem, kiedy nauczy się wszystkich mniejszych sekretów swego zawodu i jednej jego wielkiej tajemnicy — będzie zdalny do życia lub gotowy na śmierć na morzu — zależnie od jego wyroku; a człowiek, co przykładał rękę do tej szaleńczej gry, w której morze zawsze jest górą, z przyjemnością poczuje na plecach uderzenie młodej, ciężkiej ręki i usłyszy wesoly głos morskiego szczeniaka: „Czy pan mnie pamięta, panie kapitanie? Jestem mały ten a ten”.

Mówię wam — że to daje zadowolenie; świadczy, że przynajmniej raz w życiu człowiek wykonał robotę, jak się należy. Trzepnięto mnie tak nieraz w plecy; wzdrygałem się, bo uderzenie było silne, a potem cieszyłem się przez cały dzień i kładąc się do łóżka, czułem się mniej samotny na świecie dzięki temu serdecznemu trzepnięciu. Ja bym nie miał pamiętać tych smyków! Mówię wam, że chyba się znam na tym, jak przyzwoity człowiek powinien wyglądać. Byłbym powierzył temu młodzikowi statek na podstawie jednego rzuconego na niego spojrzenia, zasnąłbym najspokojniej i — jak mi Bóg miły — to by nie było bezpieczne. Całe głębie zgrozy są w tej myśli. Wyglądał pełnowartościowo jak nowa moneta — a jednak była w tym metalu jakaś szatańska domieszka. Jak dużo jej było? Tylko odrobina, kropelka czegoś niezwykłego i przekłętogo — drobniotka kropelka! Gdy tak stał z tą swoją niedbałą, lekceważącą miną, zadałem sobie pytanie — czy nie jest on przypadkiem ulany z metalu bardzo pospolitego?

Trudno mi było w to uwierzyć. Pragnąłem ujrzeć jego udrekę — pragnąłem tego dla honoru mego zawodu. Tamci dwaj faceci spostrzegli swego kapitana i ruszyli z wolna w naszą stronę. Rozmawiali, idąc ku nam powoli, i tak zupełnie nie brałem ich pod uwagę, jakby się ich wcale gołym okiem nie dostrzegało. Szczerzyli zęby do siebie; opowiadali sobie pewnie jakieś kawały, o ile mogłem sądzić. Widziałem, że jeden z nich ma złamaną rękę; drugi zaś — wysokie indywidualum o siwych wąsach, główny mechanik — była to z wielu względów wcale znana osobistość. Jeden z drugim — nicość zupełna. Zbliżyli się. Szyper patrzył martwo w jakiś punkt między swymi stopami; zdawało się, że spuchł do nienaturalnych rozmiarów wskutek jakiejś okropnej choroby lub tajemniczego działania nieznannej trucizny. Podniósł głowę, ujrzał przed sobą tych dwóch czekających na niego, otworzył usta z dziwnym, szyderczym grymasem na rozdętej twarzy — pewnie, aby coś im powiedzieć — gdy wtem uderzyła go widać jakaś myśl. Jego grube, prawie

Dorosłość, Morze, Ojciec,
Matka, Okręt, Syn

fioletowe wargi zamknęły się bez dźwięku; ruszył stanowczym krokiem ku powozikowi, kołysząc się jak kaczką, i zaczął szarpać klamkę drzwiczek z tak brutalną niecierpliwością, że zdawało się — cała buda przewróci się razem z kucykiem. Woźnica, wyrwany z medytacji nad swoją stopą, ujawnił natychmiast wszystkie oznaki potężnego strachu i trzymał się kozła oburącz, patrząc na pękate cielsko torujące sobie drogę do jego wehikułu. Mały powozik trząsł się i kiwał hałaśliwie, a pochylony, szkarłatny kark szypra, objętość wyprężonych ud, olbrzymie, falujące, brudne plecy w pasy zielone i pomarańczowe, cały wysiłek tej jaskrawej i niechlujnej bryły mącił moje poczucie rzeczywistości, wywierając śmieszne i groźne wrażenie, niby groteskowe, wyraźne majaki, które przerażają i fascynują nas w gorączce. Oczekiwałem niemal, że dach się rozpadnie na dwoje, że małe pudło na kołach pęknie na kształt dojrzałego strąka bawełny — lecz tylko opadło niżej z brzękiem splaszczonych sprężyn i nagle jedna z żaluzji opuściła się, grzechocząc. Ukazały się znów ramiona wciśnięte w mały otwór i wychylona głowa szypra, rozdęta i podskakująca jak balon na uwięzi, spocona, wściekła, bełkocząca. Sięgał ku woźnicy, wywijając wściekle opasłą pięścią, czerwoną jak kawał surowego mięsa. Ryknął na niego, żeby ruszał, żeby jechał. Dokąd? Może na sam środek Pacyfiku. Woźnica zaciął kuca, który parsknął, wspiął się na tylne kopyta i puścił z miejsca galopem. Dokąd? Do Apia? Do Honolulu? Dowódca „Patny” miał przed sobą sześć tysięcy mil pasa podzwrotnikowego, gdzie się mógł rozbijać do woli, a dokładnego adresu nie słyszałem. Parskający kuc porwał go w *Ewigkeit*³⁸ w mgnieniu oka i nigdy go już nie zobaczyłem; co więcej, nie znam nikogo, kto by widział go kiedykolwiek od chwili, gdy znikł mi z oczu, siedząc w małym, roztrzęsionym powoziku, który zakręcił gwałtownie na rogu ulicy w białym tumanie pyłu. Odjechał, znikł, przepadł, uszedł; i w jakiś idiotyczny sposób wyglądało to, jakby zabrał z sobą i ten powozik, bo nigdy już więcej nie zobaczyłem gniadego kuca o rozciętym uchu i niemrawego woźnicy, Tamila, o chorej nodze. Pacyfik jest wielki zaiste; nie wiem, czy szyper znalazł na nim miejsce dla rozwijania swych talentów, pozostaje jednak faktem, że uniósł się w przestrzeń jak czarownica na miotle. Mały człowieczek z ręką na temblaku zaczął tak biec za powozikiem, becząc: „Kapitanie! Hej, kapitanie! He-e-aj!”, ale po kilku krokach zatrzymał się, zwiesił głowę i ruszył wolno z powrotem. Na ostry zgrzyt kół młody człowiek obrócił się na pięcie. Nie zrobił żadnego innego ruchu, gestu czy znaku i pozostał tak, zwrócony w nowym kierunku, choć powozik już zniknął.

Wszystko to zajęło znacznie mniej czasu niż moje opowiadanie, ponieważ usiłuję wytłumaczyć wam dokładnie błyskawiczne wrażenia wzrokowe. W następnej chwili zjawił się na scenie urzędnik Metys; został wysłany przez Archiego, aby się trochę zająć biednymi rozbitkami z „Patny”. Wybiegł skwapliwie z gołą głową, patrząc w prawo i lewo, bardzo swą misją przejęty. Nie miała mu się powieść, jeśli chodzi o główną osobę, lecz zbliżył się do pozostałych z hałaśliwą arogancją i wplątał się prawie natychmiast w gwałtowną kłótnię z facetem, który miał rękę na temblaku i który, jak się okazało, pożywał namiętnie awantury. Ów facet oświadczył, że ani myśli pozwolić, aby mu rozkazywano — jeszcze czego, do jasnej cholery! Nie zastraszą go łgarstwa takiego zarozumiałego mieszańca, gryzpiórka. Nie pozwoli sobą pomiatać „byle chłystkowi”, nawet jeśli by ta cała historia okazała się rzeczywiście prawdziwa. Wrzasnął, że chce, że pragnie, że musi położyć się do łóżka. Słyszałem, jak wrzeszczał: „Gdyby pan nie był zatraconym Portugalczykiem, wiedziałby pan, że moje miejsce jest tylko w szpitalu”. Podsunął pięść zdrowej ręki pod nos tamtego; zaczął się zbierać tłum; zmieszany Metys, usiłując zachować miłą pełną godności, tłumaczył, jak mógł, swoje zamiary. Odszedłem, nie doczekawszy się końca.

Tak się jednak złożyło, że w tym samym czasie jeden z moich ludzi leżał w szpitalu, i gdy w przeddzień rozpoczęcia sprawy poszedłem go odwiedzić, zobaczyłem w oddziale dla białych owego człowieczka, który miotał się na łóżku, z ręką w łupkach, zupełnie nieprzytomny. Ku memu wielkiemu zdumieniu towarzysz jego, długi osobnik o białych, obwisłych wąsach, znalazł się tam również. Pamiętałem, że go widział uchodzącego chyłkiem w czasie kłótni; kroczył z powagą, suwając nogami, i starał się ze wszystkich sił nie dać poznać po sobie, że się boi. Port był mu widać znany; pomimo strapienia potrafił od razu wytropić szynk Marianiego z bilardowym pokojem koło bazaru. Ten nędzny

Pijaństwo, Szaleństwo

³⁸*Ewigkeit* (niem.) — wieczność. [przypis edytorski]

włóczęga, Mariani, który znał mechanika i schlebiał jego nałogom już w paru innych miejscowościach, padł mu do nóg, że się tak wyrażę, i zamknął go z baterią butelek na piętrze swojej nędznej lepianki. Okazało się, iż mechanik miał jakieś niejasne obawy co do swego bezpieczeństwa, i chciał się ukryć. Mariani mówił mi w długi czas później (gdy przyszedł raz na pokład wyděbić na moim stewardzie zapłatę za jakieś cygara), że bez żadnego wahania byłby zrobił dla mechanika i więcej, z wdzięczności — o ile zrozumiałem — za jakąś podejrzaną usługę, którą mu tamten wyświadczył przed wielu laty. Mariani palnął się dwakroć w muskularną pierś i potoczył olbrzymimi, czarno-białymi oczami błyszczącymi od łez: „Antonio nie zapomina — Antonio nigdy nie zapomina!” Jakiego właściwie rodzaju było to niemoralne zobowiązanie, nie dowiedziałem się nigdy, lecz tak czy owak, Mariani ułatwił mechanikowi, zdjętemu wariackim strachem, ukrycie się w zamkniętym na klucz pokoju — z krzesłem, stołem, materacem leżącym w kącie i warstwą opadłego tynku na podłodze — gdzie mógł się pokrępać wszystkimi możliwymi trunkami, którymi Mariani rozporządzał. Trwało to aż do wieczora trzeciego dnia, kiedy mechanik, krzycząc wniebogłosy, musiał szukać ratunku w ucieczce przed legionami stonóg. Wywalił drzwi, rzucił się na łeb na szyję ze zmurszałych, wąskich schodków, wylądował na brzuchu Marianiego, pozbierał swoje gnaty i wypadł na ulicę jak strzała. Nazajutrz wczesnym rankiem policja podniosła go z kupy śmieci. Wyobrażał sobie z początku, że prowadzą go na szubienicę, i jak lew walczył, aby się oswobodzić; ale gdy zasiadłem przy jego łóżku, leżał już od dwóch dni bardzo cicho. Jego chuda, opalona na brąz twarz z białymi wąsami wyglądała na poduszce pięknie i spokojnie jak twarz wycieńczonego przez wojnę żołnierza o dziecięcej duszy; lecz w bezbarwnym połysku spojrzenia czyhał cień upiornego niepokoju, podobny do zgrozy wcielonej w jakąś nieokreśloną postać, czającą się po cichu za taflą szkła. Był taki spokojny, że oddałem się dziwacznej nadziei, iż usłyszę od niego jakieś komentarze do rozgłosnej historii z „Patną”. Dlaczego pragnąłem się grzebać w oplakanych szczegółach wypadku, który właściwie obchodził mnie tylko jako członka nieznannej ludzkiej społeczności, zjednoczonej przez wspólny niesławny znój i wierność dla pewnej modły postępowania — tego wytłumaczyć nie umiem. Może wam się podoba nazwać to jakąś niezdrową ciekawością; lecz ja mam wrażenie, że chciałem do czegoś dotrzeć. Może tkwiła we mnie podświadoma nadzieja, że znajdę to coś, tę jakąś głęboką, odkupiającą przyczynę, miłosierne wyjaśnienie, cień przekonywającej wymówki. Widzę teraz dokładnie, że pragnąłem niemożliwości, że usiłowałem odżegnać coś, co jest najuporczywszym z upiórów stworzonych przez człowieka: jątrzące zwątpienie, które się podnosi jak mgła, a mrozi bardziej niż pewność śmierci, ukryte i toczące niby robak — zwątpienie o tym, że istnieje władająca nami potęga uznana jako ustalony wzór postępowania. Takie zwątpienie jest najniebezpieczniejszą z przeszkód, o które człowiek może się potknąć; wywołuje wrzaskliwy popłoch i dobroduszne, spokojne podłości; jest widmem prawdziwej klęski. Czyżbym wierzył wówczas w możliwość cudu? I dlaczego pragnąłem go tak gorąco? Czy ze względu na samego siebie pragnąłem znaleźć choćby cień czegoś, co by mogło wytłumaczyć postępek Jima — tego Jima, którego nigdy przedtem nie widziałem? Już sam jego wygląd sprawił, że rozmyślając o jego załamaniu się, zainteresowałem się nim głęboko, że jego postępek był dla mnie tajemnicą pełną grozy — jakby przeblyskiem zgubnego losu czyhającego na nas wszystkich — których młodość była ongi³⁹ podobna do jego młodości. Obawiam się, że na tym właśnie polegał tajny powód mego wścibstwa. Oczekiwałem zaprawdę cudu. Jedyna rzecz, która teraz, z odległości czasu, uderza mnie jako zakrawająca na cud, to bezmiar mojej głupoty; bo miałem wówczas doprawdy nadzieję, że uzyskam od tego pognębnego, mglistego osobnika egzorcyzm przeciwko duchowi zwątpienia. A przy tym musiałem być doprawdy szalony, bo nie tracąc czasu — po kilku uprzejmym i przyjaznym zdaniach, na które maszynista odpowiedział z gotowością, osłabłym głosem, jak przystoi dobrze wychowanemu choremu — wyjechałem ze słowem „Patna”, owiniętym w delikatne pytanie, niby w puch jedwabnej przędzy. Moja delikatność płynęła z egoizmu — nie chciałem chorego spłoszyć; troskliwość nie miała z tym nic wspólnego; anim się na niego wściekał, anim go żałował; jego przeżycia były bez znaczenia, jego zbawienie nic by mnie nie obeszło.

Robak

Oko, Strach

Los, Kondycja ludzka

Kłęska

Szaleniec, Szaleństwo,
Wizja

³⁹ongi (daw.) — niegdyś, dawniej. [przypis edytorski]

Postarzał się wśród drobnych podłostek i nie mógł już wzbudzać ani wstrętu, ani litości. Powtórzył pytająco: „Patna?”, zdawał się wytężyć przez chwilę pamięć i rzekł:

— Aha. Znam to wszystko jak własną kieszeń. Widziałem, jak tonęła.

Chciałem dać ujście swemu oburzeniu wobec tego idiotycznego kłamstwa, gdy dodał gładko:

— Pełna była gadów.

To mnie zatrzymało. Co on chciał przez to powiedzieć? Miałem wrażenie, że niespokojny upiór strachu znieruchomiał za jego szklistym wzrokiem i tęsknie spojrzał mi w oczy.

— Wyrzucili mnie z koi podczas nocnej wachty, żebym widział, jak tonie — dodał z namysłem.

Głos jego zabrzmiał nagle z niepokojącą siłą. Zawstydziłem się swojej głupoty. W perspektywie sali nie dostrzegało się śnieżnoskrzydłego kornetu pielęgniarzki, lecz daleko, pośród długiego rzędu pustych żelaznych łóżek, jakiś człowiek, który uległ wypadkowi na statku w Roads, dźwignął się na posłaniu, opalony i chudy, z czołem przewiązanym bandażem na ukos. Nagle mój interesujący chory wyciągnął gwałtownie ramię cienkie jak u ośmiornicy i wpił mi się palcami w łokieć:

— Tylko moje oczy mogły to dostrzec. Jestem znany ze swego wzroku. Pewnie dlatego mnie zawołali. Żaden z nich nie miał dość bystrych oczu, aby dojrzeć, jak „Patna” tonie, ale przekonali się jednak, że zatoneła, i krzyknęli wszyscy razem — o tak... — Wycie podobne do wilczego przejęło mnie do szpiku kości.

— Ach, niechże pan zatka mu gębę — irytował się płaczliwie człowiek, który uległ wypadkowi.

— Zdaje się, że pan mi nie wierzy — ciągnął tamten z niesłychanie zarozumiałą miną. — Mówię panu, nie ma takich oczu jak moje po tej stronie Zatoki Perskiej. Niech pan zajrzy pod łóżko.

Naturalnie, schyliłem się natychmiast. Któż by tego nie zrobił?

— Co pan tam widzi? — rzekł.

— Nic — odpowiedziałem i zawstydziłem się strasznie samego siebie.

Spojrzał na mnie badawczo z dziką i miażdżącą pogardą.

— Otóż to właśnie — powiedział — ale gdybym ja tam spojrzał, to bym zobaczył — mówię panu, nie ma takich oczu jak moje. — Wpił mi się znowu w ramię i ciągnął mnie ku sobie, szukając ulgi w poufnym zwierzeniu: — Miliony różowych ropuch. Nie ma takich oczu jak moje. Miliony różowych ropuch. To jest gorsze niż widok tonącego statku. Mógłbym cały dzień patrzeć na tonące statki i palić fajkę. Dlaczego mi nie oddadzą mojej fajki? Paliłbym sobie, pilnując tych ropuch. Statek był pełen ropuch. Pan rozumie, ich trzeba pilnować!

Mrugnął jowialnie. Pot kapął na niego z mojej głowy, dymkowa kurtka przylepiła mi się do mokrych pleców; wieczorny powiew przebiegł gwałtownie nad łózkami, sztywne fałdy firanek poruszyły się, grzechocząc na mosiężnych prętach, kapy okrywające szereg pustych łóżek powiewały bezszelestnie tuż nad gołą podłogą, a mnie przejął dreszcz do szpiku kości. Łagodny powiew tropikalny igrał posępnie w tej pustej sali jak zimowy wichur w Anglii hulający po pustej stodole.

— Niech pan nie pozwoli mi więcej ryczeć — zawołał z daleka ranny z rozpaczą i gniewem, a głos jego rozbrzmiał wśród tych ścian, drgając niby krzyk w tunelu. Szpony wbite w ramię przyciągały mnie; mechanik patrzył na mnie znacząco z ukosa.

— Okręt był ich pełen, uważa pan, a myśmy musieli zmiatać chyłkiem — szepnął niezmiernie szybko. — Wszystkie różowe. Wszystkie różowe, wielkie jak brytany, z jednym okiem na wierzchu głowy i szponami naokoło brzydkich pysków. Brr! Brr!

Szybkie wstrząsy, jakby wywołane elektrycznym prądem, ujawniły pod płaską kołdrą zarys chudych, niespokojnych nóg; mechanik puścił moje ramię i sięgnął po coś w powietrze; drżał na całym ciele, wyprężony niby trącona struna harfy; a gdy tak z góry na niego patrzyłem, przyczajony upiór zgrozy przedarł się przez jego szklisty wzrok. W jednej chwili ta twarz starego żołnierza, o szlachetnych, spokojnych rysach, uległa w mych oczach rozkładowi, skażona przez podstępny chytry, przez wstrętą ostrożność, przez rozpaczliwy strach. Powstrzymał się od krzyku.

Wzrok

— Szszsz! Co robią teraz tam w dole? — zapytał, wskazując na podłogę z niesłychaną ostrożnością w głosie i ruchu. Ponury błysk zrozumienia ukazał mi nagle, co znaczy właściwie ta ostrożność; przejął mnie wstręt do własnej przenikliwości.

— Śpią — odpowiedziałem, śledząc go bacznie.

Otóż to. Chciał właśnie to usłyszeć; było to jedyne słowo, które mogło go uspokoić. Odetchnął głęboko.

— Szszsz! Spokojnie, spokojnie. Jestem w tym kraju jak u siebie. Znam te bestie. Po łbie pierwszego, który się ruszy! Takie ich mnóstwo, a statek nie utrzyma się na wodzie dłużej niż dziesięć minut. — Zaczął znów głośno dyszeć. — Bywaj! — wrzasnął nagle i ciągnął dalej jednostajnym krzykiem: — Zbudzili się wszyscy — miliony ich, miliony! Tratują mnie! Czekajcie, ach, czekajcie! Będę ich rozgniatał kupami, jak muchy! Czekajcie na mnie! Ratunku! Ra-tun-ku!

Przeciągłe wycie bez końca dopełniło mojej porażki. Widziałem z dala, jak ranny podniósł żałośnie obie ręce do obandażowanej głowy; sanitariusz w fartuchu sięgającym po brodę ukazał się w głębi sali; widać go było jakby przez odwrócony teleskop. Uznałem się za bezwzględnie pokonanego i, nie zwlekając dłużej, uciekłem na zewnętrzną galerię, wychodząc przez jedno z długich okien. Wycie ścigało mnie jak zemsta. Skręciłem na puste schody i nagle zapanowały wokół spokój i cisza; szedłem po nagich, połyskliwych stopniach wśród milczenia, które mi pozwoliło zebrać rozproszone myśli. Na dole spotkałem jednego ze szpitalnych chirurgów; przechodził przez podwórze i zatrzymał mnie.

— Odwiedzał pan swego człowieka, co, kapitanie? Chyba jutro go wypuścimy. Tylko że te bałwany nie wiedzą, jak się potem należy zachować! — Wie pan, mamy tu pierwszego mechanika, który był na tym statku z pielgrzymami. Ciekawy wypadek. *Delirium tremens* najgorszego rodzaju. Pił na umór trzy dni w szynku tego Greka czy Włocha. Musiało się tak skończyć. Dzień w dzień cztery butelki tej tam ich wódki, jak mi mówiono. Nadzwyczajne, jeśli to prawda. Ten człowiek ma chyba wewnątrz z hartownego żelaza. Przytomności oczywiście ani śladu, ale co najciekawsze w tym wszystkim, to pewna metoda w jego majaczeniach. Staram się ją wykryć. Bardzo niezwykle, ta nić logiki w tego rodzaju bredzeniu. Właściwie powinien widzieć węże, ale nic podobnego. Dobre stare tradycje biorą w łeb w dzisiejszych czasach. Tak! Jego — hm — wizje dotyczą płazów. Cha, cha! Doprawdy, mówiąc poważnie, nie pamiętam, aby mnie kiedy wypadek *delirium tremens* tak zainteresował. Powinien był umrzeć, uważa pan, po takich libacjach. Oho! twardą ma skórę. A w dodatku spędził dwadzieścia cztery lata między zwrotnikami. Niechże pan doprawdy rzuci na niego okiem. Ten stary opój ma bardzo szlachetną minę. Nie spotkałem nigdy tak niezwykłego człowieka — z punktu widzenia medycznego, oczywiście. No, pójdzie pan?

Przez cały czas ujawniałem zwykle, uprzejme oznaki zaciekawienia, lecz teraz szepnąłem coś z ubolewaniem o braku czasu i uściśnałem mu śpiesznie rękę.

— Panie kapitanie — zawołał za mną — on nie może się stawić na to śledztwo. Jak pan myśli, czy jego zeznania są ważne?

— Ale skądże znowu! — odkrzyknąłem mu z bramy.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Władze były najwidoczniej tego samego zdania. Śledztwo nie zostało odroczone. Rozpoczęło się w oznaczonym dniu, aby zadośćuczynić prawu, a publiczność uczęszczała nań licznie, gdyż interesowano się sprawą ze względu na jej ogólnoludzki charakter. Nie było żadnej wątpliwości co do faktów, to znaczy co do jednego materialnego faktu. Jakim sposobem „Patna” została uszkodzona, niepodobna było wykryć i trybunał wcale się tego nie spodziewał, a wśród całej publiczności nikogo to nie obchodziło. Ale jak już wspominałem, wszyscy marynarze z portu byli obecni na sali, a i przedstawiciele nadbrzeżnego handlu zjawili się w komplecie. Świadomie lub też nieświadomie, przybyli pod wpływem ciekawości czysto psychologicznej; spodziewali się jakiejś zasadniczej rewelacji co do siły, potęgi, grozy ludzkich wzruszeń. Oczywiście, nic podobnego nie mogło się ujawnić. Badanie jedyne go człowieka, który mógł i chciał poddać się śledztwu, obracało się jałowo naokoło dobrze znanego faktu, a gra w zadawanie pytań była równie pouczająca jak stukanie młotkiem w żelazną skrzynkę, aby się przekonać, co tam jest w środku. Jednakże

Alkohol, Choroba,
Pijaństwo, Szaleństwo

Sąd, Urzędnik

oficjalne śledztwo nie mogło przebiegać inaczej. Przedmiotem badań nie było zasadnicze: *dlaczego*, ale powierzchowne: *jak* to się stało.

Ów młody człowiek mógłby to wyjaśnić i choć publiczność tylko tym się interesowała, pytania zadawane świadkowi odwoływały go z konieczności od tego, co — według mego zdania na przykład — było jedyną prawdą wartą poznania. Nie można wymagać od urzędowych władz, aby wglądały w stan duszy człowieka — a choćby tylko w stan jego wątroby. Ich sprawą było rozpatrywać skutki i szczerze mówiąc, pierwszy lepszy sędzia pokoju i dwóch asesorów nie nadają się tak bardzo do czegoś innego. Nie chcę przez to powiedzieć, aby to byli durnie. Sędzia wykazywał wielką cierpliwość. Jeden z asesorów, kapitan żaglowca, miał rudawą brodę i odznaczał się pobożnością. Drugim był Brierly. Wielki Brierly. Niejeden z was musiał słyszeć o Wielkim Brierly'm — kapitanie najszybkowniejszego statku z linii Blue Star. To właśnie ten.

Cnota, Sędzia

Wydawał się piekielnie zdruzzonego zaszczycem, który mu narzucono. Nigdy w życiu nie popełnił żadnego błędu, nie spotkał go żaden przykry wypadek ani niefortunny zbieg okoliczności, ani przeszkoda w spokojnym wznoszeniu się w górę; wyglądał na jednego z tych szczęśliwych ludzi, którzy nie wiedzą nic o braku decyzji, a jeszcze mniej o braku wiary w siebie. Mając trzydzieści dwa lata, dostał dowództwo — jedno z najlepszych we wschodnim handlu — i co więcej, bardzo był swym powodzeniem przejęty. Uważał, że jego kariera jest czymś jedynym w świecie, i prawdopodobnie, gdyby go był kto spytał prosto z mostu, wyznałby, że jego zdaniem nie ma w ogóle takiego jak on dowódcy. Wybór padł na właściwego człowieka. Reszta ludzkości, która nie dowodziła stalowym parowcem „Ossa”, robiącym szesnaście węzłów⁴⁰, była godna pożałowania. Brierly ocalił życie wielu ludziom na morzu, ratował nieraz tonące okręty, miał złoty chronometr⁴¹ ofiarowany przez akcjonariuszy i lornetkę z odpowiednim napisem od jakiegoś obcego rządu na pamiątkę tych czynów. Oceniał najdokładniej swoje zasługi i nagrody, które za nie otrzymał. Dostyc go lubiłem, choć wielu z moich znajomych — i to potulnych, dobrodusznych ludzi — nie mogło wprost go znieść. Nie mam żadnych wątpliwości, że uważał się za daleko bardziej wartościowego ode mnie; doprawdy, sam Cesarz Wschodu i Zachodu musiałby się czuć pyłkiem w jego obecności — ale jakoś nie mogłem się zdobyć na prawdziwe uczucie obrazy. Nie pogardzał mną za coś, co było we mnie, co przedstawiałem — czy rozumiecie? Nie wchodziłem w rachubę po prostu dlatego, że nie byłem najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, kapitanem Montague Brierly'm, dowódcą „Ossy”, że nie posiadałem złotego chronometru z podpisami i oprawnej w srebro lornetki, świadczących o mej doskonałości jako marynarza i o mym niepohamowanym męstwie; że nie miałem dokładnego poczucia swych zasług i należnej mi za nie nagrody, nie mówiąc już o miłości i przywiązaniu czarnego wyżła, które on też posiadał — najpiękniejszego wyżła, jakiego sobie można wyobrazić: nigdy jeszcze równie piękny pies nie ubóstwiał takiego jak Brierly człowieka. Nie ma dwóch zdań, narzucanie człowiekowi tego wszystkiego było naprawdę drażniące; ale gdy przyszło mi na myśl, że dzieł swój smutny los z tysiącem dwustu milionami mniej lub więcej ludzkich stworzeń, przekonywałem się, iż mogę udźwignąć ciężar dobrodusznej i pogardliwej litości kapitana Brierly'ego ze względu na coś nieokreślonego i pociągającego w tym człowieku. Nigdy nie zdałem sobie sprawy, na czym to polegało, ale były chwile, kiedy mu zazdrościłem. Żądło życia tyle znaczyło dla jego duszy pełnej zadowolenia, co drapnięcie szpilką po gładkim obliczu skały. To było godne zazdrości. Gdy się przypatrywałem kapitanowi Brierly'emu — siedzącemu obok skromnego sędziego o bladej twarzy, który przewodniczył śledztwu — miałem uczucie, że zadowolenie z siebie Brierly'ego zwraca się ku mnie i ku całemu światu powierzchnią twardą jak granit. Wkrótce potem popełnił samobójstwo.

Morze, Samobójstwo

Nic dziwnego, że sprawa Jima go nudziła, a kiedy rozmyślałem z uczuciem podobnym do trwogi, jak olbrzymią pogardę musi czuć ten człowiek dla młodzieńca poddanego badaniu, Brierly przeprowadzał prawdopodobnie śledztwo we własnej sprawie. Wyrok uznał snadź⁴² winę bez okoliczności łagodzących, a skazaniec zabrał z sobą tajemnicę dokonanego przestępstwa, skoczywszy w morze. Jeśli się trochę na ludziach rozumiem, chodziło tu

⁴⁰węzeł — jednostka prędkości morskiej, wynosząca milę morską (ok. 1,8 km) na godzinę. [przypis edytorski]

⁴¹chronometr — bardzo dokładny zegar, stosowany w nawigacji, astronomii itp.; daw.: zegarek kieszonkowy. [przypis edytorski]

⁴²snadź (daw.) — widocznie, zapewne. [przypis edytorski]

z pewnością o rzecz największej doniosłości — o jeden z tych drobiazgów budzących do życia myśl, z którą niepodobna żyć człowiekowi nienawykłemu do takiego towarzystwa. Wiem na pewno, że nie wchodziły tu w grę pieniądze ani nadużycie trunków, ani kobieta. Skoczył ze statku w morze zaledwie w tydzień po ukończonym śledztwie, a w niecałe trzy dni po opuszczeniu portu w drodze na Wschód; jak gdyby właśnie w tym miejscu wśród oceanu spostrzegł nagle wrota tamtego świata rozwarte na swoje przyjęcie.

Nie stało się to jednak pod wpływem nagłego porywu. Siwowłosy oficer Brierly'ego, marynarz, pierwszorzędny, bardzo miły w obejściu z obcymi, lecz w stosunku do swego komendanta najopryskliwszy oficer, jakiego spotkałem, opowiedział mi tę całą historię ze łzami w oczach. Podobno, kiedy przyszedł na pokład nad ranem, Brierly pisał w kajucie nawigacyjnej.

— Była wtedy czwarta za dziesięć — mówił oficer — a środkowa wachta jeszcze się, naturalnie, nie skończyła. Kapitan usłyszał, jak mówiłem na mostku do drugiego oficera, i zawołał mnie. Poszedłem bardzo niechętnie; powiem panu całą prawdę — nie mogłem znieść biednego kapitana Brierly'ego. Mówię to panu ze wstydem; nie wiadomo nigdy, co tkwi w człowieku. Wyprzedził w swej karierze zbyt wielu ludzi, nie licząc mnie samego, i miał taki jakiś przekłety zwyczaj wytykania człowiekowi jego małości, choćby tylko przez sposób, w jaki mówił dzień dobry. Nie zwracałem się do niego nigdy, chyba tylko w kwestiach służbowych, a wówczas robiłem, co mogłem, aby utrzymać język za zębami. (Pochlebiał sobie. Dziwiłem się często, jak Brierly mógł znieść jego maniery dłużej niż przez połowę podróży). Mam żonę i dzieci — ciągnął — i dziesięć lat byłem w spółce, spodziewając się zawsze, że dostanę następne wakujące dowództwo; byłem głupi. A więc mówi on do mnie w te słowa tym swoim nadętym głosem: „Niech pan tu wejdzie, panie Jones, niech pan tu wejdzie”. No więc wszedłem. „Oznaczmy pozycję statku” — mówi dalej, nachylając się nad mapą z cyrklelem w ręku. Według obowiązujących przepisów oficer opuszczający pokład byłby to zrobił przy końcu swej wachty. Jednak nic nie odrzekłem i przypatrywałem się, jak znaczył położenie statku drobnymi krzyżykami, wpisując datę i godzinę. Widzę go jeszcze w tej chwili, gdy pisze porządnymi literkami: siedemnaście, osiem, czwarta A. M.⁴³ Rok był zawsze napisany czerwonym atramentem u góry mapy. Kapitan Brierly nie używał nigdy swych map dłużej niż rok, gdzieżby zaś. Mam teraz tę mapę. Kiedy skończył, nie poruszył się wcale i patrzył na zrobiony znaczek, uśmiechając się do siebie, po czym spojrzał ku mnie w górę: „Jeszcze trzydzieści dwie mile tego kursu — mówi — i wszystko w porządku; będzie pan mógł zmienić kierunek o dwadzieścia stopni na południe”.

Właśnie wtedy mijaliśmy Hector Bank od północy. Mówię mu: „Tak, panie kapitanie”, dziwiąc się, dlaczego się o to kłopotuje, i tak musiałem go wezwać przed zmianą kursu. Akurat wówczas dzwon uderzył osiem razy; wyszliśmy na mostek i drugi oficer, jak zwykle przed odejściem, oznajmił: „Siedemdziesiąt jeden na logu”. Kapitan Brierly rzucił okiem na kompas i rozejrzał się wkoło. Było ciemno i pogodnie, widać było wszystkie gwiazdy tak wyraźnie jak w mroźną noc na wysokich szerokościach geograficznych. Nagle mówi jak gdyby z lekkim westchnieniem: „Idę na rufę i sam dla pana ustawię wskazówkę logu na zero, żeby nie było żadnej pomyłki. Trzydzieści dwie mile jeszcze na tym kursie i jest pan bezpieczny. Zobaczmy — poprawka logu wynosi sześć procent *in plus*⁴⁴, więc, powiedzmy, jeszcze o trzydzieści mil w tym kierunku i może pan zmienić kurs o dwadzieścia stopni na stronę podwietrzną. Nie trzeba tracić na dystansie, prawda?” Nie słyszałem nigdy, aby mówił jednym ciągiem tak długo i to zupełnie bez celu, jak mi się wydało. Nic nie odpowiedziałem. Zszedł po drabinie, a pies, który włóczył się wszędzie za kapitanem, gdziekolwiek się ten ruszył w nocy czy we dnie, zsunął się za nim nosem naprzód. Słyszałem odgłos obcasów: tup, tup, na tylnym pokładzie; kapitan się zatrzymał i rzekł do psa: „Wracaj, Korsarz. Na mostek, stary! No, dalej, marsz!” Potem zawołał do mnie z ciemności: „Panie Jones, niech no pan zamknie psa w kajucie nawigacyjnej, dobrze?”

Słyszałem wówczas jego głos po raz ostatni, panie kapitanie. To były ostatnie słowa, które powiedział i które usłyszała żyjąca istota ludzka. — Tu głos starego stał się niepewny.

⁴³A. M. — skrót od łac. *ante meridiem* (przed południem), używany powszechnie w jęz. angielskim. [przypis edytorski]

⁴⁴*in plus* (łac.) — na plus. [przypis edytorski]

— Bał się, żeby biedne zwierzę za nim nie skoczyło, rozumie pan? — ciągnął z drżeniem. — Tak, panie kapitanie. Nastawił dla mnie log; i — czy pan uwierzy? — wpuścił do niego kroplę oliwy. Oliwiarka leżała tam, gdzie ją zostawił, obok logu. O wpół do szóstej pomocnik bosmana wyciągnął na rufę węża, aby myć pokład, ale wkrótce rzucił węża i wbiegł na mostek. — „Panie Jones, może pan przyjdzie na rufę — mówi. — Taka tam jest dziwna rzecz. Wolę jej nie dotykać”. Był to złoty chronometr kapitana Brierly’ego, przywiązany starannie łańcuszkiem do poręczy.

Gdy tylko moje oczy na niego padły, coś mnie tknęło i już wiedziałem, panie kapitanie. Nogi się ugięły pode mną. Jakbym go widział wyskakującego za burtę; i mogłem powiedzieć, jak daleko pozostał w tyle. Log na rufie pokazywał osiemnaście mil i trzy czwarte, a naokoło głównego masztu brakowało czterech żelaznych kołków. Włożył je pewno do kieszeni, żeby pójść na dno; ale, Boże wielki, cóż to jest cztery nagle⁴⁵ dla człowieka o tak potężnej budowie jak kapitan Brierly! Może jego wiara w siebie zachwiała się trochę w ostatnich czasach. Jedyna to oznaka braku równowagi, którą ujawnił w ciągu całego życia, jak sądzę; a gotów jestem ręczyć, że kiedy znalazł się w morzu, nie usiłował płynąć ani przez chwilę — gdyby zaś wypadł za burtę niechcący, byłby miał dosyć odwagi, żeby na chybił trafił utrzymać się przez cały dzień na powierzchni. Tak, panie kapitanie. On nie ustępował nikomu — jak to raz powiedział do samego siebie, co na własne uszy słyszałem. Napisał dwa listy podczas nocnej wachty, jeden do spółki, a drugi do mnie. Dawał mi tam mnóstwo wskazówek co do podróży — choć pracowałem w swoim zawodzie, kiedy go jeszcze nie było na świecie — i instrukcje bez końca, jak mam postępować z naszą zwierzchnością w Szanghaju, aby zachować dla siebie dowództwo „Ossy”. Pisał jak ojciec do ukochanego syna, panie kapitanie, a ja byłem starszy od niego o dwadzieścia pięć lat i zakosztowałem słonej wody, kiedy on jeszcze koszulę w zębach nosił. W liście do armatorów — nie zakleił go, abym mógł przeczytać — pisał, że spełniał zawsze wszystkie swoje względem nich obowiązki — aż do tej chwili — a nawet i teraz nie zawiódł ich zaufania, ponieważ zostawia okręt najtęższemu marynarzowi, jakiego mogą znaleźć — mówiąc o mnie, panie kapitanie, mówiąc o mnie! Pisał dalej, że jeśli ostatni jego postępek nie pozbawi go w ich oczach całego szacunku, to ocenią należycie moją wierną służbę i jego gorące polecenie, gdy będą obsadzali miejsce opróżnione przez jego śmierć. I jeszcze dużo więcej rzeczy w tym sensie, panie kapitanie. Nie chciałem wierzyć własnym oczom. I tak dziwnie mi było — ciągnął stary już zupełnie rozklejony, rozgniatając coś w kąciku oka końcem wielkiego palca szerokiego jak szpachla. — Wyglądało na to, panie kapitanie, że skoczył za burtę tylko po to, aby dać pechowcowi ostatnią sposobność do wybicia się. Tak mną wstrząsnęła ta jego nagła, okropna śmierć, a przy tym i myśl, że zrobiłem przez to karierę! Przez tydzień chodziłem jak kołowaty. Ale nic z tego! Kapitan „Pelionu” został przeniesiony na „Ossę” — wsiadł na statek w Szanghaju — taki mały fircyk w popielatym garniturze w kratki, z rozdziałkiem przez środek głowy. „Hm... jestem, hm... pańskim nowym kapitanem, panie, panie... hm, Jones”. Tonął w perfumach, po prostu cuchnął perfumami. Tak mi się coś zdaje, że jękał się pod wzrokiem, który w nim utkwilem.

Szepnął coś o moim zrozumiałym rozczarowaniu — lepiej, żebym się dowiedział od razu, iż jego starszy pomocnik dostał dowództwo „Pelionu” — on sam nie miał z tym naturalnie nic wspólnego — prawdopodobnie w biurze orientują się najlepiej — przykro mu, że... A ja na to: „Co tu gadać o starym Jonesie, panie kapitanie, on jest, psiakrew, tego zwyczajny”. Spostrzegłem od razu, że obraziłem jego subtelne uszy, a gdyśmy siedzieli razem przy pierwszym lunchu, zaczął w brzydki sposób czepiać się to tego, to owego na okręcie. Nie słyszałem jeszcze nigdy tak błazeńskiego głosu. Zacisnąłem zęby, wbilem oczy w talerz i trzymałem język za zębami tak długo, jak mogłem to ścierpieć, w końcu jednak musiałem coś odpowiedzieć; a ten, jak się nie zerwie, jak nie najeży tych swoich ładnych piórek, niby walczący kogucik: „Przekona się pan, że nie z kapitanem Brierly’em ma pan do czynienia!” — „Już się przekonałem” — ja na to; posępnie mi było na duszy, ale udawałem, że bardzo jestem zajęty swoim kotлетem. „Stary gbur z pana, panie — tego — Jones; i co więcej, wszyscy wiedzą dobrze o tym” — skrzeknął do mnie. Pomywacze, psiakrew, stali naokoło, słuchając z gębami rozdziawionymi od ucha do ucha. „Może

Testament

⁴⁵nagel (niem.) — gwóźdź, kolek. [przypis edytorski]

i mam twardą skórę — odpowiadam — ale nie do tego stopnia, żeby znieść widok pana siedzącego na miejscu kapitana Brierly'ego”. Co rzekłszy, składam nóż i widelec. „Pan sam chciałby na nim siedzieć, ot co w trawie piszczy!” — zaszydził.

Wyszedłem z kajuty, zebrałem swoje graty i znalazłem się na bulwarze z całym dobytkiem u nóg, zanim ładownicy okrętowi zabrali się znów do roboty. Tak. Bez pracy — na brzegu — po dziesięciu latach służby, a o sześć tysięcy mil biedna kobiecina i czworo dzieci czekały na moją pensję, żeby mieć co do ust włożyć. Tak, panie kapitanie! Kopnąłem to, żeby nie słuchać, jak wymyślają na kapitana Brierly'ego. Zostawił mi swoją nocną lornetkę — oto jest; i życzył sobie, abym się zaopiekował jego psem — oto on. Pójdź tu, Korsarz — biedna psina. Gdzie jest kapitan, Korsarz? — Pies spojrział na nas w górę posepnyimi żółtymi oczami, szczerknął żałośnie i wczuł się pod stół.

Wszystko to się działo przeszło dwa lata później, na pokładzie tego morskiego grata „Królowej Ognia”, której dowództwo Jones dostał — także dziwnym przypadkiem — od Mathersona (nazywano go ogólnie szalonym Mathersonem) — tego samego, który włóczył się często po Haifongu, pamiętacie, jeszcze przed okupacją. Staruszek mówił dalej, pociągając nosem:

— Tak, proszę pana, o kapitanie Brierly'm będzie się tu zawsze pamiętało, nawet jeśli go gdzie indziej zapomną. Napisałem obszerny list do jego ojca i nie dostałem ani jednego słowa odpowiedzi — ani: dziękuję, ani: idź do diabła — nic! Może woleli o tym wcale nie wiedzieć.

Widok starego Jonesa we łzach, obcierającego łysą głowę czerwoną bawełnianą chustką, żalosne szczekanie psa, niechlujstwo tej rojącej się od much kabiny, która była jedynym relikwiarzem wspomnień o Brierly'm — wszystko to rzuciło zasłonę niezmiernie pospolitego tragizmu na pamiętną mi jego postać; była to pośmiertna zemsta losu za tę jego wiarę w swoją doskonałość, wiarę, która go prawie że pozbawiła uzasadnionej grozy życia. Prawie! A może i zupełnie. Bo któż może wiedzieć, do jakiego stopnia pochlebiał Brierly'emu własny sąd o zamierzonym samobójstwie?

— Dlaczego on popełnił to szaleństwo, jak pan to sobie wyobraża, kapitanie? — zapytał Jones, składając ręce. — Dlaczego? To niepojęte! Dlaczego? — Uderzył się po niskim i pomarszczonym czole. — Gdyby był biedny i stary, i zadłużony, gdyby mu się nie powiodło w życiu albo gdyby był zwariował! Ale on nie należał do tych, co wariują — nic podobnego. Może mi pan wierzyć. Czego pomocnik nie wie o swoim szyprze, tego w ogóle wiedzieć nie warto. Młody, zdrowy, bogaty, żadnych kłopotów... Siedzę tu czasem i myślę, i myślę, aż głowa mi pęka. On miał jakiś powód do tego.

— Może pan być pewien, kapitanie, że ten jakiś powód nie byłby tak bardzo obszedł ani mnie, ani pana — rzekłem; i nagle biedny stary Jones znalazł na koniec słowo zdumiewającej mądrości, jakby mu coś zaświtało w mętnej mózgowicy. Wytarł nos i rzekł, kiwając boleśnie głową:

— Tak, tak! Ani pan, ani ja, kapitanie, nigdyśmy tyle o sobie nie trzymali⁴⁶.

Wspomnienie mej ostatniej rozmowy z Brierly'm zabarwione jest, naturalnie, świadomością jego śmierci, która nastąpiła tak krótko potem. Mówiłem z nim ostatni raz podczas tej sprawy toczącej się w sądzie, po pierwszym posiedzeniu, kiedyśmy wyszli razem na ulicę. Był podrażniony, co zauważyłem ze zdziwieniem, ponieważ zwykle, gdy zaczął rozmawiać, zachowywał się spokojnie z odcieniem żartobliwej wyrozumiałości, jakby istnienie jego interlokutora było czymś w rodzaju dobrego kawału.

— Naciągnęli mnie na to śledztwo, jak pan widzi — zaczął i rozwodził się nad tym przez chwilę, żaląc się na niewygodę codziennego przebywania w sądzie. — I Bóg wie, jak długo to jeszcze będzie trwało. Pewnie ze trzy dni. — Wysłuchałem go w milczeniu, co według mnie jest równie dobrym sposobem imponowania jak każdy inny. — I po co to wszystko? To najgłupsza historia, jaką sobie można wystawić⁴⁷ — ciągnął zapalczywie. Zwróciłem mu uwagę, że nie miał tu wyboru. Przerwał mi z pewnego rodzaju hamowaną gwałtownością: — Czuję się przez cały czas jak głupi. — Podniosłem na niego oczy. Posunął się bardzo daleko jak na Brierly'ego, który mówił o Brierly'm. Zatrzymał się, chwycił mnie za klapę marynarki i z lekka pociągnął. — Dlaczego my dręczymy tego

Pies

Pycha, Samobójstwo,
Samolubstwo

Hańba, Kara, Odwaga,
Ofiara, Tchórzostwo, Wina

⁴⁶trzymać (daw.) — utrzymywać, uważać, sądzić. [przypis edytorski]

⁴⁷wystawić sobie (przestarz.) — wyobrazić sobie. [przypis edytorski]

młodzika? — rzekł. Pytanie to pokrywało się tak zupełnie z myślą, która wciąż mi chodziła po głowie, że odpowiedziałem natychmiast, mając na oczach uciekającego renegata:

— Nie mam zielonego pojęcia — chyba dlatego, że się dręczyć pozwala.

Zdumiało mnie, iż pojął w lot, co chciałem powiedzieć, choć moja myśl powinna była mu się wydać dość niejasna. Rzekł gniewnie:

— No, naturalnie. Czyż on nie widzi, że się ten nędznik ulotnił, ten jego szyper? Na co on właściwie czeka? Nic go nie może ocalić. To człowiek zgubiony. — Uszliśmy kilka kroków w milczeniu. — Po co karmią nas tym całym brudem? — wykrzyknął ze wschodnią energią wyrazu — prawie jedynym rodzajem energii, której ślady można napotkać na wschód od pięćdziesiątego południka.

Zdziwił mnie kierunek jego myśli, ale teraz mocno podejrzewam, że to, co mówił, odzwierciedlało stan jego psychiki; w głębi ducha biedny Brierly musiał myśleć o sobie samym. Zaznaczyłem, iż szyper „Patny” porósł w pierze — co było ogólnie znane — i mógł prawie wszędzie zdobyć środki na podróż. Z Jimem było inaczej; rząd trzymał go na razie w Domu Marynarza, ale chłopak nie miał pewnie w kieszeni złamanego szeląga. Ucieczka przecież zawsze kosztuje.

— Czy doprawdy? Nie, nie zawsze — rzekł, śmiejąc się gorzko i dodał w odpowiedzi na jakąś moją uwagę: — No więc, niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie! Dalibóg! *Ja* bym tak zrobił.

Nie wiem, dlaczego ton jego słów mnie podrażnił. Rzekłem:

— Jest w tym pewna odwaga, iż stawia czoło temu wszystkiemu, wiedząc bardzo dobrze, że gdyby się stąd zabrał, nikomu by się nie śniło za nim gonić.

— Do diabła z odwagą! — warknął Brierly. — Ten rodzaj odwagi jest do niczego, jeśli chodzi o utrzymanie pewnej linii w życiu, i tyle o nią dbam co o zeszloroczny śnieg. Gdyby mi pan powiedział, że gra tu rolę pewne tchórzostwo, miękkość charakteru... Wie pan co, złożę dwieście rupii⁴⁸, jeśli pan doda do nich jeszcze sto i postara się, żeby ten chłopiec zwił jutro wczesnym rankiem. Pomimo wszystko jest jednak dżentelmenem — on to zrozumie. Musi zrozumieć! Ta piekielna sprawa toczy się publicznie i zbyt jest gorsząca. On siedzi tam, a ci wszyscy przekłeci krajowcy, serangowie⁴⁹, laskarowie⁵⁰, podoficerowie składają takie zeznania, że człowiek pali się po prostu ze wstydu. To jest ohydne. Więc pan nie uważa tego za ohydne, więc pan tego nie czuje? Gdyby zwił, wszystko by się urwało od razu.

Brierly wypowiedział to z wyjątkowym wprost ożywieniem i zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po portfel. Powstrzymałem go i oświadczyłem zimno, że tchórzostwo tych czterech ludzi nie wydaje mi się sprawą tak wielkiego znaczenia.

— I pan ma siebie za marynarza, o ile mi się zdaje — wyrzekł gniewnie.

Odpowiedziałem, że właśnie za takiego siebie uważam, i sądzę, że nim jestem. Wysłuchał mnie i machnął wielką ręką, jakby mnie pozbawiał indywidualności, jakby mnie spychał w tłum.

— To jest najgorsze — rzekł — że wy wszyscy nie macie poczucia godności; nie dość myślicie o tym, za co was ludzie uważają.

Rozmawialiśmy, idąc powoli, i przystanęliśmy właśnie naprzeciw biura portowego, widząc jak na dłoni miejsce, skąd olbrzymi kapitan „Patny” znikł tak zupełnie, jakby był drobnym piórkiem porwanym przez huragan. Uśmiechnąłem się. Brierly ciągnął dalej:

— To jest haniebane. Są tu wśród nas ludzie różnych kategorii, między innymi także i skończone lotry; ale musimy, do diabła, zachować jakąś zawodową przyzwoitość, bo inaczej staniemy się bandą partaczy wałęsających się bez ładu i składu. Ufają nam. Czy pan to rozumie? — ufają! Mówiąc szczerze, nic a nic mnie nie obchodzą wszyscy pielgrzymi, jacy kiedykolwiek z Azji wywędrowali, ale porządny człowiek nie postąpiłby tak nawet z ładunkiem starych gałganów powiązanych w bele. My, ludzie morza, nie jesteśmy grupą zorganizowaną i jeśli co nas łączy, to jedynie to słowo, którym określamy pewien rodzaj przyzwoitości. A taka sprawa niszczy w człowieku zaufanie. Można przeżyć prawie całe życie na morzu i nie mieć ani razu sposobności do okazania się niezłomnym. Ale gdy przyjdzie wyzwanie... Ach!... Gdybym ja... — Urwał i rzekł innym tonem: — Dam panu

⁴⁸*rupia* — waluta używana w Indiach i innych krajach azjatyckich. [przypis edytorski]

⁴⁹*serang* (z hind.) — tubylczy bosman albo kapitan statku dowodzący załogą krajowców. [przypis edytorski]

⁵⁰*laskar* — indyjski marynarz. [przypis edytorski]

dwieście rupii i niechże pan z tym chłopcem pomówi. Do diabła! Byłbym wolał się z nim nie spotkać. Zdaje mi się doprawdy, że moi krewni znają jego rodzinę. Jego ojciec jest duchownym i przypominam sobie, że spotkałem go raz, gdym był zeszłego roku w Essex u mego kuzyna. Jeśli się nie mylę, staruszek zdawał się mieć słabość do swego syna, marynarza. Okropne. Ja sam nie mógłbym mu tego zaproponować, ale pan...

I tak, w związku ze sprawą Jima, ujrzałem na chwilę Brierly'ego w prawdziwym świetle, na kilka dni przedtem, zanim powierzył morzu swoją prawdę i swoją maskę. Naturalnie, że odmówiłem mu pośrednictwa. Podrażnił mnie ton, jakim powiedział: „ale pan...” (biedny Brierly przybierał ów ton bezwiednie) — jakby dawał do zrozumienia, iż znaczący tył co robak; toteż odniosłem się z oburzeniem do jego propozycji — i z tego właśnie powodu czy też dla jakiejś innej przyczyny powziąłem przekonanie, że śledztwo stanowi surową karę dla Jima, a jego obecność w sądzie — istotnie z własnej woli — jest rysem odkupiającym w ohydnej jego sprawie. Przedtem nie byłem tego tak bardzo pewien. Brierly odszedł obrażony. W owym czasie stan jego duszy stanowił dla mnie większą zagadkę aniżeli teraz.

Nazajutrz przyszedłem późno do sądu i siedziałem sam. Nie mogłem oczywiście zapomnieć naszej rozmowy z Brierly'm, a teraz miałem ich obu przed oczami. Zachowanie jednego wyglądało na posępną bezczelność, drugi zaś ujawniał pogardę i nudę; ale postawa Jima mogła być równie nieszczerą jak zachowanie Brierly'ego, o którym wiedziałem na pewno, że szczerze nie jest. Brierly nie nudził się bynajmniej, lecz był rozjątrzony, więc może i Jim nie był bezczelny. Według mnie bezczelny nie był. Odniosłem wrażenie, że jest w beznadziejnej rozpacz. Wówczas to spotkały się nasze oczy. Spotkały się i spojrzenie Jima odebrało mi wszelką ochotę do rozmowy z nim — jeśli ją w ogóle miałem. Tak czy owak — czy Jim był bezczelny, czy też zrozpaczony — czułem, że mu się na nic przydać nie mogę. Działo się to w drugim dniu sprawy sądowej. Wkrótce po tej zamianie spojrzeń posiedzenie zostało znów odroczone do następnego dnia. Biali zaczęli zaraz tłumnie opuszczać salę. Jimowi polecono już chwilę przedtem zejść z podium, tak że mógł się wysunąć jeden z pierwszych. Dostrzegłem zarys jego barczystych pleców i głowy w świetle otwartych drzwi, a gdy kierowałem się powoli ku wyjściu, rozmawiając z jakimś nieznanym, który zwrócił się do mnie przypadkiem, widziałem z sali sądowej, jak Jim stał oparty obu łokciami o balustradę werandy, zwrócony tyłem do niewielkiego strumienia publiczności spływającego po paru stopniach. Słyszał było gwar głosów i szelest nóg.

Następna sprawa tyczyła się pobicia, napaści na jakiegoś lichwiarza, o ile mi się zdaje, i pozwany — czcigodny wieśniak z prostą, białą brodą — siedział na macie przed samymi drzwiami w otoczeniu synów, córek, zięciów, ich żon i — jak sądzę — połowy ludności z jego osiedla, stojącej lub siedzącej w kucki naokoło niego. Smukła kobieta o ciemnej cerze, obnażonych częściowo plecach i nagim, czarnym ramieniu, z cienkim złotym kółkiem w nosie, zaczęła nagle coś mówić wysokim, zrzędzącym głosem. Człowiek idący koło mnie spojrzał na nią machinalnie. Przeszliśmy wtedy właśnie przez próg, mijając szerokie plecy Jima.

Czy to właśnie owi wieśniacy przyprowadzili z sobą żółtego psa, nie umiem powiedzieć. W każdym razie był tam pies; snuł się wciąż tam i z powrotem między nogami, w niemy, skradający się sposób, charakterystyczny dla psów tamtejszych — i mój towarzysz potknął się o niego. Pies uskoczył w bok milczkiem, a człowiek rzekł głosem trochę podniesionym, śmiejąc się z lekka: „Niech pan spojrzysz na tego nędznego psa” — po czym prąd ludzi pchających się do sali rozdzielił nas natychmiast. Oparłem się na chwilę o ścianę, a nieznajomy zdołał dotrzeć do schodów i znikł. Widziałem, że Jim odwrócił się gwałtownie. Zrobił krok naprzód i zagroził mi drogę. Byliśmy sami; patrzył we mnie z nieugiętym postanowieniem. Zrozumiałem, iż jestem napadnięty, jak gdyby w lesie. Weranda już się opróżniła, hałas i ruch na dziedzińcu ustały; wielka cisza ogarnęła budynek, w którym daleko, gdzieś w głębi, jakiś głos o wschodnim brzmieniu zaczął użalać się natrętnie. Pies, usiłujący właśnie prześliznąć się przez drzwi, siadł śpiesznie i jął sobie wygryzać pchły.

— Czy pan do mnie mówił? — spytał Jim bardzo cicho i pochylił się naprzód, nie ku mnie, ale na mnie, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć.

Konflikt, Pies

Odrzekłem „nie” — natychmiast. Coś w dźwięku tego spokojnego głosu ostrzegło mnie, abym się miał na baczności. Śledziłem Jima. Było to bardzo podobne do spotkania w lesie, tylko wynik tego spotkania był bardziej niepewny, ponieważ Jimowi nie mogło chodzić o moje życie ani też pieniądze — o nic, co bym mógł mu po prostu oddać lub czego bym bronił z czystym sumieniem.

— Pan twierdzi, że pan się do mnie nie odzywał — rzekł bardzo ponuro. — Ale ja słyszałem.

— To jakaś pomyłka — odparłem, nie mając pojęcia, co o tym myśleć, i nie przestając patrzeć na Jima.

Śledziłem jego twarz, jak gdybym śledził niebo ciemniejące przed uderzeniem piorunu, gdy mierzchnie stopniowo, nieuchwytnie, a mrok pogłębia się tajemniczo wśród ciszy dojrzewającego wybuchu.

— O ile wiem, nigdy przy panu ust nie otworzył — odrzekłem, co było najzupełniejszą prawdą.

Bezsens tego spotkania zaczynał mnie trochę złościć. Przychodzi mi na myśl teraz, iż nigdy w życiu nie byłem tak bliski bójki — dosłownie: bójki na pięści. Miałem chyba jakieś mgliste przeczucie, że ta ewentualność wisi w powietrzu, choć Jim nie groził mi bynajmniej. Przeciwnie, zachowywał się z dziwną biernością — ale wyglądał ponuro i choć nie był wyjątkowo rosy, sprawiał wrażenie, jakby mógł ścianę rozwalić. Najbardziej uspokajającą oznaką, jaką w nim zauważyłem, było coś w rodzaju powolnego, głębokiego namysłu. Musiał chyba odczuć szczerą w moim głosie i zachowaniu. W sądzie sprawa o napad szła swoim trybem. Pochwyciłem słowa: „No więc — bawół — kij — przejęty okropnym strachem...”

— Co pan sobie właściwie myślał, żeby się tak na mnie gapić przez całe rano? — rzekł Jim nareszcie. Podniósł na mnie wzrok i spuścił go znowu.

— A pan się spodziewał, że będziemy wszyscy siedzieli ze spuszczonymi oczami ze względu na pańską drażliwość? — odparłem ostro.

Nie myślałem poddawać się potulnie jego wybrykom. Spojrzał znów na mnie i tym razem wzroku nie spuścił, patrząc mi prosto w twarz.

— Tak, to prawda — wyrzekł, jakby rozmyślając nad słusznością mej odpowiedzi — to prawda. Ja to znieść potrafię. Tylko — tu zaczął mówić trochę prędzej — nie pozwolę, aby mi ktokolwiek wymyślał poza obrębem sądu. Z panem był jakiś człowiek. Pan mówił do niego — o tak — wiem z pewnością; wszystko to bardzo pięknie. Pan mówił do niego, ale pan chciał, żebym ja to usłyszał...

Zapewniłem go, że jest pod wpływem jakiegoś złudzenia. Nie miałem pojęcia, skąd to wynikło.

— Pan myślał, że nie będę śmiał na to zareagować — rzekł z ledwo dosłyszalną goryczą.

Ponieważ mnie to zajmowało, rozróżniałem najłżejsze odcienie w mowie Jima, nic jednak nie rozumiejąc. Ale coś szczególnego w jego słowach — może ich ton właśnie, skłonił mnie do jak największej wyrozumiałości. Przestałem się złościć na tę kłopotliwą niespodziankę. Było to jakieś nieporozumienie. Jim się widocznie pomylił i doznał wrażenia, że to jest jakaś ohydna nieszczęsna pomyłka. Pragnąłem końca tej sceny ze względu na przyzwoitość, tak jak się pragnie uciąć jakieś niepowołane, wstrętne zwierzenia. A co najdziwniejsze, wśród rozważań wyższego rzędu zdawałem sobie sprawę z pewnego rodzaju strachu przed możliwością — nawet prawdopodobieństwem — że ta przykra historia skończy się jakąś niesławną burdą, której niepodobna będzie wytłumaczyć i która mnie ośmieszy. Nie wdychałem za trzydniową sławą jak ów człowiek, któremu oficer z „Patny” podbił oko czy nabił guza — poturbował go, jednym słowem. Jim prawdopodobnie nie dbał o to, co robi, a w każdym razie uważałby się za usprawiedliwionego we własnych oczach. Nawet i dziecko by poznało, że był wściekle zły z jakiejś przyczyny, choć zachowywał się spokojnie, a nawet obojętnie. Nie ukrywam, iż pragnąłem niezmiernie uspokoić go za wszelką cenę — ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Byłem jak w mroku bez najłżejszego światelka. Staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. Przytaił się przez jakich piętnaście sekund, po czym zbliżył się o krok, a ja się przygotowałem do odparcia ciosu, choć sądzę, że żaden mięsień mi nie drgnął.

— Nawet gdyby pan był olbrzymem i miał siłę sześciu ludzi — rzekł bardzo cicho — to i tak powiedziałbym panu, co o nim myślę. Pan...

— Przestań pan! — krzyknąłem.

To go zatrzymało na chwilę.

— Zanim pan powie, co o mnie myśli — ciągnąłem szybko — może zechce mnie pan łaskawie poinformować, co ja takiego powiedziałem czy też zrobiłem?

Nastąpiła pauza; Jim patrzył na mnie oburzony, a ja wyteżalem pamięć z nadludzkim wysiłkiem, w czym mi przeszkadzał głos o wschodnim brzmieniu w sali sądowej, protestujący płynnie, a beznamytnie przeciw oskarżeniu o fałsz. Zaczęliśmy mówić prawie jednocześnie:

— Pokażę panu zaraz, że nie jestem taki, jak pan myśli — rzekł, a jego ton groził wybuchem.

— Oświadczam, że nie wiem, o czym pan mówi — jednocześnie zapewniałem poważnie.

Usiłował mnie zmiażdżyć pogardą swego wzroku.

— A teraz, kiedy pan widzi, że się pana nie boję, niech się pan stara z tego wyplątać — rzekł. — Któż to miał być tym psem — co? — zapytał.

Na koniec zrozumiałem, o co mu chodzi.

Oglądał mi twarz, jakby szukał, gdzie ma pięść umieścić.

— Nie pozwolę nikomu... — mruknął groźnie.

Była to oczywiście ohydna pomyłka. Nie umiem wam wypowiedzieć, jakie to było dla mnie przykre. Widać zobaczył odbicie mych uczuć na twarzy, bo jego wyraz trochę się zmienił.

— Wielki Boże! — wyjąkałem — pan chyba nie przypuszcza, że ja...

— Przecież słyszałem na własne uszy — upierał się, po raz pierwszy od początku tej oplakanej sceny podnosząc głos. Potem dodał z pewnym lekceważeniem: — A więc to nie pan? Bardzo pięknie; znajdę ja tego drugiego.

— Niechże pan z siebie nie robi durnia — krzyknąłem w rozjątrzeniu — to wcale nie o pana chodziło!

— Ja dobrze słyszałem — powtórzył znów ponuro z nieugiętym uporem.

Może kto inny byłby się roześmiał z tego uporu. Ale ja się nie roześmiałem. O nie! Nie zdarzyło mi się spotkać człowieka, który by się tak bezlitośnie zdradzał, idąc za pierwszym porywem. Jedno słowo pozbawiło Jima całego opanowania — a opanowanie jest bardziej potrzebne dla naszej duchowej przyzwoitości niżli odzienie dla okrycia ciała.

— Niech pan z siebie nie robi durnia — powtórzyłem.

— A więc to tamten drugi to powiedział — teraz pan nie zaprzeczy? — rzekł wyraźnie, patrząc mi nieugięcie w twarz.

— Nie, temu nie przeczę — odparłem, odwzajemniając jego spojrzenie.

Oczy Jima zwróciły się nareszcie w dół — tam, gdzie wskazywałem palcem. Miałem wrażenie, że z początku nie zrozumiał; potem zmieszał się, a w końcu przybrał wyraz zdumienia i przestachu, jakby pies, na którego wskazywałem, był potworem i jakby Jim nigdy przedtem psa nie widział.

— Nikomu się nie śniło pana obrazić — rzekłem.

Wpatrywał się wciąż w to nędzne zwierzę, nieruchome jak posąg; siedziało z nastawionymi uszami i spiczastym pyskiem skierowanym w stronę wejścia; nagle kłapnęło zębami za przelatującą muchą jak automat.

Spojrzałem na Jima. Czerwień jego białej, spalonej cery pogłębiła się nagle pod puchem policzków, ogarnęła czoło, dotarła aż do kędzierzawych włosów. Uszy zabarwiły mu się purpurą i nawet jasny błękit oczu pociemniał wyraźnie od krwi, która mu uderzyła do głowy. Wydął z lekka drżące wargi, jakby miał natychmiast wybuchnąć płaczem. Spostrzegłem, że z nadmiernego upokorzenia nie jest w stanie wymówić ani słowa. Kto wie? a może także i z rozczarowania. Może miał nadzieję, że to lanie, które zamierzał mi sprawić, będzie dla niego jakąś rehabilitacją czy ukojeniem? Skąd można wiedzieć, jakiej się ulgi spodziewał po tej okazji do burdy? Był tak naiwny, że mógł się spodziewać wszystkiego; ale w tym wypadku zdradził się i nic na tym nie zyskał. Był szczerzy względem siebie tak jak i wobec mnie, w szalonej nadziei, że uda mu się w ten sposób odeprzeć

skutecznie zarzuty, a los odwrócił się od niego z ironią. Wydał jakiś gardłowy dźwięk, jakby go ogłuszono ciosem w głowę. To było żalodne.

Dopędziłem go aż daleko za bramą. Musiałem nawet w końcu biec za nim, ale gdy, zadyszany, wreszcie się z nim zrównałem i powiedziałem mu, że mi ucieka, rzekł: „Nigdy!”, i odwrócił się natychmiast jak osaczony. Wyjaśniłem, iż nie przyszło mi broń Boże na myśl, że ucieka przede mną.

— Przed nikim... przed nikim na świecie — twierdził uporczywie.

Powstrzymałem się od wytknięcia mu jednego rzucającego się w oczy wyjątku, który by był ciężką próbą dla najodważniejszego z nas; pomyślałem, że i tak bardzo prędko Jim sam to zrozumie. Patrzył na mnie cierpliwie, a ja szukałem w myślach, co mu powiedzieć, lecz nie mogłem nic znaleźć. Ruszył znów naprzód. Szedłem obok niego i bojąc się, aby mi nie uciekł, rzekłem spiesźnie, że nie chciałbym za nic w świecie, aby się rozstał ze mną pod fałszywym wrażeniem mego... mojej — zająknąłem się. Przeraziła mnie głupota tych słów i usiłowałem jakoś z tego wybrnąć, ale zewnętrzna siła wypowiedzanych zdań jest czymś oderwanym od ich treści i logicznej budowy — bo moje idiotyczne bąkanie zdawało mu się dogadzać. Przerwał je, mówiąc ze spokojem i uprzejmością, które dowodziły niezmiernej siły panowania nad sobą lub też nadzwyczajnej prężności ducha:

— Wszystkiemu winna ta moja pomyłka.

Zdumiało mnie to powiedzenie; tak jakby wspominał o jakimś drobnym zajściu. Czyżby nie rozumiał oplakanego znaczenia tych słów?

— Pan mi chyba wybaczy — dodał i mówił dalej z pewnym rozdrażnieniem: — Wszyscy ci gapiący się ludzie mieli tak głupie miny, że... mogło być tak, jak przypuszczałem.

Spojrzałem na Jima z innej strony. Patrzyłem na niego z zajęciem i napotkałem jego wzrok — nieulekły i nieprzenikniony.

— Nie mogę znieść tego rodzaju rzeczy — rzekł z prostotą — i znosić nie myślę. Co innego w sądzie; tam muszę i mogę to wytrzymać.

Nie twierdzę, że go zrozumiałem. Chwile, w których mi się objawiał, były podobne do spojrzeń rzuconych poprzez gęstą, ale ruchomą mgłę — kiedy to odsłaniają się fragmenty, wyraziste i znikające szybko, nie dając pojęcia o ogólnym wyglądzie kraju; budzą ciekawość, wcale jej nie zaspokajając, bo nie dają całokształtu widoku. W ogóle trudno mi było rozgryźć Jima. Uświadomiłem to sobie po jego odejściu późnym wieczorem. Zatrzymałem się na parę dni w hotelu „Malabar” i na moje usilne zaproszenie Jim przyszedł do mnie na obiad.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Parowiec dążący na Wschód przybył tego popołudnia i wielka jadalnia hotelu była więcej niż w połowie zapełniona ludźmi zaopatrzonymi w stufuntowe bilety podróży naokoło świata. Znajdowały się tam pary małżeńskie jakby zadomowione w nowym otoczeniu i nudzące się z sobą już w środku podróży; małe i duże grupy biesiadników i pojedynczy goście — a wszyscy, jedząc uroczyście lub uczując hałaśliwie, myśleli, rozmawiali, żartowali lub krzywili się, tak jak to przywykli robić u siebie w domu. Co zaś do ich chłonności wrażeń oraz inteligencji — nie przewyższali nią swoich kufrów, co stały w pokojach na górze. Podobnie jak ich bagaże, poznaczeni byli etykietami, które stwierdzały, że przejeżdżali przez takie to a takie miejscowości — i cenili sobie wysoko to wyróżnienie swych osób, zachowując kartki naklejone na walizkach jako udokumentowane świadectwa, jedyny trwały ślad korzyści wyniesionych z podróży. Ciemnolicy lokaje krzątali się bezszelestnie po przestronnej, gładkiej posadzce; od czasu do czasu rozlegał się śmiech młodej panny, niewinny i pusty jak jej dusza, a gdy brzęk porcelany nagle przycichał, dochodziło kilka słów cedzonych z afektacją przez jakiegoś dowcipnisia popisującego się walkowaniem ostatniej skandalicznej historii z pokładu wobec szczerzących zęby współbiesiadników. Dwie koczujące stare panny o drewnianych twarzach, wystrojone przesadnie i dziwacznie niby dwa bogato przybrane strachy na wróble, studiowały z cierpką miną jadłospis, szepcząc do siebie zwiędłymi wargami.

Trochę wina otworzyło serce Jima i rozwiązało mu język. Zauważyłem też, że jadł z apetytem. Mogło się wydawać, iż pogrzebał epizod, który zagaił naszą znajomość; epi-

Podróż

Kobieta, Młodość

Kobieta, Starość

Wino

zod ten był widocznie czymś, czego nie poruszy się już nigdy na tym świecie. Miałem wciąż przed sobą błękitne, chłopięce oczy patrzące mi prosto w twarz, młode oblicze, szerokie ramiona, otwarte, opalone czoło, białe u nasady wijących się, jasnych włosów — cały jego wygląd przemawiał mi do serca; szczerzy wyraz, uśmiech pełen prostoty, młodzieńcza powaga. Należał do gatunku porządnych ludzi, był jednym z nas. Mówił trzeźwo, z pewnego rodzaju powściągliwą swobodą, ze spokojem, którego źródłem mogło być męskie opanowanie — albo też bezwstyd, nieczułość, absolutna nieświadomość, niesłychany fałsz. Któż to mógłby odgadnąć? Sądząc po naszym tonie, mogliśmy rozmawiać o kimś trzecim, o meczu futbolowym, o zeszłorocznej pogodzie. Nurzałem się w przeróżnych domysłach, aż wreszcie pewien zwrot w rozmowie pozwolił mi zauważyć bez urażenia Jima, że to badanie musiało być na ogół bardzo dla niego przykre. Wyciągnął ku mnie szybko ramię przez obrus i chwycił moją rękę obok talerza, wpijając we mnie oczy. Przestraszyłem się.

— To musiało być strasznie ciężkie — wyjąkałem, zmieszany tym przejawem niemego uczucia.

— To piekło — wybuchnął nagle zduszonym głosem.

Na ów gest i słowa dwóch szykownych obywateli u sąsiedniego stołu podniosło niespokojnie oczy znad mrożonego puddingu⁵¹. Wstałem i poszliśmy ku frontowej galerii na kawę i cygara.

Stały tam małe ośmiokątne stoliczki z świecami palącymi się w szklanych kloszach; kępy roślin o sztywnych liściach przedzielały grupy wygodnych plecionych foteli; między parami kolumn, których czerwonawe trzony odbijały długim rzędem światło padające od wysokich okien, noc, ciemna i połyskliwa, zdawała się wisieć niby wspaniała draperia. Światła kotwiczne okrętów mrugały z dala jak zachodzące gwiazdy, a wzgórze z drugiej strony portu były podobne do zaokrąglonych, czarnych gromowych chmur, które stanęły w miejscu.

— Nie mogłem uciekać — zaczął Jim. — Szyper uciekł, to dobre dla niego. Ja nie mogłem i nie chciałem. Wszyscy oni wykręcili się z tego tak czy owak, ale mnie to nie przystoi.

Słuchałem go ze skupioną uwagą, nie śmiać się poruszyć na krześle; chciałem się o nim wszystkiego dowiedzieć — a do dziś dnia nie wiem nic, mogę tylko zgadywać. W jednej i tej samej chwili był ufny i zgnębiony zarazem, jakby jego przekonanie o własnej niewinności tłumilo w nim prawdę chcącą się wydobyć na wierzch. Zaczął od stwierdzenia, że nigdy nie będzie mógł wrócić do domu; a powiedział to takim tonem, jakby mówił, iż niepodobna mu przeskoczyć przez dwudziestostopową ścianę. Jego oświadczenie przypominało mi słowa Brierly'ego: „Ten stary pastor w Essex zdawał się mieć słabość do swego syna, marynarza”.

Nie umiem wam powiedzieć, czy Jim wiedział, że ojciec ma słabość do niego, lecz gdy wspominał o „tatusiu”, mówił tonem, który mi dawał do zrozumienia, że ów zacny, stary wiejski pastor jest najwybitniejszym ze wszystkich ludzi, jacy tylko od początku świata obarczeni byli troską o liczną rodzinę. Choć ani razu wyraźnie tego nie mówił, podsuwał mi to z niepokojem, żebym nie miał co do tego wątpliwości; było to rzeczywiście bardzo szczere i pełne wdzięku, lecz dodawało do innych składników tej historii bolesną świadomość o życiu tamtych ludzi, hen, daleko.

— Przeczytał już to wszystko w gazetach tam w kraju — rzekł Jim. — Nigdy nie będę mógł spojrzeć w oczy biednemu staruszkowi. — Nie ośmieliłem się podnieść wzroku, póki nie dodał: — Nie mógłbym mu nigdy wytłumaczyć. Tego by nie zrozumiał.

Spojrzałem na niego. Palił, pogrążony w myślach, a po chwili ocknął się i zaczął znów mówić. Przede wszystkim wyraził pragnienie, abym go nie mieszał z jego współnikami w... w zbrodni, powiedzmy. Nie był taki jak oni; należał do zupełnie innego gatunku. Nie przeczyłem mu. Nie miałem zamiaru w imię jałowej prawdy pozbawiać go choćby najmniejszego okrucu jakiejś odkupiającej łaski, która by się mogła stać jego udziałem. Nie wiem, do jakiego stopnia sam wierzył w swe słowa. Nie wiem do czego zmierzał — jeśli w ogóle zmierzał do czegokolwiek — podejrzewam, że on sam tego nie wiedział; bo wierzę, iż żaden człowiek nie rozumie nigdy w zupełności swych własnych, chytrych

⁵¹pudding — angielski deser o konsystencji gęstego budyniu lub miękkiego ciasta. [przypis edytorski]

Młodość

Przemiana

Dom, Ojciec

Sumienie, Wina

wykrętów mających na celu ucieczkę od ponurego cienia samowiedzy. Nie otwarłem ust ani razu przez cały czas, gdy Jim roztrząsał kwestię: co mu właściwie wypadnie zrobić po ukończeniu „tego idiotycznego śledztwa”.

Widocznie podzielał wzdorczy pogląd Brierly’ego na postępowanie sądowe nakazane prawem. Wyznał, że nie ma pojęcia, dokąd się zwrócić; tak to wyglądało, jakby raczej głośno myślał, niż do mnie mówił. Świadcstwo przepadło, kariera złamana, żadnych pieniędzy, aby się ruszyć z miejsca, żadnych widoków na otrzymanie pracy. W kraju może by się co i znalazło; ale na to trzeba by się zwrócić o pomoc do rodziny, czego zrobić nie chciał. Nie widział innej rady, jak tylko zaciągnąć się na statek w charakterze prostego marynarza — a może mógłby dostać miejsce podoficera na jakim parowcu. Dałby sobie z tym radę...

— Tak pan uważa? — spytałem bezlitośnie.

Zerwał się; podszedł do kamiennej balustrady i patrzył w noc. Po chwili był już z powrotem; stał przy moim krześle, górując nade mną, a jego młodzieńcza twarz, jeszcze była chmurna od bólu pokonanego wzruszenia. Zrozumiał bardzo dobrze, że ja nie wątpię o jego zręczności w sterowaniu okrętem. Zapytał głosem, który drżał z lekka:

— Dlaczego pan to powiedział? Pan był dla mnie taki strasznie dobry. Nawet się pan nie roześmiał, kiedy — i tu zaczął się jąkać — ta pomyłka, rozumie pan, wystrychnęła mnie na dudka. — Przerwałem mu, mówiąc dość żywo, że według mnie taka pomyłka nie jest okazją do śmiechu. Usiadł i wypił powoli kawę, opróżniając małą filiżaneczkę aż do ostatniej kropli. — To nie znaczy, abym myślał choć przez chwilę, że na to zasłużyłem — oświadczył wyraźnie.

— Nie myśli pan? — rzekłem.

— Nie — potwierdził ze spokojną stanowczością. — A czy pan wie, co pan byłby wówczas zrobił? Wie pan? A przecież pan nie ma siebie za... — przełknął ślinę — za psa?

I mówiąc to — słowo wam daję — spojrzał na mnie badawczo. Okazało się, że to było pytanie... pytanie *bona fide*⁵². Jednak na odpowiedź nie czekał. Zanim się opamiętałem, ciągnął już dalej z oczami utkwionymi wprost przed siebie, jakby wyczytywał jakiś napis na tle nocy:

— Wszystko polega na tym, żeby człowiek był w pogotowiu. Ja nie byłem w pogotowiu; nie byłem — w tamtej chwili. Nie chcę się usprawiedliwiać; ale tak bym pragnął wytłumaczyć, tak bym chciał, żeby ktoś rozumiał, ktokolwiek, choćby tylko jeden człowiek! Pan! Dlaczegoż by nie pan?

Było to uroczyste, a także i nieco śmieszne — jak zwykle walka jednostki usiłującej ocalić swoje pojęcie o tym, czym być powinna, ten sztuczny wzór postępowania — taki cenny — który jest jednym z prawideł gry, niczym więcej, lecz posiada straszliwą potęgę, bo przywłaszcza sobie bezgraniczną władzę nad przyrodzonymi ludzkimi instynktami, bo grozi okropną karą za wykroczenie przeciw sobie. Jim zaczął opowiadanie dość spokojnie. Na pokładzie parowca linii Dale, który zabrał tych czterech ludzi płynących łódką w dyskretnym blasku zachodzącego słońca, już na drugi dzień zaczęto patrzeć na nich z ukosa. Tłusty szyper opowiedział jakąś historię, pozostali milczeli i z początku wzięto wszystko za dobrą monetę. Nie bada się biednych rozbitków, których miało się szczęście ocalić — jeśli nie od okrutnej śmierci, to w każdym razie od okrutnych cierpień. Potem, kiedy już był czas na zastanowienie, może uderzyło oficerów na „Avondale”, że jest „coś podejrzanego” w całej tej sprawie; ale oczywiście zachowali swoje wątpliwości dla siebie. Wzięli na pokład kapitana, oficera i dwóch maszynistów z zatopionego parowca „Patna”; to im wystarczyło i powinno było wystarczyć. Nie pytałem Jima o uczucia, których doznawał podczas tych dziesięciu dni spędzonych na statku. Ze sposobu, w jaki mi o tym opowiadał, mogłem wnosić, że był poniekąd oghuszony odkryciem dokonany w samym sobie — i niewątpliwie usiłował je wytłumaczyć jednemu człowiekowi, który był zdolny zrozumieć całą jego straszliwą doniosłość. Zrozumcie, że nie starał się pomniejszyć tego odkrycia. Jestem tego pewien — i to go właśnie wyróżnia w moich oczach. A jakich doznał uczuć, gdy wysiadł na brzeg i dowiedział się o nieprzewidzianym zakończeniu historii, w której odegrał rolę tak oplakaną, nic mi o tym nie mówił i trudno to sobie wyobrazić. Ciekaw jestem, czy miał wrażenie, że ziemia zapada mu się pod nogami.

⁵²*bona fide* (łac.) — w dobrej wierze. [przypis edytorski]

Chciałbym to wiedzieć! Lecz zapewne zdołał bardzo prędko odzyskać równowagę. Spędził na ładzie całe dwa tygodnie, czekając w Domu Marynarza, a że jednocześnie z nim przebywało tam sześciu czy siedmiu ludzi, miałem o nim trochę informacji. Obojętna opinia tych ludzi wyrażała się w zdaniu, że w dodatku do innych wad Jim jest posępnym gburem. Spędził te dni na werandzie, zagłębiony w leżaku, i opuszczał swe legowisko tylko w czasie posiłków lub późno w noc, kiedy włóczył się samotnie po bulwarach, odezwany od otoczenia, niepewny i milczący, jak duch pozbawiony domu, gdzie by mógł straszyc.

— Nie przemówiłem pewnie nawet trzech słów do nikogo przez cały ten czas — rzekł, budząc we mnie wielkie współczucie, i dodał natychmiast: — Któryś z tych ludzi byłby na pewno rąbnął coś, czego postanowiłem płazem nie puścić, a burdy nie chciałem. Nie! Wówczas nie. Byłem zanadto — zanadto... Nie miałem na to ochoty.

— A więc ta gródź ostatecznie wytrzymała — zauważyłem rażno.

— Tak — mruknął — wytrzymała. A jednak przysięgam panu, że czułem, jak mi się wydyma pod ręką.

— To nadzwyczajne, jaki napór stare żelastwo może czasem wytrzymać — rzekłem.

Jim, zagłębiony w swoim fotelu, z wyciągniętymi sztywno nogami i zwieszonymi rękoma, kiwał lekko głową raz po raz. Nie można było sobie wystawić smutniejszego widoku. Nagle podniósł głowę, wyprostował się; trzepnął się w udo.

— Co za sposobność przepadła! Mój Boże, co za sposobność! — wybuchnął, a dźwięk ostatniego słowa był jak okrzyk wydarty bólem.

Znów milczał i patrzył nieruchomo w dal z namiętą tęsknotą za tą możliwością odznaczenia się, którą stracił; rozdał na chwilę nozdrza, wciągając czarowne tchnienie zmarnowanej sposobności. Nie myślcie, że mnie to zaskoczyło lub przejęło zgorzeniem — byłaby to z waszej strony krzyżująca niesprawiedliwość. Jakaż ten młodzik miał bujną wyobraźnię! Zdradzał się przede mną; oddawał się w moje ręce. Widziałem w jego wzroku, wbitym w noc, jak cała jego dusza porywa się i rzuca na oślep w fantastyczną krainę zuchwałych, bohaterских rojeń. Nie miał czasu żałować tego, co stracił, tak całkowicie i po prostu przejął się tym, czego osiągnąć nie zdołał. Był bardzo daleko ode mnie, choć obserwowałem go z odległości trzech stóp. Z każdą chwilą przenikał głębiej w nieprawdopodobny świat romantycznych czynów. Dotarł wreszcie do jądra tego świata! Przeniknął ten świat do głębi — do samej głębi! Dziwna błogość rozlała się po jego twarzy, a oczy zaiskrzyły mu się w blasku świecy stojącej między nami; nawet się uśmiechnął! Taki uśmiech, pełen ekstazy, nie pojawi się nigdy na mojej twarzy ani też na waszych twarzach, moi drodzy. Ściągnąłem go na ziemię, mówiąc:

— Pan chce powiedzieć — gdyby pan był został na statku!

Zwrócił się ku mnie z nagłym zdumieniem i bólem w oczach, z przelękną, zdumioną, cierpiącą twarzą; zdawało się, że spadł z jakiejś gwiazdy. Ani wy, ani ja nie spojrzymy tak nigdy na żadnego człowieka. Wstrząsnął się gwałtownie, jakby zimny palec dotknął mu serca. Wreszcie westchnął.

Nie byłem w miłosiernym nastroju. Ten młodzik drażnił mnie biegunowo sprzecznymi zwierzeniami.

— Jaka szkoda, że pan z góry nie wiedział! — rzekłem z najzłośliwszą intencją; lecz zdradliwy pocisk nie uczynił mu żadnej szkody — opadł u jego stóp jak zablakana strzała, a Jim nie pomyślał nawet o podjęciu tego pocisku. Może go wcale nie zauważył. Rzekł zaraz, wyciągając się wygodnie w fotelu:

— A niech to lichu! Mówię panu, że gródź się wygięła. Podnosiłem lampę wzdłuż kątownika na międzypokładzie, gdy płat rdzy, wielki jak moja dłoń, opadł sam z siebie od arkusza. — Przesunął ręką po czole. — Ten płat poruszył się i odskoczył jak coś żywego, w chwili gdy na niego patrzyłem.

— Nie musiało być panu przyjemnie — zauważyłem niedbale.

— Sądzi pan, że myślałem o sobie, ze stu sześćdziesięciu ludźmi na karku, śpiącymi głęboko na przednim międzypokładzie! Na tylnym było ich więcej, a jeszcze więcej na górnym pokładzie; spali — nie mieli o niczym pojęcia — jedna trzecia tylko mogła się zmieścić w łodziach, nawet gdyby był czas wszystkie spuścić! Myślałem, że żelazo pęknie

Czyn, Marzenie

Niebezpieczeństwo, Śmierć,
Tłum

w chwili, gdy tam stałem, że woda wędrze się i zaleje ich tam, gdzie leżeli... I co ja mogłem zrobić — co?

Wyobraziłem go sobie z łatwością w tym zaludnionym mroku podobnym do jaskini; blask latarni oświetlał niewielką część grodzi, na którą z przeciwnej strony napierał całym ciężarem ocean — a w uszach Jima rozlegał się oddech śpiących, nieświadomych niczego pielgrzymów. Widzę go, jak się wpatruje w żelazną ścianę, przerażony spadającą rdzą, przygnieciony świadomością o nieuchronnej śmierci. Było to wówczas — jak sądzę — gdy Jim po raz drugi został wysłany na przód przez swego szypra, który prawdopodobnie chciał go się pozbyć z mostka. Według słów Jima, pierwszym jego odruchem było krzyknąć i sprawić od razu, że wszyscy ci ludzie wpadną ze snu w przerażenie; ale ogarnęło go tak przemożne poczucie własnej bezsilności, że nie był w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Ludzie pewnie to właśnie mają na myśli, mówiąc, iż język przysechł do podniebienia. „Zaschło mi w gardle”, wyraził się Jim, opowiadając o tym. Bez słowa wydostał się na pokład przez pierwszy luk. Spuszczony żagiel dotknął go przypadkiem; Jim pamiętał, iż lekkie muśnięcie płótna po twarzy strąciło go prawie ze schodków.

Wyznał mi, że kolana trzęsły mu się porządnie, gdy stał na przednim pokładzie, patrząc znowu na śpiący tłum. Maszyny były już wówczas zatrzymane i para uchodziła. Od jej głębokiego dudnienia noc wibrowała jak basowa struna. Cały okręt dygotał.

Jim widział, jak tu i ówdzie głowa odrywała się od maty, niewyraźny kształt podnosił się i siadał, nasłuchując sennie przez chwilę, po czym opuszczał się z powrotem między spiętrzone faliście skrzynie, windy parowe, wentylatory. Wiedział, że pielgrzymi za mało się orientują, aby zrozumieć ów szczególny hałas. Żelazny statek, ludzie o białych twarzach, wszystko, na co patrzyli, co słyszeli, co działo się na pokładzie, było jednakowo dziwne dla ciemnego i pobożnego tłumy i równie budzące zaufanie jak niemożliwe do zrozumienia. Mignęło Jimowi przez głowę, że tak jest lepiej. Myśl ta była wręcz straszliwa.

Musicie sobie uprzytomnić, że Jim wierzył — tak jak każdy inny wierzyłby na jego miejscu — iż statek pójdzie na dno każdej chwili; wygięte, zżarte przez rdzę arkusze, które powstrzymywały ocean, musiały niechybnie ustąpić — nagle jak podminowana tama — i wpuścić raptowny, nieodparty zalew. Jim stał bez ruchu, patrząc na te wyciągnięte ciała — skazaniec, świadom swego losu, oglądający niemych, martwych towarzyszy. Byli martwi! Nic ich nie mogło ocalić! Łódki starczyłyby może dla połowy, ale nie było czasu. Nie było czasu! Nie było czasu! Zdawało się, że nie warto otworzyć ust, poruszyć ręką lub nogą. Zanim wykrzyknie trzy słowa lub zrobi trzy kroki, będzie się przewalał w morzu pobielającym okropnie od rozpaczliwej walki ludzkich istot, rozbrzmiewającym oszalałymi krzykami o ratunek. Nie było ratunku. Wyobrażał sobie doskonale, co nastąpi; przeżył to wszystko w myśli — stojąc nieruchomo u luku z lampą w ręku — aż do najdrobniejszych, dręczących szczegółów. Zdaje mi się, że przeżył to jeszcze raz właśnie wówczas, gdy opowiadał mi rzeczy, których nie mógł opowiedzieć w sądzie.

— Widziałem — tak jak pana teraz widzę — że nic absolutnie zrobić nie mogę. Zdawało mi się, że to poczucie odejmuje mi władzę w członkach. Pomyślałem, że wyjdzie na jedno, jeśli będę stał na miejscu i czekał. Sądziłem, iż niewiele sekund mi pozostało... — Nagle para przestała uchodzić. Jim zauważył, że choć hałas przyprawiał go o szaleństwo, cisza stała się od razu ciężąca nie do zniesienia.

— Zdawało mi się, że się uduszę, nim woda mnie zaleje — rzekł.

Zapewnił mnie, iż nie chciał się ratować. Jedna tylko wyraźna myśl to przychodziła mu do głowy, to znikająca: ośmiuset ludzi i siedem łodzi; ośmiuset ludzi i siedem łodzi.

— Ktoś mówił głośno w mojej głowie — rzekł trochę nieprzytomnie. — Ośmiuset ludzi i siedem łodzi, i ani chwili czasu! Niech pan się tylko zastanowi. — Pochylił się ku mnie nad małym stolikiem, a ja usiłowałem uniknąć jego wzroku. — Czy pan myśli, że bałem się śmierci? — zapytał bardzo cicho i zapalczywie. Opuścił na stół otwartą dłoń z taką siłą, że filiżanki od kawy podskoczyły. — Przysięgam, że nie, że nie... Nie, na Boga! — Wyprostował się i skrzyżował ramiona; głowa mu opadła na piersi.

Cichy brzęk zastawy dosięgnął nas słabo przez wysokie okna. Rozległ się gwar głosów i kilku ludzi w świetnych humorach wyszło na werandę. Zamieniali żartobliwe uwagi, wspominając osły w Kairze. Kroczący z pyszną miną obieżyświat o czerwonej twarzy żartował z wybladłego, niespokojnego młodziana, stąpającego cicho na długich nogach,

Cisza

Śmierć, Strach, Wizja

i wykpiwał jego zakupy w bazarze. „Nie, doprawdy — myśli pan, że nabrali mnie do tego stopnia?” — dopytywał się młodzian bardzo wolno i poważnie. Szli dalej, rozsiadając się po fotelach; błysnęły zapalki, oświetliły na chwilę twarze bez krzty wyrazu i płaski połysk białych gorsów; gwar licznych rozmów rozgrzanych biesiadowaniem wydał mi się idiotyczny i nieskończenie daleki.

— Część załogi spała na pokrywie pierwszego luku, na odległość ramienia ode mnie — zaczął Jim znowu.

Trzeba wam wiedzieć, że mieli na tym okręcie wachtę złożoną z *kelasich*⁵³; wszyscy majtkowie spali całą noc i w razie potrzeby wzywano tylko wyznaczonych podoficerów i wartowników. Jim miał ochotę chwycić za ramię najbliższego laskara i potrząsnąć nim, ale tego nie zrobił. Coś więziło mu ręce u boków. Nie bał się wcale, o nie! tylko po prostu nie mógł się ruszyć — to wszystko. Może i nie bał się śmierci, ale wiecie, co wam powiem? — bał się tego, co miało nastąpić. Przeklęta wyobraźnia roztaczała przed nim całą okropność panicznego popłochu: gwałtowny pęd ludzi traktujących wszystko po drodze, żałosne krzyki, tonące łodzie — straszliwe okoliczności towarzyszące wszelkim katastrofom na morzu, o jakich słyszał kiedykolwiek. Może i pogodził się z myślą o śmierci, ale podejrzewam, że chciał umierać bez tej strasznej grozy, spokojnie, jak gdyby w cichym transie. Pewna gotowość na śmierć nie jest znów taka wyjątkowa, ale rzadko kiedy spotyka się ludzi, których dusze, zakute w hartowną zbroję postanowienia, są gotowe zmagać się w beznadziejnej walce do ostatka; w miarę jak nadzieja zanika, żądza spokoju staje się coraz silniejsza, aż wreszcie przewycięża nawet żądzę życia. Któż z nas tego nie zauważył lub nie doświadczył choć w części tych uczuć na własnej osobie — niezmiernego znużenia wrażeniami, marności wysiłków, tęsknoty za spoczynkiem? Ci, którzy borykają się ze ślepych siłami, znają to dobrze: rozbitkowie w łodziach, wędrowcy zagubieni w pustyni, ludzie wojujący z bezmyślną potęgą natury lub głupią brutalnością tłumów.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jak długo Jim stał u luku bez ruchu, spodziewając się każdej chwili, że okręt zapadnie mu się pod nogami, a prąd wody zaleje go z tyłu i podrzuci jak wiór — tego nie umiem powiedzieć. Nie bardzo długo — może ze dwie minuty. Dwóch mężczyzn, których nie mógł dojrzeć, zaczęło sennie rozmawiać; doszedł go skądś dziwny odgłos szurających nóg. Ponad tymi słabymi dźwiękami wisiała okropna cisza poprzedzająca klęskę, wisiała dręczące milczenie właściwe chwilom poprzedzającym katastrofę. Nagle przyszło Jimowi do głowy, że może zdąży pobiec i poprzecinać wszystkie reyki od łóżysk, aby łodzie mogły się utrzymać na powierzchni, gdy okręt pójdzie na dno.

„Patna” miała długi mostek; wszystkie łodzie były na górze, cztery z jednej strony i trzy z drugiej — najmniejsza z nich przy lewej burcie, prawie na jednej linii z osprzętem sterowym. Jim, wyraźnie zaniepokojony, czy mu uwierzę, zapewnił mnie, że przygotował je z największą starannością do natychmiastowego użytku. Znał swoje obowiązki. Sądzę, że pod tym względem był wcale dobrym oficerem.

— Uważałem zawsze, że trzeba być przygotowanym na najgorsze — rzekł, patrząc mi niespokojnie w twarz.

Kiwnąłem potakująco głową, zaznaczając, że zgadzam się z tą zdrową zasadą, i odwracając oczy od niepochwytnej ułomności tego człowieka.

Mówił mi dalej, iż ruszył z miejsca i biegł niepewnie. Musiał przestępować przez nogi, unikać potknięcia się o głowy. Nagle ktoś chwycił go z dołu za kurtkę i zrozpaczony głos przemówił spod jego łokcia. Jim trzymał w prawej ręce lampę; światło jej padło na zadartą ciemną twarz, której oczy błagały go razem z głosem. Otrzaskany z językiem krajowców, Jim rozumiał słowo: woda, powtórzono kilkakrotnie z naciskiem w tonie modlitwy, prawie z rozpaczą. Szarpnął się, aby się wyswobodzić, i poczuł, że czyjeś ramię opasuje mu nogi.

— Ten drab uczepił się mnie jak tonący — rzekł z przejęciem. — „Woda, woda!” Jakąż on wodę miał na myśli? Czy on co wiedział? Z całym spokojem, na jaki tylko mogłem się zdobyć, rozkazałem, aby mnie puścił. Zatrzymywał mnie; czas naglił, inni ludzie zaczęli się ruszać; a ja potrzebowałem czasu — czasu, aby poprzecinać więzy trzymające łodzie. Chwycił mnie teraz za rękę; czułem, iż zaczniesz krzyczeć! Błysnęło mi, że to by

⁵³kelasi (mal.) — marynarz. [przypis edytorski]

wystarczyło dla wywołania paniki; zamachnąłem się wolną ręką i rzuciłem mu lampę w twarz. Szkło brzękło, lampa zgasła, ale to uderzenie sprawiło, że mnie puścił; uciekłem — chciałem się dostać do łódek! Skoczył za mną. Rzuciłem się na niego. Nie myślał się uspokoić; usiłował krzyczeć; o mało go nie udusiłem, nim zrozumiałem, o co mu chodzi. Chciał trochę wody — wody do picia; wydzielali im skąpe racje, rozumie pan, a on miał z sobą młodego chłopca, którego przedtem kilka razy zauważyłem. Syn jego był chory i spragniony. Człowiek ów dojrzał mnie, gdym go mijał, i poprosił o trochę wody. To było wszystko. Staliśmy w ciemności pod mostkiem. Chwytał mnie ciągle za rękę; nie było sposobu go się pozbyć. Wpadłem do swojej kabiny, porwałem butelkę z wodą i wetknąłem mu ją do ręki. Znikł. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo sam byłem spragniony.

Jim oparł się na łokciu i ocenił ręką oczy. Czulem, jak mi dreszcz zbiega po grzbiecie; w tym wszystkim było coś szczególnego. Palce ręki osłaniającej mu czoło drżały z lekka. Przerwał krótkie milczenie.

— Te rzeczy zdarzają się człowiekowi tylko raz w życiu i... Ale co tam! Kiedy wróciłem wreszcie na mostek, tamte draby usiłowały zdjąć łódź z łożyska. Łódź! Wbiegałem właśnie po drabinie, gdy silne uderzenie spadło mi na ramię, o włos od głowy. Nie zatrzymało mnie to, a główny mechanik — wyciągnięto go już podówczas z koi — znowu zamierzył się na mnie drążkiem od pokrowca. Byłem tak jakoś usposobiony, że niczemu się nie dziwiłem. Wszystko to wydawało mi się naturalne — i okropne... okropne. Wymknąłem się temu nędznemu wariatowi, podniosłem go z pokładu jak piórko, a on zaczął mi szeptać w ramionach: „Niechże mnie pan puści! Myślałem, że to nie pan, tylko jeden z tych tam Murzynów”. Odrzuciłem go precz; potknął się na mostku i zbil z nóg tego małego faceta, drugiego mechanika. Szyper, krzątający się koło łodzi, obejrzał się i zaczął iść na mnie ze spuszczoną głową, warcząc jak dzika bestia. Stałem w miejscu jak słup. Anim drgnął, jakbym był o, tym — stuknął z lekka kostkami palców w ścianę koło swego krzesła. — Zdawało mi się, że słyszałem to wszystko, widziałem to wszystko, przeszedłem przez to wszystko już dwadzieścia razy. Nie bałem się ich. Cofnąłem wyciągniętą pięść, a on zatrzymał się, mrucząc: „A to pan. Prędko, pomagaj pan”. Tak powiedział. Prędko! Jakby szybkość tu mogła coś znaczyć! „A co wy chcecie zrobić?” — zapytałem. „Zwiąć” — warknął przez ramię.

— Nie zdaje mi się, abym wtedy zrozumiał, co szyper miał na myśli. Tamci dwaj dźwignęli się tymczasem na nogi i pobiegli do łódki. Dreptali, sapali, popychali się, klęli na łódź, na okręt, na siebie — klęli na mnie. Wszystko szeptem. Nie ruszałem się wcale, nie mówiłem nic. Śledziłem pochylenie statku. Tkwił tak nieruchomo, jakby był osadzony na blokach w suchym doku, tylko że wyglądał tak: — Podniósł rękę dłonią w dół i pochylił palce. — O tak — powtórzył. — Widziałem przed sobą nad dziobem linię widnokregu jak na dłoni; widziałem hen daleko wodę czarną i błyszczącą, i cichą — cichą jak staw, śmiertelnie cichą, cichszą niż kiedykolwiek — tak cichą, że nie mogłem znieść jej widoku. Czy pan kiedy śledził statek pochyłony dziobem w dół, statek, któremu przeszkadza pójść na dno płyta starego żelaza, zżarta przez rdzę do tego stopnia, że nie można jej nawet podeprzeć? Był pan kiedy w takim położeniu? Aha, podeprzeć! Myślałem o tym — o czym ja wówczas nie myślałem! — ale czy można podeprzeć gródź w pięć minut — albo chociażby w pięćdziesiąt? Skąd wziąć ludzi, którzy by poszli tam na dół? A drzewo — drzewo? Czy byłby pan miał odwagę zamachnąć się młotem i uderzyć w gródź, gdyby pan przedtem ją widział? Niech pan nie mówi, że tak; nie widział pan jej; nikt by się na to nie odważył. Żeby taką rzecz zrobić, trzeba wierzyć, że to jest możliwe, do licha — że jest możliwość choćby jedna na tysiąc, że jest choćby cień nadziei; a temu by pan nie uwierzył. Nikt nie byłby temu uwierzył. Pan mnie uważa za psa, ponieważ tam stałem bez ruchu, ale co pan byłby zrobił na moim miejscu? Właśnie! Ani pan, ani nikt powiedzieć mi tego nie może. Na rozejrzenie się trzeba mieć czas, a co ja mogłem zrobić? Czy miałem dopuścić, żeby wszyscy ci ludzie, których przecież sam wyratować nie mogłem, których nic wyratować nie mogło — żeby ci ludzie poszaleli z trwogi? Proszę pana, tak jak tu na tym krześle przed panem siedzę...

Dyszał gorączkowo co kilka słów i rzucał na mnie szybko wzrokiem, jakby w udręce badał na mej twarzy wrażenie, które wywierał. Nie mówił do mnie, mówił tylko w mojej

Niebezpieczeństwo,
Przywódca

Morze, Woda

Czyn, Tchórzostwo

Konflikt wewnętrzny,
Spowiedź, Sobowtór,
Sumienie, Kondycja ludzka

obecności, spierał się z jakąś niewidzialną osobistością, wrogim i nieodłącznym współnikiem swego istnienia — drugim właścicielem swej duszy. Wynik sporu był poza kompetencją sądu: ten spór o prawdziwą istotę życia, niezmiernie subtelny i doniosły, sędziego nie potrzebował. Jim pragnął sprzymierzeńca, pomocnika, współwinowajcy. Czulem, że grozi mi z jego strony podejście, obalamucenie, pułapka, może nawet gwałt, byłem tylko chciał zająć wyraźne stanowisko w sporze niemożliwym do rozstrzygnięcia — gdyż niepodobna było wymierzyć sprawiedliwości wszystkiemu zjawom gnieźdzącym się w duszy Jima: i szlachetnym, które miały swoje prawa, i niegodnym, które stawiały swoje wymagania. Nie umiem wam wytłumaczyć mych sprzecznych uczuć, wam, którzyście go nie widzieli i słyszycie jego słowa tylko z moich ust. Zdawało mi się, że mnie zmuszają do zrozumienia Niepojętego — a nie znam nic przykrzejszego od takiego uczucia. Kazano mi oglądać płytkość czającą się w każdej prawdzie i zasadniczą szczerść fałszu. Jim przemawiał do wszystkich stron mojej duszy — do tej, która jest zawsze zwrócona ku światłu, i do tamtego naszego oblicza, co jak druga półkula miesiąca⁵⁴, istnieje potajemnie w wiecznym mroku, oświetlona niekiedy z samego brzegu okropnym, szarym blaskiem. Byłem pod wpływem Jima. Przyznaję się do tego, wyznaję to. Jego wypadek jest nieciekawym, mętnym — wszystko, co chcecie: zgubiony młodzieniec, wśród miliona innych — ale jednak był to jeden z nas; jego przygoda miała równie małe znaczenie jak zatopienie mrowiska, a przecież tajemnicza postawa tego człowieka zaprzętała mnie tak bardzo, jak gdyby on był najwybitniejszą jednostką swego rodzaju, jakby niejasna prawda ukryta w jego głębi dość była doniosła, by wpłynąć na wyobrażenie ludzkości o samej sobie...

Księżyc

Marlow zatrzymał się, żeby tchnąć życie w zamierające cygaro; zdawało się, iż zapomniał doszczętnie o swym opowiadaniu, gdy nagle zaczął znowu:

— Naturalnie, że to moja wina. Człowiek nie powinien doprawdy tak się przejmować. To słabość z mej strony. Jego słabość była innego rodzaju. Moja polega na tym, że nie mam dość bystrego wzroku dla rzeczy przypadkowych — zewnętrznych — że nie dostrzegam koszyka gałganiarza lub cienkiej bielizny sąsiada. Stykałem się z tylu ludźmi — ciągnął z przelotnym smutkiem — a stykałem się z nimi z pewnym... pewnym, powiedzmy, rozpędem, tak jak z tym chłopcem na przykład, i za każdym razem umiałem w nich dostrzec tylko człowieka. Mam jakiś podły, demokratyczny rodzaj wzroku, który może jest lepszy od zupełnej ślepoty, ale nie przynosi mi pożytku — o tym was mogę zapewnić. Ludzie się spodziewają, że się weźmie pod uwagę ich piękną bieliznę; nie umiałem nigdy wzbudzić w sobie zachwyty dla rzeczy tego rodzaju. A to jest wadą; jest wadą. No i przychodzi taki łagodny wieczór jak dziś; naokoło mnie siedzą ludzie zbyt leniwi, aby grać w wista — i zaczyna się opowiadanie...

Pozory, Prawda

Zatrzymał się znowu, czekając może na jakąś zachęcającą uwagę, ale nikt się nie odezwał; tylko gospodarz, jak gdyby niechętnie spełniając swój obowiązek, mruknął:

— Jesteś subtelny, Marlow.

— Kto? ja? — rzekł Marlow cichym głosem. — Ach nie, ale Jim był subtelny; i choćbym się nie wiem jak starał, aby to opowiadanie dobrze wypadło, uchodzi mi mnóstwo odcieni — takie są delikatne, takie trudne do oddania w bezbarwnych słowach. A Jim komplikował jeszcze sprawę przez to, że był taki prosty — ileż ten nieborak miał prostoty!... naprawdę, że mnie zdumiewał. Siedział tam i mówił: że tak, jak go widzę przed sobą, nigdy by się nie uląkł niczego — i wierzył w to w dodatku! Mówię wam, to było bajecznie naiwne — i niesłychane, niesłychane! Obserwowałem go skrycie, zupełnie jakbym podejrzewał, że chce mnie porządnie nabrać. Był przekonany, iż mówiąc uczciwie — „uczciwie, rozumie pan!” — nie ma rzeczy, przed którą by się cofnął. Już kiedy był ot, takim, „zupełnie małym smykiem”, przygotowywał się do spotkania wszelkich trudności, jakie się mogą przydarzyć na lądzie i morzu. Przyznawał się z dumą do swej przezorności, obmyślał niebezpieczeństwa i obronę przed nimi, spodziewając się najcięższych prób, przeświadczony, że się z nich jak najlepiej wywiąże. Musiał wieść życie pełne egzaltacji. Czy możecie je sobie wyobrazić? Nieustanny szereg przygód, sława, zwycięski pochód naprzód — i głębokie poczucie własnej zaradności, które nie opuszczało go ani na chwilę. Zapamiętał się, mówiąc; oczy mu błyszczały; każde słowo zdradzało coraz wyraźniej

Czyn, Los, Marzenie,
Zdrada

⁵⁴miesiąc (daw., poet.) — księżyc. [przypis edytorski]

całą jego niedorzeczność — a mnie serce ciążyło coraz dotkliwiej. Nie miałem najmniejszej ochoty do śmiechu i aby się nie uśmiechnąć, przybrałem niewzruszony wyraz twarzy. Jim zaczął przejawiać irytację. „Zawsze zdarza się to, czego człowiek nie oczekuje” — rzekłem pojednawczym tonem. Moja niewzruszoność wyrwała mu pogardliwe: „Et!” Pewno chciał dać przez to do zrozumienia, że żadna niespodzianka nie wytrąciłaby go z równowagi; chyba tylko coś niepojętego mogłoby zaszachować jego bezwzględną gotowość na wszystko. Został zaskoczony. Mruknął pod nosem przekleństwo na morze i niebo, na statek, na ludzi.

Wszystko go zdradziło! Został chytrze wciągnięty w pewnego rodzaju wzniosłą rezygnację, która nie pozwoliła mu nawet ruszyć palcem; a tymczasem tamci, zdający sobie jasno sprawę z położenia, pracowali w pocie czoła nad spuszczeniem łodzi, potrącając się nawzajem. Coś się tam popsło w ostatniej chwili. Zdaje się, że w pośpiechu doprowadzili jakimś dziwnym sposobem do tego, że bolec z przodu łożyska zaciął się na głucho; stracili resztę przytomności wobec tego fatalnego wypadku. Ładny widok musiały przedstawiać te zapamiętałe wysiłki czterech drabów mozolących się na nieruchomym statku, który unosił się spokojnie na wodzie wśród ciszy śpiącego świata; starali się wyzyskać każdą chwilę w walce o oswobodzenie tej łodzi; pełzali na czworakach, dźwigali się z rozpaczą i ciągnęli, pchali, warcząc jadownicie na siebie, gotowi zabić, gotowi płakać; od skoczenia sobie nawzajem do gardła powstrzymywał ich tylko strach przed śmiercią, która stała spokojnie nad nimi jak nieugięty poborca o chłodnym spojrzeniu. O tak! to musiał być ładny widok. Jim widział to wszystko i mógł o tym mówić z pogardą i goryczą; a był dokładnie o wszystkim powiadomiony chyba za pomocą szóstego zmysłu, ponieważ przysiągł mi, że trzymał się cały czas na uboczu i nie spojrzął ani razu na nich i na łódź — ani razu. A ja mu wierzyłem. Sądzę, że był zbyt pochłonięty śledzeniem niebezpiecznie pochylonego statku — groźbą zagłady odkrytą wśród najzupełniejszego bezpieczeństwa — że urzekł go miecz wiszący na włosku nad jego romantyczną głową.

Wszystko było nieruchome przed jego oczami; nic mu nie przeszkadzało wyobrazić sobie, jak ciemny widnokrąg nagle się wzniesie, a rozległa morska równina przechyli się w górę; widział szybkie, ciche zbliżanie się przepaści, brutalny jej skok i chwyt, beznadziejną walkę, gasnące światło gwiazd, mrok zwierający się na zawsze nad jego głową jak sklepienie grobu, bunt swego młodego życia — czarny kres. Wyobrażał sobie to wszystko! Na Boga, kto by sobie tego nie wyobraził? A trzeba pamiętać, że Jim był artystą w owym szczególnym zakresie, że ten nieborak miał dar szybkiej wizji poprzedzającej wypadki. Widok, który się przed nim roztoczył, obrócił go od stóp do głów w kamień; ale w głowie kłębiły mu się gorączkowe myśli, kulawe, ślepe, nieme myśli — wir okropnych kalek. Czy nie mówiłem wam, że się przede mną spowiadał, jakbym miał władzę potępić go lub rozgrzeszyć? Rył się w sobie coraz głębiej w nadziei na moje rozgrzeszenie — które by mu się na nic nie przydało. Był to jeden z tych wypadków, których żaden uroczysty fałsz nie może złagodzić, którym zaradzić nie jest w ludzkiej mocy; sam Stwórca zdaje się grzesznika opuszczać i zostawiać go samemu sobie.

Jim stał z prawej strony mostka, odsunawszy się jak najdalej od walki o łódź — walki tajemnej niby spisek i toczącej się wśród wariackiego podniecenia. Tymczasem obaj Malaje pozostali u koła, trzymając ręce na szprychach. Wyobraźcie sobie aktorów tego — dzięki Bogu — wyjątkowego morskiego epizodu; czterech ludzi wprost oszalałych od gwałtownych, skrytych wysiłków i trzech przypatrujących się im w zupełnym bezruchu — ponad płóciennym dachem osłaniającym głęboką nieświadomość setek ludzkich istot wraz z ich znużeniem, marzeniami, nadziejami — istot zatrzymanych przez niewidzialną rękę na skraju zagłady. Bo że tak było, nie mam co do tego żadnych wątpliwości; zważywszy na stan okrętu, uważam ów wypadek za jeden z najgorszych, jakie się mogą wydarzyć. Te draby u łodzi miały aż nadto powodów do wariowania ze strachu. Mówię szczerze; gdybym się tam znalazł, nie dałbym i złamanego szeląga, że okręt się utrzyma na powierzchni przez następną sekundę. A jednak unosił się wciąż na wodzie. Przeznaczeniem tych śpiących pielgrzymów było, aby dokonali swej wędrówki w goryczy — inny jakiś koniec był im sądzony. Zdawało się, że Wszechpotęga, w której miłosierdzie wierzyli, potrzebując jeszcze na chwilę świadectwa ich pokory na tej ziemi, spojrziała w dół, aby oceanowi dać znak: „Nie wolno!” Ocalenie „Patny” byłoby dla mnie faktem absolutnie niepojętym, gdybym nie wiedział, do jakiego stopnia stare żelazo jest czasem wytrzymałe

Wizja

Artysta

Spowiedź

Los, Niebezpieczeństwo,
Morze

Ciało, Dusza

— równie wytrzymałe niekiedy jak duch ludzi, jakich się spotyka od czasu do czasu, ludzi zużytych do cna, lecz dźwigających wciąż ciężar życia.

Jednym z najdziwniejszych objawów w ciągu tych dwudziestu minut było według mnie zachowanie obu sterników. Należeli do gromady przeróżnych krajowców sprawdzonych z Adenu dla zeznań w czasie śledztwa. Jeden z nich, walczący z wielką nieśmiałością, bardzo był młody, a sądząc z jego gładkiej, żółtej, wesołej twarzy, można było myśleć, że jest jeszcze młodszy niż w rzeczywistości. Pamiętam doskonale, jak Brierly zapytał go przez tłumacza, co myślał w owej chwili, tłumacz zaś, zamieniwszy z nim kilka słów, zwrócił się do sądu z godną miną: „Mówi, że nic nie myślał”.

Drugi sternik, o cierpliwych, mrugających oczach, miał na głowie zwiniętą zręcznie niebieską bawełnianą chustę, wyblakłą od prania, spod której sterczało mnóstwo siwych kosmyków. Twarz jego była pomarszczona, zapadła, ponura, a cera brunatna, pociemniała od sieci zmarszczek; wyjaśnił, że wiedział, iż coś złego się dzieje ze statkiem, ale nie otrzymał żadnego rozkazu; nie pamiętał, aby mu dano jaki rozkaz; dlaczegoż by miał opuścić ster? Przy dalszych pytaniach wyprężył nagle ruchem chude barki i oświadczył, że mu nawet nie przyszło do głowy, aby biali mogli opuścić okręt ze strachu przed śmiercią. Nawet i teraz w to nie wierzy. Musiały tam być jakieś ukryte przyczyny. Pokiwał znacząco brodą. Aha! ukryte przyczyny. Jest człowiekiem wielce doświadczonego i chce, aby ten biały tuan⁵⁵ wiedział — zwrócił się ku Brierly’emu, który nie podniósł głowy — że on, sternik, nabył wiele wiadomości, służąc białym ludziom na morzu przez długie lata. I nagle, trzęsąc się z podniecenia, zaczął sypać przed skupioną uważnie publicznością mnóstwo dziwacznie brzmiących imion, nazwisk zmarłych szyprów, nazw zapomnianych statków krajowych, słów o brzmieniu znanym i wypaczonym, jakby ręka niemego czasu ciążyła na nich od wieków. Zatrzymano go wreszcie. Cisza zaległa salę — cisza niezamącona co najmniej w ciągu minuty i przechodząca stopniowo w głęboki pogwar. Ten epizod zrobił sensację w drugim dniu śledztwa; wywarł wrażenie na publiczności, wywarł wrażenie na wszystkich prócz Jima, który siedział pośepnie u końca pierwszej ławki i nie podniósł oczu ani razu na tego niezwykłego i obciążającego świadka, co zdawał się posiadać jakiś tajemniczy system obrony.

Tedy obaj laskarowie tkwili u koła tego okrętu, którym nie można już było sterować, i śmierć by ich tam zastała, gdyby takie było ich przeznaczenie. Biali nie popatrzyli na nich nawet przelotnie, zapomnieli widać o ich istnieniu. W każdym razie Jim sobie tego nie przypominał. Pamiętał tylko to, że czuł się zupełnie bezsilny — ponieważ był sam jeden. Pozostawało mu tylko zatonać razem z okrętem. Czy warto było zakłócać ludziom spokój? I po co? Czekał bez słowa, stężyła w tej jednej myśli — w pewnego rodzaju bohaterskiej dyskrecji. Pierwszy mechanik przebiegł ostrożnie w poprzek mostku i pociągnął go za rękaw. „Chodź pan i pomóż! Na miłość boską, chodźże pan i pomóż!” Pobiegł do łodzi na palcach i wrócił natychmiast, żeby ciągnąć znów Jima za rękaw, błagając go i przeklinając zarazem.

— Zdawało się, że gotów mnie całować po rękach — rzekł Jim z wściekłością — a zaraz potem zaczął się pieniać i szeptać mi w twarz: „Gdybym miał czas, z rozkoszą bym łeb panu roztrzaskał”. Odepchnąłem go. Nagle chwycił mnie za szyję. Uderzyłem go, psiakrew. Biłem, gdzie popadło. „Nie chcesz się wyratować — ty piekielny tchórze!” — zaszlochał. Tchórze! Nazwał mnie piekielnym tchórzem! Cha, cha, cha, cha! Nazwał mnie — cha, cha, cha!...

Jim rzucił się w tył i dygotał ze śmiechu. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie gorzkiego. Ten śmiech padł jak zaraza na paplaninę o osłach, piramidach, bazarach i tak dalej. Wzdłuż całej galerii, długiej i ciemnej, głosy przycichły, blade plamy twarzy zwróciły się jednocześnie w naszą stronę i cisza stała się tak głęboka, że jasny dźwięk łyżeczki padającej na mozaikową posadzkę werandy zabrzmiał jak wątły, srebrzysty krzyk.

— Niech się pan tak nie śmieje, tu pełno ludzi — strofowałem go. — To nie wypada, pan przecież rozumie.

Z początku nie było po nim widać, czy mnie usłyszał, ale po chwili mruknął niedbale, patrząc mimo mnie wzrokiem, który zdawał się przenikać w głąb jakiegoś straszliwego zjawiska:

⁵⁵tuan (mal.) — pan. [przypis edytorski]

— Ach, pomyślą, że jestem pijany.

Sądząc po jego wyglądzie, można było przypuszczać, że nigdy nie wyrzeknie już ani słowa. Ale gdzież tam! Nie mógł już teraz przestać mówić, tak jakby nie mógł przestać żyć przez sam wysilek woli.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Mówiłem w myśli: „Toń, przeklęty! toń!” — To były słowa, od których rozpoczął na nowo. Pragnął, żeby to się już raz skończyło. Zostawiono go w zupełnym spokoju i zwracał się tak w duszy do statku, złorzecząc mu, a jednocześnie widział sceny jakby wyjęte z nędznej komedii. Mordowali się wciąż nad tym bólcem. Szyper rozkazywał:

„Wleźcie pod spód i starajcie się łódź podnieść” — ale tamci nie chcieli. Rozumiecie — nie byłoby przyjemnie dać się zaskoczyć, leżąc na płask pod kilem łodzi, w razie gdyby okręt poszedł nagle na dno.

„A czemu to pan nie wlezie? pan jest najsilniejszy” — zaskomlał mały maszynista.

„*Gott-for-dam!*⁵⁶ Jestem za gruby” — wykrztusił szyper z rozpaczą. Takie to było zabawne, że człowiek mógł umrzeć ze śmiechu. Stali przez chwilę bezczynnie; nagle główny mechanik podbiegł znów do Jima.

„Chodźże i pomóż! człowieku! Czyś ty oszalał, żeby odrzucać jedyny ratunek? Rusz się i pomóż! Patrz tam, patrz!”

Jim zwrócił się wreszcie w stronę rufy, gdzie tamten wskazywał z uporem mania-ka. Ujrzał niemy, czarny szkwał, który już był pożarł jedną trzecią nieba. Wiecie, jak te szkwały pojawiają się w tamtych stronach o tej porze roku. Naprzód ściemnia się tylko widnokrag; potem wznosi się chmura, nieprzenikniona jak ściana. Prosta krawędź mgły, obrzeżona mdłym, białawym połyskiem, nadbiega z południo-zachodu, połykając gwiazdy całymi konstelacjami; jej cień pędzi po wodzie i stapia morze z niebem w jedną otchłań ciemności. A wszędzie jest cicho. Ani grzmotów, ani wiatru, ani najłżejszego szmeru; błyskawic ni śladu. Potem w mrocznej nieskończoności pojawia się siny łuk; przebiegają nieliczne fale, które są niby rozkołysaną ciemnością, i nagle wichry i deszcz uderzają ze szczególnym impetem, jakby się przedarły przez jakąś twardą zaporę. Taka właśnie chmura zjawiała się, podczas gdy patrzyli. Tamci dopiero co ją spostrzegli i sądzili słusznie, że o ile w zupełnej ciszy „Patna” mogłaby jeszcze utrzymać się na wodzie przez parę minut, o tyle najłżejsze wzburzenie morza oznaczałoby jej natychmiastową zgubę. Pierwsze pochylenie statku na fali, która poprzedza wybuch takiego szkwału, byłoby także ostatnim; „Patna” zanurzyłaby się, a potem dałaby długiego, długiego nurka w dół — aż do samego dna. Stąd pochodził nowy napad strachu tych drabów, stąd ponowne błazeńskie wybryki, w których przejawiała się niezmierna odraza do śmierci.

— Było czarno, czarno — ciągnął Jim z ponurym spokojem. — Zakradło się to na nas z tyłu. Piekielna zmore! W głębi ducha musiałem chyba mieć jeszcze trochę nadziei. Nie wiem. Ale teraz już wszystko przepadło. Ogarnął mnie szal, gdy poczułem, że jestem przyłapany. Wściekałem się, jakbym wpadł w potrzask. Znalazłem się doprawdy w potrzasku! Pamiętam też, że noc była parna, bez najłżejszego powiewu.

Pamiętał to tak dobrze, iż teraz, siedząc na krześle, dyszał, zdawał się oblewać potem i dusić na moich oczach. Doprowadzało go to do szału — opowiadał dalej o sobie — ale przywiodło mu na myśl ową ważną przyczynę, która skierowała go na ten mostek — i o której natychmiast zapomniał. Chciał przecież poprzecinać więzy umacniające łódzie ratunkowe. Wyrwał z kieszeni nóż i zaczął ciąć, jakby nie widział nic, nie słyszał nic, nie znał nikogo na statku. Pomyśleli, że jest beznadziejnie uparty i narwany, ale nie śmieli się głośno sprzeciwić tej bezużytecznej stracie czasu. Kiedy skończył, powrócił na to samo miejsce, gdzie był przedtem. Zastał tam głównego mechanika, który wpił mu się w ramię, szepcząc tuż przy jego głowie, jakby chciał ugryźć go w ucho:

„Ty durniu! Myślisz, że będzie choć cień nadziei, kiedy te wszystkie bestie znajdą się w wodzie? Przecież jak nic roztrzaskają ci głowę, dostając się do łódek!”

Łamał ręce u boku Jima, który nie zwracał na niego żadnej uwagi. Szyper suwał nerwowo nogami w miejscu i mamlął:

Słowo, Kondycja ludzka

Szaleństwo

Burza, Oblok

Niebezpieczeństwo, Strach

⁵⁶*Gott-for-dam!* — prawdopodobnie znieksz. niem. *Gottverdammich*: do diabła! [przypis edytorski]

„Młotek! młotek! *Mein Gott!*⁵⁷ Przynieście młotek”.

Mały mechanik zaszlochał jak dziecko, ale mimo wszystko, mimo złamanej ręki, okazał się najmniejszym tchórzem z nich wszystkich; zdobył się rzeczywiście na odwagę i pobiegł do maszynowni, aby wykonać zlecenie. Nie była to fraszka, co trzeba przyznać bezstronnie. Według słów Jima, rozejrział się przedtem rozpaczliwie jak człowiek osaczony, zajęczał żałośnie i poleciał. W mig był z powrotem, wbiegł po drabinie z młotkiem w rękę i rzucił się od razu na ten bolec. Tamci odbiegli Jima natychmiast, aby mu pomóc. Jim słyszał stukanie młotka, a potem odgłos spadającego bolca. Łódź była wolna. Dopiero wtedy odwrócił się, aby spojrzeć — dopiero wtedy. Ale trzymał się z daleka — trzymał się wciąż z daleka. Chciał, abym wiedział, że trzymał się wciąż z daleka, że nie było nic wspólnego między nim a tamtymi ludźmi, którzy mieli młotek. Nic a nic! Jest bardziej niż prawdopodobne, że uważał się za odciętego od nich nieprzebytą zaporą, przeskodą nie do pokonania, przepaścią bez dna. Nie mógł się od nich jeszcze dalej odsunąć — dzieliła ich już cała szerokość statku.

Nogi Jima jak gdyby wrosły w to odległe miejsce, a oczy były przykute do niewyraźnej grupy tamtych ludzi pochylonych w jedną stronę i miotających się dziwnie we wspólnych katuszach strachu. Ręczna lampa, przywiązana do słupka nad stolikiem ustawionym na mostku — „Patna” nie miała kajuty nawigacyjnej na śródkręciu — rzuciła światło na ich wyprężone ramiona, na wygięte w kabłąk, drgające plecy. Pchali łódź od dziobu; pchali ją w noc; pchali i już nie myśleli oglądać się na Jima. Machnęli na niego ręką, jakby doprawdy był zbyt odległy, zbyt beznadziejnie od nich odcięty i niewart życzliwego słowa, znaku lub spojrzenia. Nie mieli czasu oglądać się na jego bierne bohaterstwo ani czuć żądła jego powściągliwości. Łódź była ciężka; pchali od dziobu, nie tracąc ani jednego oddechu na zachęcające słowa, lecz paroksyzm strachu, który zmiotł ich panowanie nad sobą jak wicher plewy, uczynił z tych rozpaczliwych wysiłków śmieszne błazeństwo, odpowiednie — dają słowo — dla kłownów wygłupiających się w cyrku. Pchali rękami, nogami, chodziło przecież o życie, pchali całym ciężarem ciała, całą mocą swych dusz — ale skoro im się tylko udało odwrócić dziób ku morzu, przestawali pchać jak jeden mąż i gramolili się do łodzi niby szaleni. Naturalnym tego skutkiem było, że łódź cofała się nagle, odtrącając ich w tył, bezradnych i przewracających się na siebie. Stali przez chwilę zbici z tropu, wymyślając sobie w dzikich szepcach najohydniejszymi wyzwiskami, jakie sobie tylko mogli przypomnieć, i zaczęli na nowo. Powtórzyło się to trzy razy. Jim opisywał mi wszystko z ponurą dokładnością. Nie uszedł mu ani jeden ruch z tych śmiesznych wysiłków.

— Brzydziłem się nimi. Nienawidziłem ich. Musiałem na to wszystko patrzeć — rzekł z prostotą, zwracając na mnie mroczne, czujne spojrzenie. — Czy był kto kiedy poddany takiej haniebnej próbie!

Ujął na chwilę głowę w dłonie, jak człowiek doprowadzony do szału przez jakąś niesłychaną obelgę. Tych rzeczy nie mógł wyjaśnić sądowi — a i mnie nawet; ale nie byłbym człowiekiem odpowiednim do słuchania jego zwierzeń, gdybym nie rozumiał, co znaczą od czasu do czasu pauzy między jego słowami. W tym ataku na siłę jego ducha była szydercza celowość jakiejś złośliwej, nikczemnej zemsty; w jego męczarni było coś groteskowego — jakby los chciał go poniżyć, strojąc przed nim dziwaczne miny wobec zbliżającej się śmierci lub niesławy.

Faktów, które Jim opowiadał, nie zapomniałem, lecz z tej odległości czasu nie mógłbym podać ściśle jego słów; pamiętam tylko, że umiał zdumiewająco przelać głuchą urazę swej duszy w nagły opis wypadków. Dwakroć — jak mi mówił — zamykał oczy w przekonaniu, że koniec już nadszedł, i dwakroć musiał je znowu otworzyć. Za każdym razem zauważył ściemnianie się wielkiej ciszy. Cień milczącej chmury padał już na okręt z zenitu i rzekłbyś, zdławił na nim wszelkie dźwięki różnorodnego życia. Jim nie słyszał już głosów pod zasłoną. Powiedział mi, że gdy tylko zamykał oczy, błysk myśli ukazywał mu z niesłychaną wyrazistością tłum ciał wydanych śmierci. Kiedy znów oczy otworzył, widział mętnie walkę czterech ludzi, którzy zmagali się jak szaleni z upartą łodzią.

— Odskakowali od niej raz po raz, stali, besztając się nawzajem, i potem nagle rzucali się znów na nią gromadnie... Można było umrzeć ze śmiechu — zauważył ze spuszczoneymi

Rozpacz

Czyn

Słowo

Hańba, Niebezpieczeństwo,
Odwaga, Strach

Oko, Śmiech, Wzrok

⁵⁷*Mein Gott!* (niem.) — Mój Boże! [przypis edytorski]

oczami, po czym podniósł je na chwilę ze złowieszczym uśmiechem: — Powinno to być dla mnie źródłem wesołości na całe życie, jak mi Bóg miły! bo ten śmieszny widok nawiedzi mnie jeszcze nieraz przed śmiercią. — Spuścił znów oczy. — Widzę to i słyszę... Widzę to i słyszę — powtórzył po długiej przerwie, podczas której patrzył bezmyślnie przed siebie.

Ocknął się.

— Postanowiłem, że oczu nie otworzę — rzekł — i nie mogłem wytrzymać. Nie mogłem, i wszystko mi jedno, co kto o tym myśli. Niech przeżyją coś podobnego, nim zaczną mnie sądzić. Niech przejdą przez to i zachowają się lepiej ode mnie, niczego więcej nie żądam. Za drugim razem otworzyłem w mig oczy, a także i usta. Poczułem, że statek się rusza. Pochylił lekko dziób i podniósł go ostrożnie, powoli, trwało to całą wieczność. Nie zdarzyło się to statkowi od wielu dni. Chmura popędziła naprzód i pierwsza fala zdawała się wędrować po morzu z ołowiu. Nie było życia w tym poruszeniu — a jednak ono zdołało wyrzucić coś w mojej głowie. Co byłby pan zrobił? Pan jest siebie pewien, prawda? Co by pan zrobił, teraz, w tej oto minucie — gdyby pan poczuł, że ten tu dom się chwieje, że zachwiał się leciutko pod pańskim krzesłem? Skoczyłby pan! Na Boga! Dałby pan susa z miejsca, gdzie pan siedzi, i wylądowałby pan o tam, w tej kępie krzaków.

Wyciągnął szybko rękę ku nocy za kamienną balustradą. Siedziałem bez ruchu. Patrzył na mnie bardzo spokojnie i surowo. To było jasne: chciał mnie sterroryzować; musiałem siedzieć bez ruchu, aby się nie dać pobudzić do jakiegoś niewczesnego gestu lub słowa, które by mogło zaważyć w tej sprawie. Nie miałem ochoty na żadne ryzyko. Nie zapominajcie o tym, że siedziałem z nim twarzą w twarz, i doprawdy — tak bardzo każdego z nas mi przypominał, iż przez to stawał się niebezpieczny. Jeżeli zaś chcecie wiedzieć, to powiem wam chętnie, że nawet zmierzylem szybkim spojrzeniem odległość dzielącą mnie od ciemnej plamy przed werandą na środku trawnika. Jim przesadzał. Byłbym wyskoczył o kilka stóp bliżej — to jedyna rzecz, której jestem zupełnie pewien.

Myślał, że nadeszła ostatnia chwila, a jednak nie ruszał się wcale. Nogi jego były wciąż przyrośnięte do desek, choć myśli kłębiły mu się w głowie. A przy tym właśnie w tej chwili spostrzegł, że jeden z ludzi przy łódce odstał nagle w tył, chwycił wyciągniętymi rękami powietrze, zachwiał się i osunął. Nie upadł właściwie, tylko siadł powolutku, skurczony, z plecami opartymi o bok luku do maszynowni.

— Taki wynędzniały czelczyzna o wybladłej twarzy i strzępiastych wąsach. Pełnił funkcję trzeciego mechanika — wyjaśnił Jim.

— Umarł — wtrąciłem. — Słyszeliśmy coś o tym w sądzie.

— Tak mówią — wyrzekł z ponurą obojętnością. — Nic o tym naturalnie nie wiedziałem. Miał słabe serce. Skarżył się już jakiś czas przedtem, że źle się czuje. Był wzburzony, spracował się przy tej łodzi. Diabli go wiedzą. Cha, cha, cha! Jasne było, że nie chciał jednak umierać. Zabawne, prawda? Słowo daję, naciągali go po prostu na samobójstwo. Naciągali go — ni mniej, ni więcej. Naciągali go na to, Bóg świadkiem! podczas gdy ja... Ach! gdybyż był się spokojnie zachował; gdybyż był ich posłał do diabła, kiedy przyszli go wyrwać z koi, wówczas jak statek tonął. Gdybyż tak stał na boku, z rękami w kieszeniach, i tylko im wymyślał!

Zerwał się, potrząsnął pięścią, popatrzył mi w oczy i siadł z powrotem.

— Stracona sposobność, co? — szepnąłem.

— Dlaczego pan się nie śmieje? — rzekł. — To przecież kawał, który wylął się w piekło. Słabe serce! Żałuję czasem, że moje serce nie było słabe.

To mnie podrażniło.

— Żałuje pan? — wykrzyknąłem z głęboką ironią.

— Tak! czy pan tego nie rozumie? — zawołał.

— Czegóż to pan jeszcze nie będzie żałował! — rzekłem gniewnie.

Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc wcale, o co mi chodzi. Ten pocisk minął go także, a Jim nie był człowiekiem, który by się troszczył o zbłąkane strzały. Słowo daję, za mało był podejrzliwy; partia nie była równa. Cieszyłem się, że mój pocisk się zmarnował — że Jim nie usłyszał nawet dźwięku cięciwy.

Oczywiście, nie mógł wówczas wiedzieć, że tamten człowiek nie żyje. Następna minuta — ostatnia minuta Jima na pokładzie — kłębiła się od wypadków i uczuć, które były w niego jak morze w skałę. Używam rozmyślnie tego porównania, ponieważ opierając się

Niebezpieczeństwo, Strach

Niebezpieczeństwo, Śmierć
Trup

na jego relacji, zmuszony jestem wierzyć, że zachował przez ten czas dziwne złudzenie bierności, jakby sam nie był czynny, jakby uległ władzy piekielnych sił, które wybrały go na ofiarę swego żartu. Pierwszą rzeczą, z jakiej sobie zdał sprawę, był zgrzyt ciężkich żurawików, które się wreszcie obróciły za burtę — a hałas ten zdawał się przenikać z pokładu przez podeszwy do jego ciała i wędrować w górę po grzbiecie aż do ciemienia. Potem, gdy szkwał przybliżył się znacznie, druga, cięższa fala podniosła bierny kadłub wśród groźnego kołysania, które zaparło oddech Jimowi, a jednocześnie paniczne krzyki przebiły mu jak miecz umysł i serce:

— Puszczajcie! Na miły Bóg, puszczajcie! Puszczajcie! Statek tonie!

Zaraz potem liny przesunęły się po zgrzytających blokach, a pod płóciennym dachem sporo ludzi zaczęło mówić przerażonymi głosami.

— Jak się te lotry rozwrzeszczały, to mogły umarłych zbudzić — rzekł Jim. — Bepośrednio po plusku łodzi, rzuconej dosłownie w morze, rozległy się głuche odgłosy gramolenia się w niej i tupania pomieszone z niewyraźnymi krzykami: „Odczepić! Odczepić! Pchnąć! Odczepić! Pchajcie! na miłość boską! szkwał nadciąga!...” — Jim usłyszał wysoko nad głową słaby szum wiatru i bolesny jęk gdzieś w dole. Jakiś głos zagubiony za burtą jął przeklinać hak od łańcucha. Okręt zaczął brzęczeć na przodzie i rufie jak podrażniony ul; Jim, opowiadając mi to wszystko spokojnie — miał właśnie wtedy bardzo opanowaną twarz i głos, i postawę — rzekł zupełnie niespodziewanie:

— Potknąłem się o jego nogi.

Pierwszy raz wówczas usłyszałem, że się w ogóle poruszył. Nie mogłem wstrzymać pomruku zdziwienia. Coś wreszcie wysadziło go z miejsca, ale o tej przełomowej chwili, o przyczynie, która go wyciągnęła z bezruchu, nie wiedział więcej niż wyrwane drzewo o wietrze, co je powalił. Wszystko sprzysięgło się przeciw Jimowi: dźwięki, obrazy, nogi tamtego trupa, na Boga! Szatańska ręka wciskała mu do gardła piekielny żart, ale zważcie na to, Jim nie zamierzał się przyznać, że próbował go przełknąć. To nadzwyczajne, jaką on miał moc narzucania człowiekowi swych złudzeń. Słuchałem go, jakby opowiadał o martwym człowieku wydanym na łup praktykom czarnej magii.

— Mechanik przewrócił się na bok bardzo wolno, i to jest ostatnia rzecz, którą sobie przypominam z pokładu — ciągnął dalej. — Wszystko mi było jedno, co ten człowiek robi. Wyglądało to, jakby wstawał, i myślałem naturalnie, że wstaje; spodziewałem się, że skoczy koło mnie przez poręcz i wpadnie do łodzi za innymi. Słyszałem ich tłukących się tam w dole; rozległ się głos, niby pocisk: „George!” Potem trzy głosy krzyknęły razem. Każdy z nich doszedł mnie oddzielnie: jeden beczał, drugi wrzeszczał, trzeci wył. Brrr! — Jim wstrząsnął się lekko; zobaczyłem, że się podnosi z wolna, jakby jakaś spokojna ręka wyciągała go z krzesła za włosy, powoli, póki nie wyprostował się w całej wysokości, a gdy kolana mu się wyprężyły, ręka puściła go i zachwiał się trochę na nogach. Była jakby okropna cisza w jego twarzy, w jego ruchach, nawet w jego głosie, kiedy powiedział: — Krzyknęli — i mimo woli nadstawiłem uszu, aby pochwycić widmo tego krzyku, który się rozlegnie natychmiast poprzez złudne wrażenie ciszy.

— Było ośmiuset ludzi na tym statku — rzekł, przykuwając mnie do krzesła okropnym spojrzeniem bez wyrazu. — Ośmiuset żywych ludzi, a oni krzyczeli na tego jednego, martwego, żeby skoczył i wyratował się. „Skacz, George! Skacz! Dalej! Skacz!” Stałem u burty z ręką na żurawiku. Byłem bardzo spokojny. Noc stawała się jak atrament. Nie było widać ani nieba, ani morza. Słyszałem łódź objającą się o burtę: stuk, stuk; żaden inny odgłos nie dochodził z dołu przez chwilę, lecz statek pełen był gwaru. Nagle szyper zawył: „*Mein Gott!* Szkwał! Szkwał! Odepchnąć łódź!” Gdy deszcz zaczął szumieć i zerwał się wiatr, wrzasnęli znowu: „Skacz, George! Złapiemy ciebie! Skacz!” Okręt zaczął się powoli zanurzać; deszcz przewalał się po nim jak wzburzone morze; czapka zleciała mi z głowy; wpierało mi oddech do gardła. Usłyszałem — jakbym stał na szczycie wieży — jeszcze jeden dziki wrzask: „Geo-o-orge! No, skaczące!” Statek zanurzał się coraz głębiej — dziobem naprzód — pode mną...

Podniósł z wolna rękę do twarzy i zdejmował z niej coś palcami, jakby go oblaźła pajęczyna, a potem patrzył na swoją otwartą dłoń przez jakie pół sekundy, zanim mu się wyrwało:

— Skoczyłem... — zatrzymał się, odwrócił wzrok... — Tak mi się zdaje — dodał.

Dźwięk

Dziecko, Czyn

Otchłań, Czyn

Jasnoniebieskie oczy Jima spojrzały na mnie żałośnie; stał przede mną niemy i obolały, a ja czułem, że mnie przygniata smutne poczucie bezsilnej, zrezygnowanej mądrości wraz z głęboką litością starca, który patrzy na dziecięcą klęskę, bezradny i ubawiony.

— Na to wygląda — mruknąłem.

— Nie byłem tego świadomy, pókim nie spojrział w górę — wyjaśnił Jim spiesznie.

Myślę, że to jest możliwe. Słuchałem go tak, jak się słucha małego, strapionego chłopczyka. Nie miał pojęcia, że skacze. To się tak jakoś stało. To się już nigdy nie powtórzy. Upadł połową ciała na kogoś i rozciągnął się w poprzek ławki. Zdawało mu się, że chyba wszystkie żebra z lewego boku ma połamane. Przekreślił się; zobaczył niewyraźnie okręt, z którego uciekł, wznoszący się nad nim, i czerwone boczne światło jaśniejące jak duży krąg wśród deszczu, jak ognisko na szczycie wzgórza widziane przez mgłę.

— Statek wydał mi się wyższy od muru; majaczył jak skała nad łódką... Zaprzagnąłem umrzeć! — krzyknął. — Nie mogłem już stamtąd wrócić. Było to, jakbym skoczył w studnię — w przepaść bez dna...

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Splótl palce i rozplótl je znowu. Była to najprawdziwsza prawda: skoczył istotnie w przepaść bez dna. Spadł z wysokości, na którą się już nigdy wspiąć nie zdoła. Tymczasem łódź minęła dziób „Patny”. Zbyt wielka ciemność nie pozwalała im się widzieć nawzajem, a przy tym byli oślepieni i na wpół zatopieni przez ulewę. Jim mówił mi, że miał wrażenie, jakby prąd ich niósł przez pieczarę. Zwrócili się plecami do deszczu: szypier prawdopodobnie zanurzył wiosło za rufą, aby utrzymać łódź dziobem do fali, i przez dwie lub trzy minuty zdawało się, że nadszedł koniec świata, że potop zalał całą ziemię wśród czarnego mroku. Morze ryczało jak „dwadzieścia tysięcy kotłów”. To jest porównanie Jima, nie moje. Ja sądzę, że wiatr dał gwałtownie tylko z początku; Jim przyznał sam na śledztwie, iż owej nocy morze niezbyt było wzburzone. Przykucnął w dziobie łodzi i obejrzał się ukradkiem. Dostrzegł wysoko w górze jeden jedyne żółty błysk światła na maszcie, zamglony jak gasnąca gwiazda.

— Przeraziłem się, że go tam jeszcze widzę — rzekł. Tak właśnie powiedział. Przeraziła go myśl, że statek jeszcze nie zatonął. Widać pragnął, aby ta ohyda skończyła się jak najprędzej. Nikt w łodzi się nie odzywał. Wśród ciemności zdawało się, że pędzą, lecz niedaleko musieli odpłynąć. Wkrótce ulewa pognąła naprzód, a potężny, oszalamiający syk wionął za deszczem i zamarł. Nic już nie było słyhać prócz wody pluszczącej z lekka o burtę. Czyjeś zęby zaszczękały gwałtownie. Jakaś ręka dotknęła pleców Jima. Słaby głos zapytał:

„Jesteś tu?” Ktoś inny wykrzyknął dygocącym głosem: „Zatonął!” — i wszyscy razem podnieśli się, aby spojrzeć na rufę. Nie zobaczyli światła. Wszystko było czarne. Drobnym, zimnym kapuśniaczkiem ciął ich w twarz. Łódź przechyliła się lekko. Szczęk zębów rozlegał się coraz gwałtowniej, potem ustał i powtórzył się jeszcze dwa razy, zanim człowiek dzwoniący zębami zdołał opanować dreszcze i wyrzec:

„W sa-sa-mą po-po-porę... Brr” — Jim poznał głos pierwszego mechanika, który ciągnął dalej zgryźliwie: — „Widziałem, jak tonął. Akurat wtedy się odwróciłem”.

Wiatr ucichł prawie zupełnie. Nasłuchiwali w ciemności z głowami na wpół zwróconymi w stronę wiatru, jakby spodziewając się, że usłyszą krzyki. Z początku Jim czuł wdzięczność dla nocy, która zakryła tę scenę przed jego wzrokiem, lecz potem wydało mu się szczytem straszliwego nieszczęścia, że wie o wszystkim, a jednak nic zobaczyć ani usłyszeć nie może.

— Czy to nie dziwne? — szepnął, przerywając swoją bezładną opowieść.

Mnie się to wcale nie wydało dziwne. Musiał mieć podświadome wrażenie, iż rzeczywistość ani w połowie nie może być tak zła, taka dręcząca, straszna i mściwa jak okropności tworzone przez jego wyobraźnię. Sądzę, że w tej pierwszej chwili serce Jima przeniknęły wszystkie cierpienia — a jego dusza zakosztowała wszystkich przerażeń, trwóg i rozpaczy, jakich mogło doznawać ośmiuset ludzi zaskoczonych w nocy przez mgłę i gwałtowną śmierć. Bo inaczej nie mógłbym zrozumieć tych jego słów:

— Zdawało mi się, że wyskoczę z tej przeklętej łodzi, i aby widzieć, popłynę z powrotem pół mili, więcej, ile będzie trzeba, aż na to samo miejsce. Skąd ten poryw? Czy

Burza, Morze

Katastrofa

pojmujecie znaczenie tego porywu? Aż na to samo miejsce... Dlaczego Jim nie chciał utopić się tuż przy łodzi — jeżeli zamierzał to uczynić? Czemu się rwał z powrotem, aby widzieć? Czy szukał ulgi dla swej wyobraźni w pewności, że wszystko się skończyło, zanim mu śmierć przyniesie ukojenie? Jestem pewien, że żaden z was nie zdoła mi tego wyjaśnić inaczej. Była to niezwykła rewelacja; spojrzenie przeniknęło mgłę i uchwyciło wizję fantastyczną, przykuwającą. A Jimowi wyrwało się to jak rzecz najnaturalniejsza pod słońcem. Dalej mówił, że zapanował nad swym porywem i uświadomił sobie wówczas otaczającą ich ciszę morza i nieba, które się stopiły w jeden nieokreślony bezkres, głuchy jak śmierć, wokół tych ocalonych, tętniących życiem ludzi.

Cisza

— Można było usłyszeć szpilkę padającą na dno łódki — rzekł Jim z dziwnie wykrzywionymi ustami, jak człowiek, który usiłuje poskromić swoją wrażliwość, w chwili gdy opowiada o czymś niezmiernie wzruszającym. Otaczała ich cisza. Jeden Bóg, który chciał mieć Jima takim, jakim go stworzył, wie, co się działo w sercu człowieka. — Nie wyobrażałem sobie, aby gdziekolwiek na ziemi mogło być tak cicho — powiedział. — Nie odróżniało się morza od nieba; nie było nic widać ani słyszeć. Żadnego błysku, żadnego kształtu, żadnego dźwięku. Można było uwierzyć, że cały ład naokoluteńko poszedł na dno; że wszyscy ludzie zatonęli prócz mnie i tych drabów w łodzi. Wydawało mi się, że w to wierzę. — Pochylony, wsparł się knykциями o stół, wśród filiżanek do kawy, kieliszków i wypalonych cygar. — Wszystko przepadło, było po wszystkim... — zaciągnął się głębokim oddechem. — Przepadło... wraz ze mną — dodał.

Kłęska

Marlow wyprostował się nagle i odrzucił cygaro z rozmachem. Mignęło, wlokąc za sobą czerwony ślad jak dziecinna rakietka puszczona przez zasłonę z pnączy. Nikt się nie poruszył.

— No, a jakie jest wasze o tym zdanie? — zawołał z nagłym ożywieniem. — Czyż to nie było prawdą, co Jim powiedział o sobie? Jego ocalone życie przepadło; zabrakło mu gruntu pod nogami; oczy jego nie miały na co spojrzeć, uszy nie miały czego słuchać. Unicestwienie! A naokoło tylko niebo zakryte chmurami, morze bez fal i nieruchome powietrze. Tylko noc; tylko milczenie.

— Trwało to jakiś czas — podjął Jim — a potem wszyscy naraz zaczęli hałaśliwie rozprawiać o swym ocaleniu. — „Wiedziałem od razu, że zatonie”. — „Umknęliśmy w ostatniej chwili!” — „Udało się nam, do jasnej cholery!”

Jim nic nie mówił, lecz wiatr, który był ucichł, powiał znów łagodnie i wzmagał się stopniowo, a morze dołączyło swój szemrzący głos do wybuchu gadatliwości, który nastąpił po niemych chwilach grozy. Zatonął! Zatonął! To było pewne. I nikt nie byłby mógł temu zaradzić. Powtarzali wciąż raz po raz te same słowa, jakby się nie mogli zatrzymać. Nie wątpili ani przez chwilę, że statek zatonie. Światła zgasły. Z największą pewnością światła zgasły! Niczego innego nie można się było spodziewać. „Patna” musiała zatonąć. Jim zauważył, iż rozmawiali o tym, jakby pozostawili za sobą pusty statek. Doszli do wniosku, że to nie mogło trwać długo, kiedy się już raz zaczęło. Ta myśl zdawała się im sprawiać pewne zadowolenie. Zapewniali jeden drugiego, że to nie mogło trwać długo: „Poszedł na dno jak kamień”. Główny mechanik oświadczył, że w chwili zatonienia światło na maszcie opadło, „jakby ktoś rzucił palącą się zapalkę”. Na to drugi mechanik zaśmiał się histerycznie: „To dobrze, to dobrze”.

— Zęby jego zaszczękały jak grzechotka — rzekł Jim — a potem naraz zaczął płakać. Mazgał się i szlochał jak dziecko, chwytając oddech i łkając: „O Jezu, Jezu, o Jezu!” Przez chwilę siedział cicho i nagle znów zaczynał: „O moja biedna ręka! O moja biedna ręka!” Miałem ochotę go trzasnąć. Dwu z nich siedziało na rufie. Ledwie mogłem dostrzec ich cienie. Pomruk głosów dochodził mnie niewyraźnie. Wszystko to było bardzo ciężkie do zniesienia. A w dodatku było tak zimno. I nie zostało już nic do zrobienia. Pomyślałem, że jeśli się ruszę, przyjdzie mi skoczyć za burtę i...

Ręka Jima sunąca ukradkiem zetknęła się z kieliszkiem od likieru; cofnął ją nagle, jakby dotknął rozżarzonego węgla. Podsunąłem mu butelkę.

Alkohol

— Pozwoli pan jeszcze likieru? — zapytałem. Spojrzał na mnie z gniewem.

— Czy pan myśli, że potrzebuję sztucznej podniety, aby móc panu powiedzieć to, co mam do powiedzenia? — zapytał.

Banda obieżyswiatów poszła już spać. Byliśmy sami, tylko w cieniu stała jakaś biała, niewyraźna postać, która pod moim wzrokiem pochyliła się naprzód, zawahała i milcząc, opuściła werandę. Robiło się późno, lecz nie wspomniałem o tym swemu gościowi.

Wśród swej rozterki Jim usłyszał, że jego towarzysze zaczynają komuś wymyślać. „Co ci przeszkadzało skoczyć, ty wariacie?” — rzekł gderliwy głos. Główny mechanik opuścił rufę i słycać go było gramolącego się ku przodowi, jakby żywił złe zamiary względem „największego idioty na świecie”. Szyper wykrzykiwał obelgi chrypliwym, wysiłonym głosem z miejsca, gdzie siedział przy wiosłach. Jim podniósł głowę na ten hałas i usłyszał, że wołają: „George”, a jednocześnie czyjaś ręka uderzyła go w piersi. „Co powiesz na swoje usprawiedliwienie, ty durniu?” — zapytał ktoś z pewnego rodzaju szlachetnym oburzeniem.

— Napadli na mnie wszyscy — mówił Jim. — Wymyślali mi, wymyślali... wciąż nazywając mnie George'em. — Zatrzymał się, aby na mnie popatrzeć, usiłował się uśmiechnąć, odwrócił oczy i ciągnął dalej: — Ten mały mechanik podsunął mi twarz pod sam nos: „A to co? Toć to ten, psiakrew, oficer!” „Co?” — zawył szyper z drugiego końca łodzi. „Niepodobna!” — wrzasnął pierwszy mechanik i przestał także wiosłować, aby mi spojrzeć w twarz.

Wiatr nagle ustał. Zaczęło znów padać i cichy, nieustanny, nieco tajemniczy szum, z jakim morze przyjmuje deszcz, podniósł się ze wszystkich stron pośród nocy.

— Z początku tacy byli zaskoczeni, że im odjęło mowę — opowiadał Jim spokojnie — a cóż ja mogłem powiedzieć? — Zająknął się i zrobił wysilek, aby opowiadania nie przerywać. — Wymyślali mi ohydnyimi słowami. — Głos Jima, niższy do szeptu, niekiedy podnosił się nagle, ostry od namiętnej pogardy, jakby mówił o jakichś tajemnych szkaradzieństwach. — To wszystko jedno, jak mnie nazywali — rzekł posepnie. — Słyszałem w ich głosach nienawiść. Niezły dodatek. Nie mogli mi wybaczyć, że się znalazłem w tej łodzi. Nie mogli tego znieść. Przyprawiało ich to o szaleństwo... — Zaśmiał się krótko. — Ale właśnie to mnie powstrzymało od... Niech pan patrzy! Siedziałem ze skrzyżowanymi ramionami na burcie! — Usadowił się zręcznie na brzegu stolika i skrzyżował ramiona. — O tak, widzi pan? Nieznaczone przechylenie w tył, i byłbym poszedł za tamtymi. Leciutkie przechylenie, najłżejsze. — Zmarszczył się i uderzając w czoło średnim palcem, rzekł z przejęciem: — Ta myśl była tu ciągle, nie opuszczała mnie ani na chwilę. A deszcz, zimny, gęsty, zimny jak topniejący śnieg, jeszcze zimniejszy na cienkim bawełnianym ubraniu, nigdy już nie będzie mi tak zimno, wiem o tym. I niebo, czarne — całe czarne. Żadnej gwiazdy, żadnego światła. Nic poza tą przeklętą łodzią i tymi dwoma ujadającymi na mnie jak dwa nędzne kundły na osaczonego złodzieja. „Hau! hau! Co tu robisz? Ładne z ciebie ziółko! Taki, psiakrew, z niego jaśniepan, że ręki do pracy nie przyłoży. Jakoś przyszedłeś do siebie, co? Wśliznąłeś się do łodzi, co? Hau, hau! Niechbyś szczeł! Hau, hau!” Starali się jeden drugiego przeszczeć. Tamten trzeci ujadał w rufie poprzez deszcz, nie mogłem go dojrzeć, nie mogłem nic dosłyszeć z jego plugawego pyśkowania. Hau, hau! Wrrr, wrrr! Hau, hau! Dobrze mi robiło słuchać ich, mówię panu, utrzymywało mnie to przy życiu. Wszyscy huzia na mnie, jakby mnie chcieli wypędzić tym wrzaskiem za burzę! „Toś się zdobył na odwagę, aby skoczyć? Fora stąd. Gdybym wiedział, kto skacze, strąciłbym go za burzę, tchórza! Coś zrobił z tamtym? To zebrałeś się na odwagę, żeby skoczyć, ty tchórzu? Nic nam nie przeszkadza wyrzucić go teraz!” Zabrakło mu tchu. Deszcz na morzu ucichł, a potem już nic; cisza wokoło łodzi; żadnego szmeru. Chcieli mnie widzieć w morzu, tak? Klnę się na Boga! Byłbym spełnił ich życzenie, gdyby tylko siedzieli cicho. „Wyrzucicie mnie za burzę, co? — mówię. — Spróbujcie. Skoczę za dwa pensy”. „Za droga twoja skóra!” — wrzasnęli razem. Było tak ciemno, że widziałem ich tylko wtedy, jeśli który z nich się poruszył. Boże ty mój! czemuż się na mnie nie rzucili!

Nie mogłem powstrzymać okrzyku:

— Niesłychane!

— Niezłe, co? — rzekł Jim, jakby zdumiony. — Udawali, iż wierzą, że ja dla jakiejś przyczyny sprzątnąłem tamtego człowieka. I co by mi z tego przyszło? I skądże, u diabła, mogłem wiedzieć, co się z nim dzieje? Przecież dostałem się jakoś do tej łodzi, do tej łodzi, ja... — Muskuly naokoło ust skurczyły mu się w nieświadomym grymasie, który przedarł się przez maskę jego zwykłego wyrazu, gwałtowny, krótkotrwały i rozświetlający

jak zygzak błyskawicy, dopuszczając na chwilę wzrok do tajnych warstw chmury. — Ja się przecież też tam znalazłem. Byłem tam z nim, nieprawdaż? Czy to nie jest okropne, że człowiek, będąc odpowiedzialny, może być doprowadzony do popełnienia takiej rzeczy? Cóż ja mogłem wiedzieć o tym George'u, na którego wrzeszczeli? Pamiętałem, że leżał zwinięty w kłębek na pokładzie. „Ty podły tchórze!” — krzyczał wciąż pierwszy mechanik. Zdawało się, że nie jest w stanie żadnych innych słów sobie przypomnieć. Wszystko mi było jedno, tylko jego wrzaski zaczęły mnie nużyć. „Stul pysk” — mówię. A on jak nie wrzasnie wściekle ze wszystkich sił: „Zabiłeś go! Zabiłeś go!” „Nie — krzyknąłem — ale zaraz zabiję cię!” Zerwałem się, a on się zwałił w tył na ławkę z okropnym łoskotem, nie wiem dlaczego. Było zbyt ciemno. Pewno chciał się cofnąć. Stałem wciąż twarzą do rufy; ten nędzny mały mechanik zaczął skomleć: „Pan chyba nie uderzy człowieka, który ma złamaną rękę, pan się uważa przecież za dżentelmena”. Usłyszałem ciężkie kroki, raz, dwa, i sapiący pomruk. To ta druga bestia zbliżała się do mnie i wlokła za sobą po rufie klekoczące wiosło. Widziałem, jak się poruszał, wielki, ogromny, tak jak się widzi kogoś wśród mgły albo we śnie. „Bliżej tu!” — krzyknąłem. Byłbym go wyrzucił za burtę jak kosz ze śmieciem. Zatrzymał się. Mruknął coś pod nosem i zawrócił. Może posłyszał wiatr. Ja nie słyszałem. Było to ostatnie gwałtowne uderzenie wiatru. Szyper wrócił do steru. Żałowałem, że wrócił. Byłbym go... byłbym...

Otworzył i ścisnął zakrzywione palce, a ręce jego zatrzepotały się okrutnie i zapalczywie.

— Spokojnie, spokojnie — mruknąłem.

— Co? co? Ja jestem zupełnie spokojny — odparł dotknięty do żywego, przy czym ręka drgnęła mu konwulsyjnie i przewrócił łokciem butelkę koniaku. Rzuciłem się naprzód, zgrzytnąwszy krzesłem po flizach⁵⁸. Jim odskoczył od stolika, jakby mina wybuchła za jego plecami; w tym skoku zwrócił się na wprost ku mnie, zanim opadł, przykucnąwszy na piętach; w oczach miał przestrasz, a twarz zbieła mu wokół nozdrzy. Spojrzał na mnie, wzrok jego wyrażał wielką przykrość. — Strasznie pana przepraszam. Co za niedzara ze mnie! — mruknął, bardzo zmartwiony; ostry zapach rozlanego alkoholu otoczył nas nagle atmosferą podłej knajpy wśród chłodnych, przejrzystych nocnych ciemności. W jadalni zgaszono już światła; nasza świeca połyskiwała samotnie na długiej werandzie, a kolumny oblokły się w czerni, od podstaw aż do kapiteli. Na tle jasnych gwiazd wysoki zrąb urzędu portowego zarysował się wyraźnie z drugiej strony Esplanady, jakby ponury gmach przysunął się bliżej, by patrzeć i słuchać.

Jim przybrał obojętną minę.

— Zdaje mi się, że, jestem mniej spokojny teraz aniżeli wówczas. Wówczas to byłem gotów na wszystko. Te zajścia w łodzi to błahostki.

— Ale niezbyt miłe rzeczy przeżył pan w tej łodzi — zauważyłem.

— Byłem gotów na wszystko — powtórzył. — Kiedy światła okrętu już znikły, w tej łodzi mogło się dziać Bóg wie co i nikt by się o tym nie dowiedział. Zdawałem sobie z tego sprawę z zadowoleniem. Było na to dostatecznie ciemno; jakby nas zamurowano w przestronnym grobie. Nie mieliśmy żadnej styczności z ziemią. Nikt nie mógł wydawać o nas sądu. Nic już nas nie obchodziło. — Po raz trzeci w ciągu tej rozmowy Jim roześmiał się hałaśliwie, ale teraz nie było wokoło nikogo, kto by go mógł podejrzewać, że jest pijany. — Nie istniał już dla nas strach ani prawo, ani dźwięk, ani oczy, nawet nasze własne, przynajmniej aż do wschodu słońca.

Uderzyła mnie przejmująca prawda jego słów. Jest coś szczególnego w małej łódce zagubionej na rozległym morzu. Na ludzi, którzy uszli spod cienia śmierci, zdaje się padać cień szaleństwa. Kiedy statek zawiedzie, zdaje się, iż cały świat zawiódł człowieka — ten świat, który go urobił, okiełznał, który miał nad nim pieczę. Rzekłbyś, iż dusze ludzi pływających po wodnej przepaści wyzwalają się w zetknięciu z ogromem, gotowe na szczytne bohaterstwo, szalę głupoty lub też najniższą ohydę. Nasza wiara, nasze myśli, miłości, nienawiści, przekonania i nawet zewnętrzna wartość rzeczy materialnych — wszystko to może prowadzić do katastrofy; tyleż jest katastrof co i ludzi. Ale w tej oto tkwiła nikczemność — i właśnie dlatego osamotnienie rozbitków było jeszcze dotkliwsze.

Morze, Kondycja ludzka,
Obraz świata

⁵⁸fliza — płyta kamienna lub ceramiczna służąca do dekoracyjnego wykładania powierzchni podłóg, ścian itp. [przypis edytorski]

Ohydne warunki towarzyszące wypadkowi odcięły tych ludzi bardziej bezwzględnie od pozostałej ludzkości, której ideał postępowania nie został poddany próbie tak szatańskiego i przerażającego żartu. Towarzysze Jima wściekali się na niego jako na tchórzliwego krętacza, a on znów skupił na nich całą swoją nienawiść do tego, co się stało; byłby chciał zemścić się straszliwie za odrażającą pokusę, którą na niego nasłali. Łódź zagubiona na pełnym morzu wydobędzie z człowieka instynkty czające się w głębi wszystkich myśli, wszystkich uczuć, wrażeń i wzruszeń. Dla groteskowej nikczemności cechującej ową katastrofę charakterystyczne było, że między tymi ludźmi nie doszło do bójki. Od początku do końca wszystko polegało tylko na groźbach, na skutecznym udawaniu, na oszustwie uknutym przez bezgraniczną pogardę ciemnych sił. Ale realne groźby mrocznych potęg, gotowych każdej chwili zatryumfować nad człowiekiem, są stale odpierane przez ludzką nieugiętość. Poczekawszy chwilę, zapytałem:

— No i co się stało? — Zbyteczne pytanie. Wiedziałem już za dużo, aby się spodziewać łaski jakiegos odkupiającego porywu, dobrodziejstwa szału lub mrocznej grozy.

— Nic — odpowiedział. — Dla mnie to było istotne, a im chodziło tylko o pozory. Nic się nie stało.

Wschodzące słońce zastało Jima w dziobie łodzi w tej samej pozycji, jaką zajął natychmiast po skoku. Co za wytrwałość w jego gotowości na wszystko! Przez całą noc trzymał w garści rękojeść steru. Upuścili ster za burtę, chcąc go założyć, i snadź rękojeść została jakimś sposobem zawleczona aż na przód, podczas kiedy biegali tam i z powrotem, usiłując wykonać naraz wiele manewrów, aby się oddalić od „Patny”. Jim widać trzymał przez jakie sześć godzin tę rękojeść — długi ciężki kawał twardego drewna. Chyba nie można powiedzieć, że nie był gotów na wszystko! Czy widzicie go, jak stoi w milczeniu przez pół nocy z twarzą zwróconą ku falom deszczu, jak się wpatruje w ciemne postacie, śledząc niewyraźne ich poruszenia, natężając słuch, aby posłyszeć ciche szepty rozlegające się z rzadka w stronie rufy! Niezlomna odwaga czy też wysilek trwogi? Jak myślicie? A wytrwałości też mu odmówić nie można. Przez sześć godzin mniej więcej miał się wciąż na baczności; wytrzymał sześć godzin czujnego bezruchu w łódce, która sunęła z wolna naprzód lub unosiła się nieruchomo na wodzie, zależna od kaprysu wiatru. A tymczasem morze zasnęło wreszcie, uspokojone; chmury płynęły wciąż nad głową Jima, a niebo — czarny, matowy ogrom — zmniejszyło się do rozmiarów ciemnego, połyskliwego sklepienia, roziskrzyło się jeszcze wspanialej, po czym jęło blaknąć od wschodu i zszarzało u zenitu. Ciemne postacie, zasłaniające za rufą gwiazdy tuż nad horyzontem, nabrały konturów, brylowatości — kształtowały się w ramiona, głowy, twarze, rysy — stawały się trzema ludźmi, którzy patrzyli ponuro na Jima — rozczochrani, w potarganym odzieniu, mrugając czerwonymi powiekami wśród białego świtu.

— Wyglądali, jakby się włóczyli pijani po rymsztokach przez jaki tydzień — opisywał Jim plastycznie, a potem mruknął coś o wschodzie słońca, nadmieniając, że dzień zapowiadał się pogodny. Wiecie, jak to marynarze mają zwyczaj wspominać o pogodzie przy każdej sposobności. Co do mnie, starczyło mi kilka słów Jima, abym ujrzął dolny kraniec słonecznej tarczy odrywający się od widnokregu, całą widzialną przestrzeń morza rozedrganą, pomarszczoną przez biegnące chyżo drobne falki — jak gdyby wody się wzдрыnęły, dając życie świetlistej kuli — jednocześnie zaś ostatni powiew wiatru poruszył powietrzem niby pełne ulgi westchnienie.

— Siedzieli w rufie ramię w ramię z szyprem pośrodku jak trzy plugawe sowy i gapili się na mnie. — Słuchałem Jima, który mówił z zawziętą nienawiścią; żrąca jej moc przenikała pospolite słowa jak kropla potężnej trucizny, co pada do szklanki z wodą, lecz myśli moje drażyły wciąż koło tego wschodu słońca. Wyobraziłem sobie pod przejrzystą pustką nieba czterech ludzi zagubionych wśród bezludnego morza, samotne słońce, które, nie bacząc na tę odrobinę życia, wstępowało po czystym sklepieniu niebios, jakby pragnęło spojrzeć ogniście z wysoka na swą własną wspaniałość odbitą w cichym oceanie. — Zaczęli wołać na mnie z rufy — mówił Jim — jak na swego kamrata. Słyszałem ich. Prosiłi, abym się opamiętał i rzucił ten „podły kawał drewna”. Dlaczego tak się zachowuję? Przecież nic złego mi nie zrobili, prawda? Nic się nie stało... Nic złego!

Twarz Jima poczerwieniała, jak gdyby nie mógł wyzionąć zabranego płucami powietrza.

Świt

Słońce, Morze

Słońce, Morze

— Nic złego! — wybuchnął — niech pan to osądzi. Pan przecież to rozumie, nie-prawda? Pan to widzi!... Nic złego! Wielki Boże! Cóż mogło się stać gorszego? O tak, wiem dobrze, skoczyłem. Tak. Skoczyłem tak jak oni. Powiedziałem już, że skoczyłem; ale mówię panu, być tam razem z nimi przechodziło ludzką wytrzymałość. To wszystko stało się najwyraźniej za ich sprawą, jakby byli zarzucili na pokład hak i ściągnęli mnie do łodzi. Czyżby pan tego nie rozumiał? Pan to musi zrozumieć, ja proszę, niech mi pan otwarcie powie...

Jego niespokojne oczy utkwione we mnie pytały, prosiły, wyzywały, błagały. Za cenę życia nie byłbym mógł się powstrzymać od szeptu:

— Ciężko został pan doświadczony.

— I najniesprawiedliwiej — podchwycił szybko. — Nie miałem żadnych szans wśród tej hołoty. A teraz zaczęli się do mnie wdzięczyć, i tak podle! Przecież są moimi kolegami, towarzyszami! Z tej samej łodzi. Trzeba brać wszystko z dobrej strony. Oni nie mają nic złego na myśli. George obchodzi ich tyle co zeszłoroczny śnieg. W ostatniej chwili wrócił po coś do swojej kajuty i tam go przychwyciło. To był skończony dureń. Oczywiście, bardzo to smutne... Patrzyli na mnie; wargi ich się poruszały; potrzęsali głowami tam, w końcu łodzi, wszyscy trzej; kiwali porozumiewawczo na mnie. I cóż w tym dziwnego? Czyż nie skoczyłem? — Nie odpowiadałem. Nie ma słów na to, co chciałem im powiedzieć. Gdybym był wtedy otworzył usta, zawyłbym po prostu jak zwierzę. Ciągle pytałem siebie, kiedy się ocknę. A oni nawoływali mnie, aby przyjść do nich na rufę i wysłuchać spokojnie tego, co szyper ma do powiedzenia. Z pewnością jeszcze przed wieczorem znajdzie nas jaki statek, jesteśmy na szlaku Kanału Sueskiego; już teraz widać dym na północo-zachodzie.

Doznałem okropnego wstrząsu, gdy dostrzegłem ten ślad brunatnej mgły tuż nad morzem, tę nikłą, nikłą plamkę, przez którą było widać granice nieba i ziemi. Krzyknąłem na nich, że słyszę wszystko doskonale ze swego miejsca. Szyper zaczął kłać głosem chrypliwym jak krakanie kruka; oświadczył, iż nie myśli wysilać głosu, aby mi dogodzić. „Czy pan się boi, że mogą pana dosłyszeć na brzegu?” — zapytałem. Spojrzał na mnie, jakby mnie chciał rozszarpać w kawały. Pierwszy mechanik radził mi, aby mi ustąpił, bo mam źle w głowie. Szyper podniósł się w rufie, niby gruby słup mięsa; zaczął mówić i mówić...

Jim zamyślił się.

— No i co? — rzekłem.

— Cóż mnie mogła obchodzić historia, którą postanowili wymyślić? — zawołał nie-dbale. — Pozwoliłem im mówić, co im się żywnie podobało. To była ich sprawa. Ja wiedziałem, jak się to odbyło. Nic się dla mnie zmienić nie mogło, choćby nie wiem co ludziom wmówili. A szyper gadał, dowodził i znów gadał, i znów dowodził. Bez końca. Nagle poczułem, że nogi się uginają pode mną. Osłabłem, byłem znużony, śmiertelnie znużony. Wypuściłem z ręki sterownicę i siadłem na najdalszej ławce, odwracając się do nich plecami. Miałem już tego dosyć. Wołali na mnie, pytając, czy zrozumiałem; przecież to była prawda, prawda w każdym słowie! Mój Boże, to była prawda, z ich punktu widzenia. Nie odwróciłem głowy. Słyszałem, jak rozprawiali między sobą. „Ten głupi osioł nie chce nic powiedzieć”. „Oho, ale rozumie doskonale”. „Dajcie mu pokój; i tak potrafi się znaleźć”. „I co by mógł nam zrobić?” Rzeczywiście, co byłbym mógł im zrobić? Czyż nie znajdowaliśmy się wszyscy razem w tej łodzi? Staralem się udawać głuchego. Dym znikł w północnym kierunku. Nastąpiła martwa cisza. Pili wodę z beczki, ja piłem także. Potem z wielkim trudem rozpostarli żagiel na burcie. Zgodziłem się objąć wachtę. Wleźli pod żagiel i znikli mi z oczu. Bogu dzięki! Byłem znużony, skonany, jakbym nie spał ani chwili od urodzenia. Blask słońca przeszkadzał mi patrzeć na wodę. Niekiedy któryś z nich wylazł spod żagla, stawał w łodzi, aby się rozejrzeć, i wpełzał z powrotem. Słyszałem od czasu do czasu chrapanie. Mogli spać! A przynajmniej jeden z nich. Ja spać nie mogłem. Wszystko naokoło było tylko blaskiem i łódź zdawała się w blask ten zapadać. Niekiedy czułem ze zdumieniem, że siedzę na ławce...

Zaczął chodzić miarowymi krokami przed moim krzesłem, tam i z powrotem, z ręką w kieszeni od spodni, pochyliwszy głowę w zamyśleniu; czasem podnosił prawą dłoń ruchem, który zdawał się usuwać z drogi niewidzialnego natręta.

— Pan myśli pewnie, że mnie ogarniało szaleństwo — rzekł zupełnie odmiennym tonem. — I to jest zrozumiałe, jeśli pan pamięta, że zgubiłem czapkę. Nad moją gołą głową słońce odbyło całą swą drogę ze wschodu na zachód, ale widać tego dnia nic mi nie mogło zaszkodzić. Nawet słońce nie mogło zrobić ze mnie szaleńca... — Odepchnął prawą ręką myśl o szaleństwie. — I zabić mnie także nie mogło... — Znów ręka jego odsunęła jakiś cień. — Tylko ja sam mogłem to zrobić.

— Ach tak? — rzekłem, niezmiernie zdumiony tym nowym zwrotem, i spojrzałem na niego, doznając takiego uczucia, jakby się odwrócił na pięcie i zmienił mi się w oczach.

— Ani nie dostałem zapalenia mózgu, ani nie padłem martwy — ciągnął dalej. — Słońce nie obchodziło mnie zupełnie. Rozmyślałem spokojnie i chłodno, jak gdybym siedział w cieniu. Ta opasła bestia, szyper, wystawił spod płótna wielki, krótko ostrzyżony łeb i wparł we mnie rybie oczy. „*Donnerwetter!*⁵⁹ Umrze pan” — warknął i cofnął głowę jak żółw. Widziałem go. Słyszałem. Nie przeszkodził mi w rozprawianiu się z sobą. Mówiłem sobie właśnie wtedy, że nie umrę.

Jim rzucił mi w przejściu uważne spojrzenie, usiłując przeniknąć, co myślę.

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że pan poprzednio rozmyślał o samobójstwie? — zapytałem, starając się zdobyć na ton jak najbardziej nieprzenikniony. Skinął głową, nie przestając chodzić.

— Tak, do tego doszedłem, kiedy tam siedział samotnie — rzekł. Uszedł jeszcze kilka kroków aż do wymyślanego kresu swej przechadzki, po czym zawrócił, trzymając obie ręce głęboko w kieszeniach. Przystanął nagle przed moim krzesłem i spojrzał na mnie. — Czy pan mi wierzy? — spytał z natężoną ciekawością. Pobudziło mnie to do uroczystego oświadczenia, że gotów jestem uwierzyć bezwzględnie we wszystko, co uzna za stosowne mi powiedzieć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jim wysłuchał mnie z głową przechyloną na ramię, a ja znów ujrzałem go, jakby się rozchyliła zasłona z mgły, w której się obracał i żył. Świeca paliła się ciemno, trzeszcząc wewnątrz szklanego klosza — było to jedyne światło, przy jakim mogłem Jima oglądać; za nim rozpościerała się ciemna noc z jasnymi gwiazdami, których migot, coraz bardziej odległy, wabił oko dalej i dalej w ciemniejsze głębie mroku; a jednak — rzekłbyś — tajemniczy jakiś blask rozświetlił chłopięcą głowę Jima, jakby w tej właśnie chwili młodość zajaśniała w nim na chwilę i zgasła.

— Strasznie pan jest dobry, że tak pan mnie słucha — rzekł. — To dla mnie prawdziwe dobrodziejstwo. Pan nie wie, czym to jest dla mnie. Pan...

Zdawało się, iż słów mu brakuje. Ujrzałem go znów — i tym razem wyraźnie. Ten chłopiec należał do gatunku ludzi, których przyjemnie jest nam widzieć wokoło siebie, i chętnie sobie wyobrażamy, żeśmy byli do nich podobni; sam ich widok przywołuje owe uludy, które się uważało za przepadłe, wygasłe, wyzięble, a jednak — przy zbliżeniu się cudzego płomienia — zatrzepoczą się gdzieś głęboko, głęboko, błyskają światłem i ciepłem!... Tak; ujrzałem go wówczas wyraźnie... i nie po raz ostatni.

— Pan nie wie, czym to jest dla człowieka w moim położeniu czuć, że mi ktoś ufa, móc zwierzyć się ze wszystkiego komuś starszemu — mówił. — Takie to wszystko ciężkie, takie okropnie niesprawiedliwe, takie trudne do pojęcia.

Mglista zasłona gęstniała. Nie wiem, jakie Jim miał wyobrażenie o mym wieku i o mej mądrości. Czułem się w owej chwili taki stary, że brał mnie pewnie za dwakroć młodszego i nie doceniał zapewne ani w połowie mej bezużytecznej mądrości. W żadnym innym zawodzie — prócz marynarskiego — serca tych, co już się puścili na morze, by pływać po nim lub utonąć, nie wrywają się tak gwałtownie do chłopca na wybrzeżu, wpatrzonemu błyszczącymi oczami w migotanie rozległej przestrzeni, które jest tylko odbiciem jego młodzieńczych spojrzeń pełnych ognia. Tak cudownie nieuchwytnie są nadzieje, co pchnęły każdego z nas na morze, taka w nich wspaniała mglistość, taka piękna żądza przygód — że wszystko to już samo przez się stanowił naszą wyłączną i jedyłą nagrodę. A to, co zdobywamy... ech, lepiej zamilczę o tym; ale któż z nas zdoła powstrzymać

Młodość, Starość

Młodość, Starość, Morze

⁵⁹*Donnerwetter!* (niem.) — psiakrew! [przypis edytorski]

uśmiech wobec młodzieńczych wspomnień? W żadnej innej dziedzinie życia rzeczywistość nie jest tak oddalona od złudzenia, w żadnym zawodzie początek nie jest tak wyłącznie złudzeniem, rozczarowanie nie następuje tak szybko, ujarzmienie nie jest tak zupełne. Przecież wszyscy zaczynaliśmy z tymi samymi porywami, kończyliśmy bogaci w to samo doświadczenie, przechowywaliśmy pamięć tych samych ukochanych, złudnych marzeń przez ohydne, przeklęte dni. Nic więc dziwnego, że gdy któregoś z nas dosięgnie jakiś ciężki cios, czujemy, że jesteśmy ze sobą związani i że prócz koleżeństwa w zawodzie łączy nas siła szerszego uczucia — tego, które wiąże człowieka z dzieckiem. Jim stał tam przede mną, wierząc, iż wiek i mądrość mogą znaleźć lekarstwo na ból prawdy, a ja patrzyłem na tego młodego chłopca w opalach, i to piekielnych zaiste, takich, nad którymi siwobrodzi starcy kręcą uroczyste głową, kryjąc jednocześnie uśmiech. A więc Jim rozważał, czy ma odebrać sobie życie, niech go lichy! Pogrążył się w rozmyślaniach o samobójstwie, bo choć uszedł cało, blask jego życia przepadł wśród nocy razem z okrętem. Cóż bardziej naturalnego od tych jego myśli? Wszystko to było takie tragiczne i dziwne zarazem, że głośno wołało o współczucie. A w czymże ja stoję wyżej od reszty ludzi, aby czuć się w prawie odmówić mu litości? Gdy tak patrzyłem na Jima, mgła mi go znów zasnuła i znowu usłyszałem jego głos. Mówił:

— Czulem się zupełnie wytrącony z równowagi, rozumie pan. To było takie zdarzenie, jakiego się człowiek nie spodziewa. Nie miało to nic wspólnego na przykład z walką.

— Tak — potwierdziłem. Jim wydał mi się nagle zmieniony, jak gdyby bardziej dojrzały.

— I nic się nie wiedziało na pewno — mruknął.

— Ach, więc pan nie wiedział na pewno... — rzekłem, lecz ułagodził mnie szmer lekkiego westchnienia, które przewiało między nami jak lot ptaka wśród nocy.

— Nie, nie wiedziałem na pewno — rzekł odważnie. — Ten cały wypadek był czymś w rodzaju owej podłej błagi, którą tamci obmyślili. Ni to kłamstwo, ni to prawda. Coś pośredniego. Człowiek wie, co jest kłamstwem. Ale w tej sprawie granica między dobrem a złem cieńsza była od włosa.

— A jakiejże granicy panu potrzeba? — spytałem; lecz mówiłem tak cicho, że chyba nie usłyszał. Rozumował w taki sposób, jakby życie było siecią ścieżek przedzielonych od siebie przepaściami. Głos jego brzmiał rozsądnie.

— Przypuśćmy, że nie byłbym — to znaczy, przypuśćmy, że byłbym został na statku. No dobrze. Na jak długo? Powiedzmy — minutę... pół minuty. Przecież zdawało się wówczas pewne, że po upływie trzydziestu sekund znajdę się w morzu; a myśli pan, że wtedy nie uczepiłbym się pierwszej lepszej rzeczy, która by się znalazła na drodze — wiosła, ratowniczej boi, kratówki, czegokolwiek? A czyby pan tak nie zrobił?

— I uratowałby się pan — wtrąciłem.

— Byłbym się starał uratować — odparł. — A tego wówczas nie miałem na myśli, kiedy... — wzdrygnął się, jakby miał przelknąć jakieś obrzydliwe lekarstwo — kiedy skoczyłem — wymówił z konwulsyjnym, wysiłkiem, którego napięcie, jakby niesione na fali powietrza, sprawiło, że poruszyłem się z lekka na krześle. Utkwił we mnie ponure oczy. — Pan mi nie wierzy? — krzyknął. — Przysięgam!... Et, do diabła z tym wszystkim! Pan wyciąga mnie tu na zwierzenia, więc... Pan mi musi wierzyć! Pan przecież powiedział, że pan będzie mi wierzył.

— Naturalnie, że panu wierzę — zapewniłem rzeczowym tonem, który podziałał na niego kojąco.

— Niech mi pan wybaczy — rzekł. — Nie mówiłbym panu naturalnie tego wszystkiego, gdyby pan nie był dżentelmenem. Chyba powinienem wiedzieć, kto nim jest... bo ja jestem, jestem również dżentelmenem...

— Tak, tak — rzekłem śpiesznie.

Patrzył mi prosto w twarz i odwrócił wzrok powoli.

— Teraz pan rozumie, dlaczego ja, mimo wszystko... dlaczego nie odebrałem sobie życia. Nie chciałem stchórzyć przed tym, co zrobiłem. Przecież gdybym był został na statku, uczyniłbym wszystko, aby się tylko ocalić. Ludzie utrzymywali się nieraz na powierzchni całymi godzinami, na otwartym morzu, i wylawiano ich, i doskonale się potem czuli. A ja byłbym mógł to wytrzymać znacznie lepiej niż wielu innych. *Moje serce jest*

Samobójstwo

Prawda, Kłamstwo, Czyn

w porządku. — Wyciągnął prawą pięść z kieszeni i gruchnął się w pierś, rozległ się jakby zgłuszony strzał wśród nocy.

— Tak — rzekłem.

Rozmyślał ze spuszczoną głową, rozstawiwszy nieco nogi.

— O włos — mruknął. — Nie było na włos miejsca między tym a tamtym. A w owej chwili...

— O północy trudno jest włos dostrzec — wtrąciłem, zdaje się, nieco złośliwie. Czy pojmujecie, co ja rozumiem przez solidarność w naszym zawodzie? Byłem na Jima rozżalony, jakby mnie oszukał — mnie osobiście — jakby mnie pozbawił wspaniałej okazji do podtrzymania złudzeń młodości, jakby obdarł nasze wspólne życie z ostatniego promienia blasku.

— Więc też pan zwał... od razu.

— Skoczyłem — poprawił mnie z naciskiem. — Uważa pan! Skoczyłem — powtórzył. Zaciekawiała mnie jego widoczna, lecz niezrozumiała dla mnie intencja. — No tak! — ciągnął dalej — może wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ale później miałem ile chcieć czasu — w tej łodzi. I mogłem rozmyślać. O tym, co zaszło, nikt naturalnie nie miał się dowiedzieć, ale nie przynosiło mi to żadnej ulgi. Temu musi pan także uwierzyć. Nie chciałem tej całej rozmowy... Nie... Tak!... nie będę kłamał!... Chciałem tego: to jest właśnie to, czego chciałem, i koniec. Ani pan, ani nikt inny nie mógłby mnie zmusić, gdybym... Ja, ja się mówić nie boję. I nie bałem się także myśleć. Spojrzałem temu w twarz. Uciekać przed tym nie chciałem. Z początku, w nocy, gdyby nie ci ludzie, byłbym... Ale nie! na Boga, nie chciałem im sprawić tej przyjemności. Dość złego mi wyrządzili. Wymyślili sobie jakąś opowieść i może nawet w nią wierzyli. Ale ja znałem prawdę i postanowiłem uporać się z nią sam jeden. Nie chciałem brać udziału w tak ohydnej nieuczciwości. Czegóż właściwie to wszystko dowiodło? Byłem strasznie ścięty z nóg. I powiem panu prawdę, miałem obrzydzenie do życia; ale cóż by mi z tego przyszło, gdybym się od życia wymigał — w... w taki sposób? To nie była właściwa droga. Ja myślę, że, że to by... to by nie było żadne rozwiązanie.

Przez cały ten czas chodził tam i z powrotem, ale z ostatnim słowem zwrócił się nagle do mnie.

— A co *pan* myśli? — spytał gwałtownie. Nastąpiła przerwa i nagle poczułem, że przygniata mnie wielkie, beznadziejne zmęczenie, jakby głos Jima wyrwał mnie ze snu, z wędrówki przez puste przestworza, których ogrom znużył mi duszę i wyczerpał ciało.

— ...to by nie było żadne rozwiązanie — mruknął nade mną uparcie po krótkiej chwili. — Nie! Należało stawić czoło wszystkiemu, samotnie, czekać na sposobność, coś obmyślić...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jak uchem sięgnąć wszystko milczało naokół. Mgła uczuć Jima kłębiła się między nami, jakby wzburzona jego wewnętrzną walką — a on sam w rozchyleniu tej niematerialnej zasłony ukazywał się wyraźnie moim wpatrzonym oczom i pociągał mnie w niejasny sposób, niby symboliczna postać na jakimś obrazie. Chłodne powietrze nocy zdawało się ciężać na moich członkach jak płyta marmuru.

— Rozumiem — szepnąłem chyba po to, aby dowieść samemu sobie, że potrafię otrząsnąć się z odrętwienia.

— „Avondale” zabrał nas przed samym zachodem — rzekł Jim posępnie. — Płynął prosto na nas. Pozostawało nam tylko siedzieć i czekać.

Po długiej przerwie rzekł:

— Opowiedzieli swoją historyjkę. — Nastąpiło dotkliwe milczenie. — I dopiero wtedy pojąłem, jakie są konsekwencje mego postanowienia — dodał.

— A pan sam nic nie mówił? — szepnąłem.

— Cóż mogłem powiedzieć? — zapytał równie cicho. — To szyper mówił: „Lekkie zderzenie; zatrzymałem okręt. Sprawdziłem uszkodzenia. Kazałem spuścić łodzi z największą ostrożnością, żeby nie wywołać paniki. Po spuszczeniu pierwszej łodzi okręt poszedł na dno wśród szkwału. Zapadł się w wodę niby kamień”. To jasne jak dzień — zwiesił głowę — i okropne. — Wargi jego drgnęły, gdy patrzył mi prosto w oczy. —

Przecież skoczyłem, prawda? — zapytał z przerażeniem. — Musiałem z tym się uporać. Cóż mnie obchodziła ta ich historyjka... — Splótł dłonie na chwilę, spojrział w mrok na prawo i lewo. — To było, jakby się oszukiwało umarłych — wyjąkał.

— A umarłych nie było — rzekłem.

Odsunął się ode mnie na te słowa. Tylko tak mogę to określić. W mig zobaczyłem jego plecy tuż przy balustradzie. Stał tam przez jakiś czas, jakby podziwiając przejrzystość i spokój nocy. Jakiś rozkwitły krzew pod werandą rozsiewał silny aromat w wilgotnym powietrzu. Jim wrócił do mnie szybkim krokiem.

— To nie ma nic do rzeczy — rzekł uporczywiej niż kiedykolwiek.

— Może — zgodziłem się. Zaczęło mi się zdawać, że mam już Jima dosyć. Cóż ja właściwie o nim wiedziałem?

— Czy tamci ludzie byli umarli, czy też żywi, ja już nie mogłem się z tego wyplątać — rzekł. — Musiałem dalej żyć, prawda? Ucieszyłem się, naturalnie — rzucił niedbale, myśląc już o czymś innym — jak się to wszystko wykryło — rzekł z wolna i podniósł głowę. — Wie pan, jaki był pierwszy mój odruch, kiedy mi o tym powiedzieli? Poczulem ulgę. Odetchnąłem, bo się dowiedziałem, że te krzyki, czy ja panu mówiłem, że słyszałem krzyki? Nie? No więc słyszałem krzyki o pomoc... które wiatr niósł razem z deszczem. To pewno wyobraźnia. A jednak trudno mi uwierzyć... Jakie to głupie. Tamci nie słyszeli. Pytałem ich potem. Powiedzieli wszyscy, że nie. Nie? A ja wciąż je słyszałem! Powiniennem był wiedzieć... ale nie zastanawiałem się wcale, nasłuchiwałem tylko. Bardzo słabe krzyki, dzień w dzień. Wreszcie ten mały Metys podchodzi do mnie i powiada: „»Patna«... francuska kanonierka... przyholowała ją szczęśliwie do Adenu... Śledztwo... Urząd pocztowy... Dom Marynarza... dostanie pan tam pokój z utrzymaniem”. Szedłem obok niego i cieszyłem się — z milczenia. A więc żadnych krzyków nie było. Gra wyobraźni! Musiałem mu uwierzyć. I odtąd nie słyszałem już nic. Ciekawe, jak długo mógłbym to jeszcze wytrzymać. A było z tym coraz gorzej... to znaczy, że krzyki stawały się głośniejsze.

Zatopił się w myślach.

— Więc to mi się tylko zdawało. Dobrze, niech i tak będzie. Ale światła! Światła przecież zagasły! Przestaliśmy je widzieć. Nie było ich. Gdybym tam widział światła, byłbym popłynął z powrotem, byłbym wrócił i krzychał u burty — byłbym ich błagał, żeby mnie wzięli na pokład... Miałbym sposobność... Pan wątpi o tym?... Skąd pan może wiedzieć, co czulem? Jakim prawem pan wątpi?... Ja o mało co i tak tego nie zrobiłem, rozumie pan? — głos jego opadł. — Nie było żadnego błysku, najlżejszego błysku — zapewnił posępnie. — Czy pan rozumie, że gdyby nie to, nie widziałby mnie pan teraz przed sobą? Pan mnie widzi i pan wątpi.

Pokręcił przecząco głową. Ta sprawa światła, które znikły, choć łódź nie oddaliła się od statku więcej niż o ćwierć mili, była roztrząsana szczegółowo. Jim twierdził nieugięty, że kiedy pierwsza ulewa minęła, nic już nie było widać; tamci oświadczyli to samo oficerom na „Avondale”. Oczywiście ludzie się uśmiechali, kręcąc głową. Pewien stary szyper, który siedział obok mnie w sądzie, połaskotał mnie w ucho białą brodą, szepcząc: „Kłamią jak z nut”. A tymczasem nikt nie kłamał, nawet i główny mechanik, gdy opowiadał, że światło na maszcie opadło jak rzucona zapalka. W każdym razie nie kłamał świadomie. Wątroba jego znajdowała się w takim stanie, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby ujrzał iskrę w kącie powieki, rzucając ukradkiem w tył śpieszne spojrzenie. Nie widzieli żadnego światła, choć byli w pobliżu statku i mogli to sobie wytłumaczyć w jeden jedyne sposób, a mianowicie, że „Patna” poszła na dno. Było to oczywiste i kojące. Przewidywany fakt, który nastąpił tak prędko, usprawiedliwiał ich pośpiech. Nic dziwnego, że nie szukali innego wyjaśnienia. A prawdziwe wyświeślenie sprawy było bardzo proste i z chwilą gdy je Brierly podsunął, sąd przestał się tą kwestią zajmować. Pamiętacie, że statek się zatrzymał i leżał na wodzie w kierunku nocnego kursu, gdy rufa podjechała do góry, a dziób pochylił się w dół wskutek zalania wodą pierwszej komory. Tedy pozbawiona równowagi „Patna”, gdy szkwał uderzył w nią z boku, skrzyła dziobem pod wiatr tak sprawnie, jakby stała na kotwicy. Wskutek tej zmiany położenia wszystkie jej światła odwróciły się w bardzo krótkim czasie od łodzi ku stronie podwietrznej. Bardzo być może, że gdyby światła pozostały widoczne, działałyby jak nieme wezwanie — że ich migot, zagubiony w mroku chmury, miałby tajemniczą siłę ludzkiego wzroku, który może obudzić wyrzuty sumienia

Dźwięk, Wyrzuty sumienia

Oko, Światło

i litość. Mówiłby: „Jestem tu — jeszcze jestem...”, a cóż więcej mogą powiedzieć oczy najbardziej opuszczonego z ludzkich stworzeń? Lecz „Patna” odwróciła się tyłem, jakby chcąc okazać pogardę dla losu tych ludzi: skręciła ciężko na miejscu, aby wpatrywać się nieugięcie w nowe niebezpieczeństwa, które miała przetrzymać w tak dziwny sposób. Snadź było zapisane w jej losach, że dokona swych dni rozbita na złom w doku, pod ciosami wielu młotów. Co się tyczy pielgrzymów, nie umiem powiedzieć, jak różne przeznaczenia los im gotował, lecz wkrótce potem, na drugi dzień około dziewiątej rano, pojawiła się francuska kanonierka wracająca do kraju z wysp Réunion. Raport jej dowódcy był własnością publiczną. Kapitan owej kanonierki zboczył nieco ze swego kursu, aby się przekonać, co się dzieje na parowcu płynącym niebezpiecznie sterem naprzód po spokojnym i mglistym morzu. Z gaffla⁶⁰ owego parowca powiewała bandera zawieszona odwrotnie (serang⁶¹ miał na tyle rozsądku, iż wywiesił o brzasku sygnał wzywający pomocy), lecz kucharze zajęci byli jak zwykle gotowaniem w kuchniach na dziobie. Tłok panował na pokładzie, że ani szpilki wetknąć; ludzie sterczeli wzdłuż bariery, zbici byli na mostku w jedną masę; setki oczu patrzyło z natężeniem, ale nikt nie odezwał się ani słowem, gdy się kanonierka zbliżyła, jakby czar jakiś położył pieczęć milczenia na tych niezliczonych wargach.

Francuz okrzyknął statek, nie rozumiał nic z odpowiedzi i postanowił wysłać łódź, upewniwszy się przez lornetkę, że tłum zapełniający pokład nie wygląda na dotknięty zarazą. Dwaj oficerowie przybyli na pokład, wysłuchali seranga, usiłowali rozmówić się z Arabem, ani w ząb nic nie mogąc zrozumieć; ale naturalnie rzuciło się w oczy, jakiemu wypadkowi uległ okręt. Oficerowie kanonierki bardzo byli zdziwieni, odkrywszy na mostku trupa białego człowieka, który leżał zwinięty spokojnie w kłębek.

— *Fort intrigués par ce cadavre*⁶² — opowiadał mi długi czas później francuski porucznik, człowiek starszy, z którym zetknąłem się raz po południu w Sydney, czystym przypadkiem, w jakiejś niby to kawiarni, i który pamiętał doskonale całą tę sprawę. Bo rzeczywiście owa historia, zaznaczam to mimochodem, opierała się z niezwykłą siłą czasowi i krótkości ludzkiej pamięci; niesamowicie żywotna, zdawała się żyć ciągle w ludzkich umysłach, była wciąż na końcach języków. Miałem wątpliwą przyjemność często ją słyszeć, tysiące mil dalej, po latach; wylaniała się z rozmów nie mających z nią nic wspólnego, z napomknieniami zupełnie oderwanymi. Czyż dziś nie zjawiała się wśród nas? A przecież jestem wśród was jedynym marynarzem i tylko ja tę historię pamiętam. Tymczasem wyłoniła się znowu! Jeżeli zaś dwóch znających ją ludzi, choćby najzupełniej sobie obcych, zeszło się przypadkiem w pierwszym lepszym miejscu, wypływała znowu na powierzchnię, nim się rozstali. Nie widziałem nigdy przedtem owego Francuza i po upływie godziny pożegnaliśmy się na całe życie; nie wydawał się bynajmniej szczególnie rozmowny; było to spokojne, tęgie chłopisko w pogniecionym mundurze, siedzące sennie nad szklanką napełnioną do połowy jakimś ciemnym płynem. Naramienniki jego były nieco wytarte, ogolone policzki wielkie i blade; wyglądał, jakby zażywał tabakę, czy mnie rozumiecie? Nie mówię, że tak było rzeczywiście, ale że to by pasowało do człowieka jego pokroju. Zaczęło się wszystko od tego, że Francuz podał mi przez marmurowy stół numer „Home News”, którego nie miałem ochoty przeglądać. Odrzekłem: „*Merci*”⁶³. Zamieniliśmy kilka pozornie niewinnych uwag i nagle, zanim się spostrzegłem, znaleźliśmy się w samym środku tej historii. Francuz mówił mi właśnie, jak bardzo ich te zwłoki zaintrygowały. Okazało się, że był jednym z oficerów, którzy udali się na pokład „Patny”.

W knajpie, gdzieśmy siedzieli, można było dostać różne zagraniczne trunki, które trzymano dla przyjezdnych oficerów marynarki: Francuz pociągnął łyk ciemnego napoju wyglądającego na lekarstwo — nie było to pewnie obrzydliwsze od *cassis à l'eau*⁶⁴ — i zajrzałszy jednym okiem do szklanki, potrząsnął z lekka głową.

⁶⁰*gaffel* — ukośne drzewce na żaglowcu, służące do podnoszenia i opuszczania czworokątne żagla. [przypis edytorski]

⁶¹*serang* (z hind.) — tubylczy bosman albo kapitan statku dowodzący załogą krajowców. [przypis edytorski]

⁶²*Fort intrigués par ce cadavre* (fr.) — mocno zaintrygowani tymi zwłokami. [przypis edytorski]

⁶³*merci* (fr.) — dziękuję. [przypis edytorski]

⁶⁴*cassis à l'eau* (fr.) — odświeżający napój alkoholowy z likieru z czarnych porzeczek zmieszanego z wodą. [przypis edytorski]

— *Impossible de comprendre, vous concevez*⁶⁵ — rzekł ze szczególną mieszaniną obojętności i zadumy.

Bardzo łatwo mi było zrozumieć, jak dalece im się to wydało niepojęte. Nikt na kanonierce nie umiał dość dobrze po angielsku, aby się połapać w opowiadaniu seranga. W dodatku wielka wrzawa podniosła się naokoło obu oficerów.

— Tłoczyli się na nas. Pierścień z ludzi otoczył tego umarłego (*autour de ce mort*) — opisywał Francuz. — Trzeba było się zająć tym, co najpilniejsze. Tłum zaczynał się burzyć, *parbleu!*⁶⁶ Taki motloch, rozumie pan — dodał z filozoficzną pobłażliwością. A co się tyczy owej grodzi, Francuz powiedział swemu dowódcy, że najbezpieczniej wcale jej nie dotykać, taki miała paskudny wygląd. Sprowadzili jak najprędzej (*en toute hâte*) dwie liny na pokład; zaczęli holować „Patnę” i to sterem naprzód — co w danych okolicznościach nie było wcale głupie, ponieważ ster zanadto wystawał z wody, aby mógł się na coś przydać; przy tym użycie tego manewru zmniejszyło napór na gródz, której stan — wyjaśnił Francuz płynnie a obojętnie — wymagał największej ostrożności (*exigeait les plus grands ménagements*). Pomyślałem mimo woli, że mój nowy znajomy z pewnością brał udział w wydawaniu owych zarządzeń; robił wrażenie oficera, na którym można polegać, choć nie bardzo już był ruchliwy, a przy tym czuło się w nim dobrego fachowca; lecz gdy tak siedział z grubymi palcami splecionymi lekko na brzuchu, wyglądał jak zatabaczony, spokojny wiejski proboszcz, w którego uszy całe pokolenia chłopów wylewają swe grzechy, bóle, wyrzuty sumienia; na twarzach takich księży flegmatycznych prostoduszny wyraz jest jak gdyby zasłoną spuszczoną na tajemnicę cierpienia i niedoli. Ów marynarz powinien być mieć na sobie wytartą, czarną sutannę zapiętą gładko aż po obfity podbródek, zamiast surduta z naramiennikami i mosiężnymi guzikami. Szeroka jego pierś wznosiła się i opadała miarowo, gdy opowiadał mi w dalszym ciągu, że była to wprost cholerna robota, co z pewnością (*sans doute*) sobie wyobrażam, będąc marynarzem z zawodu (*en votre qualité de marin*). Przy końcu zdania pochylał się z lekka ku mnie całym ciałem i ściągnął wygolone wargi, wypuszczając przez nie powietrze z cichym sykiem.

— Całe szczęście — ciągnął — że morze było gładkie jak ten stół; wiatru nie więcej niż tutaj.

Uderzyło mnie, że w sali jest duszno wprost nie do zniesienia i bardzo gorąco; twarz paliła mnie, jakbym był dość jeszcze młody, aby się czerwienić ze zmieszania. Francuz mówił dalej, że oczywiście (*naturallement*) skierowali się do najbliższego portu, gdzie się ich odpowiedzialność skończyła. „*Dieu merci...*”⁶⁷ Wydął z lekka płaskie policzki...

— Ponieważ, uważa pan (*notez bien*), na cały czas holowania postawiliśmy z siekierami przy linach dwóch naszych podoficerów, którzy mieli nas odciąć od holowanego statku, w razie gdyby... — Spuścił szybko ciężkie powieki, dając najwyraźniej do zrozumienia, co ma na myśli. — Cóż pan chce! Robi się, co się może (*on fait ce qu'on peut*). — W swym ociężałym bezruchu potrafił przybrać na chwilę wyraz pełen rezygnacji. — Dwóch podoficerów — przez trzydzieści godzin bez przerwy. Dwóch — powtórzył, podnosząc lewą rękę i wystawiając dwa palce. Był to dosłownie pierwszy gest, który u niego zauważyłem. Przy tej sposobności spostrzegłem bliźnę w kształcie gwiazdy na wierzchu jego ręki, widocznie skutek postrzału; i jakby wzrok mi się zaostrzył od tego odkrycia, zauważyłem także szew dawnej rany zaczynającej się nieco poniżej skroni i ginącej pod krótkimi siwymi włosami z boku głowy — draśnięcie włócznią lub cios szabli. Splótł znowu ręce na brzuchu. — Zostałem na pokładzie tej, tej... tracę pamięć (*ma mémoire s'en va*). *Ab!* „*Patt-nà*”. *C'est bien ça*⁶⁸. „*Patt-nà*”. *Merci*. To zabawne, jak człowiek zapomina. Byłem na tym statku przez trzydzieści sześć godzin...

— Co pan mówi! — wykrzyknąłem.

Patrząc wciąż na swoje ręce, ściągnął nieco usta, ale tym razem nie syknął.

— Uznano za stosowne — rzekł, podnosząc brwi beznamiętnie — aby jeden z oficerów został na pokładzie, czuwając pilnie (*pour ouvrir l'oeil*)... — tu westchnął od niechętnia — ...aby porozumiewał się sygnałami z holującym okrętem, rozumie pan? i tak dalej. Zresztą było to i moje zdanie. Przygotowaliśmy nasze łodzie do spuszczenia, a ja na tym

⁶⁵*Impossible de comprendre, vous concevez* (fr.) — Nie sposób tego pojąć, rozumie pan. [przypis edytorski]

⁶⁶*parbleu!* (fr.) — do licha! [przypis edytorski]

⁶⁷*Dieu merci* (fr.) — Bogu dzięki. [przypis edytorski]

⁶⁸*c'est bien ça* (fr.) — to jest to; właśnie tak. [przypis edytorski]

okręcie zarządziłem także, co trzeba... *Enfin*⁶⁹. Zrobiło się, co się mogło. To była trudna sprawa, trzydzieści godzin. Przyrządzili mi jakiś posiłek. A co do wina, rób, co chcesz, ani kropli. — Jakimś nadzwyczajnym sposobem, nie wychodząc na pozór z bezwładu, zdołał ujawnić uczucie głębokiego niesmaku, bez żadnej dostrzegalnej zmiany we flegmatycznej twarzy. — Ja, wie pan, kiedy mi przyjdzie jeść bez mojej szklanki wina ani rusz.

Wino

Obawiałem się, że się będzie rozwodził nad tą krzywdą, bo choć nie poruszył się ani trochę; choć ani jeden z jego rysów nie drgnął, łatwo było zdać sobie sprawę, jak bardzo go to wspomnienie rozdrażnia. Ale zdawał się wnet o tym zapomnieć. Powierzyli znaleziony statek „władzom portowym”, jak się wyraził. Uderzył go spokój, z jakim to zostało przyjęte.

— Można było pomyśleć, że przyprowadzają im co dzień taką dziwną zgubę (*drôle de trouvaille*). Wy to doprawdy jesteście nadzwyczajni — zauważył, oparłszy się plecami o ścianę, sam zaś wyglądał na równie zdolnego do ujawnienia swych uczuć jak wór z mąką. Tak się złożyło, że w porcie stał wówczas okręt wojenny parowiec marynarki indyjskiej; Francuz nie ukrywał podziwu dla sprawności, z jaką łodzie owych statków opróżniły „Patnę”. Nieruchawy sposób bycia tego człowieka nie ukrywał w gruncie rzeczy niczego; była w nim owa tajemnicza, niemal cudowna siła wywierania silnych wrażeń za pomocą środków prawie niemożliwych do odkrycia, co jest ostatnim słowem najwyższej sztuki.

Ciało

— Dwadzieścia pięć minut z zegarkiem w rękę — dwadzieścia pięć, nie więcej... — Rozplótłszy palce, splótł je znowu, nie odejmując rąk od brzucha; zrobiło to daleko większe wrażenie, niż gdyby w zdumieniu wyrzucił ramiona ku niebu. — Wszyscy ci ludzie (*tout ce monde*) znaleźli się na brzegu razem ze swymi manatkami, została tylko straż złożona z marynarzy (*marins de l'état*) i ten interesujący trup (*cet intéressant cadavre*). Dwadzieścia pięć minut...

Wyglądał, ze spuszczonej głową i oczami trochę przechyloną, jakby się rozkoszował ze znawstwem świetnie wykonaną robotą. Przekonał mnie bez żadnych dalszych wywodów, jak dalece było warto zasłużyć na jego uznanie. Pograżywszy się znowu w bezruchu, z którego prawie nie wychodził, opowiadał dalej, że mając rozkaz, aby jak najprędzej dotrzeć do Tulonu, wyruszyli już po upływie dwóch godzin.

— ...tak że (*de sorte que*) w tym zdarzeniu z mego życia (*dans cet épisode de ma vie*) wiele rzeczy pozostało dla mnie niewyjaśnionych.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Po tych słowach, nie zmieniając wcale postawy, poddał się biernie, że tak powiem, milczeniu. Dotrzymałem mu towarzystwa, gdy nagle, choć nie raptownie, przemówił, jakby wypełnił się czas, kiedy mu było sądzone wyjść z bezruchu i odezwać się swym zwykłym głosem, spokojnym i zachrypłym:

Czas, Kondycja ludzka

— *Mon Dieu!*⁷⁰ Jak ten czas mija!

Nic pospolitszego od tej uwagi, ale wypowiedzenie jej zbiegło się dla mnie z chwilą wizji. To nie do wiary, z jak przymkniętymi oczyma, przytępienymi uszami i senną myślą idziemy przez życie. Może to i dobrze; może właśnie ta tępota czyni życie — dla niezmierniej większości ludzi — znośnym i pożądanym. Jednakże tylko bardzo nieliczni nie doznają rzadkich chwil ocknienia, kiedy się widzi, słyszy, rozumie tak wiele, wszystko, w jednym błysku, zanim się nie zapadnie z powrotem w przyjemną drzemkę. Podniosłem oczy, podczas gdy mówił, i ujrzałem go, jakbym go nigdy przedtem nie widział. Ujrzałem jego brodę opuszczoną na piersi, niezgrabne fałdy munduru, splecione ręce, nieruchomą postawę nasuwającą dziwną myśl, że został tam po prostu porzucony. Czas rzeczywiście mijał; prześcignął tego człowieka i wysforował się naprzód. Zostawił go beznadziejnie w tyle z paru ubogimi darami: siwą jak stal czupryną, znużeniem wypisanym na opalonej twarzy, dwiema bliznami, parą wytartych szlif⁷¹. Ów człowiek należał do tych spokojnych, godnych zaufania ludzi, stanowiących surowy materiał, z którego wyrastają wielkie sła-

Ciało, Strój

⁶⁹*enfin* (fr.) — w końcu, na koniec. [przypis edytorski]

⁷⁰*mon Dieu!* (fr.) — mój Boże! [przypis edytorski]

⁷¹*szlif* — naramiennik; pasek materiału naszyty na ramieniu kurtki mundurowej z umieszczoną na nim odznaką stopnia w wojsku lub marynarce; dawniej bogato zdobiony element munduru. [przypis edytorski]

wy; było to jedno z nielicznych istnień grzebanych bez trąb i bębnow, istnień, które są podwalinami wspaniałych osiągnięć.

— Jestem obecnie trzecim porucznikiem na „Victorieuse” (był to wówczas flagowy okręt francuskiej eskadry na Oceanie Spokojnym) — rzekł, odrywając plecy od ściany na parę cali, ażeby mi się przedstawić. Skłoniłem się lekko i powiedziałem, że dowodzę handlowym okrętem zakotwiczonym obecnie w Rushcutters’ Bay. Oświadczył mi, iż go zauważył, taki ładny, niewielki statek. Mówił o nim po swojemu, bardzo uprzejmie, a obojętnie. O ile pamiętam, zdobył się nawet na łaskawe skinienie głową i powtarzał, oddychając ciężko:

— Tak, tak. Mały statek pomalowany na czarno, bardzo ładny, bardzo ładny (*très coquet*). — Po jakimś czasie obrócił się z wolna całym ciałem, aby się znaleźć na wprost szklanych drzwi po prawej stronie. — Nudne miasto (*triste ville*) — zauważył, wpatrując się w ulicę. Dzień był słoneczny; szalał południowy wicher i tarosił przechodniów, mężczyzn i kobiety, idących po trotuarze; zalane słońcem fronty domów z drugiej strony ulicy były przesłonięte kłębami pyłu wzbijającego się wysoko. — Wysiadłem na brzeg — powiedział — żeby trochę nogi rozprostować, ale... — Nie skończył i zapadł znów w głąb bezruchu. — Proszę pana, niech mi pani powie — zaczął z rozwagą, ocknąwszy się znowu — co tam właściwie (*au juste*) było na dnie tej sprawy? To ciekawe. Na przykład ten umarły, i tak dalej.

— Byli tam również i żywi ludzie — rzekłem — o wiele ciekawsi.

— Pewnie, pewnie — zgodził się półgłosem i jakby po chwili dojrzałej rozwagi, szepnął: — Oczywiście.

Nie dałem się prosić i opowiedziałem mu o tym, co mnie w tej sprawie najbardziej zajmowało. Sądziłem, że ma prawo wiedzieć: czyż nie spędził, trzydziestu godzin na pokładzie „Patny”, czy jej, że się tak wyrażę, nie odziedziczył, czy nie zrobił wszystkiego, co było w jego mocy? Przysłuchując mi się, wyglądał na księdza bardziej niż kiedykolwiek, a przy tym, pewnie z powodu spuszczonej oczu, miał wyraz pobożnego skupienia. Raz czy dwa podniósł brwi (nie podnosząc jednak powiek), jakby chciał powiedzieć: „O, do diabła!” Raz jeden wykrzyknął spokojnie: — No, no! — ściszym głosem, a kiedy skończyłem, ściągnął usta powoli i gwizdnął z żalem.

U każdego innego mogło to być oznaką nudy, dowodem obojętności; ale on w tajemniczy swój sposób umiał przybrać w bezruchu wyraz głębokiego, zrozumienia rojącego się od cennych myśli. Wreszcie powiedział tylko:

— Bardzo zajmujące — grzecznym tonem, nie głośniejszym prawie od szeptu. Uczułem się zawiedziony, ale zanim przetrawiłem swój zawód, dodał, niby mówiąc do siebie:

— Otóż to. Otóż to właśnie.

Broda jego opadła jak gdyby niżej na piersi, ciało zaciążyło bardziej na krześle. Chciałem go właśnie zapytać, co ma na myśli, gdy spostrzegłem, że coś na kształt drgnienia przebiegło po całym jego ciele, tak jak się czasem widzi lekką zmarszczkę na stojącej wodzie, nim się jeszcze poczuje wiatr.

— Więc ten biedny chłopiec uciekł z tamtymi — rzekł spokojnie, z powagą.

Nie wiem, co mnie skłoniło do uśmiechu; o ile pamiętam, jedyny raz się wtedy uśmiechnąłem w związku z ową sprawą. Ale to proste stwierdzenie rzeczy brzmiało jako zabawnie po francusku.

— *S’est enfui avec les autres*⁷² — powiedział porucznik. I nagle zacząłem podziwiać bystrość tego człowieka. Trafiał od razu w sedno: wyluskał jedyną rzecz, o którą mi chodziło. Miałem wrażenie, że zasięgam opinii znawcy o tym wypadku. Niewzruszony i dojrzały spokój Francuza upodabniał go do eksperta, który opanował faktami i dla którego ludzkie kłopoty są po prostu dziecianną zabawką.

— Ach, ci młodzi, ci młodzi! — rzekł pobłażliwie. — A w gruncie rzeczy z tego się nie umiera.

— Z czego? — spytałem szybko.

— Ze strachu.

Okręt, Obyczaje

Ciało, Słowo

Strach, Odwaga,
Tchórzostwo, Honor

⁷²*S’est enfui avec les autres* (fr.) — Uciekł z innymi. [przypis edytorski]

Wyjaśnił, o co mu chodzi, i pociągnął łyk ze szklanki. Spostrzegłem, iż trzy ostatnie palce ręki, na której miał bliznę, były sztywne i nie mogły się niezależnie od siebie poruszać, tak że podnosił szklankę nieporadnie.

— Człowiek zawsze się boi. Niech mówią, co chcą, ale... — Postawił niezgrabnie szklankę z powrotem. — Strach, strach — uważa pan — jest zawsze tutaj... — Dotknął piersi obok mosiężnego guzika, w tym samym miejscu, gdzie uderzył się Jim, zapewniając, że jego serce jest w porządku. Prawdopodobnie zrobiłem jakiś ruch przeczący, bo porucznik obstawał przy swoim: — Tak, tak. Człowiek gada i gada, wszystko to bardzo pięknie; ale koniec końców, nie jest się mędrszym od pierwszego lepszego człowieka ani też odważniejszym. Odwaga! O to nietrudno. Wycierałem kąty (*J'ai roulé ma bosse*) — rzekł, używając tego wyrażenia z niewzruszoną powagą — po wszystkich częściach świata; znałem ludzi odważnych, i jak jeszcze! *Allez!*⁷³ — Popił niedbale ze szklanki. — Na służbie, rozumie pan, odważnym być się musi, tego wymaga nasz zawód (*le métier veut ça*). Prawda? — odwołał się do mnie porozumiewawczo. — *Eh bien!*⁷⁴ każdy człowiek, jeśli jest uczciwy *bien entendu*⁷⁵, wyzna, że przychodzi chwila, przychodzi taka chwila na najtęższego z nas, przychodzi skądś taka chwila, kiedy się wszystko z rąk wypuszcza (*vous lâchez tout*). I trzeba żyć z tą prawdą, uważa pan? Przy pewnym zbiegu okoliczności strach przychodzi na pewno. Paniczny strach (*un trac épouvantable*). A nawet i dla ludzi, którzy tej prawdy nie uznają, strach jednakże istnieje, strach przed samym sobą. Bezwzględnie. Niech mi pan wierzy. Tak, tak... W moim wieku człowiek wie, co mówi, *que diable!*⁷⁶... — Wypowiedział to wszystko tak beznamiętnie, jakby przez niego mówiła oderwana mądrość, i zaczął z wolna kręcić wielkimi palcami, co spotęgowało jeszcze wrażenie wywołane przez jego obojętność. — To jest oczywiste, *parbleu!*⁷⁷ — ciągnął dalej — bo wbrew wszelkim postanowieniom wystarczy zwyczajny ból głowy albo niestrawność (*un dérangement d'estomac*), ażeby... Weźmy mnie na przykład, przetrzymałem różne próby. *Eh bien!* Ja, który do pana mówię, pewnego razu...

Wyszczył resztę napoju i zaczął znów obracać palcami. — Nie, nie, od tego się nie umiera — wyrzekł ostatecznie, a kiedy się przekonałem, że nie ma zamiaru opowiadać dalej swego przeżycia, poczułem wielki zawód, tym bardziej że, rozumiecie, trudno było nalegać, aby się zwierzał. Siedziałem, milcząc, on także, i zdawało się, że to mu najbardziej dogadza. Nawet jego palce znieruchomiały. Wtem poruszył znowu wargami. — Tak to, tak — zaczął flegmatycznie. — Człowiek urodził się tchórzem (*l'homme est né poltron*). W tym cała trudność, *parbleu!* Inaczej byłoby zbyt łatwo. Ale przyzwyczajenie, konieczność, rozumie pan? oczy innych ludzi, *voilà!*⁷⁸ I człowiek daje sobie z tym radę. A jeszcze i przykład tych, którzy nie lepsi są od nas, a jednak trzymają się dzielnie...

Głos jego ucichł.

— Tamten młody człowiek — niech pan to zauważy — nie miał żadnej z tych podniet, przynajmniej w owej chwili — rzekłem.

Podniósł brwi pobłażliwie.

— Ja nie mówię, ja nic nie mówię. Młody człowiek, o którym rozmawiamy, mógł mieć najlepsze chęci, najlepsze chęci — powtórzył, sapiąc z lekka.

— Cieszy mnie, że pan patrzy na to wyrozumiale — rzekłem. — On był pod tym względem pełen najlepszych nadziei i...

Urwałem, gdyż porucznik zaszurał nogami pod stołem. Podciągnął ciężkie powieki. Mówię: podciągnął, bo żadne inne wyrażenie nie oddałoby spokojnej rozwagi tego ruchu, i nareszcie ujawnił mi się zupełnie. Patrzyły na mnie dwa małe kółka jak dwa drobne stalowe pierścienie otaczające czerni źrenic. Ten ostry wzrok, w połączeniu z masywnym korpusem porucznika, robił wrażenie niezmiernej sprawności, jak berdysz⁷⁹ wyostrzony na kształt brzytwy.

Oko

⁷³*allez!* (fr.) — tu: naprzód; wykrzyknik poprzedzający wypicie łyku alkoholu. [przypis edytorski]

⁷⁴*Eh bien!* (fr.) — no dobrze; no więc. [przypis edytorski]

⁷⁵*bien entendu* (fr.) — ma się rozumieć. [przypis edytorski]

⁷⁶*que diable!* (fr.) — u diabła! [przypis edytorski]

⁷⁷*parbleu* (fr.) — dalibóg. [przypis edytorski]

⁷⁸*voilà!* (fr.) — otóż to! [przypis edytorski]

⁷⁹*berdysz* — szeroki, ciężki topór na bardzo długim drzewcu. [przypis edytorski]

— *Pardon*⁸⁰ — rzekł Francuz z wyszukaną uprzejmością. Podniósł prawą rękę i pochylił się naprzód. — Niech mi pan pozwoli... Twierdziłem, że można bardzo dobrze sobie radzić, choć się wie, że odwaga sama z siebie nie przychodzi (*ne vient pas tout seul*). Nic w tym znów nie ma takiego, co by mogło wytrącić człowieka z równowagi. Jedna prawda więcej nie powinna życia uniemożliwiać... Ale honor, honor, proszę pana... Honor!... To, to jest rzeczywiste, to, to naprawdę istnieje! A co życie może być warte, jeśli... — porwał się na nogi gwałtownie i ciężko, niby spłoszony wół gramolący się z trawy — ...jeżeli honor jest stracony, *ah ça!*⁸¹ *par exemple*⁸², nie mogę się co do tego wypowiedzieć, ponieważ, *monsieur*, ja o tym nic nie wiem.

Wstałem również; usiłowaliśmy obaj przybrać jak najuprzejmiejszą minę, stojąc niemo naprzeciw siebie jak dwa porcelanowe pieski na kominku. A niechże go! Przekłuł bańkę mydlaną. Tchnienie jałowej pustki, która czyha na ludzkie wywody, powiało na naszą rozmowę i przemieniło ją w puste dźwięki.

— Bardzo pięknie — rzekłem z zakłopotanym uśmiechem — więc może rzecz sprowadza się do tego, by... nie wyszła na jaw?

Miałem wrażenie, jakby chciał odciąć mi się natychmiast, lecz zmienił zdanie, nim jeszcze zaczął mówić.

— To, proszę pana, jest dla mnie za subtelne, to mnie przerasta, ja o takich rzeczach nie myślę.

Skłonił się ciężko nad czapką, którą trzymał przed sobą za daszek między wielkim i wskazującym palcem okaleczonej ręki. Skłoniłem się również. Kłanialiśmy się jednocześnie; szurgaliśmy nogami bardzo ceremonialnie jeden przed drugim, a brudny kelner przyglądał się nam krytycznie, jakby za to przedstawienie zapłacił.

— *Serviteur*⁸³ — powiedział Francuz. Znowu szurgnięcie.

— *Monsieur... Monsieur...*

Szklane drzwi zamknęły się za jego szerokimi plecami. Widziałem, jak południowy wichur porwał go i pchał przed sobą; Francuz trzymał rękę u głowy i naprężył ramiona, a poły munduru oblepiały mu się naokoło nóg.

Siadłem z powrotem, samotny i zniechęcony, do sprawy Jima. Jeśli się dziwicie, że po trzech latach jego dzieje nie straciły dla mnie aktualności, to muszę wam powiedzieć, że właśnie wówczas dopiero co z nim się widziałem. Przybyłem prosto z Semarangu, gdzie brałem ładunek dla Sydney; była to mała zajmująca transakcja, którą obecny tu Karolek nazwałby jednym z mych rozsądnych posunięć. Otóż w Semarangu widywałem się z Jimem od czasu do czasu. Był zatrudniony wtedy u De Jongha, któremu go poleciłem. Pracował jako agent handlowy. „Mój przedstawiciel na wodzie”, jak go De Jongh nazywał. Nie można sobie wystawić życia bardziej pozbawionego wszelkiej pociechy, bardziej wyzutego z najdrobniejszej iskierki świetnych pozorów, chyba tylko zajęcie agenta od ubezpieczeń. Mały Bob Stanton, obecny tu Karolek znał go dobrze, spełniał czas jakiś czynności takiego właśnie agenta. To ten sam Bob Stanton, który potem utonął, próbując wyratować pannę służącą podczas zatonięcia „Sephory”. Pamiętacie może — taki wypadek zderzenia mglistym rankiem niedaleko brzegu hiszpańskiego. Wszyscy pasażerowie zostali sprawnie porozmieszczani w łodziach i odwiezieni dobry kawał od statku, kiedy Bob wrócił i włożył znowu na pokład po tę dziewczynę. Nie umiem powiedzieć, jakim sposobem ją zostawiono; w każdym razie oszalała zupełnie ze strachu, nie chciała opuścić statku, trzymając się poręczy niby kleszczami. Z łodzi widać było dokładnie, jak się mocują z Bobem, ale biedak był najmniejszy wzrostem ze wszystkich oficerów w marynarce handlowej, a ta kobieta miała pięć stóp dziesięć cali i była podobno silna jak koń. Szamotali się to w jedną, to w drugą stronę, nieszczęsna dziewczyna wrzeszczała bez przerwy, a Bob od czasu do czasu krzychał na swoich ludzi, żeby się trzymali w porządnej odległości od statku. Jeden z majtków mówił mi potem, kryjąc uśmiech na to wspomnienie:

— Dalibóg, panie kapitanie, wyglądało to, jakby niegrzeczny malec bił się ze swoją matką. — Ten sam stary majtek opowiadał mi innym razem: — W końcu: zobaczy-

⁸⁰*pardon* (fr.) — przepraszam. [przypis edytorski]

⁸¹*ah ça!* (fr.) — ach tak! [przypis edytorski]

⁸²*par exemple* (fr.) — przykładowo. [przypis edytorski]

⁸³*serviteur* (fr.) — sługa uniżony; zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

liśmy, że pan Stanton przestał ciągnąć dziewczynę, tylko stał i patrzył na nią, jakby jej pilnował. I ot, co przyszło nam potem na myśl: pewnie liczył na to, że prąd wody oderwie ją od poręczy i umożliwi mu ratunek. Nie odważyliśmy się zbliżyć do okrętu; po krótkiej chwili poszedł nagle na dno, przechyliwszy się na prawą burtę — chlup! Woda wessała wszystko ze straszliwą siłą. Nie widzieliśmy, aby coś żywego lub martwego wydostało się na powierzchnię.

Zdaje się, że krótki pobyt biednego Boba na wybrzeżu był wynikiem miłosnych komplikacji. Bob cieszył się nadzieją, iż skończył z morzem raz na zawsze, i był przekonany, że największe szczęście na ziemi stało się jego udziałem, tymczasem skończyło się na tej agenturze od ubezpieczeń. Jakiś jego kuzyn z Liverpoolu wsadził go do tego interesu. Bob opowiadał nam często swoje doświadczenia na tym polu. Tak nas rozśmieszał, że w końcu zawsześmy się popłakali. A Bob, wcale zadowolony z wywołanego wrażenia, stał między nami, malutki, z brodą po pas, podobny do krasnoludka, i mówił, podnosząc się na czubki palców:

— Dobrze wam się śmiać, szelmy, ale mówię wam: po tygodniu takiej roboty nieśmiertelna dusza kurczy się w człowieku jak zeschnięte ziarno grochu.

Nie wiem, jak dusza Jima przystosowała się do nowych warunków życia, zanedo mnie zaprzętało wynalezienie dla niego zajęcia, które by mu zapewniło jaką taką egzystencję, ale nie wątpię, że jego bujna wyobraźnia cierpiała straszne męki głodu. Z całą pewnością nie miała się czym pożywić w tym jego nowym zawodzie. Boleśnie było patrzeć na Jima przy tej pracy, choć trzeba przyznać z uznaniem, że odwalał ją z upartą pogodą. Patrzyłem, jak się mozolił nad nędzną robotą, i zdawało mi się, że to jest kara za bohaterские rojenia jego imaginacji, pokuta za pożądanie chwały, której nie był w stanie udźwignąć. Zanedo się rozmiłował w wyobrażaniu sobie, że jest wspaniałym wyścigowcem, a teraz został skazany na niezaszczytny znój jak szkapa woziwody. Wykonywał bardzo dobrze swe obowiązki. Zamknął się w sobie, spuścił głowę, nie poskarżył się nigdy ani słowem. Bardzo to było piękne, doprawdy, wyjąwszy niektóre fantastyczne i gwałtowne wybryki przy tych nieszczęsnych okazjach, kiedy nie poskromiona historia „Patny” wypływała na wierzch. Ten skandal ze wschodnich wód nie dawał się niestety pogrzebać. I właśnie dlatego nie mogłem mieć poczucia, że na dobre skończyłem z Jimem.

Siedziałem więc po odejściu francuskiego porucznika, myśląc o Jimie, ale rozpamiętywania moje nie były związane z chłodnym, ponurym pokojem przy sklepie De Jongha, gdzieśmy niedawno zamienili pośpieszny uścisk ręki. Wspomniałem, jak siedzieliśmy sam na sam przed kilku laty na długiej werandzie hotelu „Malabar”; świeca rzuciła ostatnie błyski, a za plecami Jima był chłód i mrok nocy. Dostojny miecz ojczystego prawa wisiał nad jego głową. Jutro — a może już dzisiaj? — (było dobrze po północy, nimeśmy się rozeszli) sędzia pokoju o marmurowej twarzy ukarze grzywnami i więzieniem winnych ze sprawy o napad i pobicie, a potem wzniesie straszną broń i uderzy w pochylony kark Jima. Ta nasza nocna rozmowa przypominała dziwnie ostatnią noc spędzoną ze skazańcem. Przecież Jim naprawdę zawinił. Powtarzałem to sobie raz po raz: zawinił i był człowiekiem zgubionym; a jednak pragnąłem mu oszczędzić szczegółów formalnej egzekucji. Nie będę tu wyjaśniał dlaczego, zresztą chyba nie potrafił; ale jeśli nie orientujecie się jeszcze w tym wszystkim, to albo moje opowiadanie było bardzo niejasne, albo też wy zbyt senni, by uchwycić treść moich słów. Ani myślę bronić swej moralności. Nie było moralności w porywie, który mnie skłonił do przedstawienia Jimowi planu Brierly’ego, planu ucieczki, w całej jego, że tak powiem, prymitywnej prostocie. Miałem te rupie przy sobie, w kieszeni, gotowe do jego użytku. Och, to tylko pożyczka, naturalnie, że pożyczka; a może przydałby się Jimowi list polecający do mego znajomego (w Rangu-nie), który by mógł mu wynaleźć jakieś zajęcie... Ależ z największą przyjemnością! Mam pióro, atrament i papier w pokoju na pierwszym piętrze. I w chwili gdy to mówiłem, zapragnąłem natychmiast ten list napisać: dzień, miesiąc, rok, druga trzydzieści nad ranem... W imię naszej dawnej przyjaźni proszę cię o wynalezienie jakiegoś zajęcia dla p. Jamesa takiego a takiego, który... itd., itd. W tym sensie byłem gotów o Jimie pisać. Jeśli nie zdobył sobie całej mojej sympatii, to uzyskał coś więcej, dotarł do samego dna, do źródła tego uczucia, do tajnej wrażliwości mego egoizmu. Nic przed wami nie ukrywam, bo w przeciwnym razie wydałbym się wam bardziej niezrozumiały, niż sobie człowiek na to może pozwolić; po wtóre — jutro i tak zapomnicie i moją szczerość, i wszystkie

Dusza, Pokora, Kara

Koń, Sława, Praca

Honor, Odwaga, Walka

Samolubstwo

inne lekcje przeszłości. W tej sprawie, mówiąc brutalnie i jasno, ja byłem człowiekiem bez skazy; lecz subtelna niemoralność mych zamiarów została pokonana przez moralną prostotę przestępcy. Bez wątpienia Jim był też samolubny, ale jego samolubstwo miało szlachetniejsze źródło, wyższy cel. Przekonałem się, że bez względu na wszystkie moje argumenty Jim pragnął być obecny przy obrzędzie egzekucji; toteż nie mówiłem z nim wiele na ten temat, gdyż czułem, że jego młodość będzie potężnym przeciw mnie argumentem: on wierzył w to, o czym ja już nawet wątpić przestałem. Było coś pięknego w szaleństwie jego nie wyrażonej, ledwie skryzalizowanej nadziei.

— Uciec! Nawet myśleć o tym nie mogę — rzekł, potrząsając głową.

— Proponuję panu coś, za co nie żądam ani nie oczekuję żadnej wdzięczności — rzekłem — odda pan dług, kiedy panu będzie wygodnie, i...

— Strasznie pan jest dobry — mruknął, nie podnosząc oczu.

Śledziłem go bacznie; jakże niepewnie musiała mu się przedstawiać przyszłość; ale nie ugiął się, jakby rzeczywiście serce miał wytrzymałe na wszystko. Poczulem gniew, zresztą nie po raz pierwszy tej nocy.

— Sądzę, że ta cała nędzna historia — rzekłem — już i tak dość jest gorzka dla takiego jak pan człowieka...

— O tak, o tak — szepnął po dwakroć z oczami wbitymi w podłogę.

To było rozdzierające. Twarz jego górowała nad światłem; widziałem puch na jego policzku i ciepły kolor rumieńca pod gładką skórą. Możecie mi wierzyć lub nie wierzyć, twierdząc, że to było rozdzierające. Pobudziło mnie do brutalności.

— Aha — rzekłem — więc niech mi pan pozwoli wyznać, że nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jakiego pożytku pan się spodziewa po tym babraniu się w błocie.

— Pożytku! — wyszeptał z głębi swego milczenia.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem, o co panu chodzi — rzekłem z wściekłością.

— Usiłowałem panu powiedzieć wszystko, co o tym myślę — rzekł powoli, jakby rozmyślając o czymś, co się nie da wyrazić. — Ale ostatecznie to przecież jest moja sprawa.

Otworzyłem usta, aby mu się odciąć, i nagle przekonałem się, że tracę do siebie całe zaufanie; a i on także jakby machnął na mnie ręką, gdyż pomrukiwał niby człowiek, który na wpeł głośno rozmyśla...

— Poszli sobie... poszli do szpitala... Żaden z nich nie chciał stawić temu czoła... Cóż to za... — poruszył z lekka ręką, aby zaznaczyć swoją pogardę. — Ale ja muszę przejść przez to, nie wolno mi się od tego wykręcać, bo inaczej... Nie będę się uchylał od niczego.

Zamilkł. Wpatrywał się w przestrzeń, jakby go nawiedziła jakaś wizja. Twarz jego odbijała nieświadomie pogardę, rozpacz, postanowienie, odbijała je kolejno, jak zwierciadło magiczne odbija przesuwające się nieziemskie kształty. Żył pośród złudnych widm, pośród surowych cieni.

— Ależ to głupstwo, kochany chłopcze — zacząłem.

Poruszył się z niecierpliwością.

— Mam wrażenie, że pan mnie nie rozumie — rzekł dobitnie i dodał, patrząc na mnie nieugięte: — Mogłem skoczyć, ale uciekać nie będę.

— Nie chciałem pana obrazić — rzekłem. — I lepsi od pana uważali czasem ucieczkę za wskazaną — zakończyłem w idiotyczny sposób.

Pokrył się rumieńcem, a ja w zmieszaniu o mało co się nie udławiłem własnym językiem.

— Może i tak — rzekł w końcu — widać do nich nie dorosłem; nie mogę sobie na to pozwolić. Jestem obowiązany walczyć z tym do ostatka i walczę... *teraz*.

Wstałem z krzesła i poczułem, że członki zupełnie mi zesztyniały. Chcąc przerwać kłopotliwe milczenie, nie potrafiłem wymyślić nic lepszego od uwagi wypowiedzianej lekkim tonem:

— Nie miałem pojęcia, że już tak późno.

— Myślę, że pan ma tego wszystkiego dosyć — rzekł szorstko — a mówiąc szczerze — zaczął się rozglądać za kapeluszem — to i ja także.

Więc odrzucił tę jedyną propozycję. Odtrącił moją pomocną dłoń; był teraz gotów do odejścia, a za balustradą noc zdawała się nań czekać bardzo spokojnie, jakby był przeznaczoną dla niej zdobyczą. Usłyszałem jego głos:

Hańba, Honor

— Aha, jest tutaj. — Znalazł się kapelusz.

Wahaliśmy się przez parę sekund.

— Co pan zrobi po, po... — zapytałem bardzo cicho.

— Pójdę sobie pewnie do diabła — mruknął szorstko.

W pewnej mierze odzyskałem już panowanie nad sobą i pomyślałem, że będzie najlepiej, jeżeli wezmę to lekko.

— Niech pan pamięta — rzekłem — że chciałbym bardzo jeszcze się z panem widzieć, nim pan odjedzie.

— Nie widzę, co by panu mogło w tym przeszkodzić. Przez tę przeklętą sprawę nie stanę się niewidzialny — rzekł z głęboką goryczą — to szczęście mi nie grozi.

A potem, w chwili gdyśmy się żegnali, uraczył mnie co się zowie: zaczął coś bezładnie bąkać, a jego ruchy zdradzały dręczącą niepewność. Boże mu odpuść, a i mnie także! Wbił sobie w szaloną głowę, że może będę robił jakieś trudności z podaniem ręki. Trudno mi jest wyrazić, jakie to wszystko było przykre. Zdaje mi się, że krzyknąłem raptem na niego, tak jak się krzyczy, patrząc na człowieka, który lada chwila może spaść ze skały; pamiętam nasze podniesione głosy, grymas uśmiechu na jego twarzy, miażdżący uścisk ręki, nerwowy śmiech. Okropnie niezdarnie się zachowywał. Świeca zagasła, trzeszcząc — i wreszcie się to skończyło. Tylko z mroku doszedł mnie głos niby zgłuszony jęk. Oddalił się w końcu. Noc wchłonęła jego postać. Słyszałem szybki zgrzyt żwiru pod jego stopami. Biegł. Dosłownie biegł — i nie wiedział, dokąd się udać. A miał niespełna dwadzieścia cztery lata.

Błądzenie

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Spąłem niewiele, zjadłem z pośpiechem śniadanie i po krótkim namyśle zaniechałem rannej bytności na swoim statku. Było to doprawdy niedbalstwo, bo mój pierwszy oficer, dzielny człowiek pod każdym względem, padał często ofiarą tak czarnych przywidzeń, że jeśli na przykład w oznaczonym czasie nie dostał listu od żony, szalał ze wścieklej zazdrości, wypuszczał z rąk robotę, kłócił się ze wszystkimi i albo płakał u siebie w kajucie, albo podlegał takim napadom gwałtowności, iż doprowadzał załogę prawie do buntu. Nigdy nie mogłem zrozumieć tego człowieka; pobrali się przed trzynastu laty; widziałem kiedyś przelotnie jego żonę i mówiąc szczerze, trudno mi było pojąć, jak mógł pograżać się w grzechu z powodu niewierności osoby tak mało pociągającej. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, powstrzymując się od powiedzenia biednemu Selwinowi, co o tym myślę: dręczył się jak potępieniec, a i ja cierpiełem przez to pośrednio, ale nie wyraziłem mu swego zdania z powodu pewnego rodzaju delikatności, zapewne fałszywej. Mażeńskie stosunki marynarzy byłyby tematem bardzo interesującym; mógłbym wam zacytować różne przykłady... Ale tu nie miejsce ani czas na to, zajmujemy się Jimem, który nie był żonaty. Przeczulone jego sumienie, duma, owe cudaczne zjawy i surowe widma — zgubni towarzysze jego młodości — wszystko to nie pozwalało mu uciec od szafotu; mnie zaś, którego oczywiście nie można podejrzewać o obcowanie z taką jak Jim kompanią, ciągnęło nieodparcie, aby ujrzeć jego toczącą się głowę. Poszedłem więc w stronę sądu. Nie cieszyłem się nadzieją, że doznam wstrząsających wrażeń, że będę szczególnie zbudowany, przejęty lub nawet przestraszony, albowiem porządny strach od czasu do czasu jest zbawienną tresurą dla tych, co mają jeszcze trochę życia przed sobą. Ale nie spodziewałem się także, iż mnie to tak okropnie przygnębi. Gorycz jego kary polegała na jej chłodnej, pospolitej atmosferze. Istotą przestępstwa jest nadużycie ludzkiego zaufania i z tego punktu widzenia Jim był nie byle jakim przestępcą, ale jego egzekucja okazała się czymś po prostu nędznym. Nie było tam wysokiego rusztowania ani szkarłatnego sukna (czy mieli szkarłatne sukno na Tower Hill? powinni byli je mieć), ani też przejętego grozą tłumu, który by się przeraził jego winy i przejął do łez jego losem; kara, która spadła na Jima, nie wyglądała na ponure zadoścuczynienie. Natomiast gdy szedłem do sądu, błyszczało słońce, zbyt olśniewające i namiętne, aby koić i uspokajać; ulice pełne były różnokolorowych plam, jak w zepsutym kalejdoskopie, żółtych, zielonych, błękitnych, oślepiająco białych: tu brunatna nagość odkrytego ramienia, tam wóz o czerwonym baldachimie, zaprzężony w bawoły, lub ciemnogłowy oddział krajowej piechoty w zakurzonych butach, maszerujący brunatną kolumną. Policjant-krajowiec, w ciemnym, ciasnym mundurze,

Mąż, Żona, Zazdrość

Kara

przepasany skórzanym pasem, spojrział na mnie żalnymi, wschodnimi oczami, jakby jego wędrowny duch cierpiał dotkliwie nad swoją nieprzewidzianą, jakże to się nazywa? awatarą⁸⁴ — wcieleniem. Na dziedzińcu przed sądem siedzieli w cieniu samotnego drzewa wieśniacy wplątani w sprawę o pobicie; tworzyli malowniczą grupę, podobną kubek w kubek do chromolitografii⁸⁵ przedstawiającej obozowisko, z książki o podróży na Wschód. Brakowało tylko obowiązkowego słupa dymu na pierwszym planie i pasących się zwierząt jucznych. Za drzewem wznosiła się wyższa od niego naga żółta ściana i odbijała słoneczny blask. Sala sądowa była mroczna i robiła wrażenie obszerniejszej niż zwykle. Wysoko w półcieniu *punkah* kołysały się krótkim ruchem tam i na powrót. Gdzieś gdzie postać zawinięta w zwoje tkanin, zdrobniła wśród wysokich, nagich ścian, tkwiła bez ruchu między rzędami pustych ław, jakby pogrążona w pobożnych rozmyślaniach. Strona powodowa, krajowiec, który został pobity, otyły mężczyzna czekoladowej barwy, o ogolonej głowie, tłustych piersiach obnażonych z jednej strony i jasnożółtym piętne kastowym nad mostkiem nosa, siedział w pompatycznym bezruchu; połyskiwały tylko jego oczy, którymi toczył w mroku, a nozdrza rozdymały mu się gwałtownie przy oddychaniu. Brierly opadł na swoje krzesło; robił wrażenie zmęczonego, jakby spędził całą noc na ściganiu się po drodze wysypanej żużlem. Pobożny szyper żaglowca wydawał się podniecony i poruszał się niespokojnie, rzekłbyś, opanowując z trudnością poryw, aby wstać i wezwać nas żarliwie do modlitwy oraz żalu za grzechy. Twarz sędziego, blada i delikatna pod starannie zaczesanymi włosami, przypominała oblicze beznadziejnie chorego człowieka, którego uczesano, umyto i posadzono na łóżku. Odsunął na bok wazon z pękiem purpurowego kwiecia i paru różowymi kwiatami na długich łądych, po czym chwycił oburącz długi arkusz niebieskiego papieru, przejrzał go, wsparł się łokciami o brzeg biurka i zaczął czytać głośno równym, wyraźnym, obojętnym tonem.

Jak mi Bóg miły! Bredziłem o szafotach i toczących się głowach, ale zapewniam was, że to było stokroć gorsze od ścięcia. Dotkliwe poczucie nieodwołalności unosiło się nad tym wszystkim, niezłagodzone nadzieją wypoczynku i bezpieczeństwa po ciosie topora. W tym wyroku była zimna mściwość skazania na śmierć i okrucieństwo skazania na wygnanie. Tak się na to zapatrywałem owego ranka — a nawet jeszcze dziś mi się zdaje, że w mym przesadnym ujęciu tego zwykłego zdarzenia było bezwzględnie trochę słuszności. A możecie sobie wystawić, jak głęboko czułem to w owej chwili. Może właśnie dlatego nie mogłem ani rusz uznać nieodwołalności wyroku. Byłem wiecznie zaprzętny tą kwestią, wiecznie spragniony cudzego zdania na ten temat, jakby sprawa nie była już przesądzona w ludzkiej opinii — w międzynarodowej opinii, czego przykładem było właśnie zdanie owego Francuza; wypowiedział opinię swego narodu w beznamiętnej, ścisłej terminologii, której by użyła maszyna, gdyby maszyny mogły mówić. Twarz sędziego była na wpół zasłonięta przez papier; czoło jego wyglądało jak alabaster.

Sąd miał odpowiedzieć na kilka pytań. Po pierwsze: czy statek był pod każdym względem odpowiednio wyekwipowany i gotów do podróży. Sąd uznał, że nie. Następne pytanie, o ile pamiętam, brzmiało: czy aż do chwili wypadku otaczano statek należytą marynarską opieką? Odpowiedzieli na to: tak — Bóg raczy wiedzieć dlaczego — a potem oświadczyli, że niczyje świadectwo nie ustaliło właściwej przyczyny rozbicia. Może „Patna” natknęła się na pływające szczątki jakiegoś statku? Pamiętam, że mniej więcej w tym samym czasie uznano za przepadły norweski bark z ładunkiem dziegciu⁸⁶, a był to właśnie ten rodzaj statku, który mógł się przewrócić wśród szkwału i pływać potem dnem do góry przez całe miesiące — niby morski zły duch czyhający na okręty, aby je mordować w ciemności. Takie wędrujące trupy są dość pospolite na północnym Atlantyku, który bywa nawiedzany przez wszystkie morskie grozy — mgły, góry lodowe, martwe okręty o złych zamiarach i długie ponure burze wpijające się w statek jak wampiry, póki nie wyssa z załogi wszystkich sił, odwagi i nawet nadziei, tak że człowiek się czuje jak wy-

Katastrofa, Los

Okręt, Duch

⁸⁴*awatar* (sanskryt. *avatara*) — w hinduizmie: wcielenie bóstwa, zjawiającego się na ziemi w postaci śmiertelnej. [przypis edytorski]

⁸⁵*chromolitografia* — wielobarwny obrazek odbity za pomocą kamiennych matryc z łupku wapiennego, na które uprzednio naniesiono rysunek, każdy kolor na innej płycie; także technika wykonywania takich odbitek, wynaleziona w XIX w., w XX w. wyparta przed druk offsetowy. [przypis edytorski]

⁸⁶*dziegieć* — substancja o lepkiej konsystencji i brunatnej barwie, uzyskiwana przez wytapianie w specjalnych smolarniach z kory drzew (brzozy, buku a. sosny); była wykorzystywana do celów leczniczych oraz np. do impregnacji materiałów czy uszczelniania beczek. [przypis edytorski]

ciśniecia cytryna; Ale tam — na tamtych morzach — podobny wypadek był dość rzadki i wyglądał na zrządzenie złowrogiej opatrności, na jakiś zupełnie bezcelowy szatański kawał — chyba że miało to na celu zabicie trzeciego mechanika i sprowadzenie na Jima czegoś gorszego od śmierci. Te myśli odciągnęły moją uwagę. Przez pewien czas głos sędziego dochodził mnie tylko jak pusty dźwięk, ale naraz ukształtował się w wyraźne słowa i przemówił: „...z pełnym lekceważeniem najprostszyc obowiązków...” Następne zdanie uszło mojej uwagi, a potem słuchałem znów: „...opuszczając w chwili niebezpieczeństwa powierzonych im ludzi oraz ich dobytek...” — ciągnął głos jednostajnie i zatrzymał się. Para oczu pod białym czołem strzeliła mrocznym spojrzeniem z nad brzegu arkusza. Popatrzyłem szybko na Jima, jakbym się spodziewał, że zniknie. Siedział zupełnie nieruchomo, ale był tam wciąż na swym miejscu, jasnowłosa, różowa i niezmiernie uważny. „Z tego powodu...” — zaczął głos dobitnie. Jim wpatrywał się z rozchylonymi ustami w człowieka za biurkiem, chłonąc jego słowa. Rozlegały się wśród ciszy, niesione na fali powietrza wiejącego od *punkab*, a mnie tak pochłonęło śledzenie wrażeń na twarzy Jima, że wpadały mi w ucho tylko strzępy urzędowego stylu: „...Sąd... Gustaw taki a taki, kapitan... rodem z Niemiec... James taki a taki... oficer... świadectwa skasowane”.

Zapadło milczenie. Sędzia wypuścił z rąk papier i oparłszy się bokiem o poręcz krzesła, zaczął rozmawiać swobodnie z Brierly’em. Ludzie ruszyli ku wyjściu, inni pchali się na salę, a ja także poszedłem ku drzwiom. Przystanąłem na werandzie; gdy mnie Jim miął, kierując się ku bramie, chwyciłem go za ramię i zatrzymałem. Rzucił mi spojrzenie, które zmieszało mnie, jakbym był za jego los odpowiedzialny; popatrzył na mnie niby na wcielone zło życia.

— Już po wszystkim — bąknąłem.

— Tak — odrzekł niewyraźnie. — A teraz niech nikt... — wyszarpnął mi ramię.

Patrzyłem za nim, gdy odchodził. Ulica była długa i przez pewien czas nie traciłem go z oczu. Szedł raczej pomału, rozstawiając nogi dosyć szeroko, jakby mu było trudno utrzymać się na prostej linii. Chwilę przedtem, zanim mi znikł z oczu, wydało mi się, że zachwiał się z lekka.

— Człowiek za burta! — rzekł za mną głęboki głos. Odwróciwszy się, zobaczyłem pewnego marynarza, którego znałem bardzo mało, zachodniego Australijczyka nazwiskiem Chester. On także patrzył za Jimem. Chester miał niebywale rozwiniętą klatkę piersiową, chropowatą, wygoloną twarz barwy mahoni i dwie przystrzyżone kępki włosów siwych jak stal, gęstych i szczecinowatych. Zajmował się połowaniem pereł, przewożeniem ładunku z rozbitych statków, handlem, połowaniem na wieloryby, jak mi się zdaje — w ogóle, wedle jego własnych słów, uprawiał na morzu wszystkie możliwe zajęcia prócz korsarstwa. Ocean Spokojny, od północy aż na południe, był jego myśliwskim terenem, ale tym razem zawędrował aż tak daleko od zwykłych szlaków, poszukując jakiegoś taniego parowca na sprzedaż. Odkrył niedawno — jak mi mówił — wyspę z pokładami guana⁸⁷, lecz dojazd do niej był niebezpieczny, a grunt kotwiczny co najmniej niepewny.

— To po prostu kopalnia złota! — wykrzyknął. — W samym środku raf Walpole’a; prawda, że nigdzie naokoło nie można rzucić kotwicy płycej niż na czterdzieści sążni⁸⁸, ale co z tego? Jeszcze i huragany panują tam w dodatku. Cóż to za interes, palce lizać. Prawdziwa żyła złota, co tam, lepsze to od żyły złota! A jednak żaden z tych durniów nie chce na to patrzeć. Nie mogę namówić ani jednego szypra czy armatora, żeby to obejrzał. No, więc postanowiłem, że sam będę zwoził ten, psiakrew, towar...

Na to właśnie był mu potrzebny parowiec; wiedziałem, że targował się zawzięcie z jakąś parsyjską⁸⁹ firmą o stary bryg, morski zabytek muzealny o sile dziewięćdziesięciu koni. Spotkaliśmy się i gawędziliśmy kilka razy. Patrzył doświadczonego okiem na Jima.

— Wziął to do serca? — spytał pogardliwie.

— Jeszcze jak! — odrzekłem.

⁸⁷ *guano* — suche odchody ptaków morskich, stosowane jako nawóz. [przypis edytorski]

⁸⁸ *sążeń* — dawna jednostka długości; tu sążeń brytyjski (*fathom*), używany do określania głębokości morza, równy 6 stóp, tj. 1,83 m. [przypis edytorski]

⁸⁹ *parsyjski* — przym. od *Pars*: członek grupy etnicznej wywodzącej się od wyznających zaratusztrianizm staroż. Persów, którzy w ucieczce przed muzułmańskimi prześladowaniami w VIII–X wieku osiedlili się w Indiach; w XIX w. Parsowie stali się pośrednikami w handlu przy Kompanii Wschodnioindyjskiej. [przypis edytorski]

— No, to nic nie jest wart — zawyrokował. — I o co tyle krzyku? O ten kawałek oślejskiej skóry? Kariera człowieka nie zależy od jakiegos tam świadectwa. Trzeba patrzeć jasno na rzeczy — a jeżeli się tego nie potrafi, to lepiej od razu się poddać: bo i tak nigdy na tym świecie nie dojdzie się do niczego. Niech pan spojrzy na mnie. Wziąłem sobie za zasadę nigdy nic nie brać do serca.

— Tak — rzekłem — pan to patrzy jasno na rzeczy.

— A teraz chciałbym wypatrzeć mego współnika — widzieć, że już nadchodzi. Czy pan go zna? To stary Robinson. Tak; *ten* Robinson. Czyżby pan nie wiedział? Oslawiony Robinson. Człowiek, który swego czasu przemycił więcej opium i upolował więcej fok niż ktokolwiek z żyjących marynarzy. Mówiono o nim, że napadał szkunery łowiące foki w okolicy Alaski podczas tak gęstej mgły, że tylko sam Pan Bóg mógł jednego człowieka od drugiego odróżnić. Robinson Święty Postrach. To ten właśnie. Robi ze mną w tym interesie z guanem. Najkorzystniejszy z interesów, jakie mu się trafiły w życiu. — Zbliżył usta do mego ucha. — Ludożerca? Cóż, przezywali go tak przed wielu laty. Pamięta pan tę historię? Rozbił się statek na zachód od wyspy Stewart... tak, dobrze mówię; siedmiu ludzi dostało się na brzeg i zdaje się, że coś nie bardzo się z sobą zgadzali. Niektórzy bywają tacy kłótlivi; jak wpadną w tarapaty, nie potrafią ani rusz zachować się odpowiednio, nie patrzą na rzeczy bez uprzedzeń, mój chłopcze! No i co im z tego? Oczywiście, że mają kłopoty, same kłopoty; obrywają po łbie, i dobrze im tak. Z takich kpów to największy jest pożytek, kiedy wyciągną kopyta. Chodzą gadki, że łódź okrętu Jej Królewskiej Mości „Wolverine” znalazła Robinsona klęczącego na brzegu, jak go Pan Bóg stworzył; wyśpiewywał jakiś psalm czy coś w tym rodzaju, a właśnie lekki śnieg padał. Robinson nie ruszył się, póki łódź nie podpłynęła na długość wiosła od brzegu, wtedy dopiero zerwał się i w nogi. Polowali na niego po skałach w górę i na dół, wreszcie jeden z majtków rzucił kamieniem, który dosięgnął go szczęśliwie za uchem i zwałił z nóg bez przytomności. Czy był sam na tej wyspie? Oczywiście. Ale z tym jest tak samo jak z owymi pogłoskami o szkunerach łowiących foki: jeden Pan Bóg wie, jak się tam odbyło. Na kutrze nie bawiono się tak dalece w badania. Zawinęli go w pokrowiec od łodzi i odbili jak najprędzej, bo zbliżała się ciemna noc, pogoda była groźna, a statek nawoływał ich wystrzałami z działa co pięć minut. W trzy tygodnie później Robinson miał się jak najlepiej. Krzyk, co się podniósł naokoło tej sprawy po jego powrocie, nie wzruszył go ani trochę; zaciął zęby i pozwolił ludziom gadać. I tak dosyć miał trosk; stracił swój statek i wszystko, co posiadał, toteż nie zwracał uwagi na obelgi. Taki człowiek to mi odpowiada. — Podniósł rękę i kiwnął na kogoś znajdującego się u końca ulicy. — Ma tam trochę pieniędzy, toteż musiałem go przypuścić do spółki. Musiałem! Byłoby grzechem nie skorzystać z takiej okazji, a sam byłem do cna splukany. Bardzo mi się nie chciało, ale cóż, patrzę jasno na rzeczy, i pomyślałem sobie: jeśli już muszę z kimś się dzielić, to niechże to będzie Robinson. Zostawiłem go w hotelu przy śniadaniu i poszedłem do sądu, bo mi zaświtała pewna myśl... A dzień dobry, panie kapitanie. Mój przyjaciel... kapitan Robinson.

Wychudły patriarcha o trzęsącej się ze starości głowie, w ubraniu z białej dymki i kasku z rondem podbitym zieloną podszewką, zbliżył się do nas, drepcząc i suwając nogami. Stał, wsparty oburącz na rękojeści parasola. Biała broda o bursztynowych smugach zwieszała mu się w kłakach aż po pas. Mrugał pomarszczonymi powiekami, patrząc na mnie w oszołomieniu.

— Witam pana, witam — pisnął uprzejmie i zachwiał się na nogach.

— Trochę jest głuchy — rzekł Chester na stronie.

— Więc pan włókl go za sobą sześć tysięcy mil, żeby kupić tanio parowiec? — zapytałem.

— Na moje kiwnięcie palcem objechałby dwa razy cały świat dookoła — rzekł Chester z wielką energią. — Ten parowiec postawi nas na nogi, mój chłopcze. Czy to moja wina, że wszyscy szyprowie i właściciele statków z całej Australazji okazali się skończonymi durniami? Raz to gadałem przez trzy godziny do jednego człowieka w Auckland. „Wyślij pan statek — mówię do niego — wyślijże statek. Dostaniesz pan pół pierwszego ładunku gratis, za darmo, byle tylko zrobić dobry początek”. A on mi na to: „Nie zrobiłbym tego, nawet gdyby to było jedyne miejsce na świecie, dokąd można statek posłać”. Skończony osioł, naturalnie. I gada dalej, że tam naokoło rafy, prądy, kotwowiska

Starość

Interes

ani śladu, chyba czepiać się gołych skał, że żadne towarzystwo ubezpieczeń nie chciałoby wziąć na siebie takiego ryzyka; że nie widzi sposobu, aby załadować statek prędzej niż za trzy lata. Osioł! O mało co nie padłem przed nim na kolana. „Ależ patrz pan jasno na rzeczy — mówię. — Pal sześć skały i huragany. Spójrz pan na to bez uprzedzeń. Przecież tam jest guano, plantatorzy trzciny cukrowej z Queenslandu będą bili się o nie, będą bili się o nie na bulwarze!” Ale cóż głupiemu po rozumie? „To jeden z tych pańskich kawałów, Chester” — mówi do mnie. Ładny kawał! Ledwie się nie popłakałem. Niech pan spyta kapitana Robinsona... A drugi armator, w Wellington, opasły chłop w białej kamizelce, myślał widocznie, że knuję jakieś oszustwo. „Szukaj pan sobie innego durnia — mówi — bo ja jestem na razie zajęty. Do widzenia”. Straszna miałem ochotę wziąć go obiema rękami i wyrzucić przez okno jego własnego biura. Nie zrobiłem tego. Byłem łagodny jak baranek. „Niech pan nad tym pomyśli — mówię. — Niech pan doprawdy nad tym pomyśli. Jutro pana odwiedzę”. Mruknął coś, że „cały dzień nie będzie go w domu”. Na schodach o mały włos nie zacząłem walić głową o mur ze złości. Niechże kapitan Robinson poświadczy. Okropnie było myśleć o tym cudownym towarze marnującym się w słońcu, od tego trzcina cukrowa strzeliłaby pod same niebiosa. Cóż to za przyszłość dla Queenslandu! A w Brisbane, dokąd pojechałem, żeby spróbować po raz ostatni, zrobili ze mnie wariata. Idioci! Jedyne rozsądne człowiek, na którego się natknąłem, to dorożkarz, co mnie obwoził. Zdaje się, że to był jakiś podupadły szykowniś, słyszy pan, kapitanie Robinson? Pamięta pan, co panu opowiadałem o moim dorożkarzu w Brisbane, co? Ten chłop to miał nadzwyczajne oko. W mig wszystko przeniknął. Rozkosz była z nim gadać. Raz wieczorem, po piekielnym dniu wśród tych armatorów, tak się źle czulem, że mówię do niego: „Muszę się upić. Chodź pan ze mną; muszę się upić, bo oszaleję”. „Jestem na pańskie rozkazy — mówi — sympy”. Nie wiem, co bym był bez niego, zrobił. Słyszysz pan! Kapitanie Robinson!

Uderzył kuliakiem w żebro swego współnika.

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się staruch, patrząc bezmyślnie wzdłuż ulicy, a potem spojrział na mnie niepewnie smutnymi, mętnymi źrenicami. — Hi, hi, hi!

Wsparł się mocniej na parasolu i utkwił wzrok w ziemi. Nie potrzebuję wam mówić, że próbowałem odejść kilka razy, ale Chester udaremniał każdy mój wysilek, chwytając mnie po prostu za marynarkę.

— Zaraz, zaraz. Przyszedł mi jeden pomysł.

— Cóż to za pomysł, u licha! — wybuchnąłem w końcu. — Jeśli pan myśli, że wejde z panem w spółkę...

— Nie, nie, mój chłopcze, za późno, choćby pan nie wiem jak tego pragnął. Parowiec już mamy.

— Macie widmo parowca — rzekłem.

— Wystarczy nam na początek — głowy sobie tym zawracać nie będziemy. Prawda, kapitanie Robinson?

— Tak, tak, tak — zakrakał stary grzyb, nie podnosząc oczu, przy czym głowa zaczęła mu latać gwałtownie od tej determinacji.

— Pan chyba zna tego młodzika — rzekł Chester, wskazując głową na ulicę, z której Jim znikł już od dawna. — Jedliście wczoraj razem obiad w hotelu „Malabar”, jak mi mówiono.

Powiedziałem, że to jest prawda. Chester rzekł na to, iż lubi także żyć wygodnie i na odpowiedniej stopie, ale na razie musi się liczyć z każdym pensum. „Potrzebuję ich jak najwięcej na ten interes! Co, kapitanie Robinson?” Wysunął pierś i pogładził krótkie, gęste wąsy, a osławiony Robinson, pokaszlując u jego boku, trzymał się coraz mocniej rączki parasola, przy czym zdawało się, że lada chwila biernie opadnie na ziemię i przemieni się w kupę starych kości.

— Rozumie pan, stary ma pieniądze w garści — szepnął poufnie Chester — — Ja splukałem się do cna, usiłując puścić w ruch ten, psiakrew, interes. Ale poczekajmy trochę... Nadchodzą lepsze czasy. — Naraz wydał się zdumiony oznakami mej niecierpliwości. — Ee, cóż u Pana Boga — zawołał — ja panu opowiadam o najwspanialszym interesie, jaki sobie można wyobrazić, a pan...

— Umówiłem się z kimś — tłumaczyłem łagodnie.

— I cóż z tego? — zapytał ze szczerym zdumieniem — poczekają na pana.

— W tej chwili to ja właśnie czekam — zauważyłem. — Zechce mi pan powiedzieć, czego pan sobie życzy?

— Kupię dwadzieścia hoteli takich jak ten — mruknął pod nosem — i wszystkich tych błaznów, co się tam żywią... Więcej niż dwadzieścia! — Podniósł szybko głowę. — Ten chłopiec mi jest potrzebny.

— Nie rozumiem pana — odrzekłem.

— On już jest do niczego, co? — rzucił mi szorstko.

— Nie wiem, o co panu chodzi — oświadczyłem.

— Jakże, przecież pan mi sam mówił, że on tę sprawę wziął tak do serca — dowodził Chester. — Otóż według mnie, człowiek, który... Tak czy owak, co on tam może być wart; ale widzi pan, ja szukam teraz kogoś dla siebie i właśnie mam na myśli coś, co mu będzie odpowiadało. Dam mu zajęcie na mojej wyspie. — Pokiwał znacząco głową. — Osadzę tam czterdziestu kulisów⁹⁰ — choćbym ich miał ukraść. Ktoś musi przecież robić w tym interesie. O, ja chcę to postawić uczciwie: drewniana szopa, dach z falistej blachy — znam jednego człowieka w Hobart, który mi dostarczy materiałów na weksel sześciomiesięczny. Mówię panu, że znam takiego. Słowo honoru. Potem trzeba się będzie postarać o zapas wody. Muszę się pokręcić i kogoś wystraszyć, żeby mi dostarczył okazyjnie pół tuzina żelaznych zbiorników na kredyt. Będziemy łapać deszczową wodę, co? Niechże się ten chłopiec zajmie tym wszystkim. Zrobię go szefem kulisów. Dobra myśl, prawda? Co pan na to?

— Bywają lata, kiedy kropla deszczu nie spada na rafy Walpole'a — rzekłem, zbyt zaskoczony, aby się roześmiać. Zagryzł wargi z zakłopotaniem.

— No, już ja tam coś dla nich urządzę albo też sprowadzę zapas wody. Do diabła z tym! Nie o to tu chodzi.

Nic nie odrzekłem. W błyskawicznej wizji ujrzałem Jima stojącego po kolana w guanie na skale pozbawionej cienia, z uszami pełnymi krzyku morskich ptaków, z rozpaloną kulą słońca nad głową; naokoło jak okiem sięgnąć puste niebo i pusty ocean, rozdygotane, smażące się w upale.

— Nie radziłbym najgorszemu wrogowi... — zacząłem.

— Co pana ugryzło? — zawołał Chester. — Chcę mu dać porządne wynagrodzenie, naturalnie, jak już interes będzie w ruchu. To żadna filozofia. Nic nie będzie miał do roboty; dwa sześciostrzałowce za pasem... Przecież nie będzie się bał jakiegoś kawału ze strony czterdziestu kulisów, mając dwanaście strzałów na podorędziu i będąc jedynym uzbrojonym człowiekiem. Z daleka wygląda to znacznie gorzej. Chcę, żeby pan mi pomógł go namówić.

— Ani myślę! — krzyknąłem.

Stary Robinson podniósł na chwilę ponure, mętne oczy, Chester zaś spojrział na mnie z nieskończoną pogardą.

— A więc pan mu tego doradzać nie będzie? — wyrzekł z wolna.

— Naturalnie, że nie! — odpowiedziałem z oburzeniem, jakby żądał, abym mu pomógł kogoś zamordować. — Przy tym jestem pewien, że by się nie zgodził. Wprawdzie znajduje się w ciężkim położeniu, ale o ile wiem, nie ma bzika.

— On już jest absolutnie do niczego — rozmyślał głośno Chester — a mnie by świetnie odpowiadał. Gdyby pan umiał patrzeć jasno na rzeczy, zrozumiałby łatwo, że to jest właśnie to, czego mu trzeba. A w dodatku... Jakże! Przecież to jest najwspanialsza sposobność, pewna jak mur. — Nagle się rozgniewał. — Ja muszę mieć kogoś. Rozumie pan? — Tupnął nogą i uśmiechnął się nieprzyjemnie. — W każdym razie mógłbym mu zaręczyć, że wyspa pod nim nie zatoni. A zdaje się, że on na tym punkcie jest trochę przeczulony.

— Do widzenia — rzekłem krótko.

Chester spojrział na mnie jak na beznadziejnego durnia.

— Czas już na nas, panie kapitanie — wrzasnął nagle w ucho staremu. — Ci parsyjscy marynarze czekają na nas, żeby dobić targu. — Wziął mocno współnika pod ramię, obrócił nim i nagle zerknął w bok na mnie. — Chciałem mu wyświadczyć przysługę — wyrzekł z taką miną i takim tonem, że krew we mnie zawrzała.

⁹⁰kulis — niskopłatny robotnik azjatycki. [przypis edytorski]

— Dziękuję panu za tę przysługę w jego imieniu — odrzekłem.
— Jest pan diabło cięty — zadrwił — a poza tym taki sam jak wszyscy inni. Bujanie w obłokach. Zobaczymy, co *pan* potrafi dla niego zrobić.
— Nie twierdzą wcale, że chcę dla niego coś zrobić.
— Ach tak? — wykrztusił; jego siwe wąsy zjeżyły się z gniewu, obok niego zaś sławetny Robinson, wsparty na parasolu, stał tyłem do mnie, cierpliwy i nieruchomy jak stara szkapa dorożkarska.
— Ja wyspy z guanem nie znalazłem — rzekłem.
— Jestem pewien, że pan by jej nie dostrzegł, nawet gdyby pana za rękę wziąć i do niej przyprowadzić — odciął się szybko — a na tym świecie trzeba mieć dobry wzrok i nie tylko widzieć, ale na wskroś przejrzyć to, z czego później będzie się miało pożytek.
— I dobrać sobie takich, co wszystko potrafią dostrzec — wtrąciłem, spoglądając na pochylone plecy u boku Chestera.
Zachnął się na mnie.
— Oczy Robinsona są w porządku, niech pana o to głowa nie boli. To nie jest smarkacz.

— O, na pewno nie! — odrzekłem.
— Chodźmy, kapitanie — krzyknął Chester staremu pod rondo hełmu z pewnego rodzaju brutalnym szacunkiem; w odpowiedzi na to Święty Postrach wykonał potulnie coś na kształt podrygu. Czekał na nich parowiec-widmo i skarby Golkondy⁹¹ na tej pięknej wyspie! Ciekawa z nich była para Argonautów. Chester szedł swobodnie, dobrze zbudowany, tęgi, z miną zwycięską; tamten zaś, długi, wychudzony, obwisły, trzymał się kurczowo jego ramienia, suwając wyschniętymi nogami z rozpaczliwym pośpiechem.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nie zabrałem się zaraz do szukania Jima tylko dlatego, że musiałem się rzeczywiście z kimś spotkać. Pech zrządził, iż w biurze mego agenta przygwoździł mnie pewien człowiek, który przybył dopiero co z Madagaskaru i rozpowiadał o projekcie bajecznego interesu. Miało to coś wspólnego z bydłem, nabojami i niejakim księciem Ravonalo, ale osiłą całej historii była głupota jakiegoś admirała — nazwiskiem Pierre, zdaje mi się. Wszystko się koło tego obracało i facet nie mógł znaleźć słów dość silnych na wyrażenie swej wiary w świetność owego interesu. Miał okrągłe wylupiane oczy o rybim połysku, czoło całe w guzach i nosił długie włosy zaczesane w tył bez przedziału. Powtarzał wciąż tryumfująco ulubione swoje zdanie: „Minimum ryzyka przy maksimum korzyści — oto moje hasło. I co pan na to?” Przyprawił mnie o ból głowy, zepsuł mi śniadanie, ale wydobyl ze mnie wszystko, o co mu chodziło. Kiedy mu się wreszcie wyrwałem, poszedłem wprost na wybrzeże. Ujrzałem Jima wspartego o parapet bulwaru. Trzech wioślarzy krajowców klóciło się tuż pod jego bokiem o pięć annów⁹², hałasując okropnie. Nie słyszał, jak nadchodziłem, ale pod lekkim dotknięciem mego palca odwrócił się błyskawicznie, jakbym nacisnął w nim jakąś sprężynę.

— Tak sobie patrzę — wyjąkał.

Nie pamiętam już, co powiedziałem, w każdym razie nic ważnego, ale bez trudności dał się zaprowadzić do hotelu.

Szedł za mną, powolny jak małe dziecko, posłusznie i z prostotą; rzekłbyś, że czekał tam właśnie, abym przyszedł po niego. Ta jego potulność nie powinna była mnie zaskoczyć. Na całej kuli ziemskiej, która jednym wydaje się tak wielka, podczas gdy drudzy skłonni są uważać ją za mniejszą od ziarnka gorczycy, na całej kuli ziemskiej nie miał miejsca, dokąd by mógł — jakże, to powiedzieć? — dokąd by mógł się schronić. Otóż to właśnie! schronić się, zostać sam na sam ze swoją samotnością. Szedł obok mnie bardzo spokojnie, spoglądając tu i ówdzie, raz nawet odwrócił głowę, aby spojrzeć za strażakiem krajowcem ubranym w żakiet i żółtawe spodnie; czarna twarz tego człowieka miała jedwabne połyski jak złom antracytu. Wątpię jednak, aby Jim widział cokolwiek lub nawet

⁹¹ *Golkonda* — twierdza w pld.-śr. Indiach, położona w pobliżu kopalni diamentów; w XVI w. stolica państwa noszącego tę samą nazwę; w XVI–XVII w. kwitnący ośrodek handlu diamentami i biżuterią; zyskała legendarną sławę królestwa niezmiernych bogactw i skarbów. [przypis edytorski]

⁹² *ann* — właśc.: *anna*, drobna moneta miedziana używana w czasach kolonialnych w Indiach i Pakistanie, równa 1/16 rupii. [przypis edytorski]

zdawał sobie wciąż sprawę z mej obecności, bo gdybym go nie pchnął tu na prawo, a tam znów nie pociągnął na lewo, sądzę, że byłby szedł prosto przed siebie w jakimkolwiek kierunku, póki by się nie natknął na ścianę lub jaką inną przeszkodę.

Przyprowadziłem go do swego pokoju i zabrałem się natychmiast do pisania listów. Było to jedyne miejsce na świecie (wyjąwszy może rafy Walpole'a, ale tych nie było pod ręką), gdzie Jim mógł rozprawić się z sobą bez żadnych przeszkód ze strony pozostałego świata. Owa przekłeta historia — jak o niej mówił — nie uczyniła go niewidzialnym, ale zachowywałem się zupełnie tak, jakbym go wcale nie dostrzegał. Ledwie się znalazłem na krześle, pochyliłem się nad biurkiem niby średniowieczny skryba i pisałem, siedząc nieporuszenie, pełen niepokoju. Nie mogę powiedzieć, abym się czuł zatrwożony, ale naprawdę zachowywałem się tak, jakby w pokoju znajdował się jakiś stwór niebezpieczny, którego najłżejszy mój ruch mógł pobudzić do skoku. Niewiele tam było sprzętów — wiecie, jak wyglądają te sypialnie: łóżko o czterech słupach z siatką od moskitów, dwa lub trzy krzesła, stół, przy którym pisałem, goła podłoga. Szklane drzwi wychodziły na werandę pierwszego piętra; Jim stał zwrócony do nich twarzą i cierpiał w jak największym odosobnieniu. Zapadał zmierzch; zapaliłem świecę powściągliwymi ruchami i z taką ostrożnością, jakby to była rzecz zakazana. Nie wątpię, iż przeżywał bardzo ciężkie chwile, ja także, i to do tego stopnia, że — muszę się przyznać — posyłałem go do wszystkich diabłów, a co najmniej na rafy Walpole'a. Parę razy przyszło mi na myśl, że jednak Chester jest może naprawdę człowiekiem odpowiednim do zaradzenia skutecznie takiemu nieszczęściu. Ten szczególny idealista znalazł od razu praktyczne wyjście z położenia, jakby wiedziony niezawodnym instynktem. Na tej podstawie można było przypuszczać, że umie istotnie przenikać sprawy, które wydają się tajemnicze lub zupełnie beznadziejne ludziom o mniej bujnej wyobraźni. Pisałem i pisałem; załatwiłem całą swoją zaległą korespondencję, a potem zacząłem pisać do ludzi, którzy nie mieli żadnego powodu oczekiwać ode mnie plotkarskiego listu o niczym. Od czasu do czasu rzucałem spod oka ukradkowe spojrzenie. Jim stał przykuty do miejsca, lecz plecy mu drgały jakby wstrząsane dreszczem; barki jego podnosiły się raptownie. Zmagał się z sobą i zmagał, jakby usiłując schwytać oddech. Masywne cienie, które prosty płomień świecy rzucał w jedną stronę, zdawały się posiadać jakąś ponurą świadomość; meble w swym bezruchu, rzekłbyś, nasłuchiwały, gdy zerkalem w bok po kryjomu. Zaczęło mi się coś przywidywać podczas tego pracowitego gryzmolenia; gdy szelest pióra na chwilę ustawał, zupełna cisza zapadała w pokoju, a mimo to czułem ów głęboki niepokój i zamęt w głowie, który jest zazwyczaj wynikiem gwałtownego i groźnego hałasu, na przykład podczas wielkiej burzy na morzu. Niektórzy z was rozumieją może, co mam na myśli, ową mieszaninę troski, strapienia i irytacji, do której przylączy się osobliwy rodzaj tchórzostwa, uczucie niezbyt przyjemne, lecz nadające szczególną wartość ludzkiej wytrzymałości. Nie uważam tego za żadną zasługę, że wytrzymałem napięcie wzruszeń Jima; znalazłem ucieczkę w listach: byłbym pisał do ludzi zupełnie mi obcych, gdyby zaszła tego potrzeba. Nagle, w chwili gdy sięgnąłem po świeży arkusz papieru, usłyszałem głuchy dźwięk, pierwszy, jaki doszedł mych uszu od czasu, gdyśmy się razem zamknęli w półmroku i ciszy. Zamarłem z głową spuszczoną i wyciągniętym ramieniem. Ci, którym zdarzało się czuwać u łóżka chorego, znają takie słabe odgłosy wyrwywające się wśród nocnego spokoju udręczonemu ciału lub znużonej duszy. Nagle Jim pchnął szklane drzwi z taką siłą, że wszystkie szyby zadźwięczały, i wyszedł na balkon; wstrzymałem oddech, wytyczyłem słuch, nie wiedząc, czego się właściwie spodziewam. Ten chłopiec doprawdy zbyt się przejął tą pustą formalnością, którą surowy krytycyzm Chestera uważał za niegodną uwagi człowieka patrzącego jasno na rzeczy. Pusta formalność; kawałek pergaminu. Nic więcej. Co się zaś tyczy niedostępnych pokładów guana, sprawa była tak oczywistej wagi, iż jasne jest, że mogłaby człowieka przyprowadzić o atak serca.

Słaby rozgwar głosów zmieszanych z brzękiem srebra i szkła przyplłynął z sali jadalnej na dole; przez otwarte drzwi nikłe światło padające od świecy sięgało pleców Jima, dalej zaś wszystko było czarne; stał na krawędzi rozległej ciemności jak samotna postać na wybrzeżu ponurego i beznadziejnego oceanu. Z pewnością znajdowały się tam i rafy Walpole'a, plamka w ciemnej pustce, słomka dla tonącego. Moje współczucie dla Jima wyraziło się w myśli, że nie chciałbym, aby kto z jego bliskich widział go w owej chwili. Nawet mnie było ciężko patrzeć na niego. Konwulsyjny oddech nie wstrząsał już jego ple-

Mądrość

cami; stał, prosty jak strzała, ledwie widzialny i nieruchomy; a znaczenie tego bezruchu opadło na dno mej duszy jak olów w wodę i zaciężyło mi tak dotkliwie, że na chwilę zapragnąłem z całego serca, aby mi pozostało tylko jedno wyjście: zapłacić za pogrzeb Jima. Prawo już się z nim załatwiło. Pogrzebanie go byłoby tak łatwą przysługą! Zgadzałoby się z mądrością życia, która usuwa z widoku wszystko to, co przypomina nam nasze szaleństwa, naszą niemoc, naszą śmiertelność, wszystko, co osłabia w nas sprawność: pamięć o niepowodzeniach, uczucie wiecznej trwogi, ciała zmarłych przyjaciół. Może istotnie Jim brał to zanadto do serca. A w takim razie propozycja Chestera...

Tu sięgnąłem po nowy arkusz i zacząłem pisać z determinacją. Tylko ja jeden zagradzałem Jimowi drogę wiodącą ku czeluściom oceanu. Czułem się za niego odpowiedzialny. Czy ten udręczony chłopiec, stojący tam bez ruchu, skoczy w mrok i uchwyci się słomki, jeśli do niego przemówię? Przekonałem się wówczas, jak trudno jest czasem wydobyć z siebie głos. Dziwną moc posiada wypowiedziane słowo. Nie przestając pisać, myślałem w kółko uparcie: dlaczegoż by, u diabła, nie miało się to udać? Nagle pod końcem pióra, na pustej karcie, zaczęły się pojawiać dwie postacie: Chestera i jego zgrzybiałego współnika. Bardzo wyraźne i dokładne w zarysie, ukazały się przede mną w ruchu, jakby objęte polem widzenia jakiejś optycznej zabawki. Śledziłem je przez chwilę. Nie! Były zbyt mgliste i cudaczne, aby mogły zaważyć na czyimś losie. Słowo ludzkie sięga daleko, bardzo daleko; rzucone w przestrzeń, przenika czas i tak jak pocisk sieje zniszczenie. Nie powiedziałem nic; a Jim stał tam na werandzie tyłem do światła, w milczeniu i bezruchu, jakby wszyscy niewidzialni wrogowie człowieka spętali go i zakneblowali mu usta.

Słowo

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zbliżał się czas, kiedy miałem go ujrzeć otoczonego miłością, zaufaniem, podziwem, kiedy legenda siły i męstwa tworzyła się koło jego imienia, jakby w nim był materiał na bohatera. Zapewniam was, że to prawda, taka sama jak to, że tu siedzę i rozprawiam o nim bez celu. Jim posiadał łatwość wywoływania wizji swych pragnień i snów, a bez tego talentu nie byłoby na ziemi ani kochanków, ani miłośników przygód. Zdobył w puszczy wielką sławę i arkadyjską szczęśliwość (nie mówię nic o niewinności), a było to dla niego tym, czym jest dla innego człowieka sława i arkadyjska szczęśliwość wśród gwarnych ulic. Szczęście, szczęście... jakby to powiedzieć... pijemy je ze złotej czaszy pod wszelką szerokością geograficzną, ale jego smak jest naszą sprawą — wyłącznie naszą; i stopień upojenia, którym nas obdarza, zależy jedynie od nas. Jim był z gatunku ludzi, którzy wychylają czarę do dna, co sami możecie wywnioskować.

Zastałem go może nie dosłownie upojonego, lecz w każdym razie podnieconego cudownym napojem. Nie zdobył go od razu. Jak wiecie, przeszedł przez okres próby wśród owych piekielnych dostawców okrętowych; wycierpiał wiele w tym czasie, a ja się martwiłem... o... o — powiedzmy, zaufanie, jakie w nim pokładałem. Nie powiem, abym i teraz był o niego zupełnie spokojny po ujzeniu go w chwale i pełnym blasku. Takim mi się ukazał, kiedy go widziałem po raz ostatni; panował nad otoczeniem, a przy tym był w najzupełniejszej harmonii z życiem lasów i z życiem ludzi. Wyznaję, że zrobiło to na mnie wrażenie, ale muszę dodać, iż w gruncie rzeczy nie jest to moje najtrwalsze o nim wspomnienie. Strzegła go wówczas samotność, był tam jedyny ze swego, z wyższego ludzkiego gatunku i pozostawał w ścisłym związku z Przyrodą, która dochowuje swym kochankom wierności na tak łatwych warunkach. Lecz nie umiem ustalić sobie w oczach obrazu jego bezpieczeństwa. Będę zawsze Jima pamiętał tak, jak go widziałem przez otwarte drzwi na werandzie, przejętego może zbyt głęboko skutkami swego błędu. Cieszę się, naturalnie, że z powodu mych starań pewna pomyślność, a nawet chwała stały się jego udziałem; ale mam niekiedy wrażenie, że dla spokoju mej duszy byłoby lepiej, gdybym nie stanął między nim a przeklętą hojnością Chestera. Ciekaw jestem, co bujna wyobraźnia Jima byłaby zrobiła z wysepki Walpole'a — tej beznadziejnie straconej okruszyny ładu na obliczu wód. Prawdopodobnie nie byłbym mógł nigdy ciekawości swej zaspokoić, bo muszę wam powiedzieć, że Chester, zatrzymawszy się w jakimś porcie australijskim, aby połatać swój morski zabytek, wyruszył na Pacyfik z załogą liczącą zaledwie dwudziestu dwóch ludzi, i jedyną wiadomością, jaka mogła zaważyć na tajem-

niczym jego losie, była wiadomość o huraganie, który zawadził prawdopodobnie o rafy Włpole'a w miesiąc lub dwa po wyruszeniu wyprawy. Nie zostało najmniejszego śladu po Argonautach⁹³, żadne echo nie doszło z morskiego pustkowia. *Finis!*⁹⁴ Pacyfik jest najdyskretniejszy z żywych, gwałtownych oceanów; zimny Antarktyk umie także dochować tajemnicy, ale raczej na modłę grobu.

W takiej dyskrecji leży poczucie błogosławionego kresu i wszyscy godzimy się na to, że tak jest, mniej lub więcej szczerze, bo przecież to właśnie czyni nam znośną myśl o śmierci. Koniec! *Finis!* Potężne słowo, egzorcyzm, który wypędza z domu życia, nawiedzające nas widmo losu. Tego mi właśnie brak mimo świadectwa własnych oczu i gorliwych zapewnień Jima, gdy rozpamiętuję jego powodzenie. Zapewne, tam gdzie jest życie, jest też nadzieja, lecz i niepokój zarazem. Nie chcę przez to powiedzieć, że żałuję swego postępku albo że pamięć o nim nie daje mi spać po nocach; a jednak narzuca mi się refleksja, iż Jim przejął się tak bardzo swą hańbą, kiedy przecież tylko wina ma znaczenie. Nie był dla mnie wcale przejrzysty, że się tak wyrażę. A podejrzewam, że sam dla siebie także przejrzysty nie był. Dostrzegałem w nim szlachetną wrażliwość, szlachetne uczucia, szlachetne tęsknoty, coś w rodzaju wysubtelnionego, podniosłego samolubstwa. Był — pozwólcie mi się tak wyrazić — bardzo szlachetny i bardzo nieszczęśliwy. Nieco pospolitsza natura nie byłaby wytrzymała tej próby; byłaby musiała się z sobą pogodzić z westchnieniem, z mruknięciem lub nawet z wybuchem śmiechu; a jeszcze pospolitszy człowiek pozostałby nietknięty skutkiem swojej tępoty i wcale by nas nie interesował.

Ale Jim był zbyt zajmujący lub zbyt nieszczęśliwy, aby go rzucić na pożarcie psom lub choćby Chesterowi. Czulem to, siedząc z głową pochyloną nad papierem, podczas gdy zmagał się z sobą tam, w moim pokoju, i dyszał, walcząc ukradkiem o oddech z okropnym wysiłkiem; czulem to, gdy wybiegł na werandę, jakby się chciał z niej rzucić, czego jednak nie zrobił: i czulem to coraz wyraźniej przez cały czas, kiedy stał tam na tle ciemności, oświetlony słabym blaskiem świecy, niby na brzegu mrocznego i beznadziejnego morza.

Rozległ się nagły, głośny łoskot; podniosłem głowę. Grom potoczył się dalej, gdy raptem badawcze, gwałtowne światło padło na ślepe oblicze nocy. Przeciągłe i olśniewające migotanie zdawało się trwać w nieskończoność. Warkot grzmotu wzmagął się stale, a ja patrzyłem na Jima, który stał niewzruszenie na brzegu morza jasności, wyraźny i czarny. W chwili gdy blask rozjarzył się najjaskrawiej, mrok przyskoczył na powrót z potężnie wzmożonym hukiem, a Jim znikł mi sprzed olśnionych oczu tak zupełnie, jakby go rozrwało na strzępy. Wionęło burzliwe westchnienie; jakieś wściekle ręce zdawały się targać krzakami, zatrząskiwac drzwi, tłuc okna wzdłuż frontu całego gmachu. Jim cofnął się do pokoju, zamykając drzwi za sobą, i zastał mnie schyłego nad stołem; nie miałem pojęcia, co powie, i ogarnął mnie nagle wielki niepokój, bardzo podobny do strachu.

— Czy mogę pana prosić o papierosa? — zapytał.

Podsunałem mu pudełko, nie podnosząc głowy.

— Chce mi się... chce mi się palić — wymamrotał.

Ulżyło mi niezmiernie na sercu.

— Zaraz, zaraz — mruknąłem uprzejmie.

Przeszedł kilka kroków tam i z powrotem. Usłyszałem, że mówi:

— Skończyło się.

Odległy grzmot doszedł nas od strony morza jak wystrzał armatni na alarm.

— Muson⁹⁵ zaczyna się wczesnie w tym roku — zauważył Jim swobodnie, gdzieś za moimi plecami. To mnie zachęciło do odwrócenia się, co uczyniłem po zaadresowaniu ostatniej koperty. Palił chciwie, stojąc na środku pokoju, i choć usłyszał mój ruch, stał jeszcze przez jakiś czas odwrócony plecami.

— No, zniósłem to wcale nieźle — rzekł, obracając się nagle. — Wyrównałem część długu... niewielką. Ciekaw jestem, co będzie dalej. — Twarz jego nie zdradzała żadnego wzruszenia, tylko robiła wrażenie nieco ciemniejszej i nabrzmiałej, jak gdyby powstrzymywał oddech. Uśmiechnął się, rzekłbyś, niechętnie i ciągnął dalej, podczas gdy patrzyłem na niego, milcząc: — W każdym razie, dziękuję panu... Pański pokój jest... bardzo

⁹³*Argonauci* (mit. gr.) — uczestnicy wyprawy na statku Argo do Kolchidy po złote runo. [przypis edytorski]

⁹⁴*finis* (łac.) — koniec. [przypis edytorski]

⁹⁵*muson* — dziś popr.: *monsun*, wiatr sezonowo zmieniający kierunek, występujący u pld. i wsch. wybrzeży Azji; w lecie wieje od morza w stronę lądu, przynosząc deszcze. [przypis edytorski]

dogodny... dla człowieka... który podle się czuje... — Deszcz chlapał i syczał w ogrodzie; rynna (musiała być dziurawa) tuż za oknem przedrzeźniała rozpaczliwe łkania wśród bulgoczącego lamentu i zabawnych szlochów, przerywanych nagłymi chwilami milczenia. — Miałem się gdzie schronić — wymamrotał Jim i zamilkł.

Zygzak spłowiełej błyskawicy wpadł przez czarne ramy okien i odpłynął bez szmeru. Rozmyślałem, w jaki sposób mam się do Jima zbliżyć (nie miałem ochoty, aby znów mnie odepchnął), kiedy zaśmiał się z lekka.

— Jestem teraz po prostu włóczęgą — koniec papierosa dymił między jego palcami — bez... bez żadnego... — wyrzekł powoli — a jednak... — Urwał; deszcz lunął z podwójną gwałtownością. — Przyjdzie dzień, kiedy nadarzy mi się sposobność znów wszystko odzyskać. Musi przyjść! — szepnął wyraźnie z oczami wlepionymi w moje trzewiki.

Nie wiedziałem nawet, co pragnął tak bardzo odzyskać, czego mu tak strasznie brakowało. Było to może zbyt ważne, aby dało się wypowiedzieć. Kawalek oślejskiej skóry, według Chestera... Jim spojrzał na mnie badawczo.

— Może i przyjdzie, jeśli starczy życia — mruknąłem przez zęby z nieuzasadnionym gniewem. — Niech pan zbytnio na to nie liczy.

— Słowo panu daję, mam wrażenie, że nic mi się stać nie może — rzekł tonem ponurego przeświadczenia. — Jeśli mi ta sprawa nie dała rady, to nie ma strachu, aby zabrakło mi czasu na... na wygrzebanie się, i... — Spojrzał w górę.

Przyszło mi nagle na myśl, że to właśnie spomiędzy takich jak on rekrutuje się wielka armia włóczęgów i przybłądów, armia, która schodzi wciąż niżej i niżej poprzez wszystkie rynsztoki świata. Z chwilą kiedy Jim opuści mój pokój, „gdzie mógł się schronić”, zajmie swoje miejsce w szeregach i rozpocznie marsz ku bezdennej otchłani. Przynajmniej ja złudzeń nie miałem; ale nie kto inny, tylko ja właśnie byłem przed chwilą taki przeświadczony o potęgę słów, a teraz bałem się odezwać — jak człowiek, który lęka się poruszyć, aby nie stracić śliskiego oparcia. Dopiero gdy usiłujemy walczyć o istotną potrzebę innego człowieka, dostrzegamy, jak niezrozumiałe, jak chwiejne i mgliste są istoty, które dzielą z nami widok gwiazd i ciepło słońca. Rzekłbyś, iż samotność jest ciężkim i nieodzownym warunkiem istnienia; powłoka z ciała i krwi, na której zatrzymują się nasze oczy, rozplywa się pod wyciągniętą dłonią; pozostaje tylko kapryśny, nieukojojony i nieuchwytny duch, za którym oko nie pójdzie, którego nie ujmie ręka. Trwoga, aby mi się Jim nie wymknął, zamknęła mi usta, bo poczułem nagle z niewytłumaczoną siłą, że jeśli mu pozwolę ujść w ciemność, nigdy sobie tego nie daruję.

— No więc, raz jeszcze panu dziękuję. Pan był, hm, niezwykle... doprawdy, nie ma na to słów!... Niezwykle... I rzeczywiście, nie rozumiem dlaczego. Boję się, że nie jestem panu taki wdzięczny, jakby należało, ale to wszystko spadło na mnie tak brutalnie... Bo w gruncie rzeczy... nawet pan... pan sam... — Zająknął się.

— Możliwe — wtrąciłem. Ściągnął brwi.

— A jednak człowiek jest odpowiedzialny. — Śledził mnie jastrzębim wzrokiem.

— To prawda — odrzekłem.

— No więc, już się z tym uporałem i nie pozwolę rzucić sobie tego w twarz... nie darowałbym nikomu. — Zacisnął pięści.

— Tu odnajduję pana — powiedziałem z uśmiechem, Boże mój, dość smutnym. Spojrzał na mnie groźnie.

— I to już jest moja sprawa — dodał. Wyraz niezłomnego postanowienia zjawiał się na jego twarzy i znikł niby czczy, przelotny cień. Po chwili wyglądał znowu jak miły, zatroskany chłopczyk. Rzucił papierosa. — Do widzenia! — rzekł z nagłym pośpiechem, niby człowiek, który się zagadał, podczas gdy czeka nań pilna robota; potem zaś przez parę sekund stał bez najłżejszego ruchu. Deszcz lał z gwałtownym, nieprzerwanym impetem jak zmiatająca wszystko powódź, z rozpetaną, oszalamiającą wściekłością, która przywodziła na myśl zapadające się mosty, drzewa wyrwane z korzeniami, podmyte góry. Nikt nie mógłby stawić czoła olbrzymiemu, gwałtownemu naporowi wody, rzekłbyś, rozbijającej się w wirach o mętną ciszę, która była naszym niepewnym schronieniem jak wyspa. Dziurawa rynna bulgotała, krztusiła się, pluła, pluskała wstrętne i śmiesznie niby pływak walczący o życie.

Deszcz

Upadek

Samotność, Kondycja
ludzka

Deszcz

— Deszcz leje — tłumaczyłem mu — a ja...
— Czy leje, czy nie — zaczął szorstko, urwał i podszedł do okna. — Istny potop — mruknął po chwili; oparł czoło o szybę. — I ciemno jest także.
— Tak, bardzo ciemno — rzekłem.
Obrócił się na pięcie, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi prowadzące na korytarz, nim zdążyłem zerwać się z krzesła.
— Czekał pan — krzyknąłem — chciałem pana...
— Nie mogę dziś być u pana na obiedzie — rzucił mi, stojąc już jedną nogą za drzwiami.
— Nie mam najmniejszego zamiaru pana zapraszać — zawołałem.
Cofnął na to nogę zza progu, lecz zatrzymał się we drzwiach podejrzliwie. Z całą powagą jałem mu perswadować, aby przestał się zachowywać jak narwaniec; poprosiłem go, aby wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Zdecydował się w końcu zawrócić, ale sądzę, że głównie deszcz się do tego przyczynił; lał wtedy właśnie z niszczącą siłą, która uspokajała się stopniowo podczas naszej rozmowy. Jim zachowywał się bardzo spokojnie i poprawnie; wyglądał teraz na małowinnego człowieka opanowanego przez jakąś myśl. Mówiłem mu o materialnej stronie jego położenia, a wyłącznym moim celem było uratowanie go od upadku, zguby i rozpacz, które tam, na Wschodzie, opanowują tak szybko samotnych, bezdomnych ludzi; rozumowałem logicznie, namawiając go, aby przyjął moją pomoc, a za każdym razem, gdy zdarzyło mi się spojrzeć na jego skupioną, łagodną twarz, tak młodzieńczą i pełną powagi, ogarniało mnie niepokojące uczucie, że nie jestem mu pomocą, a raczej przeszkadzam jego zranionej duszy w jakimś tajemniczym, niewytłumaczonym, nieuchwytnym wysiłku.

— Przypuszczam, że pan zamierza jeść i pić, i spać pod dachem jak zwykle — rzekłem wreszcie z rozdrażnieniem. — Pan przecież mówi, że pan nie tknie należących się panu pieniędzy. — Uczynił gest, który jak na człowieka opanowanego, był oznaką silnej odrazy. (Należała mu się pensja za trzy tygodnie i pięć dni jako oficerowi z „Patny”). — No tak, to jest zbyt mała suma, aby mogła mieć jakieś znaczenie; ale co pan zrobi jutro? Dokąd pan się obróci? Trzeba przecież żyć...

— To nie o to chodzi — wyrwało mu się szeptem.

Pominałem milczeniem jego słowa i w dalszym ciągu walczyłem z tym, co uważałem za skrupuły przesadnej delikatności.

— Ze wszelkich względów — zakończyłem — musi pan przyjąć moją pomoc.

— Pan mi pomoc nie może — rzekł bardzo prosto i bardzo łagodnie, pochłonięty jakąś głęboką myślą, której przebłyski dostrzegałem niby sadzawkę lśniąca w mroku, myśląc ze zniechęceniem, że nigdy się do niej nie zbliżę na tyle, aby ją zgłębić.

Patrzyłem na jego harmonijną postać.

— W każdym razie — rzekłem — mogę przyjść z pomocą tej części pana osoby, która jest widzialna. Nie twierdzę, że zrobię coś więcej.

Potrząsnął głową z niedowierzaniem, nie patrząc na mnie.

Zapałałem się coraz bardziej.

— Otóż właśnie, że mogę panu pomóc. Mogę nawet zrobić jeszcze więcej. I *zrobię* to. Ja panu ufam...

— Te pieniądze... — zaczął.

— Słowo daję, zasługuje pan na to, żeby pana posłać do wszystkich diabłów! — krzyknąłem z przesadzonym oburzeniem. Zaskoczyło go to; uśmiechnął się, a ja nacierałem w dalszym ciągu. — Tu wcale nie chodzi o pieniądze. Pan jest zbyt powierzchowny — rzekłem (a w tej samej chwili myślałem sobie: „Aha, tum cię czekał! A może i jest zbyt powierzchowny — mimo wszystko”). — Niech pan spojrzy na ten list, który pan ma zabrać. Piszę tu do człowieka, którego nigdy o nic nie prosiłem; piszę o panu w takich słowach, jakich ośmielamy się użyć, mówiąc tylko o bliskim przyjacielu. W tym liście ni mniej, ni więcej biorę na siebie bezwzględna odpowiedzialność za pana. I doprawdy, jeśli pan tylko zastanowi się trochę, co to znaczy...

Podniósł głowę. Deszcz już minął; tylko rynna za oknem wciąż jeszcze wylewała idiotyczne lzy: kap, kap. W pokoju panował wielki spokój; cienie przycupnęły po kątach, daleko od cichego płomienia świecy, który jaśniał prostopadle w kształcie miecza. Wydawało mi się po chwili, że odbłask łagodnego światła zalewa twarz Jima, jakby świt już się był zaczął.

— Boże mój! — wyszeptał. — Jaki pan szlachetny!

Nie czułbym się bardziej upokorzony, gdyby mi nagle pokazał język. „Dobrze ci tak, podlizujący się blagierze!” — powiedziałem do siebie. Jim patrzył na mnie jaśniejącymi oczami, ale spostrzegłem, że blask ich nie był szyderczy. Ogarnęło go w mig gorączkowe wzburzenie; przypominał płaskiego drewnianego pajaca wprawianego w ruch za pomocą sznurka. Podniósł ramiona i opuścił, trzepnąwszy rękami o uda. Stał się zupełnie innym człowiekiem.

— A ja wcale nie rozumiałem! — krzyknął; nagle zagryzł wargi i zmarszczył się. — Co za osioł ze mnie — rzekł bardzo wolno z lękiem. — Na pana to można liczyć — zawołał stłumionym głosem. Porwał mnie za rękę, jakby ją ujrzał po raz pierwszy, i puścił ją natychmiast. — Jak to! Przecież to jest właśnie to, czego ja... pan... ja... — zająknął się i zaczął mówić niezręcznie z nawrotem dawnego, tępego uporu: — Byłbym teraz bydlęciami, gdybym... — Głos mu się załamał.

— Tak, tak, rozumiem — rzekłem. Byłem prawie zaniepokojony tym wybuchem uczuć, z których przebijało dziwne uniesienie. Pociągnąłem przypadkowo za sznurek; nie rozumiałem dokładnie mechanizmu zabawki.

— Teraz już muszę iść — powiedział. — Mój Boże, pan naprawdę mi pomógł! Nie mogę usiedzieć w miejscu. To jest właśnie to, czego mi było trzeba! — spojrzął na mnie ze zdumieniem i podziwem. — Właśnie to...

Tak, tego właśnie było mu trzeba. Z całym prawdopodobieństwem ocaliłem go od głodu, od tego rodzaju głodu, który jest prawie nieuchronnie związany z pijaństwem. I to wszystko. Nie miałem pod tym względem żadnych złudzeń, ale patrząc na Jima, zadawałem sobie pytanie, jakiego rodzaju złudzenie zawiązało nim tak widocznie w ciągu tych trzech ostatnich minut? Podsunąłem mu sposobność do prowadzenia w dalszym ciągu przyzwoitego życia, do poważnej pracy, do zarabiania w zwykły sposób na jedzenie, picie, dach nad głową — w chwili gdy jego zraniony duch, jak ptak o przetrąconym skrzydle, byłby się zawlókł, trzepocząc, do jakiejś nory, aby zamrzeć tam spokojnie z wyczerpania. Narzuciłem mu rzecz drobną bezwzględnie; i — patrzcie! przyjął ją w taki sposób, że zamajaczyła w mętym świetle świecy jak wielki cień, niewyraźny, a może i niebezpieczny.

— Pan mi nie bierze za złe, że nie wypowiadam tego, co należałoby panu powiedzieć — wybuchnął — ale mi brak słów. Już wczoraj wieczorem wyświadczył mi pan nieskończenie wiele dobrego — słuchając mnie — pan to na pewno rozumie. Daję panu na to słowo, myślałem nieraz, że głowa mi się rozleci w kawałki...

Rzucał się dosłownie tu i tam po pokoju, wpychał ręce do kieszeni, wyszarpywał je znów, wsadził z rozmachem czapkę na głowę. Nie miałem pojęcia, że potrafi być taki lekki i żwawy. Przyszedł mi na myśl suchy liść wirujący w wietrze i tajemniczy niepokój, ciężar nieokreślonego zwątpienia przygwoździł mnie do krzesła. Nagle Jim stanął jak wryty, rzekłbyś, skamieniał wskutek jakiegoś dokonanego odkrycia.

— Pan mi zaufa! — oświadczył z prostotą.

— Na miłość boską, dosyć tego, kochany chłopcze! — błagałem, jak gdyby mnie uraził.

— Dobrze. Będę milczał, i teraz, i zawsze. Ale myśleć mi pan zabronić nie może... Wszystko jedno! Ja jeszcze dowiodę... — Podszedł śpiesznie do drzwi, zatrzymał się ze spuszczoną głową i wrócił, stąpając powoli. — Myślałem zawsze, że gdyby było można zacząć wszystko na nowo, od czystej karty... A teraz pan... do pewnego stopnia... tak... od czystej karty.

Kiwnąłem mu przyjaźnie ręką i odszedł, nie oglądając się więcej. Odgłos jego kroków zamarł stopniowo za zamkniętymi drzwiami; był to pewny krok człowieka stąpającego w jasnym świetle dnia.

Ja zaś pozostałem naprzeciw samotnej świecy i wszystko wydało mi się dziwnie niejasne. Nie byłem już dość młody, aby na każdym kroku, który czynimy w dobrym czy złym

Los

kierunku, dostrzegać wspaniałość towarzyszącą naszym błahym poczynaniom. Uśmiechnąłem się na myśl, że właściwie z nas dwóch on jest tym, który nie odczuwa braku światła. I ogarnął mnie smutek. Zacząć od czystej karty, tak powiedział? Jak gdyby rozstrzygające słowo o losie każdego z nas nie było już wyryte na obliczu skały niezniszczalnymi zgłoskami.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

W sześć miesięcy później dostałem list od mego przyjaciela, który posiadał łuszczarnię ryżu (był to kawaler w więcej niż średnim wieku, cynik o reputacji dziwaka); poleciłem mu Jima bardzo gorąco, więc też chciał mi zrobić przyjemność i rozwodził się szeroko o jego doskonałościach. Jim posiadał zalety, które się nie rzucały w oczy, ale były niezawodne. Przyjaciel mój pisał:

„Nie mogłem dotychczas zdobyć się na nic więcej ponad zrezygnowaną pobłażliwość dla przedstawicieli rodzaju ludzkiego i dlatego mieszkalem samotnie w domu, który nawet w tym parnym klimacie można uważać za zbyt obszerny dla jednego człowieka. Już od jakiegoś czasu prosiłem Jima, aby ze mną zamieszkał. Zdaje mi się, że robiąc mu tę propozycję, postąpiłem właściwie”.

Czytając ten list, odniosłem wrażenie, iż mój przyjaciel znalazł w swym sercu coś więcej niż wyrozumiałość dla Jima, że to był początek istotnego przywiązania. Oczywiście wyjaśniał mi w charakterystyczny dla siebie sposób przyczyny tego uczucia. Po pierwsze, Jim w tamtym klimacie nie tracił wcale na świeżości.

„Gdyby był młodą panną — pisał mój przyjaciel — można by powiedzieć, że kwitnie, kwitnie skromnie jak fiołek, nie zaś jak niektóre z tych jaskrawych kwiatów podzwrotnikowych. Jest już u mnie w domu od sześciu tygodni, a dotychczas ani razu nie usiłował poklepać mnie po plecach albo powiedzieć do mnie »mój stary«, albo dać mi odczuć, że jestem przedpotopowym wykopaliskiem. Nie ma w nim ani trochę nieznośnej gadatliwości młodego chłopca. Odznacza się miłym charakterem, niewiele ma do powiedzenia i Bogu dzięki wcale nie jest sprytny”.

Zdaje się jednak, że Jim był dość sprytny na to, aby przejawiać w spokojny sposób uznanie dla dowcipu gospodarza, z drugiej zaś strony bawił go swą naiwnością.

„Życie jeszcze z niego nie starło puchu, a odkąd miałem szczęśliwą myśl, aby dać mu pokój w swym domu i zaprosić go do stołu, czuję się sam odświeżony. Któregoś dnia przyszło mu do głowy przejść przez pokój po prostu w tym celu, żeby otworzyć przede mną drzwi; już od lat nie czułem się tak blisko zespolony z ludzkością. Czy to nie śmieszne? Domyślam się naturalnie, że on ma coś poza sobą, jakąś okropnie przykrą historię, o której ty wiesz wszystko; ale gdybym nawet był pewny, że to coś szkaradnego, sądzę, że można by mu to wybaczyć. Co się mnie tyczy, oświadczam, że nie umiem sobie wyobrazić, aby popełnił coś gorszego od obrabowania sadu. Czy to coś *daleko* gorszego? Może powinienes mi być o tym powiedzieć; ale upłynęło już wiele lat, odkąd staliśmy się obaj świętymi, i mogłeś zapomnieć, że i my także grzeszyliśmy w swoim czasie. Przyjdzie pewno dzień, kiedy będę musiał o to zapytać, a wówczas liczę na to, że mi odpowiesz. Nie chciałbym go sam wypytywać, póki nie mam pojęcia, co to takiego. Zresztą jest jeszcze za wcześnie. Niech jeszcze parę razy drzwi przede mną otworzy...”

Tyle co do mego przyjaciela. Ucieszyłem się potrójnie: z obiecującego sprawowania się Jima, z tonu listu, z mej własnej przemyślności. Wiedziałem widać, co robię. Umiałem przejrzeć na wskroś charaktery tych ludzi — i tak dalej. A może wyniknie stąd jakaś rzecz niespodziana i cudowna? Owego wieczoru, spoczywając na leżaku pod płóciennym dachem na rufie mego statku, było to w porcie Hong-kong, położyłem kamień węgielny pod zamek na lodzie — na intencję Jima.

Odbyłem podróż na północ, a po powrocie zastałem znów czekający na mnie list od przyjaciela. Otworzyłem go natychmiast.

„Nie brakuje mi łyżeczek, o ile wiem — brzmiały pierwsze słowa — za mało mnie to interesuje, aby sprawdzać. Jim odszedł, zostawiając na stole zastawionym do śniadania banalną kartkę z przeprosinami, która jest albo głupia, albo bez serca. Prawdopodobnie i jedno, i drugie, co mnie nic nie obchodzi. Pozwól sobie powiedzieć na wypadek, gdybyś miał w zapasie więcej takich tajemniczych młodzieńców, że skończyłem z tym

Samotnik

bezwzględnie i raz na zawsze. To już ostatnie dziwactwo, jakie mam na sumieniu. Nie wyobrażaj sobie przypadkiem, aby mnie to obeszło, ale jego partnerzy z tenisa bardzo żałują, że go już nie ma; przez wzgląd na siebie samego musiałem opowiedzieć w klubie jakieś prawdopodobne kłamstwo...”

Rzuciłem list i zacząłem grzebać w stosie kopert na stole, póki nie natrafiłem na pismo Jima. Czy dacie wiarę? Wydarzyła się jedna możliwość na sto! Ale zawsze się ta setna wydarzy. Otóż ów mały drugi mechanik z „Patny” zjawił się tam w dość oplakany stan i dostał w luszczarni chwilowe zajęcie przy pilnowaniu maszyn.

„Nie mogłem znieść poufałości tego lajdaka — pisał do mnie Jim z portu położonego siedemset mil na południe od miejsca, gdzie powinien być się czuć jak w raj. — Jestem chwilowo w firmie Egström i Blake, dostawców okrętowych, jako ich, no, po prostu goniec, nazywając rzecz po imieniu. Powołałem się na pana, gdyż znają pana oczywiście, a gdyby pan zechciał do nich słówko o mnie napisać, zatrzymaliby mnie na stałe”.

Uczułem się zmiażdżony pod ruinami mego zamku, ale naturalnie napisałem list, którego Jim żądał. Przed końcem roku nowy kontrakt zaprowadził mnie w tamte strony i miałem znów sposobność zobaczyć się z Jimem.

Był jeszcze ciągle w firmie Egström i Blake; spotkaliśmy się w tak zwanym „salonie”, którego drzwi wychodziły na sklep. Jim wrócił był właśnie z wyprawy na jakiś okręt i stanął przede mną ze spuszczoną głową, gotów do walki.

— Co pan ma na swoje usprawiedliwienie? — zacząłem natychmiast po przywitaniu.

— To, co panu napisałem, nic więcej — rzekł z uporem.

— Tamten drań wypaplał czy co? — zapytałem.

Jim spojrział na mnie z niepewnym uśmiechem.

— Ach nie, nic podobnego. Ale uważał, że jesteśmy związani czymś w rodzaju poufnego porozumienia. Przybierał wściekle tajemniczą minę za każdym razem, kiedy przyszedł do młyna, i mrugał do mnie z szacunkiem, jakby chciał powiedzieć: „Już co my wiemy, to wiemy”. Łasił się z ohydą poufałością, i tak dalej. — Jim rzucił się na krzesło, patrząc na swoje nogi. — Zdarzyło się raz, że zostaliśmy sami, i ten człowiek miał bezczelność mi powiedzieć: „No, panie James (nazywano mnie tam panem Jamesem, jakbym był synem domu), znowuśmy się zesłi. Lepiej tu niż na tamtym starym statku, co?” Czyż to nie było okropne? Spojrzałem na niego, a on przybrał znaczącą minę. „Niechże pan będzie spokojny — mówił dalej — ja od razu poznaję prawdziwego pana, dość mi raz spojrzeć, i wiem także, co prawdziwy pan czuje. Ale mam nadzieję, że pan mnie zatrzyma tu, przy tej robocie. Ja też przeszedłem porządne cięgi po awanturze o tę starą, parszywą »Patnę«”. To było straszne — ciągnął Jim. — Nie wiem, co bym był wówczas powiedział lub zrobił, gdyby pan Denver nie zawołał na mnie z korytarza. Podano właśnie drugie śniadanie. Przeszliśmy razem przez dziedziniec i ogród do willi. Zaczął żartować ze mnie w swój miły sposób... Zdaje mi się, że mnie lubił...

Zamilkł na chwilę.

— Wiem, że mnie lubił. Właśnie dlatego było to takie ciężkie. To taki zacny człowiek! Tego rana wziął mnie pod rękę... On się też odnosił do mnie z poufałością. — Jim zaśmiał się krótko i opuścił głowę na piersi. — Brr! Kiedy sobie przypomnę, jak ten podły wyskrobek do mnie mówił... — zaczął znów drżącym głosem. — Nie mogłem znieść siebie po prostu... Pan mnie chyba rozumie... — Skinąłem głową. — Pan Denver był dla mnie jak ojciec! — krzyknął; głos mu się załamał. — Byłbym musiał mu powiedzieć. Nie mogłem pozwolić, aby to dłużej trwało, niech pan sam powie.

— No więc? — szepnąłem po chwili.

— Wołałem odejść — rzekł z wolna — trzeba na tym położyć krzyżyk.

Słychać było, jak Blake wymawiał coś w sklepie Egströmowi obelżywym, podniesionym tonem. Byli w spółce od wielu lat i co dzień, od chwili otwarcia sklepu aż do ostatniej minuty przed zamknięciem, Blake, mały człowieczek o gładkich włosach, czarnych jak dżet, i smutnych, krągłych oczach, nie przestawał wymyślać swemu spółnikowi z pewnego rodzaju pogardliwą i żalną wściekłością. Hałas nieustannego łajania był czymś tak nierozłącznym ze sklepem, że niemal należał do inwentarza; nawet obcy ludzie wnet przestawali na to zwracać uwagę, czasem tylko ktoś mruknął: „A to piła”, lub wstał nagle i zamknął drzwi od „salonu”. Sam Egström, wychudły, ociężały Skandynaw o olbrzymich jasnych bokobrodach, wiecznie czymś zajęty, wydawał polecenia, sprawdzał paczki,

wystawiał rachunki lub pisał listy w sklepie, stojąc przy pulpicie, i w ogóle zachowywał się w tym hałasie niby człowiek głuchy jak pień. Od czasu do czasu wyrzucał z siebie machinalnie „szysz” udręczonym tonem; nie wywierało to żadnego skutku, którego się też nikt nie spodziewał.

— Bardzo tu są przywoici w stosunku do mnie — rzekł Jim. — Blake trochę jest ordynarny, ale Egström to przywoity facet. — Podniósł się szybko i podszedł miarowym krokiem do teleskopu, który stał na trójnogu, zwrócony w stronę przystani. Przytknął do niego oko. — Oto właśnie ten statek, który od samego rana był unieruchomiony przez ciszę; dostał teraz wiatru i wjeżdża do portu — rzekł cierpliwie. — Muszę jechać na jego spotkanie.

Uścisnęliśmy sobie ręce w milczeniu i Jim zwrócił się ku drzwiom.

— Jimie! — krzyknąłem. Obejrzał się z ręką na kłamce. — Pan... pan... to tak, jakbyś pan odrzucił majątek!

Wrócił do mnie ode drzwi.

— Taki kochany staruszek — rzekł. — Jakże ja mogłem? Jak mogłem... — Wargi mu drgnęły. — *Tutaj* to jest mi wszystko jedno.

— Doprawdy, pan jest... — zacząłem i szukałem odpowiedniego słowa, ale nim sobie zdałem sprawę, że nie ma wyrazu, który by się tu nadał, Jima już nie było.

Doszedł mnie głęboki, łagodny głos Egströma mówiący wesoło:

— To „Sarah W. Granger”, Jimmy. Niech pan się postara dostać pierwszy na pokład.

Zaraz potem wtrącił się Blake, skrzeczając jak wściekłe kakadu:

— Powiedz pan kapitanowi, że mamy tu dla niego trochę listów. Weźmie się na to. Słyszysz pan, panie tego?

A Jim odpowiedział Egströmowi chłopięcym tonem:

— Dobrze, dobrze. Będzie to wyścig, co się zowie.

Miałem wrażenie, że Jim szuka pociechy w żeglarskich funkcjach swego marnego zawodu.

Nie zobaczyłem go już podczas tej podróży, ale gdy przejeżdżałem następnym razem (miałem kontrakt sześciomiesięczny), poszedłem znów do sklepu. Już z odległości dziesięciu jardów⁹⁶ doszło mnie wymyślanie Blake'a; gdym wszedł, rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie, a Egström, cały w uśmiechach, zbliżył się, wyciągając wielką kościstą rękę.

— Jakże mi miło pana widzieć, kapitanie... szysz... Tak też sobie myślałem, że pan będzie musiał tędy wracać. Co pan kapitan mówi? Szysz... Aha, o niego panu chodzi? Opuścił nas. Niechże kapitan pozwoli do salonu... — Po zatrzaśnięciu drzwi wyjęzony głos Blake'a osłabł i wydał się głosem człowieka wymyślającego rozpaczliwie na puszczy. — Naraził nas przy tym na okropne kłopoty. Muszę powiedzieć, że brzydko sobie względem nas postąpił...

— Dokądże on pojechał? Nie wie pan? — zapytałem.

— Nie. I nie warto pytać — rzekł Skandynaw o bujnych bokobrodach, stojąc przede mną uprzejmie z rękoma dyndającymi niezgrabnie u boków; cienki srebrny łańcuszek od zegarka zwisał nisko na jego pofałdowanej kamizelce z granatowego szewiotu⁹⁷. — Tacy jak on nie jeżdżą w żadnym określonym kierunku. — Zbyt mnie obeszła usłyszana wiadomość, toteż nie zapytałem, co Egström ma właściwie na myśli, a on ciągnął dalej: — Opuścił nas... zaraz, niech sobie przypomnę... w dzień przyjazdu parowca wiozącego pielgrzymów wracających z Morza Czerwonego; śruba okrętowa miała dwa skrzydła złamane. Tak; trzy tygodnie temu.

— Czy nie było wówczas mowy o wypadku z „Patną”? — zapytałem, tknięty najgorszym przeczuciem.

Wzdrygnął się i spojrział na mnie, jakbym był czarownikiem.

— Ależ tak! Skąd pan wie o tym? Kilku ludzi rozmawiało tu właśnie na ten temat. Było między nimi paru kapitanów, kierownik portowych warsztatów reperacyjnych Vanloo'a, jeszcze dwóch czy trzech innych ludzi, no i ja. Jim był tu także, jadł właśnie sandwicz i popijał piwem; bo widzi pan, panie kapitanie, kiedy wre roboty, to nie ma

⁹⁶jard — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

⁹⁷szewiot — rodzaj wełnianej tkaniny. [przypis edytorski]

czasu na porządny posiłek. Stał przy tym oto stole i jadł, a my wszyscy obścapiłiśmy teleskop, przyglądając się wjazdowi parowca; od słowa do słowa, kierownik warsztatów zaczął mówić o kapitanie „Patny”; naprawiał coś tam kiedyś dla niego. Potem rozpowiadał nam, jakie to było stare pudło, ta „Patna”, i ile z niej wyciągnęli pieniędzy. Wspomniał o jej ostatniej podróży, a potem już wszyscyśmy dokładali swoje. Jedni mówili to, drudzy owo, nie gadaliśmy znów tak wiele, to samo, co by pan albo każdy inny człowiek powiedział; było też trochę śmiechu. Kapitan O’Brien ze statku „Sarah W. Granger”, wielki, hałaśliwy starzec, siedział w tym oto fotelu z laską w rękę, przysłuchując się nam; nagle stuknął kijem w podłogę i krzyknął: „Tchórze!” Podskoczyliśmy wszyscy. Kierownik warsztatów mruga na nas i mówi: „O cóż panu chodzi, panie kapitanie?” „Chodzi, chodzi! — zaczął krzyzczeć stary. — Z czegoż wy się śmiejecie, dzikusy? To nie jest żaden powód do śmiechu. To hańba dla ludzkiego rodu, ot co! Tfu, nie chciałbym się znaleźć w pokoju z którymsz z tych ludzi. Tak, mój panie!” Zdawało mi się, że oczy nasze się spotkały i musiałem przez grzeczność coś odpowiedzieć. „Tchórze — mówię — no tak, naturalnie, panie kapitanie, i ja sam nie chciałbym żadnego z nich mieć u siebie, więc też pan jest zupełnie w tym pokoju bezpieczny. Niechże się pan napije czegoś chłodnego”. „Dajże mi pan pokój, do diabła — mówi z błyskiem w oczach — kiedy mi się zechce pić, to sam krzyknę, żeby mi co dali. Idę sobie. Śmierdzi mi tutaj”. Wszyscy inni wybuchnęli na to śmiechem i dalej wychodzić za starym. A wówczas, panie kapitanie, ten szelma Jim odkłada sandwicz, który trzymał w rękę, obchodzi stół naokoło i zbliża się do mnie. Na stole stała jego szklanka piwa, pełniutka, dopiero co nalana. „Odchodzę” — mówi ot tak sobie, po prostu. „Nie ma jeszcze wół do drugiej — odpowiadam — zdąży pan wypalić papierosa”. Myślałem, że czas mu iść do roboty. Kiedy zrozumiałem wreszcie, o co mu chodzi, ręce mi opadły, o tak! Rozumie pan, panie kapitanie, takiego człowieka to się co dzień nie znajduje; prawdziwy diabeł w prowadzeniu żagłówki, gotów był wypłynąć kilka mil na morze o każdej pogodzie, żeby spotkać okręt. Nie raz i nie dwa różni kapitanowie przychodzili tu do mnie okropnie tym przejęci i zaraz tak zaczynali: „Panie Egström, cóż to za nieustraszone szalenie z tego pańskiego subiekta⁹⁸! Wymacywałem drogę o świcie pod skróconymi żaglami, kiedy raptem wylatuje z mgły tuż pod zagięcie dziobu łódka na wół zalana wodą, wśród bryzgów górujących nad masztem, z dwoma struchlałymi Negrami⁹⁹ na belkach dna i wrzeszczącym czartem u sternicy: »Hej, hej! Tam na statku! Hej, hej! Kapitanie! Tu firma Egström i Blake pierwsza pana wita! Hej, hej! Egström i Blake! Halo! Hej! Hu, hu, hu!« Daje kopniaka Negrom, skraca żagle, jednocześnie uderza szkwał, a ten wariat pędzi, okrzykując się, ku dziobowi i wrzeszczy, abym dodał żagli, to on mnie wprowadzi do portu, istny diabeł, nie człowiek. Nigdy w życiu nie widziałem, aby kto tak łódź prowadził. Chyba nie mógł być pijany, co? Taki spokojny chłopak, mówił takim cichym głosem, kiedy się dostał na pokład, a czerwienił się jak dziewczyna...” Mówię panu, panie kapitanie, nikt nie mógł Jima ubiec, kiedy chodziło o zdobycie dla nas nowego statku. Inni dostawcy okrętowi zachowywali tylko po prostu swych dawnych klientów, i...

Wzruszenie przygniotło Egströma.

— Doprawdy, zdawało się, że nie wahałby się puścić ze sto mil na morze w starym bucie, byle tylko capnąć statek dla firmy. Gdyby interes był jego własny i chodziło o wyrobienie sobie klienteli na samym początku, nie mógłby się zdobyć na więcej. A teraz... nagle... w taki sposób! Pomyślałem sobie: „Oho! chce wyśrubować pensję, o to mu chodzi z pewnością”. „Dobrze, Jimmy — mówię — ale po co te wszystkie termedia¹⁰⁰? Niech pan wymieni po prostu cyfrę¹⁰¹. Byle nie przesadzoną”. Spojrzał na mnie, jakby chciał przełknąć coś, co mu utkwilo w gardle. „Nie mogę tu zostać”. „Cóż to za kawał, u licha?” — pytam. Potrząsnął głową i widziałem po jego oczach, panie kapitanie, że już tak, jakby go nie było. Więc jak ja na niego nie wsiądę — nawymyślałem mu, ile wlezie. „Od czegożże uciekasz, człowieku? — pytam. — Kto cię skrzywdził? Co cię stąd wypławsza? Mniej masz rozsądku niż szczur, bo one nie opuszczają dobrego okrętu. Gdzież się

⁹⁸subiekt (daw.) — człowiek, indywiduum. [przypis edytorski]

⁹⁹Negr (daw., z łac.) — człowiek czarnoskóry, Murzyn; obecnie określenie pogardliwe. [przypis edytorski]

¹⁰⁰termedia (daw.) — zwykle w lm.: skomplikowane zabiegi; awantury. [przypis edytorski]

¹⁰¹cyfra — daw.: liczba (tu: kwota); dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

spodziewasz dostać lepsze miejsce? Ty taki, ty owaki...” Zzieleniał po prostu, słowo daję. „Nasz interes nie zatoni” — powiedziałam. Podskoczył, o, tak. „Żegnam pana — mów, kiwając mi głową jak jaki lord. — Dobry z pana chłop, Egström. Daję panu słowo, gdyby pan znał moje powody, nie chciałby pan mnie mieć u siebie”. „To największe kłamstwo, jakie panu przeszło przez gardło — mówię — wiem lepiej od pana, co bym zrobił”. Tak mnie rozłożył, że zacząłem się śmiać. „Jak to, więc pan nawet nie ma czasu wypić tej szklanki piwa? Et, śmieszny wariat z pana!” Nie mam pojęcia, co go napadło; zdawało się, że nie może trafić do drzwi; mówię panu, panie kapitanie, to było po prostu komiczne. Wziąłem i wypilem sam jego piwo. „No, jeśli panu tak się spieszy, piję za pana zdrowie pańskim własnym piwem — mówię — tylko zapamiętaj pan sobie moje słowa: jeśli pan będzie dalej tak sobie poczyniał, przekona się pan wkrótce, że ziemia jest dla pana za mała, to wszystko”. Rzucił mi ponure spojrzenie i wybiegł z twarzą straszłą jak noc.

Egström prychnął z goryczą i przeczesał jasny bak sękatymi palcami.

— Odtąd nie udało mi się już dostać człowieka, który by był do rzeczy. Nic, tylko same kłopoty i kłopoty... A czy mi wolno zapytać, gdzie pan się z nim spotkał, panie kapitanie?

— Był pomocnikiem na „Patnie” właśnie podczas tamtej podróży — rzekłem, poczuwając się do wyjaśnienia.

Egström zamarł na chwilę z palcami pograżonymi we włosach zaczesanych na bok i wreszcie wybuchnął.

— A kogóż to, u diabła, obchodzi?

— Pewnie, że nikogo — zacząłem.

— I co, u diabła, za ćwieka ma w głowie, żeby tak postępować? — Wepchnął nagle lewy bak do ust i stał w zdumieniu. — A to ci dopiero! — wykrzyknął. — Powiedziałem mu, że wkrótce powierzchni ziemi nie starczy dla jego wybryków!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Opowiedziałem wam szczegółowo te dwa epizody, aby pokazać, jak Jim porał się ze sobą wśród nowych warunków życia. Epizodów w tym rodzaju było dużo, więcej, niżbym mógł zliczyć na palcach obu rąk.

A wszystkie cechowała bezsensowna wzniosłość intencji, nadająca tym blahym zajęciom wruszającą głębię. Może to jest akt prozaicznego bohaterstwa, jeśli człowiek odrzuca powszedni chleb dla zmagania się z upiorem. Robili to już inni przed Jimem — a ludzie, którzy mają chleba w bród i nie boją się, aby im go zabrakło, przyklaskiwali ich szlachetnemu szaleństwu. My, którzyśmy poznali życie, wiemy dobrze, że to nie dusza nawiedzana przez widma, tylko głodne ciało wykoleja człowieka. Jim był naprawdę nieszczęśliwy, bo pomimo swych zapamiętałych wysiłków nie mógł się uwolnić od niesławy. Wątpliwości co do jego odwagi wciąż się ludzi trzymały. Chyba to prawda, że niepodobna pokonać ducha faktu. Można tylko stawić mu czoło lub go unikać, a spotkałem nawet paru ludzi, którzy z prześladowającymi ich widmami żyli w dobrej komitywie. Jim oczywiście nie należał do tej kategorii, ale nie mogłem nigdy ustalić, jak właściwie postępuje: czy unika swego upiora, czy też mu stawia czoło.

Wysiliłem całą swą przenikliwość i przekonałem się tylko, że nie zdołam tego rozstrzygnąć, gdyż odcienie w postępowaniu Jima były zbyt nieuchwytne, takie same zresztą jak różnice w postępowaniu każdego z nas. Mogła to być i ucieczka, i jego metoda walki. Stał się ogólnie znany z tego, że nigdzie miejsca nie zagrzewał, ponieważ ta strona jego sprawy bawiła ludzi; w obrębie swych wędrówek o średnicy, powiedzmy, trzech tysięcy mil zdobył rozgłos tego samego rodzaju co prowincjonalny dziwak, który jest znany w całej okolicy. Na przykład w Bangkoku, gdzie Jim dostał zajęcie u braci Yuckerów, dzierżawców okrętów i handlarzy drzewem tekowym¹⁰² tragiczny był wprost widok tego chłopca, który chodził w słońcu, ukrywając troskliwie swą tajemnicę, znaną nawet kłodom drzewa na rzece. Schomberg, włochaty Alzatzczyk o zachowaniu pełnym męskiej energii, właściciel hotelu, gdzie się Jim stołował, nieposkromiony plotkarz, wałkujący wszystkie skandale miasta, opierał się łokciami o stół i dzielił ulepszoną wersję historii

¹⁰² *drzewo tekowe* — gatunek drzewa podzwrotnikowego używanego m. in. do budowy okrętów, ze względu na fakt, iż słabo wchłania wodę. [przypis edytorski]

o „Patnie” z każdym gościem, który miał ochotę wchłaniać te wiadomości, podlewane co kosztowniejszymi trunkami.

— I niech pan sobie wyobrazi, to najmiłszy w świecie chłopiec — kończył hotelarz wspaniałomyślnie — człowiek ponad zwykłą miarę.

To, że Jim mógł wytrzymać w Bangkoku całe sześć miesięcy, świadczy pochlebnie o przygodnych grupach ludzi odwiedzających zakład Schomberga. Zauważyłem, że lubili go nawet ludzie zupełnie obcy, tak jak się lubi grzeczne dziecko. Obejście Jima było powściągliwe, ale zdawało się, że sam jego wygląd, jego włosy, oczy, uśmiech przyciągają sympatię wszystkich, z którymi się stykał. No i oczywiście nie był wcale głupi. Zygmunt Yucker (rodem z Szwajcarii), łagodny człowieczyna udręczony przez okrutny katar żołądka i tak strasznie kulawy, że głowa jego zakreślała ćwierć koła za każdym krokiem, otóż Zygmunt Yucker oświadczył z uznaniem, co sam słyszałem, że jak na tak młodego człowieka Jim „jest niezwykle zdolny”.

— Dlaczego pan go nie wyśle w głąb kraju — poddałem gorliwie, wiedząc, że bracia Yucker mają tam koncesje i lasy tekowe. — Jeśli on jest tak zdolny, jak pan mówi, połapie się szybko w robocie. I ma po temu wszelkie dane fizyczne, ponieważ ma świetne zdrowie.

— Ach! Nie mieć kataru żołądka to wielka rzecz w tym kraju — westchnął biedny Yucker z zazdrością, zerkając ukradkiem na swój zrujnowany żołądek. Gdy odchodziłem, bębnił palcami po pulpicie i mruczał: „*Es ist eine Idee. Es ist eine Idee*”.¹⁰³

Na nieszczęście tego samego wieczoru wydarzył się w hotelu przykry wypadek.

Nie mogę bardzo potępiać Jima, ale było to doprawdy zajście godne pożałowania. Należało do oplakanej kategorii bójek zdarzających się w barach, a przeciwnikiem Jima był pewien zezowaty Duńczyk, na którego karcie wizytowej pod dziwacznym nazwiskiem widniał tytuł: „Pierwszy oficer królewskiej syjamskiej marynarki”. Ten facet grał w bilard wręcz beznadziejnie, ale sądzę, iż przegrywać nie lubił. Wypił przy tym sporo, tak że po szóstej partii rozzłościł się i rąbnął coś pogardliwie na karb opinii Jima. Większość obecnych nie dosłyszała, co powiedział, a tym, co słyszeli, wypadły jego słowa z pamięci, jakby wypłoszone przez groźne skutki, które natychmiast z tego wynikły. Całe szczęście dla Duńczyka, że umiał pływać, gdyż pokój wychodził na werandę, pod nią zaś płynął Menam¹⁰⁴, bardzo szeroki i czarny. Łódź z Chińczykami, którzy wyruszyli pewno na jakąś złodziejską wyprawę, wyловиła oficera królewskiej syjamskiej marynarki, a Jim zjawił się u mnie na pokładzie około północy, bez kapelusza.

— Zdawało mi się, że wszyscy w pokoju znają moją historię — mówił, jakby zdyszany jeszcze od walki. W zasadzie żałował tego, co zaszło, choć twierdził, że w danych okolicznościach nie pozostawało mu nic innego. Ale przeraził go fakt, iż wszyscy wiedzieli tak dokładnie o jego tajemnicy, jakby ją miał wypisaną na twarzy. Po tym, co się stało, nie mógł naturalnie zostać w Bangkoku. Potępiano go ogólnie za brutalną gwałtowność, tak nieodpowiednią dla człowieka w jego delikatnym położeniu; niektórzy twierdzili, że był wówczas haniebnie pijany, inni znów zarzucali mu brak taktu. Nawet Schomberg był tym bardzo zmartwiony.

— To miły chłopiec — przekładał mi — ale porucznik to także pierwsza klasa. Co wieczór jadał obiad przy moim *table d'hôte*¹⁰⁵, uważa pan. W dodatku złamali mi kij bilardowy. Nie mogę na takie rzeczy pozwalać. Dziś rano poszedłem zaraz przeprosić porucznika i jeśli chodzi o mnie, to zdaje się, że sprawę załagodziłem; ale niech pan tylko pomyśli, panie kapitanie, gdyby każdy zaczął takie hece wyprawiać! Przecież ten człowiek mógł się utopić. A przy tym tu w Bangkoku nie można wybiec w sąsiednią ulicę do sklepu po nowy kij bilardowy. Muszę go wypisać z Europy. Nie, nie! To za gwałtowny temperament! — Temat ten był bardzo dotkliwy dla Schomberga.

To był najprzykrzejszy ze wszystkich wypadków po... po dymisji Jima. Nikt nie bolał nad tym bardziej ode mnie. Wprawdzie słyszałem już raz, jak ktoś powiedział o Jimie, kiedy była o nim mowa: „O tak, wiem, on tu się ciągle wałęsa”, lecz jak dotąd Jim zdołał jakoś uniknąć ciężkich guzów i obrażeń. Tymczasem ostatnie zajście poważnie mnie

¹⁰³*Es ist eine Idee* (niem.) — To jest pomysł. [przypis edytorski]

¹⁰⁴*Menam* — rzeka na Półwyspie Indochińskim, przy której ujściu położony jest Bangkok, stolica Tajlandii (dawniej nazywanej Syjamem). [przypis edytorski]

¹⁰⁵*table d'hôte* (fr.) — dosł.: stół gospodarza; przen.: posiłki podawane w hotelu, pensjonacie itp. wszystkim gościom o ustalonej porze i w stałej cenie. [przypis edytorski]

zaniepokoilo, bo gdyby wskutek niezmierniej swej wrażliwości zaczął się wplątywać w karczemne bijatyki, straciłby opinię niewinnego, choć kłopotliwego narwańca, a utarłoby się, że jest zwykłym włóczęgą. Pomimo całego zaufania, które w nim pokładałem, mimo woli przyszło mi na myśl, iż w takim wypadku od nazwy do istotnego stanu rzeczy jest tylko krok. Myślę, iż zrozumiecie, że w owym czasie było już nie do pomyślenia, abym mógł pozostawić Jima własnemu losowi. Zabrałem go z Bangkoku na swym statku i odbyliśmy razem dość długą podróż. Żałośnie było patrzeć, jak się w sobie zamykał. Marynarz, nawet jeśli jest tylko pasażerem, interesuje się wszystkim na statku i przygląda się morskemu życiu z przyjemnością i krytycyzmem, jak, dajmy na to, malarz patrzący na dzieło kolegi. Marynarz, w każdym tego słowa znaczeniu, jest „na pokładzie”. Tymczasem mój Jim krył się po większej części na dole w kajucie, jakby jechał na gapę. Tak to na mnie podziało, że unikałem rozmowy o zawodowych sprawach, które nasuwają się same przez się dwom marynarzom w czasie podróży. Całymi dniami nie zamienialiśmy ani słowa. Bardzo mi też było przykro wydawać oficerom rozkazy w obecności Jima. A często, kiedy siedzieliśmy sam na sam w kajucie lub na pokładzie, nie wiedzieliśmy, gdzie podziąć oczy.

Umieściłem go u De Jongha, jak wiecie, zadowolony, iż w ogóle coś dla niego znalazłem, ale czułem, że jego położenie staje się teraz wprost nie do wytrzymania. Stracił był do pewnego stopnia tę elastyczność, dzięki której mógł się odprężyć po każdej porażce i zająć znów niustępliwe stanowisko. Pewnego dnia, udawszy się na brzeg, zobaczyłem Jima stojącego na bulwarze; woda na redzie¹⁰⁶ i otwarte morze tworzyły jedną gładką, wznoszącą się równię, a najdalej zakotwiczone okręty zdawały się tkwić nieruchomo na niebie. Jim czekał na swoją łódź, do której ładowano u naszych stóp małe paczki z różnymi towarami dla jakiegoś wyruszającego okrętu. Przywitawszy się, staliśmy ramię w ramię, milcząc.

— Boże ty mój — odezwał się nagle — jakież to zabójcze zajęcie.

I uśmiechnął się do mnie; trzeba przyznać, że na ogół umiał zawsze się zdobyć na uśmiech. Nic nie odrzekłem. Wiedziałem doskonale, że Jim nie miał na myśli swoich obowiązków; u De Jongha było mu zupełnie dobrze. A jednak jak tylko wypowiedział te słowa, zrozumiałem, że to jego położenie jest zabójcze. Nie spojrziałem nawet na niego.

— Czyby pan nie chciał — rzekłem. — opuścić zupełnie tej części świata; spróbować jakiegoś zajęcia w Kalifornii lub na zachodnim wybrzeżu? Pomyślę nad tym, co mógłbym zrobić...

Przerwał mi nieco pogardliwie:

— I cóż by to była za różnica?

Poczułem natychmiast, że Jim ma słuszość. Nie byłoby w tym żadnej różnicy; Jim wcale nie pragnął ulgi; zaczęło mi niewyraźnie świtać, że to, czego chciał, na co jak gdyby czekał, nie dawało się łatwo określić; że pragnął czegoś w rodzaju okazji, szansy. Te sposobności, które mu nastroczyłem, pozwalały mu tylko zarabiać na chleb. Ale cóż więcej można było zrobić? Położenie wydało mi się beznadziejne; przypomniałem sobie słowa biednego kapitana Brierly'ego: „Niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie”. Przyszło mi na myśl, że może to by było lepsze niż wieczne oczekiwanie czegoś niemożliwego — na ziemi. Ale i tego nie byłem pewien. W tej samej chwili, zanim łódź Jima oddaliła się od bulwaru o trzy długości wiosła, postanowiłem, że pójdę wieczorem do Steina, aby zasięgnąć jego rady.

Ów Stein był kupcem bogatym i szanowanym. Jego „dom handlowy” (miał dom handlowy pod firmą Stein i S-ka oraz coś w rodzaju wspólnika, który — według słów Steina — „pilnował Moluków¹⁰⁷”), otóż jego dom handlowy prowadził na wielką skalę interesy na wyspach; mnóstwo handlowych placówek, pozakładanych w najbardziej zatraconych miejscach, gromadziło dlań produkty. Bogactwo Steina i ogólny szacunek, jakim się cieszył, nie były właściwą przyczyną, dla której chciałem zasięgnąć jego rady. Pragnąłem zwierzyć mu się zę swych kłopotów, ponieważ był to jeden z ludzi najbardziej godnych zaufania, jakich kiedykolwiek spotkałem. Łagodne światło prostej, jakby nie-

Ciało

¹⁰⁶reda — akwen przed wejściem do portu. [przypis edytorski]

¹⁰⁷Moluki — Wyspy Korzenne; grupa wysp we wschodniej części Archipelagu Malajskiego, wchodząca w skład Indonezji. [przypis edytorski]

zmordowanej, inteligentnej dobroci rozjaśniło jego długą, wygoloną twarz o głębokich, prostopadłych bruzdach, bladą jak u człowieka, który prowadził zawsze życie siedzące — co nie zgadzało się wcale z rzeczywistością. Włosy miał rzadkie, zaczesane w tył z potężnego i wyniosłego czoła. Można było sobie wyobrazić, że kiedy miał lat dwadzieścia, wyglądał prawie tak samo jak teraz, przekroczywszy już sześćdziesiątkę. Miał twarz uczonego; tylko brwi — prawie zupełnie białe, gęste i krzaczaste, oraz stanowcze, badawcze spojrzenie nie harmonizowały z jego powierzchownością książkowego mola. Stein był wysoki, chód miał elastyczny; jego lekko pochylona postać i niewinny uśmiech robiły wrażenie, że gotów jest życzliwie słuchać zwierzeń; długie ramiona o dużych bladych rękach poruszały się nieczęsto, powolnymi ruchami, jakby coś wskazywał i objaśniał. Rozwodzę się nad tym szeroko, gdyż pod tą powierzchownością ukrywał się człowiek o naturze prawej, pełnej wyrozumiałości, o duchu nieustraszonej i fizycznej odwadze, którą można by nazwać zuchwałą, gdyby nie wydawała się przyrodzoną funkcją organizmu, jak na przykład dobre trawienie, funkcją najzupełniej nieświadomą. Mówi się czasem o człowieku, że trzyma w ręku swoje życie. Takie powiedzenie nie byłoby odpowiednie w stosunku do Steina; przez wczesny okres pobytu na Wschodzie igrał tym życiem jak piłką. Wszystko to należało do przeszłości, ale znałem jego historię i źródła majątku. Był także dość wybitnym przyrodnikiem czy też, powiedzmy, uczonym zbieraczem. Zajmował się specjalnie entomologią. Jego zbiór *Buprestidae* i *Longicornes* — samych chrząszczy — okropnych potworów w miniaturze, wyglądających złowrogo w śmierci i bezruchu, jego gabloty z pięknymi motylami, ważącymi się pod szkłem skrzynek na martwych skrzydłach, rozsławiły go szeroko. Nazwisko tego kupca, miłośnika przygód, ongi doradcy malajskiego sultana (o którym mówił zawsze: „mój biedny Mohammed Bonso”), z powodu kilku korcy¹⁰⁸ martwych motyli stało się znane uczonym ludziom Europy, którzy nie mieli żadnego pojęcia o życiu lub charakterze Steina i których z pewnością nic to nie obchodziło. Wiedząc o nim dużo, uważałem, że jest szczególnie odpowiedni do wysłuchania zwierzeń o kłopotach Jima, a także i moich własnych.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Późnym wieczorem wszedłem do jego gabinetu, minąwszy imponującą, lecz pustą salę jadalną oświetloną bardzo skąpo. W domu panowała cisza. Poprzedzał mnie ponury jawajski służący w starszym wieku, ubrany w swoistego rodzaju liberię złożoną z białej kurtki i żółtego sarongu¹⁰⁹; otworzył drzwi, zawołał zniżonym głosem: „O panie!”, i usunąwszy się na bok, znikł w tajemniczy sposób, jak duch, który się zmateriałizował tylko na chwilę dla wykonania tej jednej usługi.

Stein odwrócił się z krzesłem i w tej samej chwili okulary podjechały mu wysoko na czoło, jakby je kto posunął. Powitał mnie swym spokojnym i żartobliwym głosem. Tylko jeden róg obszernego pokoju, róg, w którym stało biurko, był silnie oświetlony stojącą lampą o ciemnym kloszu, a reszta rozległego gabinetu gubiła się w niewyraźnym mroku, niby jaskinia. Wąskie półki, zastawione ciemnymi skrzynkami jednostajnego kształtu i barwy, biegingy naokoło ścian na kształt ciemnego pasa szerokości jakich czterech stóp. Katakumby chrząszczy. Drewniane tabliczki wisiały nad nimi w nieregularnych odstępach. Światło sięgało jednej z tabliczek i słowo *Coleoptera*, wypisane złotymi literami, błyszczało tajemniczo wśród rozległej, mrocznej przestrzeni. Szklane skrzynki zawierające zbiór motyli stały trzema długimi rzędami na małych cienkonogich stolczkach. Jedna z tych skrzynek, usunięta ze zwykłego miejsca, znajdowała się na biurku wśród podłużnych pasków papieru pokrytych drobnym pismem.

— Więc tak oto mnie pan zastaje — rzekł Stein. Jego ręka zawisała nad skrzynką, gdzie wspinały motyl rozpościerał samotnie ciemnobrązowe skrzydła o średnicy siedmiu cali lub więcej, z przedziwnymi białymi żyłkami i pysznym obramowaniem z żółtych plam. — Tylko jeden taki okaz mają w *waszym* Londynie — i to wszystko. Zapiszę ten zbiór memu rodzinnemu miasteczku. To cząstka mnie samego. Najlepsza.

¹⁰⁸korzec — dawna jednostka objętości ciał sypkich. [przypis edytorski]

¹⁰⁹sarong — rodzaj spódnicy z długiego pasa materiału owijanego wokół bioder, noszony przez kobiety i mężczyzn na Malajach. [przypis edytorski]

Wychylił się z krzesła i oparłszy brodę o skrzynkę, wpatrywał się z natężeniem w motyla. Stałem za jego plecami.

— Cudowny — szepnął i zdawał się zapominać o mej obecności.

Historia Steina była ciekawa. Urodził się w Bawarii i jako dwudziestoletni młodzieniec brał czynny udział w ruchu rewolucyjnym 1848 roku. Był mocno skompromitowany, ale udało mu się uciec; z początku znalazł schronienie w Trieście u biednego zegarmistrza, republikanina. Stamtąd udał się do Trypolisu z zapasem tanich zegarków na sprzedaż; początek ten nie był wspaniały, ale okazał się wcale szczęśliwy, ponieważ Stein napotkał w Trypolisie holenderskiego podróżnika, człowieka, o ile mi się zdaje, dość znanego, nie pamiętam, jak się nazywał. Ten to przyrodnik właśnie zaangażował go w charakterze niejako pomocnika i zabrał na Wschód. Podróżowali po archipelagu razem i oddzielnie, zbierając ptaki i owady, z jakie cztery lata lub więcej. Potem przyrodnik wrócił do kraju, a Stein, nie mając domu, do którego by mógł wrócić, został u pewnego starego kupca, z którym się spotkał uprzednio, podróżując po wnętrzu wyspy Celebes — jeśli można w ogóle powiedzieć, że Celebes ma wnętrze. Ów stary Szkot, jedyny biały, któremu pozwolono wówczas przebywać w tym kraju, był uprzywilejowanym przyjacielem władczyni państw Wajo. Słyszałem często Steina opowiadającego, jak stary kupiec, który był dotknięty lekkim paralizem jednej strony ciała, wprowadził go na dwór tubylczy; wkrótce potem drugi atak powalił ostatecznie starego. Był to ociężały człowiek o patriarchalnej białej brodzie i imponującej postawie. Wszedł na salę obrad, gdzie wszyscy radzowie¹¹⁰, pangeranowie¹¹¹ i dowódcy byli zebrani wokół królowej, otyłej i pomarszczonej kobiety (bardzo swobodnej w mowie według słów Steina), spoczywającej na wysokim łożu pod baldachimem. Idąc powłóczył nogą i stuknął kijem; chwyciwszy Steina za ramię, zaprowadził go prosto do łoża.

— Patrz, królowo, i wy, radzowie, oto mój syn — oświadczył stentorowym głosem. — Handlowałem z waszymi ojcami, a kiedy umrę, on będzie handlował z wami i waszymi synami.

Za pomocą tej prostej formalności Stein odziedziczył uprzywilejowane stanowisko Szkota i cały zapas jego towarów wraz z ufortyfikowanym domem na brzegu jedynej spławnej rzeki w kraju. Wkrótce potem stara królowa, tak swobodna w mowie, umarła i kraj ogarnęły zamieszki wzniecone przez różnych pretendentów do tronu. Stein przyłączył się do stronnictwa jednego z młodszych synów, tego samego, o którym po upływie trzydziestu lat nie mówił nigdy inaczej jak „mój biedny Mohammed Bonso”. Stali się obaj bohaterami niezliczonych walecznych czynów, spotykały ich nadzwyczajne przygody, a raz wytrzymali przez miesiąc oblężenie w domu Szkota, mając tylko dwudziestu ludzi przeciwko całej armii. Jestem pewien, że krajowcy mówią do dziś dnia o tej wojnie. A tymczasem Stein nie omieszkiał nigdy dołączyć do swych zbiorów każdego motyla czy chrząszcza, który się dostał do jego rąk. Po jakichś ośmiu latach wojen, układów, fałszywych rozejmów, godzenia się, zdrad i tak dalej, właśnie w chwili gdy pokój zdawał się utrwalać na stałe, „biedny Mohammed Bonso” został zamordowany u wrót własnej królewskiej rezydencji, w chwili gdy zsiadał z konia w najweselszym usposobieniu, wróciwszy z świetnego polowania na jelenie. Wskutek tego wypadku pozycja Steina stała się niezmiernie niebezpieczna, ale mimo to byłby może w kraju pozostał, gdyby w krótki czas potem nie stracił siostry Mohammeda („mojej drogiej żony, księżniczki”, mawiał uroczyście), z którą miał córkę. I matka, i dziecko umarły w ciągu trzech dni na jakąś zaraźliwą gorączkę. Wówczas Stein opuścił kraj, którego nie mógł znieść po tej okrutnej stracie. Tak się zakończył pierwszy — pełen przygód — okres jego życia. To, co nastąpiło potem, było tak różne, że gdyby nie rzeczywistość bólu, który w Steinie pozostał, tamten dziwny okres mógłby mu się wydawać snem. Miał trochę pieniędzy; rozpoczął życie na nowo i w ciągu lat zdobył znaczny majątek. Z początku podróżował wiele między wyspami, ale później już wiek zaczął mu ciążyć; w ostatnich czasach opuszczał rzadko swój obszerny dom leżący o trzy mile za miastem w wielkim ogrodzie, wśród stajen, kuchen oraz bambusowych chat dla służby i licznych oficjalistów. Co rano Stein jeździł brycz-

¹¹⁰radža (sanskryt.: król) — tytuł lokalnych hinduskich władców w Indiach oraz władców hinduskich i buddyjskich państw w Azji płd.-wsch.; odpowiednik tytułu książęcego. [przypis edytorski]

¹¹¹pangeran — malezyjski lub indonezyjski książę lub inny arystokrata o wysokiej pozycji. [przypis edytorski]

ką do miasta, gdzie miał biuro pełne białych i chińskich urzędników. Był właścicielem niewielkiej floty, złożonej ze szkunerów i statków krajowych i prowadził rozległy handel produktami z wysp. Poza tym żył samotnie, choć ludzi nie unikał, wśród swoich ksiąg i zbiorów, klasyfikując i preparując okazy, korespondując z entomologami w Europie, zestawiając opisowy katalog swych skarbów. Taka była historia człowieka, do którego się udałem po radę w sprawie Jima, nie mając żadnej określonej nadziei, ale czując, że już samo wysłuchanie tego, co Stein będzie miał do powiedzenia, przyniesie mi ulgę. Bardzo mi zależało na zdaniu Steina, lecz nie śmiałem się odezwać. Szanowałem wytężone, prawie namiętne skupienie, z jakim wpatrywał się w motyla, jak gdyby w brązowym lśnieniu kruchych skrzydeł, w białych arabeskach i wspaniałych wzorach dostrzegał i inne rzeczy, wizerunek czegoś, co jest równie znikome jak te delikatne i martwe tkanki, a tak jak one urąga zniszczeniu i roztacza przepych skażony śmiercią.

— Cudowny! — powtórzył, spoglądając ku mnie w górę. — Niech pan patrzy! Skończenie piękny; ale to jeszcze nic, proszę spojrzeć na tę dokładność, na tę harmonię. Jakie to delikatne! Jakie wyraziste! Jakie nieskazitelne! Oto przyroda, równowaga olbrzymich sił. Każda gwiazda jest taka i każde źdźbło trawy stoi tak, i potężny Kosmos w doskonałej równowadze wydaje... to. Ten cud, to arcydzieło przyrody, wielkiego artysty.

— Nie słyszałem nigdy, aby entomolog¹¹² tak się wyrażał — zauważyłem wesoło. — Arcydzieło! A co pan powie o człowieku?

— Człowiek jest zdumiewający, ale arcydziełem nie jest — rzekł, utkwivszy oczy w szklanej skrzynce. — Może artysta był trochę szalony. Co? Jak pan myśli? Zdaje mi się czasem, że człowiek zjawi się tam, gdzie go nie chcą, gdzie nie ma dla niego miejsca; bo jeśli tak nie jest, to czemu żąda dla siebie całej ziemi? Czemu biega w kółko tu i tam, robiąc naokoło siebie wiele hałasu, czemu rozprawia o gwiazdach, przeszkadza źdźbłom trawy?...

— Łowi motyle — podsunąłem w tym samym tonie.

Uśmiechnął się, rozparł w fotelu i wyciągnął nogi.

— Niech pan siada — rzekł. — Schwytałem własnoręcznie ten rzadki okaz pewnego bardzo pięknego ranka. A było to dla mnie bardzo wielkie wzruszenie. Pan nie wie, czym jest dla zbieracza schwytanie takiego rzadkiego okazu. Pan tego wiedzieć nie może.

Uśmiechnąłem się, siedząc wygodnie w bujającym fotelu. Oczy Steina zdawały się spoglądać daleko poza ścianę, w której były utkwione. Opowiedział mi, jak pewnej nocy przybył wysłaniec od „biednego Mohammeda”, wzywając Steina do „rezydencji” — jak się wyraził — oddalonej o jakie dziewięć lub dziesięć mil; jechało się tam wąską ścieżką przez uprawną równinę, pokrytą tu i ówdzie plamami lasów. Wyruszył wczesnym rankiem z ufortyfikowanego domu, uściskawszy malutką Emmę i zdawszy dowództwo „księżniczce”, swej żonie. Opisywał mi, jak go odprowadziła aż do bramy, trzymając rękę na szyi jego wierzchowca; miała na sobie białą kurtkę, złote szpilki we włosach, a przez lewe jej ramię biegł brunatny skórzany pas, w którym tkwił rewolwer.

— Mówiła do mnie — opowiadał — jak to zwykle kobiety, że bardzo to brzydko z mej strony wyruszać samotnie; przykazywała, abym się miał na bacności i starał się wrócić przed zapadnięciem zmroku. Prowadziliśmy wojnę i okolica nie była bezpieczna; moi ludzie zakładali okiennice chroniące od kul i nabijali strzelby, a żona prosiła, abym się o nią nie lękał. Potrafi obronić dom przed wszystkimi, dopóki nie wrócę. A ja się zaśmiałem z uciechy. Miło mi było na nią patrzeć, taką mężną i młodą, i silną. Ja także byłem wówczas młody. U wrót wzięła mnie za rękę, uścisnęła ją i cofnęła się. Zatrzymałem konia za częstokołem, dopókim nie usłyszał, że bramę zaryglowano. Miałem zażartego nieprzyjaciela, człowieka wielkiego rodu, a przy tym skończonego łotra, który włóczył się ze swoją bandą po okolicy. Ujechałem wolnym kłusem cztery czy pięć mil; w nocy padał deszcz, ale mgła się podniosła i oblicze ziemi było czyste; uśmiechało się do mnie, świeże i niewinne jak u małego dziecka. Nagle posypał się grad kul, przynajmniej ze dwadzieścia, jak mi się zdawało. Słyszałem je świszczące koło uszu, kapelusz zjechał mi na tył głowy. Rozumie pan, to był taki sobie mały spisek. Nakłonili mego biednego Mohammeda, aby po mnie posłał, a potem urządzili tę zasadzkę. Zrozumiałem to wszystko w lot i myślę sobie: „Tu nieco roztropności nie zawadzi”. Mój kuc chrapanął, skoczył i sta-

Natura, Kondycja ludzka,
Motyl

Polowanie, Podstęp,
Śmierć, Trup, Motyl

¹¹²entomolog — naukowiec zajmujący się owadami. [przypis edytorski]

nał, a ja opadłem powoli twarzą na jego grzywę. Ruszył znów stępa; zerknąłem jednym okiem znad jego szyi i dostrzegłem nikły obłok dymu unoszący się po lewej stronie nad kępą bambusów. Myślę sobie: „Aha! moi mili, dlaczego nie poczekaliście dłużej ze strzałami? To jeszcze nie jest *gelungen*¹¹³. O nie!” Prawą ręką sięgam po rewolwer, spokojnie, spokojnie. Ostatecznie było tylko siedmiu tych zbójów. Wstają z trawy i puszczają się pędem, podkasawszy sarongi, wymachując włóczniami nad głową i wrzeszcząc do siebie, że trzeba złapać konia, bo ja już nie żyję. Dopuściłem ich do siebie tak blisko jak do tych drzwi, a potem paf, paf, paf, celuję za każdym razem. Posłałem jeszcze jedną kulę w czyjeś plecy, alem spudłował. Było już za daleko. I znów siedzę samotnie na koniu, naokoło uśmiecha się czysta ziemia, a tam oto leżą ciała trzech martwych ludzi. Jeden był zwinięty w kłębek jak pies, drugi, wyciągnięty na wznak, miał rękę przerzuconą przez oczy, jakby się chronił od słońca, a trzeci podciągnął nogę bardzo wolno i wyprostował ją jednym ruchem. Śledzę go z konia bardzo bacznie, ale na tym koniec, *er bleibt ganz rubig*¹¹⁴, leży nieruchomo. I w chwili gdy wypatrywałem znaku życia na jego twarzy, zauważyłem nagle jakby nikły cień, który przesunął mu się po czole. Był to cień tego motyla. Niech pan spojrz na kształt skrzydeł. Ten gatunek fruwa wysoko i lot ma szybki. Podniosłem oczy i spostrzegłem, jak odlatywał. Myślę sobie: „Czyżby to było możliwe?” Znikł mi z oczu. Zsiadłem z konia i zacząłem iść bardzo wolno, trzymając lejce i rewolwer jedną ręką, a oczy latały mi w górę i w dół, w prawo i w lewo, wszędzie. Wreszcie zobaczyłem go na małej kupce nawozu, o dziesięć stóp ode mnie. Serce zaczęło mi walić natychmiast. Puściłem konia, trzymając wciąż rewolwer, a drugą ręką zerwałem z głowy miękką filcowy kapelusz. Posunąłem się o krok naprzód. Spokojnie. Jeszcze jeden krok. Hop! Mam go! Kiedy się podniosłem, trzęsłem się jak liść z podniecenia, a kiedy rozwarłem te piękne skrzydła i przekonałem się, jaki rzadki, jak skończenie doskonały okaz mam w ręku, zakręciło mi się w głowie, a nogi tak mi ze wzruszenia osłabły, że musiałem usiąść na ziemi. Pragnąłem gorąco zdobyć okaz tego gatunku, jeszcze kiedym pracował dla profesora. Odbywałem długie podróże, znosiłem wielkie niewygody; śniłem o nim po nocach, a oto nagle miałem go w ręku, dla siebie. Tak jak to mówi poeta (wymówił: boeta):

*So halt ich's endlich denn in meinen Händen
Und nenn' es in gewissem Sinne mein.*¹¹⁵

Podkreślił ostatnie słowo, zniżywszy nagle głos, i odwrócił z wolna oczy od mojej twarzy. Zaczął w milczeniu napełniać pilnie tytoniem długą fajkę, po czym znów spojrzął na mnie znacząco, trzymając wielki palec na otworze fajki.

— Tak, kochany mój przyjacielu, owego dnia nie pragnąłem niczego; dokuczyłem porządnie największemu wrogowi; byłem młody, silny; posiadałem przyjaźń, posiadałem miłość kobiety, miałem dziecko, które napełniało mi serce tklivością, a nawet to, o czym we śnie marzyłem, znalazło się w moim ręku.

Potarł zapalną, która zabłysła gwałtownie. Po jego myślącej, spokojnej twarzy przebiegł skurcz.

— Przyjaciół, żona, dziecko — mówił z wolna, patrząc na drobny płomyk — phu!

Zdmuchnięta zapalka zgasła. Westchnął i zwrócił się znowu do szklanej skrzynki. Delikatne, cudowne skrzydła drgnęły leciutko, jakby tchnienie Steina zbudziło na chwilę do życia wspaniałe cel jego marzeń.

— Praca posuwa się szybko — zaczął nagle zwykłym tonem, łagodnym i pełnym otuchy, wskazując na rozrzucone paski papieru. — Opisywałem właśnie ten rzadki okaz... *Na!*¹¹⁶ A jakież dobre wieści pan mi przynosi?

— Jeśli mam wyznać prawdę — rzekłem z wysiłkiem, który mnie zdziwił — przyszedłem, aby panu opisać pewien okaz...

— Motyla? — zapytał z niedowierzaniem i żartobliwym zapalem.

¹¹³*gelungen* (niem.) — udany, zakończony powodzeniem. [przypis edytorski]

¹¹⁴*er bleibt ganz rubig* (niem.) — pozostaje całkiem spokojny. [przypis edytorski]

¹¹⁵*So halt ich's endlich denn in meinen Händen...* (niem.) — Więc wreszcie trzymam go w swych rękach / I w pewnym sensie mogę nazwać swoim (Goethe, *Torquato Tasso*, akt I, scena 3). [przypis edytorski]

¹¹⁶*na* (niem.) — no. [przypis edytorski]

— Coś daleko mniej doskonałego — odrzekłem, czując nagle, że tracę odwagę, ogarnięty różnymi wątpliwościami. — Człowieka!

— Ach tak! — szepnął; uśmiechnięta jego twarz zwrócona ku mnie spoważniała. Popatrzył na mnie przez chwilę i rzekł powoli: — No, ja także jestem człowiekiem.

Oto go macie całego; tak szczerze umiał dodawać ducha, że człowiek delikatny skłonny był zawahać się u progu zwierzeń; ale jeśli się zawahałem, nie trwało to długo.

Wysłuchał mnie, siedząc z nogą założoną na nogę. Niekiedy głowa jego znikala zupełnie w wielkim kłębie dymu i współczujące pomruki dobywały się z tego obłoku. Kiedy skończyłem, Stein wyprostował nogi, odłożył fajkę, pochylił się ku mnie poważnie i oparł łokciami o poręczę krzesła, złączywszy czubkami palców obie ręce.

— Rozumiem bardzo dobrze. To jest romantyk.

Postawił diagnozę, która zaskoczyła mnie swoją prostotą. Nasza narada była zupełnie podobna do konsultacji u doktora; Stein, wyglądający na uczonego, siedział przed biurkiem w fotelu, a ja w drugim naprzeciwko, trochę z boku, tak że z całą naturalnością nasunęło mi się pytanie:

— Co na to poradzić?

Podniósł długi palec wskazujący:

— Tylko jeden jest na to środek. Jedna jedyna rzecz może uleczyć nas od samych siebie.

Palec opadł na biurko i stuknął głośno. Sprawa, która w oświetleniu Steina wydawała się przedtem taka prosta, stała się, o ile to możliwe, jeszcze prostsza — i zupełnie beznadziejna. Zapadła cisza.

— Tak — rzekłem — ale ściśle biorąc, nie o to chodzi, jak się wyleczyć, tylko jak żyć.

Skinął potakująco głową, wydało mi się, że trochę smutno.

— *Ja, ja!*¹¹⁷ W ogóle, według słów waszego wielkiego poety: „Oto jest pytanie...” — Kiwał wciąż głową ze współczuciem: — Być? Ach! ale jak?

Podniósł się, trzymając końce palców na biurku.

— Chcielibyśmy żyć tak rozmaicie — zaczął znowu. — Ten przepyszny motyl znajduje małą kupkę nawozu i siedzi na niej spokojnie; ale człowiek nie wytrwa nigdy spokojnie na swojej kupce błota. Chce być to tym, to znów owym... — Podniósł rękę i opuścił ją. — Chce być świętym i chce być diabłem, a za każdym razem, gdy zamknie oczy, widzi siebie w bardzo udanej postaci, widzi siebie tak doskonałym, jakim nigdy być nie może... W marzeniu...

Opuścił szklane wieko, automatyczny zamek dźwięknął ostro; Stein wziął skrzynkę oburącz i odniósł ją z religijną czcią na miejsce, przechodząc z jasnego koła lampy do kręgu słabszego światła i ginąc wreszcie w niewyraźnym zmroku. Sprawilo to dziwne wrażenie, jakby tych kilka kroków wywiodło go poza nasz konkretny i zagmatwany świat. Wysoka, niby odcieleśniona postać Steina unosiła się bezszelestnie wśród niewidzialnych przedmiotów, pochylając się nieokreślonym ruchem. Dostrzegało się go z daleka, zajętego tajemniczo niematerialnymi sprawami, a głos jego tracił dobitność, zdawał się toczyć, silny, poważny, zlagodzony przez oddalenie.

— A ponieważ nie zawsze można zamykać oczy, rodzi się najprawdziwsza troska, ból serca, ból świata. Mówię panu, kochany przyjacielu, niemiło się przekonać, że człowiek nie może urzeczywistnić swego marzenia, bo ma za mało sił albo za mało zdolności. *Ja!*... A przy tym człowiek widzi siebie zawsze w tej wymarzonej postaci. *Wie? Was? Gott im Himmel!*¹¹⁸ Jakże to może być? Cha, cha, cha!

Cień myszkujący wśród motyli grobów zaśmiał się hałaśliwie.

— Tak! Ta straszna rzecz jest bardzo zabawna. Człowiek, który się rodzi, wpada w marzenie, jak się wpada do morza. Jeżeli usiłuje się wydostać — a robią to niedoświadczeni — topi się, *nicht wahr?*...¹¹⁹ Nie! mówię panu! Jedyny sposób to poddać się niszczącemu żywiołowi i wysiłkami rąk i nóg sprawić, że głębokie, głębokie morze utrzyma człowieka. Więc jeśli pan mnie zapyta: jak żyć? — Podniósł głos z niezmierną siłą, jak gdyby czyjś

¹¹⁷*Ja, ja!* (niem.) — Tak, tak! [przypis edytorski]

¹¹⁸*Wie? Was? Gott im Himmel!* (niem.) — Jak? Co? Boże na niebie! [przypis edytorski]

¹¹⁹*nicht wahr?* (niem.) — nieprawdaż? [przypis edytorski]

podszepł zesłał mu, tam w mroku, natchnienie. — Powiem panu! Na to jest także tylko jedna rada.

Szurając śpiesznie pantoflami, zamajaczył w kręgu słabego światła i nagle ukazał się w jasnym kole lampy. Jego wyciągnięta ręka celowała w moją pierś jak pistolet; głęboko osadzone oczy zdawały się na wskroś mnie przenikać, lecz drgające wargi nie wymówiły ani słowa, a z twarzy znikło surowe uniesienie wywołane pewnością, którą ujrzał w mroku. Ręka godząca w moją pierś opadła; zbliżywszy się o krok, położył mi łagodnie dłoń na ramieniu. Są rzeczy — rzekł posępnie — które może nigdy nie dadzą się wypowiedzieć... — ale on, Stein, tyle czasu przeżył samotnie, że czasem zapomina o tym, zapomina. Światło lampy zniszczyło pewność, którą go natchnął odległy mrok pokoju. Usiadł i tarł czoło, oparłszy się łokciami o biurko.

— A jednak to jest prawda, to jest prawda. Zanurzyć się w niszczącym żywiole... — Mówił stłumionym głosem, nie patrząc na mnie, ująwszy twarz w obie dłonie. — To jedyna właściwa droga. Iść za marzeniem i znowu iść za marzeniem — i tak *ewig*¹²⁰ *usque ad finem*...¹²¹

Marzenie

Jego szepł pełen przekonania zdawał się otwierać przede mną rozległą, nieokreśloną przestrzeń, niby widnokrąg mrocznej równiny o świcie, a może o zmierzchu? Nie miałem odwagi rozstrzygnąć; lecz to czarowne, zwodnicze światło zasnuwało nieuchwytną mglistą poezją wilcze doły i groby. Życie Steina zaczęło się od entuzjazmu, od poświęcenia dla szlachetnych idei; odbywał dalekie podróże po różnych szlakach, po dziwnych ścieżkach, a cokolwiek zamierzył, wykonywał bez wahania, zatem bez wstydu i żalu. Pod tym względem miał słuszość. Jest to niewątpliwie najlepszy sposób postępowania. A jednak mimo wszystko, owa wielka równina, po której ludzie wędrują wśród grobów i wilczych dołów, wyglądała bardzo smutno w tym półcieniu pełnym nieuchwytną poezji. Mroczna pośrodku, o krańcach rozświetlonych, była jakby otoczona przepaścią pełną płomieni. Przerwałem wreszcie ciszę, aby wyrazić przekonanie, że nikt nie może być większym romantykiem od niego, Steina.

Potrząsnął z wolna głową, a potem spojrzał na mnie cierpliwym i badawczym spojrzeniem.

— To wstyd doprawdy — powiedział. — Oto siedzimy i gadamy jak dwa dzieciaki zamiast się skupić i wynaleźć coś praktycznego — jakiś praktyczny środek... przeciw złu... przeciw wielkiemu złu — powtórzył z żartobliwym i wyrozumiałym uśmiechem.

Mimo to jednak rozmowa nasza nie stała się „praktyczniejsza”. Staraliśmy się nie wymawiać imienia Jima, jak gdyby usiłując wyłączyć z rozmowy wszystko, co realne, i jakby Jim był tylko błędnym duchem, cieniem cierpiącym i bezimiennym.

— *Na!* — rzekł Stein, wstając. — Przenocuje pan u mnie, a jutro rano uradzimy coś praktycznego, bardzo praktycznego...

Zapalił dwuramienny świecznik i poszedł naprzód. Mijaliśmy puste, ciemne pokoje, odprowadzani przez błyski padające od światel niesionych przez Steina. Ślizgały się po woskowanych posadzkach, muskając tu i ówdzie gładką powierzchnię stołu, niekiedy zaślśniły na wygiętym fragmencie jakiegoś mebla lub błysnęły prostopadle w odległych lustrach, a postacie dwóch mężczyzn i migot dwóch świec ukazywały się na chwilę, sunąc bezgłośnie przez głębie kryształowej pustki. Stein szedł powoli o krok przede mną, uprzejmie pochylony. W jego twarzy był głęboki, jakby zasluchany spokój; długie lniane pukle przetkane białymi nićmi wiły się z rzadka po nieco zgiętym karku.

— On jest romantykiem, tak, romantykiem — powtórzył. — A to bardzo źle... bardzo źle... Ale i bardzo dobrze — dodał.

— Czyżby z niego był naprawdę romantyk? — zapytałem.

— *Gewiss*¹²² — odrzekł i przystanął, wznosząc kandelabr, ale nie spojrzał na mnie. — Oczywiście. Czymże jest to, co przez wewnętrzny ból zmusza go do poznania samego siebie? Czym jest to, co sprawia, że on dla pana i dla mnie istnieje?

W owej chwili trudno mi było uwierzyć w to istnienie Jima, które się wywodziło z wiejskiego probostwa, przesłonięte tłumem ludzi jakby kłębami pyłu i zagłuszone przez

Cierpienie

¹²⁰*ewig* (niem.) — wiecznie. [przypis edytorski]

¹²¹*usque ad finem* (łac.) — aż do końca. [przypis edytorski]

¹²²*gewiss* (niem.) — bez wątpienia. [przypis edytorski]

sprzeczne żądania życia i śmierci na tym zmaterializowanym świecie. Lecz jakaś inna, niezniszczalna rzeczywistość tego człowieka nagle stanęła przede mną z przekonywającą, z nieodpartą siłą. Ujrzałem ją żywo, jakbyśmy, posuwając się tak przez wysokie, ciche pokoje wśród przelotnych błysków światła i nagłych zjawiań się ludzkich postaci, skradali się z pelgającymi płomykami przez niezmierzone, przejrzyste głębie, jakbyśmy się zbliżali do absolutnej Prawdy, która — tak jak Piękno nieuchwytna i niepojęta — pływa po spokojnych, cichych wodach tajemnicy, na wpół w nich pogrążona.

— Być może Jim jest romantykiem — przyznałem z lekkim śmiechem, który rozbrzmiał nadspodziewanie głośno, tak że zniżyłem głos natychmiast — ale pan to jest nim z wszelką pewnością.

Ruszył znów naprzód z głową spuszczoną na piersi, trzymając świecznik wysoko.

— Przecież ja także istnieję — powiedział.

Szedł przede mną. Śledziłem jego ruchy, ale nie widziałem w nim szefa firmy, pożądanego gościa popołudniowych zebrań, korespondenta uczonych towarzystw, gospodarza podejmującego wędrownych przyrodników; widziałem tylko istotę jego przeznaczenia, za którym umiał iść pewnym krokiem — to jego życie rozpoczęte wśród skromnych warunków, bogate w szlachetny zapach, w przyjaźń, miłość, walkę, we wszystkie sławione pierwiastki romantyzmu. U drzwi mego pokoju zwrócił się ku mnie.

— Tak — rzekłem, jakby prowadząc w dalszym ciągu rozmowę — a oprócz innych marzeń zapragnął pan namiętnie pewnego motyla; gdy zaś w piękny poranek marzenie to zaszło panu drogę, chwycił pan w lot wspaniałą sposobność. Prawda? Podczas gdy on...

Stein podniósł rękę.

— A czy pan wie, ilu sposobnościom pozwoliłem uciec, ile utraciłem marzeń, które zaszły mi drogę? — Pokiwał głową z żalem. — Zdaje mi się, że niektóre z nich byłyby bardzo piękne, gdybym je umiał urzeczywistnić. Wie pan, ile ich było? Może i ja sam nawet nie wiem.

— Czy marzenia Jima piękne były, czy nie — odrzekłem — pamięta on na pewno o jednym, którego nie pochwycił.

— Każdy z nas pamięta o paru takich — powiedział Stein — i to właśnie sprawa przykrość, wielką przykrość...

Podał mi rękę na progu i rzucił wzrokiem w głąb pokoju pod swym wzniesionym ramieniem.

— Niech pan dobrze śpi. A jutro musimy uradzić coś praktycznego, bardzo praktycznego...

Chociaż sypialnia Steina znajdowała się za moją, zobaczyłem, że szedł z powrotem tą samą drogą. Wracał do swoich motyli.

Lord Jim

Marzenie, Smutek

TOM DRUGI

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Chyba żaden z was nie słyszał nigdy o Patusanie? — podjął Marlow po chwili ciszy, podczas której zapalał starannie cygaro. — Ale to wszystko jedno; mnóstwo ciał niebieskich roi się nad nami w nocy, a o wielu z nich ludzkość nigdy nie słyszała, ponieważ znajdują się one poza sferą naszej działalności i nie mają znaczenia dla nikogo prócz astronomów. Im płaci się za to, aby rozprawiali mądrze o składzie ciał niebieskich, ich wadze, ich szlakach — o nieprawidłowościach w ich zachowaniu, o aberracjach¹²³ ich światła — jest to coś w rodzaju uczonych plotek. Tak było i z Patusanem. Wspominano znacząco o tym kraju na poufnych zebraniach kół rządowych w Batawii, szczególnie o jego nieprawidłowościach i aberracjach, a tylko bardzo nieliczne jednostki w świecie handlowym znały Patusan ze słyszenia. Nikt jednak tam nie był i sądzę, że nikt nie miał ochoty udać się tam osobiście; podobnie jak astronom — tak sobie to wyobrażam — opierałby się stanowczo, gdyby chciano go przenieść na jakieś odległe ciało niebieskie, gdzie byłby odcięty od swych ziemskich dochodów i czułby się oszołomiony widokiem obcego mu nieba. Lecz ani ciała niebieskie, ani astronomowie nie mają nic wspólnego z Patusanem. To Jim tam się udał. Chcę tylko, abyście jasno zrozumieli, że gdyby Stein wysłał Jima na gwiazdę piątej wielkości¹²⁴, zmiana warunków nie mogłaby być większa. Pozostawiwszy za sobą swe ziemskie skazy i reputację, Jim znalazł się wśród zupełnie nowych warunków, na terenie podatnym dla jego bujnej wyobraźni, na wskroś odmiennym i niezwykłym. I zawładnął nim w sposób równie niezwykły.

Człowiekiem, który wiedział o Patusanie więcej niż wszyscy inni, był Stein. Przypuszczam, że wiedział nawet więcej niż sfery rządowe. Nie wątpię, iż tam był kiedyś, w okresie polowania na motyle albo i później, gdy swoim zwyczajem niepoprawnie starał się okraszyć szczyptą romantyzmu tuczące potrawy swej handlowej kuchni. Bardzo niewiele było miejscowości na archipelagu, których by Stein nie oglądał, nim jeszcze zanesiono tam światło (i to nawet elektryczne) w imię wyższej moralności, no i większych zysków. Stein wspominał o Patusanie nazajutrz po naszej rozmowie na temat Jima, gdy przytoczyłem słowa biednego kapitana Brierly'ego: „Niech się wpakuje dwadzieścia stóp pod ziemię i niech tam zostanie”. Podniósł na mnie oczy z zajęciem i uwagą, jakbym był jakimś rzadkim owadem.

— To by także dało się zrobić — rzekł, popijając kawę małymi łykami.

— Trzeba go gdzieś zagrzebać — tłumaczyłem. — Nie mam oczywiście na to ochoty, ale biorąc pod uwagę charakter Jima, będzie to chyba najlepsze wyjście.

— Tak; on jest młody — rozmyślał Stein.

— Najmłodszy ze wszystkich ludzi na świecie — potwierdziłem.

— *Schön*¹²⁵. Otóż jest ten Patusan — ciągnął, nie zmieniając tonu. — A tamta kobieta już nie żyje — dodał zagadkowo.

Nie znałem oczywiście historii owej kobiety, domyślając się tylko, że Patusan służył już za grób dla jakiegoś grzechu, wykroczenia czy też nieszczęścia. Niepodobna tu podejrzewać Steina. Jedyną kobietą, jaka kiedykolwiek dla niego istniała, była młoda Malajka, zwana przez niego: „księżniczką, moją żoną”, albo rzadziej, w chwilach wywnętrzeń: „matką mojej Emmy”. Kim była tamta kobieta, o której Stein wspominał związku z Patusanem, tego nie umiem powiedzieć; z jego aluzji zrozumiałem, że musiała to być na wpół Holenderka, na wpół Malajka, wykształcona i bardzo ładna, o tragicznej, a może tylko żalostnej historii; najboleśniejszym faktem z jej życia stało się bez wątpienia małżeństwo z pewnym Portugalczykiem z Malakki, urzędnikiem jakiejś firmy handlowej w koloniach holenderskich. Wywnioskowałem ze słów Steina, że ów człowiek był, z niezupełnie ja-

¹²³*aberracja* (z łac.) — zblądzenie, odchylenie; w astronomii: pozorne odchylenie pozycji ciał niebieskich od ich rzeczywistego położenia, spowodowane ruchem Ziemi, z której prowadzone są obserwacje. [przypis edytorski]

¹²⁴*gwiazdę piątej wielkości* — w astronomii używa się tzw. wielkości gwiazd, które odpowiadają sile ich blasku; od czasów Ptolemeusza najjaśniejsze gwiazdy mają wielkość 1, zaś najsłabsze widoczne gołym okiem mają wielkość równą 6. [przypis edytorski]

¹²⁵*schön* (niem.) — ładnie; pot.: no dobrze. [przypis edytorski]

nych przyczyn, osobistością nieszczególną i odpychającą. Jedyne przez wzgląd na jego żonę Stein mianował go dyrektorem stacji handlowej w Patusanie pod firmą Stein i S-ka; z kupieckiego punktu widzenia nominacja ta nie okazała się jednak korzystna, przynajmniej jeśli chodzi o firmę, toteż po śmierci owej kobiety Stein był skłonny osadzić tam na próbę nowego agenta. Portugalczyk, o którym mowa, nazwiskiem Cornelius, uważał się za jednostkę wybitną, lecz zapoznaną¹²⁶, zasługującą dzięki swym zdolnościom na lepsze stanowisko. Tego człowieka miał zastąpić Jim.

— Nie myślę jednak, aby Cornelius stamtąd się wyniósł — zauważył Stein. — To mnie zresztą nic nie obchodzi. Osadziłem go tam jedynie ze względu na tę kobietę... Ale zdaje mi się, że została po niej córka; więc jeśli Cornelius będzie chciał zostać, pozwolę mu zamieszkać w starym domu.

Patusan jest dalekim okręgiem państwa rządzonego przez krajowców; główna jego osada nosi tę samą nazwę. Z punktu na rzece odległego o jakieś czterdzieści mil od morza widać pierwsze domy Patusanu, a jednocześnie ukazują się nad poziomem lasów szczyty dwóch stromych wzgórz stojących bardzo blisko siebie i przedzielonych głęboką rozpadliną, powstałą jakby wskutek potężnego uderzenia. Dolina między tymi wzgórzami jest właściwie tylko wąskim wąwozem; gdy się patrzy z osady, oba pagórki wyglądają jak niesymetryczny stożek rozłupany na dwoje, o leciutko rozchylonych połowach. Trzeciego dnia po pełni spoglądałem na księżyc z otwartego dziedzińca przed domem Jima (kiedy go odwiedziłem, Jim miał już bardzo ładny dom zbudowany na wzór krajowych); otóż księżyc wstawał właśnie za owymi wzgórzami; na tle jego rozproszonego blasku obie sylwety pagórków zarysowały się najpierw głęboką czernią, a potem na dnie rozpadliny ukazała się prawie zupełnie okrągła tarcza rozżarzona do czerwoności i sunęła w górę między ścianami, aż wreszcie wypłynęła nad szczyty, jakby uchodząc z rozwartego grobu w cichym tryumfie.

— Wspaniale — rzekł Jim u mego boku. — Czy nie warto tego zobaczyć?

Uśmiechnąłem się na to pytanie pełne osobistej dumy; można było pomyśleć, że to Jim brał udział w urządzeniu tego widowiska, jedyne w swoim rodzaju. Miał wpływ na tyle spraw w Patusanie! Spraw, które znajdowały się — rzekłbyś — tak dalece poza zasięgiem jego działalności jak ruchy gwiazd i księżyca.

Było to niepojęte, a jednak stanowiło właśnie odrębność roli, którą obaj ze Steinem narzuciliśmy niechcący Jimowi w tym jedynym celu, aby usunąć go z drogi, rozumie się, jego własnej. Zmierzaaliśmy przede wszystkim do tego, choć przyznaję, może istniała jeszcze inna przyczyna, która na mnie trochę wpłynęła. Miałem właśnie wrócić na pewien czas do Anglii i kto wie, czy nie pragnąłem, raczej podświadomie, osadzić, gdzieś Jima, rozumiecie? osadzić go gdzieś przed wyjazdem. Wracalem do kraju, a on właśnie stamtąd do mnie przybył ze swą nieszczęsną zgryzotą i niejasnymi uroszczeniami, jak człowiek dyszący pod ciężarem, który go przywalił wśród mgły. Nie mogę powiedzieć, abym go kiedykolwiek widział wyraźnie, nawet i dzisiaj, po naszym ostatnim spotkaniu; ale zdawało mi się, że im mniej go rozumiem, tym bardziej czuję się z nim związany w imię tych wątpliwości, które stanowią nierozłączną część ludzkiego poznania. O samym sobie wiedziałem niewiele więcej, a przy tym, powtarzam, wracałem do kraju, do tego kraju tak odległego, że wszystkie jego domowe ogniska zlały mi się w jedno ognisko, u którego najskromniejszy z nas ma prawo zasiąść. Tysiące nas wędrują po obliczu ziemi, sławni lub nieznani, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku. Wracamy, aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół, tych, którym jesteśmy winni posłuszeństwo, i tych, których kochamy. Lecz nawet ludzie niemający ani jednych, ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków, nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze znane głosy, muszą się spotkać z duchem przenikającym kraj, duchem, którego pełno jest pod niebem, w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach — z niemyim przyjacielem, sędzią, i natchnionym doradcą. Mówcie sobie, co chcecie, lecz jeśli pragniemy w swym kraju zaznać radości, odetchnąć jego spokojem i spojrzeć w oczy jego prawdzie, musimy wrócić z czystym sumieniem. Może to wszystko wyda się wam po

Księżyc

Wiedza

Dom, Sumienie, Siła

¹²⁶zapoznany (daw.) — niedoceniony. [przypis edytorski]

prostu sentymentalizmem; ale naprawdę bardzo niewielu z nas czuje ochotę lub też posiada umiejętność świadomego spojrzenia w głąb znanych nam wzruszeń. Zaprzatają nas kobiety, które kochamy, mężczyźni, których szanujemy, tkliwość, przyjaźń, różne szczęśliwe sposobności, rozrywki! Ale faktem jest niezaprzeczonym, że nagrody swej trzeba dotknąć czystymi rękoma, aby nie obróciła się w zeschnięte liście i ciernie. Zdaje mi się, że ludzie zupełnie samotni, ci, co nie mają ani własnego ogniska, ani przywiązania bliskiej istoty, którzy powracają nie do domu, ale do kraju, aby zetknąć się z jego bezcielesnym, wiecznym, niezmiennym duchem, że oni właśnie rozumieją najlepiej jego surowość, jego zbawczą siłę i łaskę, która jest jego przedwieczne prawo do naszej wierności i do naszego posłuszeństwa. Tak! Niewielu z nas to rozumie ale jednak czujemy to wszyscy, powtarzam: wszyscy bez wyjątku, albowiem ci, którzy tego nie czują, wcale się nie liczą. Każde źdźbło trawy ma swoje miejsce na ziemi skąd czerpie życie i siłę; i tak samo człowiek jest wrośnięty w kraj, z którego czerpie swą wiarę wspólną z życiem.

Nie wiem, jak dalece Jim to rozumiał, ale wiem, że czuł, czuł bezładnie, lecz dojmująco wymagania tej prawdy czy tego złudzenia, wszystko mi jedno, jak to nazwiecie, tak drobna jest między tym różnica i tak małą ma wagę. Cała rzecz w tym, że właśnie z powodu owych uczuć Jim wchodził tutaj w rachubę. Powiedział, że nigdy już do kraju nie wróci. Nigdy! Gdyby był zdolny do malowniczego okazywania swych uczuć ujrzelibyście, jak jest wstrząśnięty — i wami by też wstrząsnęło. Ale nie należał do ludzi tego pokroju, choć po swojemu umiał wcale dobrze wyrazić, co czuje. Na myśl o powrocie do kraju kostniał w rozpaczliwym bezruchu, z głową opuszczoną na piersi i bolesnym grymasem na ustach; jego niewinne błękitne oczy jarzyły się ciemnym blaskiem pod ściągniętymi brwiami, jak wobec czegoś oburzającego, czego niepodobna znieść. Miał dużo wyobraźni pod tym swoim twardym czerepem, okrytym gęstymi, wijącymi się włosami niby czapką. Jeśli chodzi o mnie, który wyobraźni nie posiadam (gdybym ją miał, wiedziałbym dziś więcej o Jimie), nie chcę dać wam do zrozumienia, iż spodziewałem się ujrzeć ducha Anglii unoszącego się nad białymi skałami Dover i usłyszeć, jak mnie zapyta, wracającego, że tak powiem, z całymi kośćmi, co uczyniłem z moim młodszym bratem? Tak dalece mylić się nie mogłem. Wiedziałem dobrze, że Jim należy do tych, o których się nikt nie zatroszczy; widziałem, jak ludzie bardziej od niego wartościowi znikali, przepadali na zawsze, nie wywołując żadnego odruchu ciekawości lub smutku. Duch kraju, jak przystoi kierownikowi wielkich przedsięwzięć, nie dba o jednostki. Biada maruderom! Istniejemy tylko póty, póki trzymamy się razem. A Jim się w pewien sposób zawieruszył; nie umiał dotrzymać kroku. Lecz zdawał sobie z tego sprawę tak głęboko, że to chwyciło za serce. To owa zdolność w ludziach do siły czucia sprawia, że śmierć człowieka bardziej nas wzrusza niż śmierć drzewa. Tak się złożyło, że znalazłem się na drodze Jima i że jego los mnie wzruszył. To wszystko. Niepokoiło mnie, jak się Jim z tego wyplącze. Bolałoby mnie, gdyby na przykład zaczął pić. Ziemia jest taka mała, że lękałem się, aby nie zaczął mnie kiedyś utyłać wólcęga o niepewnym spojrzeniu i zapuchniętej twarzy, w płóciennych trzewikach bez podeszew, z łachmanami powiewającymi naokoło łokci, i aby mnie nie poprosił, na podstawie dawnej znajomości, o pożyczanie pięciu dolarów. Znacnie przecież okropny, bezceremonialny sposób bycia tych strasznych, przychodzących do nas ze swojej przyzwoitej przeszłości, chrapliwy, niedbały ich głos, bezczelny wzrok unikający naszych oczu; takie spotkania cięższe są dla człowieka wierzącego w solidarność obowiązującą nas w życiu niż dla księdza widok grzesznika, który się nie kaja na łożu śmierci. Jeżeli mam powiedzieć prawdę, było to jedyne niebezpieczeństwo, jakiego się obawiałem i dla Jima, i dla siebie; ale może tu gra rolę mój brak wyobraźni, bo przecież mogło dojść do jeszcze gorszych rzeczy, których nie byłem w stanie przewidzieć. Jim nie pozwalał mi zapomnieć, jak bujną ma fantazję, a tacy ludzie zapędzają się dalej od innych, w jakimkolwiek idą kierunku, jakby tkwili u końca dłuższej liny na niepewnym kotwowisku życia. Tak właśnie bywa. A często się rozpijają. Może to moje przewidywania krzywdziły Jima. Któż by to mógł powiedzieć? Nawet Stein zdobył się tylko na orzeczenie, że Jim jest romantykiem. Na jakiej podstawie? Ja wiedziałem tylko, iż jest jednym z nas.

Opowiadam wam tyle o swych własnych instynktownych uczuciach i mętnych rozmyślaniach, ponieważ o Jimie tak mało mi już pozostaje do powiedzenia. Jim istniał dla mnie, a przecież dla was on tylko przeze mnie istnieje. Wziąłem go za rękę, przyprowadziłem i przedstawiłem go wam uroczyście. A czy wszystkie moje przyziemne obawy

Kondycja ludzka,
Samotność, Pijaństwo

były uzasadnione? Nie chcę tego przesądzać, nawet dziś jeszcze. To wy raczej powinniście to wiedzieć, ponieważ przysłowie mówi, że kibice najlepiej się w grze orientują. Obawy moje okazały się płonne. Jim nie załamał się bynajmniej; przeciwnie, radził sobie wspaniale, szedł naprzód prosto jak strzała, i to w doskonałej formie, co dowodziło, że potrafi się zdobyć zarówno na wytrwałość, jak i na nagły wysiłek. Powiniennem być uszczęśliwiony, bo w tym zwycięstwie i ja odegrałem swą rolę; ale nie jestem z tego tak rad, jakbym się mógł spodziewać. Zapytuję siebie, czy rozmach Jima pomógł mu wydostać się z owej mgły, w której majaczyła jego postać o płynnych konturach — niezbyt wielka, ale interesująca — postać marudera tęskniącego bez ustanku za swym utraconym skromnym miejscem w szeregach. Zresztą ostatnie słowo jeszcze nie zostało wyrzeczone i prawdopodobnie nigdy wyrzeczone nie będzie. Może ludzkie życie trwa zbyt krótko, abyśmy mogli wypowiedzieć się w całej pełni, choć oczywiście to jest jedyny cel, który stale przyświeca ludziom podczas ich nieudolnego bełkotu. Przestałem już wyczekiwać tych ostatecznych słów, których dźwięk, gdyby go można było zdobyć, wstrząsnąłby niebem i ziemią. Nie starczy nam nigdy czasu na wypowiedzenie ostatniego słowa, słowa naszej miłości, naszych pragnień, wiary, wyrzutów sumienia, poddania się, buntu. Nie należy wstrząsać niebem i ziemią. W każdym razie nie jest to dozwolone nam, którym się zdaje, że tyle prawd wiemy o niebie i o ziemi. Moje ostatnie słowa o Jimie będą krótkie. Twierdzą, że osiągnął wielkość; ale wielkie sprawy w opowiadaniu maleją, a raczej ludzie skłonni są pomniejszać je, słuchając. Mówiąc szczerze, ja nie dowierzam waszym duszom, a nie moim słowom. Potrafiłbym się zdobyć na wymowę, gdybym się nie obawiał, że głodziliście swą wyobraźnię, aby sycić ciało. Nie chciałbym was urazić; nie mieć złudzeń jest rzeczą godną szacunku, bezpieczną, korzystną i nudną. Ale i wy także musieliście kiedyś zaznać tej pełni życia, owego blasku czczej świetności, która wzniecana bywa starciem się błaheństw. Blask ten jest równie zdumiewający jak żar iskier wydartych zimnemu głazowi — i równie krótkotrwały, niestety!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Zdobycie miłości, honoru, ludzkiego zaufania, a stąd rosnąca duma i siła są tematem do bohaterskiej opowieści; ale na ludzkie umysły najbardziej oddziaływa strona zewnętrzna każdego powodzenia, a w powodzeniu Jima wcale strony tej nie było. Trzydzieści mil lasu odcinało jego tryumf od oczu obojętnego świata, a szum białej piany wzdłuż wybrzeża tłumiał głos sławy. Rzeka cywilizacji rozdzwaja się, jakby napotkała przeszkodę sto mil na północ od Patusanu; rozgałęzia się na wschód i południo-wschód, odcinając i pozostawiając w zaniedbaniu równiny i wąwozy tego kraju, jego stare drzewa i starą ludność — niby nieznaczną, kruszącą się wysepkę między dwojgiem ramion potężnego, zachłannego strumienia. Stare opisy podróży wymieniają Patusan dość często. W siedemnastym wieku kupcy udawali się tam po pieprz, gdyż namiętność do pieprzu zdawała się gorzeć jak miłosny płomień w piersi angielskich i holenderskich podróżników z czasów Jakuba Pierwszego¹²⁷. Dokąd oni się nie zapuszczali po ten pieprz! Dla worka pieprzu byłiby bez najmniejszego wahania poderżnęli sobie nawzajem gardła i zaparli się własnych dusz, o które skądinąd dbali tak bardzo; dziwaczna uporczywość tego pragnienia zmuszała ich do wyzywania śmierci pod tysiącnymi postaciami: nieznanymi mórz, wstrętnych i dziwacznych chorób, ran, niewoli, głodu, zarazy i rozpaczy. Dalibóg, że ci ludzie stawali się wielcy! Stawali się bohaterscy! A nawet i wzruszający w swej żądzy handlu strzeżonego przez nieugiętą śmierć, pobierającą myto od młodych i starych. Wydaje się nie do wiary, aby zwykła chciwość mogła wzbudzić tak nieustępliwe dążenie do celu, taką ślepa zawziętość w wysiłkach i poświęceniu. Zaiste, ci, którzy wystawiali na sztych swe zdrowie i życie, ryzykowali wszystko, co mieli, w zamian za bardzo nikłą nagrodę. Zostawiali swe kości bielejące po dalekich wybrzeżach, aby utorować drogę bogactwu płynącemu do kraju — dla żywych. Nam, ich lżej doświadczanym następcom, ukazują się wyolbrzymieni; nie widzimy w nich agentów handlowych, lecz narzędzia przeznaczenia; parli w nieznanie, gnani nurtującym ich wewnętrznym głosem, porywem tętniącym we krwi, marzeniem o przyszłości. Byli nadzwyczajni i trzeba przyznać, że byli gotowi na wszystko,

Bohaterstwo

¹²⁷Jakub I Stuart (1566–1625) — król Szkocji (od 1567), który po śmierci królowej Elżbiety I jako jej krewny został królem Anglii (od 1603), co zapoczątkowało unię personalną Anglii ze Szkocją. [przypis edytorski]

co nadzwyczajne. Podkreślali to z upodobaniem, opisując swoje cierpienia, wygląd mórz, obyczaje obcych ludów i chwałę wspaniałych władców.

W Patusanie znaleźli mnóstwo pieprzu i byli pod wrażeniem chwały i mądrości panującego tam sultana; lecz jak się zdaje, po stuleciu zmiennych stosunków handel zaczyna stopniowo coraz bardziej w owym kraju słabnąć. Może pieprz się wyczerpał. Tak czy inaczej, nikt już się teraz Patusaniem nie interesuje; wspaniałość znikła z dworu władcy, a sultanem jest młody półglówek o dwóch wielkich palcach u lewej ręki i marnym, niepewnym dochodzie, wyciskanym z nędznej ludności i kradzionym przez licznych wujów.

Tęgo dowiedziałem się naturalnie od Steina. Powiedział mi, jak się ci wujowie nazywają, i dał krótki opis życia i charakteru każdego z nich. Stein był naszpikowany wiadomościami o państwach tuziemczych jak urzędowy raport, tylko że jego informacje były daleko bardziej zajmujące. *Musiał* wiedzieć o wszystkim. Prowadził tak rozległy handel, a w niektórych obwodach, jak na przykład w Patusanie, tylko jego firma miała agencję za specjalnym pozwoleniem władz holenderskich. Rząd ufał jego dyskrecji, z układu zaś wynikało, że Stein ponosi całe ryzyko przedsięwzięcia. Ludzie, których tam obsadzał, zdawali sobie również z tego sprawę, ale widać Stein wynagradzał ich tak hojnie, że im się to opłacało. Rozmawiał ze mną zupełnie otwarcie przy rannym śniadaniu. Według jego wiadomości (ostatnie datowały się sprzed trzynastu miesięcy, jak to stwierdził z całą dokładnością), zwykłym stanem rzeczy w Patusanie była absolutna niepewność życia i mienia. Działy tam wrogie sobie siły, a jedną z nich był radża Allang, sprawujący władzę nad rzeką, najgorszy z wujów sultana. Dopuszczał się na ludności zdzierstw, kradzieży i tak ciemniżył krajowców, jakby ich chciał wytepić, ci zaś byli zupełnie bezbronni i nie mogli nawet szukać ucieczki w emigrowaniu, bo jak zauważył Stein, „dokądby się udali i jakby się mogli z Patusanu wydostać?”. Z pewnością nawet nie pragnęli uciec. Świat (który jest otoczony wyniosłymi, nieprzebytymi górami) został oddany w ręce wysoko urodzonych; swojego radzę znali, pochodził z ich własnego królewskiego rodu. Miałem sposobność spotkać się później z tym dżentelmenem. Był to brudny, niski, zużyty starzec o złych oczach i ustach zdradzających słabość charakteru; co dwie godziny łykał pigułkę opium i wbrew podstawowym zasadom przyzwoitości chodził z odkrytą głową, przy czym włosy spadały mu w rozkudłanych strąkach na brudną, wyschniętą twarz. Udzielając audiencji, wdrapywał się na coś w rodzaju wąskiej estrady, która znajdowała się w hali przypominającej zniszczoną stodołę; przez szpary w zbutwiałej bambusowej podłodze można było dostrzec, dwanaście czy piętnaście stóp poniżej, kupy śmieci i wszelkich odpadków leżące pod domem. Wśród takich to okoliczności przyjął mnie radża, gdy w towarzystwie Jima złożyłem mu ceremonialną wizytę. Około czterdziestu osób było w sali przyjęć i ze trzy razy więcej w dole na wielkim dziedzińcu. Podczas audiencji panował ciągły ruch, ludzie wchodzili i wychodzili, popychając się i szepcząc za naszymi plecami. Kilku młodzieńców w jasnych jedwabiach gapiło się na nas z daleka; większość obecnych, niewolnicy i pośledniejsi dworzanie, była na wpół nago, w podartych sarongach, ubrudzona popiołem i błotem. Nie widziałem nigdy Jima wyglądającego tak poważnie, był bardzo opanowany; wyglądał tajemniczo i imponująco. Pośród tych wszystkich ciemnocyłych ludzi jego białe odziana krzepka postać i połyskliwe fale jasnych włosów zdawały się pochłaniać cały blask słońca, który się sączył przez szczeliny i zamknięte okiennice tej mrocznej hali o ścianach z mat i dachu pokrytym strzechą. Jim wydał mi się stworzeniem nie tylko innego rodzaju, ale wprost z innej gliny. Gdyby ci ludzie nie wiedzieli, że przyjechał czółnem, mogliby pomyśleć, iż zstąpił do nich z chmur. A tymczasem przybył w popękany czółnku, siedząc na blaszanej skrzynce, którą mu pożyczyłem; nogi miał ściśnięte i siedział prawie bez ruchu, aby czółna nie wywrócić, a na jego kolanach leżał rewolwer systemu używanego w marynarce (dostał go ode mnie przed wyjazdem). Czy to wskutek zarządzenia Opatrzności, czy jakiejś upartej myśli, co zupełnie na Jima patrzyło¹²⁸, czy po prostu wskutek instynktownej roztropności Jim postanowił rewolweru nie nabijać. Tak oto jechał w górę rzeki do Patusanu. Trudno o coś bardziej prozaicznego i niebezpiecznego od tej przeprawy, tak szalonej a tak samotnej. Dziwny jest fatalizm, który nadawał wszyst-

Władza

¹²⁸co zupełnie na Jima patrzyło (przestarz.) — co było zupełnie podobne do [zachowania] Jima. [przypis edytorski]

kim czynom Jima charakter ucieczki, dezercji dokonanej pod wpływem nieobliczalnego porywu, skoku w nieznaną.

Co mnie najbardziej w tym wszystkim uderza, to właśnie przypadkowość. Kiedy, obaj ze Steinem — mówiąc w przenośni — unieśliśmy Jima i przrzuciliśmy go przez mur bez wielkich ceremonii, żaden z nas nie miał wyraźnego pojęcia, co się może znajdować po tamtej stronie. Pragnąłem wówczas tylko doprowadzić do zniknięcia Jima. Charakterystyczne jest, że Steinem powodowały motywy natury uczuciowej. Powziął myśl, aby spłacić (sądzę, że w naturze) pewien stary dług — o którym nie zapomniał. Przez całe życie okazywał istotnie szczególną serdeczność wszystkim, którzy pochodzili z wysp brytyjskich. Wprawdzie nieżyjący już dobroczyńca Steina był Szkotem, i to do tego stopnia, że się nazywał Aleksander Mac Neil, Jim zaś pochodził z okolic leżących dobry szmat na południe od Szkocji, lecz z odległości sześciu czy siedmiu tysięcy mil Wielka Brytania, choć bynajmniej nie pomniejszona, ukazuje się nawet własnym dzieciom w znacznym skrócie, odejmującym wagę podobnym szczegółom. Można to Steinowi wybaczyć; jego zamiary, o których mi napomykał, były tak hojne, iż prosiłem go z całą powagą, aby do czasu zachował je w tajemnicy. Czułem, że względy osobistej korzyści nie powinny oddziaływać na Jima, że nie należy go nawet narażać na ryzyko takiego wpływu. Mieliliśmy przed sobą rzeczywistość innego rodzaju. Jim potrzebował schronienia; to schronienie, okupione niebezpieczeństwem, należało mu umożliwić — i nic poza tym.

Pod wszystkimi innymi względami byłem z Jimem zupełnie otwarty, a nawet (jak mi się wówczas zdawało) przesadzałem wobec niego groźne warunki przedsięwzięcia. W istocie zaś nie byłem w całej pełni świadomy niebezpieczeństw, jakie go czekały; pierwszy dzień jego pobytu w Patusanie ledwie że się nie stał ostatnim, co byłoby nastąpiło, gdyby Jim zachował się mniej lekkomyślnie lub też mniej twardo względem samego siebie: gdyby był zechciał łaskawie nabić rewolwer. Pamiętam, że kiedy rozwijałem przed Jimem nasze szacowne plany, dążące do tego, aby mu zapewnić schronienie, jego uparta, lecz znużona rezygnacja przemieniała się stopniowo w zdumienie, zainteresowanie, podziw i wreszcie zapal chłopięcy. To była właśnie owa sposobność, o której marzył. I nie miał pojęcia, czym sobie na to zasłużył, abym ja... Niech go licho, jeśli rozumie, czemu zawdzięcza... I to właśnie Stein, kupiec Stein, który... ale to naturalnie tylko dzięki mnie... Przerwałem mu. Nie umiał się wypowiedzieć, a jego wdzięczność sprawiała mi niezrozumiałą ból. Oświadczyłem, że jeśli istotnie zawdzięcza komuś tę szczęśliwą okazję, to wyłącznie staremu Szkotowi, o którym nigdy nie słyszał i który umarł przed wielu laty; niewiele wspomnień po nim zostało, pamiętano tylko jego stentorowy¹²⁹ głos i pewnego rodzaju szorstką uczciwość. Poza Mac Neilem nie było nikogo, komu by się należały podziękowania Jima. Stein zwracał młodemu człowiekowi pomoc, którą sam otrzymał za swoich młodych lat, a co do mnie, to ja tylko wymieniłem jego nazwisko. Jim się na to zacerwienił i miętosząc w palcach skrawek papieru, zauważył nieśmiało, że ja mu przecież zawsze ufałem.

Powiedziałem, że tak jest w istocie, i po chwili milczenia dodałem, że pragnąłbym, aby brał ze mnie przykład i ufał samemu sobie.

— A pan myśli, że ja tego nie robię? — zapytał niespokojnie i dokończył szeptem, że przede wszystkim trzeba mieć jakąś sposobność, aby się móc czymkolwiek wykazać. Wkrótce twarz jego się rozjaśniła i oświadczył głośno, iż nie da mi okazji do żalowania pokładanej w nim ufności, która... której...

— Niechże pan mnie zrozumie — przerwałem. — Nie w pana mocy jest sprawić, abym ja czegokolwiek żałował. Wszelkie żale z mej strony są wykluczone, a jeśliby do tego doszło, tylko mnie samego by to obchodziło. — Oświadczyłem poza tym, iż chcę, aby rozumiał, że ten układ, że ten... ten — eksperyment jest jego własną sprawą; jedynie on zań odpowiada i nikt więcej.

— Ale przecież... przecież — wyjąkał — to jest właśnie to, o co mi...

Poprosiłem go, żeby nie był głupi, na co zrobił minę bardziej zdziwioną niż kiedykolwiek; dodałem, iż jest na najlepszej drodze do tego, aby sobie zupełnie życie uniemożliwić... Zmieszał się i zapytał:

¹²⁹stentorowy głos — głos gromki, donośny jak głos Stentora, herolda opisanego w *Iliadzie*. [przypis edytorski]

— Czy pan tak naprawdę myśli? — a po chwili dodał z ufnością: — Ale przecież nie dawałem się, co?

Niepodobna było się gniewać na niego; nie mogłem powstrzymać śmiechu i rzekłem, iż w dawnych czasach ludzie postępujący tak jak on kończyli na tym, że zostawali pustelnikami na puszczy.

— Do licha z pustelnikami! — zawołał Jim z porywcznością pełną wdzięku. Natomiast, oczywiście, nie miał nic przeciw puszczy.

— Bardzo się z tego cieszę — odrzekłem i oświadczyłem mu, że tam właśnie ma się udać; mogłem go zapewnić, iż w puszczy będzie prowadził życie bardzo ożywione.

— Tak, tak — rzekł z entuzjazmem.

Przypomniałem mu, że przecież pragnął się usunąć i zatrzaskać drzwi za sobą...

— Pragnąłem się usunąć? — przerwał mi i dziwnie sposepniał, jakby cień przelotnej chmury ogarnął go nagle od stóp do głów. Ileż on miał jednak wyrazu! — Usunąć się? — powtórzył z goryczą. — Nie powie pan chyba, że o to zrobiłem gwałt. I do licha! potrafiłbym dalej tak żyć, ale pan pokazuje mi wyjście.

— Tak jest, a zatem w drogę! — odrzekłem. Mogłem przyrzec mu oczywiście, że podwoje zatrzasną się za nim na amen. Jego los, jakimkolwiek będzie, pozostanie niezmany, ponieważ mimo rozprzężenia panującego w Patusanie uważają ten kraj za niedojrzały do interwencji. Z chwilą kiedy Jim tam się znajdzie, wszyscy zapomną o nim tak zupełnie, jak gdyby nigdy nie istniał. Będzie musiał polegać wyłącznie na samym sobie, a przede wszystkim stworzyć sobie grunt pod nogami.

— Tak jakbym nigdy nie istniał... Na miły Bóg, o to właśnie mi chodzi! — szepnął do siebie. Jego oczy, wpatrzone we mnie, błyszczały.

Rzekłem w końcu, że jeśli zrozumiał dokładnie okoliczności tej sprawy, niech skoczy w pierwszy lepszy powozik i pojedzie do Steina po ostatnie wskazówki. Wypadł z pokoju, nim jeszcze skończyłem mówić.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Wrócił dopiero nazajutrz. Zatrzymano go na obiedzie i na noc. Oświadczył, że pan Stein jest najcudowniejszym człowiekiem na świecie. Jim miał w kieszeni list do Corneliusa („To ten facet, którego trzeba będzie wysiudać” — objaśnił, przy czym uniesienie jego na chwilę przygasało) i pokazał mi z radością srebrny pierścień, taki, jakich używają krajowcy, bardzo wytarty, z nikłymi śladami rytych ozdób.

Ów pierścień miał służyć za list rekomendacyjny do pewnego staruszka imieniem Doramin, jednego z najpoważniejszych ludzi w Patusanie, wielkiej figury; pan Stein przyjaźnił się z nim tam, gdzie go spotkały te wszystkie przygody. Pan Stein nazywa Doramina „kolegą z pola bitwy”. To ładnie powiedziane, prawda? Czy nie świetnie mówi pan Stein po angielsku? Powiedział, że nauczył się angielskiego na Celebesie, to nie do uwierzenia! Strasznie zabawne, prawda? Pan Stein mówi z takim jakimś akcentem, jakby przez nos, czy zauważyłem? Właśnie ten stary Doramin dał pierścień panu Steinowi. Zamienili dary, żegnając się po raz ostatni. Była to jak gdyby obietnica wiecznej przyjaźni. Jim uważa, że to jest piękne, czy nieprawda? Obaj razem musieli się ratować ucieczką, kiedy ten Mohammed... Mohammed... jak on się tam nazywał, został zabity. Muszę naturalnie znać tę historię. To było doprawdy haniebane, co?

Plótł tak bez końca, zapominając o jedzeniu (zastał mnie przy śniadaniu), z nożem i widelcem w ręku, lekkimi rumieńcami na policzkach i znacznie pociemniałymi oczyma, co było u niego zawsze oznaką podniecenia. Ten pierścień jest czymś w rodzaju listu wierzitelnego („Zupełnie, jakby się czytało o tym w książkach” — wtrącił z uznaniem) i Doramin zrobi dla Jima wszystko, co tylko będzie mógł. Pan Stein ocalił życie temu Malajowi przy jakiejś sposobności, był to zwykły przypadek, według słów pana Steina, ale on, Jim, ma o tym własne zdanie. Pan Stein to jest właśnie ten rodzaj człowieka, który czyha na takie przypadki. Ale mniejsza z tym. Czy to był przypadek, czy nie, w każdym razie okoliczność ta ogromnie się Jimowi przysłuży. Tylko daj Boże, aby pocziwy staruszek nie przespacerował się tymczasem na tamten świat! Pan Stein nie umiał nic o tym powiedzieć. Już przeszło rok nie było stamtąd żadnych wiadomości; tarmoszą się tam

wciąż nie na żarty, a rzeka jest niedostępna. To doprawdy bardzo niewygodne; ale nie ma strachu, już on, Jim, potrafi wśliznąć się tam przez jakąś szparkę.

Jego radosna gadatliwość zrobiła na mnie przykre wrażenie, prawie mnie przestraszyła. Paplał jak wyrostek w przeddzień wakacji, po których się spodziewa rozkosznych przygód; a taki stan ducha u dorosłego człowieka wśród podobnych okoliczności miał w sobie coś osobliwego; sprawiało to wrażenie, że Jim jest nerwowy, że tkwi w tym jakiegoś niebezpieczeństwo. Chciałem go właśnie zakłąć, aby się odniósł poważnie do rzeczy, gdy nagle położył nóż i widelec (zaczął właśnie jeść, a raczej jakby nieświadomie połykać jedzenie) i jął czegoś szukać naokoło swego talerza. Pierścień! pierścień! Gdzież, u diabła... Aha! jest. Zamknął go w swej okazałej dłoni i zaczął po kolei chować go do wszystkich kieszeni. Na Boga! żeby go tylko nie zgubić. Zamyślił się poważnie. Aha! zawiesi go sobie na szyi. I zabrał się do tego natychmiast, wyciągnąwszy z kieszeni sznurek wyglądający na kawał bawełnianego sznurowadła. O tak. W porządku. To by dopiero był kawał, gdyby... Dostrzegł jakby po raz pierwszy moją twarz i to go trochę uspokoiło. Oświadczył z naiwną powagą, że prawdopodobnie nie zdaje sobie sprawy, jaką on wielką wagę przywiązuje do tego symbolu. Przecież to zadatek przyjaźni; a dobra to rzecz mieć przyjaciela. On coś wie o tym. Skinął ku mnie wyraziście głową, a gdy uczyniłem gest, jakbym się do niczego nie przyznawał, oparł głowę na rękę i siedział tak przez chwilę, milcząc i bawiąc się w zamyśleniu okruszynami chleba na obrusie.

— Zatrzasnąc drzwi za sobą — to świetnie powiedziane — zawołał; zerwał się i zaczął chodzić po pokoju, przypominając mi zarysem ramion, sposobem trzymania głowy, porywczy, nierównym krokiem ową noc, gdy tak chodził, spowiadając się, tłumacząc, czy jak tam chcecie, a przede wszystkim żyjąc, żyjąc przed moimi oczami w cieniu swej hańby i wysilając całą swą podświadomą chytryść, która umiała wysnuć pociechę z samego źródła zgryzoty. Taki sam duch ożywił go dzisiaj, taki sam, a zarazem inny, niby płochy towarzysz, który dziś prowadzi po właściwej ścieżce, a jutro, tym samym krokiem, z tym samym wyrazem oczu, z tym samym impetem, powiedzie na beznadziejne manowce. Krok Jima był pewny, a jego błędzące pociemniałe oczy przebiegały pokój, jakby czegoś szukając. Stąpienie jednej z jego nóg rozlegało się głośniejsze, z pewnością wskutek jakiejś wady w obuwiu, co robiło dziwne wrażenie, jakby kulał niewidocznie. Wepchnął rękę głęboko w kieszeń spodni, drugą zaś machnął nagle nad głową:

— Zatrzasnąc drzwi! — krzyknął. — Na to właśnie czekałem. Ja jeszcze pokażę... Ja... Jestem gotów na każdą, psiakrew, awanturę... Marzyłem o tym... Miły Boże! Wydostać się stąd. Miły Boże... To jest nareszcie sposobność... Niech pan tylko poczeka! Ja jeszcze...

Potrząsnął głową nieustraszenie; wyznaje, iż po raz pierwszy i ostatni w ciągu naszej znajomości spostrzegłem niespodzianie, że mam już Jima dosyć. Po co ta pusta gadanina? Rozbijał się po pokoju, wywijając idiotycznie ręką, a od czasu do czasu chwycił się za pierś, szukając pod ubraniem pierścionka. To uniesienie nie miało najmniejszego sensu u człowieka, który zamierzał objąć posadę agenta handlowego, i to w miejscowości, gdzie wcale handlu nie było. Po co rzucać wyzwanie całemu światu? Powiedziałem mu, że taki stan ducha nie jest odpowiedni w chwili, gdy się człowiek podejmuje jakiegokolwiek zadania, i że to, co mówię, odnosi się nie tylko do niego, ale do wszystkich. Stał nade mną bez ruchu.

— Tak pan uważa? — zapytał, bynajmniej nie zbity z tropu, z uśmiechem, w którym spostrzegłem nagle coś na kształt zuchwalstwa. Ale ja przecież byłem starszy od niego o lat dwadzieścia. Młodość *jest* zuchwała; to jej prawo, to jest nieuniknione; młodość powinna okazywać, że jest pewna siebie. A na tym świecie pełnym zwątpienia każde zaznaczenie swej pewności jest zuchwałością, jest wyzwaniem. Jim odszedł w daleki kąt pokoju i wracając, rzucił się na mnie, w przenośni, jakby mnie chciał rozszarpać. Oświadczył, że mówię tak, ponieważ nawet ja, od którego doznał tyle dobrego, nawet ja, pamiętam... pamiętam mu to, co się zdarzyło. A cóż dopiero mówić o innych, o... o świecie? Więc cóż w tym dziwnego, że chce zniknąć, że postanowił zniknąć, usunąć się zupełnie, na Boga! A ja mu prawię o odpowiednim stanie ducha!

— To wcale nie ja pamiętam ani też świat pamięta! — krzyknąłem. — To pan, pan sam wciąż o tym pamięta.

Nie zmienił postawy i ciągnął zapalczywie:

Młodość

— Zapomnieć o wszystkim, o wszystkim, wszystkich... — głos jego opadł — prócz pana — dodał.

— O mnie także, jeśli to panu może pomóc — rzekłem również po cichu.

Milczeliśmy czas jakiś apatycznie, jakby do cna wyczerpani. Potem Jim zaczął mówić spokojnie, że pan Stein polecił mu poczekać z jakiś miesiąc dla zbadania, czy będzie mógł tam pozostać, nim zacznie budować dla siebie nowy dom; trzeba unikać „marnych wydatków”. Pan Stein używa takich dziwnych wyrażań! „Marne wydatki” — to pyszne! Naturalnie, że Jim tam pozostanie. Wytrwa. Byle się tylko tam wśliznął, to mu wystarczy; ręczy, że pozostanie na miejscu. Nigdy się stamtąd nie ruszy. Łatwo mu przyjdzie tam zostać.

— Niech pan nie będzie zuchwały — rzekłem, zaniepokojony jego groźnym tonem. — Jeśli pan tylko dość długo pożyje, będzie pan chciał powrócić.

— Powrócić do czego? — zapytał z roztargnieniem, wpatrując się w zegar na ścianie. Milczałem przez chwilę.

— Więc to na zawsze? — rzekłem.

— Na zawsze — powtórzył marzącym tonem, nie patrząc na mnie; nagle ogarnęła go chęć działania. — Słowo daję, druga godzina, a ja wyruszam o czwartej!

To była prawda. Brygantyna¹³⁰ Steina odpływała na zachód tegoż popołudnia; Jim miał odbyć na niej podróż, a żadne rozkazy co do opóźnienia wyjazdu nie zostały wydane. Przypuszczam, że Stein o tym zapomniał. Jim pobiegł po swoje rzeczy, a ja się udałem na mój statek, gdzie mnie obiecał odwiedzić w drodze na zewnętrzną redę. Zjawił się niebawem w wielkim pośpiechu. W rękę trzymał małą skórzaną walizkę, która była zupełnie nieodpowiednia; ofiarowałem mu swój stary żelazny kufer, rzekomo nieprzemakalny, a w każdym razie nieprzepuszczający wilgoci. Jim przepakował rzeczy w taki sposób, że wsypał zawartość walizy do kufra jak worek pszenicy. Zobaczyłem w trakcie tego przesytywania trzy książki: dwie małe w ciemnych oprawkach i gruby zielono-złoty tom — tanie wydanie Szekspira.

— Pan to czyta? — zapytałem.

— Aha. Nic tak człowieka nie krzepi — rzekł pośpiesznie.

Uderzyło mnie to zdanie, ale nie było czasu na rozmowę o Szekspirze. Ciężki rewolwer i dwa małe pudełka naboju leżały na stole w kajucie.

— Proszę, niech pan to weźmie — rzekłem. — To panu pomoże tam pozostać. — Ledwie wymówiłem te słowa, spostrzegłem, że mogą mieć ponure znaczenie. — Tam się przedostać — poprawiłem się ze skruchą.

Ale mętne aluzje nie czepiały się Jima; podziękował mi z wylaniem¹³¹ i wypadł, wólając przez ramię do widzenia. Usłyszałem zza burty głos jego poganiający wiosłarzy; wyrzawszy przez tylny iluminator, zobaczyłem łódź okrążającą konchę rufy. Jim siedział pochylony naprzód, nagle do pośpiechu wiosłarzy głosem i ruchami, a ponieważ trzymał jeszcze rewolwer i zdawał się mierzyć w ich głowy, nie zapomnę nigdy przerażonych twarzy czterech Jawajczyków ani szalonego tempa ich wiosła, które uniosły tę wizję sprzed moich oczu. Odwróciwszy się, ujrzałem zaraz na stole oba pudełka z nabojami. Zapomniał je zabrać.

Kazałem natychmiast spuścić gig¹³², lecz wiosłarze Jima, przekonani, że ich życie wisi na włosku, póki mają w łodzi tego wariata, posuwali się z taką szybkością, że nim się znalazłem na pół drogi między obu statkami, ujrzałem, iż Jim wspina się na barierę, a za nim dźwigają jego bagaż. Wszystkie żagle brygantyny były odwiązane, żagiel główny postawiony, a wyciąg kotwiczny zaczynał już szczerkać, gdy wstąpiłem na pokład; szyper, mały, zwinnie Metys liczący około czterdziestki, w granatowym flanelowym ubraniu, podszedł do mnie z ugrzecznionym uśmiechem. Miał ruchliwe oczy, okrągłą twarz cytrynowego koloru i cienki czarny wąsik okalający grube ciemne wargi. Okazało się, że — mimo zadowolonej z siebie i wesołej miny — Metys ma usposobienie markotne. W odpowiedzi na jakąś moją uwagę (Jim właśnie wówczas poszedł na dół na chwilę) rzekł: „Ach tak,

¹³⁰brygantyna — typ dwumasztowego żaglowca, posiadający na przednim maszcie ożaglowanie rejowe, a na tylnym ożaglowanie skośne. [przypis edytorski]

¹³¹z wylaniem (daw.) — wylewnie; serdecznie, dając wyraz uczuciom. [przypis edytorski]

¹³²gig — wiosłowa łódź okrętowa. [przypis edytorski]

Patusan!” Zawiezie „tego pana” do ujścia rzeki, ale „za nic na rzekę nie wstąpi”. Płynna angielszczyzna Metysa brzmiała, jakby ją wariat skompilował ze słownika. Gdyby pan Stein zażądał, aby „wstąpił na rzekę”, on (Metys) byłby „z całą czcią” (przypuszczam, że chciał powiedzieć: z całym szacunkiem, ale licho go wie) — „byłby z całą czcią przeciwstawił się temu ze względu na bezpieczeństwo posiadania”. Gdyby zaś na to nie zareagowano, byłby zgłosił „dymisję do opuszczenia statku”. Przed dwunastu miesiącami odbył tam swoją ostatnią podróż; choć pan Cornelius „przebłagał wiele ofiar” panu radcy Allangowi i „głównym ludnościom” na warunkach, które czyniły z handlu „sidła i popiół w ustach”, jednak mimo to jego (Metysa) statek był ostrzeliwany z lasów przez „nieodpowiednie oddziały”, i to w ciągu całej podróży w dół rzeki. Załoga „z powodu narażenia na członki pozostała, milcząc, w kryjówkach”, toteż brygantyna ledwie że nie osiadła na mieliźnie u ujścia rzeki, gdzie byłaby „znikoma poza ludzkim działaniem”. Na szerokiej, prostodusznej twarzy Metysa walczyły z sobą dwa uczucia: gniewna odraza do tych wspomnień i duma z własnej płynnej wymowy, której się przysłuchiwał z upodobaniem. Marszczył się i rozpromieniał, na przemian, śledząc z zadowoleniem na mojej twarzy niezaprzeczone wrażenie wywołane jego frazeologią. Ciemne zmarszczki przebiegały chyżo po spokojnym morzu, a brygantyna, z przednim topslem¹³³ przy maszcie i głównym bomem¹³⁴ pośrodku okrętu, wśród lekkich powiewów wydawała się oszołomiona. Metys opowiadał dalej, zgrzytając zębami, że radza jest „śmieszna hieną” (nie mam pojęcia, skąd on tę hienę wytrzasnął), a o kimś innym wyraził się, że jest bez porównania bardziej obłudny niż „broń krokodyla”. Śledząc jednym okiem krzątanie się załogi na dziobie, puścił wodze gadulstwu i pytłował gładko, porównując Patusan do „klatki z dzikimi bestiami, rozjuszonymi przez długą zatwardziałość”. Pewno chciał powiedzieć: bezkarność. Nie ma bynajmniej zamiaru, wołał, „wystawić się na widok, żeby go wplątali umyślnie w rozbójnictwo”. Przeciągłe okrzyki, nadające tempo ludziom wyciągającym kotwicę, skończyły się i Metys zniżył głos. „Mam dość za wiele po uszy tego Patusanu” — zakończył z energią.

Opowiadano mi później następującą historię: wskutek swej nierozwagi Metys doprowadził do tego, że go przywiązano za szyję powrozem z rotanu¹³⁵ do słupa wbitego w dziurę z błotem przed domem radcy. Spędził większą część dnia i całą noc w tej niezbyt miłej pozycji, ale są wszelkie dane po temu, że owa historia była pomyślana jako coś w rodzaju żartu. Metys zamyślił się posępnie, rozpamiętywał pewno te okropne wspomnienia, po czym powiedział coś klótliwym tonem do majtka, który szedł na rufę ku sterowi. Po chwili znów do mnie się zwrócił, oświadczając apodyktycznie i spokojnie, że zabierze tego pana do ujścia rzeki Batu Kring („miasto Patusan jest położone wewnątrz trzydzieści mil” — jak się wyraził). Ale według niego, ciągnął dalej, a zamiast pytłować jak przedtem przybrał znużony ton pełen głębokiego przeświadczenia, według niego ten pan jest już „na podobieństwo trupa”.

— Co? Co pan mówi? — zawołałem.

Przybrał przerażająco dziką postawę i udał znakomicie, że zadaje komuś cios w plecy. „Zupełnie jak trup zesłańca” — wyjaśnił z nieznośnie zarozumiałą miną, właściwą ludziom jego rasy, gdy sobie wyobrażają, że dokonali czegoś niezwykle mądrego. Dostrzegłem za jego plecami Jima, który uśmiechał się do mnie w milczeniu i podniósł rękę, zatrzymując wykrzyknik na moich ustach.

Metys, rozdęty własną wielkością, wydawał donośnym głosem rozkazy, reje obracały się, skrzypiąc, ciężki bom obrócił się z rozmachem, a my staliśmy obaj z Jimem jakby sam na sam, z lewej strony wielkiego żagla. Uścisnęliśmy sobie ręce i zamieniliśmy ostatnie spieszne słowa. Nie czułem już w sercu tej jakiejś tępej urazy, która mi jednak nie przeszkadzała przejmować się losem Jima. Idiotyczna paplanina Metysa nadała nędznym niebezpieczeństwom czyhającym na Jima więcej realności aniżeli rozważne wyjaśnienia Steina. Przy tej okazji znikł pewnego rodzaju formalizm, który przejawiał się zawsze w naszych stosunkach; zdaje się, że nazwałem Jima kochanym chłopcem, a on znów, usiłując

¹³³*topsel* — dodatkowy, górny, trójkątny żagiel przymasztowy, podnoszony przy niezbyt silnym wietrze. [przypis edytorski]

¹³⁴*bom* — pozioma belka zamocowana jednym końcem do masztu, służąca do przymocowywania dolnej krawędzi żagla. [przypis edytorski]

¹³⁵*rotan* (mal.) — *rattan*, ogólne określenie pnących palm z lasów tropikalnych Azji Płd.-Wsch., używanych do wyrobu plecionek. [przypis edytorski]

wyrazić mi swą wdzięczność, urwał w pół zdania na słowach: „mój stary”, jak gdyby grożące mu niebezpieczeństwa, przeciwstawione mym latom, zrównały nas niejako pod względem wieku i uczuć. Nastąpiła chwila prawdziwego i głębokiego porozumienia, które było nieoczekiwane i krótkotrwałe, niby przelotna wizja jakiejś wiecznej, jakiejś zbawczej prawdy. Jim starał się usilnie mnie uspokoić; rzekłbyś, z nas dwóch on był dojrzały.

— Wszystko będzie dobrze — mówił szybko i ze wzruszeniem. — Obiecuję panu, że będę dbał o siebie. O tak! — nie pozwolę sobie na żadne ryzyko, choćby najmniejsze. Oczywiście. Postanowiłem wytrwać. Niech się pan o mnie nie martwi. Słowo daję, mam wrażenie, że nic mi się złego stać nie może. To ci dopiero szczęście, co się zowie! Nie chciałbym zmarnować takiej wspaniałej okazji.

Wspaniałej okazji! No tak, to *była* wspaniała okazja, ale każda okazja jest tym, co człowiek z niej potrafi zrobić, a cóż ja mogłem przewidzieć?... Tak jak to Jim powiedział, nawet ja, nawet ja pamiętałem mu jego... jego nieszczęście. To była prawda. I najlepsze, co mógł zrobić — to odejść.

Mój gig znalazł się wkrótce za brygantyną; u tylnej bariery stał Jim na tle blasków zachodu; widziałem, jak wznosił czapkę wysoko ponad głowę. Dosłyszałem niewyraźny okrzyk:

— Dojdą... pana... o mnie... wieści.

O mnie czy ode mnie, nie umiem na pewno powiedzieć. Zdaje mi się, że o mnie. Blask morza mnie oslepił i nie mogłem dojrzeć Jima wyraźnie; to już mój los, że go nigdy dojrzeć wyraźnie nie mogę; ale zapewniam was, że nie wyglądał ani trochę „na podobieństwo trupa”, jak się o nim wyraził kraczący szyper. Dostrzegłem twarz tego Metysa-nieboraka wyzierającą Jimowi spod łokcia; była koloru i kształtu dyni. Metys też podniósł ramię, jakby chciał zadać cios z góry. *Absit omen!*¹³⁶

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Patusańskie wybrzeże (zobaczyłem je prawie w dwa lata później) jest równe, posępne i ciągnie się wzdłuż mglistego oceanu. Spod ciemnozielonego listowia krzewów i pnączy, odkrywających niskie skały, wypływają czerwone smugi niby katarakty¹³⁷ rdzy. Bagniste równiny ścielą się przy ujściu rzek, a za rozległymi lasami widać poszarpane, błękitne szczyty. Na pełnym morzu łańcuch wysp o ciemnych i pokruszonych sylwetach rysuje się w wiecznej, rozświetlonej mgłę jak resztki muru zwanego przez morze.

U jednej z odnóg ujścia Batu Kring leży wieś rybacka. Rzeka, zamknięta przez tak długi czas, była już wówczas dostępna i mały szkuner Steina, który mnie przywiózł, płynął mozolnie w górę na fali trzech przypływów, nie narażając się na ostrzeliwanie ze strony „nieodpowiednich oddziałów”. Taki stan rzeczy należał już do historii starożytnej, o ile można było wierzyć staremu naczelnikowi rybackiego osiedla, który przybył na pokład poniekąd w roli pilota. Byłem drugim z rzędu białym człowiekiem, jakiego w ogóle widział; mówił do mnie z zaufaniem i prawie wyłącznie na temat pierwszego białego, z którym się zetknął. Nazywał go tuanem Jimem, a ton jego relacji był dziwną mieszaniną poufałości i grozy. Opowiadał, że cała jego wieś pozostaje pod szczególną opieką tego władcy, co świadczyło, iż biały tuan uraz nie przechowywał. Jim uprzedził mnie, że wkrótce o nim usłyszę, i tak się też stało. Słyszałem o nim rzeczywiście. Rozpowiadano już historię o tym, jak przypływ zjawił się dwie godziny przed czasem, aby ułatwić Jimowi podróż w górę rzeki. Gadatliwy staruszek sam wówczas sterował i nie mógł się nadziwić owemu zjawisku. W dodatku chwała spadła wyłącznie na jego rodzinę. Syn jego i zięć wiosłowali; ale byli to młodzieńcy bez żadnego doświadczenia i nie spostrzegli szybkości, z jaką posuwało się czółno, póki im nie zwrócił uwagi na ów zdumiewający fakt.

Przybycie Jima do rybackiej wsi stało się błogosławieństwem, ale — jak to nieraz się zdarza — błogosławieństwo to poprzedziły przerażające wypadki. Tak wiele pokoleń minęło od czasu, gdy ostatni biały człowiek nawiedził rzekę, że zaginęła nawet tradycja tego faktu. Niepokojące było pojawienie się istoty, która zstąpiła między mieszkańców wioski i żądała nieustępliwie, aby ją zawieźć w górę rzeki do Patusanu; naleganie owej istoty było groźne, a hojność więcej niż podejrzana. Nikt nigdy o takim żądaniu nie słyszał.

¹³⁶*Absit omen!* (łac.) — Oby to nie było złą wróżbą! [przypis edytorski]

¹³⁷*katarakta* — próg rzeczny. [przypis edytorski]

To się nigdy jeszcze nie zdarzyło. Co powie radza? Co mógłby im za to zrobić? Większą część nocy spędzili na naradzie, lecz bezpośrednie niebezpieczeństwo, grożące ze strony dziwnego człowieka, wydało im się tak wielkie, że zajęli się w końcu przygotowaniem wywrotnego czółna. Kobiety rozpaczały głośno, gdy odbili od brzegu. Jakaś nieulekła stara wiedźma przekleła nieznanego.

Zasiadł w czółnie, jak wam już mówiłem, na swym blaszanym kufrze, piastując nabity rewolwer na kolanach. Ze względu na wywrotność członka musiał siedzieć bardzo ostrożnie, co jest wprost wyjątkowo męczące — i tak wjechał do kraju, który miał rozbrzmiewać chwałą jego cnót, od modrych szczytów w głębi łądu aż do białej wstęgi piany u wybrzeża. Minęli pierwszy zakręt; Jim stracił z oczu morze, którego fale w nieustającym nigdy wysiłku dźwigają się, opadają i nikną, by powstać znowu, istny obraz walczącej ludzkości — i ujrzał naprzeciw siebie nieporuszone lasy, wrosłe głęboko w ziemię, wznoszące się ku słonecznemu światłu, wieczne w tajemniczej potędze swej tradycji jak samo życie. A upragniona przez Jima sposobność towarzyszyła mu, zakwefiona, niby wschodnia oblubienica, czekająca, aby władca jej podniósł zasłonę. Jim był również dziedzicem tajemniczej i potężnej tradycji! Mówił mi jednak, że nigdy w życiu nie czuł się taki przybity i znudzony jak wówczas w tym czółnie. Jedynym ruchem, na który śmiał sobie pozwolić, było sięgnięcie jakby ukradkiem po skorupę kokosowego orzecha, która pływała między jego nogami; wylewał nią po trochu wodę ostrożnym, powściągliwym ruchem. Przekonał się, jak twardo siedzieć na pokrywie blaszanej skrzyni. Zdrowie miał niesłychane, lecz w ciągu tej podróży doznał kilka razy zawrotów głowy, a od czasu do czasu, na wpół zamroczony, starał się odgadnąć, jakich rozmiarów jest pęcherz, który pod wpływem słońca tworzy mu się na plecach. Dla rozrywki bawił się w rozpoznawanie, czy zamulony kształt, leżący przed nim na brzegu rzeki, jest kłodą drzewa, czy też aligatorem. Lecz bardzo prędko rozrywki tej zaniechał; przestała go bawić, ponieważ okazało się, że były to zawsze aligatory. Jeden z nich rzucił się do rzeki i o mało co nie wywrócił czółna. Ale podniecenie wywołane tym wypadkiem prędko minęło. Potem gdy jechali długim, pustym obszarem rzeki, Jim uczuł żywą wdzięczność dla gromady małp, które zeszły aż na sam brzeg i podniosły obelżywy wrzask na przejeżdżające czółno. W taki to sposób Jim zdążył do wielkości — najprawdziwszej, jaką kiedykolwiek człowiek osiągnął. Nade wszystko pragnął słońca — a tymczasem jego trzej wioślarze gotowali się do wykonania swego planu: zamierzali wydać go radzy.

— Zmęczenie musiało mnie ogłupić, a może się na pewien czas zdrzemnąłem — opowiadał mi.

Gdy się ocknął, czółno przybijało do brzegu. Zdał sobie sprawę natychmiast, że las pozostał za nimi; nieco wyżej spostrzegł domy, po lewej stronie częstokół, i ujrzał, że jego wioślarze wyskakują na niski przylądek i biorą nogi za pas. Odruchowo wyskoczył za nimi. Z początku nie mógł zrozumieć, dlaczego go porzucili, lecz zaraz usłyszał podniecone krzyki, wrota się otworzyły i wysypało się mnóstwo ludzi biegnących w jego stronę. Jednocześnie łódź pełna zbrojnych mężczyzn ukazała się na rzece i zbliżyła do pustego czółna, odcinając mu odwrót.

— Znadto byłem zaskoczony, aby zachować zimną krew — rozumie pan? Gdyby ten rewolwer był nabity, strzeliłbym do kogoś — do dwóch, może trzech ludzi, i to byłby mój koniec. Ale nie był nabity...

— Dlaczego? — zapytałem.

— Nie mogłem przecież walczyć z całą ludnością, a zresztą nie przybywałem do nich jak człowiek, który drży o swoją skórę — rzekł i spojrział na mnie z lekkim odcieniem dawnego chmurnego uporu w oczach.

Powstrzymałem się od uwagi, iż tamci nie mogli przecież wiedzieć, że komory rewolweru są puste. Ale Jim postępował według własnego przekonania.

— Tak czy inaczej, nie był nabity — powtórzył wesoło — więc też stałem po prostu bez ruchu i zapytałem, o co im chodzi. Wprawili ich to w osłupienie. Zobaczyłem, jak kilku tych złodziei unosi moją skrzynię. Stary długonogi łotr Kassim (pokażę go panu jutro rano) wybiegł do mnie i oświadczył pompatycznie, że radza chce mnie widzieć. Odpowiedziałem mu: „Dobrze, ja także chcę się z radzą zobaczyć”, i wszedłem zwyczajnie przez bramę, i — i — oto jestem. — Roześmiał się i dodał z niespodzianym naciskiem:

Morze, Las, Kondycja
ludzka

— A wie pan, co z tego wszystkiego najciekawsze? Zaraz panu powiem: oto świadomość, że gdyby mnie byli zakatrupili, właśnie ten kraj byłby na tym stracił.

Mówił to do mnie przed swoim domem owego wieczoru, o którym już wspominałem — kiedyśmy śledzili księżyc wypływający z rozpadliny między wzgórzami, jak mara, co się podnosi z grobu; blask jego zstępował zimny i blady, niby duch umarłego słońca. Światło księżyca jest dziwnie niepokojące; ma w sobie beznamiętność odcieleśnionego ducha i coś z jego niepojętej tajemnicy. Do naszego słońca, które — mówcie sobie, co chcecie — jest źródłem wszelkiego życia, księżyc ma się jak echo do dźwięku; zwodzi nas i prowadzi na manowce, bez względu na to, czy dźwięk był szyderczy, czy też smutny. Księżyc odbiera wszystkim kształtom rzeczywistość — która jest przecież naszą dziedziną — odbiera im ich istotę i nadaje ponurą realność tylko ceniom. Cienie wokół nas były realne, lecz mimo to Jim, stojąc obok mnie, wyglądał krzepko, jakby nic nie mogło pozbawić go realności w mych oczach — nawet tajemnicza siła księżycowego blasku. Może naprawdę stał się nietykalny, ponieważ już wytrzymał natarcie ciemnych potęg. Spokój i cisza panowały wszędzie; nawet promienie księżyca spały na rzece jakby na powierzchni stawu. Był to punkt kulminacyjny przyływu, chwila bezruchu uwydatniająca jeszcze wyraźniej zupełne odcięcie od świata tego zatraconego kąta ziemi. Domy, skupione wzdłuż rozległej, jaśniejszej przestrzeni bez zmarszczek lub błysków, zstępowały ku wodzie szeregiem stykających się, niewyraźnych kształtów, szarych, srebrzystych, pomieszanych z czarnymi masami cienia. Były niby upiorne stado bezkształtnych stworzeń cisnących się do widmowej, martwej rzeki, aby ugasić pragnienie. Gdzieś połykiwało czerwone światło wśród bambusowych ścian, ciepłe jak żywa iskra, świadczące o ludzkich uczuciach, o schronieniu, o wypoczynku.

Jim wyznał mi, że śledził często te drobne, ciepłe światełka gasnące jedno po drugim, że patrzył z rozkoszą, jak ludzie kładą się spać w jego oczach, ufając bezpiecznemu jutru.

— Spokojnie tu, co? — zapytał. Nie był wymowny, ale słowa, które teraz miał wypowiedzieć, zawierały głębokie znaczenie: — Niech pan spojrzy na te domy; nie ma wśród nich ani jednego, gdzie by mi ludzie nie ufali. Słowo daję! Powiedziałem panu, że tu wytrwam. Niech pan spyta kogokolwiek, mężczyzny, kobiety czy dziecka... — Zatrzymał się. — Jednym słowem, czuję się tu zupełnie dobrze.

Wtrąciłem szybko, że przekonał się wreszcie o tym, czego ja byłem pewien od samego początku. Potrząsnął głową.

— Naprawdę był pan tego pewien? — Ścisnął lekko moją rękę nad łokciem. — A więc, miał pan słusność. — Było uniesienie i duma, była prawie groza w jego cichym okrzyku: — Miły Boże! niech pan tylko pomyśli, czym to jest dla mnie. — Ścisnął znów moje ramię. — A pan mnie pyta, czy nie myślę o powrocie. Boże mój! Ja? o powrocie! Szczególniej teraz, po tym, co mi pan powiedział o panu Steinie... Wrócić? Cóż znowu! Tęgo się właśnie boję. Byłoby to — byłoby to gorsze niż śmierć. Nie, daję panu słowo. Niech pan się nie śmieje. Muszę czuć każdego dnia, za każdym razem, gdy oczy otworzę, że mi ludzie ufają, że nikt nie ma prawa, rozumie pan? Wyjechać! Dokąd? Dlaczego? Żeby zdobyć, co zdobyć?

Powiedziałem mu właśnie (był to główny cel mych odwiedzin), że Stein ma zamiar ofiarować mu dom i cały zapas towarów w Patusanie na pewnych dogodnych warunkach, które uczynią z tego najzupełniej prawidłową i ważną transakcję. Jim zachnął się i zaczął stawać dęba.

— Do licha z tą pańską delikatnością! — krzyknąłem. — To nie jest żadna łaska ze strony Steina. On po prostu oddaje panu to, co pan sam wypracował. A w każdym razie niech pan zachowa swoje uwagi dla Mac Neila, kiedy spotkacie się na tamtym świecie. Mam nadzieję, że to prędko nie nastąpi...

Musiał się poddać moim argumentom, ponieważ wszystko, co zdobył, zaufanie, sławę, przyjaciół, miłość, wszystko, przez co się stał władcą, uczyniło z niego także i więźnia. Spoglądał okiem właściciela na spokój wieczoru, na rzekę, na domy, na wieczysty żywot lasów, na życie pierwotnej ludzkości, na tajemnice tego kraju, na dumę własnego serca; ale to właśnie one zawładnęły nim i uczyniły go swoją własnością aż do najtajniejszej jego myśli, do najłżejszego drgnienia serca, do ostatniego oddechu.

Księżyc, Duch

Noc, Dom

Pewnie, że miał z czego być dumny. I ja też byłem dumny — za niego, choć może nie byłem tak głęboko przeświadczony, że transakcja zawarta ze Steinem jest bajecznie korzystna. Wszystko to było zdumiewające. I nie miałem tu głównie na myśli nieulekłego męstwa Jima; to dziwne, jak mało brałem je pod uwagę: jakby było czymś zbyt banalnym, aby je uważać za sedno sprawy. Nie. Uderzyły mnie bardziej inne dary, które wykazał. Dowiódł, że umie się połapać w obcych sobie warunkach; dowiódł sprawności swego umysłu, a przy tym ta jego gotowość na wszystko! Niesłychane. I było to w nim tak naturalne jak węch u rasowego psa. Brakowało mu wymowy, lecz z jego wrodzonej powściągliwości przebijała godność, a z jego urywanych zdań — wielka powaga. Wciąż jeszcze miał dawną skłonność do czerwienienia się. Niekiedy wymykało mu się jakieś słowo lub zdanie dowodzące, jak głęboko, jak poważnie przejmował się pracą, która dała mu pewność rehabilitacji. Dlatego właśnie zdawał się kochać ów kraj i ludzi z pewnego rodzaju namiętnym egoizmem, z pogardliwą czułością.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

— Oto tu przez trzy dni byłem więźniem — szepnął do mnie (w czasie naszych odwiedzin u radży), gdyśmy szli wolno przez dziedziniec Tunku Allanga, wśród jego popleczników zbiegających się z oznakami najwyższej czci. — Niechlujnie tu, co? Nie dawali mi nic do jedzenia, póki nie zrobiłem awantury, i dopiero wtedy dostałem mały talerzyk ryżu i smażoną rybkę nie większą od płotki — niech ich licha! Włóczyłem się zgłodniały wewnątrz cuchnącego częstokołu, a za mną kilku tych cymbałów podsuwających mi mordy pod sam nos. Oddałem sławetny pański rewolwer na pierwsze żądanie, zadowolony, że się pozbywam tej zmory. Robiłem wrażenie idioty, spacerując z nienabitą bronią w ręku.

W tej chwili znaleźliśmy się w obecności władcy; Jim oblókł się w głęboką powagę i zachował się z wyszukaną grzecznością wobec człowieka, który nie tak dawno go więził. To było nadzwyczajne. Chce mi się śmiać na samą myśl o tym. Ale wówczas byłem przejęty. Stary łotr Tunku Allang nie potrafił ukryć strachu (bohaterstwem się nie odznaczał, choć lubił opowiadać o swojej bujnej młodości), przy tym zaś jego sposób bycia w stosunku do dawnego więźnia zdradzał czujność, a zarazem zaufanie. Uważacie? Nawet ci, którzy najbardziej Jima nienawidzili, ufali mu jednak. Jim — o ile mogłem śledzić rozmowę, skorzystał ze sposobności, aby wygłosić pouczenie. Napadnięto niedawno kilku biednych wieśniaków udających się do Doramina i obrabowano ich z kawałków gumy i wosku, które chcieli wymienić na ryż.

— To Doramin jest złodziejem! — wybuchnął radża. Jego stare, wątłe ciało trzęsło się po prostu z wściekłości. Wił się dziwnie na macie, wymachując rękami i nogami, targając poplątane strąki swego kołtuna — istne wcielenie rozwścieczonego majestatu.

Otaczały nas w krąg wytrzeszczone oczy i otwarte usta. Jim zaczął mówić. Rozwodził się czas jakiś z chłodną stanowczością na temat, że nie należy przeszkadzać, gdy ktoś zarabia uczciwie na chleb dla siebie i swoich dzieci. Tamten drugi siedział jak krawiec nad swoją deską, położywszy każdą dłoń oddzielnie na obu kolanach; spuścił głowę i patrzył nieruchomo w Jima poprzez siwą czuprynę, która mu opadała aż na oczy. Kiedy Jim przestał mówić, nastąpiła głucha cisza. Zdawało się, że wszystkim zapanowało dech w piersiach, nikt nie odezwał się ani słowem; wreszcie stary radża westchnął z lekka, podniósł oczy i rzekł szybko, potrząsając głową:

— Słyszysz, mój ludu! Dość tych figłów.

Wysłuchano rozkazu w głębokim milczeniu. Otyły mężczyzna — najwidoczniej zastępca radży — o inteligentnych oczach, kościstej, szerokiej, bardzo ciemnej twarzy i wesołym a unizonym obejściu (dowiedziałem się później, że to był kat), podał nam dwie filiżanki kawy na miedzianej tacy, którą wziął z rąk niższego rangą dworzanina.

— Pan tego pić nie powinien — mruknął Jim błyskawicznie.

Nie zrozumiałem z początku, co znaczą te słowa, i tylko popatrzyłem na niego. Pociągnął spory łyk i siedział spokojnie, trzymając filiżankę w lewej ręce. Po chwili złość mnie porwała.

— Czemuż, u diabła — szepnąłem, uśmiechając się uprzejmie do Jima — naraża mnie pan na takie idiotyczne niebezpieczeństwo?

Wypiłem oczywiście, bo nic innego mi nie pozostawało; Jim ani drgnął i pożegna-
liśmy się z radzą prawie natychmiast. Gdyśmy schodzili dziedzińcem do naszej łodzi,
eskortowani przez rozgarniętego i wesołego kata, Jim bardzo mnie przeproszał, twier-
dząc, że właściwie prawie nic nam nie groziło. Osobiście nie lękał się wcale trucizny.
Prawdopodobieństwo otrucia było minimalne. — Uważają — jak mnie zapewnił — że
jest nieskończenie bardziej użyteczny niż groźny, toteż...

— Ależ radza ma święty strach przed panem. Widać to od razu — dowodziłem,
wyznając, dość zgryźliwie, wyczekując wciąż z niepokojem, czy nie chwycą mnie pierwsze
kurcze jakichś okropnych boleści. Wstręt mnie ogarnął.

— Jeśli mam tu na coś się przydać i utrzymać swe stanowisko — rzekł Jim, siadając
obok mnie w łódce — muszę się na to narażać; robię to przynajmniej raz na miesiąc.
Wielu ludzi liczy na to, że tak właśnie postąpię — dla ich dobra. Radza boi się mnie!
Otóż to właśnie. Boi się mnie najprawdopodobniej dlatego, że ja się nie boję jego kawy. —
Potem rzekł, pokazując mi miejsce z północnej strony częstokołu, gdzie zastrzone końce
kilku pali były złamane: — Tędy przeskoczyłem na trzeci dzień mego pobytu w Patusanie.
Nie zmienili jeszcze tych pali. Dobry skok, co? — W chwilę później mijaliśmy ujście
blotnistej zatoczki. — Tu skoczyłem po raz drugi. Biegłem kawalek, rozpędziłem się
i chciałem przesadzić tę zatoczkę, ale mi się nie udało. Myślałem już, że zostawię tu swoją
skórę. Zgubiłem trzewiki, grzebiąc się w błocie. A przez cały czas rozmyślałem, jakie by
to było okropne, gdyby mnie dziabnęli z tyłu taką, psiakrew, długą włócznią, podczas
gdy tkwiłem w tym błocie. Pamiętam, że mnie mdliło, kiedy usiłowałem się wygrzebać.
Miałem dosłownie mdłości, jakbym połknął coś zgnitego.

Błoto, Los

A więc to się tak odbywało — a upragniona przez Jima sposobność nieustannie mu
towarzyszyła — i w biegu, i w skoku przez strumień, i podczas zmagania się z błotem...
wciąż zakwefiona. Nagłość jego niespodzianego przybycia ocaliła go przed natychmia-
stowym zakłuciem krisami¹³⁸ i wrzuceniem do rzeki. Mieli go w ręku, lecz było to tak,
jakby pojмали jakąś zjawę, ducha, zły omen. Co to znaczy? Co z tym zrobić? Czy już nie
za późno, aby to stworzenie przebłagać? Może lepiej je zabić, dłużej już nie zwlekając?
Lecz co się wówczas stanie? Nieszczęsny stary Allang o mało nie oszalał, osaczony przez
złe przeczucia, niezdolny do powzięcia jakiegokolwiek postanowienia. Kilka razy obrady
zostały zerwane i członkowie ich rzucili się na łeb na szyję przez drzwi na werandę. Jeden
z zauszników — jak mówią — skoczył nawet na ziemię — z wysokości piętnastu stóp,
o ile mi się zdaje — i złamał nogę. Królewski rządca Patusanu dziwaczne miał obyczaje,
a jeden z nich poległ na tym, że każdą trudną dyskusję przeplatał chełpliwymi rapso-
dami¹³⁹ o swoich czynach, przy czym stopniowo podniecał się coraz bardziej i w końcu
rzucił się ze swego wysokiego siedziska z krisem w ręku. Lecz wyjąwszy podobne prze-
rwy, narady nad losem Jima ciągnęły się dniem i nocą.

A tymczasem on wałęsał się po dziedzińcu; jedni go unikali, drudzy gapili się na
niego, wszyscy go strzegli, a w gruncie rzeczy był na łasce pierwszego lepszego gałga-
na uzbrojonego w nóż. Wybrał sobie do spania małą, wałącą się szopę; wyziewy brudu
i zgnilizny bardzo mu przeszkadzały; jednak, zdaje się, apetytu nie stracił, ponieważ —
jak mi opowiadał — był głodny przez cały ten, psiakrew, czas. Raz po raz „jakiś nadęty
osioł”, wysłany z izby obrad, wybiegał do niego i miodowym tonem zadawał mu zdumie-
wające pytania: „Czy przybywają Holendrzy, aby krajem zawładnąć? Czy biały człowiek
nie chciałby wrócić z powrotem w dół rzeki? W jakim celu przybył do takich nędznych
okolic? Radza chciałby wiedzieć, czy biały umie naprawić zegar?” — i rzeczywiście, przy-
nieśli mu nikłowy budzik amerykańskiego wyrobu. Jim — wprost z nieznośnych nudów
— zaczął nad nim majstrować, usiłując naprawić mechanizm dzwonka. I wówczas to,
jak się zdaje, kiedy był zajęty w swej szopie, zaświtało mu nagle poczucie niezmiernego
niebezpieczeństwa, w jakim się znajdował. Wypuścił z rąk zegar „jak gorący kartofel”
i wyszedł śpiesznie, nie mając najmniejszego pojęcia, co dalej począć. Wiedział tylko, że
jego położenie jest nie do wytrzymania. Wałęsał się bez celu za małym, na wpół rozwa-
lonym spichrzem, sterczącym na palach, gdy nagle jego oczy padły na połamane koły
w palisadzie; i wtedy — jak mi opowiadał — natychmiast, bez żadnego myślowego pro-

¹³⁸kris — sztylet malajski, zwykle o wężowatej kłindze, mierzącej 30–40 cm. [przypis edytorski]

¹³⁹rapsoad — poetycki utwór epicki opiewający dzieje bohatera lub doniosłe wydarzenia historyczne; fragment
epopei. [przypis edytorski]

cesu ani też podniecenia zabrał się do ucieczki, jakby wykonywał plan dojrzewający już od kilku tygodni. Uszedł niedbale kilkanaście kroków dla nabrania rozpędu i odwróciwszy się, spostrzegł tuż obok siebie jakiegoś dygnitarza, eskortowanego przez dwóch włóczyków, który zamierzał właśnie zadać mu kilka pytań. Jim smyrgnął mu „spod nosa”, przeleciał „jak ptak” nad częstokołem i spadł po drugiej stronie, doznając takiego wstrząsu, że zachrobotały mu wszystkie kości; miał wrażenie, iż głowa mu pękła. Dźwignął się natychmiast. I wciąż jeszcze nie myślał o niczym; pamiętał tylko, że podniósł się wielki wrzask; najbliższe chaty Patusanu były o czterysta jardów przed nim, ujrzał zatoczkę i jakby machinalnie przyspieszył biegu. Ziemia zdawała się uciekać mu spod nóg. Odbił się od krańca suchego gruntu, poczuł, że leci w powietrzu, a potem — nie doznawszy żadnego wstrząśnienia — zarył się w niezmiernie miękką i lepki muł. Usiłował daremnie poruszyć nogami i dopiero wtedy „opamiętał się wreszcie”, jak się wyraził. Zaraz przyszły mu na myśl „te, psiakrew, długie włócznie”. Zważywszy, że ludzie wewnątrz ostrokołu musieli dopaść bramy, zejść do przystani, wsiąść w czółna i objechać naokoło przylądka — Jim wyprzedził ich znacznie bardziej, niż sobie wyobrażał. Przy tym wobec odpływu nie było wody w zatoczce, choć niepodobna było nazwać jej suchą, i w gruncie rzeczy Jimowi nie groziło na razie żadne niebezpieczeństwo prócz może bardzo dalekiego strzału. Twardy grunt znajdował się przed nim nieco wyżej, w odległości jakich sześciu stóp.

— Myślałem, że tak czy owak, będę musiał tam zginąć — rzekł.

Poruszał rozpaczliwie rękami, walcząc z błotem i udawało mu się tylko spiętrzać przed sobą okropną, zimną kupę lśniącego mułu, sięgającą mu aż po brodę. Miał wrażenie, że się zagrzebuje żywcem i zaczął walić w muł jak szalony, rozpryskując go pięściami. Padało mu to na głowę, na twarz, dostając się do ust, do oczu. Wspomniał nagle dziedziniec, jak człowiek wspomina miejsce, gdzie był przed wielu laty szczęśliwy. Tęsknił za tym, by się znaleźć tam znowu, przytaczam jego własne słowa, i naprawiać budzik. Naprawiać budzik — otóż to właśnie! Zdawało mu się, że oczy mu pękają w orbitach, że ślepnie od szalonych, konwulsyjnych, zapamiętałych wysiłków, które doszły do szczytu w potężnym, ostatecznym porywie na oślepienie, aby się przebić przez ziemię, aby zrzucić ją ze swych członków — i poczuł, że się pnie nieznacznie pod górę ku brzegowi.

Leżał jak długi na twardym gruncie, widział światło i niebo. Potem, niby błysk szczęścia, spadła na niego myśl, iż zaśnie. Jim twierdzi stanowczo, że zasnął naprawdę, że spał, może minutę, może dwadzieścia sekund, a może tylko jedną sekundę, lecz pamięta wyraźnie gwałtowny, konwulsyjny wstrząs przy ocknięciu. Leżał jeszcze nieruchomo przez chwilę, a potem dźwignął się, pokryty mułem od stóp do głów, i stał tak, myśląc, że jest tu sam jeden należący do innej rasy — sam jeden na setki mil wokoło, że nie może się spodziewać od nikogo pomocy, współczucia, litości — że jest jak ścigane zwierzę. Pierwsze domy znajdowały się nie dalej niż o dwadzieścia jardów; rozpaczliwy krzyk przerażonej kobiety, starającej się unieść dziecko, pobudził go znów do biegu. Rzucił się naprzód w samych skarpetkach, oblepiony warstwą błota, które go pozbawiało wszelkiego podobieństwa do ludzkiej istoty. Przebiegł tak więcej niż pół osady. Na prawo i lewo uciekały przed nim kobiety, zwinniejsze od mężczyzn, ci zaś upuszczali to, co im się zdarzyło mieć w rękę, i z otwartymi ustami obracali się w kamień. Był jak lecący postrach. Mówił mi, że zauważył małe dzieci, które, starając się uciec w popłochu, padały na brzuszki i wywijały nóżkami w powietrzu. Skreślił między dwie chaty pod górę, przelazł z desperacją przez barykadę ze ściętych drzew (w owych czasach nie było tygodnia bez walk w Patusanie), przedarł się przez płot na pole kukurydzy, gdzie jakiś przerażony chłopiec rzucił w niego kijem, dostał się na ścieżkę i wpadł od razu w ramiona kilku zdumionych ludzi. Ledwie mu wystarczyło oddechu, aby wykrztusić: „Doramin! Doramin!” Pamięta, że go na wpół wnieśli, na wpół zaciągnęli na szczyt pochyłości, gdzie się znalazł w obszernym ogrodzeniu wśród palm i drzew owocowych; zaprowadzono go przed tęgiego mężczyznę, który siedział ociężale w fotelu wśród szalonego rozruchu i podniecenia. Jim zaczął grzebać niezdarnie w zabloconym odzieniu, aby wydobyć pierścień, i nagle padł na wznak na ziemię, dziwiąc się, kto go przewrócił. A tamci po prostu puścili go — rozumiecie? — tylko że nie mógł się już utrzymać na nogach. U stóp pochyłości rozległo się kilka strzałów na chybił trafił, a ponad dachy osady niósł się głuchy gwar zdumienia. Lecz Jim był już bezpieczny. Ludzie Doramina barykadowali bramę i leli mu wodę do gardła; stara zo-

Błoto

Błoto

na Doramina, pełna troskliwości i współczucia, wydawała swym dziewczętom krzykliwe rozkazy.

— Staruszka krzątała się koło mnie — rzekł Jim miękko — jakbym był jej własnym synem. Położyli mnie na olbrzymim łożu — na jej własnym, paradnym łożu; przybiegała do mnie raz po raz, obcierając lzy i klepiąc mnie po ramieniu. Musiałem wyglądać żałośnie. Leżałem tam jak kłoda, nie, wiem jak długo.

Jim zdawał się mieć wiele tkliwości dla starej żony Doramina. Ona zaś ze swej strony przywiązała się do niego jak matka. Miała okrągłą, łagodną twarz orzechowego koloru, całą w drobnymi zmarszczkach, grube, jaskrawoczerwone wargi (żuła gorliwie betel¹⁴⁰) i mrugające, dobroduszne oczy. Była w ciągłym ruchu i zrządziła pilnie na gromadkę młodych kobiet o jasnobrązowej cerze i wielkich, poważnych oczach, ganiając je nieustannie; były to jej córki, służebne, niewolnice. Pan wie, jak to jest u tych krajowców, niepodobna na ogół rozróżnić. Bardzo była szczupła, i nawet w swej obfitej zwierzchniej szacie, zapiętej z przodu na klamry wysadzone kamieniami, wyglądała niepokaźnie. Ciemne, gołe jej nogi tkwiły w żółtych słomianych chodakach chińskiego wyrobu. Widziałem ją nieraz krzątającą się szybko, przy czym niezmiernie gęste jej włosy, długie i siwe, spadały na ramiona. Wypowiadała słowa pełne bystrości i rozsądku, była szlachetnie urodzona, arbitralna i miała swoje dziwactwa. Po południu siadywała zwykle w bardzo obszernym fotelu naprzeciw swego męża, patrząc spokojnie przez szeroki otwór w ścianie, skąd był rozległy widok na osadę i rzekę.

Zona Doramina podwijiała zawsze nogi pod siebie, lecz on sam siedział w fotelu prosto, imponująco, jak góra na równinie. Pochodził z klasy *nakhoda*, czyli kupieckiej, lecz szacunek, który mu okazywano, i dostojność jego obejścia rzucały się w oczy. Stał na czele drugiej z rzędu potęgi w Patusanie. Grupa przychodźców z Celebesu (około sześćdziesięciu rodzin, które z domownikami mogły wystawić mniej więcej dwustu ludzi „noszących kris”) wybrała go przed laty na naczelnika. Ludzie z tej rasy są inteligentni, przedsiębiorczy, mściwi, odznaczają się większą odwagą niż inni Malaje i buntują się przeciw uciskowi. Utworzyli stronnictwo przeciwstawiające się radży. Klótnie wybuchały oczywiście na tle prawa do handlu. Był to zasadniczy powód walk między stronnictwami, nagłych powstań, które zapełniały tę lub ową część osady dymem, ogniem, hukami wystrzałów i wrzaskiem. Palono wsie, wleczono ludzi do ostrokołu radży, gdzie ich zabijano lub poddawano torturom za zbrodnię handlu z kim innym niż z ich władcą. W tej właśnie rybackiej wsi, która później dostała się pod szczególną opiekę Jima, zaledwie na dwa lub trzy dni przed jego przybyciem oddział łuczników radży zrzucił ze skalistego wybrzeża kilku ojców rodzin, gdyż podejrzewano ich o zbieranie jadalnych gniazd dla handlarza z Celebesu. Radża Allang uważał się za jedyne kupca w swym kraju i przekroczenie jego monopolu pociągało za sobą karę śmierci; lecz pojęcia radży o handlu były jednoznaczne z najpospolitszym rabunkiem. Tylko tchórzostwo Tunku Allanga hamowało jego chciwość i okrucieństwo; bał się zorganizowanej siły przychodźców z Celebesu, lecz — do przybycia Jima — bał się ich za mało, aby siedzieć spokojnie. Uderzał w nich za pośrednictwem swoich poddanych i był najgłębiej przekonany, że jest w swoim prawie.

Sytuację utrudniał jeszcze obcy wędrowiec, półkrwi Arab, który, sądząc, na gruncie ściśle religijnym, doprowadził do powstania plemion w głębi kraju (leśnych ludzi, jak ich Jim nazywał) i usadowił się w ufortyfikowanym obozie na szczycie jednego z dwóch bliźniaczych wzgórz. Wisiał nad Patusaniem jak jastrząb nad kurnikiem i pustoszył okolicę. Całe wsie, opuszczone przez mieszkańców, gniły na poczerńniętych palach nad brzegiem przejrzystych strumieni; ściany domków plecione z traw i liściaste dachy opadały strzępami w wodę, co czyniło ciekawe wrażenie naturalnego rozpadu, jakby domki te były pewnym rodzajem roślinności dotkniętej zarazą u samych korzeni. Oba stronnictwa w Patusanie żyły w niepewności, nie wiedząc, które z nich intruz najpierw zamierza złupić. Radża wszedł z nim w lekkie konszachty. Niektórzy z bugiskich osadników, znużeni ciągłym niebezpieczeństwem, skłaniali się poniekąd do porozumienia z uzurpatorem. Bardziej przedsiębiorczy radzili na wpół żartem, aby „wezwać szeryfa Alego z jego dzikimi ludźmi i wypędzić z kraju radżę Allanga”. Doramin z trudnością ich powstrzymywał.

¹⁴⁰*betel* — używka do żucia popularna na Dalekim Wschodzie, sporządzana z pociętych liści pieprzu betelowego, nasion palmy areka, sproszkowanego wapienia oraz innych dodatków. [przypis edytorski]

Starzał się i choć jego wpływy jeszcze się nie zmniejszyły, przestawał już panować nad sytuacją. Taki był stan rzeczy, gdy Jim, wyskoczywszy zza ostrokołu radży, ukazał się przed naczelnikiem Bugisów, wydobyl pierścień i został przyjęty, że tak powiem, na łono ich społeczności.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Doramin był jednym z najwybitniejszych ludzi swej rasy, jakich kiedykolwiek spotkałem. Jego postać, jak na Malaję, wydawała się olbrzymia, ale nie tylko z powodu tuszy; wyglądał wspaniale, monumentalnie. Nieruchomy tułów przywdziany w bogate tkaniny, barwne jedwabie i złote hafty; wielka głowa obwinęta w chustę czerwoną ze złotem; płaskie, duże, okrągłe, podkreślone zmarszczkami oblicze o dwóch półkulistych, ciężkich fałdach poczynających się u szerokich, srogich nozdrzy i okalających usta o grubych wargach; kark jak u byka; szerokie, poradlone czoło wznoszące się nad nieruchomymi, dumnymi oczami — wszystko to składało się na całość, której niepodobna było zapomnieć, kiedy się raz ją ujrzało. Odnaczał się niewzruszonym spokojem — zasiadłszy, rzadko kiedy poruszył ręką lub nogą; uwydatniało to jeszcze bardziej jego dostojność. Nie słyszano nigdy, aby kiedykolwiek podniósł głos. Mówił zachrypłym, potężnym szepcetem — nieco zgłuszonym, jakby dochodzącym z pewnej odległości. Gdy siedł, dwóch krępych, krzepkich młodzieńców, nagich do pasa, w białych sarongach i czarnych myckach na tyłach głów, podtrzymywało mu łokcie; pomagali Doraminowi siadać i trzymali się za jego krzesłem, kiedy zaś władca chciał się podnieść, obracał głowę powoli, jakby z trudnością, w prawo i w lewo, a młodzieńcy chwyтали go pod pachy i dźwigali z miejsca. Mimo to nie miał w sobie nic z kaleki, przeciwnie, ciężkie jego ruchy były jakby przejawem potężnej, rozważnej siły. Uchodziło za pewnik, że zasięgał rady swej żony w sprawach publicznych, lecz o ile wiem, nikt nigdy nie słyszał, aby zamienili choć jedno słowo. Gdy siedzieli uroczyście przy wielkim oknie, trwali zawsze w milczeniu.

Ciało, Strój

W dole rozpościerała się przed nimi w mierzchnącym świetle rozległa przestrzeń leśnego kraju — mroczne, senne morze ciemnej zieleni, falujące aż hen po łańcuch gór z purpury i fioletu; rzeka lśniła w błyszczących skrętach, niby olbrzymia litera S z kutego srebra; brunatna wstęga domostw biegła wzdłuż wygięcia obu brzegów, pod dwoma bliźniaczymi wzgórzami, ukazującymi się zza najbliższych wierzchołków drzew. Doramin i jego żona tworzyli kontrast zadziwiający; ona — drobna, delikatna, szczupła, żywa, przypominała trochę czarownicę, a jej spokój miał w sobie coś z macierzyńskiego z troskania; Doramin naprzeciw niej, olbrzymi i ciężki, niby postać wyciosana z gruba w kamieniu, wyglądał w swym bezruchu jak wielkoduszny barbarzyńca. Syn tych dwojga starców był niezwykle wybitnym młodzieńcem.

Późno im się urodził. Nie był może w rzeczywistości tak bardzo młody, jak się zdawało. Dwadzieścia cztery lub pięć lat — nie jest to już wczesna młodość dla człowieka, który w osiemnastym roku życia był ojcem rodziny. Gdy wchodził do obszernego pokoju — o suficie obciążonym białym płótnem, a ścianach i podłodze pokrytych cienkimi matami — gdzie para małżeńska siedziała w otoczeniu kornej świty, zbliżał się od razu do Doramina, całował go w rękę — na co tamten zezwalał majestatycznie — a potem usuwał się na bok i stawał za fotelem matki. Chyba mogę powiedzieć, że go ubóstwiali, ale nigdy nie przychwyciłem ich na tym, aby otwarcie spojrzeli na niego. Prawda, iż były to oficjalne przyjęcia, zazwyczaj bardzo tłumne. Uroczysty ceremonial powitań i pożegnań, głęboka czolobitność przejawiająca się w ruchach, wyrazie twarzy, cichych szepcach — wszystko to było wręcz nieopisane.

— Czy nie warto tego zobaczyć? — rzekł Jim, gdyśmy się przeprawiali przez rzekę w powrotnej drodze. — Wyglądają zupełnie jak bohaterowie z powieści, prawda? — mówił tryumfująco. — A Dain Waris, ich syn, to, poza panem, najlepszy ze wszystkich przyjaciół, jakich miałem kiedykolwiek. Pan Stein powiedziałby o nim: „dobry kompan z pola bitwy”. Boże mój! Cóż to było za szczęście, kiedy między nich wpadłem, goniąc resztkami sił. — Rozmyślał przez chwilę ze spuszczoną głową, po czym ocknął się i dodał: — Naturalnie, że nie siedziałem z założonymi rękami, tylko... — Zamilkł znów. — Mam wrażenie, że wszystko przyszło mi samo z siebie — mruknął. — Ujrzałem nagle, co należy zrobić...

I rzeczywiście, wszystko przyszło mu jakby samo z siebie, i to w dodatku przyszło przez wojnę, co jest zupełnie naturalne, ponieważ moc, którą w sobie poczuł, przez wojnę doprowadziła do pokoju. Jedyne w tym znaczeniu siła jest równoznaczna ze sprawiedliwością. Ale nie myślcie, że od razu ujrzał swą drogę. Kiedy przybył, społeczność Bugisów była w niezmiernie ciężkiej sytuacji.

— Bali się wszyscy — opowiadał mi Jim — każdy się lękał o swoją skórę; a ja widziałem najwyraźniej w świecie, że muszą natychmiast coś przedsięwziąć, jeśli nie chcą zmarnieć jeden za drugim, gnębieni z jednej strony przez radzę, a z drugiej przez tego włóczęgę szeryfa.

Ale zrozumieć położenie to było jeszcze mało. Kiedy już powziął swój projekt, musiał go wbijać w odporne umysły, przewyciężając zapory strachu i samolubstwa. Udało mu się wreszcie. Lecz na tym nie koniec. Trzeba było obmyślić sposób działania. Jim ułożył plan bardzo śmiały; a i wówczas jeszcze zadanie było rozwiązane dopiero w połowie. Musiał natchnąć swą wiarą wielu ludzi, którzy mieli ukryte lub bezsensowne powody do stawiania oporu; musiał załagodzić nedorzeczne zawiści i wyperswadować im głupie wątpliwości wszelakiego rodzaju. Nie byłoby mu się udało, gdyby nie powaga, jaką się cieszył Doramin, i gdyby nie ognisty zapal jego syna. Dain Waris, ów niezwykle młodzieniec, pierwszy w Jima uwierzył; zawiązała się między nimi jedna z tych osobliwych, głębokich, rzadkich przyjaźni między brązowymi a białymi ludźmi, przyjaźni, w których właśnie różnica ras zdaje się pociągać ku sobie dwie ludzkie istoty jakąś dziwną, żywiołową sympatią.

O Dainie Warisie własni jego ludzie mawiali z dumą, że umie walczyć jak biały. To była prawda; miał ten rodzaj męstwa — męstwa w otwartym polu, że tak powiem — ale i umysł jego był europejski. Spotyka się czasem takich Malajów i niespodzianie odkrywa się w nich ze zdumieniem pokrewny sposób myślenia, bystry umysł, wytrwałe dążenie do celu, odcień altruizmu. Dain Waris był wzrostu niewielkiego, lecz niezwykle harmonijnej budowy; miał dumną postawę, gładkie, swobodne obejście, a temperament podobny do jasnego płomienia. Jego ciemna twarz o wielkich czarnych oczach była wymowna w ruchu i zamyślona w spoczynku. Usposobienie miał milczące; stanowczy wzrok, ironiczny uśmiech, dworny sposób bycia, pełen rozwagi, zdradzały w nim wielkie zasoby inteligencji i siły. Takie istoty ukazują ludziom z Zachodu — którzy zwykle głębiej nie sięgają — ukryte możliwości ras i krajów owianych tajemnicą niezliczonych stuleci. Dain nie tylko wierzył Jimowi; jestem przekonany, że go rozumiał. Mówię tak o Dainie, ponieważ byłem pod urokiem tego człowieka. W jego — że tak powiem — szyderczym spokoju i zarazem inteligentnym sprzyjaniu zamiarom Jima było coś bardzo pociągającego. Miałem wrażenie, że oglądam przyjaźń u jej źródła. Wprawdzie Jim przewodził, ale Dain oczarował swego przywódcę. W gruncie rzeczy Jim był więźniem w całym tego słowa znaczeniu. Kraj, lud, przyjaźń, miłość strzegły go zazdrośnie. Każdy dzień dodawał ogniwo do kajdan tej dziwnej wolności. Czulem to coraz dobitniej, w miarę jak z dnia na dzień dowiadywałem się więcej szczegółów z historii Jima.

A ileż się o niej nasłuchałem! I w marszu podczas naszych wycieczek, i w obozie (włoczyliśmy się po kraju w pościgu za niewidzialną zwierzyną); znaczną część swych przygód opowiedział mi na jednym z bliźniaczych wzgórz, gdzie się wdrapałem, czolgając się na rękach i nogach przez ostatnich sto metrów. Nasza eskorta (składająca się z ochotników towarzyszących nam od wsi do wsi) rozłożyła się obozem na małej polance w połowie wysokości wzgórza; wieczór był cichy i bezwietrzny. Zapach drzewnego dymu dochodził do naszych nozdrzy, niosąc aromat delikatny i przenikliwy. Wznosiły się ku nam głosy zadziwiająco wyraźne, jasne, niematerialne. Jim siadł na pniu ściętego drzewa, wyciągnął fajkę i zaczął palić. Nowe pokolenie traw i krzewów strzelało z ziemi; pod gęstwą ciernistych gałęzi były ślady okopów.

— Stąd się wszystko zaczęło — rzekł Jim, wyrwawszy się z długiej, głębokiej zadumy.

Na sąsiednim wzgórzu, odległym o jakie dwieście jardów, z przeciwległej strony mrocznej przepaści, zobaczyłem szereg wysokich, poczerńiałych kołów walących się miejscami — szczątki niedostępnego obozu szeryfa Alego.

Lecz obóz ten został zdobyty. Stało się to dzięki pomysłowi Jima, który wwindował na szczyt wzgórza starą artylerię Doramina: dwa zardzewiałe działa siedmifuntowe i mnóstwo drobnych mosiężnych armatek służących za obiegową monetę. Mosiężne armatki są nie tylko wykładnikiem bogactwa, ale potrafią także wyrzucić porządny strzał

na niewielką odległość, jeśli je nabić śmiało aż po koniec lufy. Trudność polegała na tym, aby je wciągnąć na samą górę. Jim pokazał mi miejsce, gdzie przymocował liny, wyjaśnił, jak zmajstrował naprędcę prymitywny kołowrót z pustego pnia obracającego się na zaostrowym kole, zaznaczył fajką zarysy okopów. Ostatnie sto metrów wejścia na szczyt były najcięższe. Jim oświadczył Doraminowi, że odpowiada własną głową za powodzenie całego planu. Namówił stronników wojny, aby pracowali wytrwale przez całą noc. Wielkie ogniska, zapalone w pewnych odstępach, jaśniały wzdłuż zbocza, „lecz tu na szczycie — objaśniał — oddział wciągający armaty musiał biegać w kółko w ciemności”. Jim widział z góry ludzi pełznących po pochyłości niby mrówki przy pracy. On sam w ciągu tej nocy zbiegał w dół i wspinał się po wzgórzu jak wiewiórka, kierując wszystkim, dodając ludziom ducha, czuwając nad całą linią. Stary Doramin kazał się zanieść w fotelu na wzgórze. Ustawili go na polance w połowie wysokości; siedział tam w blasku jednego z wielkich ognisk.

— Nadzwyczajny starzec — mówił Jim — zupełnie jak jaki wódz pradawny, z tymi swymi dzikimi oczkami; na kolanach trzymał olbrzymie skałkowe pistolety, po prostu wspaniałe: heban oprawny w srebro, z cudownymi kurkami, kalibru starych rusznic. Zdaje się, że to od Steina — w zamian za ten pierścień, pamięta pan. Należały niegdyś do zacnego starego Mac Neila. A skąd on je wytrzasnął, Bóg raczy wiedzieć. Więc... stary siedział, nie ruszając ani ręką, ani nogą, zwrócony plecami do ogniska z chrustu, a naokoło niego mnóstwo ludzi biegło, krzychało i ciągnęło; wyglądał tak uroczyście i imponująco, że trudno to sobie wyobrazić. Nie byłby chyba mógł uciec, gdyby szeryf Ali wypuścił na nas swoją wściekłą bandę i zmusił moich ludzi do ucieczki. W każdym razie Doramin przybył tu, aby umrzeć, gdy by rzeczy się źle obróciły. Nie ma co do tego dwóch zdań! Miły Boże, jakież ja byłem przejęty jego widokiem, tkwił tam jak skała. Lecz szeryf Ali myślał pewnie, żeśmy poszaleli, i ani mu się śniło przyjść i zobaczyć, co tam wyprawiamy. Zdaje mi się, że nawet ci sami ludzie, którzy ciągnęli i pchali, i oblewali się potem, nie wierzyli, aby można było tego dokonać! — jestem pewien, że nie wierzyli, dają panu słowo...

Stał wyprostowany, z dymiącą fajką w ręku, z uśmiechem na ustach, z iskrami w dziecięcych oczach. Siedziałem na pniu u jego stóp, a pod nami rozpościerał się kraj, wielka przestrzeń lasów mrocznych pod słońcem, rozkołysanych jak morze, z połyskami krętych rzek, szarymi plamami wsi i polanką gdzieś tam, jaśniejącą niby wysepka wśród ciemnych fal wierzchołków. Posępna zaduma słała się nad tym rozległym, monotonnym krajobrazem; światło padało nań jakby w przepaść. Łąd pożerał słońce; tylko daleko, hen, wzdłuż wybrzeża, pusty ocean, równy i gładki pod nikłą mgłą, zdawał się wznosić ku niemu murem ze stali.

I trwaliśmy tam razem, wysoko w blasku słońca, na szczycie historycznego pagórka. Jim górował nad lasami, nad odwiecznym mrokiem, nad prastarą ludzkością. Był jak posąg wzniesiony na piedestale, aby wcielać mocą swej wiecznej młodości potęgę — a może i cnoty — ras, które się nie starzeją, które wynurzyły się z mroku. Nie rozumiem, dlaczego Jim wydawał mi się zawsze symbolem. Może w tym leży właśnie istotna przyczyna mego zajęcia się jego losem. Nie wiem, czy to było sprawiedliwe z mej strony, ale w tej chwili właśnie przypomniałem sobie okoliczności, które tu Jima przywiodły; stanęły mi w oczach z niezmierną wyrazistością. Był to jak gdyby cień wśród blasku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Legenda przypisywała mu już nadprzyrodzoną potęgę. Tak, to prawda, że tam na wzgórzu było wiele lin chytrze rozmieszczonych i dziwna maszyna, co się obracała dzięki wysiłkom wielu ludzi. Opowiadano sobie, że każda armata przedzierała się z wolna w górę przez gęszcze, jak dzik torujący sobie drogę w leśnym podszyściu, ale... — i tu najmędrsi potrzęsali głową. Było w tym niewątpliwie coś tajemniczego; bo czymże jest siła powrozów i ludzkich ramion? W rzeczach tkwi buntownicza dusza, którą trzeba opanować przez potężne czary i zaklęcia. Tak twierdził stary Sura, właściciel domów w Patusanie, człowiek bardzo szanowany, z którym raz uciałem sobie wieczorem spokojną pogawędkę. Lecz Sura był także i czarownikiem z zawodu; na mile wokoło czuwał nad siewami i zbiorami ryżu, poskramiając upartą duszę rzeczy. Uważał swoje zajęcie za jedno z najtrudniejszych — i może istotnie duch tkwiący w rzeczach krnąbrniejszy jest od ludzkiego. Co się tyczy

prostych ludzi z sąsiednich wsi, wierzyli (jak w rzecz najnaturalniejszą pod słońcem), że Jim zaniósł armaty na wzgórze na własnym grzbiecie — po dwie naraz.

Jim tupał na to nogą ze złością i wykrzykiwał zirytowany, a przy tym nieco rozśmieszony:

—No i co tu począc z takimi cymbałami? Siedzą po całych nocach, plotąc duby smalone, a im większe kłamstwo, tym większe w nim znajdują upodobanie.

W tej irytacji Jima można było wysledzić subtelny wpływ otoczenia, jeden z czynników jego niewoli. Powaga, z jaką Jim przeczył, była bardzo zabawna; aż w końcu rzekłem do niego:

— Kochany panie, chyba pan nie przypuszcza, że *ja* w to uwierzę!

Spojrzał na mnie, zaskoczony.

— Ależ naturalnie, że nie przypuszczam! — rzekł i wybuchnął homeryckim śmiechem¹⁴¹. — No więc, tak czy owak — ciągnął — armaty znalazły się na oznaczonym miejscu i wystrzeliły wszystkie razem o wschodzie. Chryste Panie! Trzeba było widzieć, jak drzazgi leciały! — zawołał.

U jego boku Dain Waris, przysłuchujący się ze spokojnym uśmiechem, spuścił powieki i poruszył z lekka nogami.

Kiedy się szczęśliwie udało wciągnąć je na wzgórze, ludzie nabrali takiej ufności, że Jim ośmielił się zostawić baterię pod opieką dwóch starszych Bugisów, którzy swego czasu brali udział w wojnach, i przyłączył się do Daina Warisa oraz szturmowego oddziału ukrytego w wąwozie. O brzasku wszyscy zaczęli się czołgać pod górę i zrobiwszy dwie trzecie drogi, legli w mokrej trawie, czekając na pojawienie się słońca, które było umówionym sygnałem. Jim opowiadał mi, z jaką niecierpliwością, z jakim niepokojem i wzruszeniem śledził szybkie nadejście świtu; opowiadał, jak — rozgrzany od pracy i wspinania się — poczuł zimną rosę mrozącą go do szpiku kości; jak się bał, że zacznie się trząść i dygotać niby liść, zanim przyjdzie chwila ataku.

— Nigdy jeszcze tak mi się czas nie dłużył jak wtedy przez te pół godziny — oświadczył.

Zarysy milczącego częstokołu wystąpiły przed nim z wolna na niebie. Po całym zboczach byli rozsiani ludzie, przycupnięci wśród ciemnych skał i krzaków mokrych od rosy. Dain Waris leżał wyciągnięty na płask u boku Jima.

— Spojrzeliśmy po sobie — rzekł Jim, kładąc delikatnie rękę na ramieniu przyjaciela. — Dain uśmiechnął się do mnie jak najweselej, a ja nie śmiałem otworzyć ust, aby nie zacząć dzwonić zębami. Daję panu słowo, że to jest prawda! Pot lał się ze mnie, kiedyśmy się przyczaili, toteż może pan sobie wyobrazić...

Jim oświadczył mi to, a ja daję temu wiarę, iż nie bał się ani trochę o wynik całej akcji. Niepokoiło go jedynie, czy potrafi opanować te dreszcze. Nie kłopotał się wcale o to, co miało nastąpić. Wiedział tylko, że musi się dostać na szczyt wzgórza i pozostać tam za wszelką cenę. Nie było dla niego odwrotu. Ci ludzie ufali mu ślepo. Jemu jedynemu! Zawierzyli mu na słowo... Pamiętam, że zamilkł w tym miejscu i utkwił we mnie oczy.

— O ile wiem, nie mieli jeszcze nigdy powodu tego żałować — rzekł. — Ani razu.

Miał w Bogu nadzieję, iż to nigdy nie nastąpi. Tylko że — na nieszczęście! — przyzwyczaili się zasięgać jego rady we wszelkich możliwych wypadkach. To wprost nie do wiary! Otóż na przykład, w tych dniach jakiś stary bałwan, którego Jim nigdy w życiu nie widział na oczy, przywędrował ze wsi oddalanej o kilka mil, aby zapytać go, czy się ma rozwieść z żoną. To fakt! Jim daje mi na to słowo. Tak oto rzeczy stoją... nie uwierzyłby, gdyby mu to ktoś opowiedział... A ja czy uwierzyłbym? — pytał. Opisywał mi, jak staruszek przykucnął na werandzie, żując betel, wzdychając i plując na wszystkie strony, ponury jak noc: trwało to godzinę, zanim wyjechał wreszcie z tymi, psiakość, bredniami. Ta historia nie jest taka zabawna, jakby się zdawało. Co Jim miał na to wszystko powiedzieć?

— Pytam go: „A dobra twoja żona?” — „Tak — mówi — dobra, ale stara”. I zaczyna mi opowiadać bzdurną historię bez końca o jakichś mosiężnych garnkach. Żyli ze sobą piętnaście lat, dwadzieścia lat, nie pamięta. Długo, bardzo długo. Porządna to była żona.

¹⁴¹homerycki śmiech — niepohamowany, głośny, szczery, serdeczny śmiech; Homer w *Iliadzie* wspomina o „nieugaszonym śmiechu” bogów. [przypis edytorski]

Bił ją trochę, nie zanadto, tyle, ile się należało, póki była młoda. Musiał to robić dla swego honoru. Nagle, kiedy baba już się postarzała, ni stąd, ni zowąd pożyczła trzy mosiężne garnki żonie syna swej siostry, a potem zaczyna jemu, mężowi, dzień w dzień krzykliwe wymyślać. Nieprzyjaciele szydzą z niego; twarz jego poczerniała od hańby. A garnki przepadły: strasznie go to ścięło z nóg... Niepodobna się połapać w takiej historii; poleciłem mu wrócić do domu i obiecałem, że sam przybędę, aby rozstrzygnąć tę sprawę. Dobrze panu się śmiać, ale to był pasztet, co się zowie! Cały dzień podróży przez las, potem drugi dzień spędzony na cackaniu się z tłumem głupich wieśniaków, żeby dobrać się do sedna sprawy. Mogło dojść na ten temat do krwawej bijatyki. Każdy z tych idiotów brał stronę tej lub tamtej rodziny i jedna połowa wsi była gotowa się rzucić na drugą, schwyciwszy, co by się znalazło pod ręką. Słowo honoru, to nie były żarty! I wyprawiali to wszystko zamiast się zabrać do swoich marnych żniw. Zwróciłem, naturalnie, starcowi jego cholerne garnki i uspokoiłem wszystkich. Nie miałem z tym żadnego kłopotu, ani trochę. Mógłbym zażegnać najkrwawszy spór w tym kraju, po prostu kiwnąwszy palcem. Tylko w tym sęk, żeby się dobrać do prawdy. Po dziś dzień nie jestem pewien, czy byłem dla wszystkich sprawiedliwy. To mnie czasem gryzie. A ta gadanina bez końca! Boże święty! Zdawało się, że niepodobna w tym się rozeznąć. Wolałbym zdobywać stary ostrokoł wysokości dwudziestu stóp. Tysiąc razy! To dziecinna zabawka wobec tamtego zadania. I nie zajmuje tyle czasu. No tak, w gruncie rzeczy musiało to śmiesznie wyglądać, tamten dureń wydawał się taki stary, że chyba mógłby być moim dziadkiem. Ale z drugiej strony nie była to fraszka. Moje słowo decyduje o wszystkim od chwili, gdy szeryf Ali został pobity. To okropna odpowiedzialność — powtórzył. — Doprawdy, proszę pana, mówię teraz poważnie; gdyby chodziło o życie trojga ludzi zamiast o trzy parszywe mosiężne garnki, byłoby to samo...

W taki sposób Jim uzmysławiał mi moralny skutek swego wojennego zwycięstwa. Było ono w samej rzeczy olbrzymie. Zaprowadziło go poprzez walkę do pokoju, poprzez śmierć — w sam środek życia tego ludu; lecz mroczny kraj, rozpostarty pod blaskiem słońca, zachował pozór niezbadanej, odwiecznej ciszy. Świeży, młodzieńczy głos Jima — to było nadzwyczajne, jak ten człowiek prawie się wcale nie zmienił — płynął lekko w dal ponad niezmiennym obliczem lasów, podobnie jak dźwięk armat w ów zimny, rosisty poranek, kiedy Jimowi o nic nie chodziło na świecie, tylko o to, by opanować wstrząsające nim dreszcze. Gdy pierwsze ukośne promienie słońca padły na nieruchome wierzchołki drzew, szczyt jednego wzgórza zakłębił się białymi chmurami dymu wśród potężnych wystrzałów, drugi zaś wybuchnął oszołamiającym zgiełkiem wrzasków, wojennych nawoływań, okrzyków gniewu, zdumienia, trwogi. Jim i Dain Waris dopadli pierwsi ostrokołu. Według powszechnie obiegającej pogłoski, Jim powalił wrota dotknięciem palca. Oczywiście nie przyznawał się bynajmniej do tego czynu. Tłumaczył mi z naciskiem, że ostrokoł nie był wcale groźną zaporą (szeryf Ali liczył głównie na niedostępne położenie swego obozu), w dodatku zaś pociski już go potrzaskały i trzymał się tylko jakimś cudem. Jim wparł się weń jak kto głupi i zwałił się wraz z ostrokołem do środka. Gdyby nie pomoc Dain Warisa, ospaniaty, wytatuowany drab byłby przybił Jima włócznią do drewnianego kołu na kształt jednego z chrząszczów Steina. Zdaje się, że trzecim z kolei, który się dostał do środka, był Tamb' Itam, służący Jima, Malaj z północy, cudzoziemiec, który zbłądził do Patusanu i został zatrzymany siłą przez radzę Allanga jako wiosłarz na jednej z paradnych łodzi. Uciekł stamtąd przy pierwszej sposobności, znalazł czasowy przytułek (lecz bardzo mało do jedzenia) wśród bugiskich osadników i został osobistym służącym Jima. Miał bardzo ciemną cerę, płaską twarz, wylupiaście i nabiegłe żółcią oczy. Było coś przechodzącego miarę, prawie fanatycznego, w przywiązaniu Tamb' Itama do swego „białego pana”. Nie rozłączał się nigdy z Jimem jak jego ponury cień. Przy uroczystych okazjach szedł tuż za nim, następując mu prawie na pięty, z dłonią na rękojeści krisa, i trzymał pospólstwo w przyzwoitej odległości dzikim, ponurym spojrzeniem. Jim zrobił z niego rządcę folwarku; cały Patusan szanował Tamb' Itama i ubiegał się o jego względy jako osobnika o ogromnych wpływach. Przy zdobyciu ostrokołu odznaczył się wielce przez metodyczną dzikość w boju.

— Oddział szturmowy wtargnął tak prędko do ostrokołu — opowiadał Jim — że pomimo paniki, która ogarnęła załogę, zaciekle walka trwała przez jakie pięć minut, do-

Walka

Sługa

półki jakiś osioł nie podpalił szalasów z gałęzi i suchych traw, po czym wszyscy musieliśmy wiać przed ogniem.

Porażka wroga była zupełna. Doramin, czekający niewzruszenie w swym fotelu na zboczu wzgórza, wśród dymu dział, snującego się z wolna nad jego wielką głową, przyjął wiadomość o zwycięstwie głębokim pomrukiem. Gdy mu doniesiono, że jego syn wyszedł z walki cało i znajduje się na czele pościgu, uczynił w milczeniu potężny wysiłek, aby się dźwignąć. Ludzie ze świty pospieszyli mu z pomocą; podtrzymywany kornie, posunął się z wielką godnością ku niewielkiemu obszarowi cienia, gdzie legł do snu, nakryty od stóp do głów kawałem białego płótna.

Niezmierne podniecenie zapanowało w Patusanie. Jim mówił mi, że z tego właśnie wzgórza, odwróciwszy się od częstokołu pełnego żaru, czarnych popiołów i na wpół zwęglonych ciał, widział raz po raz, jak otwarte przestrzenie między domami po obu stronach rzeki zapelniają się nagle kipiącym tłumem i znów się w mig opróżniają. Do jego uszu dochodził słabo potężny dźwięk gongów i bicie w bębny; dzikie okrzyki tłumów brzmiały jak wybuchy zgłuszonego, ryku. Mnóstwo chorągwi trzepotało niby stado drobnego ptactwa — białego, czerwonego, żółtego — między brunatnymi grzbietami dachów.

— Jakaż to radość musiała być dla pana — szepnąłem, poruszony tym do żywego.

— Tak... to było... niesłychane! Wprost niesłychane! — krzyknął głośno, gwałtownym ruchem rozwierając ramiona.

Ten nagły ruch zaskoczył mnie, jak gdybym ujrzał Jima odsłaniającego tajemnice swe go serca blaskowi słońca, zadumany ponuro lasom, morzu ze stali. Pod nami miasto spoczywało w miękkich skrętach u wybrzeży rzeki, która zdawała się spać.

— Niesłychane! — powtórzył Jim po raz trzeci szeptem do samego siebie.

Było to zaiste niesłychane. Słowa Jima spełniły się: osiągnął powodzenie, pod stopami czuł zdobyty grunt, posiadał ślepą ufność ludzi, ocaloną z rozbicia wiarę w samego siebie — i wszystkiego tego dokonał samotny. Nie potrafię wyrazić wam w zwykłych słowach, jak zupełne, jak bezwzględne było osamotnienie Jima. A jak was już uprzedzałem — to wszystko w opowiadaniu wychodzi umniejszone. Naturalnie, że był tam ze swej rasy jeden jedyny, w całym tego słowa znaczeniu, lecz nieprzewidziane zalety jego natury zespoliły go tak blisko z otoczeniem, że ta samotność wydawała się jedynie wynikiem jego potęgi. Odosobnienie wyolbrzymiało. Jak okiem sięgnąć nie było nic, z czym by go się dało zestawić, jakby był jednym z tych wyjątkowych ludzi, których można mierzyć jedynie wielkością ich chwały; a należy pamiętać, że chwała ta była czymś najwspanialszym w promieniu wielodniowej podróży. Należało odbyć długą, nużącą drogę, wiosłując lub torując sobie przejście skroś dżungli, aby się znaleźć poza zasięgiem jego sławy. Głos jej nie był krzykliwy ani bezczelny — jak dźwięk trąb owej bogini o złym imieniu, którą wszyscy znamy; ton swój zestroił z posępną ciszą tego kraju bez przeszłości, gdzie słowo Jima było jedyną prawdą każdego mijającego dnia. Jego sława miała w sobie coś z milczenia, poprzez które szła za ludźmi w niezbadane ostępy i dawała wciąż znać o sobie, przenikająca wszędzie, dalekosiężna — sprawiając, iż szepty na ludzkich ustach miały odcień podziwu i tajemniczości.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Pobity szeryf Ali uciekł z kraju, nie opierając się dłużej, a gdy nieszczęśni, prześladowani wieśniacy zaczęli wypelzać z dżungli i wracać do swych butwiejących domów, Jim w porozumieniu z Dainem Warisem wybrał pomiędzy nich starszyznę. Tym sposobem stał się istotnym władcą kraju. Co się tyczy starego Tunku Allanga, z początku jego strach nie znalazł po prostu granic. Opowiadają, że usłyszawszy o zdobyciu wzgórza Allang, rzucił się twarzą na bambusową podłogę w sali przyjęć i leżał nieruchomo przez całą noc i cały dzień, wydając zduszone jęki tak przerażające, iż żaden człowiek nie śmiał podejść bliżej niż o długość włóczni do jego wyciągniętej postaci. Radża widział już oczyma duszy, jak wygnany haniebnie z Patusanu wędruje opuszczony, obdarty ze wszystkiego, bez opium, bez swych kobiet, bez świty, łatwa zwierzyna dla każdego, kto by chciał po nią sięgnąć. Po szeryfie Alim przyjdzie teraz kolej na niego, a któż by się oparł napadowi poprowadzonemu przez takiego szatana! I rzeczywiście, radża zawdzięczał życie i władzę — taką jaką miał jeszcze wciąż podczas mego pobytu w Patusanie — wyłącznie zapatrywaniom Jima

na sprawiedliwość. Bugisom chodziło niezmiernie o załatwienie dawnych porachunków, a niewzruszony stary Doramin żywił nadzieję, że ujrzy swego syna na stanowisku władcy Patusanu. W czasie jednej z naszych rozmów pozwolił mi wejrzeć w tę swoją tajną ambicję. Nie znam nic doskonalszego w swoim rodzaju od dostojnej ostrożności, z jaką Doramin podchodził do przedmiotu. Zaczął od oświadczenia, że i on swego czasu zażywał siły za młodych lat, ale teraz oto się postarzał i jest już znużony... Jego potężna budowa i wyniosły wyraz małych oczek, rzucających mądre, przenikliwe spojrzenia, przypominały nieodparcie starego, chytrego słonia; powolne wznoszenie się i opadanie szerokich piersi było potężne i miarowe jak wzdychanie się spokojnego morza. Oświadczył, że i on również pokłada bezgraniczną ufność w mądrości tuana Jima. Gdyby tylko mógł uzyskać od niego obietnicę! Jedno słowo by wystarczyło!... Sapliwie milczenie Doramina i głucho dudniący jego głos przywoływały na myśl ostatnie wysiłki przemijającej burzy.

Usiłowałem odwrócić rozmowę. Przychodziło mi to z trudem, bo nie ulegało wątpliwości, że Jim miał w rękę siłę; rzekłbyś, iż w nowym swym świecie rozporządzał wszystkim według własnej woli. Ale, powtarzam, wszystko to było jeszcze nic w porównaniu z myślą — która mi zaświtała, podczas gdy słuchałem Doramina z pozorną uwagą — że Jim nareszcie zawładnął prawie zupełnie swym losem. Doramin niepokoił się o przyszłość kraju; byłem uderzony sposobem jego rozumowania. Mówił, że każdy kraj pozostaje tam, gdzie go Bóg umieścił, lecz biali ludzie przybywają i po krótkiej chwili odchodzą. Ci, których pozostawili, nie wiedzą, kiedy się spodziewać ich powrotu. Biali odjeżdżają do swego kraju, do swego narodu, więc i ten biały także... Nie wiem, jak to się stało, że się zdradziłem w tej chwili, oświadczyłem energicznie: „Nie, nie!” Cała waga tej mojej niedyskrecji ujawniła się, gdy Doramin zwrócił ku mnie twarz — której wyraz, zastępyły w surowych, głębokich bruzdach, pozostał niezmienny jak na wielkiej, brunatnej masce — i rzekł po namyśle, że to jest zaiste dobra nowina; i chciałby wiedzieć, dlaczego tuan Jim nie odjedzie.

Z drugiej strony obok mnie żona Doramina, podobna do małej, dobrodusznej czarownicy, siedziała z nakrytą głową i podwinętymi nogami, patrząc przez wielki otwór w ścianie. Twarz miała odwróconą; widziałem tylko zbłąkane pasmo jej siwych włosów, zarys wysokiej kości policzkowej, lekki, żujący ruch spiczastej brody. Nie odrywając oczu od rozległego widoku lasów, rozpostartych aż po góry, zapytała mnie tonem pełnym litości, jak to się stało, że Jim, taki jeszcze młody, wywędrował w dalekie kraje, poprzez tyle niebezpieczeństw? Czyżby nie miał domu ani rodaków? Czy nie ma starej matki, która by pamiętała zawsze jego twarz?...

Byłem zupełnie nieprzygotowany na to pytanie. Zdobyłem się tylko na mruknięcie i pokręciłem głową w nieokreślony sposób. Zdaję sobie doskonale sprawę, że potem usiłowałem bardzo niezręcznie wyplątać się z trudnego położenia. Jednak od owej chwili stary *nakhoda* stał się milczący. Obawiam się, że nie bardzo był zadowolony; dałem mu widać dużo materiału do rozmyślań. Dość dziwnym zbiegiem okoliczności tak się złożyło, że wieczorem tego samego dnia (który był ostatnim dniem mego pobytu w Patusanie) spotkałem się jeszcze raz z tym samym pytaniem, z tym „dlaczego” odnoszącym się do losu Jima, na które odpowiedzieć nie mogłem. A to mnie prowadzi do dziejów jego miłości.

Pewno myślicie, że to jest historia, którą sami możecie sobie wyobrazić. Słyszeliśmy o tylu podobnych przygodach i większość z nas nie wierzy wcale, aby miłość grała w nich rolę. Uważamy je zwykle za miłości — w najlepszym razie za przelotne namiętności, za dzieje młodzieńczych pokus skazanych w końcu na zapomnienie, nawet jeśli przechodziły przez okres prawdziwej tkliwości i żalu. Ten pogląd jest na ogół słuszny i może także w tym wypadku... A jednak nie wiem. Opowiedzieć tę historię nie jest bynajmniej tak łatwo; byłoby niesprawiedliwością brać ją ze zwykłego punktu widzenia. Z pozoru jest to wydarzenie bardzo podobne do innych; ja tam jednak dostrzegam tragiczną postać kobiecą z pieczęcią milczenia na ustach, cień okrutnej mądrości, pogrzebanej w samotnym opuszczonym grobie, spoglądający bezradnie i tęsknie. Ów grób, na który się raz natknąłem podczas ранней przechadzki, przedstawiał się jako nieforemny, brunatny kopic, opasany u samej podstawy szlakiem z inkrustowanych kawałków białego koralu

Miłość, Grób, Kochanek
romantyczny

i ogrodzony płotem ze ściętych drzewek, na których pozostawiono korę. Girlanda z liści i kwiatów wiła się po wierzchu cienkich słupków — a kwiaty były świeże.

Tedy — choć przyznaję, że cień kobiety istniał może tylko w mej wyobraźni — mogę w każdym razie zaznaczyć ważki fakt: ów grób utrzymany był starannie. Kiedy wam powiem w dodatku, że Jim wzniósł własnoręcznie sielski płot naokoło kopca, dostrzeżecie zaraz odrębność tej historii, jej indywidualny charakter. W tym podzieleniu wspomnień i uczuć drugiej istoty jest powaga dająca dużo do myślenia. Jim posiadał sumienie, i to romantyczne sumienie. Żona ohydneho Corneliusa przez całe życie nie miała innej towarzyski, powiernicy i przyjaciółki poza swą córką. Jak się to stało, że biedna kobieta wyszła za mąż za tego odrażającego Portugalczyka z Malakki, po rozstaniu się z ojcem swego dziecka, i jak się odbyło to rozstanie — czy przez śmierć, która bywa niekiedy miłosierna, czy przez bezlitosny nacisk konwenansu — pozostało dla mnie tajemnicą. Z niezliczonych wzmianek, które słyszałem na ten temat od Steina znajdującego tyle różnych historii, jestem przekonany, że nie była to zwykła kobieta. Jej ojciec — biały człowiek i wysoki urzędnik w dodatku — był jednym z tych wspaniale uzdolnionych ludzi, którzy nie są dość tępi, aby osiągnąć powodzenie, toteż kariera ich kończy się często w cieniu. Sądzę, że tej kobiecie brakowało również zbawiennej tępoty — i kariera jej skończyła się w Patusanie. To wspólny los wielu z nas... bo gdzież jest człowiek — mam na myśli prawdziwie uczuciowego człowieka — który nie przypomina sobie mgliście, jak w pełni posiadania został opuszczony przez kogoś — lub coś — cenniejszego od życia?... A to wspólne nam przeznaczenie pastwi się ze szczególnym okrucieństwem nad kobietami. Nie wymierza im kary jak władca, lecz zadaje im przewlekłe katusze, jakby chciało nasycić swój tajny, nieugaszony gniew. Można by pomyśleć, że los, przeznaczony do rządzenia nami na tej ziemi, szuka zemsty na istotach, które są najbliższe wyzwolenia się z pęt ziemskiej przeczności; bo tylko kobiety umieją niekiedy włożyć w miłość ów pierwiastek zaledwie dostrzegalny, który przejmując nas lękiem jak zetknięcie z czymś pozaziemskim. Pytam siebie z zaciekawieniem, jak też świat wygląda w oczach kobiet — czy ma kształt i treść, która *nam* jest znana, czy ma powietrze, którym my oddychamy! Wydaje mi się niekiedy, że to musi być kraina nielogicznych wzniosłości, kipiąca od uniesień dusz ważących się na wszystko, opromieniona chwałą wszelkich możliwych hazardów i wyrzeczeń. Ale podejrzewam, że na świecie takich kobiet jest bardzo mało, choć oczywiście zdają sobie sprawę z mnogości ludzkiego rodzaju i równowagi liczebnej między obu płciami.

Jednak jestem pewien, że matka dziewczyny była najprawdziwszą kobietą, taką samą, jaką zdawała się być córka. Wyobrażam sobie często obie; z początku widzę młodą kobietę z dzieckiem, potem starszą kobietę z młodą dziewczyną — wśród okropnej jednostajności i szybko mijających lat; widzę je za zaporą lasu, samotne wśród wiru życia, a każde słowo, które zamieniają, przeniknięte jest smutkiem. Matka musiała prawdopodobnie zwierzać się córce, i to nie tyle z faktów, co z najgłębszych uczuć, żalu, lęku; zapewne padały i przestrogi, których dziewczyna nie rozumiała w całej pełni, póki matka jej nie umarła i póki Jim się nie zjawił. Wówczas z pewnością zrozumiała wiele, choć nie wszystko, a chyba lęk przede wszystkim. Jim nazwał ją słowem, które oznacza coś drogiego, na przykład drogiego kamień, nazwał ją Klejnotem. Prawda, że ładnie? Ale on miał w sobie wszystkie możliwości. Był godzien swego powodzenia, tak jak i — w gruncie rzeczy — zasłużył był na swoje nieszczęście. Mówił do niej: „Klejnocie”, a wymawiał to zupełnie tak, jakby wołał: „Janko”, rozumiecie? takim spokojnym, małżeńskim, poufnym tonem. Usłyszałem to po raz pierwszy w dziesięć minut po przybyciu na dziedziniec Jima, który o mało co nie oderwał mi ręki, potrząsając nią na powitanie, a potem rzucił się na schody i jak rozradowany chłopczyk zaczął się awanturować u drzwi pod ciężkim okapem:

— Klejnocie! Słyszysz, Klejnocie! Prędko! Przyjechał mój przyjaciel! — Nagle zajrzał mi w oczy w półmroku werandy i szepnął poważnie: — Pan rozumie, to jest, tylko bez żadnych żartów, nie umiem wypowiedzieć, jak wiele jej zawdzięczam, więc też, widzi pan, ja... zupełnie jak gdyby...

Jego gorączkowy, niespokojny szepot urwał się nagle: wewnątrz domu mignęła biała postać, rozległ się słaby okrzyk i z ciemnego pokoju wyjrzała dziecinnie, lecz pełna energii twarzyczka o delikatnych rysach i głębokim, uważnym spojrzeniu, jak ptak z głębi gniazda.

Los, Kobieta

Głupota, Urzędnik

Uderzyło mnie, naturalnie, imię, jakim Jim na nią wołał, ale dopiero później zwróciłem uwagę na związek tego imienia z dziwacznymi pogłoskami, które doszły mnie podczas podróży w małej osadzie na wybrzeżu, około 230 mil na południe od ujścia patusańskiej rzeki. Szkuner Steina, na którym podróżowałem, zawinął tam po jakieś produkty. Wysiadłszy na brzeg, przekonałem się z wielkim zdziwieniem, że ta nędzna miejscowość szczyti się stałym rezydentem, trzeciorzędnym urzędniczyną, drabem mieszanego pochodzenia — wielkim, tęgim, ociekającym tłuszczem, o mrugających oczach i wywiniętych, świecących wargach. Zostałem go leżącego na wznak na trzciniowym leżaku; był obrzydliwie rozpięty, na czubku parującej głowy miał wielki zielony liść, drugi zaś trzymał w ręku i wachlował się nim leniwie... Więc jadę do Patusanu? Ach tak, Spółka Handlowa Steina. Słyszał o niej. Wie, że Stein ma koncesję.

— Ale mnie nic do tego. Teraz tam wcale jest nieźle — zauważył niedbale i mówił dalej, przeciągając: — Dostał się tam podobno jakiś biały włóczęga... Jak? Co pan mówi? Pański przyjaciel? Aha!... A więc mówiono mi prawdę, że to jeden z tych *verdammte*¹⁴². Czegóż — on tam szukał? A hycel, więc się potrafił tam wśliznąć! Co pan mówi? Nie byłem tego pewien. Patusan, oho, podryzają tam gardła jak nic, ale co mi do tego. — Urwał i zaczął jęczeć: — Uf! Boże ty mój! Ten upał, ten upał! Hm, wobec tego, co pan mówi, może i jest trochę prawdy w pogłoskach o... — Zamknął paskudne, szkliste oko (powieka drżała mu w dalszym ciągu), a drugim zerknął na mnie ohydnie. — Niech pan posłucha — rzekł tajemniczo — jeżeli... rozumie pan? jeżeli tamten facet dobrał się rzeczywiście do czegoś, co warte zachodu... Nie do jakiegoś zielonego szkiełka, kapuje pan? Jestem oficjalną osobą... Otóż niech pan powie temu szelmie... Co? Jak? Pański przyjaciel? — Przewalał się wciąż spokojnie po leżaku. — Tak pan mówi? Bardzo pięknie; miło mi, że mogę dać panu te wskazówki. Pan chciałby pewno także trochę się na tym obłowić? Proszę mi nie przerywać. Pan mu powie po prostu, że słyszałem o tej historii, ale rządowi nic nie doniosłem. Jeszcze nie. Rozumie pan? I po co donosić? Prawda? Niech pan mu powie, żeby się u mnie stawił, jeśli go wypuszczą żywego z kraju. Powinien pilnować swej skóry. Co? Obiecuję, że żadnych pytań zadawać nie będę. Szyto, kryto, rozumie pan? Panu się także coś niecoś ode mnie okroi. Niewielka prowizja za zajęcie się tą historią. Proszę mi nie przerywać. Jestem urzędnikiem rządowym, ale raportu nie zrobię. Interes interesem. Kapuje pan? Znam paru porządnym ludzi, którzy kupią wszystko, co jest warte kupienia, i mogę dać temu łajdakowi porządną kawał grosza, taki, jakiego nigdy w życiu nie widział. Już ja wiem, jakiego to rodzaju ptaszek.

Patrzył we mnie spokojnie, otworzył oboje oczu, a ja stałem nad nim w nieopisanym zdumieniu, pytając siebie, czy on oszalał, czy też jest pijany. Pocił się, sapał, stękając z lekka, i drapał się z takim wstrętnym spokojem, że nie mogłem znieść dłużej tego widoku i nie dotarłem do sedna sprawy. Nazajutrz przekonałem się z przypadkowych rozmów, które prowadziłem na tamtejszym malutkim dworze, że wzdłuż wybrzeża wędruje z wolna opowieść o tajemniczym białym, osiadłym w Patusanie; człowiek ten zawładnął jakoby nadzwyczajnym klejnotem, a mianowicie szmaragdem olbrzymiej wielkości, wprost bezcennym. Zdaje się, że szmaragd bardziej działa na wyobraźnię Wschodu niż wszystkie inne kamienie. Opowiadano mi, iż biały wy dostał go — po części dzięki swej nadzwyczajnej sile, po części zaś dzięki chytrności — od władcy odległej krainy, skąd uciekł natychmiast i przybył do Patusanu wśród najgroźniejszych niebezpieczeństw; zdołał jednak wszystkich zastraszyć przez niezmierną swą dzikość, której nic poskromić nie zdoła. Większość mych informatorów była zdania, że ów drogocenny kamień przynosi zapewne nieszczęście — jak słynny kamień sułtana Sukkadany, który ongi sprowadzał na ten kraj wojny i klęski niesłychane. A może to ten sam kamień? Któż to może wiedzieć! I rzeczywiście opowieść o szmaragdzie bajecznej wielkości sięga przybycia pierwszych białych na archipelag, a wiara w to podanie jest tak uporczywa, że przed niespełną czterdziestu laty Holendrzy przeprowadzili co do tego urzędowe śledztwo. Starzec, który mi opowiadał najwięcej szczegółów o zdumiewającym micie Jimowym, był czymś w rodzaju pisarza przy nędznym, małym tamtejszym radży; tłumaczył mi, wytrzeszczając biedne, niedowidzące oczy (siedział na podłodze w dowód szacunku), że taki skarb najlepiej przechowywać na łonie niewiasty. Lecz nie każda niewiasta nadaje się do tego. Musi być młoda, tu wes-

¹⁴²*verdammte* (niem.) — przeklęci. [przypis edytorski]

tchnął głęboko, i nieczuła na ponęty miłości. Pokręcił sceptycznie głową. Jednak zdaje się, że taka kobieta doprawdy istnieje. Opowiadano mu o wysokiej dziewczynie, do której biały odnosi się z wielkim szacunkiem i troskliwością, a która nigdy sama z domu nie wychodzi. Ludzie mówią, że prawie co dzień widuje się białego w jej towarzystwie; chodzą oboje jawnie ramię w ramię, a on ją trzyma pod rękę i przyciska do siebie, o tak — w najdziwniejszy sposób. Może to i kłamstwo, przyznawał, bo to by było zaiste dziwne postępowanie; ale skądinąd nie ma wątpliwości, że ta dziewczyna nosi klejnot białego ukryty na piersiach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Taka rozeszła się pogłoska o wieczornych przechadzkach młodej pary. Uczestniczyłem w nich nieraz, a za każdym razem dawała mi się we znaki obecność Corneliusa, który uważał się za pokrzywdzonego w legalnych prawach ojcostwa i snuł się zawsze w pobliżu, wykrzywiając dziwnie usta, co wyglądało, jakby miał natychmiast zazgrzytać zębami. Ale czyście zauważyli, że trzysta mil poza obrębem drutów telegraficznych i okrętowej komunikacji ponure utylitarne kłamstwa właściwe naszej kulturze więdną i zamierają, ustępując miejsca oderwanym ćwiczeniom wyobraźni, które są bezinteresowne, często posiadają urok, a niekiedy głęboko ukrytą prawdę dzieł sztuki? Romantyzm upodobał sobie Jima — i to było jedyną prawdą w tej opowieści. Jim nie ukrywał swego klejnotu. Wręcz przeciwnie, pysznił się nim niezmiernie.

Spostrzegam teraz, że w gruncie rzeczy bardzo mało widywałem tę dziewczynę. Utkwiła mi najbardziej w pamięci bladeść jej gładkiej, oliwkowej cery i głębokie granatowo-czarne połyski włosów spływających obficie spod małej czerwonej czapeczki, którą nosiła zawsze zsuniętą na tył kształtnej głowy. Ruchy jej były swobodne, pewne; kiedy się rumieniła, policzki jej okrywały się ciemną czerwienią. Gdyśmy rozmawiali we dwóch z Jimem, przesuwiała się nieraz przez pokój, rzucając na nas szybkie spojrzenia; zostawało po niej wrażenie wdzięku, czaru i bardzo wyraźnej czujności. Jej zachowanie było dziwną mieszaniną śmiałości i lęku. Każdy jej uśmiech, pełen uroku, ustępował prędko wyrazowi głuchej, tłumionej trwogi, niby zmuszony do ucieczki przez jakieś grożące stale niebezpieczeństwo. Czasami, siadłszy przy nas, przysłuchiwała się rozmowie, podpierając drobną rączką delikatny policzek i złościąc w nim dołki: wielkie jej jasne oczy wisiły na naszych ustach, jakby każdy z wymówionych wyrazów miał jakiś widzialny kształt. Nauczyła się czytać i pisać od matki, a od Jima pochwytała sporo angielszczyzny; posługiwała się nią w sposób niesłychanie zabawny, mówiąc — zupełnie na wzór Jima — niedbałym, uczniowskim tonem. Tkliwość jej unosiła się nad Jimem jak trzepot skrzydeł. Dziewczyna żyła w tak bezwzględny zapatrzeniu się w niego, że przejęła coś z zewnętrznego wyglądu Jima, coś, co przypominało go w ruchach, w sposobie wyciągania ręki, oglądania się, rzucania spojrzeń. Niezmiernie natężenie jej czujnej miłości sprawiało, że można było prawie wyczuć tę miłość zmysłami; zdawała się naprawdę istnieć w przestrzeni naokoło Jima, otaczając go jak szczególny aromat, trwając w słońcu niby drżąca, stłumiona, namiętna nuta. Pewno bierzecie i mnie za romantyka, ale jesteście w błędzie. Opowiadam wam trzeźwe wrażenia, jakich doznałem w zetknięciu z młodością; opowiadam o dziwnym, niepokojącym romansie, który się znalazł na mojej drodze. Przyglądałem się z zacięciem przebiegowi — powiedzmy — miłości Jima. Był kochany zazdrośnie, ale dlaczego dziewczyna miała być zazdrosna i o co, nie umiem powiedzieć. Ten kraj, te lasy, ci ludzie byli jej współnikami, strzegli go w czujnym porozumieniu, sekretnie, tajemniczo, jako swej bezwzględnej własności. Zdawało się, że żaden głos nie dosięgnie tu Jima, więziła go własna jego wolność i potęga, a dziewczyna, choć była gotowa podesłać mu głowę pod nogi, strzegła swej zdobyczy nieugięte — jakby trudno było Jima utrzymać. Nawet Tamb' Itam, który podczas naszych podróży chodził z zadartą głową, następując na pięty swemu władcy, dziki i obwieszony bronią jak janczar¹⁴³, z krisem, kordelasem i włócznią (poza tym niósł jeszcze strzelbę Jima) — otóż nawet Tamb' Itam pozwalał sobie odgrywać rolę nieugiętego opiekuna, niby zgryźliwy dozorca, gotów oddać życie za swego więźnia. Wieczorami, kiedyśmy siadywali do późna, milcząca, niewyraźna postać chodziła bezszelestnymi krokami przed werandą tam i z powrotem; niekiedy zaś,

Kobieta

Miłość

Sluga

¹⁴³janczar — żołnierz dawnej piechoty tureckiej. [przypis edytorski]

podnosząc głowę, dostrzegalem niespodzianie, że Malaj stoi w cieniu, sztywny i wyprostowany. Po jakimś czasie zniknął zazwyczaj bez najmniejszego szmeru, lecz gdyśmy wstali z krzeseł, wylaniał się tuż przy nas, jak gdyby z ziemi, gotów wypełnić wszelkie rozkazy Jima. Dziewczyna także, jak sądzę, nie kładła się spać, pókiśmy nie rozstali się na noc. Nie raz i nie dwa widziałem ich oboje z Jimem przez okna mego pokoju, wychodzących spokojnie na werandę; opierali się o grubą ciosaną poręcz — dwie zbliżone do siebie białe postacie; Jim obejmował dziewczynę, a ona kładła mu głowę na ramieniu. Dochodziły do mnie ciche ich szepty, wyraźne, tkliwe, brzmiące spokojną, smutną nutą wśród nocnej ciszy, niby obcowanie z sobą jednej i tej samej istoty, rozłożone na dwa tony. Później, przewracając się na łóżku pod siatką od moskitów, słyszałem wyraźnie słabe trzaski, lekki oddech, ostrożne pochrząkiwania — i wiedziałem, że to Tamb' Itam jest wciąż na czatach. Choć miał (z łaski białego władcy) dom w obejściu Jima, choć „pojął żonę” i związek jego został niedawno pobłogosławiony przez urodzenie dziecka, zdaje się, że sypiał co noc na werandzie, a w każdym razie było tak podczas mego pobytu w Patu-sanie. Dogadać się z tym wiernym i ponurym sługą bardzo było trudno. Nawet samemu Jimowi odpowiadał w krótkich, urywanych zdaniach, rzekłbyś, niechętnie, jakby dawał do zrozumienia, że bawienie się w rozmowę do niego nie należy. Najdłuższe zdanie, jakie wypowiedział sam z siebie, usłyszałem pewnego ranka, gdy rzekł, wskazując na Corneliusa: „Tam idzie Nazarejczyk”. Nie sądzę, aby się do mnie z tym zwracał, choć stałem u jego boku; zdaje mi się, że chciał raczej pobudzić oburzoną uwagę wszechświata. Kilka aluzji do psów i zapachu pieczonego mięsa, które przy tym wymamrotał, uderzyły mnie szczególnie trafnością. Wielka kwadratowa przestrzeń dziedzińca była zalana rozpalonym blaskiem słońca, a Cornelius skąpany w jaskrawym świetle lał przez sam środek, widzialny jak na dłoni; mimo to jednak miało się nieokreślone wrażenie, że idzie chyłkiem, że się skrada potajemnie w jakichś ciemnych zamiarach. Przywodził na myśl wszystko, co najwstrętniejsze. Jego powolny, pracowity chód przypominał czółganie się odrażającego karalucha; tylko nogi poruszały mu się z ohydny mozolem, tułów zaś sunął nieruchomo. Przypuszczam, że kierował się wprost tam, dokąd zamierzał się udać, ale jego chód z wysuniętym naprzód ramieniem robił wrażenie, że idzie na ukos. Widywano go często krążącego wolno między szopami, jakby wywąchiwał jakiś ślad; mijał werandę, spoglądając w górę ukradkiem, i zniknął bez pośpiechu za węglem pierwszej lepszej chaty. Zupełna swoboda ruchów, którą mu pozostawiono, dowodziła bezsensownej niedbałości Jima lub też jego niezmiernej pogardy, gdyż Cornelius odegrał rolę co najmniej bardzo dwuznaczną w pewnym epizodzie, który mógł się skończyć dla Jima jak najgorzej, a tymczasem przyczynił się tylko do jego chwały. Lecz wszystko obracało się na jego chwałę; była pewna ironia łaskawego mu losu w tym, że Jim, który raz przez chwilę okazał zbytnią troskliwość o swoje życie, zdawał się teraz posiadać czar przeciw śmierci.

Trzeba wam wiedzieć, że opuścił posiadłość Doramina bardzo prędko po swym przybyciu, w gruncie rzeczy o wiele za prędko, jeśli chodziło o jego bezpieczeństwo, i oczywiście na długi czas przed wojną. Powodowało nim poczucie obowiązku; mówił mi, że musiał się przecież zająć interesami Steina. W tym celu przeprowił się przez rzekę ze skrajnym lekceważeniem swego bezpieczeństwa i zamieszkał u Corneliusa. Jak się temu ostatniemu udało przetrzymać okres zamieszek, tego nie umiem powiedzieć. Ostatecznie był agentem Steina i jako taki pozostawał w pewnej mierze pod protekcją Doramina. Tak czy inaczej, udało mu się wywinąć z tych groźnych komplikacji; nie mam zaś wątpliwości, że jego postawa, bez względu na narzuconą mu linię postępowania, odznaczała się nikczemnością, która była niejako piętnem tego człowieka. Oto właśnie główny jego rys charakterystyczny: był z gruntu nikczemny, co odbijało się także na jego wyglądzie, podobnie jak inni ludzie mają wygląd szlachetny, dystyngowany lub wzbudzający szacunek. Ów pierwiastek jego natury przenikał wszystkie jego czyny, namiętności i wzruszenia; Cornelius wściekał się nikczemnie, uśmiechał nikczemnie, a także i nikczemnie się martwił; jego uprzejmości i oburzenia były jednakowo nikczemne. Wyobrażam sobie, że jego miłość byłaby najnikczemniejszym z uczuć — ale czy można sobie wyobrazić, aby wstrętny owad się kochał? A i obrzydliwość jego była także nikczemna, tak że pierwszy lepszy człowiek budzący tylko odrazę wydałby się obok niego szlachetny. Cornelius nie znajduje się ani na pierwszym, ani na ostatnim planie tego opowiadania; widać go po prostu, jak

snuje się chyłkiem gdzieś po jego krańcach, zagadkowy i nieczysty, mącąc wonny zapach młodości i prostoty.

Stanowisko jego mogło być w każdym razie tylko bardzo nędzne, ale nie jest wykluczone, że ciągnął zeń pewne korzyści. Jim mówił mi, że z początku Cornelius okazywał mu w odrażający sposób najprzyjaźniejsze uczucia.

— Ten człowiek nie posiadał się widać z radości — rzekł Jim z obrzydzeniem. — Rzucał się na mnie co rano i potrząsał mi obie ręce, daj go katu! Ale nie wiedziałem nigdy, czy będę miał co jeść na śniadanie. Jeśli dostałem trzy posiłki w ciągu dwóch dni, uważałem się za szczęśliwego; w dodatku kazał mi podpisywać co tydzień kwit na dziesięć dolarów. Mówił, że chyba pan Stein sobie nie wyobraża, aby on, Cornelius, za darmo mnie żywił. A nie dawał mi prawie nic do jedzenia. Tłumaczył to zamieszaniem panującym w kraju, przy tym zaś udawał, iż sobie włosy z głowy wrywa, i przeproszał mnie dwadzieścia razy na dzień, tak że w końcu musiałem go błagać, aby się tym nie przejmował. Robiło mi się niedobrze na widok tych komedii. Dach jego domu był na wpół zapadnięty, a całe mieszkanie wyglądało nadzwyczaj nędznie; z dziur sterczały źdźbła suchej trawy, strzępy podartych mat trzepotały na wszystkich ścianach. Cornelius starał się dowieść usilnie, że pan Stein winien mu jest pieniądze za trzy ostatnie lata handlu, ale wszystkie książki były podarte, a kilku z nich brakowało. Dawał do zrozumienia, że to wina jego zmarłej żony. Wstrętna kanalia! W końcu zakazałem mu w ogóle swoją żonę wspominać. To pobudzało Klejnot do płaczu. Nie dowiedziałem się nigdy, co się stało z wszystkimi towarami; w składach nie było nic prócz szczurów wyprawiających harce wśród śmieci, odpadków brunatnego papieru i starych worków. Zapewniano mnie na wszystkie strony, że Cornelius ma mnóstwo pieniędzy, które gdzieś zakopał, ale oczywiście nie mogłem nic z niego wycisnąć. Prowadziłem w tym nieszczęsnym domu najmarniejsze życie, jakie sobie można wystawić. Usiłowałem pełnić swoje obowiązki w stosunku do Steina, ale trzeba było myśleć także i o innych sprawach. Kiedy uciekłem do Doramina, stary Tunku Allang zląkł się i zwrócił mi wszystkie moje rzeczy. Odbyło się to krętą drogą w niezmiernie tajemniczy sposób za pośrednictwem Chińczyka, który utrzymuje tu sklepik; lecz z chwilą gdy opuściłem Bugisów, aby zamieszkać u Corneliusa, zaczęto rozpowiadać otwarcie, że radza postanowił mnie wkrótce zgładzić. Przyjemne, co? Nie widziałem nic, co by mogło mu przeszkodzić, gdyby rzeczywiście na to się zdecydował. A najgorsze, zdawałem sobie sprawę, że mój pobyt w Patusanie zupełnie jest bezużyteczny i dla Steina, i dla mnie. Och! tych sześć tygodni — to było coś piekielnego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Mówił mi dalej, że nie wie, co go skłoniło do odkładania wyjazdu — ale możemy to naturalnie odgadnąć. Miał głębokie współczucie dla bezbronnej dziewczyny, która była na łasce tego nędznego, tchórzliwego łotra. Zdaje się, że Cornelius okropnie się z nią obchodził, nie posuwając się jednak do fizycznego znęcania się tylko dlatego, że — jak sądzę — brakowało mu odwagi. Nalegał, aby nazywała go ojcem, „i to z szacunkiem — z szacunkiem”, wykrzykiwał grożąc jej małą żółtą pięścią.

— Jestem człowiekiem zasługującym na szacunek, a ty czym jesteś? No mów — czym jesteś? Myślisz, że będę wychowywał cudze dziecko i nie żądał za to szacunku? Powinnaś się czuć szczęśliwa, że ci pozwalam nazywać siebie ojcem. No dalej, odpowiadaj: tak, ojciec... Nie chcesz? Zaraz ci tu pokażę!

I póty wymyślał na zmarłą, póki dziewczyna nie uciekła, trzymając się oburącz za głowę. Ścigał ją, wbiegał do mieszkania i wybiegał na dwór, latał naokoło domu i między szopami; wreszcie zapędzał ją w jakiś kąt, gdzie padała na kolana, zatkawszy uszy, a wówczas stawał za nią z daleka i jednym ciągiem wykrzykiwał plugawe wymysły przez jakie pół godziny.

— Twoja matka to była diablica, chytra diablica — i z ciebie także diablica — wybuchał w końcu, podnosił grudkę zeschniętej ziemi albo garść błota (pełno było błota naokoło domu) i rzucał jej na głowę.

Niekiedy jednak stawiała mu czoło, pełna pogardy, mierząc go wzrokiem w milczeniu, z ponurą, zmienioną twarzą, i tylko od czasu do czasu wypowiadała parę słów, od których żądła tamten się wił i skakał. Jim opowiadał mi, że te sceny były okropne. Natrafić na

Zło

coś podobnego w dzikiej głuszy było naprawdę czymś niezwykłym. Pomyślcie tylko, jak przerażająca była beznadziejność tej wyrafinowanej okrutnej sytuacji.

Szacowny Cornelius (Malajowie nazywali go „Inchi 'Nelyus” z grymasem dającym wiele do myślenia) był człowiekiem, którego spotkał wielki zawód. Nie wiem, czego się spodziewał w zamian za swoje małżeństwo, lecz najwidoczniej zupełna swoboda kradzenia, popełniania nadużyć i przywłaszczania sobie od lat towarów Spółki Handlowej Steina w sposób dla siebie najwygodniejszy — (Stein dostarczał bez zawodu towarów do Patusanu za każdym razem, kiedy szyprowie Spółki mogli tam dotrzeć) — otóż swoboda ta nie wydawała się Corneliusowi należytym równoważnikiem za ofiarę z jego szacownego nazwiska. Jim byłby go z rozkoszą zbił na kwaśne jabłko; ale z drugiej strony owe sceny były czymś tak przykrym i ohydny, że idąc za pierwszym odruchem, usuwał się poza obręb głosu, aby oszczędzić wstydu dziewczynie. Wychodziła z takiej sceny wzburzona, niema, przyciskając niekiedy ręce do piersi z kamienną, zrozpaczoną twarzą. Wówczas Jim przybliżał się i zgęębiony, próbował do niej przemówić.

— Ależ, doprawdy, po co się tym tak przejmować, może pani spróbuje teraz coś zjeść — albo też okazywał jej współczucie w jakiś inny sposób.

Cornelius wślizgiwał się ustawicznie to tymi, to owymi drzwiami i myszkował po werandzie, niemy jak ryba, rzucając spode łba wrogie, podejrzliwe spojrzenia.

— Mogę mu tego zabronić — rzekł raz Jim do niej. — Niech pani tylko szepnie słowo.

I czy wiecie, co mu powiedziała? Odrzekła, Jim powtórzył mi to z przejęciem, iż gdyby nie miała pewności, że Cornelius jest sam bardzo nieszczęśliwy, znalazłaby odwagę, aby go zabić własnymi rękoma.

— Niechże pan sobie to wyobrazi! Ta biedna dziewczyna, prawie dziecko, doprowadzona do czegoś podobnego! — wykrzyknął Jim ze zgrozą.

Wydawało się niepodobieństwem uchronić ją nie tylko przed tym podłym łotrem, ale i przed nią samą. To, co Jim odczuwał, było, jak mówił, czymś daleko większym od współczucia; zdawało mu się, że coś ciąży mu na sumieniu, kiedy patrzył na jej życie. Uważałby swój wyjazd z Patusanu za niegodziwą dezercję. Zrozumiał w końcu, że nie może się tu spodziewać niczego po dłuższym pobycie, ani rachunków, ani pieniędzy, ani jakichkolwiek wyjaśnień, ale mimo to nie wyjeżdżał, doprowadzając tym Corneliusa do rozjątrzenia graniczącego, nie powiedziałbym z szaleństwem, ale prawie z odwagą. A tymczasem Jim czuł, że przeróżne niebezpieczeństwa gromadzą się skrycie wkoło niego. Doramin posyłał dwa razy zaufanego sługę, aby mu powiedzieć z naciskiem, że nic dla jego bezpieczeństwa zrobić nie może, póki Jim nie przeprawi się z powrotem przez rzekę i nie zamieszka wśród Bugisów jak przedtem. Ludzie najróżniejszego autoramentu odwiedzali Jima częstokroć głuchą nocą, aby wyjawić mu spiski knute na jego życie. Chciano go otruć. Chciano go zasztyletować w łazience. Przygotowywano się do zabicia go z łódki na rzece. Każdy z donosicieli twierdził, że jest mu bardzo życzliwy. To wystarczyło, mówił Jim, aby pozbawić człowieka spokoju raz na zawsze. Zamachy w tym rodzaju były najzupełniej możliwe, nawet prawdopodobne, ale kłamliwe ostrzeżenia dawały Jimowi tylko poczucie groźnych knoń, czających się naokoło w mroku ze wszystkich stron. Trudno obmyślić coś bardziej skutecznego dla wyprowadzenia z równowagi najsilniejszych nerwów. Wreszcie pewnej nocy sam Cornelius, odgrywając komedię wielkiego niepokoju i tajemniczości, wyjawiał Jimowi pewien projekt w słowach obleśnych i uroczyście, projekt następujący: on, Cornelius, podejmuje się za sto dolarów, nawet za osiemdziesiąt, powiedzmy: osiemdziesiąt, dostarczyć zaufanego człowieka, który przemyci Jima bezpiecznie przez rzekę. Nie ma już teraz innej rady, jeśli Jim dba choć trochę o życie. Cóż to jest osiemdziesiąt dolarów? Drobnostka. Sumka bardzo nieznaczna. A tymczasem Cornelius, który musi pozostać tu na miejscu, dosłownie wyzywa śmierć tym dowodem przywiązania do młodego przyjaciela pana Steina. Bardzo trudno było Jimowi znieść widok wstrętnych min, które Cornelius stroił; targał się za włosy, bił w piersi, kiwał się z rękami przyciśniętymi do brzucha i nawet udawał, że roni łzy. „Pańska krew spadnie na pana własną głowę” — skrzeknął wreszcie i wybiegł. Ciekawe, do jakiego stopnia Cornelius był szczery, odgrywając tę scenę. Jim wyznał mi, że oka nie zmrużył po wyjściu tego człowieka. Leżał na wznak na cienkich matkach rozpostartych na bambusowej podłodze, usiłując na próżno rozróżnić gołe krokwie i przysłuchując się szelestom w podartej strze-

sze. Gwiazda zamigotała nagle przez dziurę w dachu. Myśli Jima goniły się jak szalone; mimo to jednak właśnie tej nocy dojrzał w jego umyśle plan, w jaki sposób zwyciężyć szeryfa Alego. Rozważał sytuację już przedtem, każdej chwili wolnej od beznadziejnego wglądania w interesy Steina, ale sam pomysł przyszedł mu wtedy nagle do głowy: ujrzał po prostu armaty wciągnięte na szczyt wzgórza. Leżał tak, bardzo przejęty i bardziej rozbudzony niż kiedykolwiek. Było mu gorąco, zerwał się i wyszedł boso na werandę. Idąc po cichu, natknął się na dziewczynę stojącą nieruchomo pod ścianą jak gdyby na czatach. Taki był wzburzony, że nie zdziwił go wcale ani jej widok, ani też szept niespokojny, gdy zapytała, gdzie może być Cornelius. Odpowiedział po prostu, że nie wie. Jęknęła z cicha i wyjrzała na podwórze. Spokój panował wszędzie. Jim miał głowę pełną swego nowego planu i taki był nim przejęty, że nie mógł się powstrzymać, aby natychmiast dziewczynie wszystkiego nie opowiedzieć. Wysłuchawszy go, klasnęła leciutko w dłonie, szepcząc cicho słowa podziwu, ale najwidoczniej miała się wciąż na baczności. Sądzę, że przywykł był zwierzać się jej ze wszystkiego, a z całą pewnością ona ze swej strony mogła mu dawać mnóstwo pożytecznych wskazówek co do spraw Patusanu — i dawała mu je bez wątplenia. Zapewniał mnie nieraz, iż nigdy źle na tym nie wyszedł, jeśli posłuchał jej rady. Otóż wyjaśniał jej właśnie szczegółowo swój projekt, gdy nagle ścisnęła go za ramię i znikła. Zaraz potem Cornelius skądś się wyłonił; ujrawszy Jima, uskoczył w bok, jakby do niego strzelono, i stanął nieruchomo wśród mroku. W końcu posunął się naprzód ostrożnie jak podejrzliwy kot.

— Przyszło tam kilku rybaków... z rybami na sprzedaż — rzekł drżącym głosem.
— Uważa pan, handlują rybami... — Musiała być wtedy jaka druga nad ranem, akurat odpowiedni czas dla przekupnia zachwalającego swój towar!

Ale Jim pominął to oświadczenie, nie poświęcając mu ani jednej myśli. Niczego nie zauważył i nie dosłyszał. „Aha!” — rzekł z roztargnieniem, popił wody z dzbana stojącego na werandzie, wszedł z powrotem do domu i wyciągnął się na macie, aby rozmyślać. Inne sprawy go zaprzętały, więc pozostawił własnym myślom Corneliusa, który, nurtowany przez jakies niezrozumiałe wzruszenie, objął oburącz stoczoną przez robaki poręcz werandy, jakby nogi się pod nim ugięły. Niebawem Jim usłyszał skradające się kroki. Zatrzymały się. Drżący głos szepnął przez ścianę:

— Czy pan śpi?

— Nie! A co takiego? — rzekł żywo.

Za ścianą dał się słyszeć nagły ruch, a potem wszystko ucichło, jakby ów ktoś, kto szeptał, został spłoszony. Jim, podrażniony do ostateczności, wybiegł gwałtownie; Cornelius wydał słaby okrzyk i zaczął uciekać wzdłuż werandy, lecz zatrzymał się przy schodach i oparł o złamaną poręcz. Wszystko to bardzo Jima zdziwiło; krzyknął z daleka, pytając, co to, u diabła, ma znaczyć.

— Czy pan się zastanowił nad tym, co panu mówiłem? — spytał Cornelius, wymawiając słowa z trudnością, jak człowiek, który ma atak dreszczów.

— Nie! — krzyknął Jim w pasji. — Nie zastanawiałem się i zastanawiać nie myślę. Zostanę tutaj, w Patusanie.

— U-u-mrze pan t-t-tutaj — odparł Cornelius zamierającym jakby głosem, trzęsąc się wciąż gwałtownie.

Wszystko to było takie głupie i drażniące, że Jim nie wiedział, czy ma się śmiać, czy złościć.

— Założmy się, że nie umrę, póki nie dopilnuję, aby pana zamknęli! — krzyknął, wściekły, lecz skłonny do śmiechu. I wołał dalej na wpół serio (podniecony, jak wiecie, swymi myślami): — Choćbyś pan pękł, nic mi pan zrobić nie możesz!

Daleki cień Corneliusa wydał mu się jakimś nienawistnym wcieleniem wszystkich zgryzot i trudności, które spotkał na swojej drodze. Przestał panować nad sobą, nerwy już od dawna miał przemęczone, i zaczął wyzywać Corneliusa różnymi pięknymi słowami: oszust, łgarz, nędzny lajdak — naprawdę w sposób niesłychany. Przyznał sam, że przebrał miarę, że stracił panowanie nad sobą, cały Patusan rzucił na głowę Corneliusowi, aby go przepędzić, oświadczył, iż wszyscy będą tu jeszcze tańczyli tak, jak on, Jim, im zagra — i tak dalej. Cały potok gróźb i przechwałek. Mówił mi, że był bardzo górnotłoty i bardzo śmieszny. Na samo wspomnienie o tym paliły go uszy. Zachowywał się tak, jakby

dostał bzika. Dziewczyna, która z nami siedziała, skinęła ku mnie szybko małą główką, zmarszczyła się trochę i rzekła dziecinnie uroczystym tonem:

— Słyszałam to wszystko. — Jim roześmiał się i zaczerwienił.

— Co mnie wreszcie osadziło — powiedział — to milczenie, zupełne, śmiertelne milczenie niewyraźnej postaci z oddali, która jak gdyby osłabła, przewieszona przez poręcz w dziwnym bezruchu. — Oprzytomniał i nagle zamilkł, bardzo samym sobą zdumiony. Śledził Corneliusa przez chwilę. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku.

— Zupełnie jak gdyby skończył, gdy ja wyprawiałem cały hałas — rzekł Jim. Taki był zawstydzony, że wrócił do siebie w pośpiechu, nie mówiąc ani słowa, i rzucił się znów na posłanie. Ta awantura dobrze mu widać zrobiła, bo przez resztę nocy spał jak zabity. Nie sypiał tak już od tygodni.

— Ale ja nie spałam — wtrąciła dziewczyna, siedząc z łokciem wspartym o stół i policzkiem w dłoni. — Czuwałam. — Potoczyła wzrokiem; błysnęły jej wielkie oczy, które badawczo utkwiała w mej twarzy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Możecie sobie wyobrazić, z jak wielkim słuchałem zajęciem. W dwadzieścia cztery godziny później okazało się, że wszystkie te szczegóły miały swoje znaczenie. Rano Cornelius nie robił żadnych aluzji do nocnych wypadków.

— Przypuszczam, że pan wróci do mego ubogiego domu — mruknął zgryźliwie, wyslizgując się skądś właśnie w chwili, gdy Jim wchodził do czółna, aby się udać do *kampungu* Doramina. Jim skinął tylko głową, nie patrząc na niego. — Widzę, że pan uważa to wszystko za dobry kawał — dodał cierpko Cornelius.

Jim spędził dzień ze starym *nakhodą*, głosząc konieczność energicznych czynów przed najznaczniejszymi mężami bugiskiej społeczności, zwołanymi na wielką naradę. Wspominał mi z przyjemnością, jaki był wymowny i przekonywający.

— Doprawdy, udało mi się tym razem wlać w nich ducha — rzekł.

Ostatnia wyprawa szeryfa Alego zniszczyła krańce osady; Arabowie wprowadzili kilka kobiet do swego warownego obozu. Dzień przedtem widziano na targu wysłańców szeryfa Alego kroczących wyniosłe w białych płaszczach i chełpiących się przyjaźnią radży dla ich pana. Jeden z tych ludzi, stojący w cieniu drzewa, wysunął się naprzód i wsparty na długiej lufie strzelby, wzywał obecnych do modlitwy i skruchy, doradzając, aby zabili wszystkich cudzoziemców znajdujących się w kraju, albowiem są między nimi niewierni, a nawet jeszcze gorsi od niewiernych, dzieci szatana w muzułmańskim przebraniu. Doniesiono także, iż wielu z ludzi radży, znajdujących się wśród słuchaczy, głośno mowcy potakiwało. Popłoch wśród pospólstwa był wielki. Jim, rad niezmiernie ze swego całodziennego trudu, przeprowił się z powrotem przez rzekę, nim słońce zaszło.

Biorąc na siebie odpowiedzialność za powodzenie, zdołał nieodwołalnie nakłonić Bugisów do czynu — i ogarnęła go taka radość, że usiłował być grzeczny nawet dla Corneliusa. W odpowiedzi na to Cornelius stał się szalenie wesoły; Jim opowiadał, że było to prawie nie do niesienia — słuchać pisków tego człowieka, zanoszącego się fałszywym śmiechem, widzieć, jak się kryguje i mruga, a potem nagle chwyta za brodę i kurczy się tuż nad stołem, patrząc błędnie przed siebie. Dziewczyna się nie pokazała i Jim poszedł wcześniej do siebie. Kiedy wstawał od stołu, aby powiedzieć dobranoc, Cornelius zerwał się, przewracając krzesło i dał nurka, jakby chciał podnieść coś, co wypadło mu z ręki. Jego „dobranoc” rozległo się chrypliwie pod stołem. Zdumiony Jim ujrzał go wynurzającego się z opadłą szczęką i oczami wytrzeszczonymi w idiotycznym strachu. Cornelius trzymał się za brzeg stołu.

— Co się stało? Czy panu niedobrze? — spytał Jim.

— Tak, tak, tak. Brzuch mnie strasznie boli — odrzekł tamten; zdaniem Jima, była to najzupełniejsza prawda. Zważywszy na czyn, który Cornelius miał na myśli, należy ten objaw strachu uznać za dowód jeszcze niezupełnej zatwardziałości Corneliusa i zapisać to na jego dobro.

Tymczasem sen Jima został zakłócony majakiem; wydało mu się, że niebiosa rozbrzmiewają, jak miedź, wielkim głosem wołającym na niego: zbudź się! zbudź się! tak donośnie, iż wbrew rozpaczliwemu postanowieniu, aby spać dalej, obudził się napraw-

Obcy, Religia, Szatan

Niebezpieczeństwo, Opieka,
Miłość

dę. Blask czerwonych, trzaskających płomieni, jakby zawieszonych w powietrzu, padł mu na oczy. Zwoje gęstego, czarnego dymu kłębiły się naokoło głowy jakiegoś zjawiska, niezmiernego zjawiska, całego w bieli, o surowej, natężonej, niespokojnej twarzy. Jim rozpoznał po chwili dziewczynę. Jej ramię z pochodnią było wyprężone nad głową; powtarzała wytrwale nagłym, jednostajnym głosem:

— Niech pan wstanie! Niech pan wstanie! Niech pan wstanie!

Zerwał się raptownie; dziewczyna natychmiast wetknęła mu do ręki rewolwer, jego własny rewolwer, który wisiał na gwoździu, ale był tym razem nabity. Wziął go w milczeniu, oszołomiony, mrużąc oczy od światła. Zastanawiał się, co też będzie mógł dla niej zrobić.

Zapytała szybko i bardzo cicho:

— Czy pan może stawić czoło czterem ludziom z tym rewolwerem?

Opowiadając mi to, Jim roześmiał się na wspomnienie uprzedzającej grzeczności, jaką okazał dziewczęciu.

— Naturalnie, że tak — oczywiście — jestem na pani rozkazy.

Nie otrząsnął się jeszcze ze snu i miał wrażenie, że zachowuje się bardzo odpowiednio w tych niezwykłych okolicznościach, ujawniając bezwzględność gotowości na wszystko. Dziewczyna wyszła z pokoju, Jim za nią; na korytarzu zakłócili spokój starej jędzy, która od czasu do czasu gotowała dla domowników, choć była już taka zgrzybiała, że z trudnością mogła, zrozumieć, co się do niej mówi. Dźwignęła się i poszła za nimi, kulejąc i mrucząc coś bezzębnymi ustami. Na werandzie hamak z żaglowego płótna — własność Corneliusa — bujał się lekko, trącony łokciem Jima. Był pusty.

Filia w Patusanie, tak jak i wszystkie stacje Spółki Handlowej Steina, składała się początkowo z czterech budynków. Dwa z nich przedstawiały obecnie stopy chrustu, połamanych bambusów i zbutwiałej strzechy, nad którymi cztery narożne słupy z twardego drzewa chyliły smętnie pod różnymi kątami; główny skład jednak stał jeszcze naprzeciw domu agenta. Była to podłużna szopa ulepiona z błota i gliny; u jednego jej końca znajdowały się szerokie drzwi z grubych desek, które dotychczas trzymały się jeszcze na zawiasach, a w bocznej ścianie był czworokątny otwór na kształt okna z trzema drewnianymi sztabami. Przed zejściem z paru stopni dziewczyna zwróciła głowę w tył ku Jimowi i rzekła prędko:

— Mieli napaść na pana podczas snu.

Jim mówił mi, że doznał wówczas w pewnym sensie rozczarowania. — Znowu ta sama historia! — Znudziły go zamachy na jego życie. Miał po uszy wszystkich alarmów. Aż do obrzydzenia. Był zły na dziewczynę, że go zwiodła. Poszedł za nią, przekonany, że to ona potrzebuje jego pomocy, i teraz, zniechęcony, prawie że miał ochotę wykręcić się na pięcie i wrócić.

— Wie pan — wyjaśniał mi z głębokim zastanowieniem — zdaje mi się, że w owym czasie, przez szereg tygodni, jak gdybym nie był właśnie samym sobą.

Nie mogłem się powstrzymać od zaprzeczenia:

— Ależ pan był właśnie sobą!

Tymczasem dziewczyna sunęła szybko naprzód, a Jim szedł za nią na podwórze. Ogradzające je płoty dawno już się rozpadły i bawoły sąsiadów kroczyły rano powoli przez otwartą przestrzeń, glucho postępując; nawet dżungla zaczynała tu się już wdzierać. Jim i dziewczyna zatrzymali się w bujnej trawie. Światło, w którym stali, pogłębiało ciemności dokoła i tylko nad ich głowami połyskiwała mnogość gwiazd. Jim mówił mi, że była to cudowna noc — zupełnie chłodna, z leciutkim powiewem od rzeki. Zauważył widać jej dobrotliwe piękno. Nie zapominajcie o tym, że opowiadam wam teraz historię miłosną. Ta piękna noc zdawała się tchnąć na nich łagodną pieśczętą. Płomień pochodni chwiał się niekiedy, trzepocząc głośno jak chorągiew, i przez jakiś czas nic więcej nie było słychać.

— Czekają w składzie — szepnęła dziewczyna — czekają tam na sygnał.

— Czyj sygnał? — zapytał Jim.

Wstrząsnęła pochodnią, która buchnęła płomieniem, rozsypawszy deszcz iskier.

— Tylko że spał pan tak niespokojnie — ciągnęła szeptem. — Ja także nad panem czuwałam.

Noc

— Pani! — zawołał, obracając głowę, aby na nią spojrzeć.

— Pan myśli, że ja czuwałam tylko tej nocy! — powiedziała jak gdyby z rozpaczą i oburzeniem.

Mówił mi, że te słowa podziały na niego niby cios w piersi. Tchu mu zabrakło. Doznał wrażeń, że zachowywał się dotąd jak cham — poczuł skruchę, wzruszenie, szczęście, dumę. Przypominam wam znowu, że to jest historia miłosna; można to zresztą poznać po głupocie — bynajmniej nie odpychającej — po wzniosłej głupocie ich zachowania; po tym postoju w świetle pochodni, jakby na benefis¹⁴⁴ ukrytych zbrodniarzy przybyli tu umyślnie, żeby ze sobą rozprawiać. Jim słusznie zauważył, że gdyby wysłańcy szeryfa Alego mieli choć za grosz odwagi — ta chwila byłaby najodpowiedniejsza do napaści. Serce Jima waliło — ale nie z trwogi; wydało mu się, że słyszy szelest trawy, i wyszedł prędko poza obręb światła. Coś ciemnego i niewyraźnego mignęło szybko i przepadło. Zawołał głośno: „Cornelius! Hej, Cornelius!” Nastąpiła głęboka cisza; zdawało się, że głos Jima nie sięgnął poza jakichś dwadzieścia stóp. Dziewczyna znalazła się znów u jego boku.

— Niech pan ucieka! — rzekła.

Starucha zbliżała się; pokraczna jej postać sunęła na skraju światła w kulawych, drobnych podskokach; usłyszeli pomruk i lekki jęk czy westchnienie.

— Niech pan ucieka! — powtórzyła gorączkowo dziewczyna. — Oni boją się teraz tego światła — tych głosów. Wiedzą, że pan się obudził — wiedzą, że pan jest wielki, silny, nieustraszony...

— Jeżeli jestem taki, jak pani mówi — zaczął, lecz dziewczyna przerwała mu.

— Tak, dzisiaj! ale co będzie jutro? Pojutrze? I jeszcze później — przez wiele, wiele następnych nocy? Czy ja mogę czuwać zawsze? — Usłyszał niby szloch, niby westchnienie, i wzruszyło go to nad wszelki wyraz.

Mówił mi, że jeszcze nigdy nie czuł się taki nędzny, taki bezsilny, a co do odwagi, to — rozmyślał — na cóż mogła się przydać? Był tak bezradny, że nawet ucieczka wydała mu się bezcelowa; i choć dziewczyna szeptała wciąż z gorączkowym naciskiem: — Niech pan wraca, niech pan wraca do Doramina — Jim zdał sobie sprawę, że dla niego nigdzie nie ma ucieczki od osamotnienia, które go otaczało, zwiększając stokrotnie wszelkie niebezpieczeństwa; że nie ma dla niego ucieczki, tylko w niej jednej.

— Pomyślałem — rzekł do mnie — że jeśli odejdę od niej, będzie to jakby koniec wszystkiego.

Ponieważ nie mogli stać wiecznie w środku tego podwórza, Jim postanowił pójść i zajrzeć do składu. Pozwolił jej iść za sobą, nie myśląc się temu sprzeciwiać, jakby byli nierozwiązalnie złączeni.

— Jestem nieustraszony, prawda? — mruknął przez zęby.

Powstrzymała go za ramię.

— Niech pan zaczeka, póki pan nie usłyszysz mojego głosu — rzekła i z pochodnią w ręku lekkim krokiem pobiegła za szopę.

Został sam w ciemnościach, zwrócony twarzą ku drzwiom; żaden odgłos, choćby najlżejszy, nie dochodził z przeciwnej strony. Stara jędza jęknęła ponuro gdzieś za plecami Jima. Nagle usłyszał wysoki głos dziewczyny, przechodzący prawie w krzyk:

— Teraz! Pchnąć drzwi!

Pchnął gwałtownie; otworzyły się ze zgrzytem i klekotem, odsłaniając ku niezmiernemu zdumieniu Jima niskie wnętrza, podobne do więzienia, oświetlone ponurym, chwiejnym blaskiem. Dym kłębił się w dół na pustą, drewnianą pakę na środku podłogi zaśmieconej słomą i gałganami, które jakby usiłowały wznieść się w górę, poruszając się słabo w przewiewie. Dziewczyna wsunęła światło przez sztaby w oknie. Widział jej nagie, okrągłe ramię; dzierżyła pochodnię tak nieporuszenie, że wydawało się — osadziła ją w żelaznej klamrze. Strzępiasty stos starych mat w kształcie stożka zapełniał odległy kąt szopy prawie do sufitu — i to było wszystko.

Jim mówił mi, że poczuł na ten widok gorzkie rozczarowanie. Jego wytrzymałość już od tygodni była narażona na próbę; było tyle ostrzeżeń i napomknięć o niebezpie-

¹⁴⁴*benefis* (z fr. *bénéfice*: pożytek, korzyść) — daw.: przedstawienie a. koncert, z którego zyski były przeznaczone dla jednego z artystów; dziś: okolicznościowe przedstawienie a. koncert dla uhonorowania artysty lub zespołu, najczęściej z okazji jubileuszu; *na czyjś benefis*: na czyjąś rzecz, dla kogoś. [przypis edytorski]

czeństwie, że zapragnął ulgi. Pragnął się zetknąć z rzeczywistością, z czymś dotykającym, czemu by mógł stawić czoło.

— To by oczyściło powietrze przynajmniej na parę godzin — pan przecież rozumie, o co mi chodzi — rzekł do mnie. — Przecież żyłem już od tylu dni z kamieniem na piersiach.

Myślał, że zetknie się wreszcie z czymś realnym — a tu nic! Żadnego śladu, żadnego znaku czyjejs tam obecności. Kiedy drzwi się otwarły, podniósł rękę z bronią, teraz mu ramię opadło.

— Niech pan strzela! Niech pan się broni! — wołała dziewczyna z rozpaczą w głosie. Stojąc w ciemności z ramieniem wsuniętym aż po pachę w niewielki otwór, nie mogła zobaczyć, co się dzieje w środku, a nie śmiała cofnąć teraz pochodni, aby biec do niego.

— Nie ma tu nikogo! — wrzasnął Jim pogardliwie iomalże nie wybuchnął złym, rozjątrzonego śmiechem, który mu zamarł na ustach, bo w chwili kiedy już się miał odwrócić, dostrzegł, że ze stosu mat wyziera para oczu, z którymi zamienia spojrzenie. Ujrzał połyskliwy ruch białek.

— Wylaź! — krzyknął z wściekłością, trochę jeszcze niepewny, i ciemna głowa, głowa bez torsu, ukształtowała się pośród śmieci, dziwna, oderwana, patrząca na niego spokojnie.

W następnej chwili poruszył się cały kopiec; człowiek wynurzył się zeń szybko z cichym pomrukiem i dał susa w kierunku Jima. Maty podskoczyły i rozleciały się; prawe ramię napastnika, zgięte w łokciu, było wzniesione, a matowe ostrze krisa wystawało z pięści trzymanej tuż nad głową. Przepaska obwinięta ciasno koło bioder bielila się olśniewająco na brązowym cieple; naga skóra połyskiwała jak mokra.

Jim zauważył to wszystko. Mówił mi, że doznał niewysłowionej ulgi, mściwego uniesienia. Powstrzymywał się umyślnie od strzału. Opóźnił go o dziesiątą część sekundy — czas nieokreślenie długi, w którym napastnik zbliżył się o trzy kroki. Jim opóźnił strzał dla uprzytomnienia sobie: ten człowiek jest już martwy! Był niewzruszenie pewien swego. Pozwolił mu się zbliżyć, ponieważ to nie miało już znaczenia. Ten człowiek jest martwy. Zauważył jego rozdęte nozdrza, szeroko rozwarłe oczy, zapamiętały, żarliwy spokój twarzy i wreszcie strzelił.

Huk w tej zamkniętej przestrzeni był ogłuszający. Jim odstąpił krok w tył. Widział, jak napastnik poderwał głowę, wyrzucił naprzód ramiona i upuścił kris. Jim stwierdził potem, że strzelił mu w usta, trochę ku górze, tak że kula wyszła wysoko z tyłu czaszki. W rozpędzie napastnik posuwał się wciąż jeszcze naprzód z otwartymi ustami i wykrzywioną twarzą, macając przed sobą rękoma, jakby zaniewidział — wreszcie runął na twarz ze straszliwą siłą tuż przed nagimi stopami Jima. Jim mówił, że nie uszedł mu najdrobniejszy szczegół tej sceny. Poczul się nagle spokojny, ukojony, bez złości, bez żadnej obawy, jak gdyby śmierć tego człowieka zadośćuczyniła za wszystko. Pochodnia napelniała szopę dymem i kopciem, wśród których spokojny płomień gorzał bez drgnienia krwawą czerwienią. Jim posunął się w głąb stanowczym krokiem, przestępując przez martwe ciało, i wziął na cel drugą nagą postać, rysującą się niewyraźnie w drugim końcu szopy. Gdy już miał pociągnąć za kurek, człowiek ów odrzucił z siłą krótką, ciężką włócznię i przysiadł ulegle na piętach tyłem do ściany, splótłszy ręce między kolanami.

— Prosisz o życie? — spytał Jim.

Tamten ani mruknął.

— Ilu was jest jeszcze? — spytał Jim znowu.

— Jeszcze dwóch, tuanie — rzekł człowiek bardzo cicho, patrząc wielkimi, urzeczonymi oczyma w lufę rewolweru.

Zgodnie z jego oświadczeniem jeszcze dwóch ludzi wypełzło spod mat, wyciągając ostentacyjnie puste ręce.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Jim kazał im iść naprzód i wyprowadził całą grupę z szopy; a przez cały ten czas pochodnia tkwiła prostopadle w ujęciu drobnej dłoni, która nawet nie drgnęła. Trzej ludzie słuchali Jima bez słowa, poruszając się automatycznie. Ustawił ich rzędem.

— Weźcie się za ręce! — rozkazał. Usłuchali go.

— Ten, który cofnie rękę albo się obejrzy, jest trupem — rzekł. — Marsz!

Ruszyli sztywno naprzód; szedł za nimi, a z boku niosła pochodnię dziewczyna w białej powłóczystej sukni, z czarnymi włosami spadającymi do pasa. Prosta i gibka, zdawała się sunąć, nie dotykając ziemi: słychać było tylko jedwabisty szmer i szelest wysokiej trawy.

— Stać! — krzyknął Jim.

Brzeg rzeki był stromy; z dołu bił wielki chłód, światło padało na skraj gładkiej, ciemnej wody pieniającej się bez zmarszczek; na prawo i lewo szeregi domostw zbiegały się pod ostrymi zarysami dachów.

— Pozdrówcie ode mnie szeryfa Alego, póki sam się nie zgłoszę — rzekł Jim. Żadna z trzech głów nie poruszyła się. — Skakać! — zagrzmał.

Trzy pluski zwały się w jeden, wzbili się deszcz bryzgów, czarne głowy zakotłowały się gwałtownie i zanikły; ale wciąż było słychać potężne sapanie i parsknięcia, słabnące stopniowo, bo wszyscy trzej nurkowali pilnie w wielkim strachu przed poźegnalnym strzałem. Jim zwrócił się do dziewczyny, która przez cały czas była niemą i uważną obserwatorką. Wydało mu się nagle, że serce rozpiera mu piersi i podchodzi do gardła; zapewne dlatego zaniemówił na tak długo. Dziewczyna odwzajemniła jego spojrzenie i cisnęła palącą się pochodnię do rzeki z wielkim rozmachem. Czerwony, ognisty blask, zatoczywszy wielki łuk wśród nocy, zapadał się z gniewnym sykiem, a spokojne, łagodne światło gwiazd zstąpiło na nich już niczym nie zmaczone.

Słowo

Serce

Nie wiem, co Jim jej powiedział, gdy w końcu odzyskał głos. Wątpię, aby był bardzo wymowny. Świat zaległa cisza, wokół nich dyszała noc, jedna z tych nocy jakby stworzonych do czułości. Zdarzają się chwile, kiedy dusze, wyzwolone ze swych ciemnych zasłon, goreją cudowną wrażliwością, która sprawia, że czasem milczenie przejrzyście jest niż mowa. Jim mówił mi dalej o dziewczynie:

— Oslabła na chwilę. Tyle podniecenia — pan rozumie. Nastąpiła reakcja. Musiała być piekielnie zmęczona... i tak dalej. I, co tu dużo gadać, okazało się, że mnie kocha, uważa pan... Ja także... Nie wiedziałem naturalnie... nie przyszło mi to nigdy do głowy...

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, trochę poruszony.

— Ja, ja kocham ją całym sercem. Bardziej niż się to da wypowiedzieć. Naturalnie, że tego wypowiedzieć nie można. Człowiek patrzy inaczej na swoje czyny, kiedy rozumie, kiedy go *zmuszają* co dzień do rozumienia, że jego życie jest niezbędne, uważa pan, dosłownie niezbędne dla kogoś drugiego. A ja do rozumienia tego jestem zmuszany. To cudowne. Ale niech pan tylko spróbuje sobie wyobrazić, czym było jej życie. Coś nieprawdopodobnie strasznego! Prawda? I ja, który znalazłem ją tutaj, tak jakbym wychodząc na przechadzkę, natknął się na kogoś tonącego w samotnym, zatraconym miejscu. Słowo daję! Nie było ani chwili do stracenia. A poza tym to jest odpowiedzialność. Wierzę, że jej podołam...

Miłość, Opieka

Tu mi wypada zaznaczyć, że dziewczyna zostawiła nas samych już na chwilę przedtem. Jim uderzył się w piersi.

— Tak! Czuję tę odpowiedzialność, ale wierzę, że potrafię swoje szczęście udźwignąć.

Miał dar przypisywania szczególnego znaczenia wszystkiemu, co go spotykało. Toteż zapatrywał się podobnie i na swoje sprawy miłosne, idyllicznie, nieco uroczyście, a zarazem szczerze, ponieważ jego wiara miała niewzruszoną powagę młodości. W jakiś czas później powiedział mi znów przy innej okazji:

— Jestem tu dopiero od dwóch lat, a teraz, słowo daję, nie umiem sobie wyobrazić, abym mógł mieszkać gdziekolwiek indziej. Sama myśl o tamtym zewnętrznym świecie przejmuje mnie strachem; ponieważ, rozumie pan — ciągnął dalej ze spuszczonymi oczami, patrząc na swój but, którym rozgniatł dokładnie grudkę zeschłego błota (przechadzaliśmy się właśnie nad brzegiem rzeki) — ponieważ nie zapomniałem, dlaczego tu się znajduję. Jeszcze nie!

Staralem się na niego nie spojrzeć, ale zdaje mi się, że doszło mnie krótkie westchnienie; przeszliśmy parę razy, milcząc, tam i z powrotem.

— Przysięgam na swoją duszę — zaczął znowu — że jeśli w ogóle można o tym zapomnieć, to ja mam prawo wymazać to z pamięci. Niech pan zapyta kogośkolwiek z tutejszych ludzi... — ton jego się zmienił. — Czy to nie dziwne — ciągnął łagodnym, prawie tęsknym głosem — że wszyscy ci ludzie, choć nie ma rzeczy, której by dla mnie nie zrobili, nigdy by tego nie byli w stanie zrozumieć? Nigdy! Jeżeli by pan temu, co

mówię, nie wierzył, nie mógłbym się na nich powołać. To mi się jednak wydaje ciężkie. Głupi jestem, prawda? Czegóż więcej mógłbym pragnąć? Gdyby pan ich zapytał, komu by powierzyli swoje życie, kto jest odważny, kto jest prawy, kto jest sprawiedliwy? — odpowiedzieliby: tuan Jim. A jednak nie mogą nigdy poznać istotnej, istotnej prawdy...

Oto co mi powiedział ostatniego dnia, który z nim spędziłem. Nie pozwoliłem sobie nawet na szept; czułem, że będzie mówił dalej i że się do jądra sprawy nie zbliży. Słońce, którego skupiony blask przemienia ziemię w pyłek nieznający spoczynku, zapadło za las, a rozproszone światło opalowego nieba zdawało się rzucać na świat bez cieni i blasków złudę spokojnej, zadumanej wielkości. Nie wiem dlaczego, przysłuchując się Jimowi, zwracałem tak baczną uwagę na stopniowe ściemnianie się rzeki i powietrza; na nieodpartą, powolną pracę nocy, która sadowi się po cichu na wszystkim, co widzialne, zaciera kontury, grzebie kształty coraz głębiej i głębiej jak spokojny osad nieuchwytnego, czarnego pyłu.

— Słowo daję — zaczął nagle — zdarzają się dni, kiedy człowiek czuje się po prostu głupi, tylko ja wiem, że panu to wszystko mogę powiedzieć. A więc — skończyłem już z tym, z tą zmurą... Ale zapomnieć... Do licha! Nie wiem, czy potrafię... Mogę o tym myśleć spokojnie. Ostatecznie, czego tamto dowiodło? Niczego. Ale pan tak pewnie nie myśli...

Mruknąłem coś przecząco.

— Mniejsza z tym — rzekł. — Jestem prawie... zadowolony. Potrzebuję tylko spojrzeć w twarz pierwszemu lepszemu z tutejszych ludzi, żeby odzyskać pewność siebie. Niepodobna im wyjaśnić, co we mnie się dzieje. Cóż z tego? Przecież tak źle się nie sprawilem.

— Wcale nieźle — odrzekłem.

— A jednak nie miałby pan ochoty mieć mnie na pokładzie swojego statku, co?

— A niechże pana, doprawdy! — krzyknąłem. — Dość już tego.

— Aha! Widzi pan — zawołał, jakby spokojnie nade mną tryumfując. — Ale — ciągnął — niech pan tylko spróbuje powiedzieć to któremukolwiek z tutejszych ludzi. Pomyśl, że pan jest durniem, kłamcą albo czymś jeszcze gorszym. I dlatego właśnie jestem w stanie znieść — tamto. Zrobiłem dla nich coś niecoś; a oto jest to, co oni dla mnie zrobili.

— Mój kochany chłopcze! — zawołałem — pozostanie pan dla nich zawsze niezbadaną tajemnicą.

Po czym zamilkliśmy.

— Tajemnicą — powtórzył i zanim podniósł oczy, dodał: — A więc, pozwólcie mi tu zostać na zawsze.

Po zachodzie słońca ciemność zdawała się na nas pędzić, niesiona każdym nikłym powiewem. Na środku ogrodzonej ścieżki zobaczyłem nieruchomą sylwetkę Tamb' Itama — szczupłą, czujną — jak gdyby o jednej nodze; a skroś zmierzchu oko moje dostrzegło, że coś białego porusza się tam i z powrotem za słupami podtrzymującymi dach. W chwili gdy Jim, z Tamb' Itamem następującym mu na pięty, wyruszył na obchód wieczorny, poszedłem sam do domu i niespodzianie zostałem zatrzymany przez dziewczynę, która najwidoczniej na mnie czatowała.

Trudno mi jest wam określić, co właściwie pragnęła mi wydrzeć. Chodziło jej oczywiście o coś bardzo prostego, o taką najprostszą na świecie niemożliwość, jak na przykład dokładny opis kształtu chmury. Pragnęła zapewnienia, stwierdzenia, obietnicy, wytłumaczenia, nie wiem, jak mam to nazwać: ta rzecz nazwy nie posiada. Było ciemno pod wystającym dachem i mogłem widzieć tylko zarys jej powłóczystej sukni, drobny, bładny owal twarzyczki o połyskliwych zębach i zwrócone ku mnie ciemne wgłębienia oczu, w których jakby coś poruszało się słabo; zdaje się nam czasem, że dostrzegamy coś podobnego, wpatrując się w niezmiernie głęboką studnię. Co to się tam rusza? — pytamy siebie. Jakiś ślepy potwór czy tylko zagubiony odbłask z wszechświata? Przyszło mi na myśl, nie śmiejąc się ze mnie, że — choć to porównanie jest dziwne — dziewczyna bardziej była nieprzenikniona w swej dziecinnej niewiedzy niż sfinks zadający wędrowcom dziecinne zagadki. Wywieziono ją do Patusanu, zanim oczy jej na świat się otwarły. Wyrosła tam; nie widziała nic, nie знаła nic, nie miała o niczym pojęcia. Pytam siebie, czy była pewna, że cośkolwiek innego w ogóle istnieje. Niepojęte jest dla mnie, jakie

Słońce

Noc

Oko

Dziecko, Tajemnica

Kobieta, Mężczyzna,
Kochanek, Strach,
Tajemnica

wyobrażenie mogła sobie wyrobić o zewnętrznym świecie; jedynymi jego mieszkańcami, których знаła, byli — zdradzona kobieta i ponury błazen. Ukochany jej przybył też stamtąd, obdarzony nieprzepartym urokiem, ale co się z nią stanie, jeśli Jim wróci znów do niepojętych krain, które zawsze zdawały się żądać z powrotem tych, co je opuścili. Matka ostrzegała ją przed tym ze łzami, zanim umarła...

Chwyciła mnie mocno za ramię, a z chwilą gdy się zatrzymałem, cofnęła rękę z pospiechem. Była śmiała i płochliwa. Nie czuła lęku przed niczym, ale powstrzymywała ją głęboka niepewność i niezmierna obcość; była jak człowiek odważny, szukający po omacku drogi w ciemnościach. Należałem przecie do nieznanego, które każdej chwili mogło zażądać Jima dla siebie. Byłem niejako dopuszczony do tajników tego nieznanego. Znałem jego zamiary, niby zausznik posiadający groźny sekret i zbrojny w jego siłę! Myślę, iż przypuszczała, że mógłbym jednym słowem wyrwać jej z ramion Jima; jestem przekonany, że podczas moich długich z nim rozmów przechodziła męki niepokoju, prawdziwe, nieludzkie katusze; byłoby to mogło doprowadzić ją do knucia zamachu na moje życie, gdyby miała w sobie dość srogości, aby stawić czoło tej okropnej sytuacji, którą stworzyła jej własna wyobraźnia. Oto jest moje wrażenie i nic więcej powiedzieć wam nie mogę; wszystko to wyjaśniło mi się stopniowo, a w miarę jak zaczynałem rozumieć, przytłaczało mnie coraz bardziej uczucie niedowierzającego zdumienia. Byłem zmuszony jej wierzyć, lecz żadne słowa nie oddadzą wrażenia, które na mnie wywarły jej porywcze, gwałtowne szepty, cichy, namiętny głos, nagłe pauzy bez tchu i wymowne ruchy białych ramion wyciągających się szybko. Ramiona te opadły; widmowa postać zachwiała się jak smukłe drzewo na wietrze, blade owal się pochylił; niepodobna było rozróżnić jej rysów, mrok oczu był niezgłębiony; dwa szerokie rękawy wzniosły się w ciemności jak rozpostarte skrzydła i objąwszy głowę rękami, stała tak w milczeniu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Byłem ogromnie przejęty; jej młodość i nieświadomość, jej pełna wdzięku uroda, która miała prosty czar i delikatną żywotność polnego kwiatu, jej wzruszające prośby, jej bezradność przemawiały do mnie z siłą, która prawie dorównywała jej nieuzasadnionemu, lecz naturalnemu strachowi. Tak jak i my wszyscy, bała się nieznanego, a jej niewiedza wyolbrzymiała je w nieskończoność. Byłem dla niej uosobieniem tego całego świata, do którego należą i ja, i wy tu obecni, świata, który ani dbał o Jima, ani go potrzebował. Byłbym chętnie przed nią ręczył za obojętność całej ziemi tętniącej życiem, ale przyszło mi na myśl, że Jim należy także do tajemniczego nieznanego, którego dziewczyna się lęka, i że cokolwiek bym w jej oczach uosabiał, Jima uosabiać nie mogę. Zawahałem się. Jej szept pełen beznadziejnego bólu rozwiązał mi usta. Zacząłem ją zapewniać, że co do mnie, to na pewno nie przyjechałem po to, ażeby jej zabrać Jima.

Więc dlaczego tu przybyłem? Poruszyła się z lekka i stała znów nieruchomo wśród nocy jak marmurowy posąg. Usiłowałem jej pokrótce wyjaśnić, że sprowadziły mnie interesy, przyjaźń; jeżeli mam jakie życzenie dotyczące Jima, to wołałbym raczej, aby został w Patusanie.

— Oni zawsze nas porzucają — szepnęła.

Od grobu, który wieńczyła pobożnie kwiatami, powiało jakby nikłe westchnienie, pełne smutnej mądrości. Rzekłem, że nic jej z Jimem rozłączyć nie może.

Jestem o tym głęboko przeświadczony teraz — byłem tego pewien i wówczas; wszystkie fakty złożyły się na to niezmiennie przekonanie. Zbyteczne było mi jej zapewnienie, które wypowiedziała szeptem, jak gdyby do samej siebie:

— Przysięgał mi to.

— Czy pani go o to prosiła?

Podeszła o krok bliżej. Nie! Nigdy! Prosiła, aby odjechał. Było to owej nocy na wybrzeżu, kiedy zabił tego człowieka i kiedy ona rzuciła pochodnię do wody, bo na nią tak patrzył. Było za jasno, a niebezpieczeństwo już minęło — na krótki czas... na krótki czas. Powiedział wtedy, że nie zostawi jej z Corneliusem. Ponowiła swe prośby. Żądała znów, by ją opuścił. Powiedział, że tego nie zrobi, że to jest niemożliwe. Drżał, mówiąc to. Czuła, jak drży... Nie potrzeba wiele wyobraźni, aby sobie odtworzyć tę scenę, aby prawie usłyszeć ich szepty. Bała się też i o niego. Zdaje mi się, że w owej chwili widziała

w nim tylko ofiarę nieuniknionych niebezpieczeństw, które rozumiała lepiej od niego samego. Choć sama tylko obecność Jima sprawiła, że oświadczył jej sercem, że wypełnił wszystkie jej myśli i opanował wszystkie uczucia, nie doceniała widoków jego powodzenia. Okazuje się, iż nikt wówczas nie umiał ich docenić. Właściwie mówiąc, zdawało się doprawdy, że nie ma przed Jimem żadnych widoków. Wiem, że i Cornelius podzielał to przekonanie. Wyznał mi to, aby usprawiedliwić dwuznaczną rolę, którą odegrał w spisku szeryfa Alego, mającym na celu usunięcie niewiernego. Nawet sam szeryf Ali, co mi się teraz wydaje pewne, miał dla białego tylko pogardę. Chciano zamordować Jima z powodów głównie religijnych, jak mi się zdaje. Miał to być prosty akt pobożności (i właśnie dlatego wysoce chwalebny), ale skądinąd bez wielkiego znaczenia. Cornelius był również tego zdania.

— Czcigodny panie — dowodził, łaszcząc się przede mną, kiedy zdołał mnie jeden jedyny raz przyłapać sam na sam — czcigodny panie, skąd ja mogłem wiedzieć? Kimże on właściwie był? Czy mógł co zrobić, aby ludzie mu uwierzyli? A cóż pan Stein sobie myślał, posyłając takiego młodego chłopca na to, aby starego sługę traktował z góry? Gotów byłem ocalić go za osiemdziesiąt dolarów. Tylko za osiemdziesiąt dolarów. Czemu się ten dureń stąd nie wyniósł? Więc ja miałem się narażać na zaszytowanie z powodu jakiegoś cudzoziemca? — Płaszczyl się przede mną, zgiąwszy się wpół, obłudnie, a ręce jego błędziły u mych nóg, jakby był gotów objąć mi kolana. — I cóż to jest osiemdziesiąt dolarów? Taka drobna sumka dla bezbronno starca zrujnowanego na całe życie przez tę zmarłą piekielnicę. — Tu się rozplakał.

Ale uprzedzam wypadki. Natknąłem się owej nocy na Corneliusa dopiero po rozmowie z dziewczyną.

Była daleka od egoizmu, nalegając, aby Jim ją opuścił, a nawet, aby wyjechał z kraju. Miała na myśli przede wszystkim jego bezpieczeństwo, nawet jeśli pragnęła także siebie ocalić, może nieświadomie; ale zważcie na ostrzeżenie, która miała w pamięci, zważcie na to, że brała naukę z każdej chwili życia swej niedawno zmarłej matki, życia, w którym skupiały się wszystkie jej wspomnienia. Padła Jimowi do nóg — tam nad rzeką, w dyskretnym świetle gwiazd, które nie ukazywało nic prócz wielkich, milczących skupień cieniów, prócz nieokreślonych, otwartych przestrzeni i drżało nikle na szerokiej rzece, czyniąc ją rozległą jak morze. Jim podniósł dziewczynę. Podniósł ją, a wtedy przestała już walczyć. Oczywiście. Silne ręce, czuły głos, dzielne ramię, na którym tak wygodnie oprzeć biedną, samotną główkę. Potrzeba, niezmierna potrzeba tego wszystkiego dla obolałego serca, dla skolatannej duszy; podszepty młodości, konieczność chwili. Cóż chcecie? Łatwo to pojąć, chyba że się nie jest zdolnym nic w ogóle zrozumieć. Więc też była szczęśliwa, gdy ją podniósł i przytrzymał w ramionach. Przypomniałem sobie słowa Jima, które szepnął mi kiedyś śpiesznie u progu swego domu z troską i niepokojem na twarzy: „Proszę pana, pan rozumie — to jest rzecz poważna, to nie żadne głupstwo!” Nie znam się tak dalece na głupstwach, ale w ich miłości nie było nic lekkomyślnego; zeszli się w cieniu życiowej klęski, jak rycerz i dziewica spotykający się dla wymiany przysięg w ruinach nawiedzanych przez duchy. Światło gwiazd wystarczało im zupełnie, światło tak nikle i dalekie, że nie mogło cieniów przemienić w kształty ani ukazać drugiego brzegu rzeki. Patrzyłem tej nocy na rzekę z miejsca, gdzie wówczas stali; toczyła się niema i czarna jak Styks. Odjechałem nazajutrz, ale nie sądzę, abym kiedy zapomniał, przed czym to dziewczyna pragnęła się uchronić, gdy błagała Jima, aby ją opuścił, póki jeszcze był czas. Powiedziała mi to spokojnie, zbyt głęboko była przejęta, aby mogła czuć się podniecona, powiedziała głosem tak spokojnym wśród mroku jak jej biała, ledwie widzialna postać. Powiedziała mi:

— Nie chciałam umierać, płacząc.

Wydawało mi się, że jej nie dosłyszałem.

— Nie chciała pani umierać, płacząc? — powtórzyłem za nią.

— Tak jak moja matka — dodała natychmiast. Zarysy jej białej postaci ani drgnęły.

— Moja matka płakała gorzko przed śmiercią — wyjaśniła.

Wokół nas niepojęty spokój zdawał się wznosić nieznacznie z ziemi i chłonął przejawy naszych wzruszeń, jak cicho wzbierający nocny przypływ pochłania znaki orientacyjne na brzegu. Przejął mnie nagły strach, jak gdybym, stojąc w wodzie, uczuł, że tracę grunt pod

Kochanek, Kochanek
romantyczny, Przysięga

Kobieta, Mężczyzna,
Matka, Córka,
Dziedzictwo, Śmierć, Łzy

nogami, strach przed nieznaną głębią. A dziewczyna opowiadała dalej, że kiedy została sama na sam z matką w czasie jej chwil ostatnich, musiała odejść od łoża i podeprzeć plecami drzwi, aby nie wypuścić Corneliusa. Chciał się dostać do pokoju i walił we drzwi obiema pięściami, przestawał zaś od czasu do czasu tylko po to, by krzyknąć chrapliwie: „Wpuść mnie! Wpuść mnie! Wpuść mnie!” W odległym kącie pokoju konająca leżała na matach, nie mogąc ani przemówić, ani podnieść ramienia; obróciła głowę na posłaniu i słabym ruchem ręki zdawała się rozkazywać: „Nie wpuszczaj! Nie wpuszczaj!”, a posłuszna córka patrzyła na nią, podpierając drzwi plecami ze wszystkich sił.

— Łzy pociekły jej z oczu, i umarła — zakończyła dziewczyna niezmiennie monotonym głosem, który przejął mnie bardziej niż wszystko inne, bardziej niż biała, posągowa nieruchomość jej postaci, bardziej niż wszelkie słowa, przejął mnie do głębi bierną, beznadziejną okropnością tej sceny.

Zgroza wytrąciła mnie z mego pojęcia o życiu, wywlekła z tego schronienia, które każdy z nas sobie tworzy, aby wczłochać się doń w chwili niebezpieczeństwa, jak żółw się chowa pod swoją skorupę. Przez chwilę stanęła mi w oczach rozległa i ponura wizja światła pograżonego jak gdyby w bezładzie, podczas gdy świat jest w istocie, dzięki naszym niez mordowanym wysiłkom, tak pogodnym układem drobnych udogodnień, jak to sobie tylko można wyobrazić. Ale była to tylko chwila: wróciłem wnet do swej skorupy. Człowiek wrócić *musi*, czy rozumiecie? Tylko zdawało mi się, że pogubiłem wszystkie słowa w chaosie mrocznych myśli, które mnie zaprzętały przez parę sekund, gdy się wysunąłem poza słup graniczny. Lecz odnalazłem je szybko. Słowa także przyczyniają się do tworzenia opiekuńczego wyobrażenia o tym, czym są światło i ład, które stanowią naszą ucieczkę. Miałem je już gotowe pod ręką, gdy zaszepotała cicho:

— Przysięgł, że nie opuści mnie nigdy, kiedyśmy tam stali we dwoje! Przysięgł mi to!...

— Czyż to możliwe, żeby pani, pani! mu nie wierzyła? — spytałem ze szczerym wyrzutem, naprawdę zgorzony. Dlaczego mu nie mogła uwierzyć? Skąd ta tęsknota za niepewnością, to czepianie się trwogi, jakby niepewność i trwoga stały na straży jej miłości? To było potworne. Powinna była sobie stworzyć przystań niewzruszonego spokoju z tego uczciwego uczucia. Nie zdawała sobie z tego sprawy — a może nie potrafiła się na to zdobyć.

Noc nadeszła z pośpiechem; zrobiło się zupełnie czarno, tak że dziewczyna, nie ruszając się z miejsca, rozwinęła się jak nieuchwytny zarys tęsknej i kapryśnej mary. Wtem usłyszałem znowu spokojny jej szept:

— Inni mężczyźni przysięgali tak samo. — Był to jakby komentarz do rozpamiętywań pełnych smutku i zgrozy. Potem dodała, jeśli to było możliwe, jeszcze ciszej: — Mój ojciec także przysięgał.

Zamilkła i jakby odetchnęła bezgłośnie. „Jej ojciec” także... Oto rzeczy, które jej były wiadome! Rzekłem nagle:

— Ale przecież Jim jest inny.

Temu, zdaje się, przeczyć nie zamierzała; lecz po jakimś czasie dziwny, cichy szept, wędrując sennie przez powietrze, wśliznął się do mego ucha:

— Dlaczego on jest inny? Czy jest lepszy? Czy jest...

— Daję pani słowo honoru — przerwałem — ja wierzę w to, że on jest lepszy.

Zniżyliśmy głosy do tajemniczego szeptu. Wśród chat zamieszkałych przez robotników Jima (byli to przeważnie wyzwoleni niewolnicy z za częstokołu szeryfa Alego) ktoś zaczął śpiewać ostrym i przeciągłym głosem. Z drugiej strony rzeki wielkie ognisko (pewnie u Doramina) tworzyło jaśniejącą kulę, zupełnie z nocy wyodrębnioną.

— Czy on jest wierniejszy? — szepnęła.

— Tak — odrzekłem.

— Wierniejszy niż wszyscy inni mężczyźni? — powtórzyła powoli.

— Nikomu tutaj nie przyszłoby do głowy wątpić o jego słowach, nikt by się nie ośmielił prócz pani.

Odniosłem wrażenie, że się na to poruszyła.

— Odważniejszy — ciągnęła innym już tonem.

— Strach nigdy go pani nie wydrze — rzekłem trochę nerwowo.

Śpiew urwał się na ostrej nucie; posłyszeliśmy kilka głosów rozmawiających w oddali. Głos Jima był między nimi. Zdziwiło mnie milczenie dziewczyny.

— Co też on pani powiedział? Czy mówił pani coś o tym? — rzekłem.

Nie było odpowiedzi.

— Co takiego pani mówił? — nalegałem.

— Myśli pan, że mogę panu powtórzyć? Skądże ja mogę wiedzieć? Jak mam to wszystko rozumieć? — krzyknęła w końcu. Coś się poruszyło; zdaje mi się, że załamała rękę. — Jest jakaś rzecz, której on nie może zapomnieć.

— Tym lepiej dla pani — rzekłem posępnie.

— Co to jest? Co to takiego? — W jej błagalnym tonie była niesłychana siła wyrazu. — Mówił mi, że się kiedyś przestraszył. Jakże mam mu uwierzyć? Nie jestem tak szalona, aby temu wierzyć. Wy wszyscy coś pamiętacie! Wy wszyscy wracacie do czegoś. Co to takiego? Niech mi pan powie! Co to za rzecz? Czy to jest żywe, czy to jest martwe? Nienawidzę tego czegoś. Jest okrutne! Czy to... nieszczęście... ma twarz i głos? Czy on to może zobaczyć, czy je usłyszy? Może we śnie... kiedy mnie nie może widzieć, a wówczas wstanie i pójdzie. Ach! Ja nigdy mu nie przebaczę. Moja matka przebaczyła, ale ja — nigdy! Czy to będzie znak, czy wezwanie?

Miałem przed oczami niezwykłą rewelację: nie dowierzała nawet jego snom i zdawała się myśleć, że będę mógł jej wytłumaczyć dlaczego! Było to, jak gdyby biedny śmiertelnik, oczarowany wdziękiem jakiejś wizji, usiłował wydrzeć innemu duchowi potężną tajemnicę praw, które tamten świat sobie rości do odcieleśnionych dusz błądzących wśród namietności tej ziemi. Miałem wrażenie, że grunt, na którym stoję, topnieje mi pod nogami. A przy tym było to takie proste; lecz jeśliby duchy wywołane przez nasze trwogi i niepokoje były zmuszone ręczyć wzajemnie za swoją wierność nieszczęsnym czarownikom, którymi my jesteśmy — to właśnie ja, ja jeden spośród nas, śmiertelników, zadrżałbym przed beznadziejnym trudem takiego zadania. Znak czy wezwanie! Jakże wymowna była w swej nieświadomości. Tylko tych kilka słów! Gdzie je znalazła, jak to się stało, że potrafiła je wypowiedzieć, tego pojąć nie mogę. Kobiety znajdują natchnienie pod wpływem chwil, które dla nas są tylko straszne, bezsensowne lub błahe. Już samo odkrycie, że ta dziewczyna umie w ogóle się wypowiedzieć, wystarczyło, aby przejąć serce grozą. Gdyby kopnięty kamień krzyknął z bólu, nie byłoby mi się to wydawało cudem większym i bardziej żalnym. Te dźwięki wędrujące w ciemności rzuciły cień tragizmu na mroczne życie ich obojga. Nie można było jej nic wytłumaczyć. Przeklinałem w duchu swoją bezsilność. A Jim nieborak! Któż by go potrzebował? Któż by go pamiętał? Miał to, czego pragnął. Prawdopodobnie zapomniano już nawet o jego istnieniu. Oboje z dziewczyną byli panami swoich losów. Byli tragiczni.

W jej bezruchu czułem wyraźnie oczekiwanie, mnie zaś przypadło w udziale wstawić się za bratem z królestwa zapomnianych cieni. Przejąłem się głęboko swą odpowiedzialnością i niedolą dziewczyny. Byłbym oddał wszystko za władzę ukojenia jej wątłej duszy, która dręczyła się w bezradnej niewiedzy niby drobny ptaszek rozbijający się o okrutne druty klatki. Nic łatwiejszego jak powiedzieć: nie bój się! I nic trudniejszego. Ciekaw jestem, jak się zabija strach! Jak przestrzelić serce upiora, odrąbać mu upiorną głowę, chwycić go za upiorne gardło? W takie rzeczy wplątujemy się we śnie i jesteśmy szczęśliwi, gdy uchodzimy cało, obłani potem, trzęsąc się na całym ciele. Kula na upiora jeszcze nie ulana, ostrze nie wykute, człowiek zwyciężający widma jeszcze się nie urodził; nawet skrzydlate słowa prawdy opadają do stóp jak bryły ołowiu. Do owej rozpaczliwej walki niezbędna jest czarodziejska, zatruta strzała umaczana w kłamstwie tak subtelnym, że nie znaleźć go na tej ziemi. Zadanie takie można wykonać tylko we śnie, moi panowie!

Zacząłem odprawiać swe egzorcyzmy z ciężkim sercem, pełnym jak gdyby posępnego gniewu. Głos Jima rozległ się nagle z powagą po drugiej stronie podwórza; karcił niedbalstwo jakiegoś niemeo grzesznika na brzegu rzeki.

Rzekłem wyraźnym szeptem:

— W tamtym nieznanym świecie, który według wyobrażenia pani chce ją obrabować z jej szczęścia, nie ma nic żywego ani też martwego, nie ma tam ani twarzy, ani głosu, ani żadnej siły, która by mogła Jima od pani oderwać.

Zaczerpnąłem powietrza, a ona szepnęła po cichu:

— Powiedział mi to samo.

Strach, Kobieta,
Mężczyzna, Pamięć

Kobieta, Dusza
Strach, Obrzędy
Sen, Walka

— Powiedział pani prawdę — odrzekłem.

— Nie ma tam nic — wyszeptła i nagle natarła na mnie z ledwie dosłyszalnym napięciem w głosie: — Więc dlaczego pan stamtąd do nas przyjechał? On mówi o panu zbyt często. Ja się pana boję. Czy pan, czy pan go potrzebuje?

Coś w rodzaju tajonej gwałtowności wśliznęło się do naszych gorączkowych szeptów.

— Nie wrócę tu już nigdy — rzekłem z goryczą. — Ja go nie potrzebuję. Nikt go tam nie potrzebuje.

— Nikt — rzekła z powątpiewaniem.

— Nikt — potwierdziłem, czując, że owłada mną dziwne podniecenie. — Pani wie, że Jim jest silny, mądry, odważny, wielki, dlatego więc nie uwierzyć, że jest także i wierny? Wyjeżdżam jutro, i na tym koniec. Żaden głos stamtąd nigdy już spokoju pani nie zamąci. Tamten świat, którego pani nie zna, za wielki jest, aby odczuć brak Jima. Rozumie pani? Za wielki. Pani trzyma serce Jima w swym ręku. Musi pani to czuć! Musi pani o tym wiedzieć.

— Tak, wiem o tym — szepnęła zimno i spokojnie jak posąg.

Uczułem, że nie udało mi się nic osiągnąć. A co ja właściwie pragnąłem osiągnąć? Dziś już tego nie umiem powiedzieć. Przejmował mnie wówczas niezrozumiały zapal, jak wobec jakiegoś wielkiego i koniecznego zadania: był to wpływ owej chwili na mój umysł i serce. W każdym życiu zdarzają się takie chwile, takie wpływy, które przychodzą z zewnątrz nieodparte i niepojęte — jakby wywołane przez tajemniczy układ planet. Powiedziałem dziewczynie, że posiada jego serce. Posiadała i jego serce, i wszystko, byleby tylko mogła w to uwierzyć. A teraz musiałem jej jeszcze powiedzieć, że na całym świecie nie ma ani jednego człowieka, który by mógł potrzebować serca Jima, jego rąk, jego ducha. Jest to los zwykły, a jednak wydało mi się okropne mówić tak o jakimkolwiek człowieku. Słuchała bez słowa, a milczenie jej było teraz jak protest kamiennej nieufności. Co ją obchodzi świat z tamtej strony lasów? — pytałem. Spośród wielkiej mnogości ludzi zaludniających obszar nieznanego nie przyjdzie do Jima, póki życia, żaden znak, żadne wezwanie. Nigdy. Poniosło mnie. Nigdy! Nigdy! Zdumiewam się, wspominając, z jaką zawziętą wybuchnąłem gwałtownością. Zdawało mi się, że chwyciłem wreszcie upiora za gardło. Doprawdy, cała ta rzeczywista scena zostawiła mi szczegółowy obraz jakby jakiegoś zdumiewającego snu. Pytałem jej, czego się lęka. Przecież wie, że Jim jest silny, szczerzy, mądry, odważny. Taki jest naprawdę. Bezwzględnie. Jest nawet czymś więcej. Jest wielki, niezwykły, lecz świat go nie potrzebuje, zapomniał o nim, a nawet nie chce go znać.

Zamilkłem; cisza nad Patusanem była wielka i słaby, suchy odgłos wiosła uderzającego o bok czółna gdzieś na środku rzeki pogłębiał ją w nieskończoność.

— Dlaczego? — szepnęła.

Poczułem wściekłość podobną do tej, jaka ogarnia człowieka podczas ciężkiej walki. Upiór usiłował wysliznąć się z moich ramion.

— Dlaczego? — zapytała głośniejszym głosem — proszę mi powiedzieć! — A gdy wciąż milczałem, zmieszany, tupnęła nogą jak rozpieszczone dziecko: — Dlaczego? Niechże pan mówi!

— Chce pani wiedzieć? — zapytałem z furią.

— Tak! — krzyknęła.

— Ponieważ zbyt mało jest wart — rzekłem brutalnie.

Zapadła na chwilę cisza; spostrzegłem, że ognisko na drugim brzegu pojaśniało, rozszerzając krąg swego blasku jak zdumione spojrzenie, po czym skurczyło się nagle do rozmiarów mniejszych niż lepek od szpilki. Przekonałem się, jak blisko stała dziewczyna, dopiero gdy chwyciła mnie palcami za ramię. Nie podnosząc wcale głosu, wyraziła nim bezmiar zjadliwej pogardy, goryczy i rozpacz:

— Powiedział mi zupełnie to samo... Pan kłamie!

Ostatnie dwa słowa krzyknęła w narzeczu krajowców.

— Niechże mnie pani wysłucha! — błagałem.

Trzęsła się, dysząc głośno, i odepchnęła moje ramię.

— Wszyscy, my wszyscy za mało jesteśmy warci — zacząłem z najgłębszą powagą.

Słyszałem jej łkania i strasznie szybki oddech. Zwiesiłem głowę. I po cóż było mówić? Zbliżały się kroki; oddaliłem się po cichu bez słowa...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Marlow wyprostował nogi i wstał prędko, przy czym zachwiał się trochę, jakby go postawiono na ziemi po szybkim locie w przestworzu. Oparł się plecami o balustradę i stał naprzeciw bezładnego szeregu długich trzcinowych leżaków. Wyciągnięte na nich postacie zdawały się budzić z odrętwienia pod wpływem ruchu Marlowa. Paru słuchaczy usiadło, jakby ich ogarnął niepokój; gdzieś tam żarzyło się jeszcze cygaro; Marlow popatrzył na wszystkich oczami człowieka, który wraca z niezmiernie odległej krainy snu. Ktoś chrząknął; spokojny jakiś głos zachęcił Marlowa niedbale:

— No i co dalej?

— Nic — odrzekł Marlow, drgnąwszy lekko. — Jim po prostu opowiedział jej swoje dzieje, oto wszystko. Nie uwierzyła mu... Nic więcej. Jeśli chodzi o mnie, nie wiem, czy jest sprawiedliwe, słusne i przyzwoite, abym się cieszył, czy też, abym się martwił. Nie umiem powiedzieć, w co sam wierzyłem, w gruncie rzeczy do dziś dnia tego nie wiem i prawdopodobnie nigdy wiedzieć nie będę. Ale w co on nieborak wierzył? Prawda musi zwyciężyć — przecież wiecie: *magna est veritas et...*¹⁴⁵ Tak, jeśli zdarzy się do tego sposobność. Z pewnością rządzi tu jakieś prawo, tak jak prawo rządzi szczęściem w rzucaniu kości. Wcale nie Sprawiedliwość, służebna ludzi, lecz traf, przypadek. Los, sprzymierzeniec cierpliwego Czasu, dzierży bezstronną i dokładną wagę. Obaj z Jimem powiedzieliśmy zupełnie to samo. Czyśmy obaj mówili prawdę, czy jeden z nas, czy też żaden?

Los, Czas

Marlow zamilkł, skrzyżował ramiona na piersi i ciągnął zupełnie innym już głosem:

— Powiedziała, że kłamamy. Biedactwo. No więc, pozostawmy to Losowi sprzymierzonemu z Czasem, którego naglić nie można, a którego wrogiem jest Śmierć, co nie chce czekać. Wycofałem się z tej rozmowy, muszę to wyznać, trochę załękniony. Usiłowałem się zmierzyć ze strachem we własnej osobie i oczywiście, zostałem pokonany. Osiągnąłem tylko to, że do udręki dziewczyny przylączyło się poczucie jakiejś tajemniczej zmywy, mętnego, niepojętego spisku, który dążył do utrzymania jej wciąż w nieświadomości. A było to tak naturalne i nieuchronne, wynikło po prostu z postępowania ich obojga! Miałem wrażenie, iż odsłonięto przede mną mechanizm nieubłaganego Losu, którego jesteśmy ofiarą i narzędziem. Strasznie mi było pomyśleć o dziewczynie, którą tam zostawiłem stojącą bez ruchu; kroki Jima rozległy się złowieszczo, gdy przeszedł blisko w swych ciężkich, sznurowanych butach, nie widząc mnie wcale.

— Jak to, lampy niezapalone? — rzekł głośno, zdziwionym tonem. — Co wy tu robicie oboje po ciemku? — W następnej chwili spostrzegł ją widać. — Halo, dziewczynko! — krzyknął wesoło.

— Halo, chłopaku! — odpowiedziała natychmiast ze zdumiewającą żywością.

Tak się witali zazwyczaj, a odrobina zadzierzystości, która brzmiała w dość wysokim i słodkim jej głosie, bardzo była zabawna, ładna, dziecinna i budziła zachwyt Jima. Słyszałem wówczas po raz ostatni, jak zamieniali ten poufały okrzyk, i chłód przejął mi serce. Miałem w uszach wysoki, słodki głos dziewczyny, trochę zadzierzysty, czułem piękny wysiłek jej ducha, lecz wydało mi się, że sił jej zabrakło; żartobliwy okrzyk rozległ się niby jęk. To było okropnie bolesne.

— Co zrobiłaś z Marlowem? — spytał Jim, po czym dodał: — Pewno wyszedł, co? To dziwne, że spotkałem... Marlow! Gdzie pan jest?

Nic nie odrzekłem. Nie chciałem wrócić do domu, a w żadnym razie nie teraz. Naprawdę, nie mogłem. Kiedy Jim na mnie wołał, wymykałem się właśnie przez małą furtkę prowadzącą na świeżo wykarczowaną polankę. Nie; nie miałem jeszcze sił z nimi się widzieć. Spuściłem głowę i szedłem śpiesznie po wydeptanej ścieżce. Grunt wznosił się łagodnie; wyrąbano tu kilka wielkich drzew, wycięto podszycie i spalono trawę. Jim chciał założyć na tej polance próbną plantację kawy. Wielkie wzgórze, odcinające się podwójnym czarnym wierzchołkiem na bladej jasności wschodzącego księżycy, zdawało się rzucać cień na teren przygotowany do plantacji. Jim miał tyle różnych planów w zanadru; podziwiałem zawsze jego energię, bystrość i przedsiębiorczość. A teraz wydało mi się, że nie ma na świecie nic bardziej nierealnego od jego planów, energii i zapału. Podniósłszy oczy, zauważyłem część księżycy błyszczącą skroś zarośli na dnie rozpadliny. Przez chwilę

Księżyc

¹⁴⁵*magna est veritas et...* (łac.) — prawda jest wielka i... [przypis edytorski]

doznałem wrażenia, iż gładka tarcza spadła ze swego miejsca na niebie i potoczyła się na dno wąwozu; powrót jej wyglądał jak powolne odbicie się od ziemi; wydostała się z poplątanych gałęzi; nagi, skręcony konar jakiegoś drzewa, rosnącego na pochyłości, tworzył czarną rysę w poprzek tarczy. Księżyc rzucał w dal poziome promienie, wychodzące, rzekłbyś, z jaskini; w tym świetle, ponurym jak podczas zaćmienia, pnie ściętych drzew wyglądały bardzo ciemno, głębokie cienie kładły mi się zewsząd do stóp, zlewając się z mym własnym, sunącym cieniem, a przede mną leżał w poprzek ścieżki cień samotnego grobu uwienieczonego zawsze kwiatami. W pociemniałym świetle miesięcznym uwite kwiaty nabrały kształtów nieznanymi mej pamięci i barw nieokreślonych, jakby były odrębnymi kwiatami, których człowiek nie zerwał, które wyrosły nie na tym świecie i są przeznaczone wyłącznie na użytek umarłych. Potężny aromat bijący od wieńców tkwił w ciepłym powietrzu, czyniąc je dusznym i ciężkim jak dym kadzidła. Bryły białego koralu jaśniały naokoło ciemnego kopca niby różaniec pobielających czaszek, a wszystko takie było ciche naokół, że kiedy się zatrzymałem, wszelki ruch, wszelkie dźwięki na świecie zdawały się zamierać.

Grób, Obraz świata

Kwiaty

Panował głuchy spokój, jakby ziemia była jednym wielkim grobem; stałem tam pewien czas, myśląc głównie o żyjących, którzy — zagrzebani gdzieś po zatraconych kątach świata poza wiedzą ludzkości — muszą jednak dzielić jej nieszczęścia, tragiczne lub groteskowe. A kto wie, może i jej szlachetne walki? Ludzkie serce jest tak obszerne, że zdoła zawrzeć cały świat. Dość jest dzielne, by dźwigać swe brzemię; czyż znajdzie się człowiek odważny, który by je zrzucił?

Samotność, Pamięć

Popadłem widać w nastrój sentymentalny; wiem tylko, iż stałem tam bardzo długo i poczucie absolutnej samotności owładnęło mną tak zupełnie, że wszystko, co ostatnio widziałem, słyszałem, nawet sam dźwięk ludzkiej mowy, rzekłbyś, zapadło w nicość, żyjąc jeszcze tylko przez chwilę w mojej pamięci, jakbym ostał się sam jeden z całej ludzkości. Było to dziwne i smutne złudzenie, na wpół świadome jak wszystkie nasze złudzenia, które, o ile mi się zdaje, są tylko wizjami odległej, niedosiężnej prawdy niejasno dostrzeganej. Patusan był zaiste jednym z najbardziej zatraconych, zapomnianych, nieznanymi miejsc na ziemi; zajrzałem do jego mrocznego wnętrza, a teraz czułem, że gdy jutro wyjadę na zawsze, ten kraj przestanie istnieć i będzie żył tylko w moich wspomnieniach, póki sam nie zapadnę w niepamięć. Czuję to teraz znowu; może właśnie dlatego opowiedziałem wam tę historię, przekazałem ją wam, że tak powiem, jej istotę, jej rzeczywistość, prawdę odkrytą w chwili uludy.

Robak

Strój, Niedziela

Cornelius spłoszył tę chwilę. Wypadł jak robak z wysokiej trawy rosnącej na zaklęśniętym gruncie. Zdaje się, że jego butwiejący dom stał gdzieś w pobliżu, choć nigdy tego domu nie widziałem, bo nie zapuściłem się nigdy w tamtą stronę. Metys biegł ku mnie ścieżką; jego nogi, obute w brudne białe trzewiki, migwały na tle ciemnej ziemi; stanął przede mną i zaczął płaszczyć się i mazgać. Na głowie miał wysoki kapelusz przypominający rurę od pieca; wyschnięty, mały jego korpus gubił się i zatracał w czarnym sukienym ubraniu. Cornelius przywdziewał ten strój na święta i uroczyste okazje; przypominało mi to, że spędzam w Patusanie już czwartą niedzielę. Przez cały czas mego pobytu zdawałem sobie niejasno sprawę, iż Cornelius pragnie mi się zwierzyć i szuka tylko sposobności, aby mnie przyłapać samego. Wałęsał się w pobliżu z pożądanym, błagalnym wyrazem na skwaszonej, żółtej, małej twarzy, lecz powstrzymywała go zarówno własna nieśmiałość, jak zrozumiała we mnie niechęć do jakichkolwiek stosunków z tak odrażającą kreaturą. Byłby jednak dopiął swego, gdyby nie wrodzona mu skłonność do wymykania się chyłkiem, z chwilą gdy ktoś spojrział na niego. Cofał się przed surowym spojrzeniem Jima, przed moim wzrokiem, któremu usiłowałem nadać wyraz obojętności, nawet przed niechętnym, wyniosłym spojrzeniem Tamb' Itama. Przemykał się ciągle ukradkiem; kiedykolwiek go się dostrzegało, zawsze oddalał się, klucząc, przekrzywiwszy głowę na ramię; niekiedy z podejrzliwym warknięciem, to znów w pełnym bóleści, niemym zgnębieniu; lecz żadna z jego min nie mogła ukryć wrodzonej, niezatartej nikczemności jego natury, tak jak żaden ubiór nie może zasłonić jakiegoś potwornego zniekształcenia ciała.

Wzrok, Strój

Może byłem rozstrojony po bezwzględnej porażce, której doznałem przed niecałą godziną, zmagając się z upiorem strachu, dość, że pozwoliłem się Corneliusowi przychwycić, nie okazując nawet oporu. Sądzone mi było wysłuchać zwierzeń i pytań, na które nie ma

odpowiedzi. To było ciężkie; lecz pogarda, odruchowa pogarda budząca się na widok Corneliusa, ułatwiła mi sytuację. Ten człowiek nie mógł mieć żadnego znaczenia. Teraz nic już nie miało znaczenia, ponieważ zdecydowałem, że Jim wreszcie swój los opanował, a tylko Jim mnie obchodził. Oświadczył mi, że jest zadowolony... prawie zupełnie. Mało kto mógłby się zdobyć na tak śmiało powiedzenie. Ja bym nie mógł, choć mam prawo dość dobrze myśleć o sobie. A czyby się który z was na to zdobył?

Marlow zamilkł, jakby oczekując odpowiedzi. Wszyscy milczeli.

— Macie rację — zaczął znów Marlow. — Niech nikt się o tym nie dowie; prawdę może nam wyrwać tylko jakaś okrutna katastrofa, drobna a straszna. Jim jest przecież jednym z nas, a jednak mógł powiedzieć, że jest... prawie zadowolony. Pomyślcie tylko! Można by mu nieledwie zazdrościć jego katastrofy. Był prawie zadowolony. Wobec tego cóż jeszcze mogło mnie obchodzić? Wszystko mi było jedno, kto go podejrzewał, kto mu ufał, kto go kochał, a kto nienawidził — szczególnie jeśli tym, który go nienawidził, był Cornelius.

A jednak ta nienawiść stanowiła właściwie pewien rodzaj uznania. Sądzi się człowieka po jego wrogach, zarówno jak po przyjaciółach, a ten nieprzyjaciel Jima był taki, że każdy przyzwoity człowiek mógł bez wstydu do niego się przyznać, nie przejmując się jednak zbyt jego nienawiścią. Takie było zdanie Jima, a także i moje własne; lecz poza tym Jim lekceważył Corneliusa z zasadniczych powodów.

— Wie pan — powiedział mi — czuję, że jeśli będę szedł prostą drogą, nic mi się stać nie może. Naprawdę. Pan był tutaj dość długo i mógł się pan dokładnie rozejrzeć; niech mi pan powie otwarcie, czy pan nie uważa, że jestem tu zupełnie bezpieczny? Wszystko zależy ode mnie i słowo panu daję, mam do siebie pełne zaufanie. Zdaje mi się, że najgorsze, co mógłby mi zrobić, to mnie zabić. Ale uważam to za niemożliwe. Nie byłby w stanie tego zrobić, rozumie pan? nawet gdybym mu sam podał nabitą strzelbę w tym celu, a potem odwrócił się od niego plecami. To już jest taka kreatura. A nawet przypuśćmy, że mógłby, że chciałby mnie zabić. No i co z tego? Nie przybyłem tutaj, aby uciec od śmierci, prawda? Przybyłem, żeby oprzeć się plecami o mur, i mam zamiar tu zostać...

— Aż do chwili, kiedy pan będzie *zupełnie* zadowolony — wtrąciłem.

Rozmawialiśmy, siedząc pod płóciennym dachem w łodzi Jima; dwadzieścia wioseł błyskało jednocześnie, po dziesięć u każdej burty, a za naszymi plecami milczący Tamb' Itam zagłębiał pióro steru to z prawej, to z lewej strony i wpatrywał się prosto przed siebie w dół rzeki, bacząc, aby utrzymać długie czółno wśród najsilniejszego prądu. Jim pochylił głowę; ostatnia nasza rozmowa zdawała się na dobre wygasać. Odprowadzał mnie do ujścia rzeki. Mój szkuner wyruszył dzień przedtem, żeglując w dół lub dając się unosić fali odpływu, a ja zostałem jeszcze przez noc w Patusanie. Teraz Jim mnie odprowadzał.

Trochę go to podrażniło, że w ogóle wspomniałem o Corneliusie. W gruncie rzeczy niewiele o nim mówiłem. Ten człowiek znaczył zbyt mało, aby mógł być niebezpieczny, choć nienawiść rozpieła go po prostu. Zaczepiwszy mnie wówczas wieczorem, nazywał mnie co drugie słowo „czcigodnym panem” i skomlał u mego boku, towarzysząc mi od grobu swojej „nieboszczki żony” aż do furki w ogrodzeniu otaczającym posiadłość Jima. Oświadczył, że jest najniebezpieczniejszym z ludzi, ofiarą, którą rozdeptano jak robaka; zaklinał mnie, abym spojrzał na niego. Nie chciało mi się głowy odwrócić, lecz widziałem spod oka uniżony cień Metysa sunący za moim, a księżyc, zawieszony po prawej stronie, zdawał się rozkoszować tą sceną, przyglądając nam się pogodnie. Cornelius usiłował mi wytłumaczyć, jak wam już mówiłem, swoją rolę w wypadkach owej pamiętnej nocy. Postąpił tak, jak mu nakazywała przezorność. Skądże mógł wiedzieć, czyje będzie na wierzchu?

— Byłbym go wyratował, czcigodny panie! Byłbym go ocalił za osiemdziesiąt dolarów — zapewniał słodziutkim tonem, idąc za mną krok w krok.

— Sam się wyratował — rzekłem — i przebaczył panu.

W odpowiedzi usłyszałem coś w rodzaju chichotu, a gdy się zachnąłem na Corneliusa, był gotów natychmiast wziąć nogi za pas.

— Czegóż pan się śmieje? — zapytałem, przystając.

— Niech pan się nie ludzi, czcigodny panie — skrzeknął, jakby tracąc panowanie nad sobą. — On by się sam wyratował! Ależ on nie ma o niczym pojęcia czcigodny panie, absolutnie o niczym! Kimże on jest? Czego on tutaj chce, ten łotr? Zamydla wszystkim

Kondycja ludzka, Szczęście

Wróg, Odwaga,
Tchórzostwo, Śmierć,
Kondycja ludzka

oczy; i panu, czcigodny panie, także oczy zamydlił — ale ze mną to mu się nie uda. Skończony z niego dureń, czcigodny panie.

Zaśmiałem się pogardliwie i ruszyłem dalej, zawróciwszy na pięcie. Biegł za mną i szeptał gwałtownie:

— On jest zupełnie jak małe dziecko, jak małe dziecko, małe dziecko.

Nie zwracałem na to oczywiście żadnej uwagi, a Cornelius, widząc, że czas nagli, gdyż zbliżyliśmy się do bambusowego płotu, który połyskiwał na szerniałym gruncie polanki, wypowiedział wreszcie, o co mu chodziło. Najpierw zaczął się ohydnie mazgaić. Wielkie jego nieszczęścia padły mu na mózg. Wyraził nadzieję, że zapomnę łaskawie o słowach, które wyrwały mu się jedynie pod wpływem zgryzoty. Nie miał nic złego na myśli; ale „czcigodny pan” nie wie, co człowiek czuje, kiedy go zrujniają, złamią, podepczą. Po tym wstępie przystąpił do kwestii, która mu leżała na sercu, ale w słowach tak mętnych, tchórzliwych i przerywanych wykrzyknikami, że przez długi czas nie mogłem zrozumieć, do czego zmierza. Chciał, abym się wstawił za nim do Jima. Chodziło, o ile mi się zdawało, o jakieś pieniądze. Od czasu do czasu, powtarzał: „Skromna prowizja, odpowiedni podarek”. Domagał się za coś odszkodowania; posunął się nawet tak daleko, iż oświadczył gorąco, że człowiek, który został ograbiony ze wszystkiego, nie ma po co żyć. Nie pisałem oczywiście ani słowa, ale uszu nie zatykałem. Rdzeń sprawy, która wyjaśniła mi się stopniowo, polegała na tym, że Cornelius uważał się za uprawnionego do pobrania pewnej sumy w zamian za dziewczynę. Wychował ją przecież. Cudze dziecko. Miał z nią wielkie kłopoty, zmartwienia, teraz jest już starcem, chciałby dostać jakiś odpowiedni podarek. Gdyby czcigodny pan zechciał rzec jedno słowo... Zatrzymałem się, aby spojrzeć z ciekawością na Corneliusa, a on, widać w obawie, abym go nie wziął za zdziercę, pośpieszył zrobić pewne ustępstwo. Jeśli dostanie zaraz „odpowiedni podarek”, weźmie na siebie chętnie utrzymanie dziewczyny, „bez żadnego innego wynagrodzenia”, z chwilą gdy Jim będzie wracał do Anglii. Na małej, żółtej twarzy Corneliusa, zmiętej, jakby ją kto wyjął, malował się niepokój i namiętna chciwość. Głos jego skomlał przymilnie:

— Żadnego kłopotu... naturalny opiekun... niewielka kwota...

Stałem wciąż, nie posiadając się ze zdumienia. Ten rodzaj zajęcia był widać jego powołaniem. Odkryłem nagle w płaszczącej się postaci Metysa coś w rodzaju pewności siebie, jakby przez całe życie miał do czynienia z rzeczami ustalonymi. Myślał widać, że rozpatruję spokojnie jego propozycję, bo stał się słodki jak miód.

— Każdy z panów ofiarowuje jakąś prowizję, kiedy nadejdzie czas jego wyjazdu — zaczął znów chytrze.

Trzasnąłem furtką.

— W danym wypadku — rzekłem — nigdy ten czas nie nadejdzie.

Upłynęło parę sekund, nim to zrozumiał.

— Co takiego? — dosłownie kwiknął.

— Jak to — ciągnąłem po drugiej stronie furtki — czyż panu tego sam nie powiedział? On nigdy do kraju nie wróci.

— Tego to już za wiele! — krzyknął Cornelius. Przestał nazywać mnie „czcigodnym panem”. Stał jakiś czas nieruchomo, a potem, już bez śladu pokory, zaczął mówić cicho:

— Nigdy nie wyjedzie! Ten, ten, ten... zjawia się tutaj, lichy wie skąd, zjawia się tu, lichy wie po co, żeby podeptać mnie na śmierć, och, podeptać (zatupał cicho obiema nogami), o tak mnie podeptać, Bóg wie dlaczego, na śmierć... — Zabrakło mu głosu. Zakaszła z lekka, po czym zbliżył się do ogrodzenia i oświadczył, przybrawszy ton poufny i żałośliwy, że nie pozwoli, aby po nim deptano.

— Cierpliwości, cierpliwości — mruknął do siebie, uderzając się w piersi.

Przestałem się już z niego śmiać, gdy uczęstował mnie niespodzianie głośnym wybuchem obłąkanego śmiechu.

— Cha, cha, cha! Zobaczymy! Zobaczymy! Jak to! Mam pozwolić, żeby ten człowiek mnie okradł? Żeby mi ukradł wszystko, wszystko! wszystko! — Głowa opadła mu na ramię; splecione jego ręce zwisały. Można było pomyśleć, że ukochał tę dziewczynę niezmierną miłością, że dusza jego jest starta na proch, a serce złamane przez najokrutniejszą z krzywd. Nagle podniósł głowę i rzucił ohydne słowo. — Jak matka, ona jest zupełnie jak ta oszustka, jej matka. Zupełnie. I z twarzy także. I z twarzy. Diablica!

Oparł się czołem o płot i stojąc tak, wyrzucał z siebie groźby i ohydne portugalskie przekleństwa wśród słabych okrzyków, przeplatanych żalonymi skargami i jękami; ramiona wstrząsały mu się spazmatycznie jak przy okropnym ataku nudności. Był to widok nieopisane ohydny i groteskowy, toteż odszedłem śpiesznie. Usiłował coś za mną krzyknąć. Pewnie jakieś obelgi na Jima, lecz niezbyt głośno, bo znajdowaliśmy się już blisko domu. Usłyszałem wyraźnie tylko słowa: — Zupełnie jak dziecko... jak małe dziecko.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Lecz następnego ranka, gdy pierwszy zakręt rzeki zasłonił domy Patusanu, wszystko to znikło mi przed oczu — barwność, charakter, istota tej krainy — niby obraz stworzony na płótnie przez wyobraźnię, obraz, od którego się odwracamy, przyjrawszy mu się długo po raz ostatni. Pozostaje w pamięci zakrzepły w bezruchu, niezatarty, zalany niezmiennym światłem. Wszystkie ambicje nurtujące ten zakątek, obawy, nienawiści, nadzieje zapadły mi w duszę, tak jak je widziałem — silne i jakby zatrzymane na zawsze w swoim ówczesnym wyrazie. Odwróciłem się od obrazu, aby jechać z powrotem do świata, gdzie toczą się wypadki, ludzie się zmieniają, światło migoce, życie płynie jasnym strumieniem — mniejsza z tym, czy po kamieniach, czy też po błocie. Nie zamierzałem zapuszczać się na dno; dość już miałem roboty z tym, aby głowę utrzymać nad powierzchnią.

Co się zaś tyczy obrazu, który zostawiłem za sobą, żadnej w nim zmiany wystawić sobie nie umiem. Olbrzymi, wielkoduszny Doramin i drobna jego żona, podobna do poczciwej czarownicy, spoglądający na kraj z wysoka, pogrążeni w tajnych, ambitnych rodzicielskich marzeniach; Tunku Allang, zawiędły i wielce stroskany; Dain Waris, pełen wiary w Jima, inteligentny, mężny, o stanowczym wzroku i obejściu ironicznymi, a życzliwym; dziewczyna pogrążona w ubóstwieniu pełnym lęków i podejrzeń; Tamb' Itam, opryskliwy i wierny; Cornelius, wspierający czoło o płot w świetle księżycy — widzę ich wyraźnie. Istnieją dla mnie jak wywołani uderzeniem magicznej pałeczki. Lecz postać, naokoło której się gromadzą, ta jedna żyje, i tylko ona jest dla mnie nieuchwytna. Żadna pałeczka magiczna nie może jej unieruchomić przed moim wzrokiem. Ta postać jest jedną z nas.

Jim, jak wam już mówiłem, towarzyszył mi podczas pierwszego etapu powrotnej podróży do świata, którego się wyrzekł. Zdawało się niekiedy, że nasza droga prowadzi przez samo jądro nietkniętej dziczy. Puste przestrzenie rzeki iskrzyły się pod wysokim słońcem; między wyniosłymi murami roślinności upał drzemał na wodzie, a łódź, pędzona dzielnie wiosłami, torowała sobie drogę w gorącym, gęstym powietrzu, które osiadło pod konarami wielkich drzew.

Cień bliskiej rozłuki kładł się już między nami niezmierną przestrzenią; mówiliśmy do siebie z wysiłkiem, jakbyśmy się starali sięgnąć cichymi głosami przez wielką i wciąż wzrastającą odległość. Łódź dosłownie pędziła; siedząc ramię w ramię, dusiliśmy się w nieruchomym, rozprażonym powietrzu; woń szlamu i moczarów, pierwotna woń urodzajnej ziemi, zdawała się parzyć nam twarze; aż nagle na jakimś zakręcie, rzekłbyś, wielka dłoń hen daleko podniosła ciężką kotarę, rozwarła olbrzymie podwoje. Nawet światło jak gdyby drgnęło, niebo rozszerzyło się nad głowami, odległy szmer dosięgnął uszu, świeżość nas ogarnęła, napełniła płuca, pobudziła myśli, krew, żale — i wreszcie lasy się zapadły przed nami, odsłaniając ciemnobłękitny grzbiet morza.

Wciągnąłem oddech głęboko, rozkoszując się rozległym, otwartym widnokregiem, zupełnie odmiennym powietrzem, które jakby drgało od znoju życia, od energii nieskałanego świata. To niebo i to morze stały przede mną otworem. Dziewczyna miała słusność, był w nich jakiś znak, jakiś zew, coś, co targnęło każdym włóknem mojej istoty. Błądziłem oczami po widnokregu jak oswobodzony z więzów człowiek, który przeciąga zeszywniałe członki i biegnie, i skacze, upojony czarem wolności.

— To jest wspaniale! — wykrzyknąłem i spojrzałem na winowajcę u mego boku.

Siedział z głową opuszczoną na piersi.

— Tak — odrzekł, nie podnosząc oczu, jakby się bał zobaczyć wyrzuty swego romantycznego sumienia, wypisane szeroko na rozległym niebie.

Pamiętam najdrobniejsze szczegóły tego popołudnia. Przybiliśmy do skrawka białego brzegu, który wspierał się o niską skałę, zadrzewioną u szczytu, obwieszoną pnąciami ro-

Wspomnienia

Podróż, Rzeka

Światło, Przestrzeń, Morze,
Wolność

ślinami do samej podstawy. Przed nami słała się równia morza o pogodnym i głębokim błękitcie, wznosząc się leciutko ku widnokregowi, który wyglądał jak nić przeciągnięta na wysokości oczu. Wielkie fale blasku wzdymały się lekko na pomarszczonej, ciemnej powierzchni — chyże jak pióra unoszone powiewem. Łańcuch wysp o masywnych sylwetach ciągnął się na wprost rozległego ujścia na tafli bladej, szklistej wody, odbijającej wiernie zarys wybrzeża. Wysoko w bezbarwnym blasku słońca krążył samotny ptak, cały czarny; opadał i wznosił się wciąż nad tym samym miejscem, kołysząc się na prawie nieruchomych skrzydłach. Czarna grupa lichych, obszarpanych szalasów z mat sterczała — nad swym własnym odwróconym odbiciem — na mnóstwie koślawych pali hebanowego koloru. Spomiędzy nich wysunęło się drobne, ciemne czółenko z dwoma niewielkimi, czarnymi ludźmi, którzy mozolili się niezmiernie, uderzając wiosłami w bladą wodę; czółenko zdawało się sunąć z trudem po zwierciadle. Ta grupka nędznych chat była właśnie rybacką wsią, chełpiącą się szczególną opieką białego władcy, a w czółnie płynął stary naczelnik wsi ze swym zięciem. Wysiedli na brzeg i szli ku nam po białym piasku, chudzi, ciemnobraunatni, jakby uwędzeni w dymie; skóra ich nagich ramion i piersi pokryta była popielatymi plamami. Głowy mieli obwinięte w brudne, lecz starannie zawiązane chustki. Stary zaczął natychmiast wyłuszczać płynnie jakąś skargę, wyciągając chude ramię i wpatrując się ufnie w Jima starczymi, mętными oczami. Ludzie radzy nie dają im spokoju: było kilka awantur o żółwie jaja, które rybacy zebrali na tamtych, o, wysepkach; tu naczelnik, oparłszy wyprostowane ramię na wiosło, wyciągnął brunatną, kościstą rękę ku morzu. Jim słuchał jakiś czas, nie podnosząc oczu, i wreszcie łagodnie polecił mu czekać. Za chwilę go wysłucha. Rybacy odeszli posłusznie i przysiedli niedaleko na piętach, złożwszy przed sobą wiosła na piasku; ich oczy o srebrzystych błyskach śledziły cierpliwie nasze ruchy; zaś ogrom rozpostartego morza i cisza wybrzeża, ciągnącego się jak okiem sięgnąć na północ i południe, tworzyły jedną olbrzymią Obecność, śledzącą nas — czterech karłów — osamotnionych na skrawku połyskliwego piasku.

— W tym cała trudność — rzekł Jim pochmurnie — że już od pokoleń nędzni rybacy z tej wsi są uważani za osobistych niewolników radzy i tamtemu łotrowi nie chce się pomieścić w głowie, że... — zamilkł.

— Że pan zmienił to wszystko — rzekłem.

— Tak. Zmieniłem to wszystko — mruknął posępnym głosem.

— Więc znalazł pan swoją sposobność — ciągnąłem dalej.

— Czy doprawdy? — rzekł. — No tak. Dajmy na to... Tak. Odzyskałem wiarę w samego siebie — dobre imię — a jednak chciałbym czasami... Nie! Będę się trzymał tego, co zdobyłem. Nie mogę się niczego więcej spodziewać. — Wyciągnął szybko ramię ku morzu: — A w każdym razie nie stamtąd. — Tupnął nogą w piasek. — Tu jest moja granica, bo czymś mniejszym już się nie zadowolę.

Chodziliśmy w dalszym ciągu po brzegu.

— Tak, zmieniłem to wszystko — ciągnął Jim, spojrzawszy spod oka na dwóch przykucniętych rybaków czekających cierpliwie — ale niech pan tylko pomyśli, co by się stało, gdybym stąd odszedł. Miły Boże, czy pan może to sobie wystawić? Piekło by się tu rozpętało. Nie ruszę się stąd! A jutro odwiedzę tego starego durnia, Tunku Allanga, zaryzykuję wypicie jego kawy i będę się awanturował o te, psiakrew, żółwie jaja. Nie! Nie mogę sobie powiedzieć: dość tego. Nigdy. Muszę pchać to bez wytchnienia coraz dalej i dalej, dążąc do swego celu, aby być pewnym, że nic mnie dotknąć nie może. Muszę mieć naokoło siebie ludzi, co we mnie wierzą, aby się czuć bezpiecznym, aby... — Szukał jakiegoś słowa, zdawał się go wypatrywać na morzu: — ...aby nie utracić łączności z... — Głos jego zniżył się nagle do szeptu — ...z tymi, których może nigdy już nie zobaczę. Na przykład... na przykład — z panem.

Jego słowa upokorzyły mnie głęboko.

— Na miłość boską — rzekłem — nie przeceniaj mnie, mój drogi chłopcze, myśl o tym, czegoś sam dokonał.

Czułem wdzięczność, czułem przywiązanie do tego marudera, którego oczy wypatrzyły mnie wśród szarego tłumu. Jakże niewiele miałem podstaw do chełpienia się w gruncie rzeczy! Odwróciłem twarz, która mnie paliła; pod niskim słońcem, rozżarzonym, ściemniałym i purpurowym jak węgiel wyjęty z ogniska, rozpościerało się morze, gotując się

wśród niezmiernej ciszy na przyjęcie ognistego globu. Dwa razy Jim chciał coś powiedzieć, lecz się zatrzymywał; wreszcie rzekł spokojnie, jakby wynalazł jakąś formułę:

— Będę wierny. Będę wierny — powtórzył; nie patrzył na mnie, lecz dozwolił swym oczom po raz pierwszy błędzić po wodach, których błękit przemienił się w posępny fiolet pod ogniami zachodu!

Ach, jakież ten Jim był romantyczny, jaki romantyczny! Przypomniałem sobie słowa Steina: „...Zanurzyć się w niszcącym żywiole... Iść za marzeniem i znowu iść za marzeniem — i tak — zawsze *usque ad finem*...” Tak, Jim był romantyczny, ale i szczerzy zarazem. Któż mógł wiedzieć, jakie kształty, jakie wizje, jakie twarze, czyje przebaczenie oglądał w zorzy zachodu!...

Mała łódka opuściła szkuner i wśród miarowego rytmu dwóch wiosel płynęła wolno ku piaszczystemu brzegowi, aby mnie zabrać.

— I przecież mam Klejnot — wyrzekł Jim pośród wielkiej ciszy ziemi, nieba i morza, ciszy, która przeniknęła nawet do moich myśli, tak że drgnąłem na dźwięk jego głosu. — Mam Klejnot.

— Tak — szepnąłem.

— Nie potrzebuję panu mówić, czym ona jest dla mnie — ciągnął dalej. — Pan widział sam. Z czasem ona zrozumie...

— Mam nadzieję — przerwałem.

— Ona także mi wierzy — szepnął w zamyśleniu, a potem dodał zupełnie innym tonem: — Kiedy ja też pana zobaczę?

— Nigdy, chyba że się pan stąd wydostanie — odrzekłem, unikając jego spojrzenia. Nie wydał się tym zaskoczony; przez chwilę stał bardzo spokojnie.

— Więc żegnam pana — rzekł po krótkiej chwili milczenia. — Może to i lepiej.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Poszedłem ku łódce, która czekała, oparłszy dziób o wybrzeże. Szkuner, z przywiązanim żaglem głównym i kliwrem wyciągniętym na stronę nawietrzną, tańczył po fioletowym morzu; żagle zabarwiły się na różowo.

— Czy pan prędko wraca do kraju? — zapytał Jim w chwili, gdy przestępowałem przez burtę.

— Mniej więcej za rok, jeśli będę żył — odrzekłem.

Dziób zgrzytnął o piasek, łódka znalazła się na wodzie, mokre wiosła błysnęły i zagłębiły się po raz pierwszy, drugi. Jim, stojący na skraju wody, podniósł głos:

— Niech pan im powie... — zaczął.

Dałem znak ludziom, aby przestali wiosłować, i czekałem z zaciekawieniem. Powiedzieć — komu? Słoneczna tarcza, zanurzona do połowy, tkwiła w wodzie na wprost Jima; widziałem czerwony blask w jego oczach, gdy patrzył na mnie bez słowa.

— Nie, już nic — wyrzekł i odprawił łódź lekkim ruchem ręki.

Nie oglądałem się więcej na wybrzeże, pókim się nie znalazł na pokładzie szkunera.

Słońce już wówczas zaszło. Zmierzch wisiał nad wschodem, poczerniałe wybrzeże ciągnęło się w nieskończoność jak ciemny mur, który zdawał się być twierdzą nocy; zachodni widnokrąg był jednym wielkim ogniskiem złota i szkarłatu, a na jego tle unosiła się duża, samotna chmura — ciemna i nieruchoma — rzucając sinopielaty cień na wodę. Na wybrzeżu zobaczyłem Jima patrzącego w ślad za szkunerem, który ruszył z miejsca i sunął naprzód coraz prędzej.

Dwaj półnaczy rybacy dzwignęli się z ziemi, w chwili gdy odbiłem od brzegu; zapewne wylewali teraz skargi w uszy białego tuana, opowiadając o swym błahym, nędznym, uciśnionym życiu, a on słuchał i przejmował się ich sprawami do głębi — bo czyż to nie było częścią jego szczęścia — „szczęścia, co się zowie” — szczęścia, którego był godzien, jak mnie o tym zapewniał? Tamtym ludziom — o ile mogę sądzić — szczęście również sprzyjało i byłem pewien, że ich wytrwałość na szczęście to zasługuje. Ciemnoskóre ciała Malajów rozplynęły się na ciemnym tle dobrą chwilę przedtem, zanim straciłem z oczu ich opiekuna. Jim był biały od stóp do głów; widziałem go długo z twierdzą nocy za plecami, morzem u stóp i szczęśliwą sposobnością u boku... wciąż zakwefioną. A wy — czy sądzicie, że zasłona jeszcze ją kryła? Ja nie wiem. Miałem wrażenie, iż biała postać Jima wśród spokoju wybrzeża i morza tkwi w samym środku nierozwiązalnej zagadki. Zmierzch spływał szybko z nieba nad jego głową, skrawek piasku rozplynął mu się już pod stopami, a on sam wydawał się nie większy od dziecka — aż stał się plamką, drobną

Słońce

białą plamką, która jak gdyby wchłaniała wszystkie blaski pociemniałego świata... I nagle straciłem go z oczu...

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Tymi słowy zakończył Marlow opowiadanie i patrzył przed siebie zamyślonym, oderwanym wzrokiem, a słuchacze rozproszyli się natychmiast. Opuszczali werandę bez zwłoki parami lub pojedynczo, nie wypowiadając żadnych uwag, jakby ostatni obraz tej nie dokończonych historii, jakby właśnie jej niepełność i nawet sam ton opowiadającego uczyniły dyskusję daremną, a komentarze niemożliwymi. Każdy zdawał się unosić swe własne wrażenie, unosić je niby tajemnicę; ale tylko jeden ze wszystkich słuchaczy miał wysłuchać ostatniego słowa opowieści. Dotarło do niego w Anglii — przeszło dwa lata później — w grubej paczce zaadresowanej pionowym i kanciastym piśmem Marlowa.

Uprzywilejowany ten człowiek otworzył paczkę, zajrzał do niej i położywszy ją na stole, podszedł do okna. Mieszkał na najwyższym piętrze wyniosłego gmachu, skąd wzrok mógł sięgać daleko — jakby z morskiej latarni — za przejrzyste tafle szkła. Pochyle dachy błyszcząły, ciemne, łamane ich grzbiety ciągnęły się jak okiem sięgnąć jeden za drugim, niby mroczne fale bez spienionych czubów, a z dołu, z głębi miasta, wznosił się pomruk mętny i nieustanny. Liczne wieże kościołów, rozsiane na chybił trafił, sterczały jak znaki ostrzegawcze wśród labiryntu mielizn bez wyjścia; deszcz zacinał i zlewał się z wczesnym zmierzchem zimowego wieczoru, a bicie wielkiego zegara na wieży, wydzwanające godzinę, potoczyło się szeroko wśród surowych wybuchów dźwięku wibrujących w głębi przenikliwą nutą. Uprzywilejowany człowiek zasunął ciężkie portiery.

Światło lampy okrytej abażurem spało na biurku jak zaciszna sadzawka, dywan pochłaniał dźwięk kroków, dni wędrówek owego człowieka już przeminęły. Nie ujrzy widnokręgów bezkresnych jak nadzieja ani półmroku lasów uroczystych niby świątynie — w żarliwym poszukiwaniu Kraju nigdy nieodkrytego, tam za wzgórzem, z drugiej strony rzeki, za morzami. Oto bije godzina! Nigdy już! Nigdy! — Lecz otwarta paczka pod lampą wywołała znów dźwięk, wizję, a nawet sam zapach przeszłości — mnóstwo zatartych twarzy, gwar cichych głosów zamierzających na brzegach odległych mórz pod namiętym blaskiem słońca nie przynoszącym ukojenia. Westchnął i zasiadł do czytania.

Zawartość paczki składała się z trzech części; było tam wiele kartek, gęsto zapisanych i spiętych razem, a poza tym luźny, kwadratowy arkusik szarawego papieru, z kilku słowami nakreślonymi nieznanym piśmem, oraz wyjaśniający list od Marlowa. Z tego listu wypadł drugi, pożółkły od starości i poprzecierany na kantach. Dawny marynarz wziął go i odłożył na bok, po czym zabrał się do listu Marlowa; przebiegł szybko wzrokiem pierwsze linie, zatrzymał się i od tej chwili czytał już z rozwagą, jak człowiek, który się zbliża powoli, z wytężonym czujnie wzrokiem, do nieodkrytego jeszcze kraju.

...Sądzę, że Pan nie zapomniał o Jimie — brzmiał list. — Pan jeden zainteresował się nim prawdziwie, a to zainteresowanie nie skończyło się z wysłuchaną opowieścią, choć pamiętam dobrze, że Pan nie chciał przyznać, aby Jim swój los opanował. Przepowiadał mu Pan klęskę znużenia i wstępu do zdobytych zaszczytów, do zadania, które sam sobie narzucił, do miłości wywołanej przez młodość i współczucie. Mówił Pan, że zna Pan dobrze »ten rodzaj historii«, jej złudne zadowolenie, jej zawód nieunikniony. Powiedział Pan także — przypominam to sobie — iż »oddać im życie (wyraz „im” odnosił się do wszystkich ludzi o skórze brunatnej, żółtej lub czarnej) znaczy to samo, co się zaprzedać bydłociu«. Spierał się pan ze mną, twierdząc, iż »rzecz tego rodzaju« tylko wtedy jest znośna i trwała, gdy się opiera na głębokim przeświadczeniu o słuszności idei właściwych naszej rasie, idei, w imię których powstał ład i etyka moralnego postępu. »Musimy czuć za plecami siłę tej etyki«, powiedział Pan. »Potrzebujemy wiary w jej konieczność i sprawiedliwość, aby uczynić z naszego życia cenną i świadomą ofiarę. Bez takiej pewności ofiara jest tylko zatrąta siebie samego, a wypełnienie jej prowadzi do ostatecznej zguby«. Innymi słowy, utrzymywał Pan, że musimy walczyć w szeregach, gdyż inaczej życie nasze przepada marnie. Możliwe! Pan musi to wiedzieć — mówię bez złośliwości — Pan, który rzucał się tu i tam samopas i umiał się zręcznie wywinąć z opalów, nie osmalając sobie skrzydeł. Ale rzecz w tym, że właściwie Jim musiał się rozprawić nie z ludźmi, tylko

Miasto

Idealista, Kolonializm,
Kondycja ludzka

z samym sobą, i to jest jeszcze pytanie, czy w końcu nie przyjął wiary potężniejszej niż prawa ładu i postępu.

Ja nie twierdzą nic. Może Pan to rozstrzygnie — po przeczytaniu. W gruncie rzeczy trafne jest znane powiedzenie: »widzieć jak przez mgłę«. Niepodobna dojrzeć Jima wyraźnie — szczególnie jeśli patrzymy na niego po raz ostatni cudzymi oczyma. Nie waham się podzielić z Panem wszystkim, co wiem o ostatnich wydarzeniach, które — jak Jim mówił — »spadły na niego«. Pytam siebie, czy to nie była może ta wymarzona sposobność — ostateczna i zadowalająca próba, na którą — jak zawsze podejrzewałem — czekał, aby móc się odezwać do świata bez skazy. Pamięta Pan, kiedyś żegnał się z nim po raz ostatni, zapytał, czy się prędko wybiorę do kraju, i nagle zawołał za mną: »Niech pan im powie...« Czekalem — z ciekawością, wyznając, i nadzieją — tylko po to, aby usłyszeć, jak krzyknął: »Nie! Już nic«. To wszystko — i nic więcej nie usłyszę już nigdy; Jim nie przesłał żadnego zlecenia, chyba takie, jakie każdy z nas może wysnuć z wymowy faktów, które są częstokroć bardziej zagadkowe niż najchytrzejszy układ słów. Wprawdzie Jim zrobił jeszcze jeden wysiłek, aby się wypowiedzieć — ale i ten zawiódł go także; przekonał się Pan o tym, spojrzawszy na szarawy arkusz kancelaryjnego papieru, który załączam. Jim usiłował napisać list; niech Pan zauważy, jaki miał banalny charakter pisma. Nagłówek brzmi: »Fort, Patusan«. Widać doprowadził do skutku swój zamiar: chciał ufortyfikować swój dom, w którym mieszkał. Plan fortecy był doskonały: głęboki rów, wał ziemny z palisadą na szczycie, a w rogach armaty ustawione na platformach, żeby objąć ostrzałem każdą ze stron czworoboku. Doramin zgodził się dostarczyć armat Jimowi; liczył na to, że każdy człowiek z bugiskiego plemienia będzie wiedział, iż jest bezpieczne miejsce, dokąd wszyscy wierni stronnicy mogą się schronić w razie nagłego niebezpieczeństwa. Wszystko to wskazywało na przewidującą mądrość Jima, na jego wiarę w przyszłość. Z krajowców, których nazywał »swymi ludźmi« — wyzwolonych niewolników szeryfa — zamierzał utworzyć osobną dzielnicę w Patusanie, osadzając ich w chatkach na drobnych działkach ziemi pod ścianami fortecy. Wewnątrz fortu Jim miał stanowić sam przez się zastęp niezwyciężony. »Fort, Patusan«. Bez daty, jak Pan widzi. Czymże jest liczba i nazwa wobec dnia nad dniami? Niepodobna także powiedzieć, kogo Jim miał na myśli, gdy chwycił za pióro: Steina — mnie — czy cały szeroki świat; a może te słowa były tylko bezcelowym okrzykiem strachu wydanym przez samotnego człowieka, któremu przeznaczenie zastąpiło drogę. »Stała się rzecz straszna«, pisał, zanim rzucił pióro po raz pierwszy; niech Pan spojrzy na kleks pod tymi słowami, podobny do ostrza strzały. Po chwili usiłował znów pisać i nagryzmoilił mozolnie drugi wiersz, jakby miał rękę z ołowiu: »Muszę natychmiast...« Pióro prysnęło i tym razem Jim dał już spokój. Wszystko było skończone; ujrzał szeroką przepaść, poza którą ani oczy, ani głos sięgnąć nie mogły. Rozumiem to. Przytłoczyło go niepojęte; przytłoczyła go własna indywidualność — dar tego losu, którym ze wszystkich sił starał się zawładnąć.

Posyłam Panu także stary list — bardzo stary. Leżał złożony starannie w tece Jima. To list pisany przez jego ojca; spojrzawszy na datę, może się Pan przekonać, że Jim musiał go odebrać parę dni przed objęciem swych obowiązków na »Patnie«. Zapewne ostatni to list, który z domu otrzymał. Przechowywał go troskliwie w ciągu tych wszystkich lat. Zaczynający proboszcz miał słabość do swego syna marynarza. Przejrzałem ten list, czytając gdzieś gdzieś jakieś zdanie. Nie ma w nim nic prócz miłości. Proboszcz pisał swemu »drogiemu Jamesowi«, że ostatni długi jego list był bardzo »szczerzy i zajmujący«. Proboszcz nie chciałby, aby Jim »sądził ludzi zbyt pośpiesznie lub zbyt ostro«. Są tam całe cztery strony tego banalnego moralizowania i nowin rodzinnych. Tom »przyjął święcenia«. Mąż Carrie »poniósł straty pieniężne«. Staruszek ciągnie wciąż tym samym tonem, ufając Opatrzności i ustalonemu porządkowi wszechświata, choć jest świadom małych jego niebezpieczeństw i małych łask. Widzę niemal starego proboszcza, jak siedzi, siwowłosa i pełen pogody, w swym nieprzystępnym schronieniu — wygodnym, spleśniałym gabinecie o ścianach wyłożonych książkami, gdzie przez czterdzieści lat przeżuwał sumiennie wciąż te same przeciętne myśli o wierze i cnocie, o kierowaniu życiem i o jedynym sposobie, w jaki się powinno umierać; gdzie napisał tyle kazań i gdzie rozmawia teraz ze swym chłopcem, który jest hen, daleko, po drugiej stronie ziemi. Ale cóż znaczy odległość? Cnota jest jedna na całym świecie i jedna jest tylko wiara, jeden należyty sposób kierowania życiem i umierania. Proboszcz wyraża nadzieję, iż jego »dro-

List, Ojciec, Książka

gi James« nie zapomni nigdy, że »kto raz ulegnie pokusie, wystawia się tym samym na możliwość ostatecznego znieprawienia i wiecznego upadku. Toteż postanów sobie raz na zawsze, że nigdy — dla jakiegokolwiek przyczyny — nie popełnisz nic, czego byś nie uważał za słuszne«. Dalej idą wiadomości o ulubionym psie i kucyku, »na którym wszyscyście jeździli«: oślepił ze starości i trzeba go było zastrzelić. Staruszek zanosi modły do nieba, aby zesłało na syna błogosławieństwo; matka i wszystkie siostry obecne w domu ślą moc serdeczności... Tak, nie ma nic nadzwyczajnego w tym pożółkłym liście o przetartych brzegach, który po tylu latach wysunął się z troskliwej dłoni Jima. Odpowiedź nie została nigdy wysłana, ale któż powie, jakie nieme rozmowy Jim prowadził ze spokojnymi, bezbarwnymi postaciami, które zaludniają ów cichy zakątek, wolny od niebezpieczeństw i walki, jak grobowiec oddychający miarowo powietrzem niezamąconej prawości? Wydaje się zdumiewające, że Jim wyszedł z tego zakątka, Jim, na którego »spadło« tyle rzeczy. Na nich nic nigdy nie »spadło«, nigdy ich nic nie zaskoczyło i nie wezwano ich nigdy do zmierzenia się z losem. Oto są tutaj, wywołani przez miłą gawędę ojca, wszyscy ci bracia i siostry, krew z jego krwi i kość z jego kości; spoglądają wzrokiem jasnym i nieświadomym, a i Jima widzę między nimi; wrócił nareszcie i już nie wygląda jak malutka biała plamka w samym środku niepojętej tajemnicy; widzę go w naturalnych wymiarach, jak stoi niepostrzeżony wśród spokojnych postaci rodzeństwa, poważny i romantyczny, lecz zawsze niemy, zagadkowy — za mgłą.

Historię ostatnich wypadków znajdzie Pan w niewielu załączonych tu kartkach. Przyzna Pan chyba, że jest bardziej romantyczna od najszańszych marzeń chłopięcych Jima, a jednak widzę w niej pewnego rodzaju głęboką i przerażającą logikę, jakby jedynie nasza własna wyobraźnia mogła rozpętać i zwrócić przeciw nam potęgę miazdzącego losu. Nierozwaga naszych myśli spada na nasze własne głowy; kto mieczem wojuje, od miecza ginie. Ta niesłychana przygoda, w której najdziwniejszą rzeczą jest jej autentyczność, przychodzi jak nieunikniony skutek. Coś podobnego stać się musiało. Człowiek powtarza to sobie, zdumiewając się jednocześnie, że taki fakt mógł się zdarzyć w naszych czasach, mniej więcej przed rokiem. Ale zdarzył się — i nie można podawać jego logiki w wątpliwość.

Opisuję Panu to wszystko, jak gdybym był naocznym świadkiem. Moje wiadomości są niekompletne, lecz zestawilem wszystkie urywki, a jest ich dość dużo, aby utworzyć obraz zrozumiały. Pytam siebie, jakby Jim sam to opowiedział? Ufał mi tak bardzo, iż wyobrażam sobie, że lada chwila wejdzie do pokoju i sam mi wszystko opowie głosem niedbałym, a jednak pełnym uczucia, z obojętną miną, trochę zaskoczony, trochę zakłopotany, trochę dotknięty — rzucając czasem światło jednym słowem lub zdaniem na swą wewnętrzną istotę — światło zbyt niepewne, aby można było się zorientować. Trudno mi uwierzyć, że się już nigdy nie zjawi. Nie usłyszę jego głosu, nie zobaczę jego gładkiej twarzy, różowej i opalanej, o czole odcinającym się białością i młodzieńczych oczach, pociemniałych ze wzruszenia aż do mrocznego przepastnego błękitu.

Smutek

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Zaczyna się to wszystko od niezwykłego czynu pewnego człowieka nazwiskiem Brown, któremu udało się ukrącić hiszpański szkuner z niewielkiej zatoki w pobliżu Zamboanga. Nie miałem wyczerpujących wiadomości o tej sprawie, póki najniespodziewaniej w świecie nie natknąłem się na owego człowieka, kilka godzin przedtem, zanim wyzionął swego aroganckiego ducha. Na szczęście, mógł ze mną rozmawiać i czynił to chętnie wśród duszących ataków astmy; jego udreżone ciało wilo się ze złośliwej radości na samą myśl o Jimie. Rozkoszował się tym, że »odpłacił się jednak temu nadętemu pyszałkowi«. Nie mógł się nasycić wspomnieniem. Aby się o wszystkim dowiedzieć, musiałem znieść dzikie spojrzenia jego zapadłych oczu, otoczonych kurzymi łapkami zmarszczek — i zniosłem je, rozmyślając, jak blisko niektóre postacie zła są spokrewnione z obłąkaniem, jak często źródłem ich jest skoncentrowany egoizm, jak — rozognione przez opór — rozszarpują duszę na strzępy, używając ciała sztucznej siły. Ta historia ujawnia również nieprzewidziane głębokie chytryści w nędznym Corneliusie; jego ohydna i potężna nienawiść działała jak przebiegłe natchnienie, wskazując mu niezawodną drogę do zemsty.

— Ledwie rzuciłem na niego wzrokiem, wiedziałem od razu, jakiego to typu dureń — mówił dogorywający Brown, dysząc ciężko. — To miał być mężczyzna? Do diabła! To był nadęty błazen. Czy nie mógł mi po prostu powiedzieć: »Precz z łapami od mego łupu!« To by było po męsku. Diabli nadali tę jego wyższą duszę! Trzymał mnie w rękę, ale za mało w nim było z szatana, żeby zrobić ze mną koniec, gdzieżby zaś! Taki niedojda jak on wypuścił mnie z rąk, jakbym nie był w wart nawet kopnięcia! — Brown zaczął dyszeć, chwytając rozpaczliwie oddech. — Oszust... Wypuścił mnie... Więc też ja z nim zrobiłem koniec... — Znowu chwyciła go duszność. — Ta choroba mnie pewno zabije, ale umrę teraz spokojnie. Panie... słyszy pan? nie wiem nawet, jak się pan nazywa, ale dałbym panu banknot pięciofuntowy, gdybym go miał, za wiadomość... jakem Brown... — wykrzywił się w ohydny uśmiech — jakem džentelmen Brown.

Mówiąc to wszystko, chwycił głęboko oddech i wlepił we mnie żółte oczy tkwiące w długiej, zniszczonej, brunatnej twarzy; poruszył niespokojnie lewym ramieniem; szpakowata, poplątana broda zwisała mu prawie do pasa; brudna, podarta koldra okrywała jego nogi. Wynalazłem Browna w Bangkoku przy pomocy tego wścibskiego hotelarza Schomberga, który wskazał mi poufnie, gdzie szukać. Okazało się, że pewien biały włóczęga — walkoń zamroczony od pijaństwa, żyjący wśród krajowców ze syjamską kobietą — uznał za wielki zaszczyt ofiarowanie przytułku słynnemu Dżentelmenowi Brownowi na ostatek jego dni. Podczas gdy Brown mówił ze mną o tej nędznej dziurze i rzekłbyś, walczył ze śmiercią o każdą minutę, w ciemnym kącie siedziała syjamska kobieta o wielkich, gołych nogach i głupiej prostaczej twarzy, żując tępo betel. Od czasu do czasu podnosiła się, aby odpędzić kurczę ode drzwi. Cała chata trzęsła się od jej kroków. Brzydkie, nagie dziecko o żółtej skórze i wydętym brzuszku, niby mały bóg pogański, stało w nogach posłania z palcem w ustach, zatopione w głębokiej i spokojnej kontemplacji umierającego.

Brown mówił gorączkowo; lecz niekiedy — często w środku wyrazu — niewidzialna ręka brała go za gardło; spoglądał wówczas na mnie niemo z wyrazem zwątpienia i udręki. Obawiał się widocznie, że się zmęczę czekaniem i odejdę, a on nie zdąży dokończyć swojej opowieści, wyrazić mi swej radości. Zdaje się, że umarł w nocy, ale wówczas już wiedziałem wszystko.

Tyle na razie o Brownie.

Mniej więcej osiem miesięcy przedtem znalazłem się w Semarangu i poszedłem jak zwykle odwiedzić Steina. Na werandzie od strony ogrodu jakiś Malaj powitał mnie nieśmiało; przypomniałem sobie, że go widział w Patusanie, w domu Jima, wśród innych Bugisów, którzy przychodzili wieczorem, aby gawędzić bez końca o wojennych wspomnieniach i roztrząsać sprawy państwowe. Jim pokazał mi go kiedyś, nadmieniając, że to jest drobny kupiec, właściciel małego statku morskiego; swego czasu okazał się »jednym z najdzielniejszych przy zdobywaniu ostrokołu«. Widok tego krajowca nie bardzo mnie zdziwił, ponieważ każdy kupiec patusański, który się zapuszczał tak daleko, aż do Semarangu, trafiał oczywiście do domu Steina. Odwzajemniłem powitanie Bugisa i szedłem dalej. U drzwi prowadzących do gabinetu natknąłem się na innego Malaja, w którym poznałem Tamb' Itama.

Zapytałem go od razu, co tu robi; przyszło mi do głowy, że może Jim przyjechał do Steina w odwiedziny. Wyznaję, iż ta myśl uradowała mnie i ożywiła. Tamb' Itam wyglądał, jakby zapomniał języka w gębie.

— Czy tuan Jim jest także tutaj? — spytałem niecierpliwie.

— Nie — mruknął Tamb' Itam i zwiesił głowę, a potem rzekł nagle z naciskiem. — Nie chciał walczyć. Nie chciał walczyć — powtórzył.

Zdawało się, że nic innego wydobyć z siebie nie może; odsunąłem go na bok i wszedłem.

Stein, wysoki i pochylony, stał samotnie w środku pokoju między rzędami skrzynek pełnych motyli.

— Ach! to pan, kochany przyjacielu! — rzekł smutno, patrząc na mnie przez okulary. Był ubrany w luźny, brunatny kitel alpaki, rozpięty i sięgający kolan. Na głowie miał panamę; blade jego policzki były poorane głęboko bruzdami.

— Cóż to znaczy? — spytałem nerwowo. — Tamb' Itam jest tutaj...

Pijaństwo

— Niech pan idzie się zobaczyć z dziewczyną. Niech pan idzie się z nią zobaczyć! Ona tu jest — rzekł Stein, usiłując mówić z energią. Chciałem go zatrzymać, lecz z łagodnym uporem nie zwracał żadnej uwagi na moje natarczywe pytania. — Ona tu jest, ona tu jest — powtarzał w wielkim wzburzeniu. — Przyjechali przed dwoma dniami. Taki stary człowiek jak ja, a przy tym cudzoziemiec, *sehen Sie*¹⁴⁶, niewiele może zrobić... O, tędy, proszę pana... Młode serca nie przebaczą... — Widziałem, że Stein jest w ostatecznej rozterce. — Jest w nich taka pełnia życia... taka okrutna pełnia życia... — mamrotał, prowadząc mnie naokoło domu; szedłem za nim, zatopiony w ponurych i gniewnych domysłach. U drzwi salonu zastąpił mi drogę. — On bardzo ją kochał — rzekł pytającym tonem, a ja tylko skinąłem głową, przygnieciony tak gorzkim rozczarowaniem, że bałem się zaryzykować odpowiedź. — To straszne — szepnął. — Ona nie może mnie zrozumieć. Jestem dla niej tylko obcym starcem. Może pana zrozumie... przecież pana zna. Niech pan z nią pomówi. Nie możemy tego tak zostawić. Niech pan jej powie, żeby mu przebaczyła. To takie straszne.

— Zapewne — rzekłem, rozdrażniony swoją nieświadomością — ale czy *pan* mu przebaczył?

Spojrzał na mnie dziwnie.

— Dowie się pan o wszystkim — rzekł i otworzywszy drzwi, dosłownie wepchnął mnie do środka.

Pan zna wielki dom Steina i te dwa olbrzymie salony, niezamieszkałe i zupełnie na mieszkanie nieodpowiednie — czyste, ziejące samotnością, pełne świecących sprzętów, które wyglądają, jakby oko ludzkie nigdy na nich nie spoczęło. Chłodne są nawet w najgorętsze dnie, a wchodzi się tam jak do podziemnej grotty. Minąłem jeden salon i zobaczyłem w drugim dziewczynę; siedziała u końca wielkiego mahoniowego stołu, opierając o jego brzeg głowę ukrytą w ramionach. Woskowana posadzka odbijała niewyraźnie jej postać, jak tafla zamrożonej wody. Zasłony z rotanu były spuszczone; przez dziwny, zielonawy mrok, padający od listowia drzew rosnących naokoło domu, ciągnęły od czasu do czasu powiewy silnego wiatru, kołysząc długimi portierami u drzwi i okien. Biała postać dziewczyny wyglądała jak ulepiona ze śniegu; kryształowe wisioły wielkiego świecznika dźwięczały nad jej głową, niby iskrzące się sople lodu. Podniosła oczy i patrzyła na mnie, gdy się zbliżałem. Ogarnął mnie chłód, jakby te obszerne salony były zimnym przybytkiem rozpaczy.

Poznała mnie od razu i gdy się zatrzymałem, patrząc na nią, rzekła spokojnie:

— Opuścił mnie. Wy zawsze nas opuszczacie dla waszych własnych celów. — Twarz jej była zakrzepła. Zdawało się, że wszystko żywotne ciepło jej ciała cofnęło się w jakieś niedostępne miejsce w głębi piersi. — Byłoby mi tak łatwo umrzeć z nim razem — ciągnęła i machnęła lekko ręką ze znużeniem, jakby przechodząc do porządku nad czymś niezrozumiałym. — Ale nie chciałam! Był jak ślepy, a przecież to ja do niego mówiłam; to ja stałam przed jego oczami; to na mnie przez cały czas patrzył! Ach! jesteście bez serca, zdradliwi, nieszczerzy, bezlitośni. Dlaczego jesteście tacy źli? A może jesteście wszyscy obłąkani?

Ująłem ją za rękę, która nie odpowiedziała na moje dotknięcie; kiedy ją puściłem, zwiła bezwładnie, Obojętność tej dziewczyny, okropniejsza od łez, krzyków i wymówek, wydawała się niedostępna dla czasu i ukojenia. Czuło się, iż żadne słowa nie dotrą do siedliska jej stęzalego, drętwego bólu.

Stein powiedział mi: »Dowie się pan«. I rzeczywiście dowiedziałem się o wszystkim. Słuchałem — zdumiony i przejęty grozą jej słów, wypowiedzianych z kamiennym znużeniem. Nie mogła przeniknąć istotnej treści tego, co mi mówiła; jej żal do Jima przejął mnie litością dla niej — i dla niego. Zamilkła wreszcie; stałem jak przykuty do miejsca. Oparta na łokciu, patrzyła przed siebie twardym wzrokiem, a wiatr przewiewał niekiedy, dźwięcząc kryształami w zielonawym mroku. Szeptala cicho do siebie:

— A przecież patrzył na mnie! Widział moją twarz, słyszał mój głos, czuł mój ból! Kiedy siadywałam dawniej u jego nóg, opierając policzek o jego kolano i czując jego rękę na głowie, klątwa okrucieństwa i obłąkania już w nim była, czekając na swój dzień. Nadszedł ten dzień... Nim słońce się skryło, przestał mnie widzieć, był ślepy i głuchy,

¹⁴⁶*sehen Sie* (niem.) — widzi pan. [przypis edytorski]

i bezlitosny, jak wy wszyscy. Nie będzie miał moich łez. Nigdy, nigdy. Ani jednej. Ja płakać nie chcę! Porzucił mnie, jakbym była gorsza od śmierci. Uciekł, gnany przez jakieś przekłete widmo, które usłyszał czy zobaczył we śnie...

Nieruchome oczy dziewczyny zdawały się wyteżać w pościgu za męską postacią, wdartą z jej ramion przez moc sennego widziadła. Nie odpowiedziała wcale na mój milczący ukłon. Odetchnąłem z ulgą, wychodząc.

Raz jeszcze ją zobaczyłem tego samego popołudnia. Wyszedszy od niej, udałem się na poszukiwanie Steina, którego nie było w willi; ścigany rozpaczliwymi myślami, zacząłem błądzić po ogrodach — po sławnych ogrodach Steina — gdzie można znaleźć każdą roślinę i każde drzewo podzwrotnikowych nizin. Szedłem jakiś czas wraz z biegiem uregulowanego strumienia, po czym siedziałem długo na ocienionej ławce obok sztucznej sadzawki, gdzie trochę wodnego ptactwa o podciętych skrzydłach nurkowało i pluskało się hałaśliwie. Gałęzie kazuarynowych¹⁴⁷ drzew rosnących za mną kołysały się lekko bez przerwy, przypominając mi szum jodeł w kraju.

Ten żalobny, nieukoiony dźwięk stanowił odpowiednie tło dla moich rozmyślań. Dziewczyna powiedziała, że senne widziadło wyrwało jej Jima — i żadnej na to nie było odpowiedzi; zdawało się, że nie ma przebaczenia dla takiej winy. A jednak — czyż sny o wielkości i potędze nie prą na oślep całej ludzkości w mroczne koleje zbędnego okrucieństwa i zbędnych poświęceń? I czymże jest właściwie pogoń za prawdą?

Kiedy wstałem, chcąc wrócić do siebie, dostrzegłem brunatny kitel Steina przez szparę w liściach i wkrótce na zakręcie ścieżki spotkałem go idącego razem z dziewczyną. Mała jej rączka spoczywała na jego ramieniu; siwy i ojcowski, pochylał ku niej głowę w płaskiej panamie o szerokich skrzydłach, a cała jego postać wyrażała współczucie pełne rycerskiego szacunku. Usunąłem się na bok, ale oni przystanęli naprzeciw mnie. Stein patrzył w ziemię; dziewczyna, wyprostowana i drobna u jego boku, utkwiała w przestrzeni pośpiesznie czarne, przejrzyste, nieruchome oczy.

— *Schrecklich!*¹⁴⁸ — szepnął Stein. — Okropne! okropne! Co tu począć?

Zdawał się zwracać do mnie; młodość dziewczyny, długie życie, które ją czekało, wzruszały mnie głęboko, i nagle, w chwili gdy pojałem jasno, że nie można powiedzieć nic, co by przyniosło jej ulgę, zacząłem się wstawiać za Jimem.

— Pani musi mu przebaczyć — zakończyłem, a własny głos wydał mi się stłumiony, jakby się zagubił w obojętnym, głuchym ogromie. — Wszyscy potrzebujemy przebaczenia — dodałem po chwili.

— A cóż ja takiego zrobiłam? — zapytała po cichu.

— Pani nigdy mu nie wierzyła — odrzekłem.

— Był taki jak wszyscy inni — wymówiła z wolna.

— Nie, nie był taki jak inni — zapewniałem, lecz ona ciągnęła dalej równym, obojętnym głosem:

— Był obłudny.

Stein wtrącił się nagle do naszej rozmowy:

— Nie, nie! Moje biedne dziecko!... — Poglaskał jej rękę leżącą biernie na jego rękawie. — Nie, nie! Nie był obłudny! Był szczery, szczery! Szczery! — Usiłował zajrzeć w kamienną jej twarz. — Pani tego nie rozumie. Ach! Dlaczego pani nie rozumie?... To okropne! — zwrócił się do mnie. — Przyjdzie dzień, kiedy będzie *musiała* zrozumieć.

— Czy *pan* jej to wytłumaczy? — spytałem, patrząc mu bacznie w oczy.

Ruszyli z miejsca.

Patrzyłem za nimi. Suknia jej wlokła się po ziemi, rozpuszczone włosy spadały na ramiona. Prosta jak struna, szła lekko u boku wysokiego mężczyzny; długi jego, luźny kitel zwisał prostopadłymi fałdami z pochylonych pleców, a nogi poruszały się z wolna. Znikli za tą kępką zarośli, gdzie (jak Pan może sobie przypomina) rośnie szesnaście różnych gatunków bambusu, które oko uczonego potrafi doskonale rozróżnić. Przykuwał mnie subtelny wdzięk i piękno smukłego gaiuku uwieńczonego spiczastymi liśćmi i pierzastymi kitami, jego lekkość, siła żywotna i czar tak wyraźny, jakby był głosem tego spokojnego, a bujnego życia. Pamiętam, że stałem i patrzyłem przez długą chwilę, jakbym się ociągał

¹⁴⁷kazuaryna a. *rzewmia* — rodzaj drzew i krzewów z suchych terenów pld. Azji i Australii; ich silnie zredukowane, twarde liście przypominają pióra strusi lub igły sosny. [przypis edytorski]

¹⁴⁸*schrecklich* (niem.) — straszne, okropne. [przypis edytorski]

z odejściem, zasluchany w jakiś kojący szept. Niebo miało ton perłowszary. Był to jeden z tych pochmurnych dni, tak rzadkich pod zwrotnikami, kiedy się cisną wspomnienia innych brzegów, innych twarzy.

Wróciłem do miasta tego samego popołudnia, zabierając z sobą Tamb' Itama i drugiego Malaja, na którego statku uciekli wśród osłupienia, trwogi i grozy wywołanych nieszczęściami. Zdawało się, że wstrząs, jaki ci ludzie przeżyli, zmienił ich natury. Pałająca namiętnością dziewczyna obróciła się w kamień, a posępny, milczący Tamb' Itama stał się prawie gadatliwy. Jego zgryźliwość przemieniła się w pokorę pełną zdziwienia, jak gdyby ujrzał niemoc potężnego czaru w wyrocznej chwili. Bugiski kupiec, człowiek lękliwy i niezdeterminowany, wyrażał się bardzo jasno, choć niewiele miał do powiedzenia. Obaj byli najwidoczniej przerażeni i przejęci wielkim, niewymownym zdumieniem. Otarli się o niezbadaną tajemnicę”.

Tu podpis Marlowa oznaczał kres właściwego listu. Uprzywilejowany człowiek pokręcił lampę i zabrał się do czytania kartek opowieści, samotny wśród falistych dachów miasta jak latarnik nad oceanem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Zaczyna się to wszystko, jak już mówiłem, z pojawieniem się człowieka nazwiskiem Brown — brzmiało pierwsze zdanie piśmiennej relacji Marlowa. — Pan się włóczył po zachodnim Pacyfiku, więc musiał Pan o nim słyszeć. Był to typowy zbój z australijskiego wybrzeża. Nieczęsto się tam pokazywał, ale zawsze można się było na niego natknąć w opowiadaniach o życiu poza prawem, którymi się częstuje przybyszów z kraju. Najmniej jaskrawa z historii krążących o Brownie od przylądka York do zatoki Eden zaprowadziła go na szubienicę, gdyby się doniosło o tym, gdzie należy. Nie omieszkano również nigdy powiadomić nowo przybyłych, że Brown był podobno synem baroneta. Tak czy owak, pewne jest, że zdezerterował z angielskiego statku na samym początku okresu, kiedy to zaczęto dobywać złoto, i w parę lat później mówiono już o nim jako o postrachu tej lub innej grupy wysp polinezyjskich. Porywał krajowców, obdzierał do koszuli samotnych białych kupców, a obrabowawszy takiego nieboraka, proponował mu często pojedynek na strzelby. Wyglądałoby to na względnie lojalne postępowanie, gdyby napadnięty nie był już na wpół żywy ze strachu. Brown należał do rzędu korsarzy nowożytnych; charakter miał tak niegodziwy jak jego sławniejsi poprzednicy, ale co go wyróżniało spośród współczesnych mu koleżków-zabijaków — jak na przykład Bully Hayes czy miódopłynny Pease, czy też wyperfumowany łotr, dandys z wielkimi faworytami, znany jako Brudny Dick — to arogancja, jaką się odznaczał, i zażarta pogarda dla ludzi w ogóle, a dla swych ofiar w szczególności. Tamci korsarze byli po prostu pospolitymi, chciwymi bestiami, lecz Brownem zdawały się powodować jakieś zakłócone motywacje. Obdzierał ludzi, rzekłbyś, jedynie po to, aby im okazać swą pogardę, a zabijał lub kałeczył jakiegoś spokojnego, Bogu ducha winnego człowieka, którego pierwszy raz w życiu widział, z dziką i mściwą zawziętością, co mogło przerazić i najzuchwalszego z awanturników. W dniach swej największej chwały posiadał uzbrojony bark o załozę złożoną z kanaków¹⁴⁹ i zbiegłych wielorybników; chępił się — Bóg raczy wiedzieć dlaczego — że finansuje go po kryjomu pewna bardzo przyzwoita firma handlująca kopra¹⁵⁰. Potem znów uciekł — jak opowiadano — z żoną misjonarza, bardzo młodą kobietą z Clapham, która w chwili egzaltacji wyszła za łagodnego pastora o płaskich stopach i — przeniesiona nagle do Melanezji — straciła głowę. Była to jakaś mętna historia. Żona misjonarza była chora w chwili, kiedy ją Brown uprowadził, i umarła na jego statku. Opowiadają — i w tym wszystkim to jest najdziwniejsze — że Brown nad jej ciałem uniośł się gwałtowną i ponurą rozpaczą. Wkrótce potem szczęście go opuściło. Stracił swój bark na skałach w pobliżu Malaity i znikł na pewien czas z widowni, jakby poszedł na dno razem ze statkiem. Wypłynął znów w Nuka-hiwa, gdzie kupił stary, wysłużony rządowy szkuner francuski. Czy mógł mieć zyskowny interes na widoku, dokonując tego kupna, nie umiem powiedzieć, ale jeśli wziąć pod uwagę wysokich komisarzy, konsulów, statki wojenne i kontrolę mię-

¹⁴⁹kanak (hist.) — popr.: *kanaka*, człowiek pochodzący z wysp Pacyfiku, zwł. tubylczy pracownik w koloniach bryt. i na statkach. [przypis edytorski]

¹⁵⁰kopra — wysuszony miąższ orzechów palmy kokosowej. [przypis edytorski]

dzynarodową — jasne jest, że morza południowe stawały się za ciasne dla osobników jego pokroju. Musiał widać przesunąć teren swej działalności dalej na zachód, bo w rok później odegrał rolę niewiarygodnie śmiałą — choć materialnie niezbyt korzystną — w tragikomicznym przedsięwzięciu handlowym na terenie Zatoki Manilskiej, w którym głównymi osobami byli pewien gubernator-defraudant i zbiegły skarbnik; potem włóczył się jakoby naokoło Filipin na swym zbutwiałym szkunerze i walczył z nieprzyjaznym losem, aż wreszcie, dążąc po wyznaczonym sobie szlaku, wpłatał się w historię Jima — ślepy wspólnik Ciemnych Potęg.

Opowiadał mi, że patrolujący hiszpański kuter uwięził go w chwili, gdy usiłował przemycić trochę strzelb dla powstańców. Jeśli tak było naprawdę, trudno zrozumieć, dlaczego Brown się znajdował u południowych wybrzeży Mindanao. Ale według mego przekonania, wymuszał haracz na krajowcach z wsi nadbrzeżnych. Cała rzecz w tym, że dowódca kutra, zostawiwszy straż na pokładzie barku, kazał mu płynąć za sobą do Zamboanga. Po drodze oba statki musiały z jakiegoś powodu zawinąć do jednej z tych nowych osad hiszpańskich, które nie przyniosły nigdy żadnego pożytku; był tam nie tylko cywilny urzędnik opiekujący się wybrzeżem, ale i porządny, okazały szkuner nadbrzeżny zakotwiczony w małej zatoczce; otóż Brown postanowił ukraść ten szkuner, lepszy pod każdym względem od jego statku.

Mówił mi sam, że szczęście mu wówczas nie dopisywało. Ze świata, któremu dokuczał, napastując go przez dwadzieścia lat z dziką pogardą, nie wycisnął żadnych materialnych korzyści prócz niewielkiego worka srebrnych dolarów, ukrytych w jego kajucie, „tak że sam czort nie potrafilby ich wywąchać”. I to było dosłownie wszystko. Czuł się znudzony życiem i śmierci się nie lękał. Lecz ten człowiek, który narażał życie dla kaprysu z gorzkim i szydlerczym zuchwalstwem, bał się śmiertelnie więzienia. Na samą myśl o nim instynktowna zgroza targwała jego nerwami, oblewał go zimny pot, szpik zastygł mu w kościach; było to podobne do strachu, którego by przesądny człowiek mógł doznać na myśl o uścisku upiora. Toteż cywilny urzędnik, który przybył na pokład dla przedwstępnego śledztwa w sprawie pojmanego statku, prowadził przez cały dzień znojne badania i udał się na brzeg dopiero o zmroku, zawinięty po uszy w płaszcz, uważając pilnie, aby nic nie zabrzęczało w worku, w którym zabierał cały niewielki majątek Browna. Po czym, będąc człowiekiem słownym, postarał się wysłać (zaraz następnego wieczoru, o ile mi się zdaje) kuter rządowy w jakiejś szczególnie pilnej sprawie. Ponieważ kapitan kutra nie mógł obsadzić brygu swoimi ludźmi, zadowolili się tym, że zabrał przed odjazdem wszystkie żagle ze szkunera Browna aż do ostatniego strzępka; nie omieszkali też odholować swoich dwóch łodzi do brzegu, o parę mil dalej.

Ale wśród załogi Browna znajdował się krajowiec z Wysp Salomona, uprowadzony jeszcze w młodości i oddany Brownowi bez granic; był to najlepszy człowiek z całej bandy. Krajowiec ów puścił się wplaw do rządowego szkunera — z jakie pięćset jardów — trzymając koniec liny holowniczej, zrobionej ze wszystkich tkanin na statku, które podarto w tym celu. Morze ani drgnęło, a w zatoczce było ciemno, „jak w brzuchu krowy”, według opisu Browna. Krajowiec z Wysp Salomona wdrapał się na nadburcie, trzymając koniec liny w zębach. Załoga szkunera, złożona wyłącznie z Tagalów¹⁵¹, znajdowała się na wybrzeżu, gdzie brała udział w zabawie we wsi tubylczej. Dwaj wartownicy zostawieni na statku obudzili się nagle i ujrzeli diabła. Miał gorejące oczy i skakał po pokładzie z szybkością błyskawicy. Padli na kolana, obezwładnieni trwogą, żegnając się i szepcząc modlitwy. Wyspiarz porwał z kambuza¹⁵² długi nóż i pchnął naprzód jednego wartownika, a potem drugiego, nie przerywając im modlitw; tym samym nożem zaczął piłować cierpliwie grubą cumę z włókien kokosowych, póki nie osunęła się z pluskiem spod noża. Wówczas rzucił w ciszę zatoki ostrożny okrzyk, a banda Browna — która przez cały ten czas wytyczała wśród mroku wzrok i słuch przejętą nadzieją, zaczęła ciągnąć ostrożnie drugi koniec liny. W niespełna pięć minut oba szkunery zetknęły się z lekkim wstrząsem i skrzypem masztów.

Ludzie Browna przenieśli się bezzwłocznie na szkuner hiszpański, zabierając broń i duży zapas amunicji. Było ich wszystkich razem szesnastu: dwóch uciekinierów z ma-

¹⁵¹Tagalowie — lud żyjący na Filipinach. [przypis edytorski]

¹⁵²kambuz — pomieszczenie kuchenne na statku. [przypis edytorski]

rynarki angielskiej, chudy, wysoki dezertier z wojennego okrętu Stanów Zjednoczonych, paru jasnowłosych, prostodusznych Skandynawów, jakiś tam Mulat, ugrzeczniiony Chińczyk zajmujący się kuchnią, reszta zaś — nędzne szumowiny mórz południowych. Żaden z nich nie dbał o nic; Brown powodował nimi według swej woli, a teraz obojętny na szubienicę, uciekał przed widmem hiszpańskiego więzienia. Nie zostawił im czasu na przeniesienie dostatecznego zapasu żywności; noc była spokojna, powietrze przesiąknięte rosą, a gdy oddali cumy i ustawili żagle na słaby wiatr lądowy, nie zatrzepotało ani jedno mokre płótno; stary ich szkuner zdawał się cofać powoli od ukradzionego statku i sunąć po cichu w noc razem z czarną masą wybrzeża.

Uciekli bez śladu. Brown opowiedział mi szczegółowo tę podróż przez cieśninę Makasar. To dręcząca i rozpaczliwa historia. Nie mieli pożywienia ani wody, napadli na kilka statków tubylczych, zabierając każdemu trochę żywności. Brown nie odważył się oczywiście zawinąć do żadnego portu z ukradzionym okrętem. Nie miał pieniędzy, aby kupić cośkolwiek; nie miał żadnych papierów do pokazania władzom portowym i nie potrafił wymyślić jakiegoś prawdopodobnego kłamstwa, aby móc się wydostać z powrotem. Raz w nocy napadli na arabski bark pod banderą holenderską, zakotwiczony u wybrzeży Pulau Laut, i zabrali mu trochę brudnego ryżu, pęk bananów, beczkę wody; w ciągu trzech dni burzliwych i mglistych północno-wschodni wiatr zapędził ich na Morze Jawajskie. Żółte, błotniste fale zalewały to zbiorowisko głodnych awanturników. Widzieli pocztowe kutry dążące po wyznaczonych szlakach; mijali dobrze zaopatrzone statki angielskie o zarzewiałych żelaznych bokach, czekające wśród płytkiego morza na zmianę pogody lub odwrócenie się prądu; biała i schludna kanonierka angielska o dwóch smukłych masztach przecięła im raz drogę w oddali; innym znów razem holenderska korweta, czarna o ciężkim omasztowaniu, zamajaczyła z boku za rufą, sunąc bardzo wolno wśród mgły. Przemykali się, nie dostrzeżeni lub mijani obojętnie — banda wynędzniałych, wybladłych straceńców, rozwścieczonych głodem, ściganych przez strach. Brown zamierzał dostać się na Madagaskar, gdzie się spodziewał — z pewnym prawdopodobieństwem — sprzedać szkuner w Tamatawe, nie narażając się na pytania, lub też zdobyć jakieś sfalszowane papiery. Ale przed puszczeniem się w długą podróż przez Ocean Indyjski potrzebował żywności — a także i wody.

Może słyszał kiedyś o Patusanie — a może po prostu zdarzyło mu się zobaczyć jego nazwę wypisaną małutkimi literkami na mapie, nazwę — jak sądził — sporej wsi położonej nad rzeką w państwie tubylczym, zupełnie bezbronnym, dalekim od uczęszczanych morskich szlaków i kabli podwodnych. Zapuszczał się już i dawniej w takie miejsca dla interesu; a teraz była to bezwzględna konieczność, kwestia życia i śmierci — a raczej wolności. Wolności! Był pewien, że znajdzie tam zapasy, bawoły, ryż, jadalne korzenie. Wynędzniała banda obliżywała się już na to zawczasu. Może się uda wymusić ładunek żywności, a kto wie? może się tam znajdzie trochę prawdziwej brzęczącej monety! Z niektórych naczelników i wodzów można dość dużo wycisnąć. Brown mówił mi, że był zdecydowany przypiekać im pięty, byle tylko dopiąć swego. Wierzę. Jego ludzie wierzyli mu także. Nie wykrzykiwali z zapalem, bo to była banda milcząca, ale ostrzyli sobie zęby w cichości.

Pogoda im sprzyjała. Kilka dni ciszy byłyby ściągnęły na szkuner nieopisane okropności, ale z pomocą wiatrów lądowych i morskich w niecały tydzień po opuszczeniu Cieśniny Sundzkiej Brown zapuścił kotwicy u ujścia Batu Kring, o strzał z rewolweru od wsi rybackiej.

Czternastu ludzi z załogi wpakowało się do szalupy szkunera (obszernej, służącej do przewożenia ładunku) i wyruszyło w górę rzeki; szkuner zostawiono pod opieką dwóch majtków, którzy mieli zapas żywności dostateczny dla uchronienia ich od głodowej śmierci przez dziesięć dni. Prąd i wiatr sprzyjały wyprawie i pewnego dnia, zaraz po południu, wielka biała łódź o poszarpanym żaglu wdarła się pod morską bryzą do państwa Patusanu wraz z czternastu dobranymi obszarpańcami, którzy wpatrywali się żarłocznie przed siebie, trzymając palce na kurkach tanich strzelb. Brown liczył na przerażenie wywołane niespodzianym jego przybyciem. Dopłynęli na ostatniej fali przyływu. Ostrokół radży nie dawał znaku życia; najbliższe chaty po obu brzegach robiły wrażenie opustoszałych. W górze rzeki widać było kilka czółen umykających szybko. Brown dziwił się wielkości osady. Panowała tam głęboka cisza. Wiatr ustał między domami; dwóch ludzi wzięło się

do wioseł, aby utrzymać kurs łodzi w górę rzeki, ponieważ Brown miał zamiar wylądować w środku osady, zanim mieszkańcy zdążą pomyśleć o obronie.

Lecz zdaje się, że naczelnik rybackiej wsi przy ujściu Batu Kring zdołał wysłać na czas ostrzeżenie. Gdy łódź znalazła się na wprost meczetu (wzniesionego przez Doramina, o szczycie ozdobionym rzeźbami z białego koralu), plac przed nim był pełen ludzi. Rozległ się głośny okrzyk, po czym dźwięk gongów rozbrzmiał wzdłuż rzeki. Z wyniosłości ponad osadą strzeliły dwie sześciofuntowe mosiężne armatki; pocisk leciał, podskakując po pustej rzece, a wytryski wody iskrzyły się w słońcu. Przed meczetem gromada krzyczących ludzi otworzyła ogień salwami, które smagały na ukos nurt rzeki; po obu brzegach grzmiała nieregularna strzelanina skierowana ku łodzi. Ludzie Browna odpowiedzieli gwałtownym ogniem; wiosła wyciągnięto z powrotem.

Zmiana prądu przy najwyższym przyplywie następuje bardzo prędko na tej rzece, i łódź w środku łożyska, ukryta prawie zupełnie w dymie, zaczęła się cofać sterem naprzód. Wzdłuż obu brzegów dym zgęstniał również, ciągnąc się poniżej dachów poziomymi smugami, podobnie jak długi obłok przecina stok góry. Wrzawa okrzyków wojennych, drgający dźwięk gongów, głęboki warkot bębnow, wrzaski wściekłości, grzmot strzałów czyniły okropny hałas, pośród którego Brown siedział u steru zbity z tropu, lecz spokojny; ogarniała go coraz większa wściekłość i nienawiść do tych krajowców, którzy śmieli się bronić. Dwoch jego ludzi było rannych; widział przy tym, że ma odwrót odcięty przez łódki, które odbiły od częstokołu Tunku Allanga. Było ich sześć, pełnych ludzi. Osaczony Brown spostrzegł ujście małej zatoczki (tej samej, którą Jim przeskoczył przy odpływie). Była teraz pełna po brzegi. Brown skierował łódź w tę stronę; wylądowali i — streszczam długi epizod — umieścili się na małym kopcu, mniej więcej o dwieście jardów od ostrokołu, który z tej pozycji widzieli jak na dłoni. Stoki kopca były nagie, lecz na szczycie rosło trochę drzew. Zabrali się do ścinania tych drzew na zasięki i przed zmierzchem byli już wcale dobrze obwarowani; przez cały ten czas łódki radży pozostawały na rzece, obserwując ich z dziwną neutralnością. Gdy słońce zaszło, blask licznych ognisk z chrustu — rozpalonych i na wybrzeżu, i między podwójnym szeregiem domów — uwydatnił czarne sylwety dachów, grupy smukłych palm, gęste kępy drzew owocowych. Brown rozkazał spalić trawę naokoło swej pozycji; niski pierścień wątych płomieni, pod dymem wznoszącym się z wolna, potoczył się szybko w dół po pochyłości kopca; gdzieś zapalał się suchy krzew z głośnym, zajadłym hukiem. Pożar oczyścił naokoło teren dla strzałów małej bandy, po czym wygasł, tłąc się na skraju lasu i wzdłuż błotnistej wybrzeża zatoki. Pas dżungli, krzewiącej się bujnie w wilgotnym zagłębieniu między kopcem a ostrokołem radży, zatrzymał ogień z tej strony wśród głośniego trzasku i huku pękających pni bambusowych. Niebo było ciemne, aksamitne i roilo się od gwiazd. Poczerniała ziemia dymiła spokojnie pełznącymi nisko kosmykami, aż wreszcie powiał lekki wiatr i zdmuchnął wszystko.

Brown spodziewał się ataku, z chwilą gdy się przyplów wzmoże i umożliwi wejście do zatoczki łodziom wojennym, które odcięły mu odwrót. W każdym razie był pewien, że spróbują zabrać jego wielką łódź, która leżała pod kopcem, rysując się ciemną, wysoką bryłą na nikłym połysku mokrego trzęsawiska. Ale łódki na rzece nie poruszały się wcale. Za ostrokołem i zabudowaniami radży Brown widział ich światła na wodzie. Zdawało mu się, że są zakotwiczone w poprzek łożyska. Inne światła poruszały się na rzece, przecinając ją od brzegu do brzegu. W długich ścianach domostw błyszczwały także nieruchome światelka w górze rzeki aż do zakrętu i dalej jeszcze liczniejsze; w głębi lądu migotały inne, samotnie. Gdzie tylko sięgnął wzrok Browna, luna wielkich ognisk oświetlała budynki, dachy, czarne pale. Była to olbrzymia osada. Czternastu zdecydowanych na wszystko napastników leżało na płask za ściętymi drzewami, zadzierając brody, aby spoglądać na ruch w tej osadzie, która, rzekłbyś, ciągnęła się w górę rzeki całymi milami i roila się od tysięcy gniewnych ludzi. Nikt z bandy nie odzywał się ani słowem. Od czasu do czasu słyszeli głośny krzyk lub też pojedynczy strzał gdzieś bardzo daleko. Lecz naokoło ich pozycji panował spokój, mrok, cisza. Zdawało się, że o nich zapomniano, jakby podniecenie, trzymające całą ludność na nogach, nie miało z nimi nic wspólnego, jakby już byli nieżywi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wszystkie wypadki tej nocy mają wielką wagę, ponieważ wytworzyły sytuację, która się nie zmieniła aż do powrotu Jima. Jim bawił w głębi ładu przeszło tydzień i pierwsze zarządzenia obronne zostały wydane przez Daina Warisa. Ten odważny i inteligentny młodzieniec („który umiał walczyć tak jak biali”) chciał zlikwidować natychmiast najście rabusiów, ale trudno mu było dać sobie radę ze swymi rodakami. Nie miał rasowej wyższości Jima; nie słynął z niezwykłej, nadnaturalnej siły. Nie był widzialnym, dotykającym wcieleniem niezawodnej prawości i niezawodnego zwycięstwa. Choć go kochano i podziwiano, choć mu wszyscy ufali, był jednak jednym z *nich*, podczas gdy Jim był jednym z *nas*. Co więcej, biały — stanowiący już sam przez się potężną siłę — nie podlegał zranieniu, gdy tymczasem Daina Warisa można było zabić. Te ukryte myśli powodowały dostojnikami, którzy postanowili zebrać się w forcie Jima dla zastanowienia się nad sytuacją, jakby się spodziewali znaleźć mądrość i odwagę w domu białego człowieka, choćby nieobecnego. Strzały napastników były na tyle pomyślne czy szczęśliwe, że dosięgły tylko sześciu ludzi spośród obrońców. Ranni leżeli na werandzie, dogładani przez swoje niewiasty; kobiety i dzieci z niższej części osady zostały wysłane do fortu za pierwszym alarmem. „Klejnot” — dziewczyna rządziła tam, bardzo dzielna i odważna; słuchali jej ślepo „właśni ludzie” Jima, którzy opuścili swą małą wioseczkę pod ostrokołem i przenieśli się do fortu, aby stanować jego załogę. Uciekinierzy tłoczyli się naokoło dziewczyny, która przez cały ten czas, aż do końcowej katastrofy, wykazała niezwykle zapal wojenny. Dain Waris zwrócił się do niej od razu, przy pierwszej wieści o niebezpieczeństwie, gdyż trzeba wiedzieć, że Jim był w Patusanie jedynym człowiekiem posiadającym zapas prochu. Stein, z którym utrzymywał zażyłe listowne stosunki, wyjednał u holenderskiego rządu specjalne pozwolenie na wywóz pięciuset baryłek prochu do Patusanu. Prochownia znajdowała się w niewielkiej chatce z nieobrobionych kłód, pokrytej całkowicie ziemią, a klucz od niej w razie nieobecności Jima był zawsze u dziewczyny.

Podczas obrad, ciągnących się do jedenastej wieczór w jadalni Jima, dziewczyna poparła Daina, który chciał rozpocząć natychmiast energiczną akcję. Opowiadano mi, że oparła się o puste krzesło Jima, stojące na pierwszym miejscu przy długim stole, i wygłosiła namiętną mowę wojenną, co wywołało pochlebny szmer wśród zgromadzonej starszyny. Doramina — który przeszło rok nie ukazywał się poza bramą swego ostrokołu — przyniesiono z wielkim trudem. Był oczywiście pierwszym mężem w tym zgromadzeniu. Nastroj obrad odznaczał się wojowniczą zaciekłością i słowo wypowiedziane przez starego wodza byłoby rozstrzygające; w moim przekonaniu, Doramin nie śmiał wymówić tego słowa, zdając sobie dokładnie sprawę z niepohamowanej odwagi swego syna. Przeważało zdanie, aby trwać w postawie wyczekującej. Niejaki Hadzi Saman dowodził w bardzo długiej przemowie, że „tych dzikich tyranów czeka niechybna śmierć w każdym razie. Albo będą się trzymali kopca i umrą z głodu, albo spróbują dotrzeć do swej łódki i zostaną zabici z zasadzek po drugiej stronie zatoczki — a jeśli się przedrą i uciekną do lasu, wyginą tam pojedynczo”. Hadzi Saman dowodził dalej, że przez użycie odpowiednich wojennych podstępów będzie można wytepić tych złych cudzoziemców bez narażania się na bitwę, a słowa jego zyskały wielki posłuch, szczególnie u mieszkańców samej osady, których zbiła z tropu bierność łódek Tunku Allanga w chwili decydującej.

W czasie obrad przedstawicielem rady był Kassim, biegły w dyplomacji. Mówił bardzo mało, słuchał z uśmiechem, bardzo uprzejmy i nieprzenikniony. Podczas posiedzenia prawie co kilka minut przybywali gońcy z raportem o poczynaniach najeźdźców. Krążyły bezsensowne i przesadzone pogłoski: przy ujściu rzeki znajdował się jakoby ogromny okręt z wielkimi armatami i liczną załogą składającą się z białych, a także i czarnoskórych o bardzo krwiożerczym wyglądzie. Opowiadano, że płyną już rzeką na licznych łodziach, aby wytepić wszystko, co żyje. Poczucie bliskiego, tajemniczego niebezpieczeństwa przejmowało pospólstwo. W pewnej chwili powstała panika wśród kobiet na dziedzińcu; obradujący usłyszeli krzyki, bieganinę, płacz dzieci; Hadzi Saman wyszedł, aby zaprowadzić spokój. Innym znów razem placówka wartująca przy forcie strzeliła do czegoś, co płynęło rzeką, i omal nie zabiła wieśniaka, który wioził w czólnie swoje kobiety, najlepsze z domowych sprzętów i dwanaście sztuk drobiu. To zajście powiększyło jeszcze zamęt. Tymczasem narady ciągnęły się w domu Jima, a dziewczyna im się przysłuchiwała. Ocię-

żały Doramin o dzikim obliczu siedział, spoglądając kolejno na mówców i dysząc powoli jak byk. Zabrał głos dopiero na ostatku, gdy Kassim oświadczył, że łódki radzy zostaną odwołane, gdyż potrzebni mu są ludzie, aby bronić ostrokołu władcy. Dain Waris nie chciał wyjawiać swego zdania w obecności ojca, choć dziewczyna zaklinała go na imię Jima, żeby się wypowiedział. Pragnęła tak bardzo, aby wyparto od razu intruzów, iż chciała dać Dainowi ludzi Jima. Ale Dain potrząsnął tylko głową, spojrzawszy parę razy na Doramina.

Narady dobiegły wreszcie końca; postanowiono obsadzić silnie domy położone najbliżej zatoki dla strzeżenia nieprzyjacielskiej łodzi, ale ruszać jej nie zamierzano, aby mogła służyć do ucieczki rozbójnikom, a wtedy otworzy się na nich ogień i bez wątpienia większość polegnie. Chcąc odciąć niedobitkom ucieczkę i nie dopuścić do Patusanu rabusiów pozostałych na morzu, Doramin rozkazał Dainowi Warisowi udać się ze zbrojnym oddziałem Bugisów w dół rzeki — do miejsca położonego dziesięć mil od Patusanu — rozłożyć się tam zbrojnym obozem na wybrzeżu i zablokować rzekę czółnami. Jestem zupełnie pewien, że Doramin nie obawiał się wcale przybycia nowych sił napastniczych. Jestem pewien, że jego postępowanie miało jeden jedyny cel: osłonić syna przed niebezpieczeństwem.

Aby uniemożliwić napad na osadę, miano rozpocząć o świcie budowę ostrokołu na lewym brzegu, u końca ulicy. Stary *nakhoda* oświadczył, że zamierza objąć tam osobiście dowództwo. Rozdzielono natychmiast między ludzi proch, kule i zapalniki według wskazówek „Klejnotu”. Zapadło postanowienie, że się wyśle po Jima kilku gońców w różnych kierunkach, bo nie wiedzano dokładnie, gdzie go szukać. Ludzie ci wyruszyli o świcie, lecz Kassim zdołał już przedtem nawiązać kontakt z obłączonym Brownem.

Ów znakomity dyplomata i zausznik radzy, opuszczając fort, aby się udać do swego pana, zabrał do łódki Corneliusa, którego napotkał snującego się chyłkiem, milczkiem wśród ludzi na dziedzińcu. Kassim miał swój własny plan i potrzebował Corneliusa na tłumacza. I oto stało się, że Brown, rozpamiętujący nad ranem swe rozpaczliwe położenie, usłyszał głos od strony gąszczy w bagnistej dolince; ten głos, przyjazny, drżący, wytężony, krzyczał — po angielsku — domagając się dostępu na kopiec z bardzo ważnym zleceniem, pod słowem, że nic złego gońca nie spotka. Brown był uszczęśliwiony. Jeśli się do niego zwracano, przestawał być dzikim zwierzem, na którego się poluje. Te przyjazne słowa zdjęły od razu brzemię straszliwie napiętej czujności z ludzi Browna, którzy byli w położeniu ślepców, nie wiedzących, skąd śmiertelny cios ich dosięgnie. Brown udał, iż się odnosi bardzo niechętnie do propozycji. Głos oznajmił, że to „mówi biały, biedny, zrujnowany starzec, który tu mieszka od lat”. Mgła mokra i chłodna leżała na stokach wzgórze. Zamienili z sobą jeszcze kilka zdań, krzyżąc donośnie, po czym Brown zawołał:

— Więc niech pan przyjdzie, ale tylko sam jeden, słyszy pan! — W gruncie rzeczy — opowiadał mi, skręcając się z wściekłości na wspomnienie swej niemocy — to nie miało żadnego znaczenia. Można było coś dostrzec tylko na odległość paru jardów i żadna zdrada nie pogorszyłaby ich położenia. Wkrótce ukazał im się we mgle Cornelius, bosy, odziany w swój codzienny strój: podartą białą koszulę, spodnie i korkowy kask o połamanym rondzie; sunął bokiem w górę ku zasiekom, przy czym wahał się i zatrzymywał, aby nasłuchiwać w czujnej postawie.

— Niech pan się zbliży! Nic się panu nie stanie — wrzasnął Brown, a jego ludzie gapili się na Corneliusa.

Wszystkie ich nadzieje ześrodkowały się nagle na tym obszarpanym, nędznym przybyszu, który w głębokim milczeniu przelazł niezgrabnie przez ścięte drzewo i spoglądał, trzęsąc się, z miną markotną i podejrzliwą na grupkę brodatych, zgryzionych, niewyspanych zabijaków.

Pół godziny poufnej rozmowy z Corneliusem otworzyło oczy Brownowi na wewnętrzne stosunki w Patusanie. Ciekawość jego została natychmiast pobudzona. Były tu możliwości, olbrzymie możliwości; ale zażądał, aby przed rozpoczęciem rozmów na temat poruszony przez Corneliusa przysłano mu trochę żywności w dowód zaufania. Metys odszedł, pełną niemrawo po stoku zwróconym do rezydencji radzy, a po pewnym czasie kilku ludzi Tunku Allanga zjawiono się na górze ze skąpym zapasem ryżu, przypraw korzennych i suszonych ryb. Ale o wiele lepiej było dostać mało niż nic. Potem Cor-

nelius powrócił w towarzystwie Kassima, który stąpił z miną pełną pogodnej ufności, obuty w sandały i zawinięty od stóp do głów w granatową tkaninę. Podał rękę Brownowi dyskretnym ruchem i wszyscy trzej odeszli na bok, aby się naradzić. Ludzie Browna odzyskiwali pewność siebie, grzmocili się nawzajem po plecach i rzucali porozumiewawcze spojrzenia na swego kapitana, zabierając się do gotowania posiłku.

Kassim nie cierpiał Doramina i jego Bugisów, ale jeszcze bardziej nienawidził nowego porządku rzeczy. Przyszło mu na myśl, że ci biali, razem z poplecznikami rady, mogliby napasać i rozgromić Bugisów przed powrotem Jima. Potem — rozumował — nastąpiłoby odstępstwo wszystkich prawie mieszkańców osady i skończyłyby się rządy białego, który brał biednych ludzi w opiekę. Z kolei można by było się zabrać do nowych sprzymierzeńców. Nie zdobędą sobie przyjaciół. Kassim umiał doskonale poznać się na różnicy charakterów i widywał ongi dość wielu białych ludzi, więc też zdawał sobie sprawę, że ci nowo przybyli są wyrzutkami społeczeństwa, ludźmi bez ojczyzny. Brown wciąż zachowywał postawę surową i nieprzeniknioną. Kiedy usłyszał po raz pierwszy głos Corneliusa domagający się przyjęcia, błysnęła mu po prostu nadzieja, że otworzy się jakaś szpara, przez którą będzie mógł się przecisnąć i uciec. W niespełną godzinę później wrzało mu w głowie od innych już myśli. Nagłony koniecznością, przybył tu, aby ukraść zapas żywności, kilka ton kauczuku albo gumy, może garść dolarów — i uwikłał się w śmiertelne niebezpieczeństwo. A teraz, na skutek propozycji Kassima, zaczął myśleć o ukradzeniu całego kraju. Jakiś, psiakrew, drab dokonał już widać czegoś podobnego — i to samopas w dodatku. Na pewno nie zdołał dokładnie tego przeprowadzić. Może dałoby się z nim razem pracować, wycisnąć wszystko, co będzie można, a potem wynieść się po cichu. Podczas układów z Kassimem Brown zdał sobie sprawę, iż krajowcy są przekonani, że on, Brown, zostawił przy ujściu rzeki wielki statek pełen ludzi. Kassim prosił go usilnie, aby sprowadził bezzwłocznie ten wielki okręt z wielu armatami i liczną załogą — i oddał go na usługi rady. Brown oświadczył, że zrobi to chętnie, i na tej podstawie układy ciągnęły się ze wzajemną podejrzliwością. Trzy razy w ciągu ranka ugrzeczniony i ruchliwy Kassim schodził do ostrokołu, po czym wracał zaaferowany, stawiając wielkie kroki. Podczas tych targów Brown czuł posępną radość na myśl o swym nędznym szkunerze, który uchodził za uzbrojony okręt, a miał tylko kupę śmieci za cały ładunek, na pokładzie zaś — zamiast licznej załogi — Chińczyka i kuternogę, nadbrzeżnego łazika z Lewuki. Po południu Brown uzyskał nową porcję żywności, obietnicę pieniędzy i zapas mat na szalasy. Ludzie jego położyli się i chrapali, zasłonięci przed palącym żarem, a on sam siedział w pełnym słońcu na jednym ze ściętych drzew, pasąc oczy widokiem osady i rzeki. Dużo tam było łupu. Cornelius, który czuł się już w obozie Browna jak u siebie, rozprawił u jego boku, wskazywał mu poszczególne części osady, udzielał rad i opisywał po swojemu Jima oraz wypadki ostatnich trzech lat. Brown patrzył w dal z pozorną obojętnością, lecz słuchał uważnie każdego słowa, nie mogąc zdać sobie sprawy, jakiego rodzaju człowiekiem jest ten Jim.

— Jak on się nazywa? Jim! Jim! To nie jest żadne nazwisko.

— Nazywają go tutaj — rzekł Cornelius z pogardą — tuanem Jimem. To jakby się mówiło: lord Jim.

— Czym on jest? Skąd on pochodzi? — wypytywał Brown. — Co to za rodzaj człowieka? Czy to Anglik?

— Tak, tak, to Anglik. Ja jestem także Anglikiem. Z Malakki. To dureń. Pozostaje panu tylko go zabić, a wtedy będzie pan królem. Wszystko tu do niego należy — wyjaśniał Cornelius.

— Coś mi się zdaje, że będzie musiał wkrótce z kimś się podzielić — rzekł Brown półgłosem.

— Nie, nie. Jedyna rada to zabić go przy pierwszej sposobności, a wtedy zrobi pan, co się panu spodoba — nalegał gorliwie Cornelius. — Mieszkam tu od wielu lat i radzę panu jak przyjaciel.

Ludzie Browna wypoczywali, a on sam spędził większą część popołudnia na gawędzie i rozkoszował się widokiem Patusanu, który — jak postanowił — miał się stać jego zdobyczą. Tegoż dnia flota Daina Warisa, złożona z czóten, przekradła się pojedynczo wzdłuż brzegu jak najdalej od zatoczki i wyruszyła w dół rzeki, aby odciąć Brownowi odwrót. Brown nic o tym nie wiedział, a Kassim, który wspiął się na kopiec dwie godzi-

ny przed zachodem, ani myślał go o tym powiadomić. Chciał, aby statek białego ruszył w górę rzeki, i obawiał się, że ta wiadomość będzie zniechęcająca. Naglił Browna o wysłanie „rozkazu”, proponując mu jednocześnie zaufanego gońca, który (dla utrzymania całej sprawy w tajemnicy, jak wyjaśnił) uda się łodem do ujścia rzeki i zanieś „rozkaz” na statek. Zastanowiwszy się nieco, Brown uznał za wskazane wyrzucić kartkę z notesu i napisać na niej po prostu: „Idzie nam dobrze. Gruby interes. Zatrzymajcie tego człowieka”. Tępy młodzian, wybrany przez Kassima na posłańca, wykonał wiernie zlecenie, a w nagrodę został wrzucony głową na dół do pustego wnętrza statku przez byłego włóczęgę i Chińczyka, którzy następnie pospieżyli zamknąć luki. Brown nie opowiedział mi, co się z nim później stało.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Chcąc zyskać na czasie, Brown udawał, że bierze poważnie dyplomatyczne zabiegi Kassima. Nie mógł się powstrzymać od myśli, iż aby istotnie czegoś dopiąć, należy związać się z białym. Nie wyobrażał sobie, żeby ten człowiek, który w gruncie rzeczy musi być piekielnie sprytny, jeśli zdołał tak krajowców ujeździć, żeby taki człowiek odrzucił pomoc, która by położyła koniec przewlekłym, ostrożnym, ryzykownym matactwom, narzucającym się jako jedyny sposób postępowania człowiekowi idącemu samopas. On, Brown, wsparłby go skutecznie. Nie odrzuca się takiej propozycji. Wszystko polegało na dojściu do porozumienia. Będą się naturalnie dzielili. Podniecała Browna myśl o forcie, o prawdziwym forcie z artylerią (wiedział o nim od Corneliusa), który był tam gotów, pod ręką. Byle tylko do niego się dostać, a wówczas... Postawił skromne warunki. Jednak nie za nadto niskie. Zdaje się, że ten człowiek głupi nie jest. Będą pracowali jak bracia, póki... póki nie przyjdzie czas na kłótnię i strzał, który załatwi wszystkie porachunki. Ogarnięty dziką żądzą grabieży, Brown nie mógł się doczekać rozmowy z tym człowiekiem. Zdawało mu się, że kraj jest już w jego władzy, że może go rozszarpać, wycisnąć i odrzucić precz. Tymczasem trzeba tumanić Kassima nie tylko ze względu na żywność, ale i po to, żeby sobie zostawić jeszcze jedno wyjście. Lecz główną rzeczą było uzyskanie żywności z dnia na dzień. Poza tym Brown nie odrzucał wcale myśli o walce na rzecz radzy, o udzieleniu nauki tym ludziom, którzy przyjęli go strzałami. Owładnęła nim dzika żądza walki.

Żałuję, że nie umiem panu zacytować słów, jakimi Brown mi to wszystko opisywał, bo naturalnie dowiedziałem się o tym głównie od Browna. W urywanych, gwałtownych zdaniach tego człowieka, który odsłaniał mi swe myśli, w chwili gdy ręka śmierci zaciskała mu się na gardle, było otwarte, bezwzględne dążenie do celu, dziwna, mściwa postawa w stosunku do własnej przeszłości i ślepa wiara w słuszność swoich zamierzeń, zwracających się przeciwko wszystkim ludziom; coś w rodzaju uczucia, które skłoniło wodza hordy wędrownych zbójów do mianowania siebie z pychą Biczem Bożym¹⁵³. Nie ulega wątpliwości, że wrodzona, bezmyślna dzikość, która jest podłożem takich charakterów, była w tym wypadku rozjątrzona przez szereg niepowodzeń, a ostatnio głód, niewygody i rozpaczliwą sytuację, w jakiej się Brown znalazł; ale co najciekawsze, Brown, który obmyślał zdradliwe przymierza, przesądzał już w myśli los białego i wchodził w konszachty z Kassimem, traktując go wyniośle i niedbale; jednocześnie pragnął przede wszystkim (zdradzał się z tym mimo woli), prawie wbrew samemu sobie, splądrować to osiedle wśród dżungli, które mu rzuciło wyzwanie, i ujrzyć je w płomieniach, zasłane trupami. Słuchając bezlitosnego, dyszącego głosu Browna, wyobrażałem sobie, jak spoglądał z kopca na osadę, zapełniając ją obrazami mordów i lupiestw. Część położona najbliżej zatoczki wyglądała na opustoszałą, choć w gruncie rzeczy każdy dom ukrywał kilku zbrojnych ludzi, trzymających się w pogotowiu. Nagle za przestrzenią nieuprawnych gruntów, usianych niewielkimi plamami niskiego, zwartego gąszczu, rowami i stosami śmieci, wśród których snuły się wydeptane ścieżki, samotny człowiek, bardzo drobny z tej odległości, wyszedł powoli na opustoszały wylot ulicy, między zamknięte, ciemne, zamarłe budynki. Był to może ktoś tutejszy, kto przedostał się na drugi brzeg rzeki, a teraz wrócił po jakiś domowy sprzęt. Uważał się widać za zupełnie bezpiecznego w tej odległości od kopca, po drugiej stronie zatoczki. Tuż przy zakręcie ulicy, za lekkim ostrokołem zbudowanym

Śmierć

¹⁵³*Bicz Boży* — przydomek, jaki Rzymianie nadali wodzowi Hunów Attyli (zm. 453), twórcy imperium, najgroźniejszemu z przeciwników cesarstwa rzymskiego swojej epoki. [przypis edytorski]

naprędcie, pełno było jego przyjaciół. Szedł z wolna naprzód. Brown go zobaczył i wezwał natychmiast Jankesa dezertera, który odgrywał rolę jak gdyby adiutanta. Chudy, wysoki drab o elastycznych ruchach i twarzy bez wyrazu zbliżył się, ciągnąc za sobą leniwie strzelbę. Kiedy usłyszał, o co chodzi, pokazał zęby w krwiożerczym, zarozumiałym uśmiechu, który wyzłobił dwie głębokie, podłużne bruzdy w bladych, jakby skórzanych policzkach. Pysznił się zawsze celnością swych strzałów. Przyklęknął na jedno kolano, oparł strzelbę na ściętym pniu, wycelował do tego człowieka poprzez gałęzie, strzelił i wstał natychmiast, aby zobaczyć, co się stało. Krajowiec w oddali obejrzał się na odgłos wystrzału, uczynił krok naprzód jakby z wahaniem i zwałił się nagle na ręce i kolana. W ciszy, która zapadła po ostrym huku strzelby, niezawodny strzelec, utkwivszy oczy w swej zdobyczy, uświadomił sobie, że „zdrowie tego tchórze nie sprawi już nigdy niepokoju jego przyjaciołom”. Widać było, jak ręce i nogi rannego poruszają się szybko, co robiło wrażenie, że usiłuje biec na czworakach. W pustej przestrzeni rozległ się zbiorowy okrzyk zdumienia i grozy. Ranny człowiek opadł twarzą do ziemi i znieruchomiał.

— Pokazało im to, do czego jesteśmy zdolni — rzekł do mnie Brown. — Padł na nich strach przed niespodziewaną śmiercią. Tegośmy właśnie chcieli. Było ich dwustu na jednego z nas; dałem im temat do rozmyślań w ciągu nocy. Żaden z nich nie miał dotąd pojęcia, że strzał może sięgnąć tak daleko. Tamten łajdak od radzy podyrdał na dół, a oczy wyłaziły mu z głowy. — Mówiąc to, Brown usiłował otrzeć trzęsącą się ręką odrobinę piany z posiniałych ust. — Dwustu na jednego... napędziłem im strachu... strachu... i jakiego jeszcze, mówię panu... — I jemu także oczy wyszły na wierzch. Opadł w tył, jakby drapiąc powietrze kościstymi palcami, dźwignął się z powrotem, zgięty i włochaty, i wpatrzył się we mnie z ukosa niby wilkołak z podań ludowych, dysząc z otwartymi ustami w okropnej męce, zanim odzyskał mowę po tym ataku. Są widoki, których się nigdy nie zapomina.

Potem aby przyciągnąć nieprzyjacielski ogień i przekonać się, gdzie są rozmieszczone oddziały, kryjące się prawdopodobnie w zaroślach wzdłuż zatoczki, Brown rozkazał dziękemu z Wysp Salomona, aby zeszedł w dół do łodzi i przyniósł wiosło — tak jak się każe skakać wyżłowi po kij do wody. Podstęp się nie udał; wypiarz wrócił, nie strzelono do niego ani razu.

— Nie ma tam nikogo — twierdzili niektórzy z ludzi Browna.

— To nie jest naturalne — zauważył Jankes.

Kassima już wówczas nie było; odszedł, wstrząśnięty zabójstwem, a jednocześnie zadowolony i trochę niespokojny. Trzymając się w dalszym ciągu krętej polityki, wysłał gońca do Daina Warisa, przestrzegając go, aby wypatrywał okrętu białych, który to okręt — według odebranej wiadomości — miał ruszyć w górę rzeki. Pomniejszał wielkość statku i wzywał Daina, aby zapobiegł jego przejazdowi. Ta dwulicowość sprzyjała zamiarom Kassima, który chciał utrzymać rozdział sił bugiskich i osłabić je przez walkę. Z drugiej zaś strony, wysłał w ciągu dnia parę słów do starszyny bugiskiej zebranej w mieście, zapewniając, że usiłuje nakłonić napastników do odwrotu; jego gońcy zaś, slani do fortu, domagali się usilnie prochu dla ludzi radży. Już od niepamiętnych czasów Tunku Allang nie miał naboji do dwudziestu mniej więcej starych muszkietów, które rdzewiały w stojaku na sali przyjęć. Jawne stosunki, nawiązane między wzgórzem a pałacem, wytrąciły wszystkich z równowagi. Zaczęto mówić, że przyszedł już czas, aby zająć jakieś stanowisko. Wkrótce krew się poleje obficie i wielkie troski wynikną stąd dla wielu ludzi. Zdawało się owego wieczoru, że to życie społeczne, uregulowane i spokojne, w którym każdy człowiek był pewien swego jutra — że ten gmach wzniesiony rękami Jima gotów rozpaść się każdej chwili w ociekające krwią gruzy. Biedniejsza ludność zaczynała już się wymykać do lasu lub uciekać w górę rzeki. Wielu dostojników uznało za potrzebne udać się do radży i złożyć mu swą czolobitność. Młodszy spośród dworzan potracali ich brutalnie. Stary Tunku Allang, prawie oszalały ze strachu i niezdycydowania, zachowywał zgryźliwe milczenie albo beształ gwałtownie dostojników za to, że osmielają się pokazywać z pustymi rękami; odchodzili w wielkiej trwodze. Tylko stary Doramin skupiał koło siebie rodaków i trzymał się nieugięcie swej metody postępowania. Siedząc majestatycznie na wielkim krześle za wzniesionym naprędcie ostrokołem, wydawał rozkazy dudniącym, nieco ochrypłym basem, niewzruszony wśród obiegających pogłosek jak człowiek głuchy.

Zapadał zmierzch; skrył najpierw zwłoki zabitego, które leżały z rozpostartymi ramionami, jakby przygwożdżone do ziemi; potem obracające się sklepienie nocy przetoczyło się gładko nad Patusan i znieruchomiło, sypiąc na ziemię migot niezliczonych światów. W zagrożonej części miasta wielkie ogniska rozbłysły znowu wzdłuż jedynej ulicy; w ich blasku rysowały się gdzieś spadziste, proste linie dachów, niewyraźne fragmenty plecionych ścian, niekiedy cała chata wzniesiona na czarnych, pionowych pręgach wysokich pali; a cały ten szereg budynków, oświetlony miejscami przez chwiejne płomienie, zdawał się sunąć kręto wśród pełgającego blasku w górę rzeki, zanurzać się w mrok, w samo serce ładu. Wielka cisza, wśród której luno szeregu ognisk igrały bezgłośnie, rozpościerała się w mroku aż do stóp pagórka; lecz drugi brzeg, cały ciemny poza samotnym ogniskiem palącym się na wprost fortu nad rzeką, siał w powietrze potężniejące wciąż drganie, które brzmiało jak kroki stąpającego tłumu, gwar licznych głosów lub niezmiernie daleki szum wodospadu.

Brown wyznał mi, że właśnie w owej chwili, gdy siedział zwrócony tyłem do swej bandy, patrząc na to wszystko, że właśnie wówczas — wbrew swej pogardzie dla ludzi i bezwzględnej wierze w samego siebie — doznał uczucia, iż w końcu uderzył głową o mur z kamienia. Gdyby jego łódź leżała wówczas na wodzie, byłby się pewno starał wymknąć cichaczem, ryzykując długi pościg po rzece i śmierć głodową na morzu. Bardzo jest wątpliwe, czyby mu się udało uciec. Jednak nie zdecydował się na to. Potem błysnęła mu myśl, aby zdobyć szturmem miasto, ale rozumiał bardzo dobrze, że jego oddział znalazłby się w końcu na oświetlonej ulicy, gdzie by ich wybito jak psy co do nogi, strzelając z domostw. Tych krajowców było przecież dwustu na jednego, rozmyślał; a tymczasem jego ludzie, stłoczeni naokoło dwóch stosów tłącego się żaru, jedli resztę bananów i piekli trochę jadalnych korzeni, które zawdzięczali dyplomacji Kassima. Cornelius siedział wśród u nich, podrzemując markotnie.

Jeden z białych przypomniał sobie nagle, że zostawili w łodzi trochę tytoniu; zachęcany bezkarnością wyspiarza, oświadczył, iż zejdzie po ten tytoń. Na to wszyscy otrząsnęli się z przygnębienia. Zapytano o pozwolenie Browna, który rzekł pogardliwie.

— Idź na złamanie karku.

Nie sądził, aby zejście do zatoki po ciemku było niebezpieczne. Marynarz przerzucił nogę przez pień i zniknął. Po chwili usłyszeli, że się wdrapuje do łodzi i że z niej wyłazi.

— Mam go! — krzyknął. Wtem u stóp kopca błysnął i huknął strzał. — Jestem ranny! — wrzasnął marynarz. — Słyszycie, słyszycie, jestem ranny!

W mig wypaliły wszystkie strzelby. Wzgórze tryskało ogniem i hukiem jak mały wulkan, a gdy Brown z Jankesem wstrzymali paniczną strzelaninę za pomocą przekleństw i szturchańców, od zatoki przyplłynął głęboki, zbolący jęk, a potem skarga, której rozdzierający smutek był jak trucizna mroząca krew w żyłach. Nagle gdzieś z drugiej strony zatoki rozległ się silny głos, który wyrzekł kilka słów wyraźnych i niezrozumiałych.

— Nie strzelać! — krzyknął Brown. — Co to znaczy?

— Czy słyszycie, wy tam na wzgórzu? Czy słyszycie? Czy słyszycie? — powtórzył głos po trzykroć.

Cornelius przetłumaczył to i naglił do odpowiedzi.

— Mów — krzyknął Brown — słuchamy.

Wówczas głos, przemawiając dźwięcznym, donośnym tonem herolda i krążąc wciąż po skraju majającego ugoru, oświadczył, że między mężami bugiskiego ludu zamieszkującego Patusan a białymi ludźmi na wzgórzu i ich sprzymierzeńcami nie ma zaufania ani współczucia, ani porozumienia, ani pokoju. Zaszleścił krzak; rozległa się salwa na chybił trafił.

— Brednie, psiakrew — mruknął ze złością Jankeś, opuszczając kolbę na ziemię. Cornelius tłumaczył.

— Zabierzcie mnie! Zabierzcie mnie! — krzyknął ranny pod wzgórkim, skarżąc się i jęcząc. Póki schodził po szerniałej ziemi kopca, a potem przykucnął w łodzi, był mniej więcej bezpieczny. Prawdopodobnie stracił głowę z radości, znalazłszy tytoń, i wyskoczył z drugiej strony łodzi. Zarysował się wówczas wyraźnie na tle białej burty sterczącej wysoko; zatoczka miała w tym miejscu najwyżej siedem jardów szerokości i zdarzyło się, że po drugiej stronie ukrywał się w gąszczu człowiek.

Był to Bugis z Tondano przybyły niedawno do Patusanu, krewny człowieka zastrzelonego po południu. Sławetny długi strzał Jankesa istotnie wszystkich przeraził. Człowiek został ugodzony wśród zupełnego bezpieczeństwa, w oczach swych przyjaciół, i padł z żartem na ustach. Jego ziomkowie uznali to za czyn okrutny; ogarnęła ich gorycz i wściekłość. Krewny zabitego, Si-Lapa, znajdował się wówczas wewnątrz ostrokołu przy Doraminie, oddalony od miejsca wypadku zaledwie o kilka stóp. Zgodzi się pan ze mną, znając tych ludzi, że Si-Lapa okazał wyjątkową odwagę, ofiarowując się na posła, gdyż musiał wykonać zlecenie sam, wśród ciemności. Pełznąć po otwartej przestrzeni, zboczył na lewo i znalazł się naprzeciw łódki. Zaskoczyły go krzyki bandy Brownowskiej. Usiadł, przyłożył strzelbę do ramienia, a gdy biały wyskoczył z łodzi, wystawiając się na strzał, Si-Lapa pociągnął za kurek; ulokował trzy ponacinane loftki¹⁵⁴ w żołądku nieprzyjaciela i padł natychmiast na twarz, jak przystało na trupa. Drobny grad ołowiu zaszeleścił, siekąc krzaki na prawo tuż koło niego. Zaraz potem Si-Lapa wygłosił donośnie swą przemowę, zgięty wpół, klucząc wśród gąszczu. Z ostatnim słowem uskoczył w bok, leżał nieruchomo przez chwilę i wreszcie dotarł zdrów i cały do częstokołu, zdobywszy owej nocy sławę, która nie przebrzmi, ponieważ dzieci jego nie pozwolą, aby przebrzmiała.

A tymczasem nieszczęsna banda na kopcu siedziała ze zwieszonymi głowami naokoło dwóch małych kup żaru, którym pozwoliła wygasnąć. Wszyscy zacisnęli usta w zgnębieniu, spuścili oczy i przysłuchiwali się towarzyszowi tam w dole. Był to silny chłop i borykał się ciężko ze śmiercią; jego jęki rozlegały się głośno lub przechodziły w dziwny, poufny szept bólu. Krzyczał od czasu do czasu, to znów po dłuższej chwili milczenia mamrotał nieprzytomnie długą i niezrozumiałą skargę. Nie było temu końca.

— I po co? — rzekł Brown niewzruszenie, gdy Jankes, klnąc po cichu, gotował się do zejścia.

— Racja — przyznał dezterter, odstępując niechętnie od swego zamiaru. — Pocieszenie rannych jest tu nie na miejscu. Tylko że, panie kapitanie, jego krzyki mogą sprawić, że wszyscy inni będą za dużo myśleli o tym, co może nastąpić.

— Wody! — krzyknął ranny niezwykle wyraźnym, silnym głosem i jęcząc cicho, stracił przytomność.

— Aha, wody. Woda to mu da radę — mruknął pod nosem Jankes z rezygnacją. — Wkrótce będzie jej miał do syta. Przyплыw się zbliża.

Wreszcie przypływ uciszył skargi i krzyki bólu, a świt był już za pasem, gdy Brown, siedząc z brodą opartą na dłoni na wprost Patusanu, jak przed niedostępnym zboczem góry, usłyszał krótki, dźwięczny szcęk mosiężnej sześciofuntowej armatki gdzieś daleko w osadzie.

— Co to takiego? — zapytał Corneliusa, który się snuł w pobliżu.

Cornelius nasłuchiwał. Zgluszony, lecz potężny okrzyk potoczył się rzeką na miasto; wielki bęben zaczął dudnić, inne mu odpowiedziały monotonną wibracją. Drobne, rozproszone światełka jęły migotać w mrocznej połowie osady, a część oświetlona przez luno ognisk brzęczała głębokim, przeciągłym rozgwarem.

— Wrócił — rzekł Cornelius.

— Co? Już? Czy pan jest pewien? — spytał Brown.

— Tak, tak! Jestem pewien. Niech pan posłucha, jaki tam rwetes.

— Dlaczego oni tak się drą? — ciągnął Brown.

— Z radości — zgrzytnął Cornelius — on jest bardzo wielkim człowiekiem, ale mimo to nie ma więcej oleju w głowie niż dziecko; wyprawiają wielki harmider, żeby mu się przypodobać, bo ich nie stać na nic innego.

— Słuchaj no pan — rzekł Brown — jak się dobrać do niego?

— Przyjdzie się z panem rozmówić — oświadczył Cornelius.

— Co też pan mówi? Przyjdzie tu, niby tak, spacerkiem?

Cornelius skinął energicznie głową w ciemności.

— Tak. Przyjdzie wprost tutaj i będzie z panem mówił. On jest zupełnie jak niespełna rozum Pan się przekona, co z niego za dureń.

Brown nie chciał temu wierzyć.

¹⁵⁴loftka — gruby śrut do broni gładkolufowej. [przypis edytorski]

— Przekona się pan — powtórzył Cornelius. — On się nie boi niczego, niczego. Przyjdzie tu i rozkaże, żeby pan zostawił jego lud w spokoju. Wszyscy muszą zostawić jego lud w spokoju. On jest jak małe dziecko. Przyjdzie tu wprost do pana.

Niestety! ten nędzny tchórz, jak go Brown nazywał, znał dobrze Jima.

— Tak, przyjdzie z całą pewnością — ciągnął zapalczywie Cornelius — a wtedy, kapitanie, każe pan temu wysokiemu mężczyźnie z fuzją, żeby go zastrzelił. Po prostu każe go pan zabić, a wówczas tak się wszyscy przerażą, że będzie pan mógł zrobić z nimi, co się panu żywnie spodoba, dostać, co pan zapagnie, odejść, kiedy pan zechce. Cha, cha, cha! To będzie wspaniałe!... — Nieomal tańczył z niecierpliwości i zapału, a Brown, spoglądając na niego przez ramię, widział w bezlitosnym świetle swych ludzi przemokłych od rosy, siedzących wśród zimnych popiołów i śmieci, wynędzniałych, przelękłych, okrytych lachmanami.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Ogniska na zachodnim brzegu gorzały płomieniem aż do ostatniej chwili, kiedy jasny dzień zjawił się jednym skokiem; a wówczas Brown ujrzał w grupie barwnych postaci, stojących nieruchomo wśród najbliższych domów, człowieka w białym europejskim ubraniu i korkowym hełmie.

— To on! Widzi pan, widzi pan? — zawołał podniecony Cornelius.

Wszyscy ludzie Browna zerwali się i stłoczyli za jego plecami, patrząc tępych wzrokiem. Grupa barwnych postaci o ciemnych obliczach, z białą odzianym człowiekiem pośrodku, obserwowała kopiec. Brown widział, jak się nagie ramiona podnosiły, ocieniając oczy, jak inne brunatne ramiona coś wskazywały. Co miał począć? Rozejrzał się; lasy otaczające go ze wszystkich stron okrążyły murem arenę nierównej walki. Spojrzał znów na swych ludzi. Pogarda, wyczerpanie, żądza życia, pragnienie, aby zmierzyć się jeszcze raz z losem, położyć się w innym grobie, kotłowały się w jego piersi... Brown miał wrażenie, patrząc na zarys białej postaci, że ten człowiek, poparty przez wszystkie siły kraju, ogląda jego pozycję przez lornetkę. Brown wskoczył na kłodę, wyrzucając w górę ramiona dłońmi na zewnątrz. Barwna grupa zamknęła się naokoło białego i cofnęła przed nim dwa razy, nim się znowu pokazał i ruszył naprzód samotnie. Brown stał ciągle na kłodzie, póki Jim, ukazując się i niknąc między plamami ciernistych zarośli, nie dotarł prawie do samej zatoki; wówczas Brown zeskokczył i zeszedł powoli ze wzgórza, aby się z nim spotkać, stojąc na drugim brzegu.

Spotkali się, jak sądzę, niezbyt daleko od miejsca — może na tym samym miejscu, skąd Jim wziął rozpęd do drugiego rozpaczliwego skoku w swym życiu, skoku, dzięki któremu znalazł się w sercu Patusanu, otoczony wiarą, miłością, zaufaniem tego ludu. Patrzyli na siebie obaj poprzez zatokę i spokojnym wzrokiem usiłowali jeden drugiego przeniknąć, zanim otworzą usta. Antagonizm ich przejawiał się zapewne w spojrzeniach; wiem, że Brown znienawidził Jima od pierwszej chwili. Wszelkie nadzieje, które mógł żywić, rozwiały się natychmiast. To nie był człowiek, jakiego spodziewał się ujrzeć. Nienawidził go za to; i stojąc przed nim w kraciastej flanelowej koszuli o rękawach obciętych u łokcia, siwobrody, z zapadłą, poczerniałą od słońca twarzą — przeklinał w duchu młodość i pewność siebie tamtego, jego jasne spojrzenie i spokój. Ten biały dawno się tu już zagnieździł! Nie wyglądał na człowieka, który by był skłonny rzec się czegoś w zamian za poparcie. Miał w ręku wszystkie atuty: władzę, bezpieczeństwo, potęgę; stał po stronie przygniatającej siły! Nie był głodny ani zrozpaczony i nie wyglądał ani trochę na zalęknionego. A przy tym w samej schludności jego ubioru — od białego hełmu do płóciennych getrów i białych trzewików — tkwiło coś, co w posępnych, gniewnych oczach Browna zdawało się uosabiać wszystko, czym już w zaraniu życia pogardzał i z czego szydził.

— Kim pan jest? — spytał wreszcie Jim zwykłym swym tonem.

— Nazywam się Brown — odrzekł tamten głośno — kapitan Brown. A jak pan się nazywa?

Po chwili milczenia Jim mówił dalej spokojnie, jakby nie słyszał tego pytania:

— Co pana tutaj przywiodło?

— Pan to chce wiedzieć? — rzekł gorzko Brown. — Łatwo mi dać odpowiedź. Głód. A pana?

— Drgnął na to — rzekł Brown, opowiadając mi początek tej dziwnej rozmowy między dwoma ludźmi; przedzielało ich tylko błotniste łożysko zatoczki, choć stali na przeciwnych biegunach, jeśli chodzi o stosunek do życia i ludzkości. — Drgnął na to — ciągnął Brown — i oblał się krwią. Znajdował¹⁵⁵ pewno, że jest zbyt wielki, aby odpowiadać na pytania. Oświadczyłem, że jeśli uważa mnie za martwego człowieka, z którym można sobie na wszystko pozwalać, to on sam nie jest wcale w lepszym położeniu. Jeden z moich ludzi trzyma go ciągle na celu i tylko czeka na mój znak. Nie ma co się tym gorszyć, wszak przyszedł tu z własnej woli. „Zgódźmy się na to — rzekłem — żeśmy obaj martwi ludzie i na tej podstawie rozmawiajmy jak równy z równym. Jesteśmy wszyscy równi wobec śmierci”. Przyznałem, że się znalazł jak szczur w pułapce, ale zapędzono mnie siłą na ten kopiec i — nawet schwytyany szczur może ugryźć. Odciał mi się natychmiast: „Toteż nie trzeba się zbliżać do pułapki, póki szczur jest żywy”. Odparłem, że tego rodzaju igraszki byłyby godne jego przyjaciół krajowców; sądzę jednak, iż on, człowiek biały, nie postąpiłby tak nawet ze szczurem. Przyznaję, że chciałem z nim mówić. Ale nie po to, aby żebrać o życie. Co się tyczy moich ludzi, są to... jacy są, tacy są, ale w każdym razie są to ludzie jak i on sam. Żądamy tylko jednego: zacząć walkę i już raz skończyć z tym wszystkim: „Do diabła ciężkiego — rzekłem, podczas gdy stał tam bez ruchu jak wryty — chyba pan nie zamierza co dzień tu z lornetką przychodzić i liczyć, ilu z nas trzyma się jeszcze na nogach. Więc dalej! Albo niech pan naprowadzi na nas swoją, psiakrew, bandę, albo niech pan nas wypuści i pozwoli nam zemrzeć z głodu na pełnym morzu. Na Boga! Pan przecież był niegdyś białym człowiekiem, mimo swej napszonej gadaniny, że to jest pański lud i że pan z nim stanowi jedno. Czyżby tak było naprawdę? Co pan, u czorta, dostał tu za to, co pan tu znalazł tak wściekle cennego? No? A może pan nie chce, abyśmy zeszli tam do was? Jest was dwustu na jednego. A jednak pan sobie nie życzy, żebyśmy wyszli na otwarte pole. Oho! obiecuję panu, że damy wam szkołę, nim się z nami załatwicie. Pan mi zawraca głowę, że jak tchórze napadliśmy na niewinnych ludzi. Co mnie to obchodzi, czy są niewinni, czy nie są, kiedy ja dla głupstwa ginę z głodu? Ale tchórzem nie jestem. Niech i pan tchórzem nie będzie. Dawaj tu pan swoich ludzi, bo inaczej, klnę się na piekło, potrafimy jeszcze posłać z dymem do nieba pół tego niewinnego miasta razem z nami!”

Był straszny, opowiadając to wszystko; ten storturowany ludzki szkielet, skurczony na nędznym barłogu w marnej szopie, był straszny. Dźwignął głowę opartą o kolana, aby spojrzeć na mnie ze złośliwym tryumfem.

— Tak mu powiedziałem, wiedziałem dobrze, co mu mam powiedzieć — zaczął znów, bardzo cicho z początku, lecz podniecił się niewiarygodnie szybko i opowiadał dalej z namiętną pogardą: „Nie myślimy uciekać do lasu, żeby się włóczyć jak banda żywych szkieletów i padać jeden za drugim na żer dla mrówek, nim ostatni dech z nas wyjdzie. Ani nam się śni!” — „Nie zasługujecie na nic lepszego” — rzekł na to. „A na co *pan* zasługuje! — krzyknąłem — pan, który siedzi tu przyczajony i gardłuje o swoich, psiamac, obowiązkach i odpowiedzialności za niewinnych ludzi? A czy pan wie o mnie coś więcej niż ja o panu? Przybyłem tutaj po żywność. Słyszysz pan? Po żywność, żeby napęścić nasze brzuchy. A co *pana* tu sprowadziło? Czego pan szukał, przybywając tutaj? Żądamy tylko jednego: niech pan da nam sposobność do walki albo niech pan nas puści z powrotem tam, skądśmy przyszli”. — „Chętnie bym się bił z wami zaraz” — powiada, szarpiąc swój mały wąsik. „A ja bym z przyjemnością pozwolił się panu zastrzelić — mówię. — Mogę równie dobrze zdechnąć tu jak gdzie indziej. Mam już swego psiego szczęścia po uszy. Ale to by było zbyt łatwe. Moi ludzie są tu razem ze mną i na Boga, nie taki ze mnie człowiek, żeby wziąć nogi za pas i zostawić ich w piekielnych opałach”. Stał, rozmyślając, i po chwili zapytał mnie, co ja takiego zrobiłem „tam”, wskazał głową w dół rzeki, że mnie tak prześladują? „Czyśmy się tu po to spotkali, aby rozpowiadać jeden drugiemu historię swego życia? — zapytałem. — A może by tak pan zaczął? Co? Zapewniam pana, że nie mam najmniejszej ochoty słuchać. Może pan zatrzymać swoją opowieść dla siebie. Wiem, że nie jest lepsza od mojej. Żyłem i pan żył także, choć pan gada, jakby pan był jednym z tych ludzi, którzy powinni być zaopatrzeni w skrzydła, aby krążyć, nie dotykając brudnej ziemi. Tak, ziemia jest brudna. A ja skrzydeł nie mam. Jestem tutaj, ponieważ

Kondycja ludzka, Zło

¹⁵⁵znajdować (daw.) — przekonywać się o czymś, dochodzić do wniosku. [przypis edytorski]

się przestraszyłem raz w życiu. Chce pan wiedzieć czego? Więzienia. Oto co mnie przeraża i może sobie pan o tym wiedzieć, jeśli się to panu może na coś przydać. Nie będę pytał, jaki to strach pana zagnał do tej parszywej dziury, gdzie jak się zdaje, znalazł pan wcale niezłe łupy. To było pańskie szczęście; a moim jest prawo błagania o łaskę, aby pan mnie prędko zastrzelił albo wyrzucił na zbity łeb na swobodę, gdzie od nikogo nie zależąc, będzie mi wolno umrzeć z głodu”.

Wycieńczone ciało Browna trzęsło się w tak gwałtownym paroksyzmie pychy i złości, iż — rzekłbyś — wypędziło to śmierć czekającą na niego w tej chacie. Upiór jego obłąkanej miłości własnej dźwignął się z łachmanów i nędzy jak z mrocznej ohydy grobu. Niepodobna orzec, do jakiego stopnia kłamał wówczas przed Jimem, do jakiego stopnia kłamał teraz przede mną i zawsze — przed samym sobą. Pycha płata dziwaczne figle naszej pamięci; a prawda każdej namiętności szuka fałszywych pozorów, aby się wypowiedzieć. Stojąc u wrót tamtego świata w stroju żebraka, Brown spoliczkował oblicze naszego świata, plunął nań, rzucił w nie nieskończoną pogardą i buntem, które tkwiły na dnie jego złych czynów. Zwycięzył wszystkich — mężczyzn, kobiety, dzikich, misjonarzy, kupców, zbójów — i Jima, „tego błazna o czerwonej twarzy”. Nie zazdrościłem mu tryumfu *in articulo mortis*¹⁵⁶, tej prawie pośmiertnej iluzji, że podeptał cały świat. Gdy się tak chępił przede mną podczas swej plugawej, odrażającej agonii, przypomniało mi się mimo woli, jak go brano na języki w dniach największej jego świetności. Wówczas to przez rok lub więcej widywało się dzień w dzień statek Dżentelmena Browna krążący koło wysepki udrapowanej w zieleń na tle lazuru, z ciemną plamką misyjnego domu wśród białej plaży; na wybrzeżu zaś Dżentelmen Brown roztaczał swe czary przed młodą, romantyczną pastorową — którą Melanezja wytrąciła z równowagi — i ludził pastora nadzieją, że się nawróci. Słyszano kiedyś, jak biedny misjonarz opowiadał, iż chciałby sprowadzić „kapitana Browna na drogę lepszego życia”. „Porwać Dżentelmena Browna do nieba — wyraził się raz pewien chytrooki łazęga z wybrzeża — aby im tam w górze pokazać, jak wygląda kapitan marynarki handlowej z zachodniego Pacyfiku”. A więc to był ten sam człowiek, który uprowadził dogorywającą kobietę, a potem wylewał łzy nad jej ciałem! „Zachowywał się po prostu jak smarkacz — opowiadał na prawo i lewo jego ówczesny pierwszy oficer — a niech mnie zarażeni kanacy na śmierć zatłuką, jeśli wiem, co mu przyszło z tego porwania. Moi panowie, kiedy ją przywiózł na statek, było z nią już tak kiepsko, że go nie poznawała; leżała tylko na wznak w jego koi i patrzyła w sufit strasznie błyszczącymi oczami, a potem umarła. Jakaś paskudna febra...”

Przypomniałem sobie te wszystkie historie, podczas gdy Brown przesuwiał siną rękę po skołtunionej brodzie, leżąc na cuchnącym tapczanie, i opowiadał mi, jak objechał, jak nabrał, jak wykończył tego, psiakrew, niepokalanego kpa¹⁵⁷, co nos do góry zadzierał. Przyznawał sam, że zastraszyć się Jima nie dało, lecz, mówił, „znalazłem drogę szeroką, jak szosa, po której dobrałem się do niego, i na Boga! szarpałem, targałem jego marną duszą na wszystkie strony”.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Sądzę, że Brown co najwyżej mógł tylko rzucić okiem na tę prostą, szeroką drogę — i to, co ujrzał, wydało mu się snadź zagadkowe, bo nie raz i nie dwa przerywał opowiadanie, aby wykrzyknąć: „O mało wówczas z rąk mi się nie wysliznął. Nie mogłem go przeniknąć. Kim on był?” I spojrzawszy na mnie błędnymi oczami, ciągnął dalej, wykrzykując tryumfalnie i szydząc z Jima. A mnie wydaje się teraz, że rozmowa tych dwóch ludzi poprzez zatokę była najbardziej śmiertelnym z pojedynków, na które Los kiedykolwiek spoglądał zimnym wzrokiem — wiedząc, jaki koniec nastąpi. Nie, Brown nie zdołał zatargać duszą Jima, lecz — i chyba się nie mylę — potrafił zmusić tego człowieka, będącego zupełnie poza jego władzą, aby wysączył aż do dna gorzyc tej walki. Tacy oto wysłańcy świata — którego Jim się wyrzekł — ścigali go, docierając aż do jego kryjówek; byli to biali ludzie „stamtąd”, gdzie on żyć nie chciał, ponieważ uważał, że jest tego niegodzien. Groźba, wstrząs, niebezpieczeństwo dla jego dzieła — oto wszystko, co dotarło do Jima. Zdaje mi się, że właśnie smutna świadomość tego — na wpół żal, a na wpół rezygnacja — prze-

¹⁵⁶*in articulo mortis* (łac.) — w obliczu śmierci. [przypis edytorski]

¹⁵⁷*kiep* (daw.) — dureń, głupiec. [przypis edytorski]

bijająca z niewielu słów wypowiedzianych przez Jima, utrudniała tak bardzo Brownowi przeniknięcie jego charakteru. Niejeden z wielkich ludzi zawdzięcza swą wielkość głównie temu, że umie odkryć w jednostkach, których chce użyć za narzędzie, taką właśnie siłę, jaka jest potrzebna dla wyznaczonego im zadania; a Brown, jak gdyby naprawdę był wielki, miał szatański dar wycucia najbardziej dodatnich i najsłabszych stron w swych ofiarach. Przyznał mi, że Jim nie należał do ludzi dających się ujeździć pochlebstwem, a więc postarał mu się przedstawić jako człowiek, który nieustraszenie stawia czoło niepowodzeniom, opinii i klęsce. Dowodził, że przemycenie kilku strzelb nie było wielką zbrodnią. A jeśli chodzi o zjawienie się w Patusanie — to kto ma prawo orzec, że nie przybył tu, aby prosić o żywność? Te diabły wcielone przyjęły ich od razu ogniem z obu brzegów, nie myśląc nawet o nic pytać. Brown wysunął ten argument z najwyższą czelnością, bo w gruncie rzeczy sprężysta akcja Daina zapobiegła wielkim klęskom; Brown mówił mi wyraźnie, że spostrzegłszy, jak wielka jest osada, postanowił od razu podpalić ją z obu końców natychmiast po wylądowaniu i strzelać do każdego, kto się tylko nawinie, aby ludność przerazić i sterroryzować. Dowodził, wstrząsany atakiem kaszlu, że wobec tak wielkiej nierówności sił była to jedyna droga, która dawała jaką taką możliwość dobrnięcia do celu. Ale Jimowi tego nie powiedział. Co się tyczy głodu i niewygód, przez które przeszli, wszystko to było prawdziwe; wystarczyło spojrzeć na bandę Browna. Na ostry świst gwizdawki ukazali się jego ludzie, stanąwszy rzędem na kłodach, tak że Jim mógł ich zobaczyć. Jeśli zaś chodzi o zabicie tamtego człowieka — no tak, zabili go, to jest prawda, ale czyż nie prowadzą wojny, krwawej wojny, czyż nie przyparto ich do muru? A przy tym ów człowiek został zabity jak się patrzy — dostał strzał w piersi — nie jak ten nieborak leżący teraz w zatoce. Przez sześć godzin musieli słuchać, jak umierał z wnętrzościami poszarpanymi przez loftki. W każdym razie było to tylko życie za życie... Brown mówił do Jima ze znużeniem i niedbałością niby człowiek, którego zły los ścigał bez wytchnienia, aż wreszcie wszystko stało mu się obojętne. Gdy zapytał z pewnego rodzaju szorstką, rozpaczliwą otwartością, czy on, Jim — znajdujący się teraz na prostej drodze — nie rozumie, że „jak przyjdzie ratować chyłkiem życie w ciemności, to człowiekowi staje się wszystko jedno, ilu się na tamten świat przespaceruje — trzech, trzydziestu czy trzystu” — gdy o to pytał, zdawało się, że to sam demon szepcze mu rady do ucha.

— Wzdrygnął się na to — chwalił się Brown przede mną — i bardzo prędko przestał odgrywać rolę sprawiedliwego. Stał tam, zapomniawszy języka w gębie, patrzył, ponury jak noc, nie na mnie, tylko w ziemię. — Brown wypytywał dalej, czyżby Jim nic nie miał na sumieniu, że taki okropnie jest twardy dla człowieka usiłującego się wydostać ze śmiertelnej pułapki w pierwszy lepszy dostępny mu sposób, i tak dalej, i tak dalej. A przez wszystkie te szorstkie słowa przewijała się nic subtelnych aluzji do ich wspólnej krwi i domniemanych jednakowych przeżyć, wstrętne napomknienia o wspólnej winie, o jakichś tajnych wspomnieniach, które miały jednoczyć ich serca i umysły.

W końcu Brown rzucił się na ziemię jak długi i śledził Jima spod oka. A Jim stał i rozmyślał po swojej stronie zatoki, uderzając prętem o nogę. Domy jak okiem sięgnąć były ciche, rzekłbyś, pomór wymiół wszelkie tchnienie życia; lecz z wnętrza ich wiele niewidzialnych oczu patrzyło na dwóch ludzi przedzielonych zatoką, na łódź osiadłą u brzegu i ciało trzeciego człowieka na wół zanurzone w błocie. Po rzece krążyły znów czółna, gdyż Patusan odzyskiwał wiarę w stałość ziemskich instytucji od powrotu swego białego pana. Prawy brzeg, tarasy domów, tratwy przycumowane wzdłuż brzegu, nawet dachy szop kąpielowych były pokryte ludźmi, którzy — znajdując się poza zasięgiem słuchu i prawie że wzroku — wyteżali oczy ku pagórkowi za ostrokołem radży. Cisza panowała wewnątrz rozległego, nieforemnego pierścienia lasów, przeciętego w dwóch miejscach blaskiem rzeki.

— Czy pan mi przyrzeknie, że stąd wyjedzie? — zapytał Jim.

Brown podniósł i opuścił rękę, jakby rezygnował ze wszystkiego i zgadzał się na nieuniknione.

— I że wyda broń? — ciągnął dalej Jim.

Na to Brown usiadł i wlepił w niego oczy poprzez zatokę.

— Wydać broń? Chyba że przyjdziecie ją wyjąć z naszych zeszywniałych rąk. Myśli pan, że dostałem bzika ze strachu? O nie! Broń i łachmany, które mam na sobie, to

cały mój majątek, poza paru strzelbami na statku; zamierzam sprzedać to wszystko na Madagaskarze, jeśli będę mógł dotrzeć tak daleko, żebrząc po drodze od statku do statku.

Jim nic na to nie odpowiedział. Wreszcie, odrzucając pręt, który trzymał w ręku, rzekł jakby do siebie:

— Nie wiem, czy to jest w mojej mocy.

— Pan nie wie! A przed chwilą żądał pan, abym wydał broń! To wcale niezłe! — krzyknął Brown. — A co będzie, jeśli powiedzą panu, że tak i tak, a postąpią ze mną zupełnie inaczej? — Opanował się z wysiłkiem. — Ośmielam się twierdzić, że pan ma władzę, bo inaczej, na co ta cała rozmowa? Po cóż pan tu przyszedł? Dla zabicia czasu?

— Dobrze — rzekł Jim, podnosząc nagle głowę po długim milczeniu. — Będzie pan miał albo wolną drogę, albo otwartą walkę. — Zawrócił na pięcie i odszedł.

Brown wstał natychmiast, ale nie wdrapał się na kopiec, póki nie zobaczył Jima znikającego między najbliższymi domami. Nigdy go już więcej nie widział. W drodze powrotnej spotkał Corneliusa gramolącego się na dół z głową wsuniętą w ramiona. Metys zatrzymał się przed Brownem.

— Dlaczego pan go nie zabił? — spytał cierpko, z niechęcią.

— Bo lepiej sobie z nim poradziłem — rzekł Brown, uśmiechając się wesoło.

— Nie wierzę! — zapewnił energicznie Cornelius. — To niemożliwe. Mieszkam tu od tylu lat.

Brown popatrzył na niego z ciekawością. Życie tego kraju, uzbrojonego przeciw niemu, było skomplikowane; czuł, że wielu rzeczy nigdy zapewne nie przeniknie. Zgnębiony Cornelius przesunął się chyłkiem koło Browna, dążąc w stronę rzeki. Opuszczał swych nowych przyjaciół; zniósł jeszcze jeden zawód ze zgryźliwym uporem, od którego jego starcza, żółta twarzyczką jakby się jeszcze bardziej skurczyła. Schodząc, rzucał tu i tam ukośne spojrzenia, nie wyrzekając się bynajmniej myśli, którą był opętany.

Odtąd wypadki toczą się szybko bez przerwy, wypływając z głębi ludzkich serc jak strumień z mrocznego źródła; widzimy na ich fali Jima — głównie oczami Tamb' Itama. Oczy dziewczyny śledziły go także, lecz życie jej było zbyt ściśle splecione z jego życiem; trzeba tu wziąć pod uwagę jej namietność, zdumienie, gniew, a przede wszystkim strach i miłość nie znającą przebaczenia. Co zaś do Tamb' Itama, który tak jak i wszyscy nie rozumiał nic z tego, co zaszło, to wchodzi tu w grę jedynie jego wierność; wierność i wiara w swego pana tak silna, że nawet zdumienie Tamb' Itama przechodzi w pełne smutku poddanie się tajemniczej klęsce. Tamb' Itam ma oczy zwrócone tylko na jedną postać i wśród swego oszołomienia pełen jest troski, czujności i posłuszeństwa.

Jego pan wracał po rozmowie z białym, idąc z wolna ulicą ku ostrokołowi. Wszyscy się radowali, że go znów widzą między sobą, bo w czasie jego nieobecności każdy się lękał nie tylko o jego życie; obawiano się również i tego, co by nastąpiło, gdyby Jim został zabity. Wszedł do jednego z domów, gdzie przebywał stary Doramin; biały tuan pozostał tam długi czas sam na sam z głową bugiskich osadników. Nie ma wątpliwości, że rozprawiali o tym, jak pokierować biegiem wypadków, lecz żaden mąż nie był obecny przy tej rozmowie. Tylko Tamb' Itam, trzymając się tak blisko drzwi, jak tylko się dało, usłyszał, że jego pan mówił: „Dobrze. Powiadomię wszystkich, iż takie jest moje życzenie; lecz zanim się stawię przed tamtymi, chciałem mówić sam na sam z tobą, Doraminie — albowiem znasz moje serce równie dobrze, jak ja znam twoje, i wiem, czego pragniesz najbardziej. A przy tym zdajesz sobie sprawę, że nie mam nic innego na myśli prócz dobra ludu”. Pan Tamb' Itama ukazał się we drzwiach, podniósłszy zasłonę; wierny sługa ujrzał przelotnie starego Doramina, który siedział na krześle z rękami na kolanach i patrzył w ziemię u swych stóp. Potem Tamb' Itam poszedł za tuanem do fortu, dokąd cała starszyzna bugiska i mieszkańcy Patusanu zostali wezwani na naradę. Tamb' Itam pragnął bitwy. „Przecież byłoby to tylko zdobycie drugiego wzgórza!” — zawołał do mnie z żalem. Jednak w mieście wielu ludzi miało nadzieję, że widok tylu odważnych mężów gotujących się do boju spowoduje odwrót chciwych cudzoziemców. Byłoby to bardzo pomyślne. Odkąd przybycie Jima zostało oznajmione o brzasku przez wystrzał armatni z fortu i bicie w wielki bęben, strach wiszący nad Patusanem załamał się i ustąpił niby fala, która odpływa od skały, zostawiając kipiącą pianę podniecenia, ciekawości i przewidywań bez końca. Połowa mieszkańców została wysiedlona z domów dla celów obronnych i obozowała na ulicy z lewej strony rzeki, skupiona naokoło fortu, spodzie-

wając się, że lada chwila opuszczone siedziby na zagrożonym brzegu buchną płomieniem. Wszyscy pragnęli gorąco jak najprędzszego rozstrzygnięcia sprawy. Za staraniem dziewczęcia-Klejnotu rozdano żywność między uciekinierów. Nikt nie wiedział, co biały tuan zrobi. Niektórzy utrzymywali, że położenie jest niebezpieczniejsze niż za czasów wojny z szeryfem Alim. Wówczas wielu ludzi nie dbało o nic, a teraz każdy miał coś do stracenia. Śledzono z ciekawością ruchy czółen krążących między obiema częściami osady. Parę bugiskich łodzi wojennych stało na kotwicy w środku łożyska, strzegąc rzeki; nic dymu unosiła się nad ich dziobami; załogi gotowały ryż na południowy posiłek, gdy Jim, po rozmowach z Brownem i Doraminem, przepłynął się przez rzekę i wszedł do fortu wrotami od strony rzeki. Ludzie wewnątrz ostrokołu otoczyli go tłumnie, tak że z trudnością torował sobie drogę ku domowi. Nie widziano go od jego powrotu, bo w ciągu nocy zamienił tylko kilka słów z dziewczyną, która zeszła do rzeki zaraz po jego wylądowaniu, i natychmiast udał się do starszyny oraz zbrojnych mężów na drugim brzegu.

Lud witał go okrzykami. Jakaś stara kobieta wzbudziła ogólny śmiech; przedarła się przez tłum jak szalona i gniewnym głosem wezwała Jima do pilnowania jej dwóch synów (byli obaj przy Doraminie), aby im zbóje nic złego nie wyrządzili. Kilku spomiędzy obecnych starało się ją odciągnąć, ale wyrwała się im, krzycząc:

— Puśćcie mnie! Cóż to ma znaczyć? Wasz śmiech jest nieprzystojny. Przecież to okrutni, krwiożerczy zbóje łaknący morderstw!

— Puśćcie ją — rzekł Jim, a gdy nagle zapadła cisza, rzekł z wolna: — Nikomu nic się nie stanie. — Wszedł do domu, zanim ucichło wielkie westchnienie ulgi i przebrzmiały głośnie pomruki radości.

Było jasne, że Jim postanowił dać Brownowi wolną drogę do morza. Los Jima się zbuntował i prowadził go za rękę. Biały tuan musiał po raz pierwszy przeciwstawić swą wolę jawnej opozycji.

— Mówiono dużo podczas obrad, a mój pan milczał z początku — rzekł Tamb' Itam. — Nastal mrok i wówczas zapaliłem świecę na długim stole. Wodzowie siedzieli po obu stronach, a pani stała po prawej ręce tuana.

Gdy Jim zaczął mówić, przewycięzanie oporu, do którego nie był przyzwyczajony, zdawało się umacniać go jeszcze niezłomniej w raz powziętej decyzji. Oświadczył, że biali oczekują odpowiedzi tam na wzgórzu. Ich wódz mówił do Jima w języku swego ludu i wyjaśnił wiele rzeczy trudnych do przetłumaczenia na inną mowę. Ci ludzie zblądzili; cierpienie uczyniło ich ślepyimi na różnicę między dobrem a złem. To prawda, że jest już kilka ofiar, lecz po co narażać się na dalsze straty? Jim oświadczył swym słuchaczom, zgromadzonej starszynie, że ich dobro jest jego dobrem, ich straty jego stratami, ich żaloba jego żalobą. Rozejrzał się wkoło po zasłuchanych, poważnych twarzach i przypomniał, że nie od dziś walczą i pracują ramię w ramię. Odwaga Jima jest im znana... Przerwał mu pogwar obecnych... I wiedzą, że nie oszukał ich nigdy. Mieszkają z nim przez długie lata. Jim kocha ten kraj i jego lud bardzo wielką miłością. Gotów jest odpowiadać własnym życiem za każdą krzywdę, która by mogła ich spotkać, gdyby pozwolili się wycofać brodatym białym ludziom. Są to złoczyńcy, ale i los był dla nich okrutny. Czy Jim udzielił kiedy Bugisom złej rady? Czy jego słowa kiedykolwiek sprowadziły na lud cierpienie? — zapytał. Uważa, że będzie najlepiej, jeśli pozwolą odjechać białym rabusiom i ich sługom, jeśli im pozwolą ując z życiem. Niewielki to będzie dar.

— Ja, któregoście wypróbowali, który dotrzymywałem wam zawsze wierności, proszę was, aby ich puścić wolno — zwrócił się do Doramina. Stary *nakhoda* ani drgnął. — Zatem — rzekł Jim — wezwij Daina Warisa, twego syna a mojego przyjaciela, bo ja w tym boju dowodzić nie będę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Tamb' Itamowi, stojącemu za krzesłem Jima, wydało się, że piorun w niego uderzył. Słowa Jima wywarły olbrzymie wrażenie.

— Puśćcie ich, tak będzie najlepiej według mojego zdania, które jeszcze nigdy was nie zawiodło — nalegał Jim.

Wszyscy zamilkli. Wśród mroku dziedzińca słychać było stłumiony gwar i dreptanie tłumu. Doramin podniósł ciężką głowę i wyrzekł, że wprawdzie czytać w sercach

jest równie trudno jak dotknąć ręką nieba, ale... zgadza się. Inni wypowiadali kolejno swe zdanie. „To najlepszy sposób” — „Puścić ich wolno” — i tak dalej. Ale większość obecnych rzekła po prostu, że „ufają tuanowi Jimowi”.

Ten prosty sposób poddawania się jego woli określał całą istotę wzajemnego ich stosunku, który był oparty na ich wierze i na jego prawości; a składanie im żywych dowodów swej lojalności stawiało go we własnych oczach na poziomie nieskazitelnych ludzi, co nigdy nie opuścili szeregu. Słowa Steina: „To romantyk! romantyk!”, zdają się dźwięczeć nad tym odległym krajem, który Jima już nigdy nie wróci światu — obojętnemu na jego upadki i cnoty. I nie wróci go owej namiętnej, niewyczerpanej miłości, która mu odmówiła ofiary z łez, ogłuszona wielkim bólem i wiecznym rozstaniem. Od chwili gdy kryształowa prawość Jima — w ciągu ostatnich trzech lat jego życia — pokonała zwycięsko ludzką ciemnotę, bojaźń i gniew, Jim już mi się nie ukazuje tak, jak go widziałem po raz ostatni — na kształt białej plamki chłonącej całe światło pozostałe na mrocznym brzegu i pociemniałym morzu; wydaje mi się większy i bardziej żalony w osamotnieniu swego ducha, który nawet dla tej, co go kochała najgłębiej, pozostał okrutną i niezgłębioną tajemnicą.

Jim ufał widać Brownowi; nie miał powodu nie wierzyć jego opowieści, której prawdę zdawała się stwierdzać szorstka otwartość, pewien rodzaj męskiej szczerości, z jaką Brown brał na siebie odpowiedzialność za swe postęпки i ich skutki. Ale Jim nie znał niepojętego wprost egotyzmu Browna; nie wiedział, że tego człowieka ogarniało po prostu szaleństwo, gdy napotykał na opór przeciwstawiający się jego woli; Brown szalał wówczas z oburzenia i mściwej wściekłości jak zawiedziony autokrata. Lecz chociaż Jim brał słowa Browna za dobrą monetę, bał się widać, aby nie zaszło jakieś nieporozumienie mogące zagrażać starciem i rozlewem krwi. Dlatego też natychmiast po odejściu malajskiej starszyny poprosił, żeby dziewczyna dała mu coś do zjedzenia, bo ma zamiar opuścić fort i objąć dowództwo w mieście. Gdy się opierała temu ze względu na jego zmęczenie, odrzekł, że mogłoby się coś wydarzyć, czego by potem nigdy sobie nie darował.

— Jestem odpowiedzialny za życie każdego człowieka w tym kraju — rzekł.

Z początku był posępny; dziewczyna usługiwała mu, biorąc od Tamb' Itama talerze i półmiski (z serwisu ofiarowanego przez Steina). Po jakimś czasie twarz Jima rozjaśniła się; powiedział dziewczynie, że pozostawi jej dowództwo fortu jeszcze na jedną noc.

— Nie ma dla nas snu, kochanie — rzekł — póki nasz lud jest w niebezpieczeństwie. — Później dodał żartobliwie, że ona jest najmężniejsza ze wszystkich. — Gdybyście oboje z Dainem Warisem przeprowadzili to, coście chcieli przeprowadzić — ani jeden z tych nieboraków nie pozostałby dziś przy życiu.

— Czy oni są bardzo źli? — zapytała, opierając się o jego krzesło.

— Ludzie czasem źle postępują, choć nie są wiele gorsi od innych — rzekł po chwili wahania.

Tamb' Itam szedł ze swoim panem aż do przystani u fortu. Noc była jasna, ale beksiężycowa; środek rzeki zalegały ciemności, lecz woda u obu brzegów odbijała blask licznych ognisk, „jakby w noc ramadanu¹⁵⁸”, wyraził się Tamb' Itam. Łodzie wojenne sunęły cicho mrocznym szlakiem lub stały na kotwicy wśród głośnego plusku. Tej nocy Tamb' Itam miał dużo do roboty, wiosłując lub chodząc za swym panem tam i z powrotem po ulicy wśród palących się ognisk, a także i dalej na skraju miasta, gdzie niewielkie oddziały stały w polu na warcie. Tuan Jim wydawał rozkazy, które wykonywano natychmiast. Na ostatku udali się do ostrokołu radży, obsadzonego tej nocy przez ludzi Jima. Stary radża uciekł wczesnym rankiem, z większą częścią swych kobiet, do małego domku niedaleko wsi położonej wśród dżungli nad jednym z dopływów rzeki. Kassim, który został w Patusanie, był obecny na obradach i z miną pełną gorliwości wyjaśniał swe zabiegi dyplomatyczne z dnia poprzedniego. Traktowano go bardzo ozięble, ale to go nie pozbawiło uśmiechniętego, spokojnego ożywienia; oświadczył, że jest zachwycony, gdy Jim powiedział mu ostro, iż zamierza tej nocy obsadzić ostrokół radży własnymi ludźmi. Po zakończeniu obrad widziano Kassima, jak przed domem zaczepiał to tego, to owego

¹⁵⁸ramadan — dziewiąty, święty miesiąc kalendarza muzułmańskiego; podczas ramadanu wiernych obowiązuje ścisły post od świtu do zmierzchu, posiłki spożywane są po zachodzie słońca. [przypis edytorski]

z rozchodzącej się starszyny i rozповідаł głośno zadowolonym tonem, że mienie radży będzie zabezpieczone w czasie jego nieobecności.

Około dziesiątej ludzie Jima weszli do ostrokołu, który górował nad ujściem zatoki. Jim zamierzał tam pozostać, póki Brown nie przejedzie. Rozpalono niewielkie ognisko na płaskim, porośłym trawą przylądku przed ścianą z bali, gdzie Tamb' Itam ustawił małe składane krzeselko dla swego pana. Jim przykazał Malajowi, aby spróbował się przespać. Tamb' Itam przyniósł matę i położył się niedaleko, ale spać nie mógł, choć wiedział, że musi się udać w drogę z ważną misją, nim noc upłynie. Jego pan chodził tam i na powrót ze spuszczoną głową i rękami splecionymi na plecach. Twarz jego była smutna. Gdy pan się zbliżał do Tamb' Itama, ten udawał, że śpi, nie chcąc, aby pan wiedział, iż wierny sługa go obserwuje. Wreszcie pan zatrzymał się przy nim, popatrzył na niego i rzekł po cichu: „Już czas”.

Tamb' Itam wstał natychmiast i zaczął się zbierać. Miał wyruszyć ze zleceniem w dół rzeki, wyprzedzając łódź Browna o godzinę lub więcej, aby zawiadomić urzędowo Daina Warisa, iż pozwolono ostatecznie białym przejechać swobodnie i że ich zaczepiać nie trzeba. Jim nie chciał nikomu innemu powierzyć tego zlecenia. Przed wyruszeniem Tamb' Itam poprosił o dowód raczej ze względów formalnych, gdyż dzięki swemu stanowisku przy Jimie był ogólnie znany.

— Zlecenie jest ważne, o tuanie, przecież mam zanieść twe własne słowa.

Pan włożył rękę naprzód do jednej kieszeni, potem do drugiej i wreszcie zdjął ze wskazującego palca srebrny pierścień Steina, który zwykle nosił, i dał go Tamb' Itamowi. Gdy Tamb' Itam wyruszył ze swą misją, obóz Browna na kopcu był ciemny, tylko przez gałęzie jednego z drzew, ściętych przez białych ludzi, jaśniał niewielki krąg żaru.

Poprzedniego dnia nad wieczorem Brown dostał od Jima złożoną kartkę papieru ze słowami: „Droga jest wolna. Proszę wyruszyć z rannym przyplywem, w chwili gdy wasza łódź znajdzie się na wodzie. Niech pańscy ludzie będą ostrożni. Zarośla po obu stronach zatoki i ostrokół u przesmyka pełne są zbrojnych ludzi. Nie udalby się Panu żaden wybryk, ale nie myślę, aby Pan pragnął rozlewu krwi”. Brown przeczytał kartkę, podarł ją na drobne kawałki i zwracając się do Corneliusa, który ją przyniósł, rzekł szyderczo: „Żegnaj, drogi przyjacielu”. Cornelius był po południu w forcie i snuł się ukradkiem naokoło domu. Jim wybrał go na posłańca, ponieważ Metys umiał po angielsku i znany był Brownowi; nie groziło więc niebezpieczeństwo, aby który z ludzi Browna zastrzelił go przez pomyłkę w zdenerwowaniu, jak to się mogło zdarzyć, gdyby jakiś Malaj zbliżył się o zmierzchu.

Cornelius nie odchodził po oddaniu kartki. Brown siedział przy małym ognisku; wszyscy inni leżeli.

— Mógłbym panu powiedzieć coś, czego by pan się chętnie dowiedział — burknął Cornelius.

Brown nie zwrócił na to uwagi.

— Nie zabił go pan — ciągnął Metys — i co pan ma za to? Mógł pan dostać od radży pieniędzy, nie mówiąc już o rabunku wszystkich domów bugiskich, a teraz pójdzie pan z kwitkiem.

— Lepiej pan się stąd zabieraj — warknął Brown, nie spojrzawszy nawet na Corneliusa.

Lecz ten opadł na kłodę obok Browna i jął szeptać bardzo prędko, dotykając jego łokcia od czasu do czasu. Przy pierwszych słowach Metysa Brown zachnął się i rzucił przekleństwo. Cornelius powiedział mu po prostu o zbrojnym oddziale Daina Warisa w dole rzeki. Z początku Brown myślał, że jest zaprzędany i zgubiony, lecz po chwili zastanowienia uznał, iż nie mogło tu chodzić o podstęp. Nie odpowiedział nic, a Cornelius zauważył po chwili tonem zupełnie obojętnym, że jest jeszcze inny przejazd rzeką, dobrze mu znany.

— Dobrze jest o tym wiedzieć — rzekł Brown, nastawiając uszu; Cornelius zaś zaczął rozpowiadać, co się dzieje w mieście, i powtórzył wszystko, o czym mówiono podczas obrad, plotkując jednostajnie przyciszonym głosem prosto do ucha Browna, jak się mówi wśród śpiących ludzi, których się nie chce obudzić.

— On myśli, że mnie unieszkodliwił, co? — mruknął Brown bardzo cicho.

— Tak. To dureń. Niewiniątko! Zjawił się tu i obdarł mnie — ciągnął monotonicznie Cornelius — i wkradł się w zaufanie wszystkich ludzi. Ale gdyby zaszło coś takiego, żeby

przestali mu wierzyć, co by się wówczas z nim stało? A ów Bugis, Dain, który czeka w dole rzeki na pana, panie kapitanie, to ten sam, który zapędził was na kopiec, kiedyście się pokazali.

Brown zauważył niedbale, że byłoby lepiej uniknąć z nim spotkania, na co Cornelius oświadczył równie obojętnym tonem, jakby w zamyśleniu, że zna pewien przesmyk, dość szeroki, aby łódź Browna mogła objechać od tyłu obóz Warisa.

— Tylko musicie przywarować cicho — dodał — bo w jednym miejscu przejeżdża się tuż za obozem. Bardzo blisko. Rozłożyli się nad rzeką, a łodzie wyciągnęli na brzeg.

— Oho, już my potrafimy przyciąć się jak mysz pod miotłą — niech się pan nie boi — rzekł Brown.

Cornelius wymówił sobie, że jeśli się podejmie służyć za pilota, jego czołno będzie holowane przez łódź Browna.

— Muszę prędko wrócić — wyjaśnił.

Dwie godziny przed świtem najdalej wysunięte placówki dały znać do ostrokołu, iż biali zbójcy schodzą do swej łodzi. W bardzo krótkim czasie wszyscy zbrojni ludzie Patusanu byli w pogotowiu, lecz wybrzeża rzeki pozostały takie spokojne, że gdyby nie ogniska wybuchające zamglonymi płomieniami, można by było myśleć, iż miasto śpi jak w czasie pokoju. Gęsta mgła leżała bardzo nisko na wodzie, tworząc coś w rodzaju złudnego popielatego światła, które nic nie rozjaśniało. Gdy wielka łódź Browna wysunęła się z zatoki na rzekę, Jim stał na przylądku przed ostrokołem radży — w tym samym miejscu, gdzie po raz pierwszy postawił nogę na gruncie Patusanu. Zamajaczył przed nim cień poruszający się wśród szarości, samotny, bardzo wielki, a jednak prawie nieuchwytny dla oka. Dochodził stamtąd szmer cichej rozmowy. Brown, siedzący u steru, usłyszał, że Jim mówi spokojnie:

— Droga wolna. Puśćcie się lepiej z prądem, póki jest mgła, która się już niedługo podniesie.

— Tak, wkrótce będzie wszystko widać — odparł Brown.

Pod ostrokołem trzydziestu czy czterdziestu ludzi wstrzymało oddech, stojąc z muszkietami gotowymi do strzału. Właściciel statku, Bugis, którego widziałem na werandzie Steina, był właśnie wśród nich i opowiadał mi, że łódź, okrążająca wówczas bardzo blisko przylądek, rzekłbyś, stała się na chwilę ogromna i spiętrzyła się u brzegu na kształt góry.

— Jeśli się panu opłaci poczekać dzień u ujścia rzeki — zawołał Jim — postaram się panu posłać trochę żywności — bawołu, jadalne korzenie, co będę mógł.

Cień łodzi sunął dalej.

— Dobrze. Niech pan przyśle — rzekł we mgle bezbarwny, głuchy głos.

Nikt z licznych, uważnych słuchaczy nie rozumiał znaczenia tych słów; Brown i jego ludzie odплыnęli w swej łodzi, niknąc jak widma bez najłżejszego szmeru.

I tak oto Brown — niewidzialny we mgle — opuścił Patusan ramię w ramię z Corneliusem siedzącym na rufie.

— Może pan i dostanie małego bawołu — rzekł Cornelius. — O tak. Bawołu. I trochę jadalnych korzeni. Dostanie pan, jeśli *on* tak powiedział. *On* zawsze mówi prawdę. Ukradł mi wszystko, co posiadałem. Pan pewno woli małego bawołu od zdobyczy wielu złupionych domów.

— Radziłbym panu trzymać język za zębami, bo mógłby tu ktoś wyrzucić pana za burtę w tę przeklętą mgłę — rzekł Brown.

Łódź zdawała się stać w miejscu; nic nie było widać, nawet rzeki tuż przy burcie, tylko pył wodny unosił się i ściekał skroplony po brodach i twarzach. Brown mówił mi, że to było niesamowite. Każdemu z nich zdawało się, iż dryfuje w czołnie sam jeden, prześladowany obecnością prawie niedostrzegalnych widm, które pomrukiwały i wzdychały.

— Więc pan by mnie wyrzucił za burtę, co? — burknął Cornelius. — Ja bym i tak wiedział, gdzie jestem. Mieszkam tu od wielu lat.

— Ale jeszcze za krótko, żeby móc coś dojrzeć wśród takiej mgły — rzekł Brown, wyciągnąwszy się wygodnie; ręka jego, kołysząc się tam i sam, zwiślała ze zbędnej sterownicy.

— Wcale nie za krótko — warknął Cornelius.

— To nam się przyda — oświadczył Brown — a więc pan mówi, że tak na ślepo mógłby znaleźć tę odnogę rzeki, o której pan wspominał?

Cornelius coś na to odmruknął.

— Czy jesteście zanadto zmęczeni, aby wiosłować? — spytał po chwili milczenia.

— Na Boga! nie! — krzyknął Brown nagle. — Wy tam, do wiosel!

Rozległ się we mgle głośny stukot, który po chwili przemienił się w miarowy zgrzyt niewidzialnych wiosel o niewidzialne dulki. Zresztą wciąż nic nie można było dostrzec i gdyby nie lekkie pluskanie zanurzanych w wodzie piór, można było pomyśleć, że wiosłują w balonie między chmurami, jak mi to Brown opowiadał. Potem już Cornelius nie otworzył ust, raz tylko zażądał opryskliwie, aby wylać wodę z czołna, które holowano za łodzią. Mgła stopniowo białała i zaczęła się przecierać na przodzie. Z lewej strony Brown ujrzał mrok, niby grzbiet oddalającej się nocy. Nagle wielki konar okryty liśćmi ukazał się nad jego głową; końce cienkich, krętych gałązek, ociekające wodą i nieruchome, zwisały tuż obok burty. Cornelius, milcząc, wziął rękojeść steru z rąk Browna.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Zdaje mi się, że odtąd nie zamienili już ani słowa.

Łódź wjechała w wąski boczny przesmyk, gdzie popychano ją, wpierając wiosła w kruszące się brzegi; mrok był tak wielki, jakby olbrzymie czarne skrzydła rozpostarły się nad mgłą, która wypełniała przesmyk aż do wierzchołków drzew. Z gałęzi sypały się wielkie krople poprzez mroczne opary. Na szepnięcie Corneliusa Brown rozkazał swym ludziom nabić broń.

— Daję wam sposobność porachowania się z nimi, zanim się to skończy, wy nędzne pokraki — rzekł do swej bandy. — Tylko mi nie zmarnować okazji, hołoto.

Cichy pomruk rozległ się po tej przemowie. Cornelius robił zamieszanie, kłopotząc się o bezpieczeństwo swego czołna.

Tymczasem Tamb' Itam dotarł do celu podróży. Wskutek mgły spóźnił się trochę, lecz wciąż wiosłował spokojnie, trzymając się blisko południowego brzegu. Niebawem pojawiło się słońce niby żar w matowej, szklanej kuli. Brzegi po obu stronach rzeki podobne były do ciemnych smug; rozróżniało się w nich jakby zarysy kolumn — a wysoko w górze cienie poskręcanych gałęzi. Na wodzie leżała wciąż gęsta mgła, ale straż pilnowała czujnie przejazdu, bo gdy Tamb' Itam zbliżył się do obozu, postacie dwóch ludzi wyłoniły się z białych oparów i zagadnęły go donośne głosy. Gdy odpowiedział, ukazało się zaraz czołno i Tamb' Itam udzielił nowin wioślarzom. Wszystko dobrze. Troski minęły. Wysłuchawszy tego, ludzie w czołnie puścili burtę jego łódki i znikli natychmiast. Płynął dalej, póki go nie doszły głosy niosące się spokojnie po wodzie, i wreszcie ujrzał pod mgłą, która zaczęła się podnosić, wirując, blask wielu małych ognisk, rozpalonych na piaszczystym wybrzeżu, na tle wyniosłych, cienkich drzew i krzaków. Stała tu również straż na warcie i okrzyknęła Tamb' Itama. Rzucił w odpowiedzi swe imię i paru ostatnimi uderzeniami wiosła wpędził łódkę na brzeg. Obóz był wielki. Nad ludźmi przykucniętymi w licznych grupkach unosił się stłumiony gwar wczesnych rozmów porannych. Cienkie nitki dymu wiły się z wolna wśród białej mgły. Dla wodziów pobudowano niewielkie szałas wzniesione nad ziemią. Gdzieniedzie stały małe piramidy z muszkietów, a długie włócznie tkwiły pojedynczo, wbite w piasek przy ogniskach.

Tamb' Itam z wejrzeniem pełnym powagi kazał się zaprowadzić do Daina Warisa. Przyjaciel białego tuana spoczywał na wysokim legowisku zrobionym naprędce z bambusów, pod dachem z tyczek okrytych matami. Dain Waris nie spał; jasny ogień palił się przed jego łóżem, przypominającym prymitywny ołtarz. Jedyne dziecko *nakhody* Doramina odpowiedział łaskawie na powitanie. Tamb' Itam przede wszystkim wręczył mu pierścień, który świadczył o prawdziwości słów posłańca. Dain Waris, wsparty na łokciu, rozkazał mu mówić i zdać sprawę ze wszystkiego, co zaszło. Tamb' Itam zaczął od słów uświęconych zwyczajem: „Więści są pomyślne”, po czym powtórzył słowa Jima. Białym ludziom, odjeżdżającym za zgodą całej starszyny, dozwala się przejechać w dół rzeką. W odpowiedzi na parę pytań Daina Tamb' Itam opisał przebieg ostatnich obrad. Dain Waris słuchał uważnie, bawiąc się pierścieniem, który wsunął wreszcie na wskazujący palec prawej ręki. Dowiedziawszy się o wszystkich nowinach, Dain odprawił Tamb' Itama, rozkazując

mu, aby się posilił i wypoczął. Polecono natychmiast gotować się do popołudniowego powrotu. Potem Dain Waris wyciągnął się znów na łożu z otwartymi oczami, a jego świta przygotowywała mu posiłek u ogniska; siedział tam również Tamb' Itam, rozmawiając z ludźmi, którzy zbliżali się powoli, aby się dowiedzieć o ostatnich nowinach z miasta. Słońce pożerało mgłę. Ustawiono czujne strażę wzdłuż głównego łożyska rzeki, gdzie każdej chwili spodziewano się ujrzeć łódź białych.

Wówczas to Brown zemścił się na tym świecie, któremu dokuczał wzgardliwie i zuchwale przez lat dwadzieścia i który w końcu odmówił mu daniny: powodzenia w zwykłym rabunku. Zemsta Browna była aktem zimnego okrucieństwa, które cieszyło go jeszcze na łożu śmierci jak wspomnienie zuchwałego wyzwania. Kazał wysiąść po cichu swym ludziom na brzeg wyspy przeciwległy obozowi Bugisów i powiódł ich w tamtą stronę. Cornelius usiłował się wymknąć w chwili, gdy lądowali, lecz uległ po krótkiej chwili milczącego szamotania się i poprowadził bandę przez najmniej zwarte zarośla. Brown trzymał w jednej wielkiej pięści kościste ręce Corneliusa wygięte do tyłu i od czasu do czasu przynaglał go wściekłym szturchańcem. Metys milczał jak ryba, upadły na duchu, lecz wierny swemu celowi, którego osiągnięcie zaczynało przed nim mętnie majaczyć. Na skraju lasu ludzie Browna rozstawili się w ukryciu i czekali. Widzieli cały obóz jak na dłoni; nikt nie patrzył w ich stronę. Bugisom nie przeszło nawet przez głowę, aby biali mogli wiedzieć o wąskim przesmyku z drugiej strony wyspy. Wreszcie Brown uznał, że chwila odpowiednia nadeszła, i krzyknął: „Dalej w nich!” Czternaście strzałów zagrzmiało jak jeden.

Tamb' Itam mówił mi, że cały obóz osłupiał; padło wielu zabitych i rannych, lecz z tych, co ocaleli, nikt się nie poruszył czas dłuższy po pierwszej salwie. Wreszcie któryś z nich krzyknął, a po tym krzyku wielki wrzask zdumienia i trwogi wydarł się ze wszystkich ust. Ślepy, paniczny strach pędził rozkołysaną ludzką gromadę po brzegu tam i z powrotem, niby stado bydła lękające się wody. Niektórzy skoczyli od razu do rzeki, większość zaś dopiero po ostatniej salwie. Trzy razy ludzie Browna strzelali w tłum, a Brown, który sam jeden ukazał się na skraju lasu, kłął i wrzeszczał: „Celuj nisko! Celuj nisko!”

Opowiadał mi Tamb' Itam, że jeśli chodzi o niego, zrozumiał od razu po pierwszej salwie, co się stało. Choć kule go nie dosięgły, padł na ziemię i leżał jak martwy, tylko oczy miał otwarte. Na dźwięk pierwszych strzałów Dain Waris, wyciągnięty na posłaniu, zerwał się i wybiegł na brzeg, w sam czas, aby dostać kulą w czoło przy drugiej salwie. Tamb' Itam widział, jak Dain rozkrzyżował nagle ramiona, zanim upadł. Dopiero wówczas wielki strach ogarnął Tamb' Itama. Biali ludzie odeszli, tak jak przyszli.

W taki to sposób Brown wyrównał swe porachunki ze złym losem. Niech pan weźmie pod uwagę, że nawet w tym okropnym zamachu człowiek ten narzucał swoją wyższość, jak gdyby powodowało nim poczucie jakiegoś prawa, utajone w jego pospolitych namiętnościach. To nie była rzeź zwykła i zdradziecka: ale surowa nauka, odwet, przejaw jakiejś ciemnej i utajonej cechy ludzkiej natury, który niestety nie leży w nas tak głęboko pod powierzchnią, jak byśmy radzi to sobie wyobrażać.

A potem biali, niewidzialni dla Tamb' Itama, wycofują się i zdają się znikać zupełnie sprzed ludzkich oczu; szkuner znikł także, jak to się zwykle zdarza rzeczom skradzionym. Ale krąży opowieść o dużej białej łodzi, którą parowiec handlowy napotkał w miesiąc później na oceanie. Znajdowały się w niej dwa wyschnięte, żółte, mówiące szeptem szkielety o szklistych oczach; zwierzchnikiem ich był trzeci szkielet, który oświadczył, że się nazywa Brown. Opowiedział, iż jego szkuner, dążący na południe z ładunkiem jawańskiego cukru, został ciężko uszkodzony i zatonął. Tylko właściciel statku i jego dwaj towarzysze uratowali się z załogi liczącej sześć osób. Obaj majtkowie umarli na parowcu, który ich wziął na pokład. Brown pozostał przy życiu, abym ja mógł się z nim spotkać, i stwierdzam, że wypełnił do końca to, co mu było przeznaczone.

Jak się zdaje, banda Browna zapomniała przy odjeździe odczepić czołno Corneliusa. Na samym początku strzelaniny Brown puścił wolno Metysa, kopnąwszy go na pożegnanie. Gdy Tamb' Itam dźwignął się spośród martwych, ujrzął „Nazarejczyka”, który biegł tam i z powrotem po brzegu wśród trupów i gasnących ognisk, wydając słabe okrzyki. Nagle

Zemsta

Zemsta

rzucił się ku rzece i wśród zapamiętałych wysiłków starał się zepchnąć na wodę jedną z bugiskich łodzi.

— Potem — ciągnął dalej Tamb' Itam — stał, patrząc na ciężkie czółno, i drapał się w głowę, póki mnie nie zobaczył.

— Co się z nim stało? — zapytałem.

Tamb' Itam spojrział mi prosto w oczy i uczynił wyrazisty ruch prawą ręką.

— Dostał dwa razy, tuanie — rzekł. — Kiedy zobaczył, że się zbliżam, rzucił się gwałtownie na ziemię i zaczął wrzeszczeć, wywijając nogami. Darł się jak przerażona kura, póki nie poczuł ostrza; wówczas ucichł i leżał wpatrzony we mnie, aż wreszcie życie wyszło mu z oczu.

Potem już Tamb' Itam dłużej nie zwlekał. Rozumiał, jak ważną jest rzeczą, aby pierwszy przywiózł do fortu okropne nowiny. Z oddziału Daina Warisa wielu mężów zostało przy życiu, ale w najwyższym popłochu niektórzy przepłynęli rzekę, inni znów rzucili się w gąszcz. W rzeczywistości zaś nie zdawali sobie wcale sprawy, kto na nich uderzył, nie wiedzieli, czy więcej białych zbójców się nie pokaże, czy nie zawładnęli już całym krajem. Wyobrażali sobie, że padają ofiarą jakiejś olbrzymiej zdrady, że są skazani na zupełną zagładę. Podobno niektórzy z nich wrócili małymi grupkami dopiero po upływie trzech dni, kilku jednak usiłowało puścić się natychmiast z powrotem do Patusanu. Jedno z czółen trzymających wartę na rzece znalazło się niedaleko obozowiska w chwili ataku; wprawdzie z początku wiosłarze skoczyli do wody i popłynęli ku przeciwnemu brzegowi, ale potem wrócili do czółna i ruszyli przerażeni w górę rzeki. Tamb' Itam wyprzedził ich o godzinę.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Gdy Tamb' Itam, wiosłując jak szalony, dotarł do osady, kobiety, stłoczone na pomościach przed domami, wyczekiwały powrotu małej flotyli Daina Warisa. Miasto miało wygląd odświętny; gdzieś widać było mężczyzn — zbrojnych jeszcze we włócznie lub strzelby — którzy chodzili lub stali w grupkach na brzegu. Chińskie sklepy otwarte wcześniej, lecz targ był pusty; placówka, stojąca jeszcze wciąż u rogu forticy, dostrzegła Tamb' Itama i krzyknęła o jego przybyciu do załogi. Brama była szeroko rozwarta. Tamb' Itam wyskoczył z czółna i wbiegł do fortu. Pierwszą osobą, jaką napotkał, była dziewczyna, która szła właśnie od strony domu.

Tamb' Itam stał przed nią jakiś czas, zadyszany, z drżącymi ustami, błędnymi oczyma, w potarganym odzieniu; stał i milczał, jakby nagły czar padł na niego. Wreszcie wybuchnął:

— Zabili Daina Warisa i wielu innych.

Dziewczyna klasnęła w ręce; pierwsze jej słowa były: „Zamknij bramy”. Większość ludzi z załogi wróciła już do swych domów; Tamb' Itam zwołał i popędzał tych nielicznych, którym z kolei wypadło pełnić służbę. Dziewczyna stała na dziedzińcu wśród ogólnej bieganiny.

— Doramin! — krzyknęła rozpaczliwie do mijającego ją Tamb' Itama.

Gdy przebiegał koło niej po raz drugi, odpowiedział szybko na jej myśl:

— Tak. Ale cały proch Patusanu jest u nas.

Schwyciła go za ramię, cała drżąca, i szepnęła, wskazując na dom:

— Poproś go tutaj.

Tamb' Itam wbiegł po stopniach. Pan jego spał.

— To ja, Tamb' Itam — krzyknął ode drzwi — przynoszę wieści, które czekać nie mogą. — Zobaczywszy, że Jim odwraca głowę na poduszce i otwiera oczy, wybuchnął od razu: — Tuanie, to jest dzień klęski, dzień przeklęty!

Pan jego dźwignął się na łokciu i słuchał — zupełnie jak przedtem Dain Waris. A Tamb' Itam zaczął opowiadać; usiłował po kolei zdać sprawę ze wszystkiego, nazywając Daina Warisa „Panglima”. Gdy rzekł: — Wówczas Panglima zawołał do naczelnego ze swych wiosłarzy: „Dajcie Tamb' Itamowi coś do zjedzenia” — Jim wstał i spojrział na niego z tak zmienioną twarzą, że słowa uwięzły w gardle wiernego sługi.

— Mów dalej — rzekł Jim. — Czy nie żyje?

— Obyś żył wiecznie! — zawołał Tamb' Itam. — To była zdrada straszliwa. Na odgłos pierwszych strzałów Panglima wybiegł i padł.

Sługa, Pan

Pan Tamb' Itama poszedł do okna i uderzył pięścią w okiennicę. W pokoju zrobiło się jasno; wówczas pan zaczął mówić spokojnym głosem, lecz bardzo prędko, rozkazując Tamb' Itamowi, aby zebrał flotyllę łódek dla natychmiastowego pościgu, aby poszedł do tego, do tamtego — aby porozysłał gońców; mówiąc to wszystko, usiadł na łóżku i sznurował śpiesznie trzewiki; nagle podniósł głowę.

— Dlaczego tu stoisz? — zapytał z bardzo czerwoną twarzą. — Nie trać czasu. — Tamb' Itam wcale się nie poruszył.

— Wybacz mi, tuanie, ale... ale... — zaczął się jękać.

— Co takiego? — krzyknął pan głośno ze strasznym spojrzeniem i pochylił się naprzód, ściskając oburącz brzeg łóżka.

— Nie jest bezpieczne dla twego sługi iść tam pomiędzy lud — rzekł Tamb' Itam po chwili wahania.

Wówczas Jim zrozumiał. Wycofał się ze świata z przyczyny na pozór drobnej, z powodu jednego odruchowego skoku, a teraz oto drugi świat, dzieło jego własnych rąk, wali mu się w gruzach na głowę. Nie jest bezpiecznie dla jego sługi iść między jego własny lud! Zdaje mi się, że właśnie wtedy Jim postanowił stawić czoło nieszczęściu w jedyny sposób, jaki uważał za możliwy; ale wiem tylko to, że bez słowa wyszedł z sypialni i usiadł przy długim stole, gdzie zajmował zawsze pierwsze miejsce, kierując sprawami swego świata i głosząc dzień po dniu prawdę, która na pewno żyła w jego sercu. Ciemne potęgi nie wydrą mu po raz drugi spokoju! Siedział jak kamienny posąg. Tamb' Itam, pełen szacunku, napomknął o przygotowaniach do obrony. Dziewczyna, którą Jim kochał, weszła i zaczęła mówić do niego, lecz gdy poruszył ręką, przeraziła się niemą prośbą o milczenie, jaką ów ruch wyrażał. Wyszła na werandę i siadła na progu, jakby własnym ciałem chciała zagrozić drogę niebezpieczeństwu.

Jakie myśli przechodziły Jimowi przez głowę, jakie wspomnienia? Któż to może powiedzieć! Wszystko przepadło; już raz utracił ludzkie zaufanie, a teraz znowu zawiódł tych, co w niego wierzyli. Wyobrażam sobie, iż właśnie wówczas usiłował pisać do kogoś, ale tego zaniechał. Samotność ogarniała go znowu. Ludzie powierzyli mu swoje życie — i oto do czego doszło; a tymczasem nigdy, jak to kiedyś powiedział, nigdy nie będą w stanie go zrozumieć. Żaden odgłos z domu nie przenikał na zewnątrz. Później, ku wieczorowi, Jim zbliżył się do drzwi i zawołał na Tamb'Itama.

— Cóż tam? — zapytał.

— Wiele jest płaczu. A także i wiele gniewu — rzekł Tamb' Itam.

Jim podniósł na niego oczy.

— Wiesz o tym — szepnął.

— Tak, tuanie — rzekł Tamb' Itam. — Twój sługa wie i bramy są zamknięte. Będziemy musieli walczyć.

— Walczyć! O co? — zapytał.

— O życie.

— Nie ma dla mnie życia — powiedział Jim.

Tamb' Itam usłyszał krzyk dziewczyny stojącej u drzwi.

— Kto wie? — rzekł Tamb' Itam. — Przy odrobinie odwagi i chytryści uda się nam może uciec. A przy tym wiele jest trwogi w sercach mężów. — Tamb' Itam wyszedł, snując niejasne myśli o łodziach i otwartym morzu, i zostawił Jima z dziewczyną.

Nie mam odwagi powtórzyć tego, co mi mówiła o chwilach, które spędziła na mowaniu się z Jimem o swoje szczęście. Ciągnęło się to z godzinę lub dłużej. Niepodobna przeniknąć, czy miał jeszcze jakąś nadzieję, czego oczekiwał, co sobie wyobrażał. Był nieugięty; a im bardziej się czuł osamotniony wśród swego uporu, tym wyżej duch jego zdawał się wznosić ponad gruzy walącego się życia. „Walcz!” — krzyczała do niego. Nie mogła zrozumieć! Nie było już o co walczyć. Jim chciał dowieść swej siły w inny sposób — pokonać sam złowrogi los. Wyszedł na dziedziniec; za nim ukazała się bez tchu dziewczyna, z rozpuszczonymi włosami, oszalałą twarzą — i chwając się na nogach, oparła się o framugę drzwi.

— Otwórzcie bramy — rozkazał Jim. Potem zwrócił się do ludzi z załogi i pozwolił im wrócić do domów.

— Na jak długo? — zapytał jeden z nich nieśmiało.

— Na zawsze — rzekł Jim posepnie.

Cisza padła na miasto po pierwszym wybuchu rozpacz i lamentu, który przewiał nad rzeką jak poryw wichru z rozwartego przybytku żalości. Lecz szeptem obiegały wieści napęlniające serca zgnębieniem i straszną niepewnością. Zbójcy mieli podobno wrócić na wielkim statku i naprowadzić jeszcze wielu innych, a wówczas dla nikogo nie byłoby już w tym kraju schronienia. Poczucie groźnego niebezpieczeństwa — jak podczas trzęsienia ziemi — przeniknęło wszystkie dusze; ludzie zwierali się po cichu jeden drugiemu ze swych podejrzeń, spoglądając po sobie, jakby nawiedził ich straszliwy los.

Słońce zniżało się ku lasom, gdy przyniesiono ciało Daina Warisa do *kampungu* Doramina. Czterech ludzi je dźwigało, zakryte, jak przystoi, białym całunem, który stara matka kazała zanieść do wrót nad rzeką na przyjęcie syna. Złożono młodego wodza u stóp Doramina; starzec siedział bez ruchu długi czas nad zwłokami, z rękoma opartymi o kolana, i patrzył w ziemię. Pędy palm kołysały się łagodnie, a listowie drzew owocowych poruszało się nad jego głową. Wszyscy bez wyjątku ludzie z bugiskiego plemienia byli tam obecni w pełnym uzbrojeniu. Stary *nakhoda* podniósł wreszcie oczy. Potoczył nimi z wolna po tłumie, jakby szukał nieobecnej twarzy. Broda jego znów opadła na piersi. Szepty wielu ludzi mieszały się z lekkim szmerem listowia.

Malaj, który przywiózł do Semarangu Tamb' Itama i dziewczynę, również tam się znajdował. Był mniej rozgniewany niż wielu innych, jak mi opowiadał, lecz przejmowała go zgroza i osłupienie wobec „niespodzianek losu, który wisi nad ludzkimi głowami jak chmura brzemienna gromem”. Mówił, że gdy ciało Daina Warisa zostało odsłonięte na znak Doramina, ujrzeli tego, którego zwano często przyjacielem białego władcy; leżał, nic nie zmieniony, z lekko rozchylonymi powiekami, jakby miał się zaraz obudzić. Doramin pochylił się trochę więcej, rzekłbyś, szukając czegoś, co upadło na ziemię. Ogarnął ciało od stóp do głów badawczym wzrokiem, może szukał na nim rany. Niewielki znak od kuli znajdował się na czole; nikt nie wyrzekł ani słowa, tylko jeden z obecnych pochylił się i zdjął srebrny pierścień z zimnej, sztywnej ręki. W milczeniu podał go Doraminowi. Szept przerażenia i zgrozy przebiegł po tłumie na widok tego ogólnie znanego symbolu przyjaźni. Stary *nakhoda* wpatrzył się weń i nagle wydał wielki, dziki krzyk z głębi piersi, ryk bólu i wściekłości, potężny jak ryk ugodzonego bawołu, napęlniając wielkim strachem serca ludzi wstrząśniętych niezmiernym jego gniewem i żalością, które tak wyraźnie przejawiały się bez słowa. Gdy czterech ludzi dźwignęło ciało i poniosło je na stronę, zapadła długa cisza. Złożyli je pod drzewem; w tejże samej chwili wszystkie kobiety należące do domu Doramina wybuchnęły jednym przeciągłym jękiem, a potem zaczęły zawodzić ostrymi głosami. Słońce zachodziło; w przerwach wrzaskliwego lamentu rozlegały się wysokie, monotonne głosy dwóch starców śpiewających wersety z Koranu.

Mniej więcej w tym samym czasie Jim, oparty o łożysko armaty, patrzył na rzekę zwrócony tyłem do domu, we drzwiach zaś stała dziewczyna, zdyszana jak po gwałtownym biegu, i patrzyła na niego poprzez dziedziniec. Tamb' Itam trzymał się niedaleko od swego pana, czekając cierpliwie na dalszy rozwój wypadków. Nagle Jim, który był jakby zatopiony w spokojnych rozmyślaniach, obrócił się ku niemu i rzekł:

— Czas już z tym skończyć.

— Słucham, tuanie? — rzekł Tamb' Itam i podszedł żwawo do swego pana.

Z chwilą gdy Jim się odwrócił, dziewczyna ruszyła z miejsca i zeszła na dziedziniec. Nikogo z domowników nie było wówczas w pobliżu. Chwiała się z lekka i mniej więcej w połowie drogi zawołała na Jima, który zdawał się znowu wpatrywać spokojnie w rzekę. Odwrócił się i oparł plecami o armatę.

— Czy będziesz się bił? — krzyknęła.

— Nie ma o co się bić — odparł — nic nie jest stracone — i o krok się ku niej posunął.

— Czy będziesz uciekał? — krzyknęła znowu.

— Nie ma ucieczki — rzekł i zatrzymał się; dziewczyna przystanąła także i milcząc, pożerała go wzrokiem.

— A więc pójdiesz tam? — wyrzekła powoli.

Jim spuścił głowę.

— Ach! — krzyknęła, wpatrując się w niego — jesteś szalony albo obłudny. Czy pamiętasz, jak wtedy w nocy zaklinałam cię, abys odszedł ode mnie, a tyś powiedział, że nie możesz? Że to dla ciebie jest niemożliwe! Niemożliwe! Pamiętasz, jak powiedziałeś, że

Żaloba

Rozpacz

nigdy mnie nie opuścisz? Dlaczego tak mówiłeś? Ja ciebie o to nie prosiłam. Obiecałeś z własnej woli, pamiętaj o tym!

— Cicho, ty moje biedactwo — rzekł. — Nie byłbym ciebie wart, gdybym został.

Tamb' Itam mówił, że w czasie tej rozmowy zaczęła się śmiać głośno i obłudnie jak opętana. Jego pan objął głowę rękami. Był w codziennym ubraniu, tylko nie miał kape-lusza. Nagle przestała się śmiać.

— Po raz ostatni — krzyknęła groźnie — pytam, czy będziesz się bronił?

— Nic mi się stać nie może — rzekł z ostatnim błyskiem wspaniałego egoizmu.

Tamb' Itam ujrzał, jak pochyliła się naprzód, wyciągnęła ramiona i pobiegła do jego pana. Rzuciła mu się na piersi i objęła go za szyję.

— Ach! Ale ja cię zatrzymam, ot tak! — krzyknęła. — Ty jesteś mój!

Szlochała na jego ramieniu. Niebo nad Patusanem było krwawe, ogromne, jakby za-lane posoką uchodzącą z otwartej żyły. Wielkie, purpurowe słońce gnieździło się wśród szczytów drzew, a las poniżej miał czarne, odpychające oblicze.

Tamb' Itam mówił mi, że owego wieczoru niebiosa wyglądały gniewnie i przerażająco. A ja najzupełniej mu wierzę, gdyż wiem, że tego dnia cyklon przeszedł o sześćdziesiąt mil od brzegu, choć tam na miejscu czuło się tylko leniwy powiew.

Nagle Tamb' Itam ujrzał, że Jim chwyta dziewczynę za ręce i stara się je rozluźnić. Zawisła na nich z głową w tył odrzuconą; włosy jej dotykały ziemi. „Chodź tu!” — zawołał pan na Tamb' Itama; ten podbiegł i pomógł ją złożyć na ziemi. Trudno było rozpleść jej palce. Jim pochylił się nad dziewczyną, spojrzawszy głęboko w jej twarz i natychmiast rzucił się ku przystani. Tamb' Itam popędził za nim, lecz odwróciwszy głowę, zobaczył, że pani zdołała się dźwignąć na nogi. Zaczęła biec w ich stronę; po kilku krokach padła ciężko na kolana.

— Tuanie! Tuanie! — zawołał Tamb' Itam — spojrzaj za siebie!

Ale Jim był już w czółnie i stał, trzymając wiosło. Nie obejrzał się. Tamb' Itam ledwie zdążył się wdrapać do czółna, gdy już odpływało. Dziewczyna klęczała u wrót ze splecio-nymi rękami. Pozostała czas jakiś w tej błagalnej pozycji, wreszcie skoczyła na nogi.

— Wiarolomca! — krzyknęła za Jimem.

— Przebacz mi! — zawołał.

— Nigdy! Nigdy!

Tamb' Itam wziął wiosło z rąk Jima, ponieważ nie wypadło, aby jego pan wiosłował, a on siedział beczynnym. Gdy dosięgli drugiego brzegu, tuan Jim zakazał Tamb' Itamowi iść dalej; lecz Tamb' Itam posuwał się za nim w pewnej odległości, wspinając się po zboczu w stronę *kampungu* Doramina.

Zapadał zmierzch. Gdziekolwiek migotały pochodnie. Widok Jima zdawał się napa-wać zgrozą przechodniów, którzy śpiesznie usuwali się na bok, aby zrobić wolne przejście białemu. Z góry dochodziło zawodzenie kobiet. Dziedziniec był pełen zbrojnych Bugisów w otoczeniu świt i patusańskiego ludu.

Nie wiem właściwie, w jakim celu się zgromadzili. Czy były to przygotowania do woj-ny, czy do zemsty, czy do odparcia grożącego napadu? Wiele dni upłynęło, zanim ludzie przestali wyczekiwać ze drżeniem powrotu białych brodaczy w łachmanach — a właści-wego stosunku owych ludzi do białego władcy Patusanu nigdy nie potrafili zrozumieć. Nawet dla tych prostych dusz biedny Jim pozostał mglistą zagadką.

Doramin siedział w fotelu naprzeciw zbrojnego tłumu, samotny, olbrzymi, zrozpa-czony, z parą pistoletów skałkowych na kolanach. Gdy ukazał się biały tuan, ktoś krzyk-nęła i wszystkie głowy naraz skierowały się ku Jimowi; tłum rozpadł się na prawo i lewo, a on szedł tą drogą pośród odwróconych spojrzeń. Ścigały go szepty, pomruki: „On jest sprawcą całego zła!” — „To czarownik!...” Może Jim to słyszał...

Kiedy znalazł się w świetle pochodni, zawodzenie kobiet nagle ustało. Doramin nie podniósł głowy i Jim stał przed nim czas jakiś w milczeniu. Potem spojrzawszy na lewo i skierował się tam miarowymi krokami. Matka Daina Warisa siedziała w kucki u jego głowy; siwe, potargane włosy zasłaniały jej twarz. Jim zbliżył się powoli; podniósł nakrycie, spojrzawszy na zmarłego przyjaciela, po czym opuścił całun bez słowa. Wrócił z wolna ku Doraminowi.

Słońce, Krew

Zemsta

— Przyszedł! Przyszedł! — przebiegało po wszystkich ustach, wzniesając szmer towarzyszący krokom Jima.

— Wziął wszystko na własną głowę — rzekł ktoś głośno.

Jim usłyszał to i zwrócił się do tłumy.

— Tak. Na własną głowę.

Kilku ludzi cofnęło się. Jim czekał chwilę, stojąc przed Doraminem, a potem rzekł łagodnie:

— Przyszedłem pełen żalu. — Znow czekał. — Przyszedłem gotów na wszystko i bezbronny — powtórzył.

Ociężały starzec pochylił wielkie czoło jak wół pod jarzmem i usiłował powstać, chwytając z kolan skałkowe pistolety. Z gardła dobywał mu się zduszony; nieludzki bełkot; dwaj dworzanie dźwignęli go z tyłu. Ludzie zauważyli, że pierścień upuszczony przez Doramina spadł i potoczył się aż do stóp białego, a biedny Jim spojrział w dół na talizman, co otworzył mu drogę do sławy, miłości i powodzenia, wprowadził go za mur lasów obramowanych białą pianą, w głąb wybrzeża, które w blasku zachodzącego słońca wygląda zaiste jak twierdza nocy. Doramin, starając się utrzymać na nogach, tworzył z dwoma podtrzymującymi go ludźmi ruchomą, chwiejną grupę, jego małe oczka błyskały dziko; spoglądał z wyrazem obłąkanego bólu i wściekłości, co zauważyli bliżej stojący ludzie; w końcu, podczas gdy Jim stał z gołą głową, wyprężony w świetle pochodni, patrząc mu prosto w twarz, Doramin zawisł ciężko lewym ramieniem na szyi pochylonego młodzieńca, wznosił powoli prawą rękę i strzelił w pierś przyjacielowi swego syna.

Z chwilą kiedy Doramin podniósł broń, tłum stojący za Jimem rozpierchnął się, a po strzale rzucił się naprzód zgłębliwie. Mówią, że biały cisnął się prawo i lewo — na wszystkich tych ludzi — dumne, nieugięte spojrzenie. Potem, z ręką na ustach, padł na twarz martwy.

*

I na tym koniec. Jim znika — nie uzyskawszy przebaczenia, otoczony mglistą tajemnicą, z sercem nieprzeniknionym, zapomniany — i niezwykle romantyczny. Nawet w najszańszych dniach swych chłopięcych rojeń nie mógł wymarzyć tak czarownej wizji, tak tryumfalnego wyniku!

W tym krótkim mgnieniu, gdy po raz ostatni rzucił wokół dumnym, nieugiętym wzrokiem — w mgnieniu tym może ujrzał oblicze owej wysnzionej sposobności, która jak wschodnia oblubienica stanęła zakwefiona u jego boku.

Oto widzimy, jak ten nieznany zdobywca sławy wyrwa się z ramion zazdrosnej miłości na znak, na zew swego wzniesłego egoizmu. Odchodzi od żywej kobiety, aby zawrzeć bezlitosne śluby z mglistym ideałem postępowania. Czy jest już teraz zupełnie zadowolony? Powinniśmy to wiedzieć, jest jednym z nas. A czyż nie stawiałem się kiedyś, jak duch wywołany zaklęciem, by dać świadectwo o jego niezłomnej wierności? I chyba nie pomyliłem się tak bardzo. Teraz, kiedy go już nie ma, przychodzą dni, gdy rzeczywistość jego istnienia narzuca mi się z olbrzymią, porywającą siłą; to znow — i daję na to słowo — bywają chwile, kiedy Jim rozwiewa mi się w oczach jak odcieleśniony duch błędzący wśród namietności tej ziemi, gotów poddać się karnie wezwaniu swego własnego świata cieniów.

Któż z nas wie? Odszedł z sercem nieprzeniknionym, a biedna dziewczyna wiedzie w domu Steina głuche, martwe życie. Stein bardzo się w ostatnich czasach postarzał. Czuje to sam; mówi często: „Trzeba będzie wkrótce opuścić to wszystko... opuścić” — i smutnym ruchem ręki wskazuje na swoje motyle.

Wrzesień 1899 – lipiec 1900

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lord-jim-zagorska>

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, *Lord Jim*, t. I-II, tłum. A. Zagórska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Karolina Maj, Monika Myszkowska, Paulina Choromańska, Wojciech Kottwica.

ISBN 978-83-288-0128-8

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.